



OLGIERD ŚWIERZEWSKI

*Zapach miasta
po burzy*

”

„Przeczytałam książkę - to prawdziwa saga.
Wspaniały final. Genialna.”

OLGIERD ŚWIERZEWSKI

ZAPACH MIASTA
PO BURZY

Projekt okładki: *Aleksandra Szmak*

Redakcja: *Marianna Zielińska*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Elżbieta Jaroszuk*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© conrado/Shutterstock

© by Olgierd Świerzewski

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2014

ISBN 978-83-7758-694-5

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

*Pamięci
moich dwóch dziadków urodzonych
w Sankt Petersburgu,
których czytelnik odnajdzie
w tej historii*

Spis treści

Od Autora

Prolog

Część I Obłok w spodniach

Moskwa, 1 czerwca 1979

Leningrad, 14 czerwca 1979

Moskwa, 17 czerwca 1979

Moskwa, sierpień 1979

Moskwa, 21 października 1979

Moskwa–Rejkiawik, grudzień 1979

Bagram, Afganistan, grudzień 1979

Moskwa, 22 lutego 1980

Wolsk, luty 1980

Moskwa, lipiec 1980

Moskwa, sierpień 1980

Moskwa, kwiecień 1981

Moskwa, grudzień 1981–kwiecień 1982

Moskwa, listopad 1981

Odessa, maj 1982

Część II Droga moja stolica, złoty mój Spartak Moskwa

Moskwa, maj 1982

Moskwa, czerwiec 1982

Moskwa, sierpień 1982

Moskwa, październik 1982

Afganistan, 3 listopada 1982

Leningrad, styczeń 1983

Moskwa, styczeń 1983

Linares, luty 1983

Wolsk, kwiecień 1983

Moskwa, wrzesień 1983

Nowy Jork, 5 września 1983, godzina 20.00

Moskwa, wrzesień 1983–kwiecień 1984

Moskwa, maj 1984

Moskwa, 9 czerwca 1984

Nowy Orlean, lipiec 1984

Nowy Jork, lipiec 1984

Nowy Orlean, lipiec 1984

Nowy Jork, lipiec 1984

Moskwa, 2 sierpnia 1984

Sonata Leningradzka

Moskwa, maj 1985

Hawana, sierpień 1985

Moskwa, październik 1985

Wolsk, kwiecień 1986

Moskwa, kwiecień 1986

Wyprawa w Dagestański Kraj lato 1986

Leningrad, wrzesień 1986

Południe Związku Radzieckiego wrzesień–październik 1986

Manila, październik 1986

Stadion Dynamo Tbilisi, Gruzja

Leningrad, listopad 1986

Część III Moskwa nie wierzy łzom

Moskwa, wiosna 1987

Moskwa, maj 1987

Moskwa, 28 maja 1987

Paryż, zima 1987

Moskwa, wiosna 1988

Dacza nad Donem, sierpień 1988

„Komsomolec”

Moskwa, maj 1989

Moskwa, czerwiec 1989 10 dni do turnieju międzystrefowego

Dubrownik, czerwiec–lipiec 1989 turniej międzystrefowy

Moskwa, 20 listopada 1989; tydzień do półfinałowego meczu pretendentów z Janem Timmerem

Wiedeń, listopad 1989 mecz półfinałowy z Janem Timmerem

Moskwa, 16 grudnia 1989

Budapeszt, 4 maja 1990; konferencja prasowa po zakończeniu meczu Krutin–Antonow

Moskwa, maj 1990

Przed meczem

Soczi, sierpień 1990 84 dni do meczu o mistrzostwo świata

Barcelona, sierpień 1990 80 dni do meczu o mistrzostwo świata

Dacza nad Donem, sierpień 1990 68 dni do meczu o mistrzostwo świata

Majorka, sierpień 1990 63 dni do meczu o mistrzostwo świata

Moskwa, wrzesień 1990 45 dni do meczu o mistrzostwo świata

Dortmund, wrzesień 1990 40 dni do meczu o mistrzostwo świata

Moskwa, październik 1990 20 dni do meczu o mistrzostwo świata

Londyn, październik 1990 18 dni do meczu o mistrzostwo świata

Nowy Jork, październik 1990

Mecz o szachowe mistrzostwo świata Nowy Jork, listopad 1990

Część IV Wiatr, który zawsze wieje w Scheveningen

Paryż, styczeń 1991

Moskwa–Linares, luty–czerwiec 1991

Gemini – odsłona pierwsza

Tournée

Ron Ziegler Show

„Vanity Fair”

Gemini – odsłona druga Dolina Krzemowa, lipiec 1991; mecz człowiek kontra komputer

Wolsk, sierpień 1991

Moskwa, 19 sierpnia 1991

Nairobi, luty 1992

Moskwa, wiosna 1992

Protokół z zeznań Andrieja Giennadijewicza Grotowa

Antonow kontra świat Moskwa–Londyn, wrzesień–grudzień 1992

Scheveningen, luty 1993

Moskwa, wiosna 1993

Dortmund, sierpień 1993

Paryż, październik 1993

Moskwa, 2 listopada 1993 7 dni do meczu w obronie tytułu

Wolsk, listopad 1993

Wolsk, luty 1994

Przemówienie Anatolija Romancewa Kongres FIDE, Genewa, luty 1994

Wolsk, marzec 1994

Paryż, wiosna 1994

Prowansja, wiosna 1994

Wolsk, maj 1994

Toskania, sierpień 1994

Misza Sałow Moskwa, luty 1995

tydzień 1

tydzień 2

tydzień 3

tydzień 4

tydzień 5

tydzień 6

Prowansja, marzec 1995

Schodami w dół Wolsk, kwiecień 1995 – październik 1996

Prowansja, sierpień 1995

Spotkanie Wolsk, październik 1996

Drugie spotkanie

Trzecie spotkanie

Czwarte spotkanie

Piąte spotkanie

Szóste spotkanie

Część V Biały płaszczyk

Wolsk, wiosna 1997

Wolsk, sierpień 1997

Moskwa, październik 1997

Upadek Wolsk, maj 1998

Wolsk, kwiecień 1999

Powrót Wolsk, sierpień 1999; 30 dni do turnieju pretendentów w Eliście, Kałmucja

Elista–Wolsk, wrzesień 1999 turniej pretendentów

Wolsk–Moskwa, luty 2000; 8 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Paryż, luty 2000; 4 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Moskwa, luty 2000; 2 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Moskwa, luty 2000; finał turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Paryż, luty 2000

Moskwa, kwiecień 2000; 48 dni do meczu o mistrzostwo świata Romancew–Antonow

Mecz o mistrzostwo świata Romancew–Antonow Londyn, czerwiec 2000

Podziękowania

Przypisy

Od Autora

Uśpiona Moskwa widziana z restauracji hotelu Krasnyje Chołmy to widok, który skłania do refleksji nad życiem mieszkańców tego fascynującego miasta. Siedząc tam ze szklanką mojito w dłoni, w wyobraźni widziałem Antonowa, który wpada w panikę, ogarnięty duszącym uczuciem klaustrofobii, pomimo szerokiej panoramy, jaka roztacza się za oknami.

Pojechałem nocą do centrum, w kierunku ulicy Twerskiej. Pamiętałem ją z dzieciństwa, gdy – zakochany jak młody Oleg – chodziłem po stolicy Związku Radzieckiego, który już dziś nie istnieje. Z tamtego okresu pozostało mi wspomnienie upału i nastroju niczym z powieści Bułhakowa, wspomnienie zapachu czerwcowych wieczorów, zachodów słońca na Wzgórzach Lenina.

Ta powieść wywołuje ponoć bardzo silne wzruszenia, uczucie tęsknoty, pragnienie życia pełną piersią. Cieszę mnie te opinie, bo starałem się ją utkać z emocji, a jednocześnie dać trochę siły tym, którzy wątpią w sens czegokolwiek.

Pucz Janajewa zastał mnie w Australii, gdzie byłem na festiwalu młodych dramaturgów. Pamiętam, jak Janajewowi trzęsły się ręce. Mówiono, że to ze stresu. Później dowiedziałem się, że być może prawdziwym powodem była libacja alkoholowa, którą członkowie spisku urządzili przed świtem dla dodania sobie odwagi. Jeszcze wczoraj trudno było uwierzyć, że nie tak dawno na ulicach wszystkich stolic państw Europy Wschodniej stały czołgi, gotowe, by strzelać. Dziś wydarzenia na Ukrainie pokazują, że historia lubi się powtarzać jak traumatyczne wspomnienie z dzieciństwa.

Moje prababki były Rosjankami, nie mówiły po polsku. Dziadkowie urodzili się w Sankt Petersburgu. Jeden, Witold, w rodzinie lekarza na dworze cara Mikołaja. Ludwik, cioteczny brat Witolda, profesor laryngologii, dorobił się w Moskwie pomnika za swoje naukowe i medyczne osiągnięcia. Pokój drugiego z dziadków, Loni, wypełniały regały z książkami, a jego zdjęcie z pikniku nad brzegiem Niemna należy do moich ulubionych. Mam nadzieję, że będziecie mieli wiele zabawy w tych momentach, w których starałem się oddać atmosferę panującą w czasach dzieciństwa Olega.

A potem przyszły szachy. Koło szachowe w domu kultury, wiadomości z Moskwy, gdzie toczył się pojedynek Karpowa z Kasparowem. Czarno-biały telewizor, przedruki ich partii w gazetach codziennych, nazwa „Scheveningen” wymieniona przez mistrza pokazującego nam na tablicy demonstracyjnej posunięcia obu graczy. To wszystko przemawiało do mojej wyobraźni z taką siłą, że już wówczas marzyłem, aby oddać ten klimat w powieści. I jak każdego młodego romantyka wypełniało mnie pragnienie, aby napisane dzieło złożyć Jej w podarunku. Chodziłem wtedy z wierszami Majakowskiego w kieszeni.

Po wielu latach od wydarzeń, które wywoływały tamte młodzieńcze emocje,

zadzwoił do mnie Garri Kasparow i zaprosił do zespołu, który prowadził kampanię wyborczą Anatolija Karpowa w wyborach na prezydenta Międzynarodowej Federacji Szachowej FIDE, odbywających się w Chanty-Mansyjsku. Trudno mi było uwierzyć, że będę współpracował z bohaterami mojego dzieciństwa. Podczas nocnych rozmów pytałem ich o uczucia towarzyszące grze, o to, skąd po przegranej brali siły do walki. Było to dla mnie niezapomniane doświadczenie.

To samo mieszkanie w Paryżu, które w powieści wypełnią tęskne dźwięki fortepianu, ja wynajmowałem, pracując w OECD. Mam nadzieję, że czytając, przeniesiecie się tam z bohaterem. Obiecuję, że postara się on zabrać Was w dalszą fascynującą podróż.

Czy kiedyś w tramwaju z Hagi do Scheveningen naprawdę spotkałem Tatianę? Obserwując stalowe molo w lutowy poranek, myślałem o tym, jak musiało jej być ciężko, jak bardzo zagubiona i samotna była w chwili, gdy musiała podejmować ważne decyzje.

W londyńskim pubie Hereford Arms świętowaliśmy urodziny mojej żony. To tu Antonow czekał na Tatianę. Często o poranku przemierzałem drogę do Parku Kensington, czując podobne jak Oleg emocje, gdy pomimo stresu trzeba było dowodzić swojego profesjonalizmu.

Mógłbym tak opowiadać o tysiącach szczegółów, które, zainspirowany zapachem, kolorem czy uczuciem, starałem się oddać, odtworzyć i opisać, ale nie chcę odbierać Wam przyjemności odkrywania tej powieści. Sami poznacie Olega, Anatolija, Tatianę, Katie, Andrieja i innych bohaterów. Mam nadzieję, że nie zapomnicie ich nawet po odłożeniu tej książki.

Olgierd Świerzewski

Prolog

Uśpiona Moskwa widziana z dwunastego piętra sprawiła, że Antonow poczuł się jeszcze bardziej samotny.

O drugiej w nocy butelka była już pusta. Ze smutkiem zrozumiał, że nie jest dość pijany, by nie czuć bólu. Wiedział, że kiedy zamknie oczy, przez ciszę, jaka go ogarnie, przebieje się bezlitosny syk jego myśli.

Coraz trudniej było mu przepęłznąć przez każdą następną godzinę dzielącą go od świtu. Poranek przynosił chwilowe ukojenie. A może to zawrót głowy spowodowany świeżym powietrzem po nieprzespanej nocy sprawiał, że nie potrafił nazwać myśli, które nocą zdawały się ostre jak nóż srebrzący się w świetle księżyca. Od kilku dni tuż po wschodzie słońca spacerował szybkim krokiem wzdłuż rzeki, Kosmodamiańskim Nabrzeżem. Potrzebował przestrzeni.

Zdjął koszulę i rzucił ją na fotel. Nagie ciało poczuło chłód powietrza płynącego z klimatyzacji. Zastygł w napięciu. Przez chwilę uwierzył, że jej dłoń dotknie jego ramienia, że jej nagie piersi dotkną jego pleców, a krótki, płytki oddech zdradzi pragnienie bliskości. Siłą woli starał się uczynić tę scenę realną. Przez chwilę zaciskał powieki niczym dziecko, czując, jak rozpacz miesza się w skroniach z nadzieją. Do bólu. Trwało to sekundę, może odrobinę dłużej, aż zrozumiał, że stojąc na granicy dwóch światów, za sobą ma tylko własną wolę, przeciw sobie zaś – pozbawioną współczucia rzeczywistość.

Cisza... Zimny dotyk szyby, którą odruchowo pogładził koniuszkami palców, przypomniał mu, że nadaremnie podejmował podobne próby setki razy, zawsze czując po tym palące rozczarowanie. Opanował go gniew. Był sam z wyobraźnią wypełnioną jej śmiechem, strzępami słów, przyspieszonym oddechem, który nie był już wyznaniem miłości dla niego...

Osunął się na podłogę i z głową wciąż opartą o szybę wielkiego okna spoglądał na most, po którym z rzadka przejeżdżały samochody. Bolało zbyt mocno. Dlaczego musiał pomyśleć o tym akurat teraz...? Obraz jej zamglonych rozkoszą oczu był jak trucizna.

– Powietrza, przestrzeni, powietrza – szepnął, czując narastającą panikę.

Taksówkarz nie zadawał pytań, słuchał muzyki. Ulice były puste. Jechali Twerską. Mijali rozświetlone, wielkie witryny ekskluzywnych sklepów. Antonow pomyślał, że jeszcze ma w sobie coś z dawnego ducha, który sprawił, że z dachu kamienicy opuścił do jej okna przypięty do liny kosz z kwiatami. Bawiło ją to. Zacisnął usta na wspomnienie jej rozbawionych oczu, jej zębów, którymi gryzła mu wargi, gdy ogarnięci namiętnością, spleceni, odnajdywali się, by znów zagubić w spełnieniu, i tak aż do świtu, który witał ich po bezsennej nocy świetlistym odbiciem malującego się na ich twarzach tajemniczego uśmiechu...

Uśmiech zniknął z twarzy Antonowa, gdy pomimo zamkniętych powiek zdał sobie sprawę, że usta, które całuje, są ustami prostytutki, a przywoływane w myślach obrazy i powtarzane słowa wydają się groteskowe. Kiedy kobieta wyszła, usiadł na podłodze z butelką wódki i pytał sam siebie, jak to możliwe, że dotąd nie skończył tego, unicestwiając się. Nie chodziło o dylematy filozoficzne. Nawet nie zastanawiałby się, czy znajdzie coś po drugiej stronie. Powód wydał mu się bardziej prozaiczny – nie wiedział, jak się do tego zabrać. W tych chwilach, gdy był na to przygotowany, brakowało mu pomysłu, by zrobić to, ot tak, od ręki, jak robią to pod wpływem depresji lub delirium myśliwi w tajdze, strzelając sobie prosto w głowę. A kiedy emocje opadały, nie czuł tak nagłej potrzeby śmierci. W końcu to też było lekarstwo – mieć ją zawsze w odwodzie, jak morfinę, po której można zasnąć, zapominając o bólu.

Pomiędzy kolejnymi łykami zdał sobie sprawę, że jutro będzie mu pękać głowa. Tylko jak dotrzeć do jutra? Bez wieści, oderwany od źródła swych uczuć, szukający znaku, wciąż zakochany, a może uzależniony od niej, w napięciu czekający, co przyniesie następny dzień, który zapewne nie da ciepłego tchnienia ani nie złagodzi tęsknoty...

Jej obraz atakował go natarczywie, widział ją wszędzie: w reklamach, katalogach, w innych kobietach, gdy odwrócone do niego plecami nie wiedziały, że przyspiesza kroku, by chwilę potem przeżyć zawód, że to nie ona. A kiedy tylko pozwolił sobie na myśl o niej, owo myślenie doprowadzało go do szaleństwa. I być może skończyłby w takiej chwili ze sobą, gdyby nie strach, że po drugiej stronie czeka go to samo uczucie, które tam rozciągnie się w wieczność pozbawioną choćby cienia złudzenia. Nawet teraz, gdy nic nie przemawiało za tym, by miał prawo marzyć, by miał prawo do nadziei, myśl o niej była tą okruszyną, która żywiła go i dawała resztkę energii, by żyć.

Tamtego dnia, o poranku, zrozumiał, że odeszła. Nie było lekarstwa na ból, nie było tamy, która ochroniłaby go przed zalewem paniki i przerażenia, gdy głośno wypowiedział tę prawdę: „To już koniec, Oleg”. Próbował się obrazić, schować za tarczą urażonej męskiej dumy, znienawidzić. Jednak strach chwycił go w żelazny uścisk, pozbawiając oddechu.

Antonow spojrzał w okno. Pomyślał, że mieszka w dziesięciomilionowym mieście i właśnie umiera z samotności.

Część I

Obłok w spodniach[1]

Moskwa,

1 czerwca 1979

Od rana nad Moskwą zawisł upał, który odbierał myślom lekkość, czyniąc umysł powolnym i ociężałym, niczym wół na afrykańskiej sawannie. Olga Lwowna wyjęła z ust kostkę lodu i przetarła nią skronie i szyję. Mały wiatraczek ustawiony na lodówce mełł gorące powietrze, nie przynosząc ulgi. Kobieta włączyła przenośne radio. Mucha chodziła leniwie po rozgrzanej szybie. Olga Lwowna machnęła ścierką. Mucha ociężale poderwała się do lotu i próbowała wydostać się na zewnątrz. Kobieta z wysiłkiem otworzyła zacinające się okno. Uderzyła w nią fala dusznego powietrza, które w mgnieniu oka osuszyło chłodne kropelki na jej skroniach.

– Życzenia dla naszych maluchów w dniu ich święta – przypominał spiker. Po czym z radia popłynęła piosenka z kreskówki *Czeburaszka*.

Olga Lwowna zgasiała palnik pod stalowym czajnikiem, z którego cienkiej szyjki zaczęła wydobywać się para, dodając ciasnemu pomieszczeniu iście tropikalnej wilgotności.

– Oleg! – zawołała. – Śniadanie gotowe.

Przez chwilę nasłuchiwała, czy usłyszy reakcję syna. Z westchnieniem, przypomniawszy sobie, że chłopiec zaczyna dziś zajęcia o późniejszej godzinie, opuściła kuchnię i weszła do jego pokoju. Czternastolatek spał na brzuchu, zwinąwszy pod siebie całe prześcieradło, które w upalne noce zastępowało mu kołdrę. Matka usiadła na skraju łóżka i spoglądała na niego w milczeniu. Potem powiodła wzrokiem po pokoju, w którym panował nieład. Jej spojrzenie zatrzymało się na stoliku z szachownicą, obok której leżał zeszyt. Sięgnęła po niego i przekartkowała. Na każdej stronie były bardzo starannie zapisane szachowe debiuty i warianty. Zdziwiły ją dokładność i pietyzm, z jakimi syn sporządzał notatki. Znając jego niechlujnie prowadzone zeszyty szkolne, spodziewała się, że podobny brak porządku znajdzie w szachowych zapiskach. Był niecierpliwy i zazwyczaj szybko się nużył, ale tym razem wytrzymał już cztery lata i nadal miał chęć do gry. Odłożyła zeszyt na miejsce. Pozbierała ubrania syna z podłogi i układając je na krześle, przyjrzała się zdjęciu męża, które stało na półce. Fotografia przedstawiała Igora Antonowa siedzącego w narożniku ringu, w podkoszulku, z rękami wspartymi o liny. Wzięła ją na chwilę w dłonie, opuszkami palców pogłaskała szkielek. Trudno odgadnąć, dlaczego spośród wielu innych zdjęć Oleg wybrał właśnie to. Odwróciła się i napotkała jego wzrok, chłopak przyglądał jej się z zainteresowaniem.

– Śpisz czujnie jak ptak – powiedziała zmieszana, ruszając w stronę drzwi. – A czasem nie można cię dobudzić. Śniadanie gotowe – dodała nieco szorstkim tonem.

Oleg ziewnął.

– Głowa mnie boli od upału.

– Umyj się chłodną wodą! – zawołała z kuchni.

Po kilku minutach Oleg usiadł do śniadania ubrany w same spodenki gimnastyczne, z mokrą od wody twarzą.

– A ty, co? Nie wytarłeś się? – spytała Olga Lwowna.

– Tak chłodniej. Możesz mi położyć na kark wilgotną szmatkę?

Matka przyjrzała mu się i widząc, że nie wygląda najlepiej, bez słowa odkręciła kurek z zimną wodą i zmoczywszy ściereczkę, położyła synowi na ramiona.

– Uuuu, lepiej – ucieszył się, obserwując, jak kropelka ścieka mu po rękę.

– Nie spałeś w nocy?

– Upał taki, że się nie dało.

W radiu, pośród innych komunikatów, podano: „W dniu wczorajszym członkowie ekspedycji, której patronuje «Komsomolskaja Prawda», osiągnęli na nartach biegun północny”.

Oleg odkładał właśnie naczynia do zlewu. Próbował sobie wyobrazić biegun. Lejąc na dłonie zimną wodę, której temperatura była daleka od lodowatej, pomyślał o tym, jak zimno musi być na biegunie i co by było, gdyby upał znad Moskwy przenieść za pomocą gigantycznej dmuchawy nad Arktykę.

– Z okazji Dnia Dziecka mam dla ciebie mały prezent. – Matka weszła do kuchni z książką w ręce. – *Obrona Nimzowitscha* Marka Jewgienijewicza Tajmanowa.

– O rany – rzucił chłopiec. – Marzyłem o tym! Dziś już nie zdążę z niej nic przygotować. Ale będzie na następny raz.

– Wytrzymaj wpierw ręce – zwróciła mu uwagę matka. – Cieszę się, że ci się podoba. Zalałeś herbatę?

– Tak.

Oleg oglądał książkę z zachwytem i prawdziwym zainteresowaniem. Bawiło to matkę, która dziwiła się, że zapisane w linijkach symbole posunięć szachowych mogą wywoływać tak żywe emocje. Wytłumaczyła sobie jednak, że musi to być uczucie podobne do tego, kiedy rozwiązuje się skomplikowane zadanie matematyczne. Wówczas ciągi liczb i wykonywanych na nich działań potrafią mówić swoim głosem niczym najbardziej frapująca opowieść.

– Organizuję dziś w szkole konkurs z okazji Dnia Dziecka – odezwała się. – Przygotowałam dla uczniów zagadki matematyczne.

– My mamy dzień sportu. Dobrze, że nie chodzę do twojej szkoły. – Zaśmiał się, nie odrywając oczu od książki.

Olga Lwowna pociągnęła łyk herbaty, przez chwilę błądziła myślami wokół

konkursu. Wyjęła notes i przyjrzała się swoim notatkom. Miała bardzo staranny charakter pisma.

– Nie wiem, czy nie za trudne – powiedziała, spoglądając na syna.

– Dawaj, spróbuję – mruknął Oleg, popijając herbatę i studiując otrzymaną książkę.

Przewróciła kilka stron w poszukiwaniu właściwej zagadki.

– Mm, no weźmy takie. Nie za łatwe, nie za trudne. Gotowy?

– Czytaj – poprosił Oleg, nadal nie odrywając wzroku od *Obrony Nimzowitscha* i uśmiechając się do siebie na widok ciekawej ofiary pionka w wariacie Rubinsteina.

Olga Lwowna pokiwała głową z pobłażaniem, po czym zaczęła czytać:

– Na spotkanie przyszli goście, którzy się wcześniej nie znali. Każdy z nich podał rękę drugiemu i żaden z nich nie podawał ręki dwa razy tej samej osobie. Łącznie było sześćdziesiąt sześć uściśnień dłoni. Ile osób przyszło na przyjęcie?

Oleg ziewnął, na chwilę odłożył książkę. Oparł głowę na dłoni i zaczął liczyć w myślach. Matka przypatrywała mu się z zainteresowaniem.

– Wychodzi mi dwanaście.

Olga Lwowna przygryzła wargi. Jej oczy rozjaśnił blask.

– Prawidłowa odpowiedź – potwierdziła. – Szybko ci poszło. Może za łatwe. Jak to policzyłeś?

– Widziałem te osoby, więc je policzyłem. Sam sobie ręki nie podaję. Jeśli jedna osoba uściśnie rękę drugiej, to zarazem ta druga podała rękę tej pierwszej. Czyli liczbę, której szukam, mnożę przez tę liczbę minus jeden i dzielę przez dwa, a to ma mi dać sześćdziesiąt sześć.

Olga Lwowna próbowała nadażyć za wyjaśnieniami syna. Kiwała głową, robiąc ołówkiem obliczenia na kartce.

– Doskonale – skwitowała po chwili, przenosząc przenikliwe spojrzenie znad notesu na syna. – Zobaczymy, jak pójdzie innym.

Wstała od stołu. Wsadziła notes do torby, zapięła ją dziarskim ruchem. Poprawiła na sobie ubranie i ruszyła w stronę przedpokoju.

– Widziałeś tych ludzi w wyobraźni? – spytała, stając w drzwiach i odwracając się do syna.

– Tak, ale nie twarze – odparł, ziewając. – Postawiłem ich sobie na szachownicy i zacząłem porządkować.

– Aha. – Olga Lwowna pokiwała głową, starając się zrozumieć, na czym mogło polegać to porządkowanie. – To po szkole wracasz jeszcze? – dodała z przedpokoju, wkładając buty.

– Tak, przyjdę na obiad, bo potem mogę już utknąć do wieczora.

– Z kim jest ta symultana?

– Nie wiem. Nie miałem jak zapytać Wiaczesława Piotrowicza. A może pytałem, a on specjalnie nie powiedział z kim? Nie pamiętam. Ale na pewno jakiś arcymistrz. Niespodzianka.

– Zadzwoń do dziadka Lowy, będzie dumny, że grasz z arcymistrzem.

– Zadzwonię, jak wygram – oświadczył Oleg, mocząc ponownie ściereczkę, którą zdjął z ramion. – Sama gra to żaden powód do dumy.

– W garnku masz barszcz. Nie zachlap mi podłogi. Podgrzej go, a nie tak jak ostatnio, nie dość, że jadłeś zimny, to w dodatku nie chciało ci się nawet przelać go do talerza.

– Chciało, tylko czasu nie miałem.

– To teraz znajdź, bo wieczorem znów będzie cię boleć głowa. W lodówce masz bitki wołowe, już w sosie. Podgrzej w garnku, tylko nie przypal. Idę. Powodzenia i nie przejmuj się porażką, to w końcu arcymistrz.

Oleg mruknął pod nosem, że podgrzewanie jedzenia w taki upał to głupota. Wziął z powrotem do ręki książkę Tajmanowa, dopił herbatę i położył się do łóżka, by leżąc na brzuchu, przeglądać warianty.

Pierwszego czerwca, w czasie gdy amerykański pretendent, geniusz szachów Robert Zimmerman gromił radzieckich arcymistrzów, obrońca tytułu, mistrz świata Tigran Wartanowicz Gurgienidze miał odwiedzić jeden z moskiewskich klubów szachowych, żeby z okazji Dnia Dziecka rozegrać symultaną z młodymi adeptami. W obliczu zbliżającego się meczu w obronie tytułu była to strata czasu, ale spotkania z młodzieżą stanowiły część zadań nałożonych na niego przez Sportkomitet. Mistrz powoli tracił cierpliwość do takich imprez. Czuł, że nie ma już zdrowia, by godzinami wystawać przy szachownicach, bo chcą się z nim zmierzyć pionierzy, podekscytowani robotnicy podczas wizyt w zakładach pracy czy ambitni działacze w lokalnych biurach partii. Ostatnie problemy z prostatą sprawiły, że łatwo łapał infekcje pęcherza, był więc często podenerwowany, szczególnie kiedy nie mógł skupić się nad szachownicą, bo nie potrafił przestać myśleć o szczypiącym bólu i ciągłym uczuciu parcia.

Dom kultury przy prospekcie Komsomolskim znajdował się na tyłach okazałego budynku z lat pięćdziesiątych. Wśród wielu sekcji, których nazwy widniały na tablicy umieszczonej przy monumentalnych schodach, pokrytych przypominającą granit szarą wylewką, była sekcja szachowa. Prowadził ją Wiaczesław Piotrowicz Janowski, mistrz międzynarodowy. Janowski, w sześćdziesiątym ósmym uczestnik finałów mistrzostw Związku Radzieckiego, był niegdyś całkiem dobrym trenerem, ale odkąd popadł w alkoholizm, jedynym miejscem, gdzie mógł się zajmować szachami, była skromna sekcja szachowa w domu kultury. Lecz również tam niewiele brakowało, by z powodu kłótni z dyrektorką Jeleną Siergiejewną, która

zwróciła mu uwagę, że regularnie czuć od niego alkohol, wyrzucono go na bruk.

– Zioniecie spirytusem jak gorzelnia! – krzyczała na niego, łypiąc groźnie spoza grubych okularów. – Nie będę tego tolerować. Co to, to nie!

– A jak mam nie zionąć, skoro ból nie do wytrzymania i pić trzeba, żeby dotrwać do rana – bronił się Wiaczesław Piotrowicz. – A potem lęk i drżenie, więc nie można nie wypić małego klina. No i czuć dlatego, oczywista sprawa – mówił, wierząc, że z tak logiczną argumentacją nie ma co dyskutować.

– Więc jeszcze bezczelnie się przyznajecie do pijaństwa? – atakowała dyrektorka.

– A jakże mam nie pić, Jeleno Siergiejewna? Boże mój, cały kraj pije, to co ja, inny? Przecież mówię, ból i lęk, i żal niewysłowiony...

– Partia wciąż apeluje o trzeźwość. A wy pracujecie z dziećmi, jaki dajecie przykład? – Jelena Siergiejewna aż dygotała ze złości. – Nic mnie nie obchodzą wasze bóle, wasze kliny, wasze lęki.

– Toś nie kobieta rosyjska, ale ścierwo nieczułe – rzucił jej z pogardliwym spojrzeniem i trzasnął za sobą drzwiami.

I wydawało się, że wraz z tym trzaśnięciem zamknął sobie na dobre dostęp do sekcji szachowej w domu kultury przy prospekcie Komsomolskim. Zdarzyło się jednak przypadkiem, że na stacji metra Kropotinskaja spotkał się z dawnym przyjacielem – trenerem kadry młodzieżowej Związku Radzieckiego, Aleksandrem Władimirowiczem Zwieriewem. W wyniku spotkania Zwieriew, zamiast wsiąść do metra w kierunku Sokolnik, udał się do ciasnego mieszkania Janowskiego, w którym przyjaciel mieszkał ze zniedołężnią matką. Grali w blitza [2], pili stoliczną, a gdy tej zabrakło – myśliwską, roztkliwiając się nad swoim niespełnieniem, bólem i przygniatającą tęsknotą. Od słowa do słowa, Janowski, kiedy już powspominał ze łzami w oczach, jak to w sześćdziesiątym ósmym był bliski wygrania turnieju w Doniecku, opowiedział przyjacielowi, jak po pijanemu nazwał Jelenę Siergiejewną ścierwem nieczułym. Na co Zwieriew, obejmując „mordę najczystsza”, jak nazwał Janowskiego, powiedział, że Bóg zsyła mu go jako anioła, bo troszczy się o upadłego syna marnotrawnego.

– Otóż, mordo moja najczystsza – zagaił Zwieriew – te gnidy ze Sportkomitetu mówią do mnie: „Zwieriew, zorganizujcie na Dzień Dziecka symultane dla mistrza świata, prasy i pionierów”. No co, mordo, mordeczko najczystsza, rozumiesz już? Dasz tej swojej wrednej, jak o niej powiedziałaś?

– „Ścierwo nieczułe”.

– Dasz jej piękną imprezę z telewizją i prasą. Aż się babsku w głowie od tego zakręci.

I tak gadali do północy. Zwieriew zadzwonił do swojej żony, Wiery Konstantinowny. Przepraszał, bełkocząc, że „stary przyjaciel”, że „misja”, że „ścierwo nieczułe” trzeba udobruchać. Wiera Konstantinowna trzasnęła

słuchawką.

Nazajutrz Janowski, ubrany w garnitur i białą koszulę, udał się z goździkami w ręce do domu kultury przy prospekcie Komsomolskim.

– No, ścierwo to bym wybaczyła, ale że „nieczułe”? – Jelena Siergiejewna nie dawała się przejednać. – Co wy sobie wyobrażacie? Co o mnie możecie wiedzieć, Wiaczesławie Piotrowiczu, żeby mówić „nieczuła”? Że niby nie mam serca? Że niby uczuć nie mam? To wiedzcie, że czuć mogę wiele. Ale żaden taki porządny się nie trafił, który by to docenił, ot co.

A Wiaczesław Piotrowicz chwycił jej dłoń, przycisnął do ust i szepnął pełen pasji: „Bo ich onieśmielasz, Jeleno, onieśmielasz swoją kobiecością”. Spoglądała na niego rozmarzona, gdy wychodził z jej gabinetu.

Tak doszło do wizyty Tigrana Wartanowicza Gurgenidzego w mało znanej sekcji szachowej domu kultury przy prospekcie Komsomolskim.

– Drogi towarzyszu sekretarzu! – zakrzyknęła piskliwym głosem Jelena Siergiejewna. Z powodu tremy pomyliły jej się wyuczone na pamięć przemówienia i zaczęła od tego, które wygłaszała dwa lata wcześniej na powitanie sekretarza Miejskiego Wydziału do spraw Młodzieży. Zaraz jednak dostrzegła pewną konsternację na twarzach zgromadzonych gości i na jednym oddechu zaczęła od nowa: – W naszym domu kultury gościmy dziś wielkiego szachistę, mistrza świata Tigrana Wartanowicza Gurgenidzego, który zgodził się rozegrać z naszymi młodymi zdolnymi pionierami symultane szachową. – Spojrzała w stronę gości siedzących w rzędach. – Za chwilę, po występie naszego zespołu artystycznego, rozpoczniemy grę na dwudziestu czterech szachownicach, na których przeciwko mistrzowi zagrają uczniowie oraz pedagodzy naszego domu kultury. Najpierw jednak dla naszego wspaniałego gościa dziewczynki i chłopcy z sekcji tanecznej odtańczą układ przygotowany specjalnie na dzisiejszy wieczór.

– Czekaj no – szepnął do siebie Oleg, wyciągając szyję, by lepiej widzieć mistrza. – Już ja cię ogram, sukinsynu!

Dziewczynki i chłopcy przebrani w stroje ludowe rozpoczęli taniec przy dźwiękach bałałajek. Podczas ich występu Gurgenidze ukradkiem zerknął na zegarek i próbował przypomnieć sobie, którądy można dojść do toalety. Pomyślał, że dobrze byłoby nauczyć się zasypiać z otwartymi oczami albo chociaż nosić ciemne okulary, by podczas takich bzdurnych imprez móc ucinąć sobie drzemkę.

Jeśli łazienka nie będzie daleko, uspokajał się w duchu, mógłbym też wychodzić podczas gry. Koszula lepiła mu się do ciała i miał ochotę odetchnąć gdzieś z dala od tłumu gapiów. Ale pracująca kamera telewizyjna dyscyplinowała go, i z pobłażliwym uśmiechem dawał się filmować operatorowi.

Oleg przymrużył oczy, chcąc lepiej zobaczyć mistrza, który z filiżanką herbaty, trzymaną w ręce i opartą na wysuniętym ponad paskiem od spodni brzuchu, przyglądał się spod czarnych krzaczastych brwi śpiewającej przed nim grupie

pionierów.

Gurgenidze myślał o kieliszku lub dwóch, a może nawet trzech, armeńskiego koniaku, który obiecał sobie wypić, gdy tylko skończy się ten cały cyrk. Sala kolumnowa domu kultury była wysoka, co przypomniało mu, jak kilka lat temu, podczas rozgrywania partii w finale meczów pretendentów, pod sufit podobnie wysokiej sali dostał się ptak. Robił taki hałas, że nie można się było skupić na grze. Ale to był dobry znak. Partia wydawała się niemal przegrana, lecz historia z ptakiem tak rozstroiła jego przeciwnika, że udało się ją zremisować.

Oleg nie odrywał wzroku od mistrza. Chłonał każdy jego gest. Chłopca nie opuszczała pewność siebie, pewność, która pozwalała mu wierzyć, że coś się musi wydarzyć, że los nieprzypadkowo postawił na jego drodze samego mistrza świata. Wróciły wszystkie dziecięce marzenia. Od kiedy dziadek Lowa nauczył go grać w szachy, marzył, że osiągnie coś wielkiego. Wyobrażał sobie te sceny w salach koncertowych lub teatrach, na których obaj wielcy mistrzowie, oglądani przez tłumnie zgromadzoną publiczność, toczą bój o szachową koronę. Te obrazy budziły w nim dreszcz emocji. Nie odnosił dotąd sukcesów. Po czterech latach uczestniczenia w moskiewskich rozgrywkach udało mu się uzyskać pierwszą kategorię, lecz to nie znaczyło nic, to był dopiero przedsiónek prawdziwej gry. I o wstępie na te wielkie szachowe salony na razie mógł tylko śnić. Oczywiście, gra podczas symultany, pośród innych amatorów, nawet z mistrzem świata, nie była jeszcze tym wymarzonym pojedynkiem, którego pragnął, ale mistrz świata był jeden, jedyny, najlepszy, wyjątkowy... I teraz, za kilka chwil, on, młody szachista z sekcji domu kultury przy prospekcie Komsomolskim, będzie mógł spróbować swoich sił w partii z najlepszym szachistą planety.

Szybko wygrać i jechać już stąd, obiecał sobie Gurgenidze, wstając ciężko z krzesła i bijąc brawo młodym artystom. Operator kamery przepchnął się do mistrza, który powolnym krokiem zbliżył się do pierwszej szachownicy. Jelena Siergiejewna stała obok niego, wdzięcząc się swoimi mocno pomalowanymi na niebiesko oczami, które zza okularów wydawały się wielkie niczym wytrzeszczone ślepią lemura.

Seans gry jednoczesnej na dwudziestu czterech szachownicach rozpoczął się o osiemnastej. Mistrz podchodził do każdego stolika, przy którym siedział jego przeciwnik, witał się dość niedbałym i obojętnym gestem, po czym wykonywał ruch i przesuwał się do następnego gracza.

Zanim Oleg podał rękę Gurgenidzemu, ukradkiem sprawdził, czy nie jest wilgotna. Nie chciał pokazać lęku i starał się śmiało patrzeć w oczy mistrzowi świata, by dać mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru pokornie przegrać. Ale Gurgenidze nawet na niego nie spojrzał, tylko bez odrywania wzroku od szachownicy wyciągnął szybko dłoń, drugą już wykonując ruch pionem królowej.

Mistrz rozgrywał szybko debiuty, starając się pozostawić swoim przeciwnikom jak najmniej czasu do namysłu. Wiedział, że w tej części partii kilku z nich może

popęłnić błędy, które zagwarantują mu proste wygrane. W ciągu pierwszej godziny poddało się siedmiu graczy. W ciągu następnej – kolejnych dziewięciu. Pod koniec trzeciej godziny zostało trzech. Gracze z pierwszej i trzeciej szachownicy oraz chłopiec na dwudziestej drugiej. Gurgenidze podszedł ciężkim krokiem do pierwszego stolika. Był zły. Liczył, że co najmniej od godziny będzie w domu. Oceniał pozycję i choć jego figury stały nieznacznie lepiej, po ponownym przeliczeniu wariantów doszedł do wniosku, że do ustawienia wygranej końcówki może upłynąć sporo czasu, a to oznacza zmarnowany wieczór. Zaproponował remis, co wywołało ogromną radość u szczupłego studenta w okularach w rogowej oprawce, który od trzech lat był najlepszym graczem sekcji, w randze kandydata na mistrza. Na trzeciej szachownicy widać było szybki koniec. Gurgenidze ucieszył się, bo jego rywal pod wpływem rozczarowania błędem, jaki popełnił, a może też zbity z tropu niesmakiem, jaki odmalował się na twarzy mistrza, poddał partię. Gurgenidze podszedł do dwudziestej drugiej szachownicy, zastanawiając się, czy ma w lodówce kurę, bo wzięła go ogromna ochota na lekko zarumienione, miękkie, polane sosem *saciwi*. Przyjrzał się pozycji, potem spojrzął na chłopca, który z wypiekami na twarzy, ze szklistym, nieobecny wzrokiem nachylał się w ogromnym skupieniu nad szachownicą, i westchnął w głębi ducha.

– Przynieście mi krzesło – zwrócił się do najbliższego stojącego widza.

Zapalił papierosa. Usiadł, powoli pochylił się nad pozycją i zaczął ją oceniać. Chłopiec właśnie pozbawiał go spokojnego wieczoru z dobrą kolacją, a czuł już prawdziwy głód na myśl, że będzie przygotowywał sos z orzechami, cebulą, czosnkiem i octem winnym. Ale po chwili analizy Gurgenidze zrozumiał, że ta partia może być warta kolacji. Pozycja powstała na szachownicy była czymś, czego w całej swojej długoletniej karierze dotąd nie widział. Zaciągnął się głęboko dymem, starając się uzyskać maksimum koncentracji i wyciszyć myśli. Jednocześnie jednak poczuł rodzaj intelektualnej ekscytacji.

Przez otwarte okna wślizgiwał się delikatny powiew wieczornego, chłodniejszego powietrza, które przynosiło ulgę. Być może zbierało się na burzę.

Nareszcie, pomyślał Zwieriew, siedząc w kącie sali i z daleka obserwując ciemne niebo, na którego błękitną przestrzeń poczęły wpływać ciemnoszare okręty obłoków. Nawet przelotny deszcz byłby wybawieniem. Choć taki chwilowy mógłby uczynić powietrze jeszcze bardziej parnym. Co się tam dzieje? Zaintrygowało go, że Stary, zamiast kończyć seans, rozsiadał się na krześle naprzeciwko jakiegoś pioniera. Podniósł się ciężko i ruszył, żeby sprawdzić, co zmusiło mistrza świata do takiego zachowania.

Dla tych, którzy choć trochę znali się na szachach, było jasne, że na dwudziestej drugiej szachownicy dzieją się rzeczy niezwykle. Chłopiec zamknął własną wieżę w pułapce strzeżonej przez białego gońca i pionka Gurgenidzego po to, by móc swobodnie toczyć pojedynkę trzema wolnymi pionami z białą wieżą przeciwnika. Śmiałość tej idei była tak oryginalna, że mistrz zrozumiał, iż gra z

kimś obdarzonym szachową intuicją, dużą wyobraźnią i wiarą we własne umiejętności. Minęło ponad pół godziny, zanim Gurgenie wykonał swoje kolejne posunięcie. Widzowie wokół szachownicy wstrzymali oddech. Pionier odpowiedział błyskawicznie. Wokół rozległ się szmer rozczarowania. Chłopiec poświęcał jeden ze swoich trzech pionów, co powszechnie zostało odebrane jako błąd. Ale właśnie w tym momencie Zwieriew poczuł dreszcz, który był niczym znak dla Symeona, gdy przeszła obok niego matka z dzieckiem na ręce. Natychmiast pojął, że młokos dyktuje warunki mistrzowi świata i nie ma zamiaru pogodzić się z myślą o remisie, który byłby przez mistrza niechybnie przyjęty. Nie było w jego posunięciach nic z kunktatorstwa, nieśmiałości czy lęku, przeciwnie – to była czysta brawura. Zwieriew obliznął zaschnięte od upału usta. Wyglądało na to, że Gurgenie delectuje się postawionym przed nim intelektualnym zadaniem. Mistrz strzepnął spokojnie popiół z papierosa i znów głęboko zadumał się nad pozycją. Dochodziła dziesiąta, kiedy wykonał swoją wieżę posunięcie dające mu remis i z triumfem spojrzał na chłopca. Ten przygryzł wargi i odchylił się na krześle. Na jego twarzy malował się rodzaj uniesienia, zawierającego w sobie zarówno ekscytację, jak i ogromny ładunek bolesnego rozczarowania.

– No cóż, remis – rzekł filozoficznym tonem Gurgenie, wyciągając do chłopca rękę i powstając z krzesła. Nie miał ochoty na analizowanie partii wśród tłumu gapiów. Poczuł się zmęczony. Czekająca go walka w obronie mistrzowskiego tytułu, tymczasem nie mógł pokonać kilkunastoletniego pioniera w białej koszuli i idiotycznej czerwonej chuście na szyi. Podszedł do stojącego obok Zwieriewa i szepnął:

– Chcę mieć zapis tej partii.

Zwieriew przyglądał się pozycji, wciąż licząc warianty. Jego oczy błyszcząły z radości.

– Jak ci na imię? – zwrócił się do pioniera, który siedział pogrążony we własnych myślach.

– Oleg Igorowicz Antonow – odpowiedział chłopiec.

– Ciekawa końcówka. – Zwieriew się uśmiechnął. – Bardzo ciekawa. Ale nie było drogi do wygranej. Choć czujesz rozczarowanie, wiedz, że zrobiłeś wszystko, co było możliwe. Spiszesz mi posunięcia?

Oleg wracał do domu z gorączką. Matka zrobiła mu kolację, ale nic nie zjadłszy, położył się spać. Olga Lwowna nie pytała o wynik. Widząc roztargnione spojrzenie syna, była pewna, że przegrał.

W nocy spadł gwałtowny deszcz, który niczym orkiestra symfoniczna uderzył z siłą w kotły, zagrzmiął sekcją dętą, rozwinął przenikliwie i gwałtownie szybkie partie strunowe, poczynając od staccato i stopniowo przedłużając dźwięki, by równie szybko i gwałtownie zamilknąć, pozostawiając po sobie jedynie niepowtarzalny zapach, który wzbudził w Oldze Lwownie tęskny ucisk w piersiach. To był zapach czerwcowej Moskwy, pełnej sprzeczności, wielkiej i

surowej, a jednocześnie promieniującej domowym ciepłem, duszącej potęgą i uwodzącej delikatną, orzeźwiającą nutą miłości i marzeń, alkoholowego upadku i artystycznych uniesień. Leżąc w pościeli, Olga Lwowna wdychała ten zapach, a po jej policzkach ciekły łzy.

– Dziś sobota. Chcę, żebyś został w domu – odezwała się, gdy o poranku Oleg wszedł do kuchni. – Dużo cię to wszystko wczoraj kosztowało. Powinieneś odpocząć.

Oleg usiadł obok niej przy stole.

– Nienawidzę rozczarowań – mruknął.

– Nie rozumiem tej gry, więc nie jestem w stanie ci pomóc. Mogę sobie tylko wyobrażać, co czuje się po porażce. Ale nie chcę, byś rzucał wszystko po pierwszym niepowodzeniu. Ojciec marzył, żebyś grał w szachy. Z podziwem patrzył na wielkich szachistów, takich jak Spasski czy Tal. Szachy rozwijają umysł, a może, jak twierdzi dziadek Lowa, po prostu pozwalają melancholijnie zatopić się w ich nierzeczywistym świecie... Nie wiem.

– Czasem czuję, jakby do mnie przemawiały – wyznał chłopiec. – Jakby ożywały w moich palcach, ale głupio mi o tym mówić. Niekiedy tworzą w mojej głowie obrazy, które nie wiem, skąd się biorą. Jestem bardzo zmęczony.

Po wyjściu matki Oleg wrócił do końcówki partii. Nie mógł się pozbyć dręczącego go uczucia, że gdzieś przeoczył drogę do wygranej. Kiedy zdał sobie sprawę, że zapewne stracił szansę na sławę, na jedyny w życiu triumf nad mistrzem świata, wstał, otworzył okno i wyrzucił przez nie szachownicę, obiecując sobie, że nigdy więcej nie będzie tracił życia na takie bzdury. Gdy złość mu przeszła, zbiegł szukać szachów, ale znalazł zaledwie kilka figur i połamaną drewnianą deskę. Ukrył je w obawie przed matką.

Trzy dni później do Olgi Lwowny przyszedł list z centralnego szachowego klubu Moskwy, w którym było zaproszenie dla Olega. Szkolenie dla juniorów prowadził tam Aleksander Władimirowicz Zwieriew. Kiedy Olga Lwowna wbiegła z wiadomością do pokoju syna, ten montował z „Konstruktora” most do kolejki Piko.

– Nie będę grał – oznajmił na wieść o zaproszeniu.

– Co ty mówisz?

– Nie chcę już grać – upierał się, nie przerywając wkręcania śrubek. – Nie będę tracił życia na takie bzdury. Wyrzuciłem szachownicę.

– To nowej nie dostaniesz. – Olga Lwowna poczerwieniała ze złości. – Nauczysz się szanować przedmioty. Nie jesteś już małym chłopcem!

Następnego dnia Oleg wklejał rysunki figur szachowych do kapsli po piwie. Przyjaciel ze szkoły Andriej Grotow, który wpadł do niego, zaproponował mu kapsle po coca-coli w zamian za zdjęcie Sophii Loren z albumu o historii kina. Ojciec Andrieja, Giennadij Artiomowicz Grotow, był pułkownikiem lotnictwa i u

Andrieja na urodzinach można było wypić coca-cole. A czasem, kiedy nikogo nie było w domu, włamywali się z Andriejem do barku i próbowali martini lub francuskich koniaków. Oleg podziwiał ojca Andrieja, jego mundur oraz sposób mówienia: opinie, wygłaszane spokojnym niskim tonem, były zawsze wyważone. Imponował mu także jego wzrost. Myślał, że z takim ojcem Andriej musi czuć się bezpiecznie.

– A co tam u ciebie, Oleg? – spytał go kiedyś pułkownik, pijąc herbatę ze szklanki. – Andriej mówił, że grasz w szachy.

– Gram, ostatnio zremisowałem z mistrzem świata. Wprawdzie to tylko symultana, ale zawsze coś.

– Jasne, że tak. Mistrz świata to mistrz świata.

Mówił krótkimi zdaniami i to dla Olega było takie męskie. Czuł, że pułkownik Grotow jest zdobywcą. Jego żona, matka Andrieja, wydawała się Olegowi bardzo atrakcyjną kobietą. Kilka lat temu, kiedy był w pierwszej czy drugiej klasie, fantazjował erotycznie na jej temat.

Oleg spojrzał na Andrieja oglądającego kapsle niczym wprawny zegarmistrz.

– Zostaw sobie kilka, to zagramy w „Korki”.

Andriej imponował Olegowi, który uważał, że przyjaciel zawsze wie, co należy zrobić, ma styl i na mur zajdzie wysoko. Andriej miał też klawe rzeczy, na przykład takie jak półkolarka, o której on czy Fiedka Radulin mogli jedynie pomarzyć. W każdym wyścigu Andriej wyprzedzał ich o kilkanaście metrów. Za to Fiedka był najsilniejszy. Niski, mocno zbudowany, dużo ćwiczył z ciężarkami. Ojciec zapisał go na zapasy. Fiedka marzył, by zostać podwodniakiem.

– Fiedka, a jak łódź zacznie przeciekać? Co wtedy? Czy podwodniacy mają butle tlenowe, żeby się wydostać z głębiny? – zapytał go kiedyś Andriej.

– Teraz łodzie nie przeciekają – odrzekł spokojnym głosem Fiedka, pociągając z butelki łyk piwa. – Mamy najlepsze okręty podwodne na świecie.

– Mimo wszystko mnie by wzięła ta, no, klaustrofobia – stwierdził ze sceptyczną miną Andriej, przejmując od Fiedki butelkę. – Ja lubię przestrzeń, świat, powietrze. Gdybyś został znanym szachistą – zwrócił się do Olega – to mógłbyś grać na całym świecie, co?

– Mógłbym – przytaknął Oleg.

– Chciałbym pojechać do Ameryki – rzucił z rozmarzeniem Andriej.

– A ja zobaczyć Machu Picchu – wypalił bez zastanowienia Oleg. – Czytałem o tym w encyklopedii Prochorowa.

– Co to takiego? – zainteresował się Fiedka.

– Miasto w Peru, wysoko w górach, prawie dosięga chmur. – Oleg się rozmarzył. – Myślisz, że takie rzeczy można sobie wyśnić? Jak czegoś bardzo chcesz, to to się stanie?

– Szczerze mówiąc, nie – zaprzeczył zdecydowanym tonem Andriej. Pociągnął spory łyk piwa i wytarł usta rękawem. – Marzyłem rok temu, żeby ta nowa od angielskiego pokazała mi cycki i nic.

– Może nie dałeś jej szansy, niby jak to miała zrobić? – skomentował Oleg, który nie znał tego marzenia kolegi.

– No coś ty – obruszył się Andriej. – Na koniec roku zaniósłem jej do mieszkania ten wielki kaktus, co to się tak martwiła, że przez wakacje uschnie. Byliśmy sami: ona, ja i kaktus. I nic. Wyciągam z torby colę i mówię: „Macie lód, Natalio Piotrowna? Jakoś gorąco, może się ochłodzimy colą z lodem?”. I zanim zaprotestowała, wyjąłem lód z zamrażalnika, wrzuciłem do szklanek, zalałem colą i... Uważajcie teraz: ściągam koszulkę, przykładam sobie kostkę lodu do karku, do piersi i mówię do niej: „Super tak się ochłodzić, polecam”.

– I...? – Fiedka ożywił się na dobre.

– „Grotow – mówi do mnie – dziękuję za przyniesienie kaktusa. A teraz musisz już sobie iść”. Ja na to, że wcale nie muszę, a ona, żebym już sobie poszedł, bo ma inne sprawy na głowie. No to pytam, jakie ma sprawy na głowie, skoro zaczęły się wakacje. Nie odpowiedziała, tylko otworzyła mi drzwi i kazała iść precz.

– No tak – westchnął Oleg. Miał wrażenie, że po opowieści Andrieja, dowodzącej, że marzenia się tak łatwo nie spełniają, Machu Picchu oddaliło się od niego bezpowrotnie. – Ale przynajmniej próbowałeś. Jutro jadę do nowego klubu. Może powiedzie mi się lepiej niż tobie z Natalią Piotrowną.

– Myślę, że po moim wyjściu ona ten lód sobie... Ech, w dupę kopane – przeklął ze złością Andriej. – Daj jeszcze łyka. – Wyciągnął rękę po krążącą między nimi butelkę.

Gdy koledzy poszli do swoich domów, Oleg długo klęczał na łóżku przy oknie i z głową wychyloną za parapet spoglądał na ulicę szykującą się do snu. Przypatrywał się światłom w oknach sąsiednich bloków, starając się wyobrazić sobie, czy ktoś z ludzi żyjących w tych mieszkaniach trafi kiedyś do encyklopedii Prochorowa, zerkał na latarnie przy drodze, których światła nadawały rosnącym obok nich drzewom fantastyczne kształty.

Centralny Moskiewski Klub Szachowy miał swoją siedzibę w gmachu przy bulwarze Gogola pod numerem czternastym. Ten zabytkowy trzypiętrowy budynek od czasu otwarcia klubu w 1956 roku był świadkiem narodzin wielu arcymistrzów. Młodemu Olegowi wydał się świątynią. Kiedy, ogarnięty treścią, przekroczył jego próg, nagle wpadł w panikę, zdając sobie sprawę, że tak naprawdę nie umie grać dobrze w szachy i że jest tylko marnym amatorem, gdy tymczasem tu, w tym budynku, grają prawdziwi arcymistrzowie.

Wszedł do sali pełnej szachownic, usiadł z boku i przyglądał się grającym zawodnikom. Po godzinie podszedł do niego Zwieriew. Przywitał się i posadził

chłopca naprzeciw młodzieńca o rudych włosach i piegowatej cerze.

– Jurij Makarow – przedstawił się rudzielec i wyciągnął rękę.

– Oleg Antonow.

– Jestem mistrzem międzynarodowym, a ty? – spytał, nakręcając zegar, Makarow.

– Ja? Ja już prawie – skłamał Oleg, czerwieniąc się.

– Trener powiedział, żebyśmy zegrali.

– No to grajmy.

– Zagramy w blitza. Zremisujesz, zagramy więcej, przegrasz, przerwiemy, bo szkoda czasu. Jakie chcesz? Białe? Zresztą nieważne, będziemy się wymieniać. Pięć minut na partię, zgoda?

– Zgoda.

I zaczęli.

– Ej, tak się nie gra – zdziwił się Makarow, widząc nieznany mu ruch skoczkiem na pole a3 w drugim posunięciu obrony sycylijskiej.

– Może – odrzekł Oleg, znowu się czerwieniąc. – To wygraj.

Makarow się zezłościł.

– A żebyś wiedział.

Ale nie wygrał ani tej, ani trzech kolejnych partii. Dopiero w piątej udało mu się pokonać Olega, który w pośpiechu przeoczył prostą kombinację przeciwnika. Mijały godziny, a oni siedzieli naprzeciw siebie pochłonięci grą. Nie zauważyli, kiedy podszedł do nich Zwieriew. Przyglądał się pojedynekowi w milczeniu. Wreszcie, widząc, że ledwo siedzą ze zmęczenia, przerwał im, zabierając zegar.

– Dosyć – rzucił szorstko. – Wystarczy.

Oleg spojrział na niego z rozżaleniem. Przegrał ostatnią partię i czuł złość. Oczy zaszyły mu łzami. Zwieriew uśmiechnął się, widząc rozpalone twarze chłopców.

– Dzwoniła twoja matka – odezwał się do Olega. – Obiecałem jej, że cię odwiozę. Nigdy nie zostajemy do tak późnej pory. Jura – zwrócił się do Makarowa – ojciec czeka na dole. Jaki był wynik? – rzucił przez ramię, jakby od niechcenia.

– Jedenaście do dziewięciu dla niego – szepnął ze wstydem Antonow.

Zwieriew odwrócił głowę, by ukryć uśmiech. Jurij Makarow był mistrzem Moskwy juniorów.

– Które partie przegrałeś? – spytał Olega w drodze do metra.

– W piątej przegapiłem proste bicie, w szóstej przekroczyłem czas w końcówce wieżowej przy trzech pionach. Potem w dziewiątej wpadłem w pułapkę w obronie słowiańskiej, w wariacie, którego nie znałem. Makarow poświęcił dwa piony w zamian za atak na skrzydło królewskim. W dziesiątej znowu, bo... – wymieniał po

kolei wszystkie przegrane partie, dokładnie opisując przyczyny swoich porażek.

– I boli, że przegrałeś? – dążył Zwieriew, z trudem powstrzymując rozbawienie.

– Bardzo. Wiadomo. Co ma nie boleć?

– To bardzo dobrze. Bardzo dobrze. Musi boleć. Tylko wtedy chcesz wygrywać, masz motywację. Żeby więcej nie bolało.

Jechali metrem w milczeniu. Oleg analizował w myślach rozegrane przez siebie partie. A Zwieriew zastanawiał się nad tym, co mogą wspólnie osiągnąć i co kryje się w oczach chłopca, czy jest to ten niezwykły element charyzmy, który może dać mu szansę gry o najwyższe laury, czy też nadmierna wrażliwość, która będzie ciągłym problemem i stanie się barierą dla wiary we własne umiejętności.

Wysiedli na stacji Sportiwnaja. W progu mieszkania przywitała ich Olga Lwowna.

– No, nareszcie. – Pokiwała niezadowolona głową. – Dziękuję wam, Aleksandrze Władimirowiczu, że go odwieźliście, choć protestuję i nie pochwalam godziny, o której kończycie. Lekcje pewnie nieodrobione? – zwróciła się do syna.

– Odrobione – rzucił Oleg.

– Może zjecie z nami kolację, Aleksandrze Władimirowiczu? Późno, a wy pewnie głodni?

Zwieriew się zawahał.

– Żona będzie zła. – Zaśmiał się. – Ale skorzystam z zaproszenia, będzie mi bardzo miło. Tylko pozwolicie, Olgo Lwowna, że zadzwonię do domu i uprzedzę. Żona trzyma mnie krótko.

– Jak mu szło? – spytała ukradkiem Olga Lwowna, tak żeby Oleg nie usłyszał.

Zwieriew nie odpowiedział, tylko pokiwał tajemniczo głową, po czym usiadł za stołem w salonie i chciwie słuchał opowieści o Olegu i o jego zmarłym ojcu, srebrnym medaliście olimpijskim w boksie. Chłopiec chłonał każdy szczegół, czasem coś dodawał, pokazywał trenerowi album ze zdjęciami ojca.

– A skąd imię Oleg? – zainteresował się Zwieriew.

– Miał być Aleksander, ale to nieszczęśliwe imię w rodzinie, dwóch stryjów zginęło na wojnie i baliśmy się, że ciąży nad nim klątwa.

– Ha, ha – zaśmiał się trener. – Mnie klątwa jakoś nie dotknęła.

Przez całą kolację Zwieriew baczny wzrokiem lustrował Olega i jego matkę, rozglądał się ciekawie po mieszkaniu, pytał, jak wyglądają zeszyty chłopca, jakie są jego ulubione przedmioty, co czuje, gdy gra. Jego myśli biegły znacznie dalej, niż mogła się tego domyślać Olga Lwowna.

Odprawiając gościa do drzwi, matka Olega powtórzyła pytanie:

– Czy radził sobie jakoś?

– Był w naszym klubie dopiero pierwszy raz – odpowiedział wymijająco Zwieriew.

– No tak, musi zdobyć wiedzę i doświadczenie – rzekła zadumana i zmartwiona, domyślając się, że nie było najlepiej.

– Musi pracować i tyle, a reszta... zobaczymy. Dobranoc, Olgo Lwowna. – Zwieriew pocałował kobietę w rękę. – Podrzucę mu kilka książek. Ma dobrą pamięć, potrafi liczyć warianty. Zobaczymy. Ogromnie dziękuję za przepyszną kolację.

– Dobranoc, Aleksandrze Władimirowiczu.

Moskwa czerwcową nocą wydała się Zwieriewowi pełna wewnętrznej energii, przepojona nadzieją. Jechał niemal pustym metrem. Pochłonięty własnymi myślami nie zwracał uwagi na rozświetlone stacje, na których stawał pociąg. Przypomniawszy sobie o kanapce przygotowanej przez żonę. Nie lubiła, gdy coś się marnowało. Czytając czasopismo szachowe „64”, jadł kanapkę z mielonką. Przeglądał debiutowe nowinki, starał się rozpoznać szachistów na czarno-białych fotografiach. Nie pamiętał już atmosfery wielkich turniejów. Tęsknił za nią. Wiedział, że wszystko może wrócić wraz z sukcesem ucznia, na którego tak czekał. Liczył na Makarowa. Rokował bardzo dobrze. Zdobyte mistrzostwo Moskwy juniorów młodszych stawiało go w gronie najzdolniejszych szachistów w kraju.

Może okaże się tym wymarzoną uczniem, pomyślał, przekręcając klucz w drzwiach mieszkania. W milczeniu położył się do łóżka obok obrażonej żony. A gdyby tak z nim zdobyć mistrzostwo świata? Westchnął w duchu, odwrócił się na bok i wciskając rękę pod poduszkę, oddał marzeniom.

Leningrad, 14 czerwca 1979

Kristina Michajłowna przystanęła na moście, dając grupie znak ręką, by ją otoczyła.

– Położenie Leningradu na północy Europy – zaczęła mocnym głosem – na sześćdziesiątym równoleżniku powoduje występowanie wspaniałego zjawiska białych nocy, którego uroki możecie dziś podziwiać. Słońce na przełomie wiosny i lata praktycznie nie chowa się za horyzontem. Czy ktoś z was zgadnie, ile trwa tu najdłuższy dzień w roku?

– Szesnaście godzin? – rzucił mężczyzna w rogowych kwadratowych okularach.

– Osiemnaście? – spytała tęga kobieta.

– Blisko – zachęcała Kristina Michajłowna.

– Dwadzieścia – zaproponował ktoś z grupki.

– Dziewiętnaście – zdradziła odpowiedź Kristina Michajłowna. – Dziewiętnaście godzin. Myślę, że dziś jesteśmy blisko tej właśnie długości dnia. Mamy dziesiątą wieczór, a jak widzicie, słońce nie ma zamiaru się schować. Zresztą, dziś czekają nas typowo leningradzkie wieczór i noc, gdyż o świcie będziemy podziwiać otwieranie mostów nad Newą. Mam nadzieję, że wszyscy dadzą radę, a potem przez wiele lat będziecie wspominać ten wieczór w jednym z najbardziej romantycznych miast na świecie. Tak, tak, to nie przesada. – Kristina Michajłowna zmieniła tembr głosu, który stał się teraz miękki, bardziej uduchowiony. Lubiła robić wrażenie na oprowadzanych przez siebie grupach. – Leningradzkie białe noce sławiło wielu poetów i pisarzy. Były natchnieniem dla Fiodora Dostojewskiego, który pisał: *Niebo było takie gwiazdziste, takie jasne, że spojrzawszy na nie, mimo woli trzeba było zapytać siebie: czy naprawdę pod takim niebem mogą żyć różni zagniewani i niezadowoleni ludzie?*[3]. Tak, to pięknie wyrażona myśl, która każe nam wszystkim zadać sobie pytanie, czy otaczające nas piękno czyni nas szlachetniejszymi, czy też ludzie nie potrafią wznieść się ponad swoją małość, pozbyć zawiści i zła.

Grupa turystów spoglądała na nią zmęczonymi oczami, pustym, pozbawionym refleksji wzrokiem, w którym nie było widać żadnych emocji. I Kristina Michajłowna poczuła smutek, bo w zagranicznych grupach dostrzegała zainteresowanie i radość, w rodzimych zaś jedynie apatię, znużenie i lęk przed jakąkolwiek formą ekspresji własnych emocji.

– Białe noce trwają od dwudziestego piątego maja do szesnastego lipca – kontynuowała matowym głosem. – Szczególnie pięknie prezentują się podczas tak dobrej pogody jak dzisiejszego wieczoru, kiedy leningradzkie mosty, złote kopuły i pałace okrywa ten unoszący się ponad nami kunsztowny jedwabny różowy woal. Wszystko to wygląda niczym obraz impresjonisty. Jak pisał Puszkina w *Jeźdźcu miedzianym*: *Bez lampy nocą czytam, piszę, wśród jasnej pustki nie drgnie nic, i lśni nad śpiących ulic ciszą Admiralickiej igły szpic*[4]. Taki jest nasz piękny, ukochany Leningrad...

Mężczyzna w rogowych okularach wyraźnie się ożywił, dyskretnie przysunął do Kristiny Michajłowny i szepnął jej coś do ucha. Przewodniczka przerwała swoją wypowiedź i rozejrzała się dookoła.

– Który? Ten? – spytała mężczyznę, wskazując na przechodzącego kilka metrów od nich młodzieńca, któremu towarzyszyła elegancka, starsza od niego kobieta.

Mężczyzna w rogowych okularach przytaknął. Kristina Michajłowna oceniła sceptycznym wzrokiem idącą parę, po czym zrobiła kilka dziarskich kroków i zaczęła młodzieńca:

– Przepraszam was, obywatelu, prowadzę tu wycieczkę z Nowosybirsk. Ten obywatel pyta, czy jesteście arcymistrzem szachowym.

Atak był zupełnie niespodziewany. Młodzieniec stanął jak wryty, przez chwilę

zaniemówił, po czym odrzekł, nadal zdziwiony i lekko rozbawiony sytuacją:

– Tak, jestem arcymistrzem.

– Czy w takim razie można prosić was o autograf?

Młodzieniec się zaśmiał.

– Dajcie coś do pisania, będzie autograf.

Mężczyzna w okularach podbiegł, wyciągając książkę z przewieszzonej na skoskajowej torby i podając ją usłużnie. Młodzieniec obejrzał okładkę.

– *Jak grać debiut* Suetina? No cóż, nie moja książka, ale niech będzie, choć dedykować nie mogę. Wasze nazwisko?

– Pantielejew.

– A imię?

– Dymitr Rusłanowicz.

– A w szachy gracie, Dymitrze Rusłanowiczu?

– Gram. Próbuję obronę Caro-Kann. Odkąd pokonaliście Sztejna w Rydze, bardzo mi się spodobał ten debiut.

Młodzieniec uśmiechnął się i wpisał:

Z życzeniami sukcesów w obronie Caro-Kann dla Dymitra Rusłanowicza

Anatolij Romancew

– Mój syn jest już sławny? – zwróciła się do niego towarzysząca mu kobieta, gdy znaleźli się znów sami kilka metrów od grupy turystów.

– Ojciec powiedziałały: „Na sławę trzeba czymś zasłużyć, ty, synu, jesteś co najwyżej popularny w wąskim kręgu szachistów”.

– Oj, Tola, złośliwcz. – Matka zaśmiała się wesoło. – Przystaniemy? Chcę popatrzeć na nasze miasto i na Newę.

Kobieta stanęła na moście przy barierce i spoglądała przed siebie. Różowe światło wieczoru, które mieszało się z jasnymi odbłaskami iskrzącej się srebrzyście tafli wody, rozjaśniało jej twarz, tworząc wokół aureolę. Przypominała postaci świętych kobiet z obrazów renesansowych artystów. Szczupła sylwetka, włosy upięte w kok i zwiewna sukienka sprawiały, że wyglądała bardzo młodo. Długie palce przydawały jej dłoniom wyszukanej elegancji.

– I...? – przerwał ciszę Romancew.

– O co pytasz? – szepnęła matka z uśmiechem na twarzy i przymrużonymi oczami.

– Co czujesz, patrząc na nasze miasto?

– Czuję płynącą wraz z Newą miłość. Jakby rzeka emanowała nią, a to uczucie uniosło się w górę i rozbłysło na niebie tym niezwykłym kolorytem białej nocy.

Czuję intymność, gdy rano słyszę opuszczające się nad rzeką mosty, kłaniające się słońcu lub też pełniące straż nocną, gdy przyjdzie krótki zmrok. Czuję dumę, że mieszkam tu, w największym imperium, i wiem, że cokolwiek tutaj stworzysz, będzie jak kropla, która pada na gładką taflę wody, i z falą rozejdzie się kręgiem po świecie.

Kobieta wsunęła rękę pod ramię syna i, wsparta na nim, ruszyła wolnym krokiem w kierunku Nabrzeża Dworcowskiego. Szli przez pewien czas w ciszy, delektując się spacerem w ciepły czerwcowy wieczór, kiedy nic nie mąci myśli, z pragnieniem, by zachować w sobie to uczucie spełnienia, zanim nie ustąpi ono miejsca trosce.

– Znasz mnie, nie mogłabym mieszkać nigdzie indziej – odezwała się po jakimś czasie kobieta. – Nie umiałabym nigdzie płakać tak jak tu. Nie dlatego, że jestem nieszczęśliwa, ale dlatego, że wzbiera we mnie tęsknota, ta nieodgadniona, nieznająca przedmiotu, po prostu tęsknota... I wtedy myślę, że przecież dookoła jest Rosja, jak okiem sięgnąć, od morza po zieloną tajgę, po południowe stepy i góry Kaukazu. I wiesz? Wówczas mój oddech staje się spokojniejszy, czuję, że jestem w miejscu, w którym być powinnam. I już mnie nic nie martwi. Nie martwią mnie rzeczy, o których opowiada ojciec, nie martwi mnie los przyjaciół, którzy wybrali emigrację, nie martwią mnie słowa bez znaczenia, które słyszę co dzień. Jestem z Czajkowskim, Rachmaninowem, Szostakowiczem czy Musorgskim, przenikają mnie, słyszę ich muzykę, słyszę słowa Lermontowa, Puszkina, Achmatowej i nie boję się tych starców w futrzanych czapach stojących na grobowcu jak martwe kukły. Tola, Tola, mój... – Matka pogładziła syna po włosach. – Więc mój syn jest sławny...

– „Popularny w wąskim kręgu szachistów. Szachy to smętny sport. Ale przynajmniej jeden arcymistrz jest czystej krwi Rosjaninem. Chociaż tyle”.

– Złośliwy ten mój Tola. Jutro jedziesz do Estonii, tak?

– Tak.

– Jak się tam dostaniesz?

– Pociągiem do Tallina, stamtąd zabierze mnie dalej samochód.

– Nie mają na co trwonić pieniędzy, przysyłają po ciebie samochód aż do Tallina? I co tam będziecie robić?

– Gurgenidze organizuje obóz przygotowawczy. Jesienią mecz z Zimmermanem.

– A co się robi na szachowym obozie przygotowawczym? Ta nazwa kojarzy mi się z biegami po plaży.

– No cóż, raczej trudno sobie wyobrazić Gurgenidzego, który biega w spodenkach po plaży.

Romancewa rozbawiła ta wizja i przez chwilę próbował zobaczyć w myślach mistrza świata podskakującego na piasku w stroju gimnastycznym.

– Czy to prawda, że ten Amerykanin, Zimmerman, jest nieco szalony? – ciągnęła matka, widząc, że rozmowa o szachach sprawia synowi przyjemność.

– Powiedziałbym: ekscentryczny. Tak, ekscentryczny, wiesz, typ Salvadora Dalego.

– Dlatego budzi tyle emocji?

– Myślę, że tak. Ludzie lubią dziwaków, którzy uchodzą za geniuszów. A on odpowiada ich oczekiwaniom. Poza tym to Amerykanin, a szachy to nasz sport, rosyjski. Samotnie rzucił nam wszystkim wyzwanie. Od czasów wojny wygrywamy praktycznie wszystkie olimpiady szachowe i tylko reprezentant Związku Radzieckiego był i jest mistrzem świata... A tu Amerykanin sięga po coś, co jest nasze. Uzurpator. Ale jest piekielnie dobrym graczem. Pokonał naszych arcymistrzów w meczach pretendentów do zera. Do zera! Nigdy wcześniej nie zdarzyło się coś podobnego na tym szczeblu rozgrywek. Białym i czarnym kolorem. Bez różnicy. Taka wygrana musi robić wrażenie. Sportkomitet to złości. Każdego Rosjanina złości. Dlatego ten mecz jest tak ważny dla kraju. Prasa zachodnia pisze o nim niczym o konfrontacji Chruszczowa z Kennedym podczas kryzysu kubańskiego. Pierwszy raz telewizja będzie transmitować na żywo pojedynkę szachowy.

– A ty? Co sądzisz? Czy nasz mistrz ma szansę na wygraną?

– Nie wierzę, by obronił tytuł.

– Więc kto pokona Amerykanina?

– Ja. Ja go pokonam – rzekł Romancew bardzo zdecydowanym tonem.

Szli chwilę w milczeniu. Klara Dmitrijewna poczuła się dumna z syna, z jego siły i pewności siebie, którą musiała tak mocno chronić, gdy był dzieckiem.

– Zawsze chciałam, byś został pianistą, ewentualnie dyrygentem – zwróciła się do niego ciepłym głosem. – Twój ojciec był przeciwny. Lubi przebywać wśród artystów tylko po to, by móc ich później nazywać lekkoduchami. Zresztą szachistów też nie ceni.

– Wiem, ale wcale mi to nie przeszkadza. Ja kocham szachy.

– Chodź, musimy wracać, ojciec niebawem przylatuje z Moskwy.

Przyspieszyli kroku, idąc brzegiem Newy, której tafla wciąż niczym zwierciadło oddawała niebu jego pełne kolorów oblicze.

– Posłuchaj – zwrócił się Romancew do matki. – Znasz Daszę Suworową?

– Tę aktorkę? Blond piękność z zadartym noskiem? – Matka baczным okiem spojrzała na syna. – Nie znam osobiście, ale rzecz jasna widziałam ją w kilku filmach. Czemu pytasz?

– Poznałem ją wczoraj.

– No proszę. Gdzie?

Romancew się zawahał. Dojrzał przenikliwe spojrzenie matki, ale zdecydował się mówić dalej.

– Nie były to do końca zwyczajne okoliczności i sam nie wiem, co o tym sądzić.

– Opowiedz – zainteresowała się Klara Dmitrijewna.

– Aby dać ci pełny obraz tego, jak było to dla mnie nieoczekiwane, zacznę od początku. Prosto z Szeremietiewa pojechałem do Rossji. Sportkomitet ma w niej duże zniżki, więc będąc w Moskwie, zazwyczaj nocuję w Rossji. Wziąłem prysznic, przebrałem się w szlafrok, nalałem sobie odrobinę koniaku, tak dla ukojenia nerwów po podróży. Wtem ciszę przerywa kobiecy krzyk na korytarzu. Nie wiem, czy to było wołanie, czy krzyk przerażenia. Nie zdążyłem rozeznać. Mniejsza o to. Zerwałem się z fotela i zastygłem w oczekiwaniu. Nie podbiegłem do drzwi, by nie uronić żadnego odgłosu. I nagle, co słyszę? Pukanie do mojego pokoju. W pierwszej chwili wydało mi się to złudzeniem. Ale powtórzyło się. Ktoś do mnie pukał. Podbiegam więc do drzwi, nie pytam kto, bo pomyślałem, że wyjdę na tchórza, a byłem pewien, że to ta kobieta, która krzyknęła. Otwieram, w moje ramiona faktycznie osuwa się kobieta. Przenoszę ją na łóżko. Wracam, żeby zamknąć drzwi. Rozglądam się po korytarzu, czy ktoś ją ściga, czy ktoś nam zagraża. Miejsce, gdzie siedzi *etażna*, puste. Cisza, nikogo nie widzę. Na wszelki wypadek zamknąłem drzwi na klucz. Wracam. Ona siedzi na skraju łóżka, ma blond włosy, w kompletnym nieładzie. Jest chyba w szoku. Przyglądam się i jej twarz wydaje mi się znajoma. Ale nie śmiem spytać, czy jest tą znaną aktorką. Więc upewniam się tylko, czy nie jest ranna, czy wszystko w porządku. Pierwsze, co mi przychodzi na myśl, to wezwać kogoś z recepcji. Wpierw jednak wolę się upewnić, czy nie narażę jej na jakąś przykrość. Zaraz pojawiłaby się milicja, a może i prasa. Więc siadam naprzeciwko i czekam. A ona podnosi głowę i widząc otwartą butelkę na stole, pyta: „Mogę trochę koniaku?”.

– I co było dalej? – zapytała Klara Dmitrijewna.

– Nalałem jej do szklanki. Wypiła. Wzięła głęboki oddech. Uspokoila się. Spojrzała na mnie z zainteresowaniem, jakby dopiero teraz zauważyła moją obecność. I wtedy byłem już pewien, że to Dasza Suworowa. Widziałem ją niedawno w *Carewiczu Dymitrze*. Chyba wykonałem jakiś gest, może otworzyłem usta i wskazałem na nią palcem, bo uprzedziła mnie, mówiąc: „Tak, jestem tą aktorką”. Zmieszałem się i odrzekłem, że wiem i że widziałem ją w filmie. A ona na to: „A wy, kim jesteście?”. Przedstawiłem się, mówię, że arcymistrz szachowy. Oczywiście nie znała mojego nazwiska.

– Nie należała do „wąskiego kręgu szachistów” – zażartowała matka.

– Jak widać nie. Mogłem się przedstawić jako syn Michaiła Nikołajewicza Romancewa, to pewnie zrobiłoby na niej większe wrażenie.

– No dobrze, mów, co działo się dalej, bo jestem szalenie ciekawa.

– Właśnie, ja też byłem szalenie ciekaw, dlaczego krzyknęła i co się wydarzyło.

Ale teraz nastąpiło coś niezwykłego. Uważaj. Przez piętnaście, nie przesadzam, piętnaście minut nie powiedziała ani słowa.

– Jak to? Ani słowa?

– Nic. Zupełnie nic. Najpierw przymknęła powieki. Błądziła myślami gdzieś w sobie tylko znanym świecie. Więc milczałem. Dolałem jej koniaku, na chwilę otworzyła oczy, nie zaprotestowała i znów zacisnęła powieki. Nalałem również sobie, usiadłem z powrotem naprzeciwko i czekam. A ona położyła się na łóżku i zwinęła w kłębek. Tak, w kłębek. Podkurczyła nogi, jakby szukała bezpieczeństwa. Patrzyłem na to zdziwiony...

Romancew poczuł delikatne uszczypnięcie w nadgarstek. Coś jak sygnał mówiący: „Wiem, że zapragnąłeś położyć się obok i przytulić ją, ukoić jej ból, czymkolwiek był spowodowany”. Nie przyznał się, że faktycznie tak się stało i że leżąc obok znanej aktorki, czuł w tamtym momencie eksplozję zmysłów, jakby ktoś wstrzyknął mu prosto w serce dużą dawkę adrenaliny. A piętnaście minut milczenia było spowodowane między innymi tym, że położyła na jego piersi swoją głowę ukrytą w złotych lokach i trwali tak w przedziwnym zawieszaniu.

– Po tych piętnastu minutach – zaczął Romancew po chwili milczenia, gdy próbował wskrzesić w sobie tamto uczucie – Dasza mówi...

– Dasza? – Matka złapała go za słowo.

– Ona. Mówi: „Mężczyzna, który na mnie napadł na korytarzu, jest Anglikiem. Ambasadorem Wielkiej Brytanii”. Zaskoczyła mnie. Przez myśl przemknęły mi jakieś fantastyczne scenariusze. „Napadł na was?”, spytałem, choć z trudem kojarzyłem, o czym mowa. „Nie widziałem nikogo na korytarzu”. A ona, nie odpowiadając na moje pytanie, ciągnie: „Rok temu zwróciłam się do niego o pomoc. Zresztą nie tylko do niego. Niewiele osób wie, że mój brat trafił do łagru. Jest fizykiem. Został aresztowany w zeszłym roku”.

– Dasza Suworowa ma brata? – zdziwiła się matka.

– Proszę, słuchaj dalej. Czy to kpina w twoim głosie? – zirytował się.

– Jestem daleka od jakiegokolwiek kpiny – obruszyła się Klara Dmitrijewna, wyczuwając złość w głosie syna. Jego reakcja mówiła jej więcej niż słowa o tym, co naprawdę wydarzyło się w pokoju między nim a tamtą kobietą. – Słucham uważnie.

– Dasza mówi do mnie: „Zrobiłabym wszystko, żeby ratować brata, i nie wahałam się prosić o to zagranicznych dyplomatów. Ale ten człowiek postanowił wykorzystać mój dramat. Zaczął obiecywać pomoc, nalegać na spotkania, a ja mu uwierzyłam. W końcu zwabił mnie i wykorzystał w swoim mieszkaniu pod nieobecność żony”.

– I to wszystko powiedziała ci podczas pierwszego spotkania? – Klara Dmitrijewna starała się ukryć sceptyczny ton, z jakim zadała pytanie.

– Nie wierzysz jej?

– Tola, nie wiem. – Matka udała zafrasowanie. – Różne rzeczy się dzieją w naszym kraju...

– Powiedziała, że ten Anglik ją prześladowa, śledzi – kontynuował podekscytowany i zachęcony reakcją matki. – Chciałem ci to opowiedzieć, aby poznać twoje zdanie. Przyznasz, że to dość nietypowa sytuacja.

– Nietypowa – potwierdziła matka. – I co dalej? Opowiedziała ci to i poszła do siebie?

– Tak, w końcu poszła – skłamał Romancew.

– Ach, ty mój chłopaku. Ty mój chłopaku. – Matka udała beztroski śmiech, czochrając włosy syna. – Cudowny wieczór, Ludmiła zrobi nam teraz herbatę z liśćmi mięty – dodała.

Szli chwilę w milczeniu, lecz Romancew zauważył, że matka błądzi gdzieś myślami. Po chwili rzuciła, jakby od niechcenia:

– Takie kobiety mogą być niebezpieczne, Tola. Nie zakochuj się. Posłuchaj matki i się nie zakochuj.

Szachista przygryzł wargę i odwrócił głowę, spoglądając na Newę. Pierwszy raz poczuł, że matka go nie rozumie i jest sam, zupełnie sam, będąc w stanie, którego nie pojmował, którego się obawiał, ale który wydał mu się najbardziej pożądanym uczuciem, jakie mógł w sobie odnaleźć, uczuciem, które wymykało się logicznym kalkulacjom, które panowało nad rozumem. To było tak pociągające... Poczuł rozczarowanie, że matka tego nie pojmuje.

Jadąc do willi, w której sztab arcymistrzów pracował nad najlepszą strategią dla Gurgenidzego, Romancew czuł sportowe podniecenie. Wprawdzie w swojej karierze wygrał już kilka ważnych turniejów międzynarodowych, ale atmosfera wokół przygotowań do meczu o mistrzostwo świata, praca z najlepszymi analitykami w kraju, były czymś, co przemawiało do wyobraźni. Nie był pewien, jaką wartość może wnieść, jak zostaną odebrane jego analizy i propozycje, szczególnie te, które z dużym nakładem czasu przygotował w swoim ukochanym debiucie – partii hiszpańskiej. Wprawdzie nie wierzył, że Gurgenidze może dzięki jego pomocy osiągnąć sukces w meczu z Zimmermanem, lecz ciekawość, jak na opracowane przez niego nowinki zareaguje Amerykanin, była dla niego sama w sobie ekscytująca. Dla Romancewa to był rodzaj gry korespondencyjnej z charyzmatycznym Amerykaninem, którego kariera, odkąd zdobył w wieku czternastu lat mistrzostwo Stanów Zjednoczonych, była dla niego wzorem. Na razie jednak musiał się zadowolić myślą, że Zimmerman będzie grał przeciwko jego pomysłom wykorzystanym przez Gurgenidzego. I to była całkiem sympatyczna myśl, choć wierzył też, że już niebawem zmierzy się z Bobbym, jak go nazywali arcymistrzowie, i że będzie to pojedynek, który w świecie szachowym przejdzie do legendy.

Samochód wiozący Romancewa podjechał pod okazałą willę, otoczoną zewsząd wysokim kamiennym murem. Szofer wyciągnął walizkę. Szachista wszedł do domu. Spodziewał się atmosfery wojskowego sztabu generalnego, rozdyskutowanych nad szachownicami analityków. Zamiast tego uderzyła go idealna cisza. Postawił walizkę na podłodze. Zdjął płaszcz, przygładził przed lustrem włosy i ruszył korytarzem. Kiedy zszedł po dwóch stopniach prowadzących do salonu, usłyszał ciche chrapanie. Na kanapie po prawej stronie siedział pogrążony we śnie mężczyzna z głową odchyloną do tyłu i otwartymi ustami. Romancew rozpoznał w nim arcymistrza Rugullisa z Kowna. Uśmiechnął się pod nosem, ciekaw, jakie zadanie szachowe mogło go tak zmęczyć, że w połowie dnia ucina sobie drzemkę. Skreślił w lewo i za szerokim kominkiem dostrzegł czterech innych mężczyzn, którzy grali w karty przy stoliku. Stał, zaskoczony, nie bardzo wiedząc, co ma zrobić.

– Trzy trefle – licytował mężczyzna siedzący do niego tyłem.

– Pas – rzucił drugi, a ujrawszy nowo przybyłego, mrugnął do niego z uśmiechem.

Romancew odpowiedział lekkim skinieniem głowy. Wciąż spoglądał na nich, nie mogąc uwierzyć, że czterech wybitnych arcymistrzów – Jefim Wolf, Wiktor Krutin, Michaił Szejn i Dmitrij Dawidienko – zamiast ciężko pracować nad przygotowaniem debiutów, ucina sobie partyjkę brydża.

– A, Romancew – mruknął Szejn, odwracając się w jego stronę. – Tigran jest na dole z Jewtuszenką. Rozpakuj się, bo niedługo będzie obiad.

Romancew ruszył zgodnie ze wskazówką i pokonując kręte schody, zszedł na dół. Pośrodku urządzonej w myśliwskim stylu sutereny stał stół bilardowy. Wokół unosił się głęboki zapach egzotycznego tytoniu. Pochylony nad stołem Gurgenidze, z kijem bilardowym w dłoniach, przymierzał się do uderzenia.

– Dzień dobry, Tigranie Wartanowiczu – przywitał się Romancew.

– Tss – zaprotestował Gurgenidze. – No to trach. – Wykonał uderzenie kijem.

Kula przeturlała się na drugą stronę stołu, zderzyła z drugą i stanęła tuż przed otworem.

– No nie, nie, nie – rozeźlił się Gurgenidze. – Teraz ten partacz zaraz ze mną wygra. Zdekoncentrowaliście mnie, Romancew. Straciłem czujność. Ciesz się, Jewtuszenko. Podziękuj Romancewowi, bo dobrze wiesz, że miałeś już tę rundę przegraną. Trudno. Idziemy na obiad.

Odstawił kij i włożył sztruksową marynarkę.

– Rozgoście się na górze, pokój powinien być gotowy – zwrócił się do Romancewa, przechodząc obok i nie przejmując się zbytnio jego przybyciem.

Kiedy Romancew znalazł się sam w pokoju, poczuł złość zmieszaną z niedowierzaniem. Wyjął z walizki swoje rzeczy, które poukładał na półkach w szafie i na szklanej półeczce w łazience. Rozłożył również notatki dotyczące partii

hiszpańskiej.

Tymczasem w sali jadalnej arcymistrzowie usiedli do obiadu.

– Czy ktoś zna tak naprawdę tego Romancewa? – spytał Gurgenidze, nakładając sobie porcję polędwicy.

– Jego ojciec Michaił Nikołajewicz Romancew, profesor ekonomii Akademii Nauk, jest współautorem planów na obecną pięciolatkę. Wysokie koneksje – relacjonował Jewtuszenko. – A matka to Klara Wołkowska.

– Ta pianistka? – zdziwił się Sztejn. – Nie wiedziałem, że ma syna szachistę. Boże mój, zakochałem się w niej podczas jednego z jej koncertów.

– O polityce lepiej przy nim nie rozmawiać – zauważył Wolf.

– Nigdy nie warto mówić o polityce – stwierdził Sztejn, popijając wino. – Życie jest zbyt skomplikowane samo w sobie. Mamy szachy, kobiety, literaturę, dobry koniak, wino i wódkę. Wygodne życie. My, szachiści, jesteśmy szczęśliwymi ludźmi. Nawet na Zachód puszczają nas bez większego problemu.

– Oj, Misza! – zachnął się Krutin. – Nie mów takich rzeczy! „Na Zachód puszczają”. Po pierwsze, zależy, kogo puszczają. Borysowi Pulko nie pozwalają pojechać na turniej do innego miasta, a co dopiero za granicę. Ale ty zaraz powiesz, że dziękujesz partii za to, że babę ci pozwolili zerznąć i jesteś w pełni szczęśliwy. Nie masz ochoty choć raz spojrzeć na świat dookoła krytycznie?

– A po co? – ripostował Sztejn, nie dając się zbić z tropu. – Żeby wytrzeźwieć i nie mieć już żadnej łupinki orzecha, w której mogę ukryć swoje myśli? Nazwiesz to hamletyzmem i chętnie się z tobą zgodzę. Mogę wypowiadać słowa, słowa, słowa, bez znaczenia, bez treści, jeśli ich to cieszy. No i co, potępisz mnie? Podziwiam Sołżenicyna, ale jak to ktoś o nim powiedział: „Po co wcierać sól w rany?”. Co mam twoim zdaniem zrobić? Dać się zesłać na Syberię czy zapić się na śmierć, żeby zapomnieć, gdzie żyję? Tego się po mnie spodziewasz? Niewiele mi brakuje, nie martw się, niedługo będziesz się cieszyć obecnością Miszy obok siebie.

– Misza, wiesz, że cię kochamy. – Rugullis się zaśmiał. – I polityką faktycznie się nie zajmuj. Wiktor wie, że nie jesteś do tego stworzony.

Krutin mruzczał coś pod nosem, zde gustowany. Do jadalni wszedł Romancew.

– Siadajcie, Romancew – zakomenderował Gurgenidze. – Wyborna polędwica z kurkami, wino gruzińskie, więc możecie tylko chwalić, krytyki nie przyjmę. Słyszałem, że w Holandii nieźle wam poszło.

– Tak, wygrałem.

– No i dobrze. Zuch. Holendrzy kochają szachy i mają najlepsze turnieje.

– Hiszpanie też – wtrącił się Dawidienko.

– Prawda – zgodził się Gurgenidze.

I tyle czasu poświęcili przy obiedzie tematowi szachów, skupiając się w dalszej części rozmowy na zaletach południowych win, sposobach przyrządzania potraw i wyższości mężczyzn nad kobietami, jeśli chodzi o kuchnię. Rozgorzała też żywa dyskusja nad poranną partią brydża. Po obiedzie usiedli w dużych fotelach z kieliszkami koniaku w dłoniach. Gurgenie, Szejn i Krutin palili papierosy.

– Jak tam z realizacją planu pięcioletniego, Romancew? – zagadnął prowokacyjnym tonem Krutin.

Zapadła cisza. Oczy Romancewa zmrużyły się mimo woli.

– Romancew, coście tam dla nas przygotowali? Hm? Jakieś pomysły debiutowe? – zwrócił się do Romancewa Gurgenie, wyczuwając napięcie, jakie wypełniło pokój.

– W hiszpańskiej mam kilka ciekawych pomysłów, które mogą zaskoczyć Zimmermana – odrzekł spokojnym tonem Romancew, wdzięczny za podanie mu ręki w niezręcznej sytuacji.

– No to dawajcie je na warsztat. Zagramy w blitza – rzucił mistrz świata. – Zobaczymy, ile są warte.

Wszyscy, z wyjątkiem Krutina, który ostentacyjnie palił papierosa, siedząc z dala, z ciekawością zebrali się wokół szachownicy. Obaj arcymistrzowie rozegrali błyskawicznie pierwsze posunięcia partii hiszpańskiej, po czym Romancew z lekkim drżeniem ręki wykonał przygotowany ruch forsujący otwarcie pozycji w centrum.

– A tu mnie chcesz podejść, synku – mruzczał pod nosem Gurgenie. – No to zagramy tak.

Po kilku kolejnych posunięciach Romancew zdobył wyraźną przewagę. Mistrz zmienił taktykę. Nie tracił czasu na obmyślanie kolejnego zagrania, ale od razu po ruchu Romancewa wykonywał swój. Kiedy przeciwnik zastanawiał się, co zagrać, Gurgenie wykorzystywał te chwile na znalezienie planu gry. Dzięki tej taktyce na zegarze młodego arcymistrza podniosła się chorągiewka sygnalizująca przekroczenie czasu, ostrzegając, że do końca partii pozostały mu już jedynie sekundy. Romancew w pośpiechu przeoczył wygrywającą kontynuację, a kiedy to zauważył, zamiast zapomnieć o tym i grać dalej, w myślach zaczął się łajać za ten błąd. Potem pod wpływem stresu spowodowanego upływającym czasem wykonał nieprzemyślany ruch wieżą, po którym otrzymał szybką kontrę i stracił figurę. Partia była przegrana, więc poddał się z uśmiechem zażenowania na twarzy.

– I to wszystko, co wymyśliłeś, chłopcze, dla mnie, starego lisa, do walki z Zimmermannem? – zakpił Gurgenie.

– Mam kilka innych wariantów – odrzekł zbity z tropu Romancew.

– Wystarczy. – Gurgenie machnął ręką, wstając od stolika. – Dajcie wasze notatki Jewtuszenca. Może coś się przyda.

Romancew obiecał oddać zeszyt z wariantami i spytał, czy jest jeszcze

potrzebny.

– Nie – uciął krótko Gurgenidze i zwracając się do pozostałych, zakomenderował: – Idziemy na spacer.

– Więc pozwólcie, Tigranie Wartanowiczu, że się pożegnam. Wracam do Leningradu – oznajmił zimnym tonem Romancew.

– Dziękuję, żeście do nas wpadli. Powodzenia – rzucił niedbale Gurgenidze.

Romancew oddał Jewtuszenke zeszyt z wariantami. Spakował się i poprosił o transport na dworzec. Czuł złość i palące upokorzenie.

– Obraził się – podsumował Sztejn podczas spaceru.

– Kto? – spytał Krutin.

– No kto? Romancew.

– No i dobrze – zawyrokował Gurgenidze. – Nie czułem go. Jakiś taki śliski.

– Ale nowinka w hiszpańskiej była całkiem elegancka – dodał w zadumie Wolf. – Bardzo ciekawa idea. Nie widziałem czegoś tak świeżego od kilku lat. Będzie z niego wielki szachista.

– Jefimie, jak nie przestaniesz, to odeślę cię razem z nim – ostrzegł ze śmiechem Gurgenidze.

Gdy Gurgenidze, Sztejn, Krutin i Rugullis dyskutowali o wyższości win gruzińskich nad mołdawskimi i węgierskimi, Jewtuszenko dyskretnie zwolnił kroku, by porozmawiać z Wolfem na temat śmiałej idei debiutowej zaprezentowanej im przez Romancewa i możliwości przekonania mistrza do zastosowania jej przeciwko Zimmermanowi.

Moskwa,

17 czerwca 1979

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – odezwała się Olga Lwowna, kiedy Oleg wszedł, ziewając, do kuchni. – Co za szczęście, że dziś niedziela i masz wolne. A to prezenty dla ciebie – dodała, podając mu torbę.

– Szachy sportowe, nowa szachownica, zegar szachowy Ruhla! Przecież to kosztowało majątek!

Oleg przytulił matkę.

– No, już, już, dobrze. – Olga Lwowna, śmiejąc się, zwichrzyła synowi włosy. – Dziadek Leonid zabiera cię do parku Gorkiego. Prosił, żebyś był gotowy na dziewiątą.

– Na dziewiątą? Czemu tak wcześnie? To za pół godziny.

– Wiesz, że dziadek wstaje o świcie. Po prostu się pospiesz. Rower masz napompowany?

– Tak. Rety, jakie cudowne szachy. Duże, jak w klubie. Nakręcę zegar. Tss. Słyszysz jak tyka? Końcówka partii, cała sala wstrzymuje oddech, kompletna cisza i tylko ze sceny słychać tykanie zegara. Och, przeżyć coś takiego – ekscytował się.

– Ugotowałam jajka. Cztery, na drogę. Poczęstujesz dziadka. – Olga Lwowna krzątała się po kuchni. – Chleb zapakowałam do torby. I małą puszkę mielonki. Nie zjesz ty, dziadek zje na pewno. – Wyjrzała przez okno. – Jedzie już. Ależ on młodo wygląda.

– Zabawne, że imiona moich dziadków zaczynają się na literę „L” – zastanowił się głośno Oleg, rozbijając łyżeczką skorupkę jajka. – I oba oznaczają to samo: lwa.

– Właściwie to dziadek Lowa dostał imię Lejb. Ale jakoś tak sprawy się skomplikowały i wpisano mu w dokumenty „Lew”.

– Jak Lew Jaszyn.

– Jak Jaszyn.

– A Lejb to rosyjskie imię?

– Nie, nie rosyjskie. Żydowskie – rzekła Olga Lwowna, przenikliwie patrząc na syna.

– To dlaczego rodzice dali mu żydowskie imię?

– Bo byli Żydami, jak on, jak ja...

– Jak to Żydami? – zdziwił się Oleg, nie wiedząc, czy matka nie żartuje sobie z niego. – Jak to ty...?

Zapadła cisza. Chłopiec przyglądał się matce, najpierw z uśmiechem, który zniknął dyskretnie z jego twarzy. Olga Lwowna czuła, że jej policzki zaczerwieniły się pod wpływem tego wzroku. Potem syn zadumał się, spoglądając w okno.

– Naprawdę jesteś? – przerwał ciszę, znów patrząc matce głęboko w oczy.

Olga Lwowna przytaknęła. Wiele by dała, żeby poznać teraz myśli syna.

– No i ty też – dodała cicho, niepewna jego reakcji. Przygryzła wargi i podeszła do okna. – Dziadek już się niecierpliwi – powiedziała z lekką chrypką.

– Czekaaś z tym do moich urodzin? – spytał chłopiec twardym głosem. – Czekaaś, by mi to powiedzieć, aż do teraz?

– Nie pobrudź ściany, jak będziesz wyciągać rower, ostatnio musiałam myć tapetę – rzuciła ostro, wychodząc z kuchni.

Oleg z premedytacją przycisnął oponę do ściany, żeby został ślad, po czym trzasnął drzwiami tak, że Olga Lwowna poderwała się z kanapy. Miała ochotę krzyknąć na syna, ale zamiast tego podeszła do kuchennego okna i czekała, aż

chłopiec wyjdzie z bloku i odjedzie z dziadkiem na rowerową wycieczkę do parku Gorkiego.

Dziadek Leonid w krótkich spodenkach i w podkoszulku na opalonym, śniadym torsie, pomimo że przed miesiącem przekroczył sześćdziesiątkę, wyglądał wciąż na czterdzieści kilka lat. Był dobrze zbudowany, a włosy wcale mu się nie przerzedziły. Po śmierci żony nadal miał powodzenie u kobiet.

– Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Oleg. – Mocny uścisk dłoni musiał wystarczyć za wszelkie czułości. – Popływamy w jezioru. Zabieram cię na piknik. Musisz nabrać krzepy. No i mam dla ciebie coś specjalnego w prezencie, ale wręcę ci, gdy będziemy na miejscu.

– Dziadku, wiedziałeś, że jestem w połowie Żydem?

Leonid Iwanowicz osłupiał. Zwolnił i nie bardzo wiedział, jak się zachować.

– Nie mów przy mnie nic złego na Żydów, nawet po wódce – ciągnął wnuk, dalej spokojnie jadąc rowerem. – Dobrze? Wiesz, że cię kocham. Ale nie mów tak. Moja matka jest Żydówką, dziś mi o tym powiedziała. – Oleg siedział na siodełku i spoglądał przed siebie. Głos miał spokojny i stanowczy.

– Pościgamy się? – zaproponował Leonid Iwanowicz, nie znajdując słów, którymi mógłby odpowiedzieć wnukowi. Nie lubił Żydów. Syn nigdy mu nie powiedział, że jego synowa jest Żydówką. – Do tamtego słupa! – krzyknął.

Przez resztę drogi jechali w milczeniu. Czerwcową Moskwa budziła się do życia po sobotniej nocy pełnej tych zwyczajnych i tych nadzwyczajnych zdarzeń, spokojnego snu i godzin pełnych bólu. O poranku czuć było zapach kwitnących bzów i spalonej słońcem trawy, która roztaczała woń suszonego siana.

Po półgodzinie dojechali do parku Gorkiego. Znaleźli uroczą, skąpaną w porannym słońcu polanę, którą otaczały szumiące olchy. Zbocze, porośnięte miękką trawą, schodziło łagodnie na niewielką łachę gliny i wprost do stawu. Zrzucili z siebie ubrania i wskoczyli do wody w kąpielówkach.

– Pływaj blisko brzegu, dalej może być niebezpiecznie – rzucił Leonid Iwanowicz, odgarniając z czoła mokre od nurkowania włosy. – O tej porze nie ma jeszcze milicji, więc możemy się spokojnie kąpać.

– Zimna! – krzyknął Oleg, zanurzając się ostrożnie do pasa.

– Hartuj ciało jak stal. Ruszaj się, to nie będziesz marzył! – zawołał Leonid Iwanowicz, przekręcając się na plecy.

Kiedy wyszli z wody, Oleg trząsał się z zimna. Był blady, pod oczami miał sine plamy.

– Wytrzymaj się porządnie, chudzielcu, i zmień gacie, żebyś nie przeziębził pęcherza. W wojsku trzeba dbać o nogi. Mokre nogi w mokrych onucach to pewne kłopoty – mówił Leonid Iwanowicz, siadając na brzegu i susząc stopy. – W wojsku

do szpitala wezmą cię tylko wtedy, gdy nie dasz rady chodzić. Z chorym pęcherzem łązić ciężko, a leczyć nie będą, bo choroba niepoważna. Więc po okopach się tułasz, choć ból nie do wytrzymania. Dobrze, zjedzmy coś małego, zanim dołączy do nas Nikifor Gawriłowicz. Co tam matka ci dała?

– Jajka, chleb i mielonkę w puszcze – poinformował Oleg, sprawdzając, czy ma suche stopy.

– Ja mam ogórki i faszerowane pomidory. – Leonid Iwanowicz zatarł ręce z radości.

Zaczęli wyklądać jedzenie na koc.

– Nikifor Gawriłowicz tu przyjdzie? – spytał Oleg z pełnymi ustami, jedząc jajko na twardo. – Mówiłeś ostatnio, że masz go dość.

– Pewnie, że mam – potwierdził dziadek. – Ale trzyma się mnie jak pijany płotu. To mój jedyny przyjaciel. Co mam zrobić? Kopnę go, to sam jak pies zostanie. Zresztą, kto by tam ze mną wytrzymał. Poza twoją babką nie było takich, a i ona, choć święta, czasem wyrzucała mnie na ulicę.

Oleg spojrział na dziadka ze współczuciem. Jego starszy brat zginął podczas wojny. Potem stracił żonę i syna. Poza wnukiem nie miał już nikogo.

– Masz mnie – rzekł poważnie Oleg.

– Poczęstowałbym cię piwem, ale za młody jesteś i matka powie, że cię rozpijam – rzucił szorstko Leonid Iwanowicz, próbując ukryć wzruszenie.

Kiedy skończyli jeść, Leonid Iwanowicz podszedł do opartego na nóżce roweru. Do bagażnika przytwierdzony był koszyk ze sklepu spożywczego, sięgnął do niego, by wyciągnąć paczkę splątaną postrzępionym sznurkiem.

– Trzymaj, Oleg. – Wręczył mu zawiniątko.

Pod szarym papierem ukryte były rękawice bokserskie.

– Rękawice – szepnął zaskoczony wnuk.

– Tak. Nie byle jakie rękawice. Daję ci je w sekrecie. Bo nie wiem, jak by zareagowała twoja matka. To są pierwsze rękawice twojego ojca. I mam też worek treningowy, podrzucę ci jutro po pracy. Nie ciągnąłem go tutaj ze sobą, bo ciężki. Dla mnie to święte przedmioty. Obiecałem sobie, że ci je przekażę, gdy będziesz miał piętnaście lat. Nałóż.

Oleg spoglądał z szacunkiem i zaciekawieniem na trzymane w dłoniach rękawice.

– Nałóż – powtórzył Leonid Iwanowicz.

– Nie mogę – jęknął wzruszony Oleg.

– Nakładaj. Męska rzecz. Traktuj to po męsku – powiedział mocnym głosem, lecz oczy miał wilgotne od łez. – Łzy też bywają męskie, jeśli płyną z miłości, woli walki i ambicji. Wkładaj, sparujemy trochę.

I Leonid Iwanowicz zawiązał rękawice na dłoniach wnuka, po czym zaczął go musztrować, pokazywać mu właściwą postawę, podstawowe uderzenia, uniki, kombinacje ciosów.

– Ruch, Oleg, ruch. Trzymaj pion, nie trać równowagi. Trzymaj dystans lewym prostym.

Oleg kilkakrotnie padł trafiony. Podnosił się, twarz go szczypała, a w nosie czuł zapach krwi. W końcu usiadł i wysapał:

– Nie mam już siły. Nie mam siły, dziadku.

– No dobra. Na pierwszy raz, niech będzie. Ale masz zacząć ćwiczyć, codziennie, trochę biegu przed szkołą, pompki, przysiady, skłony na mięśnie brzucha. Nie chcę, żebyś wyglądał jak chuderlawy szachista.

– Żydowski szachista – dogryzł dziadkowi Oleg.

– Oj, bo cię huknę.

– W urodziny?

– Urodziny, nie urodziny. Wszystko jedno.

– Dobrze, nie złość się. Jestem Rosjaninem jak ty, jestem z tego dumny. Kocham nasz kraj, jak ty. Kocham naszą sborną i Spartaka. A po mamie jestem Żydem i też fajnie.

– Na następnym treningu dam ci wycisk. Lepiej się dobrze przygotuj. A teraz poczekamy na Nikifora Gawriłowicza, który nadjeżdża właśnie z przenośnym grillem własnej produkcji. Zrobimy prawdziwy piknik. Jak Boga kocham, ciągnie ze sobą to żelastwo. Zrobił grilla z chłodnicy od żiguli. W zeszłym tygodniu powiedział mi, że po śmierci ze wszystkiego na świecie najbardziej będzie mu brakować grilla. A tusty już jest, popatrz tylko. Prosiak na rowerze.

Oleg spoglądał na zbliżającego się na rowerze Nikifora Gawriłowicza, który wiózł na bagażniku metalową kratę od samochodu, do której przyspawane były metalowe nóżki od turystycznego stołu. Przyjaciel dziadka miał na sobie białą czapkę z daszkiem, błękitną koszulę z kołnierzem i krótkimi rękawami, beżowe spodenki do pół uda i czarne podkolanówki naciągnięte do samych kolan.

– Brakuje ci tylko czarnego swetra i będziesz jak Jaszyn – zażartował Leonid Iwanowicz, wyciągając na przywitanie rękę.

– Zasapałem się – wydusił z siebie Nikifor Gawriłowicz, z trudem łapiąc oddech. Faktycznie, koszulę miał na bokach mokrą od potu.

– Idź się wykąp, bo nic przy tobie do gęby nie weźmiemy – zakpił z niego Leonid Iwanowicz.

– Idź sam, głupi dziadu – obruszył się Nikifor Gawriłowicz. – Myślałby kto, amant się znalazł.

Oleg uwielbiał, gdy się przekomarzali. Zazwyczaj dziadek był w tych słownych

potyczkach górą, bo miał ostrzejszy dowcip. Spędzili w trójkę czas do popołudnia. Rozmawiali o boksie, o meczach Spartaka. Po wypiciu stolicznej Leonid Iwanowicz i Nikifor Gawriłowicz pokłócili się o Konstantina Bieskowa, którego przyjaciel dziadka nazwał zdrajcą za to, że zamierzał trenować również kadrę Związku Radzieckiego. Nikifor Gawriłowicz twierdził, że teraz na pewno Spartak spadnie na dno, a Leonid Iwanowicz mówił, że gównem się zna na futbolu i że tacy ludzie jak Bieskow potrafią wykrzesać z zawodników więcej niż sto procent możliwości.

– Chrzanisz jak nasza dyrekcja z tymi stu procentami – bronił swojego zdania Nikifor Gawriłowicz. – „Dajcie z siebie wszystko i jeszcze więcej” – udawał głos z megafonu.

– A żebyś wiedział – burknął Leonid Iwanowicz. – Za tępy jesteś, żeby to zrozumieć. Ty byś tylko na styropianie spał na zapleczu. Nie masz pojęcia, co to ambicja. Gdyby nie urodziny chłopaka, to dałbym ci w dziób.

– Uważaj, bo jestem cięższy, i jak cię ścisnę, to uduszę – odgryzał się Nikifor Iwanowicz.

Oleg pękał ze śmiechu. Wiedział, że za chwilę będą się przechwalać, co robili, gdy byli młodzi, potem popadną w sentymentalny, rzewny nastrój, a jeszcze później utną sobie drzemkę, by zebrać siły na powrót do domu.

Dwa tygodnie później Oleg znów ćwiczył boks nad rzeką. Leonid Iwanowicz niemal wniósł wyczerpanego wnuka do mieszkania.

– Co wy wyprawiacie? – Olga Lwowna spiorunowała teścia oczami.

– Wyścig Pokoju – odrzekł wesołym głosem Leonid Iwanowicz. – Ścigaliśmy się. Niech chłopak nabierze krzepy. Strach na niego patrzeć.

Po kolacji pili herbatę, kiedy przez radio podano, że amerykański pięściarz Muhammad Ali ogłosił swoją decyzję o zakończeniu kariery.

– Walczył kiedyś z Igorem? – spytała teścia Olga Lwowna.

– Nie, Igor walczył tylko z Foremanem – odpowiedział z nutką pogardy w głosie Leonid Iwanowicz.

– Co on będzie teraz robił? – zainteresował się Oleg.

– To chyba najtrudniejsze, osiągnąć cel, a potem... No właściwie, co potem? – dodała Olga Lwowna.

Leonid Iwanowicz wzruszył ramionami.

Przed snem Oleg zadzwonił do dziadka, by podziękować mu za wspólny dzień i umówić się na kolejną niedzielę. Leonid Iwanowicz był już mocno pijany, bąknął coś pod nosem, zaklął i odłożył słuchawkę.

Moskwa, sierpień 1979

Siedemnastoletnia Tatiana Bułanowa obudziła się nagle i gwałtownie usiadła na łóżku. Już przez sen poczuła ogarniającą ją panikę, która odbierała oddech i wprawiała serce w drżenie. Oddychała ciężko. Starła się uspokoić. Za oknami panował jeszcze półmrok, tylko gdzieś widać było przebliski zbliżającego się ukradkiem świtu. Otaczała ją cisza. Przez otwarte okno do pokoju wślizgiwało się orzeźwiające powietrze, które przynosiło zapach budzącego się miasta, świeżość porannej rosy osiadłej na parapetach i maskach zaparkowanych samochodów, zmieszanej ze spalinami ruszających spod domu pojazdów, aromatem kawy zaparzonej w sąsiednich mieszkaniach, z nutką przenikającego skronie, niepokojącego zapachu ozonu.

Tatiana była sama. Rodzice kończyli występy w Ameryce i mieli dziś wracać do Moskwy. Dziewczyna poczuła nieprzewartą potrzebę wejścia do ich sypialni, usadowienia się jak kot na fotelu naprzeciw łóżka. Chciała poczuć się bezpieczna. W końcu, skuszona namiastką uczucia, które ogarnęło ją pod wpływem tej wizji, przekręciła mały ozdobny kluczyk w złotym zamku i, choć matka zabraniała jej tego, przestąpiła próg sypialni. Wskoczyła na łóżko i zwinęła się w kłębek. Miała wrażenie, że strach ustępuje. Jakby miejsce, w którym się ułożyła, ochraniał rozpostarty nad nim niewidzialny baldachim utkany z pozytywnych emocji. Leżąc, usiłowała przypomnieć sobie sen, który wywołał w niej to uczucie niepokoju. Nie mogła odtworzyć szczegółów, ale zapamiętała, że we śnie samolot rodziców nie mógł się poderwać z pasa startowego, że okazał się wielką, wykonaną z betonu i stali atrapą, która nigdy nie miała szans unieść się w przestworza. Przypominał wywrócony na bok budynek Uniwersytetu Łomonosowa, z gigantycznymi betonowymi skrzydłami, a jego silniki nie były naprawdę silnikami, tak, nie były silnikami, lecz jedynie bryłami betonu, niezdolnymi do wykonania jakiegokolwiek pracy przy starcie. Wszystko to było szare, bezduszne, nawet niebo ponad płytą lotniska miało stalową barwę i sunęły po nim szare obłoki. I ta niepokojąca pusta przestrzeń... Przypominało to obrazy Giorgia de Chirico. Jednak najgorsze było to, że tylko ona dostrzegła, że samolot nie ma szans, by polecieć. Jakiś człowiek tracił czas na oglądanie umocowania betonowych brył, które udawały silniki, jakby nie wiedział, że są niczym innym jak tylko żalostną imitacją. Wykonywał swoje zadanie tak irytująco dokładnie, że Tania chciała do niego krzyknąć, żeby przestał i zakończył tę mistyfikację. Ale jej głos uwiązł gdzieś w krtani, i zamiast ekspresyjnego wyzwolenia emocji poczuła duszenie, jakby ktoś złapał ją mocną dłonią za szyję i nakazał milczenie. A przecież chciała ich ostrzec: „Samolot nie poleci, nie poleci! Czy tylko ja to widzę, czy tylko ja to rozumiem?”. Nikt jednak nie chciał usłyszeć jej rozpaczliwego komunikatu. Mężczyzna z obsługi dał znać, że maszyna jest gotowa do lotu. Teraz

sen stawał się wyraźniejszy. Zobaczyła pasażerów. Bez trosk, ubranych jakoś niestosownie, jakoś kabaretowo, jakby wyszli wprost z garderoby wodewilowego przedstawienia. Stali na metalowej kładce prowadzącej do drzwi betonowego samolotu. Dostrzegła matkę. Na jej twarzy malowało się uczucie smutnej zadumy. Może zrozumiała, że nigdy nie ujrzy córki. Matka dotykała betonu, jakby ona jedna z całego tego groteskowego korowodu dostrzegła teraz, że samolot nie da rady wznieść się w powietrze. Ojciec stał z dala od reszty. Milczał. Wydawał się taki obcy, i Tatiana znów poczuła duszący niepokój, zerwała się z łóżka i opierając o ścianę, ciężko oddychała.

W sypialni pachniało perfumami matki. Dziewczyna łapczywie wdychała ich głęboki orientalny aromat przypominający zapach olejku na rozgrzanej od słońca skórze, zmieszany z odrobiną wanilii, cynamonu i mirry. To ją uspokoiło. Matka używała tych perfum jedynie na noc. Były kuszące, rozbudzały wyobraźnię i zmysły. Teraz pozwalały zapomnieć o ponurym widoku, jaki krył się pod powiekami i tak bardzo mącił spokój poranka. Dziewczyna postanowiła zagłuszyć w sobie negatywne emocje najprostszą z metod – świeżą kawą i makowym ciastem, które upiekła poprzedniego dnia ich gosposia Ksenia.

Z kolanami pod brodą usiadła na krześle, trzymając w dłoni filizankę pachnącej domowym ciepłem nieposłodzonej kawy. Palcami drugiej ręki kruszyła ciasto, które smakowało wyśmienicie. Na blacie stołu leżała gazeta, widniało w niej zdjęcie matki stojącej obok reżysera Teatru Bolszój Grigorija Kasłanowa, a nad nim tytuł *Teatr Bolszój jedzie na podbój Ameryki z nowym wykonaniem Romea i Julii*.

„Teatr Bolszój, eksportowy produkt najwyższej jakości”, jak mówił o swoim teatrze ojczym Tatiany, Aleksander Naumow, występował w sierpniu w Nowym Jorku. Naumow był w tym czasie jego najwybitniejszym solistą, gwiazdą pierwszej wielkości, którego talent porównywano do talentu Rudolfa Nuriejewa i bliskiego przyjaciela Aleksandra – Michaiła Barysznikowa. Już jako osiemnastolatek Naumow tańczył u boku Igora Moisiejewa, który pierwszy poznał się na jego możliwościach. Na scenie moskiewskiego Teatru Wielkiego zadebiutował w *pas de trois* w pierwszej scenie z *Jeziora łabędziego*, by chwilę później otrzymać rolę księcia. Krytycy byli jednomyślnie entuzjastyczni. Chwalili go za zdolność kreowania niuansów, bogactwo uczuciowych tonów i półtonów, fenomenalny talent aktorski, błyskotliwą wirtuozerię, jak również niezwykłą łatwość panowania nad ciałem, wręcz czarodziejską zdolność pokonywania grawitacji i zastygania w powietrzu nad sceną. Słowem, Sasza Naumow był kimś, kto wzbudzał zainteresowanie, i to nie tylko krytyków. Był wysokim przystojnym mężczyzną o błękitnych oczach, nad którymi falowała jasnoblond czupryna, modnie opadająca na ramiona.

Wraz z Mają Plisiecką Naumow stworzył niezapomniany, wręcz hipnotyzujący duet w *Annie Kareninie*, wcielając się w rolę Wrońskiego. Już wtedy był związany ze starszą od niego o kilka lat matką Tani, Jeleną. Poznali się parę lat wcześniej.

Kiedyś w przypiływie szczerości opowiedzieli Tani, jak spotykali się ukradkiem za kulisami, jak całowali na chwilę przed wejściem na scenę, a potem, potem, kiedy inspicjent wzywał ich nerwowym szeptem, tańczyli w euforii, bliscy utraty zmysłów, nie pozostawiając w sobie już żadnej energii.

– Wydawało mi się, że Sasza czeka na mnie w każdym zakamarku teatru – mówiła ze śmiechem Jelena. – Wystarczyła minuta, by nikogo wokół mnie nie było, a natychmiast pojawiał się w ciemności jak lampart. Chwytał w ramiona, zasypywał pocałunkami. Cieszyłam się, że rzadko gramy razem, bo widzowie w końcu rozpoznaliby, co nas łączy, a Sasza zapomniałby się w jakiejś scenie i dał ponieść emocjom.

Trwało to kilka miesięcy i nadszedł czas, kiedy nie można było dłużej ukrywać ich związku. W końcu Jelena zdecydowała się rozbić układ, w którym żyła, uwolnić się od swego protektora. Po raz ostatni spotkała się z mężczyzną, który pomógł jej stać się primabaleriną Teatru Bolszoi. Ryzykując karierę i bezpieczeństwo, przeniosła się z Aleksandrem do małego mieszkanka w bloku z wielkiej płyty. Tatiana pamiętała tamte dni pełne emocji, tajemnicy, przełamywania lęku i uczenia się miłości do przybranego ojca, jedyne, którego poznała. To był dziwny czas. Z dnia na dzień musiały porzucić wielki apartament pełen antyków, w którym prawdziwy ojciec Tani, kimkolwiek był, trzymał ją i matkę niczym w złotej klatce, dbając, by córka nigdy nie poznała jego imienia.

Pierwsze dni w nowym mieszkaniu kojarzyły się Tani z chłodem. Ciasno, mało światła, zimno. Brakowało wszystkiego: talerzy, sztućców, pościeli, książek, a czasem też jedzenia.

– No, Sasza – powiedziała Jelena, my możemy się nakarmić naszą miłością, ale Tani trzeba coś ugotować.

Jako tancerz Naumow otrzymywał dziewięćdziesiąt osiem rubli miesięcznie. Jelena musiała sprzedać swoje futra z białych lisów i norek, złotą bransoletkę. Potem na sprzedaż poszła reszta biżuterii. Aleksander przeżywał to, zaciskał zęby i pracował nad sobą. Tania czuła się ciężarem. Chciała uciec z domu, ale paraliżował ją lęk, a miasto przerażało.

Gdybym mieszkała w lesie, myślała, mogłabym schronić się nad brzegiem jeziora, żywić jagodami, grzybami, nauczyłabym się łowić ryby. A w zimę, w zimę usiadłabym jak dziewczynka z zapalkami z baśni Andersena i cicho zasnęła, nie sprawiając już nikomu problemu.

Jednak praca Naumowa nie poszła na marne. Po tym jak zatańczył rolę Wrońskiego z Mają Plisiecką w *Annie Kareninie*, jego gaża skoczyła do pięciuset pięćdziesięciu rubli.

– Przyniósł dumny te pieniądze – relacjonowała później Jelena – ale nie byłby sobą, gdyby nie zrobił z tego spektaklu. Ukrył je w dzbanku i odegrał pantomimę, że niby znajduje czarodziejskie naczynie, które za pomocą zaklęcia napełnia się pieniędzmi, a na koniec klęknął przede mną i całując mnie w dłoń, powiedział:

„Wszystko tobie zawdzięczam, królowo...”.

Naumow stał się gwiazdą. Wokół niego gromadzili się młodzi tancerze, dziennikarze. Niedługo potem wraz z Jeleną i Tanią przenieśli się do nowego mieszkania. Bywanie u Naumowa i Bułanowej było dla artystów zaszczytem. Następne role: *Iwan Groźny*, *Don Kichot*, a przede wszystkim *Spartakus*, okazały się kolejnymi triumfami. Ta szybka kariera była dla nich rodzajem ochrony przed zemstą byłego protektora Jeleny. Wierzyli, że tamten rozdział jest już zamknięty i że nic nie zakłóci ich szczęścia. Mimo sukcesów, a może z powodu nich, Naumow miał zakaz wyjazdów za granicę. Oficjalnie mówiło się, że to z powodu ucieczki na Zachód jego przyjaciela – Michaiła Barysznikowa. Ale może kryło się w tym coś więcej... Jeździła więc tylko Jelena. Tania widziała, jak Aleksander ze smutkiem pakował rzeczy jej matki, jak drżał, gdy słyszał nazwy Paryż, Londyn, Tokio i... największe jego marzenie: Nowy Jork.

– Sasza marzy, by zatańczyć z Maurice’em Bėjartem – mówiła matka przez telefon, nie podejrzewając, że z powodu podsłuchu nieświadomie przedłuża w ten sposób mężowi zakaz wyjazdu.

Tania nie dziwiła się, że Naumow czuł upokorzenie, zdawała sobie sprawę, że chciałby się podzielić swoją energią, swoim tańcem z całym światem, że jak każdy wielki artysta pragnie, by jego sztuka była uniwersalna, by dotarła wszędzie. Przyglądanie się, jak cierpi podczas zagranicznych wyjazdów matki i miota się niczym piękny ptak w klatce, było dla Tani prawdziwą torturą. W mieszkaniu unosił się nastrój napięcia. Cisza, czasem zapach alkoholu, który stawał się symbolem porażki ukrytej w triumfie, bezsilnej walki z systemem dającym możliwość wyniesienia na szczyt, by tuż przed jego osiągnięciem zepchnąć boleśnie w dół, złamać, nauczyć pokory, zmusić do rezygnacji.

Tania uwielbiała Naumowa. Kiedy matka występowała poza Rosją, był dla niej opiekunem, trochę niezgrabnym w roli ojca, ale wzruszająco nadrabiającym wszelkie braki ciepłem przyjaźni, którą ofiarowywał. Czasem ćwiczyli razem taniec. Często słuchali wspólnie muzyki. Siedząc na podłodze, delektowali się dźwiękami czwartej i szóstej symfonii Czajkowskiego, koncertami Rachmaninowa, Glinki i Musorgskiego. Opisywał jej swoje uczucia rodzące się pod wpływem muzyki, obrazy, które widział namalowane w wyobraźni.

Tania pamiętała tamten wieczór, kiedy po odprowadzeniu matki na lotnisko wracali razem z Szeremietiewa do domu.

– Taniu, zauważyłem, że mama nie zabiera cię nigdy na swoje spektakle – zagadnęła ją w samochodzie. – Chciałbym, żebyś poszła dziś ze mną i obejrzała mojego Spartakusa.

Tak to się właśnie odbyło. Po prostu powiedział „chciałbym”. Tego wieczoru Tania trafiła do świata, którego wcześniej nie знаła. Emocji, jakie jej towarzyszyły od pierwszych chwil spektaklu, nie dało się porównać z niczym innym. Muzyka Chaczaturiana urzekała to swoją patetyczną mocą, to

delikatnością uczuć. A taniec Aleksandra po prostu porywał. Raz emanował siłą, ekspresją, by chwilę potem, w scenach z Frygią, uwodzić czułością. Adagio sprawiło, że łzy płynęły z wrażliwych zielonych oczu Tani. Była całkowicie zauroczona. Serce drżało w niej z rozkoszy. W nocy nie mogła zasnąć, zwymiotowała z nadmiaru wrażeń. Ale pragnęła ich, łaknęła sztuki, bardzo, bardzo, bardzo. Tamtej nocy postanowiła zostać aktorką.

W 1979 roku odbyła się premiera baletu Siergieja Prokofjewa *Romeo i Julia*, w którym Naumow wcielił się w rolę Tybalta. Było nie do pomyślenia, by Teatr Bolszoi mógł odbyć tournée bez swojego najlepszego solisty. Ministerstwo Kultury, chcąc nie chcąc, wyraziło zgodę na wyjazd Aleksandra za granicę. I od razu był to występ w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. Wprawdzie trzymano go w niepewności do ostatniej chwili, robiono problemy z paszportem, kazano wypełniać różne deklaracje lojalności. Był nawet pomysł, żeby zostawić Bułanową, ale ze względu na pozycję Jeleny w zespole okazało się to niemożliwe. Tak więc pierwszy raz udawali się w podróż razem.

Zeszły tydzień, te dni, odkąd Aleksander dowiedział się o zgodzie na wyjazd, wydały się teraz Tani najwspanialszymi chwilami w jej życiu. Matka i Sasza byli tak bardzo szczęśliwi, pakując się, cały czas żartowali, tańczyli, całowali się i śmiali. Dzień po przylocie do Nowego Jorku matka zadzwoniła i powiedziała, że ulokowano ich w hotelu Mayflower obok Central Parku i że wieczorem mają się spotkać z Michailem Barysznikowem i jego żoną Jessicą Lange.

– Chodziliśmy po mieście, kupiliśmy ci prezenty – relacjonowała pełna entuzjazmu. – Sasza kręcił piruety w pokoju, zachwycony luksusem. Cieszył się jak dziecko. Powiedział, że to spełnienie jego marzeń i że nigdy nie czuł się szczęśliwszy.

Nagle rozmarzoną Tanię poderwał dźwięk dzwonka do drzwi. Zamarła w oczekiwaniu. Dzwonek znów zabrzączał, przecinając niczym ostry miecz delikatny woal unoszącej się wokół porannej ciszy. Dziewczyna z lękiem podeszła do drzwi. Wzdrygnęła się, gdy dzwonek zabrzmiał po raz trzeci. Było w nim coś złowrogiego, coś, co emanowało chłodem...

– Kto tam? – spytała.

– Komitet Bezpieczeństwa Państwowego. Proszę otworzyć, Tatiano Bułanowa.

Przerażenie sparaliżowało Tanię. Nie była w stanie zaczerpnąć oddechu.

– Proszę otworzyć. Niczego wam nie zrobimy, proszę się nie obawiać – odezwał się drugi, kobiecy głos.

Tania spojrzała przez maleńki wizjer. Na klatce stało troje ludzi: kobieta i dwóch mężczyzn, wszyscy ubrani po cywilnemu.

– Macie jakąś legitymację? – wydusiła z siebie Tania.

– Święta, pokaż jej legitymację – powiedział jeden z mężczyzn.

Kobieta wyjęła legitymację z kieszeni płaszcza i przytknęła do wizjera. Tania

dojrzała złote litery KGB na bordowym tle. Otworzyła zamki i cofnęła się. Funkcjonariusze wpadli do środka z impetem.

– Swieta, zabieraj dziewczynę, niech się ubierze, i poczekajcie w samochodzie – wydawał rozkazy chrapliwym głosem niski łyсы mężczyzna. – Kostia, zostajesz tutaj.

– Ubieraj się – nakazała Tani kobieta.

Kiedy Tania wyszła ubrana ze swojego pokoju, w mieszkaniu panował nieład. Szuflady i książki leżały na podłodze. Dziewczyna tak się przestraszyła, że nie była w stanie zdobyć się na odwagę i zapytać o powód najścia.

– Czy jestem aresztowana? – szepnęła tylko do kobiety.

– Musimy cię stąd zabrać.

– Czy mamie coś się stało?

– Nie, nic jej nie jest. Wychodzimy.

Na Łubiance zaprowadzono ją do dużego gabinetu. Nie wyglądał jak sala przeznaczona do przesłuchań, raczej jak miejsce pracy. To ją nieco uspokoiło, choć nadal ręce jej drżały, a ze strachu chciało jej się wymiotować. Kazano jej usiąść na fotelu przy biurku i czekać. Gdy znalazła się sama, rozejrzała się i dostrzegła na blacie depeszę. Pochyliła się w tamtą stronę i zaczęła czytać: *Wczoraj, około 21.00 tancerz Teatru Bolszoi Aleksander Naumow opuścił hotel Mayflower i zgłosił się do władz amerykańskich, prosząc o azyl...* Serce Tani zaczęło gwałtownie bić, znów poczuła silne zawroty głowy. Zemdlała.

Podano jej szklankę wody i zrobiono zastrzyk, po którym zrobiła się senna.

– Mąż twojej matki, Aleksander Naumow, postanowił was porzucić i uciec z ojczyzny – odezwał się ubrany po cywilnemu oficer, siadając za biurkiem. – Stara się o azyl polityczny w Ameryce. Twoja matka jest w tej chwili w naszym konsulacie w Nowym Jorku. Zastanawiamy się, czy na pewno wie, co ma teraz zrobić. Czy przypadkiem się nie waha. Dobrze by było, żebyś w razie potrzeby umiała przekonać matkę do właściwego wyboru. Jeśli zajdzie taka potrzeba, podam ci słuchawkę i poinstruję, co masz powiedzieć.

Tatiana spoglądała na oficera szeroko otwartymi oczami. Nie rozumiała, co do niej mówi.

W tym czasie Jelena Bułanowa na wpół przytomna po nieprzespanej nocy, dokładnie jak opisał to oficer w Moskwie, przebywała w radzieckim konsulacie w Nowym Jorku. Obok niej, spoceni i drżący ze strachu, siedzieli dwaj funkcjonariusze KGB, którzy nie upilnowali jej męża. Wiedzieli, że spotka ich za to kara po powrocie do kraju. Jelena nadal nie wierzyła, że Sasza nie wrócił. Godziny czekania wczoraj w nocy, czekania do świtu, lęk, potęgowany przez zegar odmierzający minuty, że podejrzenie może okazać się prawdą. Nad ranem

złapały ją torsje ze stresu i zmęczenia. Pomimo nadejścia poranka w pokoju hotelowym panowała martwa, nieczuła cisza. Żadnego ruchu, żadnego pukania do drzwi, telefonu, sygnału. Niepewność. Obezwładniająca rozpacz.

– Proszę wysłać mnie do córki – zwróciła się do konsula. – Chcę lecieć do domu.

– Wasza córka jest pod naszą opieką. Proszę się nie martwić, nie jesteśmy bez serca, jest bezpieczna.

– Zawieźcie mnie na lotnisko.

– Chcecie do niej zadzwonić?

– Nie. Zawieźcie mnie na lotnisko – powtórzyła z mocą, lekko kiwając się do przodu i do tyłu.

– Zawieziemy – odrzekł konsul, spoglądając na nią badawczo. – Podejrzewamy jednak, że FBI będzie próbowało was przejąć, nim tam dotrzemy. Dlatego przewieziemy was po kryjomu. Dla was odrobina teatru to nie problem.

Godzinę później Jelena, w męskim płaszczu i kapeluszu na głowie, wsiadła do samochodu, który spod radzieckiego konsulatu zabrał ją na lotnisko Kennedy'ego. Kontrola paszportowa dłużyła się niemiłosiernie. Jelena marzyła, by mieć już to za sobą, pragnęła, by nikt nie kazał jej nic tłumaczyć czy też podejmować jakichkolwiek decyzji. Starła się uciec myślami od prawdy, że nigdy już nie ujrzy Saszy i że to koniec. Słaniając się na nogach, podtrzymywana przez jednego z funkcjonariuszy KGB, dotarła po metalowych schodach do samolotu, w którym siedziała już cała trupa Teatru Bolszoi. Usiadła z dala od reszty zespołu, z przodu, nie przejmując się, czy to jej miejsce. Na chwilę przed startem, gdy zamknęły się za nią drzwi samolotu, Jelena wpadła w panikę. To koniec, nigdy go nie zobaczysz... – słyszała w sobie krzyk rozpacz. Jej myśli przerwał głos stewardesy: „Szanowni pasażerowie, z przykrością informujemy, że nasz odlot będzie opóźniony. Władze Stanów Zjednoczonych nie wydały jeszcze zgody na nasz start z lotniska Kennedy'ego”.

Po chwili ktoś zastukał mocno w metalowe drzwi samolotu. Funkcjonariusze KGB poderwali się i podbiegli do stewardesy. Z kokpitu wyszedł kapitan, który pomimo protestu tajniaków polecił otworzyć drzwi.

– FBI. Chcemy, żebyście uwolnili Jelenę Bułanową – odezwał się niski mężczyzna w kapeluszu i beżowym prochowcu, pokazując legitymację.

– Pokład naszego samolotu to terytorium Związku Radzieckiego – odrzekł spokojnym głosem kapitan.

– Zgodnie z konwencją chicagowską mamy prawo do przeszukania samolotu – przypomniał agent FBI.

– Chcecie dostać zgodę na start? – zapytał jego kolega. – Uwolnijcie Bułanową. Jej mąż twierdzi, że ona nie odleci z własnej woli, proszę pozwolić jej zostać w Stanach Zjednoczonych.

Kapitan z niepewną miną spojrział na oficerów KGB, nie rozumiejąc, o czym mówi Amerykanin.

– Wsiadając do tego samolotu, Bułanowa podjęła decyzję – zaprotestował funkcjonariusz KGB. – Proszę pozwolić nam wystartować.

– Jeśli chcecie dostać zgodę na start, przepuście do niej naszą koleżankę – ripostował Amerykanin. – Dajcie jej porozmawiać z Bułanową. Jeżeli wyrazi chęć, by lecieć do Rosji, damy zgodę na start.

Funkcjonariusze KGB zrobili krok w tył, by przepuścić kobietę, która musiała już wcześniej widzieć zdjęcie Jeleny, gdyż przysiadła się do niej bez wahania. W tej chwili w Jelenie wszystko się jakby skurczyło i szepnęła do siebie: „Żegnaj, Sasza...”.

Amerykanka odezwała się po rosyjsku z silnym akcentem:

– Twój samolot nie leci, bo władze Stanów Zjednoczonych uważają, że zabierają cię stąd siłą. Sasza kocha cię mocno. Opuść samolot razem ze mną. Błagam cię. On czeka w samochodzie na płycie lotniska. To zaledwie kilka metrów stąd. Jeśli teraz wstaniesz i wyjdiesz, będziesz pod ochroną władz amerykańskich. Będziecie razem z Saszą. Nie bój się. Chodź, zrobimy to razem.

– Tam jest moja córka – odparła zdławionym głosem Jelena. – Jeżeli powiem, że chcę wracać do Rosji, pozwolicie nam lecieć?

– Pozwolimy.

– Więc proszę, dajcie nam już odlecieć.

Kobieta przez chwilę spoglądała w milczeniu na Jelena. Być może zdała sobie sprawę, że nie ma już argumentów i że w obliczu dramatu, jaki rozgrywa się w duszy matki, tylko Jelena ma prawo wybierać. Położyła dłoń na jej dłoni, po czym bez słowa wstała i podeszła do agentów FBI, informując ich, że Bułanowa zdecydowała się wrócić do kraju.

Przez następne dni Tatiana słyszała muzykę Czajkowskiego dobiegającą zza zamkniętych drzwi sypialni, płacz matki i szmer kroków, które stawiała w tańcu. Wiedziała, że matka tylko w ten sposób może wyrazić ból. Kilka dni później Jelena Bułanowa znalazła swoją córkę w wannie, w purpurowej od krwi wodzie, z podciętymi żyłami[5].

Moskwa,
21 października 1979

– Oleg, rusz się. Będę robić obiad, a ty doprowadź do ładu swój pokój i sprzątnij te graty. Dziadkowie zostają u nas na noc, więc będziesz spał na składanym łóżku w

salonie, ze mną.

Była w złym humorze. Oleg wyczuł, że nie należy jej drażnić i bez słowa skargi zabrał się do porządkowania pokoju.

Jak co roku, w rocznicę śmierci ojca Olega, przyjechała rodzina wraz z dziadkiem Lową i babcią Kirą, siostrą Olgi Lwowny, Anną, i jej mężem Jurijem Borisowiczem. Anna była niższa od Olgi, miała dłuższy nos, który ją wyraźnie szpecił, i choć nie pracowała zawodowo, czuła się wiecznie zmęczona. Jurij Borisowicz był inżynierem w zakładach lotniczych. Wysoki, z okrągłą twarzą, która się mocno rumieniła pod wpływem alkoholu.

Na cmentarzu spotkali Leonida Iwanowicza. Jego samotną, zgarbioną tego dnia sylwetkę, Oleg dostrzegł już z daleka. Bił od niej wielki smutek, niepodobny do tej pozytywnej energii, którą dziadek emanował zazwyczaj, gdy się spotykali. Leonid Iwanowicz skinął im milcząco głową na przywitanie. W ręce trzymał kwiaty zawinięte w biały papier. Wszyscy stanęli wokół małego grobu ze zdjęciem Igora Antonowa. Oleg wpatrywał się w nie, starając się wydobyć z pamięci okruchy wspomnień związanych z ojcem: wspólne zabawy, grę w piłkę, mocne ramiona, które podnosiły go w górę jak lekką zabawkę. Jego oczy napełniły się łzami i gdyby nie strach przed wzrokiem dziadków, pozwoliliby, żeby spłynęły po policzkach.

Matka wyjęła szmatkę i butelkę z wodą. Wraz z siostrą zaczęły wycierać marmurową płytę i zmywać z niej kurz. Leonid Iwanowicz położył kwiaty i zapalał znicze. Lew Moisiejewicz i Jurij Borisowicz złożyli duży wieniec, który wcześniej Olga Lwowna zamówiła w sklepiku przy cmentarzu. Stanęli w milczeniu.

– Pod wieczór będzie wieniec od związku boksinerskiego i zawsze są kwiaty od przyjaciół – przerwała ciszę Olga Lwowna. – Wciąż pamiętają.

Jej głos brzmiał obco, przepełniony smutkiem, jakby docierał gdzieś z daleka. Oleg, słysząc go, zrozumiał, że połowa serca matki została złożona w tym grobie, przed którym stoją. Leonid Iwanowicz westchnął głęboko. Wnuk dostrzegł, że ręce dziadka drżą ze wzruszenia.

– Chodźmy, tato, na śniadanie – odezwała się do niego Olga Lwowna, biorąc go pod rękę. Rzadko okazywali sobie czułość.

Przechodząc obok Olega, Leonid Iwanowicz dyskretnie szepnął mu do ucha: „Kopnij mnie, gdybym gadał głupoty”.

Podczas obiadu mężczyźni postawili na stół butelki wódki. Dziadek Lowa, ubrany w jasnoszary sweter, którego kolor był niemal identyczny z barwą jego włosów, wytarł głośno nos. Oleg popatrywał na niego – na krzaczaste czarne brwi, duży nos i wielkie uszy, które poruszały się w górę i w dół, gdy przeżuwał jedzenie. Matka odziedziczyła po nim duże usta. Jej dodawało to uroku, jemu trochę odbierało męskości.

Oleg przyniósł album ze zdjęciami ojca oraz księgę pamiątkową poświęconą igrzyskom olimpijskim w Meksyku. Chociaż wszyscy oglądali ją dziesiątki razy, po raz kolejny usiedli na kanapie, przekazując sobie album z rąk do rąk.

– Boże mój – mówił Jurij Borisowicz. – Nikt z nas nie wierzył, że Igor może zejść tak wysoko.

– Ja wierzyłem – zachnął się Leonid Iwanowicz. – Wierzyłem, bo chłopak miał cholerną ambicję. Zawsze wstawał, podnosił się. A przecież wcześniej nie miał łatwej drogi, nieraz dostał mocno i aż łzy miałem w oczach, jak to widziałem. Ale dawał radę. Nie bał się.

– No, Leonidzie Iwanowiczu, Jurij – zwrócił się do mężczyzny Lew Mojsiejewicz, podnosząc szklanę z wódką.

– Mów mi Lonia – rzekł Leonid Iwanowicz, unosząc swoją szklanę w stronę Lwa Mojsiejewicza. Wypili bruderszaft. Leonid Iwanowicz przyłożył kromkę chleba do nosa i wciągnął głęboko powietrze. Potem się ucałowali.

– Lwa – odpowiedział Lew Mojsiejewicz, szukając ogórka na zagryzkę.

– Więc chcę powiedzieć, Lonia... – zaczął ponownie Lew Mojsiejewicz, wciągając ogórek w mięsiste wargi. – Musisz przyznać, że srebrnego medalu nikt się nie spodziewał. Igor nigdy nie był nawet mistrzem kraju.

– W sześćdziesiątym ósmym był wicemistrzem – wtrącił się Oleg.

Leonid Iwanowicz nalał wódki do szklanek Lwa Mojsiejewicza i Jurija Borisowicza.

– Dla pań? – zwrócił się do Anny i Olgi.

– A jak najbardziej – obruszyła się Anna Lwowna, uznając samo pytanie za niestosowne.

– Widzisz – zaczął Leonid Iwanowicz – Igor to była taka dusza, że jak chciał coś osiągnąć, to walczył do upadłego. Ale żeby nie było, wiedział, że to tylko sport i że jest też rodzina, Olga, Oleg. Że wszystkiego nie wolno mu porzucić dla pogoni za sukcesem. Jak postanowił się zmobilizować i swoje zrobić, to tak zrobił. Może nie był najlepszy technicznie, więc powiedział sobie: „Nie będę czekał na werdykt sędziów, załatwię to sam”. Trzech położył przez nokaut. No, Amerykaniec był za mocny. Ale i z nim poszedł na walkę, nie uciekał, nie klinczował.

– Foreman już wtedy był silny jak tur – powiedział zamyślony Jurij Borisowicz, którego twarz zaróżowiła się jak u prosiaka. – Pamiętam dokładnie tę walkę. Igorowi krew zalewała twarz, ale starał się walczyć otwarcie i, jak mówi Leonid Iwanowicz, nie uciekał, nie klinczował[6].

– Skoro dotarł do finału, to czego miał się bać. Trzeba było spróbować, drugiej szansy nie dostaniesz od życia – stwierdził filozoficznie Leonid Iwanowicz, patrząc przed siebie. Potem wzruszył się i dodał: – Mój syn. Mój syn.

Podniósł szklanę.

– Za naszego Igora.

Wypili i chwilę milczeli. Leonid Iwanowicz dolał wszystkim wódki.

– Z Foremanem przegrać nie wstyd – przerwał ciszę Jurij Borisowicz. – To w sumie jeden, za... z tych największych bokserów. W całej historii boksu. – Jurij Borisowicz nie miał mocnej głowy i po dwóch wypitych naraz szklankach język zaczął się mu się lekko plątać.

– Ambitny był chłopak – rozrzewnił się Leonid Iwanowicz. – Pamiętam, muzykę klasyczną słyszę z jego pokoju. Nie wiem, nie znam się dobrze, czy to Czajkowski był, czy kto. Mówię do niego: „Ty co, muzykiem chcesz zostać?”. A on mi na to: „Dziewczynę wspaniałą poznałem. Inteligentna. Muzykę lubi, to ja też chcę posłuchać. Płyt trochę kupiłem”. Tak, tak, dla ciebie, Olgo, chciał nawet na uniwersytet pójść. „Ale wpierw... – mówi – medal olimpijski przywiozę, żeby nie było, że nic nie potrafiłem osiągnąć i dlatego rzuciłem boks. Medal będzie, nikt nie powie, że mięczak jestem”.

– Zabrałam go w Odessie na *Oniegina* – szepnęła wzruszona Olga Lwowna.

– Wtedy, co na obóz nauczycielski pojechałaś? – Kira Josifowna pokiwała głową. – Po latach się dowiedziałam, że Igor też tam był.

– Mamo, byliśmy młodzi. Nie pytam, co wy z ojcem robiliście w naszym wieku.

– To były inne czasy. – Kira Josifowna się zmieszała. – Wojna. Każdy dzień mógł być ostatnim.

– A poza tym my mieszkaliśmy w domu wczasowym, a on to tu, to tam. Nie był jeszcze taki znany, pieniędzy też nie miał. Gdy wybraliśmy się do opery, garnitur dla niego pożyczyłam z pralni.

– Wypijmy – zakomenderował Leonid Iwanowicz.

Wszyscy posłusznie wychylili szklanki i zagryźli ogórkami, chlebem i rybą.

– Poznaliśmy się u Maszy Ignatowej – ciągnęła Olga Lwowna. – Opowiadał o miejscach, do których jeździł jako sportowiec. Imponowało mi to, bo za granicą nie byłam. Chciał mnie odprowadzić do domu. Uważałam, że za wcześnie. Wymknęłam się po cichu. Byłam pewna, że nie zauważył. Wsiadłam do trolejbusu przy Pirogowskiej. Patrząc przez szybę i co widzę? Igor goni trolejbus. Spoglądam na kierowcę, a on zerka w lusterko i specjalnie dodaje gazu. Odwracam się znowu, myślę, zrezygnuje. A Igor wciąż biegnie. Trolejbus skręcił w lewo w bulwar Zubowski. Patrząc wciąż za siebie, mówię sobie: „nie dogoni”, ale jakieś wzruszenie się we mnie rodzi, mam łzy w oczach, kiedy widzę, jak biegnie, choć nie ma szans. Stał, musiał przepuścić samochody. Trolejbus odjechał. Spojrzałam za nim smutny. I wtedy dostrzegłam, że stoję na przystanku. Stałam i śmiałam się do niego, łzy miałam w oczach i się śmiałam. Podszedł zasapany i właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Ale w jego szarobłękitnych oczach widać było wszystko. Spoglądałam na niego, patrzyłam w jego oczy i czułam ciepło, cieszyłam się, że wysiadłam. A on nagle rzucił: „Przepraszam, że przeze mnie musieliście wysiąść,

powiniennem popracować jeszcze nad dynamiką”.

– Tak powiedział? – Anna Lwowna się zaśmiała. – „Nad dynamiką”?

– Tak. Poczuł wstyd, że nie dogonił trolejbusu – rzekła zamyślona Olga Lwowna. – Skojarzyło mi się to z dynamikami newtonowskimi i chciałam mu coś odpowiedzieć, ale tylko się uśmiechnęłam. Tata rozleje jeszcze – zwróciła się do Leonida Iwanowicza, który zapadł w lekki letarg, słuchając opowieści synowej.

– Tak, napijmy się – dodał Lew Mojsiejewicz.

– Trzeba otworzyć nową butelkę – zauważył Jurij Borisowicz, zdejmując z pewnymi problemami nakrętkę.

– Lej powoli, bo rozlejesz – mruknął Lew Mojsiejewicz.

– Pamiętam, jak Olga przyprowadziła Igora na obiad. Pierwszy raz. Czerwienił się i ręce mu się trochę trzęsły – powiedziała z uśmiechem Kira Josifowna.

– Czerwony to był od mrozu, mamó – sprostowała Anna Lwowna. – Pamiętam, bo to było przed Nowym Rokiem. Zaprosił Olgę na prywatkę sylwestrową i poradziłam jej, aby wcześniej wam go przedstawiła.

– Potężny chłop, jadł za dwóch – ciągnęła Kira Josifowna.

– Bo mu kazałam – rzuciła ze śmiechem Olga Lwowna. – Ostrzegłam go, że się obrazisz, jak nie zje. On mi na to: „Dobrze, że nie muszę wagi zrzucić”. A ja do niego: „Dynamikę stracisz”. Nie pamiętał i nie skojarzył, dlaczego to powiedziałam. Tylko się zmartwił i przytaknął. Ale jadł.

– To już wiecie, dlaczego nie zdobył mistrzostwa kraju. Stracił szybkość po blinach Kiry – zawyrokował Lew Mojsiejewicz.

– Tak, życie ze sportowcem to niełatwa sprawa – zauważyła filozoficznie Olga Lwowna. – Ciągłe w napięciu, kalendarz turniejów dyktuje ci sposób życia, lekarz klubowy wtrąca się nawet w dietę. Pouczał mnie, co mam gotować.

– Ale były też plusy. Te ośrodki wczasowe na południu, wspaniała rzecz – wtrąciła Anna Lwowna. – Zazdrościłam strasznie Oldze tych balów olimpijczyków. Tylu znanych z telewizji sportowców, dziennikarzy, nawet aktorów.

– Uczyliśmy się z Igorem tańczyć, żeby się jakoś tam odnaleźć. – Olga Lwowna westchnęła. – Ani mnie, ani jemu nie szło to najlepiej. Ale staraliśmy się i przynajmniej z lekcji mieliśmy dużo uciechy. Na bal zawsze było ciężko dopasować garnitur.

– Nic mi nie mów o garniturach – weszła jej w słowo Kira Josifowna. – Pożyczyłam mu garnitur twojego ojca, a gdy tylko spróbował się wyprostować, poszły szwy na plecach. Bałam się Lowie powiedzieć i zszywałam nocą.

– I niby mnie się bałaś? – Lew Mojsiejewicz zaśmiał się, całując dłoń Kiry Josifowny. – A wiecie, że to wtedy otwarła się szachowa kariera przed Olegiem? – zagadnął, rozlewając wódkę do szklanek.

– Jak to? – spytała Anna Lwowna.

– A tak – rzekł Lew Mojsiejewicz, czując satysfakcję, że przykuł uwagę wszystkich. – Widzicie, kiedy Olga szykowała się do balu, usiedliśmy z Igorem i nie bardzo wiedziałem, na jaki temat zacząć z nim rozmowę. Spojrzałem na szachownicę z rozstawioną pozycją, widziałem, że przyglądał się jej z zainteresowaniem, więc spytałem, czy nie rozegrałby partyjki szachów. Wtedy zaczerwienił się, na pewno nie od mrozu. – Pochylił się w kierunku Anny Lwowny. – Bąknął, że nie umie, ale obiecał, że swojego syna na pewno nauczy. I słowa, jak widać, dotrzymał.

– Igor zawsze słowa dotrzymywał, choć ja uważałem, że szachy to niemęska gra – wtrącił się Leonid Iwanowicz, akcentując swoją wypowiedź głębszym łykiem wódki. – Kopnąłeś mnie w kostkę Oleg.

– Przepraszam, dziadku, myślałem, że to noga od stołu.

– Swoją drogą, chłopak ma niezłego kopa – zauważył Leonid Iwanowicz. – Mógłby grać w trampkarzach Spartaka.

– No, ale w boksie Igor wdrapał się na szczyt, wypijmy za jego srebrny medal olimpijski! – Jurij Borisowicz poderwał się z krzesła. – Gdzie właściwie przepadł ten medal?

– Ech – zmartwiła się Olga Lwowna. – Przepadł i już. Igor zabierał go ze sobą na różne wyjazdy, chciał go mieć przy sobie. Aż wrócił z Kazania bez medalu. Ukradli mu pewnie.

– Chrzanić kawałek metalu! – zawołał Jurij Borisowicz. – Pijmy za sukces i za to, że żyje on w naszej pamięci.

Wszyscy powstali i wypili w milczeniu toast.

– Pamiętam, oglądaliśmy finał wszyscy razem, jeszcze żyła Irina – rzekł, opadając na krzesło Leonid Iwanowicz. – Nasz telewizor wiecznie nawalał, więc przyszliśmy tu do was.

– Oleg miał ze cztery lata – przyłączyła się Olga Lwowna. – Siedział u mnie na kolanach i mało rozumiał. Zaczął płakać, gdy zobaczył, że tata ma twarz we krwi. Musiałam go odesłać do drugiego pokoju. Zresztą ja też płakałam. Jak zbliżenie zrobili, kiedy wycierali mu krew, poczułam taki ucisk w sercu, że marzyłam tylko, by skończyli walkę.

– Dobrze, że trenerzy go poddali. Nie było sensu dalej walczyć – zgodził się Lew Mojsiejewicz.

– Zawsze jest sens – zaoponował Leonid Iwanowicz. – Napoleona i Hitlera też pokonaliśmy, chociaż na początku dostawaliśmy w skórę.

– Płakałam, gdy go poddali, bo było mi tak bardzo żal. – Olga Lwowna westchnęła głęboko. – Ale potem, kiedy odbierał medal, płakałam znowu, tyle że z dumy i szczęścia. Kto mógł się spodziewać... Mój Igor wicemistrzem olimpijskim. Wtedy dopiero do mnie dotarło, jak wiele osiągnął, do czego doszedł.

– Za szybko odszedł od nas, za szybko – szepnęła Kira Josifowna.

– Krwiak, *compressio cerebri*, ucisk na mózg, wzrost ciśnienia tętniczego i asystolia – szeptał Lew Mojsiejewicz, jakby stawiał diagnozę, po czym z niedowierzaniem pokręcił głową i wychylił kolejną szklankę wódki.

Rozmowa przeciągnęła się do wieczora. Po kolacji i kilku kolejnych szklankach wódki Leonid Iwanowicz i Lew Mojsiejewicz zaczęli wspominać frontowe historie.

– Nie wiem, czy wam już opowiadałem, jak przywieźli do mnie chłopaka z urwaną od połowy uda nogą, do zszywania – zaczął Lew Mojsiejewicz.

– Tak, tato, wiele razy – powiedziała Anna Lwowna.

– No tak, ale opowiem raz jeszcze, bo może Lonia nie słyszał. No, więc ten chłopak mówi: „Buty mi zdejmijcie i dajcie tu pod głowę”. A ja mu na to: „Synu, pal diabli buty”. Ale chłopak się upiera: „Nie, ojczulku, buty nowe, dobre, dajcie mi”. Dałem znak pielęgniarzowi, by zdjął mu but i podał. A chłopak na to: „Drugi mi dajcie”. Powoli tracę cierpliwość i mówię: „Synu, drugi się zgubił”. A on: „Niemożliwe, ciągle go czuję na nodze”.

Oleg zebrał naczynia i wyszedł do kuchni, w której Jurij Borisowicz, uwieszony na lodówce Mińsk, opowiadał o swojej pracy w lotniczym biurze projektowym. Wspominał, niemal płacząc, o dopiero co zakończonej karierze dumy radzieckiego lotnictwa Tu-144, o silnikach turboodrzutowych Kolesowa, które nie pomogły go utrzymać w produkcji. Rozrzewnił się tak, że Anna Lwowna musiała go przytulić i pocieszać, mówiąc, że jest jej misiem.

– Wszystko przez to – grzmiał Jurij Borisowicz – że zamiast ufać własnym projektom, wzorujemy się na tych zachodnich czy amerykańskich, i wychodzi ni pies, ni wydra.

Oleg zamknął się w swoim pokoju i poprawił zdjęcie ojca stojące na półce, po czym położył się na łóżku i postanowił, że zostanie szachowym mistrzem świata.

Moskwa–Rejkiawik, grudzień 1979

Grudniowy chłód zaskoczył moskwian jak nagła słabość po wypiciu kolejnej szklanki spirytusu. Niby każdy wie, że nadejdzie, lecz kiedy przychodzi, nie jesteśmy na tę słabość gotowi. Tak było z zimą, która uderzyła gwałtownie, zasypała ulice ciężką pierzyną śniegu, a mróz, niczym kapryśny artysta tworzący happening, malował akwarele na oknach, zamrażał nawet wódkę w butelkach żywo dyskutującym o tym cudzie natury amatorom picia na świeżym powietrzu i zaskakiwał kierowców, którzy przeklinali, słysząc ciche rżenie swoich

samochodów.

Ale dla rosyjskich szachistów sroga zima była całkowicie na marginesie tego, co zaprzątało ich myśli, od dwóch miesięcy bowiem cały szachowy świat żył meczem o mistrzostwo świata między obrońcą tytułu Tigranem Wartanowiczem Gurgenidzem a amerykańskim pretendentem Robertem Zimmermanem. Prasa zachodnia przedstawiła ten mecz jako symboliczne starcie zimnowojenne. Naprzeciw komunistycznej maszyny stanął samotny bohater, przedstawiciel „wolnego świata”, Bobby Zimmerman.

Z Rejkiawiku, gdzie zamierzano rozegrać mecz, napływały bardzo intrygujące i zarazem bulwersujące wieści. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy Amerykanin w ogóle przystąpi do pojedynku. Negocjował stawki, zagroził, że jeśli nie dostanie dodatkowych dwustu tysięcy dolarów, meczu nie będzie. W końcu znalazł się prywatny sponsor, miłośnik szachów, który nie mógł sobie odmówić przyjemności obserwowania „pojedynku stulecia”, jak prasa zaczęła nazywać ten mecz, i wyłożył stosowne pieniądze. Ale nikt nie wiedział, czy to już koniec żądań Amerykanina i czy rzeczywiście zjawi się w stolicy Islandii.

Każdego poranka Jewtuszenko jechał na lotnisko, czekał na pasażerów samolotu z Nowego Jorku, po czym dzwonił do hotelu, w którym zatrzymała się radziecka delegacja, i informował: „Zimmermana nie ma. Nie przyleciał”. I w końcu mało kto wierzył, że przyleci. Gurgenidze grał całymi dniami w karty, coraz bardziej się rozprężając. Gdzieś w podświadomości liczył, że wygra walkowerem, bo Amerykanin po prostu nie stawi się na mecz. Kiedy Zimmerman nie przybył na losowanie kolorów w dniu poprzedzającym rozpoczęcie pojedynku, to, co było dotąd przypuszczeniem, stało się niemal pewnością. Gurgenidze zaczął odczuwać sprzeczne emocje. Z jednej strony wypełniło go poczucie ulgi, z drugiej – głębokie rozczarowanie, że tak obroniony tytuł nie da mu satysfakcji i że prasa zachodnia będzie spekulować, co by było gdyby, i nigdy nie uwolni się od tego dręczącego pytania: „Czy pokonałby Zimmermana?”.

W dniu, w którym wyznaczono początek meczu, Jewtuszenko zadzwonił jak zwykle z lotniska.

– Jest! Przyleciał! Powtarzam, Zimmerman przyleciał! – krzyczał do słuchawki. Gurgenidze poczuł zapewne to samo co Hektor, gdy stojąc na murach Troi, obserwował zbliżające się statki z Hellady.

Na pierwszą partię Zimmerman ostentacyjnie spóźnił się około kwadransa, docierając do sali gier prosto z konferencji prasowej. Amerykanin grał tego wieczoru nierówno i w remisowej końcówce popełnił prosty błąd, za który został skarcony przez Gurgenidzego. Ale radości w zespole radzieckim nie było. Wieczorem arcymistrzowie siedzieli wspólnie przy kolacji.

– Nie ma co analizować – mówił sceptycznym tonem Rugullis. – Ot, po prostu głupi błąd w równej końcówce, który kompletnie nic nie znaczy. Nie ma mowy o tym, aby na tej podstawie oceniać jego formę.

Gurgenidze przytaknął.

– Jakoś mnie ten punkt nie cieszy. – Uśmiechnął się kwaśno. – Za łatwo przyszedł.

Tak więc zdaniem większości obserwatorów dopiero druga partia miała odpowiedzieć na pytanie, jaki jest prawdziwy układ sił. Spodziewano się, że Zimmerman, grając tym razem białymi pionami, będzie chciał zaatakować, aby szybko wyrównać rezultat. Zespół radziecki czekał w napięciu. Pięć minut po szesnastej Gurgenidze zjawił się w sali gier i, przywitany oklaskami widzów, zajął swoje miejsce. Był zły. Szachowy savoir-vivre nakazywał, aby to pretendent oczekiwał mistrza. Czyniąc zadość tradycji, Gurgenidze spóźnił się pięć minut, ale widać pięciominutowe spóźnienie nie wystarczyło. Siedział więc sam na scenie, spoglądając na zegar, który odmierzał czas Amerykanina. Po piętnastu minutach oczekiwania mistrz świata zrozumiał, że Zimmerman tego wieczoru w ogóle nie stanie do gry. Wezwał do siebie sędziego, wdał się z nim w dyskusję, choć właściwie tylko dla zabicia czasu. Sędzia przypomniał, że zgodnie z regulaminem może ogłosić walkower dopiero po godzinie. Gurgenidze ukrył się za kulisami i czekał, coraz bardziej upokorzony i rozeźlony zachowaniem Amerykanina. Publiczność zaczęła gwizdać i buczeć. Wieczorem na konferencji prasowej sztab amerykański odczytał oświadczenie, w którym poinformował, że pretendent, arcymistrz Robert Zimmerman, nie zjawiając się na drugą partię, zaprotestował w ten sposób przeciwko hałasowi, jaki powodują kamery telewizyjne pracujące w sali gier. W obozie radzieckim zawrzało. Zachowanie Amerykanina uznano za narodową zniewagę, nie mówiąc już o afrontie, z jakim spotkał się mistrz świata. Zamiast przygotowań do kolejnej partii, granej przez Gurgenidzega białym kolorem, praktycznie cały wieczór zajęły dyskusje nad tym, jak należy się zachować w tej sytuacji. Szejn proponował, żeby oddać punkt, nie stawiając się na kolejną partię.

– A co, jeśli Amerykanin znów odmówi gry? – zadał pytanie Jewtuszenko. – Mecz zmieni się w farsę.

Kierownik radzieckiej delegacji, Bondariewski, był zdania, że trzeba trzymać się regulaminu i nie zważając na prowokacje Amerykanów, robić swoje. Argumentował, że przy wyniku dwa do zera Gurgenidze będzie w stanie utrzymać przewagę do końca meczu.

Ale sam Gurgenidze czuł, że właśnie teraz ten mecz przegrywa. Był rozsierdzony do granic. Przystępował do gry z dwoma punktami forów, co przypominało mu opowieści o dawnych mistrzach, którzy grając w kawiarniach z amatorami, aby wyrównać szanse, zaczynali partię bez którejś figury. A on przecież był mistrzem świata.

– Trzeba zwrócić punkt – rzekł do Bondariewskiego, przychylając się do opinii Szejna. – Nieważna prasa, nieważni kibice. Nie jesteśmy, do cholery, pionierami, którzy trzymają się regulaminu! – zagrzemiał.

Ale Moskwę interesowało wyłącznie zwycięstwo i nikt w Sportkomitecie nie miał zamiaru przejmować się psychologicznymi niuansami i ambicjonalnym dyskomfortem Gurgenzidzego. Dwa punkty przewagi oznaczały wielką szansę na końcową wygraną. Tak więc po konsultacjach z Moskwą przeważało zdanie Bondariewskiego. Gurgenzidze miał przystąpić do trzeciej partii. Sztejn poszedł się upić, Krutin na znak protestu opuścił radziecką delegację i wrócił do Leningradu. Kiedy wydawało się, że wszystko zostało ustalone, dwie godziny przed rozpoczęciem partii nadeszła kolejna sensacyjna informacja. Zimmerman zażądał przeniesienia pojedynku do osobnego pomieszczenia, bez widzów, bez kamer. Było to złamanie regulaminu meczu uzgodnionego przez delegacje amerykańską i radziecką na kilka tygodni przed meczem. Stanowisko Międzynarodowej Federacji Szachowej oraz organizatora meczu było jasne: jeśli Gurgenzidze się zgodzi, możemy pójść na rękę Amerykanom. W przeciwnym razie mecz musi być kontynuowany tak, jak uzgodniono. W odpowiedzi Zimmerman zagroził zerwaniem całego pojedynku. Sportkomitet przysłał z Moskwy jasną instrukcję: „Mecz ma być kontynuowany w głównej sali. Żadnych ustępstw”. To był poker. Gurgenzidze nie wiedział, czy Zimmerman blefuje. Odrzucał aprobatę dla myśli, że przyjdzie mu wygrać walkowerem. Nie chciał trafić do encyklopedii szachowych jako ten, który obronił tytuł dzięki walkowerowi. Ta wizja była mu wstrętą. Poprosił Sztejna i Jewtuszenkę, aby w tajemnicy przed Bondariewskim przekazali Amerykanom informację, że zgadza się na żądanie Zimmermana.

Następnego dnia o szesnastej rozpoczęła się trzecia partia. Tak jak tego chciał „genialny Bobby”, w zamkniętym przed widzami pokoju przebywali tylko on i Gurgenzidze. Bondariewski wpadł we wściekłość. Bał się, że zostanie rozliczony za to, iż nie potrafił zapanować nad kryzysem. Jedyne, co mogło ich uratować, to pogrom Zimmermana. Pogrom był, ale to Gurgenzidze przegrał w zadziwiająco łatwy sposób, grając zdecydowanie poniżej swojego normalnego poziomu. Sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zespół radziecki był w rozsypce, Gurgenzidze zasklepił się w swoim świecie urażonych ambicji i nie było z nim kontaktu. Bondariewski starał się ratować mecz. Udało mu się z powrotem przenieść pojedynki do głównej sali. Zaczął słać protest za protestem, chcąc wybić Amerykanów z uderzenia i zniwelować uzyskaną przez nich przewagę psychologiczną. Ale było za późno. Przełom został dokonany. Zimmerman doskonale o tym wiedział. Zaszokował jeszcze zespół radziecki całkowitą zmianą repertuaru debiutowego, pozostawiając rywala praktycznie bez wsparcia teoretycznego, bez przygotowanych na mecz wariantów. Teraz, mając przeciwnika w narożniku, Zimmerman był już gotowy, by skupić się wyłącznie na szachach, i grał rzeczywiście fantastycznie. Gurgenzidze przegrał kolejno trzy partie, i to tak łatwo, jakby działał pod wpływem hipnotycznej siły Amerykanina. Delegacja radziecka zażądała rozebrania na części fotela Zimmermana w celu sprawdzenia, czy nie znajdują się tam urządzenia, które mogłyby emitować fale oddziałujące na mózg Gurgenzidzego. Tymczasem mistrz świata popadł w

przygnębień, grał apatycznie, bez wiary, bez koncepcji, tracił mnóstwo czasu na fazę debiutową, rozgrywając nieznane sobie otwarcia. Nie było recepty na przełamanie tego fatalnego trendu. Grali do sześciu zwycięstw. Wynik cztery dwa dla pretendenta stawiał mistrza w bardzo trudnym położeniu, choć wciąż nie w beznadziejnym. Wreszcie po serii remisów Gurgeniidze przełamał się i wygrał. W serca rosyjskich kibiców wstąpiła nadzieja. Ze wszystkich zakątków Związku Radzieckiego przychodziły do Moskwy listy poparcia i otuchy dla mistrza świata, czasem były to porady, czasem gotowe warianty do wykorzystania przeciwko „Amerykańcowi”. Ewentualna porażka ich reprezentanta byłaby rzeczą bolesną, ale porażka po takiej serii upokorzeń, po takim prowokacyjnym zachowaniu pretendenta była absolutnie nie do zaakceptowania. Naród solidaryzował się ze swoim mistrzem. Nie znając prawdziwych powodów wyjazdu Krutina z Rejkiawiku, radzieccy miłośnicy szachów mieli do niego żal, że porzucił zespół i uznali to za zdradę.

W tej atmosferze wielkiego napięcia w wieczór, na który przypadała trzynasta partia, w Centralnym Moskiewskim Klubie Szachowym zorganizowano spotkanie arcymistrzów z młodzieżą. Poczucie solidarności z Gurgeniidzem sprawiło, że szachiści postanowili kolejną partię analizować razem, na żywo. Arcymistrz Aleksiej Eduardowicz Denisow prezentował na magesowej szachownicy posunięcia obu graczy. Ze względu na różnicę czasu w Moskwie dochodziła już jedenasta wieczór. Oleg czuł podniosłą atmosferę, obserwował, jak z niemal nabożnym szacunkiem Denisow przesuwają na tablicy figury, komentując poszczególne posunięcia. Zgromadzeni arcymistrzowie dodawali swoje uwagi, dyskutowali, czasem nawet spierali się o to, co się wydarzy lub który z graczy ma przewagę. Obok Olega siedziało rodzeństwo z Armenii – Arszak i Jelena Oganiesjan, z którymi udało mu się zamienić kilka zdań. Pomimo zainteresowania mistrzowską partią zerkał ukradkiem na osiemnastoletnią Jelenę, która zachwycała go swoimi kruczoczarnymi włosami. Nie potrafił się skupić na szachach, wiedząc, że dziewczyna siedzi tuż obok, niemal czuł prąd przebiegający pomiędzy ich dłońmi. Jednak w pewnym momencie zauważył, że Jelena i Arszak są całkowicie pochłonięci tym, co na tablicy demonstruje Denisow. Zawstydzony i pełen niesmaku dla własnej słabości, wrócił do obserwowania tego, co działo się w dalekiej Islandii.

Zimmerman po raz kolejny zaskoczył wszystkich dobozem otwarcia. Obrona Alechina nie gościła praktycznie nigdy w meczach o mistrzostwo świata. Jej twórcą był Aleksander Alechin, niegdysiejszy mistrz świata, postać budząca skrajne emocje – od uwielbienia dla genialnego szachisty po potępienie jego życiowych postaw. Ten niezwykle twórczy umysł stworzył debiut ogromnie prowokacyjny, efektowny, acz bardzo niebezpieczny, przypominający kluczenie lisa przed ścigającą go sforą psów gończych. Tyle że w rolę lisa wcielił się skoczek wykonujący piruety tuż przed czwórką białych pionków. Debiut wydał się wprost wymarzony dla Zimmermana, który pragnął sprowokować ostrożnego

Gurgenidzego do odrobiny szaleństwa.

Arcymistrzowie zgromadzeni w sali w Moskwie byli zgodni, że pozycja mistrza świata jest nieco lepsza, ale jednocześnie nie widzieli konkretnych planów, jak tę minimalną przewagę wykorzystać. Oleg, przysłuchując się ich dyskusji, miał nieodparte wrażenie, że lepiej od innych czuje psychikę Amerykanina i że przy dynamicznej analizie ocena sytuacji na szachownicy nabiera nieco innego charakteru, a przewaga radzieckiego mistrza jest tylko iluzoryczna, gdy tymczasem ustawienie figur pretendenta kryje w sobie wiele ciekawych możliwości. Nie miał jednak odwagi głośno wypowiedzieć takiego sądu, tym bardziej że na sali znajdowały się prawdziwe autorytety radzieckich szachów. Zamiast tego starał się coraz głębiej i głębiej wniknąć w umysł Zimmermana i odczytywać jego myśli i motywy, aby łatwiej przewidywać decyzje. Po pewnym czasie zauważył z dumą, że jego własne typy w stosunku do posunięć pretendenta są trafniejsze niż komentujących partię arcymistrzów. W odniesieniu do ruchów Gurgenidzego ta proporcja była dokładnie odwrotna, Oleg mylił się znacznie częściej.

Denisow starał się zachować umiarkowany optymizm, tymczasem fakty były takie, że krok po kroku mistrz oddawał inicjatywę pretendentowi. Czuło się, jakby figury Gurgenidzego poruszały się z coraz mniejszą energią, nieśmiało, defensywnie. Oleg rozumiał to bardzo dokładnie. Jego umysł z ogromną prędkością proponował kolejne schematy rozstawienia figur, a intuicja dokonywała równie szybko eliminacji tych zbędnych, zatrzymując uwagę chłopca na dłużej jedynie przy ciekawszych kontynuacjach. W samej końcówce stała się rzecz dla Olega niewiarygodna, w szachach praktycznie niespotykana. Wśród wielu kombinacji dostrzegł obraz pozycji, która bardzo przypominała tę, jaką grał kilkanaście tygodni wcześniej właśnie z Gurgenidzem podczas symultany w domu kultury przy prospekcie Komsomolskim. Różnica polegała na tym, że Zimmerman dysponował w niej jednym pionkiem więcej. Umysł Olega wydobył tę pozycję spośród setki innych obrazów i raz jeszcze rozpoczął drobiazgowy proces analizy. Chłopiec całkowicie wyłączył się z tego, co działo się w sali. Widział kolejne warianty związane z poświęceniem figury przez Zimmermana i zamknięciem przez niego wieży w narożniku, co prowadziłoby do utworzenia niemal kopii pozycji, którą on, Oleg, rozgrywał z Gurgenidzem. Chłopiec nie wytrzymał, poderwał się ze swojego miejsca i zupełnie nie zważając na innych widzów, podszedł do szachownicy, na której demonstrowano posunięcia, i mocnym głosem, drżąc z podniecenia, zaczął objaśniać zgromadzonym możliwą koncepcję gry, która dałaby zwycięstwo Zimmermanowi, gdyby zdecydował się poświęcić figurę i zamknąć swoją wieżę w zamian za atak czterech pionów. Kiedy skończył, w sali panowała cisza. Wszyscy patrzyli na niego w osłupieniu. Oleg zrozumiał, że się wygłupił.

– Wybaczcie – odezwał się cicho do Denisowa. – Chciałem tylko podzielić się pomysłem, który przyszedł mi do głowy.

Wrócił na miejsce, spuszczać ze wstydu wzrok i czując, że twarz mu płonie.

– To było genialne – szepnął Arszak, nachylając się do Olega. Po chwili dodał, mrugając: – Jak będziesz grał z Zimmermanem, chcę być twoim sekundantem.

– Siedź cicho, debilu! – syknęła do brata Jelena.

Trwało to chwilę, zanim Denisow przerwał milczenie po wystąpieniu Olega, jakby wciąż analizował przedstawiony przez chłopca wariant.

– Pozwólcie – zaczął spokojnym tonem – że wrócę do pozycji, która stała kilka minut temu na desce w Rejkiawiku. – Sala się zaśmiała. Denisow pomału przywrócił figury na ich miejsca. Mężczyzna, który przekazywał informacje o posunięciach wykonywanych w Rejkiawiku, szepnął mu coś na ucho. Arcymistrz, nie zmieniając tembru głosu, poinformował wszystkich, że partia, niestety, w tym miejscu została odłożona po czterdziestym pierwszym posunięciu i będzie kontynuowana nazajutrz.

– Będziesz jutro? – spytał Olega Arszak, gdy ubierali się w szatni.

– Nie, chyba nie, jutro nie będę mógł – wykręcał się Oleg, wiedząc, że w oczach Jeleny jest spalony.

– Bardzo mi się podobała twoja idea. Lubię takie szalone szachy – ekscytował się Arszak. – Uwielbiam Szejna i jego niezwykle poświęcenia figur. Ale Zimmerman rozważa wszystko na chłodno i nie lubi ofiarowywać figur.

– No tak – przyznał Oleg. – Po prostu zobaczyłem tę pozycję i chciałem się ze wszystkimi podzielić.

– Ciekawe, co jutro wymyślą – wysapał Arszak, który zmęczył się kolejną próbą wciągnięcia na siebie ciasnej kurtki z misia. – Mają przed sobą noc. Oni idą spać, a sekundanci do roboty.

– Podobno Zimmerman pracuje sam, nie ufa sekundantom.

– W sumie kogo by tam miał słuchać w Ameryce? – rzucił Arszak, nakładając futrzaną czapkę. – Idę. Trener czeka z Jeleną. Matka kazała, żebym jej pilnował. Wiesz, co to znaczy. Jakby co, to intruza nożem pod żebro. – Arszak mrugnął do Olega, który nie wiedział, czy to był żart, czy też prawdziwe ostrzeżenie. – Do zobaczenia, Oleg.

– Trzymaj się, Arszak.

Oleg wrócił do domu po północy. Położył się do łóżka i marzył o Jelenie. Z fantazją pod powiekami przeżył swój pierwszy raz, czując ekscytację z tego powodu i wstyd na myśl, że matka może się rano domyślić.

Na drugi dzień pod wieczór wpadł do nich Zwieriew, który przyprowadził ze sobą Denisowa.

– Dzień dobry, Olgo Lwowna – zaczął Zwieriew. – Chciałem wam przedstawić Aleksieja Eduardowicza Denisowa. Czasem będzie pracował z Olegiem.

– Dobry wieczór, Olgo Lwowna. – Denisow uklonił się i pocałował matkę Olega

w podaną mu dłoń.

– Dobry wieczór, Aleksieju Eduardowiczu. Oleg dziś jakiś nieswój. Nie wiem, może chory. Gorączki wprawdzie nie miał. Rano był niewyraźny, pozwoliłam mu zostać w domu. Leży teraz w łóżku.

– Mm, niedobrze. Chcieliśmy mu pokazać dogrywkę wczorajszej partii. – Zwieriew się zasepił.

– Wasz syn doskonale przewidział rozwój zdarzeń – wtrącił się Denisow.

– Oleg! – Olga Lwowna zapukała do drzwi pokoju syna. – Oleg, wyjdź, masz gości.

– Zaraz. Zaraz wychodzę – odpowiedział lekko spłoszony Oleg. – Przebiorę się tylko.

– Wejdźcie, rozbierzcie się, postawię wodę na herbatę. Zimno na dworze?

– Bardzo.

– I kto w końcu wygrał tę ostatnią partię?

– Zimmerman – odrzekł Zwieriew, wchodząc do salonu. – Niezapomniana dogrywka. Można powiedzieć: już po wszystkim. Tigran Wartanowicz już się po tym nie podniesie. Nie przy takiej przewadze Amerykanina.

– Po wszystkim – przyznał Denisow.

– Witaj, Oleg. – Zwieriew uśmiechnął się na widok chłopca niosącego pod pachą szachy. – Jak się czujesz?

– Dzień dobry, Aleksandrze Władimirowiczu, dzień dobry, Aleksieju Edaurdowiczu – przywitał się chłopiec. – Czy dobrze słyszałem? Dogrywka przegrana?

– Patrz, jaki dziś elegancki nasz młodzieniec. – Denisow zachichotał.

Oleg się zmieszał.

– Gurgenidze przegrał z kretesem. – Zwieriew westchnął. – Noc na pewno była przepracowana dobrze, bo obaj grali wspaniale, ale naszemu żelaznemu Tigranowi tym razem puściły nerwy. Stracił szansę na remis. Inna rzecz, czy ktokolwiek znalazłby właściwe posunięcie ratujące remis, siedząc naprzeciw Zimmermana po nieprzespanej nocy?

Zaczęli analizować to, co stało się w Rejkiawiku. Olga Lwowna, choć na szachach się nie znała, przysiadła się do nich, słuchając tego, co mówią, i obserwując syna.

– Jak nam wczoraj pokazałeś tę ideę, pomyślałem, że poniosła cię fantazja – oznajmił Denisow, gdy siedzieli, jedząc kolację. – Ale rano myślałem o tym przy goleniu. Próbowałem odtworzyć w pamięci twoje pomysły i raz jeszcze to sobie układałem. Usiadłem do szachownicy, nawet nie zmywszy z twarzy kremu. A kiedy przyszły wieści z Rejkiawiku i porównałem posunięcia, które pokazałeś, z

tym, co zagrał Zimmerman... No cóż, Olgo Lwowna, zrobiło to na mnie piorunujące wrażenie. Tak, Oleg, nigdy nie ulegaj autorytetom, a przynajmniej nie bez walki, bo sam wielkim nie zostaniesz.

Rozmowę przerwał dzwonek do drzwi.

– To Andriej, miał do mnie wpaść. – Oleg zerwał się z krzesła. – Zaraz wracam.

Wpuścił kolegę i zamknęli się razem w jego pokoju.

– Kto jest u ciebie? – spytał Andriej, nasłuchując.

– Trenerzy szachowi.

– A, okej. Trzymaj. „Playboy”, a tu jeden mocniejszy, niemiecki. Czegoś będziesz mógł się nauczyć, może się przyda, jak znowu ją spotkasz.

– Bo cię kopnę w dupę – warknął Oleg.

– No, no, pamiętaj, że ja tu z narażeniem życia szmugluję gorący towar. Gdyby ojciec się dowiedział, dostałbym pasem. A ci twoi trenerzy na Zachód nie wyjeżdżają?

– Nie wiem. Mogę spytać. Ale to zramolałe dziady.

– Kurde, szkoda. Dżinsy by przywieźli. Im i tak niepotrzebne, a dobry uczynek by zrobili.

– Co u starego?

– Nie dzwonił. Nie wiem. – Andriej się zasepił. – Matka w złej formie, odkąd wyjechał, ciągle chodzi wkurwiona. Nie pyskuję jej, bo wiem, że ma powód. Sam się o niego, kurwa, boję.

– Nic mu nie będzie. – Oleg położył dłoń na ramieniu przyjaciela. – Wiesz, że to twardziel.

– To już nie zabawa. Dobra, spadam, zamelinuj to dobrze, bo jak ci się opatrzy, Fiedce obiecałem. Wymienicie się. Też coś tam dostał. Chociaż on to beznadziejny przypadek.

– Bo?

– Bo przysiągł sobie, że tylko z Tamarą Gordiejewą i z żadną inną. Podejrzewam, że wytnie ze szkolnego zdjęcia głowę Tamary i doklei do którejś z tych dziewczuch.

– Ciekawe, czy tak można, z jedną, na całe życie – mruknął w zadumie Oleg.

– Na razie, lecę. – Andriej przybił „piątkę” z Olegiem, tak jak to robią koszykarze. – Może stary się odezwie, a matki też nie chcę zostawiać samej.

Denisow i Zwieriew zostali jeszcze przez jakiś czas, spierając się na temat możliwości wygrania przez Gurgendizego choćby jednej partii do końca pojedynku z Zimmermanem. Opróżniwszy butelkę wódki, pożegnali się, szarmancko całując Olgę Lwownę w dłoń.

Kilka dni później Oleg ponownie spotkał Arszałka z okazji otwarcia turnieju

„Pałaców Pionierów”.

– Oleg, chcesz szluga? – spytał Arszak, siedząc w toalecie.

– Tak. Dawaj. Widziałem, jak Jelena całuje się z takim jednym z Leningradu.

– Wiem. Normalnie już bym mu wsadził kosę pod żebro, ale moja cwana siostra ma na mnie haka. Znalazła u mnie różne rzeczy i nie byłoby fajnie, gdyby opowiedziała o tym ojcu.

– Co tam miałeś? Podkradałeś jej ciuchy?

– Nawet tak nie żartuj – obruszył się Arszak. – Mam trochę takich ziół, konopie indyjskie. Przyjeżdżają do nas na południe grupy hipisów i innych takich, co nazywają siebie „Dzieci Słońca”. Czasem zatrzymują się niedaleko od miejsca, gdzie mieszkają moi dziadkowie.

– Masz te konopie tutaj?

– Nie, no coś ty, bałem się je tu zabierać. Ale któregoś dnia wciągniemy takiego dymka, obiecuję.

– Arszak, kocham się w twojej siostrze Jelenie – wyznał bliski rozpaczy Oleg.

– Kto się w niej nie kocha? – odrzekł bez jakiegokolwiek zdziwienia w głosie Arszak. – Ale nasze ormiańskie kobiety złamałyby ci tylko serce. Sztachnij się. Będiesz znanym szachistą, to kogoś sobie poderwiesz. Nie przejmuj się. W Erewaniu o Jelenę trwa prawdziwa wojna. Tylko czekać, jak poleje się krew. Ponoć przegrałeś z Krutinem, to prawda?

– Prawda – wydusił z siebie Oleg, z trudem hamując kaszel po zaciągnięciu się dymem ze skręta.

– Nie przejmuj się. Jak pokazałeś wtedy tę kombinację, a na drugi dzień Zimmerman zagrał dokładnie to samo, powiedziałem Jelenie: „To jest szachowy geniusz”.

– A ona, co na to?

– Nic. Wzruszyła ramionami i nazwała cię smarkaczem. Kobiety już takie są, Oleg. Jeśli będziesz je traktował zbyt serio, niechybnie przywiodą cię do zguby. Masz jeszcze, pociągnij. – Podał mu skręta.

– Co tu jest w środku? – zapytał Oleg, krztusząc się.

Arszak się zaśmiał.

– Coś więcej niż tytoń.

Przegrany Tigran Wartanowicz Gurgienidze powrócił do kraju. Władze Sportkomitetu kazały mu zakwestionować warunki odbywania meczu, oskarżyć organizatorów, że ustalili reguły gry według życzeń Amerykanina. Sam Gurgienidze nie miał zamiaru uczestniczyć w tej farsie i po cichu przyznawał przyjaciołom, że Zimmerman był po prostu lepszy. Swoją postawą naraził się

władzom w Moskwie. Po kraju krążył dowcip opowiadający o miłośniku szachów, który z jakiegoś błahego powodu trafia do więzienia na Łubiance tuż przed końcem meczu w Rejkiawiku. Nieszczęśnik próbuje dowiedzieć się od strażnika, jaki był końcowy wynik, ale ten posyła go do diabła. Rezultatu nie znają także inni skazańcy. Wreszcie do celi przybywa nowy więzień. Miłośnik szachów niecierpliwie pyta go, kto wygrał w Rejkiawiku. Przybysz głęboko wzdycha i ponuro odpowiada: „Niestety, przegrałem”.

Bagram, Afganistan, grudzień 1979

Ojciec Andrieja, pułkownik Giennadij Artiomowicz Grotow, przybył do Afganistanu na początku grudnia na dwa tygodnie przed tym, jak jednostki specnazu zajęły lotnisko Bagram. Od momentu przylotu żył w ciągłym napięciu. Miał kłopoty ze snem. Czytał długo w nocy *Bohatera naszych czasów* Lermontowa i jego poetyckie reminiscencje z wojny na Kaukazie.

Zadanie, jakie Grotow otrzymał w związku z misją w Afganistanie, polegało na zabezpieczeniu i wsparciu z powietrza tajnej operacji Sztorm-333. Dowodzone przez niego samoloty osłaniały konwój lotniczy, którym przetransportowano do Bagramu trzydziestoosobowe grupy specjalne KGB – Zenit oraz Grom. Obie jednostki, powstałe niegdyś na osobiste polecenie szefa KGB Jurija Andropowa, które wśród najbardziej wtajemniczonych oficerów nazywano Grupą Specjalną Alfa, zostały włączone do jednostki powietrznodesantowej, której powierzono ściśle tajne zadanie. Grotow miał trzymać w odwodzie jednostkę myśliwców na wypadek, gdyby akcja okazała się fiaskiem i konieczne były dodatkowe działania z powietrza. Ponadto samoloty ojca Andrieja miały przeciwdziałać ewentualnej kontrofensywie, utrudniając mobilizację sił wroga.

Rano dowódcy akcji spędzili czas, zgodnie z tradycją, w gorącej kąpieli. Gotując się na śmierć, zmienili ubrania na świeże, czyste. Na przedpołudniowej odprawie z udziałem Grotowa skontaktowali się z centrum dowodzenia i złożyli meldunek, że wszystko jest przygotowane. Andropow prosił, by dowódcy nie narażali się w akcji. W powietrzu wisiało napięcie. Nikt wcześniej nie próbował tak zuchwałej, skomplikowanej i spektakularnej akcji sił specjalnych.

Wieczorem dwudziestego siódmego grudnia Grotow stanął w swoim baraku obok telegrafisty i słuchał doniesień. Prowadzili bezpośredni nasłuch z miejsca operacji. Gdyby okazało się, że zachodzi potrzeba dodatkowej interwencji, jego samoloty miały dokonać bombardowania. Grotow otrzymał stosowne pełnomocnictwa, żeby móc wydać taki rozkaz. Załogi MiG-21 i myśliwców

bombardujących Su-17 czekały w gotowości na jego sygnał. Grotow, ubrany w mundur i wysokie czarne oficerki, stał przy radiostacji pełen napięcia, paląc papierosa za papierosem.

W tym samym czasie pod oddalony o kilka kilometrów od Kabulu pałac prezydencki Tadź-bek, siedzibę prezydenta Afganistanu Hafizullaha Amina, podjechało kilka transporterów opancerzonych. Zatrzymały się spokojnie przed stanowiskami strażników, którzy również nie zdradzali niepokoju, jako że na pojazdach dostrzegli afgańskie znaki rozpoznawcze.

System ochrony Tadź-bek został zorganizowany dokładnie i starannie. Tuż przy pałacu stacjonowało więcej niż dwustu wyselekcjonowanych żołnierzy, którzy nosili specjalne mundury, odróżniające ich od reszty oddziałów. Białe otoki na czapkach, białe paski oraz białe naszywki na mankietach rękawów pomagały w szybkiej identyfikacji i ustaleniu, czy żołnierz należy do osobistej gwardii prezydenta. Drugą linię obrony stanowiło siedem stanowisk z karabinami maszynowymi i granatnikami. Zmiany warty były przeprowadzane co dwie godziny. Zewnętrzny pierścień punktów obrony wzmocniały bataliony piechoty rozmieszczone wokół Tadź-bek, dysponujące dwoma czołgami T-54, oraz pułk obrony przeciwlotniczej uzbrojony w dwanaście stumilimetrowych karabinów przeciwlotniczych i artylerię przeciwlotniczą. Te zewnętrzne jednostki stanowiły cel ewentualnego ataku z powietrza, którym miał dowodzić Grotow. Rozpoznanie wroga zostało przeprowadzone długo przed akcją. Agenci KGB znali szczegółowy plan pałacu, w tym układ pomieszczeń wewnątrz, ciągi komunikacyjne, lokalizację urzędzeń do przesyłania energii. Szczegółowych informacji dostarczyli między innymi radzieccy lekarze, którzy pracowali w pałacu Amina. Operacją kierował generał Kirpiczenko, a samym szturmem dowodził pułkownik Grigorij Iwanowicz Bojarinow, główny wykładowca kursu dla komandosów KGB. Uczestnicy zostali podzieleni na dwie grupy: Grom, pod dowództwem Romanowa, oraz Zenit, kierowaną przez Siemionowa, który miał pod sobą trzydziestu ludzi. Wsparcie tym jednostkom zapewniał „batalion muzułmański” majora Chałbajewa i pułk spadochronowy porucznika Wostrotina. Oddziały szturmowe były ubrane w mundury afgańskich żołnierzy.

Po dziewiętnastej Grotow zaczął otrzymywać meldunki poprzez nasłuch. Szumiąca i trzeszcząca radiostacja przenosiła go na pole walki. Jego skronie pulsowały od napięcia. Telegrafista, skupiony na łapaniu fal, pochylał się nad radiostacją. Nagle obaj usłyszeli głosy pochodzące spod Tadź-bek.

– Trafili pierwszy... Szzzzz – szumiąca radiostacja, którą w pośpiechu dostrajał radiotelegrafista. – Pchnijcie go, pchnijcie, do cholery! – padł rozkaz, w którym Grotow rozpoznał głos Bojarinowa.

– Pierwszy płonie. Są zabici – relacjonował Siemionow.

– Zepchnijcie ich i ruszajcie do przodu, bo nas wysieką – komenderował Bojarinow.

Grotow usłyszał kanonadę i przeciągłą serię karabinów, która odtąd przez trzy kwadranse praktycznie się nie kończyła.

- Strzelajcie w okna – usłyszeli głos Romanowa.
- Zenit, bierzcie drabiny i dawajcie przez mur – rozkazał Bojarinow.
- Pociski odbijają się od ścian jak guma – nadawał Chałbajew.
- Z okien nadal ciężki ogień – dorzucił ktoś, kogo Grotow nie rozpoznał.
- Drugi pancierz u celu! Wychodzimy – zakomunikował Romanow.

Dały się słyszeć przeciągłe serie z karabinów, huk granatów. Trwało to chwilę, może pięć minut, ale Grotowowi wydało się wiecznością. Serce ścisnęło mu poczucie bezsilności, chciał tam być, chciał pomóc przyjaciołom. Zamiast tego słyszał jedynie, jak walczą, co chwilę ocierając się o śmierć.

Siemionow i jego ludzie pobiegli do pałacu, gdzie u wejścia połączyli się z grupą Romanowa. Obie jednostki znalazły się pod ciężkim ostrzałem karabinów maszynowych.

- Grupa szturmowa pod silnym ostrzałem! – krzyczał Siemionow.

Grotow zaklął i ścisnął oparcie krzesła, aż jego palce zrobiły się białe.

– Bałaszow dostał odłamkiem w kamizelkę, trzeba go odesłać. Ma połamane żebra.

- Kapitan Kozłow nie żyje. Dostał tuż po wyjściu z wozu.

Grotow znał Kozłowa. Zacisnął powieki i stał w milczeniu, pochylony nad stołem.

– Kurwa, pod pałacem jeszcze bardziej wałą, to niemożliwe. Nie ma jak głowy wystawić. Nie damy rady. – Głosy mieszały się, w tle słychać było kanonadę.

- Zudin zginął, ranni Kuwylin, Bajew i Szwaczko.

– Mam trzynastu rannych.

- Riazanow dostał w udo, ranny idzie do ataku.

– Jakuszew i Jemyszew są w budynku. Udało im się. Dzielne chłopaki! – zawołał Romanow.

Na tę wiadomość czekał Grotow. Obawa, że nie dadzą rady przebić się przez ogień i nie wejdą do środka, oznaczała, że akcja skończy się niepowodzeniem i trzeba będzie uruchomić plan B. Teraz wiedział, że komandosi, których znał, nie dadzą się pokonać i wykonają zadanie do końca.

– Afgańcy wałą w nas granatami! – wołał Jakuszew. – Jesteśmy w pałacu. Kurwa, jak sieką, trzeba posuwać się metr za metrem, ściana za ścianą.

- Dajcie wsparcie, wałą w nas z każdego miejsca – włączył się Jemyszew.

– Jesteśmy w holu. – Grotow usłyszał głos Wostrotina. – Mamy zabitych i rannych. Musimy iść szybciej.

– Strzelają zewsząd! – krzyknął Jemyszew. – Ogień gęsty, a granaty spadają jak ogórki.

– Zdejmij tego na balkonie – rzeczowo zwrócił mu uwagę Siemionow.

– Mam go – zameldował ktoś inny.

Znów wybuchy. Niekończące się serie z automatów.

– Jakuszew dostał odłamkiem. Jemyszew poważnie ranny – meldował Romanow. – Spróbujcie chłopców wydostać.

Nagle jakby z innego pola walki Grotow usłyszał meldunek:

– Bojar i Kuwylin meldują neutralizację centrum komunikacyjnego.

Ten krótki meldunek miał dla Grotowa kluczowe znaczenie. W tym momencie pułkownik zrozumiał, że niebezpieczeństwo odsieczy zostało zażegnane. Obrońcy stracili możliwość powiadomienia innych jednostek afgańskich.

– Karelin, Szigolew i Kurbanow na górę! – krzyknął Siemionow.

W radiostacji dały się słyszeć wybuchy i przeraźliwe wrzaski rannych.

– Boże mój, rozsiekało Siergieja na kawałki. Głowa Siergieja dosłownie pękła od granatu, zostały tylko części ciała – zawodził przerażony głos.

– Kuwylin, osłaniaj z boku. Uważaj, Afgan na dziesiątej.

Znów przeciągłe serie z kałasznikowów.

– Chybił. Zdjąłem go.

– Klimow ranny.

– Jestem pod salą Rady Ministrów. Kurwa, granat się odbił i leci w moją stronę.

W głośniku radiostacji rozległ się huk rozrywanego granatu.

– Rozwaliło ścianę, ale żyję. Walą we mnie. Zostałem sam. Mamy straty. Potrzebuję wsparcia – nadawał Plusnin.

– Pchamy do ciebie trzech ludzi – rzeczowo poinformował Wostrotin.

Szum radiostacji. Znów strzały. Grotow nerwowo pocierał skronie dłońmi.

– Straciliśmy pułkownika. Straciliśmy pułkownika.

Strzały i huk granatów nie milkły. Radiostacja szumiała i irytująco piszczała.

Grotow stanął przed telegrafistą z martwą twarzą, przerażającą, w jego oczach malował się gniew.

– Pułkownik nie żyje – usłyszał głos przebijający się przez szumy. Nastąpiło milczenie. Słyszeć było tylko ciągłe serie z automatów i odgłosy wybuchających granatów.

– Kontynuować akcję. Jesteśmy niedaleko. Kontynuować. Do przodu – zakomenderował po chwili Romanow.

Znów szum. Terkot karabinów.

– Gniazdo namierzone. Powtarzam. Gniazdo namierzone. Działamy. Wrzucam ogórki. – Poznali głos Plusnina.

Nastąpił ogłuszający huk eksplozji, potem seria z karabinów i niespodziewany krzyk kobiety, jakby: „Amin! Amin!”.

– Ciemno, dym. Nic nie widać. Włączam latarkę – relacjonował Plusnin. – Cel zlikwidowany. Powtarzam, cel zlikwidowany. Leży w koszulce i spodenkach. Nachylam się. Potwierdzam, cel zlikwidowany. Nie ma wątpliwości. Jest tu kobieta. Zaraz, kilka kobiet i są dzieci. Co z nimi zrobić?

Grotow usłyszał kobiecy głos krzyczący coś po rosyjsku.

– Kobieta mówi, że jest od nas, pielęgniarka – odezwał się Plusnin. – Czekam na instrukcje.

– Zabezpieczcie teren, idą do was – wydawał rozkazy Romanow. – Wyślijcie Afgańców na górę, niech potwierdzą, że „cel” zlikwidowany.

Relację po raz kolejny zakłóciły szum i piski. Telegrafista nerwowo kręcił gałką. Po chwili znów uzyskał połączenie. W tle słychać było już tylko pojedyncze odgłosy strzałów.

– Poddają się, dawajcie wszystkim do holu, na podłogę! – wołał któryś z oficerów. – Nie zostawiać świadków.

– Afgańcy potwierdzają – odezwał się Chałbajew. – Cel martwy. Wycofujemy się. Będzie sprzątanie.

Grotow wyjął ze stalowej skrzynki kopertę, odpieczętował ją i wyciągnął z niej kartkę papieru zawierającą nowe rozkazy[7].

Moskwa, 22 lutego 1980

Zapach porannej świeżo zaparzonej kawy unoszący się znad filiżanki w restauracji hotelu Rossija wprowadził Romancewa w dobry nastrój. Na chwilę przymknął oczy i wciągnął głębiej powietrze, by delektować się słodkim aromatem, potem zaś przyglądał się czerni kawy zmieszanej z unoszącą się na powierzchni beżową pianką. Wspominał wszystkie egzotyczne miejsca, w których przyszło mu rozkoszować się dobrą kawą. Pijąc powoli łyk za łykiem, zaczął czytać jeszcze raz swój referat, który miał przedstawić na zaczynającej się za godzinę naradzie w Sportkomitecie. Tematem spotkania była analiza przyczyn porażki Tigrana Wartanowicza Gurgendzkiego w meczu z Zimmermanem.

Za oknami lutowy mróz ubielił ulice i drzewa. Po rzece płynęła kra.

Narada w Sportkomitecie zaczęła się punkt dziesiąty. Gurgendizze nie przyjechał. Przysłał z Tbilisi zwolnienie lekarskie. Spotkanie rozpoczął referat Rugullisa w całości poświęcony przygotowaniom do meczu, przede wszystkim przygotowaniu debiutowemu. Nazwisko Romancewa nie padło w nim ani razu. Następny w kolejności referat Jewtuszenki, najgłębszy analitycznie, poświęcony był różnicom w stylu gry i omówieniu konkretnych sytuacji, jakie zaistniały podczas meczu, i sposobom podejścia do ich rozwiązywania przez obu zawodników. Przewaga Amerykanina była tu wyraźna. Podczas gry podejmował odważne decyzje, grał bezkompromisowo, z dużą wiarą we własne umiejętności. Na jego tle obrońca tytułu wypadał bardzo blado. „Emocjonalne rozchwianie”, „brak wiary”, „niezdecydowanie”, „lęk przed komplikowaniem pozycji” – te określenia opisywały nastawienie Gurgendizego i stan jego duszy. Suche nitki na byłym już mistrzu świata nie pozostawił raport kierownika ekipy Bondariewskiego, który nazwał jego zachowanie „skrajnie nieodpowiedzialnym i służalczym w obliczu awanturniczego podejścia Zimmermana do meczowych reguł”. Bondariewski wytykał przede wszystkim niegodną radzieckiego sportowca postawę Gurgendizego, brak dyscypliny w obliczu kryzysu i niestosowanie się do jasnych instrukcji płynących z Moskwy, które nakazywały odrzucenie wszelkich nieprzewidzianych w regulaminie meczu żądań Amerykanina.

Referat Zwieriewa był całkowicie neutralny i stanowił tak naprawdę ucieczkę od analizy meczu. Zwieriew wskazywał jedynie na konieczne zmiany w systemie przygotowania i kształcenia młodzieży, które w przyszłości pozwoliłyby młodym radzieckim szachistom na odejście od wyuczonych schematów i bardziej twórcze poszukiwanie szachowych koncepcji. Referat ten nie spotkał się jednak z przychylnym odbiorem prezydium Sportkomitetu. Komentarz sekretarza Gołubiewa był jednoznaczny:

– Podejście towarzysza Zwieriewa jest nacechowane kompleksem powstałym na gruncie wydarzeń, jakie miały miejsce w Rejkiawiku – charczał. – Tymczasem jedna porażka nie może przekreślić dorobku radzieckiej szkoły szachowej, której wyniki, biorąc pod uwagę triumfy pięciu kolejnych mistrzów świata, są najlepszym dowodem słuszności koncepcji kształcenia.

Wszyscy z niekłamanym zainteresowaniem czekali na referat Romancewa, który miał ocenić wydarzenia z perspektywy młodych szachistów.

Romancew spokojnym krokiem wszedł na mównicę. Nie lubił przemawiać, nie miał zbyt mocnego głosu i zazwyczaj w pierwszych zdaniach musiał przełamywać wrodzoną nieśmiałość.

– Są chwile – zaczął Romancew – kiedy sport i rywalizacja sportowa pomiędzy zawodnikami stają się czymś więcej niż prywatną sprawą dwóch graczy. Tak właśnie było tym razem. Nasz kraj czekał na zwycięstwo, pragnął go cały naród. Sam mecz o mistrzostwo świata w szachach stał się propagandową pożywką dla sił wrogich naszej socjalistycznej ojczyźnie. Tym bardziej, zważywszy na jego

wagę, ogromne oczekiwania oraz honor, należało zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby mecz ten wygrać. Tymczasem podejście do meczu, przygotowanie do niego i sam przebieg pojedynku były zaprzeczeniem socjalistycznych wartości, które pozwalają nam osiągać wybitne rezultaty, nie tylko w sporcie, ale również w nauce i w budowaniu gospodarki socjalistycznej. W działaniach naszego zespołu brakowało pracy, trudu, sportowej ambicji, poczucia dumy narodowej, wprowadzenia nowoczesnych metod treningu, wreszcie naukowego podejścia do planowania. Rezultat okazał się katastrofą, która, można użyć mocnego słowa, naraziła na śmieszność radziecką szkołę szachową. Przyjrzyjmy się krok po kroku błędom, jakie zostały popełnione. – Tu nastąpiła szczegółowa analiza przebiegu pojedynku, wreszcie Romancew skończył swoje wystąpienie słowami: – Po każdej porażce przychodzi moment refleksji. Historia Rosji, historia Związku Radzieckiego, pokazuje, że po chwilowych niepowodzeniach nasz naród szybko się podnosił i zadawał decydujący cios przeciwnikowi. Przychodzi czas, aby spojrzeć w przyszłość i rozpocząć przygotowania do kolejnego meczu o szachową koronę. Mecz, którego nie wolno nam będzie przegrać.

Po przemówieniu zapadła cisza. Nikt z prezydium nie kwapił się z komentarzem. Spojrzenia uczestników spotkania skierowały się na Gołubiewa, od którego spodziewano się usłyszeć naganę dla młodzieńca, który nie czuje respektu i nie okazuje szacunku starszym mistrzom. Tymczasem Gołubiew był zajęty otwieraniem butelki z wodą i wydawało się, że na nic innego nie zwraca uwagi. Bondariewski milczał ze wzrokiem wpatrzonym przed siebie, zupełnie nieruchomy jak wielka żaba wygrzewająca się w promieniach słońca.

Romancew opuścił gmach Sportkomitetu i wrócił do hotelu. Z pokoju zadzwonił do Daszy Suworowej. Jednak jej telefon milczał przez całe popołudnie. Dopiero wieczorem Romancew usłyszał w słuchawce głos aktorki.

– Dobry wieczór, Daszo – pozdrowił ją radosnym tonem.

– Kto mówi? – spytała obojętnie.

– Anatolij.

– A, nie poznałam twojego głosu. Jesteś w Leningradzie?

– Nie, w Moskwie. W hotelu. Dzwoniłem całe popołudnie, ale nie odbierałaś.

Nie odpowiedziała.

– Jestem sam, w hotelu.

– I?

– Myślałem, że może udałoby nam się spotkać...

– To się pomyliłeś, arcymistrzu. Jestem dziś zajęta i nie zmienię swoich planów.

– Mm. No nic. W takim razie, przepraszam cię – rzucił Romancew, całkiem zbity z tropu.

– Nie masz za co przepraszać. Może kiedy indziej. Muszę kończyć. Całuję.

– Dobranoc.

Romancew wrócił do Leningradu. Prosto z lotniska przyjechał do rodziców.

– Ojciec mówił ci o Sacharowie[8]? – spytała matka, gdy jej mąż konferował przez telefon w gabinecie.

– Nie. Nie rozmawiałem z nim od kilku dni.

– Zesłali go do Gorki. Jelenę Bonner też – szepnęła Klara Dmitrijewna.

– No cóż. – Romancew westchnął. – Staram się nie mieszać do polityki. Bardziej martwi mnie fakt, że Carter ogłosił bojkot naszych igrzysk olimpijskich. Dla sportowców to może znaczyć ograniczenie w wyjazdach. Nie wiem, jak silnie będzie eskalował konflikt. – Widząc rozczarowanie matki, jakie wzbudził swoją odpowiedzią, dodał: – Jak go aresztowali?

– Ponoć, gdy szedł na uczelnię. Podjechał samochód i jak zwykle... bez świadków. Przepraszam, może nie powinnam o tym mówić, ale z ojcem nie porozmawiam. Poruszyło mnie to. Czasem niektóre sprawy mnie boją, nie mam z kim o nich mówić.

Do jadalni wszedł Michaił Nikołajewicz.

– Niech Luda poda nam kawę w salonie. Przywiozłem z Hawany cygara. Skusisz się? – zwrócił się do syna.

– Spróbuję – odrzekł niepewnie Romancew.

Usiedli w przestronnym salonie. Ojciec wyjął drewniane pudełko z napisem „Cohiba”.

– Obetnę ci końcówkę. Trzeba to umieć robić. Jeśli obetniesz za daleko od końca, cygaro będzie palić się zbyt szybko, jeśli zaś zrobisz zbyt mały otworek, zamiast się tlić, będzie przygasać.

Usiedli i oddali się ceremonii, delektując się smakiem kubańskiego tytoniu. Z drugiego pokoju usłyszeli dźwięk fortepianu. Romancew rozpoznał trzecią część *Rapsodii na temat Paganiniego* Rachmaninowa. W głowie kręciło mu się od dymu z cygara. Pragnął pójść do matki i patrzeć na nią, gdy gra.

Luda wniosła kawę w porcelanowych filiżankach. Michaił Nikołajewicz palił z przymkniętymi powiekami. Romancew czuł się coraz bardziej skrępowany. Miał lekkie mdłości od cygara, którym niechcący się zaciągnął. Muzyka grana przez matkę sprawiała, że tęsknił za nią, choć przecież była tuż obok. Chciał czuć tę miłość, która emanowała od niej, gdy jako mały chłopiec, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, przyglądał się jej dłoniom muskającym klawiaturę fortepianu.

– Kiedy bronisz pracy? – odezwał się ojciec, przerywając milczenie.

– W maju. – Romancew wzdrygnął się, wyrwany ze świata wspomnień.

– Przypomnij mi temat. – Michaił Nikołajewicz pociągnął łyk kawy.

– „Zakrzywienie czasoprzestrzeni na granicy czarnych dziur”.

– Niewiarygodne! Nie można było wymyślić czegoś bardziej praktycznego?! – fuknął zdenerwowany ojciec. – Przecież to bujanie w obłokach, marnowanie czasu na rozważania, które nie mają żadnego pożytku dla ojczyzny. Tak samo te twoje szachy. Jedyna pozytywna rzecz, że jest w tym kraju chociaż jeden rosyjski arcymistrz, nie Żyd. Nie mogę tego pojąć. Wielki kraj, miliony ludzi, pracujący organizm, wielka maszyna, którą ciągle trzeba ulepszać, a ty nie widzisz nic poza deską z drewnianymi figurkami i teraz jeszcze oznajmiasz mi, że piszesz o czarnych dziurach.

– A może twoja socjalistyczna ekonomia to taka czarna dziura, nie myślałeś nigdy o tym? – wycedził Romancew. – Praca przyda się, żeby zrozumieć, gdzie i kiedy znika efekt pracy tego zbiorowego organizmu.

– Myślałem, że wyrosłeś już z tej młodzieńczej pozy dekadenta – rzekł ojciec, spoglądając na syna zimnym, przytłaczającym wzrokiem.

– Kiedy Piotr Wielki reformował kraj, pojechał na Zachód, by podpatrzeć najlepsze praktyki.

– Ha! Wiedziałem, wiedziałem, że te wyjazdy zagraniczne przewrócą ci w głowie i że bezkrytycznie zachłyszysz się tym, co ci pokażą. Widzisz, mój drogi, to, co chcą ci pokazać, to tylko wierzchołek góry lodowej. Oszałamiają cię ich miasta, w których poruszasz się wyłącznie po centrach, nie mając pojęcia, jak wygląda życie na peryferiach. Czy myślisz, że to przypadek, iż w wielu tych krajach, którymi się tak zachwycasz, są partie komunistyczne? Ba, mało tego, bojowe organizacje lewicowe, które z narażeniem życia swoich członków starają się obalić istniejący tam system? Zadawałeś sobie pytanie, dlaczego tak jest? Tu dostałeś staranne wykształcenie, możesz nawet pisać o czarnych dziurach czy uciekać w świat szachów, dostajesz od Sportkomitetu pieniądze za sportowe osiągnięcia. Dziwi mnie, że tego wszystkiego nie dostrzegasz i nie doceniasz.

– Doceniam. – Romancew chciał skończyć tę dyskusję. – Za mocne dla mnie to cygaro. Przepraszam cię, pójdę na chwilę do matki, lubię słuchać, jak gra.

Michaił Nikołajewicz zawołał Ludę, by nalała mu kieliszek koniaku. Romancew wszedł bezszelestnie do pokoju, z którego płynęła muzyka. Delikatnie zamknął za sobą drzwi. Słuchał, stojąc za plecami matki grającej Rachmaninowa. Kiedy skończyła, podszedł do fortepianu. Zawsze zachwycała go jej maestria, był oczarowany tonami uczuć, jakie wydobywała z instrumentu, i gdy przestawała grać, czuł się emocjonalnym rozbitkiem, który po wielkiej burzy wrażeń znalazł się na spokojnej, lecz samotnej plaży. Dłonie matki zawisły w powietrzu i spokojnie odwróciła się w kierunku syna.

– Nie układała się rozmowa z ojcem? – spytała smutno.

– Dyskusja była krótka i rzeczowa. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Tola, jest mała rzecz. – Matka zmieniła ton na poważniejszy. Wstała i podeszła do okna, stając plecami do syna. – Chciałam ci powiedzieć, że przez pewien czas może mnie nie być w domu. Muszę poddać się zabiegom.

– Jakim zabiegom?

– Pewnym zabiegom.

– Powiedz, co się dzieje.

– Mam guzy. Muszę się ich pozbyć.

– Jakie guzy?

– Nowotworowe. Ale szybko wykryte, we wczesnym stadium, to nie jest niebezpieczne. No już, nie mówmy więcej o tym. – Zanim zdążył coś powiedzieć, położyła palec na ustach, zakazując mu mówić. – Chcę, byś wiedział, że jestem z ciebie bardzo dumna. Bardzo.

Wieczorem do mieszkania Romancewa zadzwonił Bondariewski.

– Twój referat się spodobał – przeszedł szybko do rzeczy. – Była nowa wewnętrzna nominacja i jak się domyślasz, zostałeś wybrany. Breżniew osobiście pytał o ciebie. Chce cię poznać. Był bardzo rozczarowany porażką Gurgenidzego i wskazaliśmy cię jako przyszłego, potencjalnego pretendenta.

– Sam gensek[9] o mnie pytał?

– Tak. Chciał, aby zdano mu relację, i zażądał informacji, co zamierzamy robić dalej.

– Wskazaliście na mnie?

– Tak. Chcemy cię zobaczyć w przyszłym tygodniu w Moskwie, żebyś przedstawił swój plan przygotowań i kogo widziałbyś wśród członków sztabu trenerskiego. Chcemy to wszystko poznać.

– Przygotuję. Porozmawiam z ludźmi.

– Nie. Rozmowami zajmiemy się my. Ty tylko wskaż właściwe osoby i uzasadnij, dlaczego właśnie one.

– Dobrze. Tak zrobię.

– Gratuluję, Anatoliju. Wiesz, jaka to dla ciebie szansa.

– Wiem i dziękuję.

Romancew nalał wody do wanny. Leżał w niej długo. Popijając koniak, delektował się swoim zwycięstwem. Smak trunku wydał mu się wyjątkowy, głęboki. Chłodny płyn wlewał się powoli do organizmu, rozgrzewając go z każdym milimetrem niczym drobna kula ognia topiąca sopel lodu. Ciepła woda w wannie pieściła przyjemnie skórę. Wszystko stawało się lżejsze, jakby nie tylko siła wyporności działała na jego zrelaksowane ciało, ale lekkim czyniła go również radość. Tak, bez wątpienia przepełniało go uczucie zwycięstwa. Z salonu

dochodził szmer radia, przez które około północy podano komunikat: „Działania antyrewolucyjnych sił w Afganistanie zmusiły bratnie socjalistyczne władze tego kraju do wprowadzenia stanu wojennego w Kabulu”.

Wolsk, luty 1980

Sześćioletnia Katia Sawiczewa spoglądała na swoje małe walonki, które do połowy przykryła kołdra śniegu. Zimno wdzierało się pod wełniany szal i szczypało w policzki. Zakutana w kolejne warstwy ubrania wyglądała jak mała kula śniegowa, do której doklejono główkę, rączki i nóżki.

– Wyłaź z tego śniegu, głupia! – krzyknęła matka, silnym szarpnięciem wyciągając dziewczynkę z zasy. – Czy ty wiecznie musisz się gdzieś ubrudzić albo robić jakieś głupstwa? Brat z przepustki przyjeżdża, a ty musisz na siebie zwracać uwagę?

Katia spojrzała na matkę wielkimi brązowymi oczami, które obserwowały świat baczным spojrzeniem poprzez szczelinę pomiędzy szalem a wełnianą czapką, zwieńczoną zawiniętą wokół głowy grubą chustą.

Dworzec Wolsk-2 nad Wołgą składał się z dwóch peronów i małego niskiego budynku, w którym znajdowała się poczekalnia.

Katię zainteresował wagon sypialny stojący na sąsiednim peronie. Starsza kobieta w białym swetrze i futrzanej czapce siedziała przy oknie i piła gorącą herbatę ze szklanki wstawionej w srebrną metalową podstawkę. Para z herbaty osadzała się na szybie. Katia patrzyła z zadartą główką, myśląc, że tam, w środku wagonu, musi być ciepło i bezpiecznie, i że wcale nie musiałyby nigdzie jechać, byle móc sobie tam trochę pomieszkać. Płatki śniegu opadały na jej długie rzęsy, więc mrugała powiekami, by je zrzucić, ponieważ ręce miała uwięzione w jednopalczastych rękawicach ze skóry renifera.

– Pociąg z Tiumieni zwiększył opóźnienie do sześćdziesięciu minut – odezwał się głos z megafonu. – Spodziewany przyjazd: godzina trzynasta pięćdziesiąt.

Matka zaklęła pod nosem.

– Chodź, schowamy się przed mrozem – zwróciła się do Katii, łapiąc ją za rękę i prowadząc do poczekalni dworcowej.

Pobył w poczekalni wydał się Katii nudny. Nie było nic wartego uwagi, w dodatku matka narzekała, że trzeba ją rozbierać, kiedy zrobiło się za gorąco i od duchoty łzy popłynęły jej z oczu.

Pociąg z Tiumieni jeszcze trzykrotnie zwiększał opóźnienie. Za każdym razem

matka przeklinała, po raz kolejny rozpinając futerko Katii. W końcu czerwona lokomotywa wtoczyła się powoli na stację w Wolsku, ciągnąc za sobą tuzin wagonów. Brat Katii, Grigorij, wysiadł odziany w ponury ciemnozielony mundur, z workiem przerzuconym przez ramię. Na głowie miał czarną baranią czapkę wojskową ze złotym znaczkiem, który zainteresował Katię. Na widok syna matka zaniósła się płaczem. Grigorij miał opuchniętą twarz, oko podbite, z fioletowym sińcem i strupami krwi, ręce, bez rękawiczek, czerwone od mrozu. Schylił głowę, by matka mogła go przytulić i pocałować. Przez dłuższą chwilę stali tak w milczeniu. Matka szlochała, nie mogąc ukoić smutku.

– Nie płacz, proszę, bo serce pęka – rzekł szorstkim głosem Grigorij.

Matka wytarła oczy chusteczką. Grigorij przykucnął przed Katią.

– No co tam, krasnalku? Rośniesz? Grzeczna jesteś? Na sanki pójde z tobą jutro. Mm? Co ty na to?

Katia, trochę wystraszona zmienioną twarzą brata, przytaknęła bez słowa. W trójkę ruszyli w stronę przystanku autobusowego.

– Jak ojciec? – spytał Grigorij, gdy czekali na autobus, przytupując dla rozgrzewki.

– Jak zwykle, dużo pije. Ale po tamtym nie ważył się już podnieść na mnie ręki.

Po kwadransie czekania usiedli w autobusie, w którym panowała niewiele wyższa temperatura niż na zewnątrz. Jechali w milczeniu. Matka cały czas przecierała oczy, które wilgotniały. Katia spoglądała na skute lodem ulice, siedząc na kolanach brata. W pewnym momencie coś w autobusie głośno i żałośnie skrzypnęło niczym pękająca sprężyna. Pojazd stanął. Kierowca wysiadł, otworzył z tyłu maskę silnika. Po chwili wrócił, by oznajmić, że dalej nie pojedzie. Pasażerowie bez słowa sprzeciwu wysiedli i ruszyli pieszo. Grigorij wziął Katię na ramiona. Rączkami trzymała się jego głowy.

Kiedy znaleźli się w domu, usiedli do obiadu. Matka przygotowała bitki cielece z kaszą gryczaną. Jedli bez słowa. Popijali niewielką ilością wódki. Siedząc na kanapie, Katia spoglądała z zainteresowaniem na brata. Dziewczynce bardzo podobały się guziki u jego munduru. Po jedzeniu Grigorij wziął gitarę. Zaczął nucić piosenkę Wysockiego *Ona była tak czysta jak śnieg w zimie...*

Katia w skupieniu słuchała miłego, kojącego głosu brata i przypatrywała się z uwagą, jak jego palce sprawnie poruszają się po strunach gitary. Kiedy odłożył instrument, matka podłożyła mu pod dłonie garnuszki wypełnione naparem z rumianku.

– Na odmrożenia – szepnęła, z trudem powstrzymując płacz.

Grigorij nie chciał mówić o wojsku, ale w końcu, gdy matka nalegała, opowiedział o „fali”, o tym, że kiedy mu się nie udało załatwić papierosów, dostał karę, stąd opuchlizna. Matka kazała iść Katii do drugiego pokoju. Dziewczynka ukłękła na łóżku, oparła łokcie o parapet i oglądała zamrożone szyby, ozdobione

witrażami przedziwnych wzorów, które wymalował Dziadek Mróz. Kojarzyły jej się z liśćmi paproci, lasami na dalekiej północy, królestwem Królowej Śniegu. Szukała czegoś, co mogłoby przypominać zamek złej królowej. Potem odnalazła wzór, który uznała za podobny do renifera. Brakowało tylko sań, by mogła wraz z bratem, który byłby taki jak Grigorij, tylko bez tych guzów i sińców, uciec daleko, daleko. Wyobrażała sobie, że ich sanie muszą się przedzierać przez zamrożone rośliny, chronić przed fantastycznymi lodowymi stworami, które polują na nich ze swoich kryjówek, by w końcu odnaleźć drogę do domu. Kiedy się zmęczyła, usiadła przy stoliku, by porysować. Czarną kredką naszkicowała kontur kolejowego wagonu z czterema oknami. W jednym z nich narysowała siebie. W trzech pozostałych Grigorija, mamę oraz babcię Annę. Próbowała sobie wyobrazić, jak może wyglądać taki przedział. Zastanawiała się, czy mogłaby postawić kwiaty w doniczkach, jakiego koloru są firanki i czy jest w nim miejsce, w którym można się ukryć, gdyby ktoś w nocy kopał mocno w drzwi, krzycząc, by je otworzyć.

Pod wieczór ojciec wrócił z pracy, a wraz z nim przyjechała babcia Anna. Ojciec objął syna w milczeniu. Potem wyciągnął ze swojej torby butelkę wódki, chleb i ogórki kiszane. Babcia płakała. Potem mówiła, że gdy dziadek szedł na wojnę bronić kraju, pękało jej serce i czekała z Tamarą na ten dzień, kiedy wróci. I do dziś czeka, a może to on teraz czeka na nią na którymś z dworców, a ona głupia ciągle czepia się życia i zwleka z przyjazdem.

– Ale dziś jest pokój, więc nie ma co płakać, nie trzeba się martwić, bo Grigorij odda ojczyźnie, co należy, i wróci – uspokajała córkę.

Katia zastanawiała się, czy pociąg, którym babcia pojedzie do dziadka, też będzie miał takie wygodne przedziały z łózkami jak ten widziany przez nią na dworcu.

Na drugi dzień po południu Grigorij zabrał Katię na sanki. Bawili się, że jest jej reniferem. Wołga była skuta lodem. Brat ostrzegął Katię, żeby pod żadnym pozorem nie wchodziła na lód przykrywający rzekę. Opowiedział jej, że kiedyś miał przyjaciela, który jeździł po krze rowerem i się utopił. Katia obiecała, że nie będzie jeździć po rzece rowerem.

Wieczorem przyszła babcia i znów z ojcem i mamą siedzieli długo w nocy. Babcia Anna pięknie śpiewała, a Grigorij akompaniował jej na gitarze. Potem przyszli sąsiedzi i kolejni sąsiedzi, aż w pokoju obok zaroilo się od ludzi i Katia ukryła się za oparciem kanapy. Grał akordeon na przemian z gitarą Grigorija. Katia bawiła się swoją lalką, dla której przygotowywała przedział w pociągu z pudełka po butach. Zasnęła podczas zabawy w ubraniu i w kapciach filcowych na nóżkach.

Rankiem Grigorij wyjechał. Matka, ubrana jedynie w halkę, klnąc, przyciskała żelazko do spódnicy rozłożonej na desce do prasowania. W pewnym momencie zaczęła płakać. Katia czekała cierpliwie w korytarzu, aby pójść z nią do przedszkola.

Moskwa, lipiec 1980

Moskwa żyła zbliżającą się olimpiadą. Milicja zgarniała z ulic prostytutki, złodziejasków, narkomanów, hipisów i handlarzy walutą. Chodziły słuchy, że wykwaterowano mieszkańców osiedla położonego przy obiektach olimpijskich, by rozlokować w lokalach przybyłych na igrzyska sportowców. Pomimo bojkotu imprezy ze strony Stanów Zjednoczonych i kilku innych krajów Moskwa chciała pokazać światu, że to będą wielkie igrzyska.

Leonid Iwanowicz zabrał Olega na trening radzieckich pięściarzy.

– Chodź, Oleg, poznasz Pietię Zajewa – powiedział do wnuka. – Pietia walczy w ciężkiej, jak kiedyś twój tata. Pietia, to dzieciak Igora Antonowa, mój wnuk – przedstawił chłopca.

– Cześć, Oleg. – Zajew kiwnął głową. – Miałeś wspaniałego ojca. Mam nadzieję, że zajdę tak wysoko jak on.

– A kto jest teraz Foremanem? Kto jest najlepszy? – pytał Oleg.

– Kto jest najlepszy? Nie pytaj tak! – obruszył się dziadek. – Pietia jest najlepszy. Jak spytasz, kto ma cios jak młot i trzeba na niego uważać, to ci Pietia odpowie: „Kubaniec, Teófilo Stevenson”. Stevenson ma dwa złote medale olimpijskie. I pewnie z Pietią spotkają się w finałowej walce.

– Oby – skwitował ze śmiechem Zajew i zaczął ćwiczyć walkę z cieniem.

– Patrz na Pietię – zwrócił się do wnuka Leonid Iwanowicz. – Nie opuszcza głowy, kontroluje sytuację. Jak będziesz szedł na wariata, to nadziejesz się na kontrę. Zobacz, jak umiejętnie Pietia to robi. Podejść i uderzyć, kontrolować dystans, unik, kontra, unik, kontra, unik, cios.

Przez chwilę wpatrywali się w ćwiczącego boksera.

– No dobrze, Pietia, nie daj się prosić, opowiedz mojemu wnukowi – odezwał się w końcu Leonid Iwanowicz.

Zajew przerwał trening, otarł twarz ręcznikiem.

– Twój dziadek każe mi to opowiadać kilka razy w miesiącu – zwrócił się do Olega. – No dobra, boksowałem z Muhammadem Alim[10]. To było podczas jego wizyty u nas. Wyszedłem na ring jako pierwszy, a po mnie jeszcze Jewgienij Gorstkow i Igor Wysocki. To był dla nas wielki moment stanąć w ringu z samym Alim. Pamiętam, że był doskonały technicznie, szybki, zwinny, lekki. Wyszliśmy na ring ubrani w podkoszulki, Ali z nagim torsem. Nikt z nas nie wiedział za bardzo, jak ma z nim boksować, więc staraliśmy się pokazać wszystko, co potrafimy. Nie baliśmy się go. Ani ja, ani Żenia, ani Igor. Szanowaliśmy, ale się nie baliśmy. Boksowaliśmy dokładnie tak, jak nas nauczono: rozważnie,

bezpiecznie i technicznie. Obok ringu stał trener naszej kadry, więc nie mogliśmy boksować źle. Nikt z nas nie był liczony, nikt nie wylądował na deskach.

– Dalej, dalej, Pietia – ponaglał Leonid Iwanowicz. – Mów, co działo się dalej.

– Była mała konferencja. – Zajew wzruszył ramionami. – Ali powiedział na niej: „Podobali mi się ci trzej radzieccy bokserzy. Z pierwszym przegrałem, z drugim zremisowałem, a trzeciego pokonałem”.

– Ha! – Leonid Iwanowicz klepnął się z uciechy dłońmi po udach. – Teraz już wiesz, dlaczego proszę Pietię, by opowiadał mi to za każdym razem, gdy go widzę. Pietia boksował z nim pierwszy!

Kiedy opuścili już obiekty olimpijskie i szli na przystanek trolejbusowy, Leonid Iwanowicz zwrócił się do wnuka:

– Poczekaj, wejdę do sklepu coś kupić.

Po chwili wrócił z siatką wypełnioną butelkami.

– Mama martwi się o ciebie – bąknął Oleg. – Mówi, że jak tak dalej pójdzie, dostaniesz marskości wątroby. Co to ta marskość?

– Tak mówiła? Ha, ha. Nic się nie martw, twój dziadek to stara, dobra maszyna. Zresztą powiem ci coś, tak między nami. Życie nie jest wcale takie piękne, by się go czepiać na siłę. A kiedy sobie to uświadomisz, musisz szybko wypić, żeby o tym zapomnieć i żeby na drugi dzień rano wstać, przywitać się ze słońcem.

Dotarli na przystanek. W Moskwie zapadał piękny czerwcowy wieczór, który przynosił odrobinę chłodu po upalnym słonecznym dniu. Miasto, pełne monumentalnych szarobezowych budynków, sprawiało wrażenie poprzecinanego wieloma wąwozami kanionu, który w świetle zachodzącego słońca przybrał brzoskwiniowoceglastą barwę.

– A ojciec się bał, gdy wychodził na ring? – spytał nagle Oleg. – Kiedy przeciwnik był wielki i silny?

– Bał, pewnie, że bał. Mówił, że nie, ale się bał. A po co ci to wiedzieć?

– Zastanawiam się, czy bałbym się, gdybym miał zagrać z arcymistrzem.

– No to ci mówię, że się bał. Ale tak trzeba. Trzeba mieć respekt.

Czekali na przystanku w milczeniu. W końcu Leonid Iwanowicz przerwał ciszę:

– Dziewczynę masz?

– Nie.

– A w tych twoich szachach? Jak ci idzie?

– Jeżdżę na turnieje.

– Wygrasz je?

– Drużynowe. Gram dla drużyny.

Wsiadli do metra przy prospekcie Mira. Oleg czuł się dobrze, mając przy sobie dziadka, który zawsze w prostych słowach potrafił nazwać skomplikowane rzeczy.

W dniu rozpoczęcia igrzysk olimpijskich od rana unosił się nad Moskwą lekki zapach przypominający opary siarki. Andriej mówił, że piloci jego ojca rozpylają jodek ołowiu w chmurach, by zapewnić piękną pogodę. Pierwszy sekretarz Leonid Breżniew przerwał swój urlop na Krymie, aby osobiście otworzyć imprezę, w której pomimo bojkotu państw zachodnich miało wystąpić ponad pięć tysięcy sportowców z osiemdziesięciu krajów.

Na otwarciu igrzysk do Antonowów przyjechał Lew Mojsiejewicz z córką Anną.

– Nie miałam pojęcia, że aresztowano Aleksandra Ławuta – powiedziała zmartwionym głosem Olga Lwowna, smażąc w kuchni placki.

– Kto to? – spytała jej siostra.

– Matematyk.

– Ciągłe kogoś wsadzają. Zresztą teraz areszty są pełne z powodu olimpiady. Tak prewencyjnie.

– Ławut był związany z „Kroniką Wydarzeń Bieżących”, z Gorbaniewską, Kowalowem. Z prasą podziemną.

– Nie mów mi, że czytasz takie rzeczy. Chcesz, żeby ojciec dostał zawału? Mało w życiu wycierpiał?

– Ech, musimy wiedzieć, co się dzieje w kraju.

– Znajdą coś u ciebie, cała rodzina będzie cierpieć. Jurę wywalą z roboty. Chyba nie chcesz tego? Co u Olega? Gra? Ma sukcesy?

– Oszalał na punkcie ćwiczenia pamięci. Usłyszał gdzieś w radiu, że jakaś Hinduska pomnożyła w pamięci dwie trzynastocyfrowe liczby i podała prawidłowy wynik po dwudziestu ośmiu sekundach.

– Nie do wiary. I co?

– Oleg zawziął się i od miesiąca ćwiczy pamięć. Nie wiem dokładnie, jak to robi, nie chce zdradzić, powiedział, że jak będzie gotów, to powie. Na razie wziął sobie książkę telefoniczną Moskwy i uczy się numerów na pamięć.

– Umarłabym chyba z nudów i głowa rozbolełaby mnie z wysiłku – mruknęła Anna Lwowna. – Już mnie boli na samą myśl o tym. Przerzuć placek, bo ci się przypala.

– Oleg bardzo dużo pracuje nad szachami z trenerem. Martwię się, bo ma braki w szkole. Zimą był na obozie. Ma dobrego nauczyciela. Chociaż moim zdaniem on tak do końca w niego nie wierzy.

W pokoju gościnnym Lew Mojsiejewicz siedział z wnukiem nad szachownicą, starając się znaleźć jakąkolwiek dobrą koncepcję gry.

– No dobrze, a jak postawię tutaj? To co?

- Nie kontrolujesz już czarnych pól... Moje figury wykorzystają to bez trudu.
- Oj tam. – Lew Mojsiejewicz podrapał się po czole. – To dla mnie za skomplikowane. Ja po prostu gram.
- Jak ci idzie, tato? – spytała Anna Lwowna, niosąc talerze.
- Ograł mnie trzy razy i zanosi się na czwarty.
- No, chociaż raz mógłbyś dać dziadkowi zremisować – rzuciła, śmiejąc się, ciotka chłopca.
- Daj dziadkowi wygrać – poleciła synowi Olga Lwowna, wnosząc półmisek z plackami.
- A czemu on tak ubrany? – spytała Anna, wskazując apaszkę na szyi Olega.
- Majakowskiego naśladuje, zakochał się w jego poezji.
- Majakowskiego? – zdziwił się Lew Mojsiejewicz. – A czemu nie Mandelsztama?

– Włączcie telewizor – poprosiła Anna Lwowna. – Za chwilę transmisja.

Wszyscy usiedli przed telewizorem, żeby obejrzeć ceremonię otwarcia Igrzysk XXII Olimpiady.

Wieczorem do drzwi zadzwonił Andriej.

– Mam ustawione dzinsy od jednego gościa – szepnęła, zaglądając ciekawie do środka, aby zobaczyć, czyje głosy dobiegają z pokoju. – Pójdiesz? Wolę mieć ze sobą kogoś, jakby doszło do bitki. Fiedka czeka na dole.

Oleg poczuł się w obowiązku pójść z przyjacielem, choć widmo „bitki” lekko go przerażało. Idąc z Andriejem i Fiedką, starał się przypomnieć sobie, czego nauczył go dziadek: „kontrola dystansu, unik, kontra, unik, kontra, unik, cios”. Podjechali kilka przystanków trolejbusem. Skręcili w klatkę schodową wionącą moczem, pełną napisów, wyrytych scyzorykiem wyznań miłosnych lub przekleństw. Otworzyła im dziewczyna z podkrążonymi oczami, chuda jak patyk.

– Jest Rodin?

– Nie ma. – Wzruszyła ramionami.

– Dzinsy „Odra” miałem odebrać. – Andriej spojrzał na nią zaniepokojony. – Zapłaciłem sto rubli. Gdzie on?

– Zwinęli go.

– Co?

– Czyszczą miasto w związku z olimpiadą. Zgarniają do autobusów hipisów, dziwki, mętów. Przy Rodinie znaleźli zielsko. Szybko nie wyjdzie. Twoje dzinsy leżą tu. – Odwróciła się i podała mu przez próg foliową torbę ze spodniami.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Oleg spytał:

– Czemu Rodin?

– Nie wiem, taką ma ksywkę. Rzeźbi coś, zdaje się artysta.

– Skąd go wystraszałeś?

– Pod Inturistem stał. Próbował wcisnąć zagranicznikom jakieś dzbanki.

Wsiadli do trolejbusu i wrócili na swoje osiedle.

– Chłopaki, widzicie tę kępe krzaków za sklepem? – spytał Andriej.

– Tak, bo co?

– Bo to. – Andriej wyjął z plecaka półlitrowkę. – Trzeba uczcić nowe dzinsy i otwarcie igrzysk. I dla oczu coś mam. – Wyciągnął „Playboya”. – Wchodzicie?

– Wchodzimy – odrzekli Oleg z Fiedką. – Ale uważać trzeba, bo mienty[11] łożą.

Dwie godziny później kompletnie pijany Oleg wtoczył się do mieszkania. Matka usłyszała, jak wszedł, i krzyknęła:

– Kolacja na stole!

– Nie będę jadł – wybełkotał i czym prędzej ukrył się w pokoju. Nagle poczuł, że musi oddać mocz. Nie chciał iść do łazienki, żeby nie natknąć się na matkę albo dziadka czy ciotkę, więc znalazłszy foliową torebkę po drugim śniadaniu, wypełnił ją, a potem wyrzucił przez okno. Wytarł podkoszulkiem to, co wylało się na podłogę, i zadowolony z siebie runął na łóżko.

Olga Lwowna weszła po cichu. Poczowała zapach alkoholu i moczu. Bez słowa przyniosła wiadro z wodą i umyła podłogę. Nie chciała, by ojciec i siostra zobaczyli jej syna w takim stanie.

Dwa tygodnie później Leonid Iwanowicz przyniósł bilety na finał wagi ciężkiej Stevenson–Zajew. Oleg był tak podekscytowany, że siedząc na widowni, z trudem wytrzymał oczekiwanie na walkę wieczoru.

Wreszcie się zaczęło. Oleg spojrzał porozumiewawczo na dziadka.

– Trzymamy za Pietią! – krzyknął do ucha chłopca Leonid Iwanowicz.

Stevenson występował w białej koszulce i czerwonych spodenkach, Pietia Zajew, z numerem dwieście czterdziestym ósmym na czerwonej koszulce, był znacznie niższy od Kubańczyka.

Stevenson pilnował dystansu długim lewym prostym. Zajew starał się podejść jak najbliżej, próbując zadać cios od dołu lub na korpus. Rosjanin trzymał wysoko gardę, wiedział, jakim ciosem dysponuje Stevenson, starał się być aktywny.

Leonid Iwanowicz szturchnął wnuka łokciem i pokazał mu obydwoma rękami, jak wysoko Pietia trzyma gardę.

Stevenson poruszał się na długich nogach jak na sprężynach. Ale i po Zajewie widać było ambicję, chęć walki. Dосkakiwał, próbując zadać cios, i natychmiast się wycofywał, by nie dać się złapać na kontrę. Kubańczyk sprawiał wrażenie bardziej elastycznego, poruszał się z większą lekkością, wręcz z gracją. Zajew

starał się wejść pod wyciągniętą lewą rękę Kubańczyka, by stamtąd uderzyć hakiem lub podbródkowym. Jeden z ciosów trafił w cel i głowa Stevensona odskoczyła. Publiczność zakrzyknęła, a Oleg zerwał się z miejsca z wyciągniętą przed siebie ręką. Potem znów atak Zajewa, lecz jego hak przeciął tylko powietrze, gdyż Kubańczyk zdążył zrobić unik do tyłu. Jednak chwilę potem dosięgnął go świetny cios Rosjanina, obok wyciągniętych rąk, mocny. Powinien zachwiać Stevensonem, ale nie, Kubańczyk stał mocno na nogach. Publiczność zaczęła rytmicznie klaskać, podniecona przebiegiem walki. Zajew cały czas balansował, w dół i w górę, hak Stevensona niczym ogromny sierp przemknął mu nad głową. Niezrażony tym Rosjanin parł cały czas do przodu, zaganiał Stevensona pod liny, udało mu się wyprowadzić kolejne skuteczne ciosy i Oleg podskoczył, krzycząc rozentuzjasmowany: „Dawaj, Pietia!”. Gong oznajmił przerwę. Było dobrze. Tak sądził Oleg. Trzecia runda. I znów, podobnie jak w dwóch pierwszych, Zajew ruszył do szturmu, nadział się jednak na odpór Stevensona. Oleg od razu zwrócił uwagę na szybkość, z jaką Kubańczyk wyprowadzał lewy prosty. Lewa ręka mistrza olimpijskiego poruszała się jak tłok parowozu. Zaczęła się naprawdę ostra bijatyka i ciosy Kubańczyka stały się wyraźnie mocniejsze. Zajew próbował się wycofywać, obniżyć głowę, chować się za gardą. Widać było, że stracił siły i że tak boksując, nie przetrwa do końca rundy. I czując to, zebrał się w sobie, znowu ruszył na przeciwnika, jak wcześniej poruszał się lekko po ringu. Wreszcie upragniony koniec. Zajew podniósł ręce. Oleg był szczęśliwy. Teraz ciągnące się w nieskończoność oczekiwanie na werdykt, napięcie. Sędziowie orzekli: „Stevenson”.

– Dziadku, dlaczego? – spytał rozczarowany Oleg.

– Mm, myślę, że było remisowo. – Leonid Iwanowicz wzruszył ramionami, wyraźnie zły. – Ale to Stevenson jest mistrzem. Remis to za mało, by odebrać tytuł. Pretendent musi udowodnić, że na to zasługuje, pokazać więcej. Trzecia runda zostawiła trochę gorsze wrażenie i to zadecydowało.

Wieczorem Oleg nie mógł zasnąć. Myślał o porażce Zajewa. Cierpiał.

Moskwa, sierpień 1980

Przestrzeń wolności skurczyła się nagle, gdy Moskwę wstrząsnęła wieść o śmierci Władimira Wysockiego. „Hamlet z gitarą”, jak o nim mówiono, zakończył swoje cudowne niczym błysk spadającej gwiazdy, artystyczne życie poza ramami akceptowanymi przez czynniki oficjalne. Każdy, kto był blisko świata sztuki, wiedział, że Wysocki „siedzi na igle”. Któregoś dnia jakaś współczująca lekarka

zastrzykiem morfiny zlikwidowała mu symptomy suchego kaca, otwierając nowe przestrzenie dla zbolełej duszy, która panicznie szukała ukojenia w ucieczce przed własną świadomością. Mówiono, że Wysocki narodził się na nowo. Porzucił alkohol, pisał w uniesieniu i bez wysiłku, nie spał, a mimo to tryskał energią i pasją. Ale ci, którzy ze względu na miłość do niego zostali dostatecznie blisko, wiedzieli, że dawki z każdym dniem rosły, że każda myśl, która mogłaby przynieść strach, była tłumiona kilkunastoma łykanymi naraz środkami przeciwbólowymi. Morfina, amfetamina, heroina – wszystko było dobre, byle zagłuszyć ból, ten fizyczny i ten metafizyczny, płynący wprost z duszy, która już nie znajdowała dostatecznie dużo przestrzeni w słabnącym ograniczonym ciele, duszy, która rozumiała, że świat jest daleki od tego wymarzonego, gdzie artystyczna moc twórcza zbliżyłaby się swą siłą do potęgi miłosiernego Boga. To nie ten świat. Pomyłka, jaka zdarza się, gdy po pijanemu ktoś dzwoni do mieszkania sąsiada, dziwiąc się, że klucze nie pasują do zamka. Pomyłka. I nie było innej drogi, jak tylko uciec, choćby to kosztowało życie.

Tatiana, oglądając na Tagance *Hamleta*, nie domyślała się, że Wysocki bez zastrzyku nie wyszedłby na scenę. Nikt poza najbliższymi nie domyślał się tej smutnej prawdy. Odkąd zaczęła się olimpiada, miał problem ze zdobyciem narkotyków. Dręczyły go halucynacje, panicznie bał się samotności. Praktycznie nie spał. Ciągle musiała przy nim dyżurować grupa najwierniejszych, lecz potwornie tym umęczonych przyjaciół. Później, gdy na kolacji u Bułanowej były osoby bliskie Wysockiemu, Tatiana słyszała straszne rzeczy o ostatnich chwilach życia jej ukochanego barda.

– Wołodia konał z powodu głodu narkotycznego – mówił Wsiewołod Abdułow. – Podróż w mrok, chłód, nieodwracalność końca... Ponura czarna msza celebrowana w takt kapiącej kropla po kropli wypełnionej środkami odurzającymi krwi, na granicy dwóch światów, jeszcze żywy, lecz duszą już pogrążony w otchłani śmierci. W końcu trzeba go było przywiązać prześcieradłami do łóżka – rozrzewnił się i pociągając spory łyk wódki, zaszłochał. Rękawem wytarł usta i kontynuował: – Oksana siedziała przy nim i płakała. Wydawało się, że na chwilę coś się poprawiło, bo się uspokoił. „Wódki trochę dajcie”, wyszeptał. Oswobodzony usiadł, wypił. Po północy po szampana kazał iść. Znow wypił. Dostał zastrzyk nasenny. Dyżurował przy nim Fiedotow. Rano cisza. Fiedotowa coś tknęło. Człowiek... – Przerwał na chwilę, by znow jednym łykiem wychylić szklanekę wódki i zagryźć ją razowym chlebem ze smalcem. – Człowiek czasem czuje jak zwierzę, że coś złego wisi w powietrzu, instynkt mu podpowiada, że groza dookoła. Fiedotowa ogarnął lęk, mówił mi potem, że aż poczuł chłód, który przeszył go, jakby sopel lodu wbito mu w serce. Tak, w serce, bo ono staje w takiej chwili. Ta cisza... Boże mój, Fiedotow w mig pojał, zanim jeszcze spojrział, co się dzieje. Wołodia leżał na wznak, ręce jak śnieg wyciągnięte wzdłuż tułowia. Duszy w nim nie było. Boże mój. – Abdułow schował twarz w dłoniach i szłochał.

Bułanowa objęła go ramieniem. Wszyscy przy stole milczeli, ich oczy napełniły

się łzami. W jakimś przedziwnym odruchu rozpaczy Tatiana podeszła do adaptera i opuściła igłę na czarną winylową płytę. Po chwili delikatnego szumu, który wypełnił pokój niczym odgłos sypiącego się na podłogę piasku, usłyszeli gitarę i głos Wysockiego: *Ona była czysta jak śnieg zimą...* Słuchali i płakali. Wiedzieli, że anioł, który zwichnął skrzydło i trafił między dusze czyścicowe, odleciał. Została pustka, tęsknota za cząstką tej niebieskiej wolności.

Kiedy piosenka się skończyła, rozlali wódkę do szklanek i wypili. Tatiana cierpiała. Czuła się jak wtedy, gdy opuścił je Aleksander. Ale on zdradził ją i matkę, porzucił dla swych marzeń, dla swych ambicji. Teraz Bóg odebrał im cząstkę wolności, jakby zgasił świeczkę, pogrążając ich w mroku.

W dzień pogrzebu Wysockiego na cmentarzu Wagańkowskim w Moskwie kropił deszcz. Staruszki twierdziły, że dzieje się tak wtedy, kiedy chowają kogoś, kto zasłużył na łaskę Pańską. Tego dnia Moskwę okrył ciemny welon smutku.

Tatiana szła obok matki i jej nowego mężczyzny. W pewnym momencie poczuła, że czyjaś dłoń wsuwa coś do kieszeni jej płaszcza. Zanim zorientowała się, co się stało, płochą dłoń wycofała się i zniknęła w tłumie. Tatiana sprawdziła kieszeń. Wymacała kopertę i uznając, że komuś zależało na dyskrecji, nie wyjęła jej z płaszcza, dopóki nie znalazła się sama w swoim pokoju. Wreszcie po niemal godzinie dręczącej ją ciekawości z drzeniem otworzyła przesyłkę i zaczęła czytać:

Tatiano!

Wierzę, że kiedyś zrozumiesz pragnienie spoglądania w dal, za horyzont niezmierzonych przestrzeni, wyrwania się ku światłu, którego blask oślepia, oddychania pełną piersią bez lęku, że ktoś położy i zaciśnie dłoń na Twej twarzy, odbierając tchnienie. Może kiedyś poczujesz tę potrzebę przeskoczenia krępujących Cię ograniczeń, które odbierają sens życia i są jak wykonywanie revoltade ze związanymi nogami. Kiedy to poczujesz, Taniu, przypomnij sobie te słowa, pomyśl o mnie, o przyjacielu, który Cię zdradził dla tej właśnie tęsknoty, dla tej ułudy, dla tej przemożnej siły, która niczym fala porwała mnie i wyrzuciła na nieznaną brzeg, obiecując spełnienie. Nie zaznałem go. Ból tęsknoty zabija. Jestem obcy tu i tam już obcy. Taniu... Los czyni nas tak małymi. Przypomina mi się ten moment, gdy w łoży pod dachem obserwowawałaś próbę i parę tancerzy w ich adaggio. Zaśmiałaś się i powiedziałaś, że przypominają Ci porcelanowe figurki, takie drobne, kruche, samotne pośród wielkiej sceny. Jestem takim małym żołnierzykiem z Dziadka do orzechów, który chcąc poznać, co kryje się poza przestrzenią pokoju, zagubił się na zbyt wielkiej dla niego scenie. Wybacz mi, Taniu, i wspomnij czasem, by Twoja myśl była jak gwiazda: choć daleko, świeciła dla mnie...

Aleksander

Tania zgmiotła list w dłoni. Usiadła na podłodze i było jej tak bardzo źle, że zapragnęła z całych sił, by ktoś przytulił ją jak małą dziewczynkę i ukrył w swoich

ramionach. Położyła się na podłodze, przycisnęła kolana do piersi i załkała.

Mówiono, że przez następne dni mogiłę Wysockiego na cmentarzu Wagańkowskim wciąż otaczali ludzie. Przynosili ze sobą gitary i magnetofony z nagraniami jego utworów.

Moskwa, kwiecień 1981

Pierwsze występy Olega w turniejach przyniosły Zwieriewowi samo rozczarowanie. W grze chłopca brak było pasji, zaangażowania i skupienia. Grał nierówno, onieśmielony, bez determinacji, bez wiary w siebie. Ulegał łatwo, robił proste błędy w debiutach. Praktycznie nie stawiał swoim rywalom oporu. Zwieriew był przygnębiony. Zdawał sobie sprawę, że Oleg nie ma turniejowego ogrania, ale dziwiły go apatia i brak odwagi przy podejmowanych decyzjach. Obwinił siebie o brak trenerskiego wyczucia. Zaczął się zastanawiać, gdzie popełnił błąd. W jego umysł wkradło się zwątpienie, czy nie przecenił możliwości chłopca, czy nie uległ fałszywej nadziei, wyrosłej z obsesyjnego pragnienia wychowania przyszłego mistrza. Sam Oleg popadł w depresję. Koledzy spoglądali na niego z pobłażaniem, i chłopiec odczuwał coraz większe kompleksy i piekące upokorzenie. Makarow i reszta młodych szachistów mieli dodatni bilans, a jemu na cztery z rozegranych partii udało się zaledwie raz zremisować. To była klęska. Po trzeciej porażce z rzędu odmówił gry.

– Nienawidzę tego, nienawidzę przegrywać! Nie jestem głupszy! – mówił zrozpaczony do Zwieriewa.

– Oczywiście, że nie jesteś głupszy, to przecież gra, nie test inteligencji – próbował go uspokoić Zwieriew, z trudem hamując własną irytację. – Po prostu za bardzo jesteś spięty, trzymasz się podręcznika z teorią, zamiast grać samodzielnie. Wystarczy, że nie znasz jakiegoś posunięcia i się gubisz. Jesteś spętany własnym lękiem.

– A wy we mnie wierzycie, Aleksandrze Władimirowiczu? – spytał nagle Oleg.

Pytanie było zadane tak bardzo wprost, że Zwieriew nie wiedział, co odrzec. Ba, sam nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Pewnie, że wierzę – skłamał. – Wierzę. Słyszysz, chłopcze? Ja w ciebie wierzę. Bardzo wierzę. Nie widziałem nikogo z takim potencjałem jak ty.

Wieczorem Zwieriew długo rozmawiał przez telefon z Olgą Lwowną, która robiła mu wyrzuty.

– Zahartuje się tymi porażkami, nic mu nie będzie – przekonywał. – Ale muszę

go przesunąć do rezerwy, bo wynik zaniżai drużyna przez to cierpi.

W końcu z ulgą odłożył słuchawkę.

Boże, co za twarda kobieta, pomyślał. Nauczycielka, wdowa z jedynakiem, gorzej trafić nie mogłem. Napić się trzeba, bo tego nie da się tak na sucho wytrzymać.

Kiedy w stojącej na stole butelce zaczęło pojawiać się dno, Zwieriew wpadł w melancholię. Zastanawiał się nad swoim życiem, nad młodzieńczymi marzeniami zostania arcymistrzem, wspominał, jak to wszystko się rozpadało rok po roku. A potem te lata, kiedy jako trener marzył, by znaleźć ucznia, z którym będzie mógł się wspinać na szczyt. Jego talent analityczny został zauważony. Gurgenidze lubił z nim pracować i polecił go na trenera kadry juniorów Związku Radzieckiego. Ale ci najciekawszy, najbardziej perspektywiczni młodzi gracze, tacy jak Romancew, mieli już swoich trenerów i nie zamierzali ich zmieniać na mało znanego Zwieriewa. Znowu pozostawał na peryferiach wielkich szachów, ograniczając się do bycia pośrednikiem między utalentowanymi juniorami a znanymi arcymistrzami, którzy chcieli wychowywać swoich uczniów. Potem ujrzał Olega, grającego jak równy z równym z mistrzem świata. Prawda, to była tylko symultana, ale ta partia zdradzała charakter młodego gracza, pokazywała jego fantazję, sposób myślenia. Kiedy później analizowali ją z Gurgenidzem, stary mistrz rzucił od niechcienia: „Dobrze, że jestem taki stary, bo ten chłopak skradłby mi tytuł”. I Zwieriew pochwycił tę myśl jak lecącą do celu strzałę, zasadził ją niczym drzewo w swoim umyśle i starał się pielęgnować. A teraz wszystko się oddalało, marzenia zmieniały się w karykaturę.

– Nie, nie, nie – powiedział na głos, wstając od stołu, po czym chwiejnym krokiem ruszył w stronę łóżka, ściągając koszulę, od której odrywały się guziki spadające z cichym stukotem na podłogę. – Wała! Nie zmarnuję chłopaka. Nie zmarnuję – powtarzał.

Pijany zadzwonił do Denisowa.

– Ratuj, Denisow, bo ten chłopak gra beznadziejnie i cała moja trenerska sława leci na pył.

– A masz jakąś trenerską sławę? – spytał Denisow. Po głosie słychać było, że też jest pijany.

– Czorcie jeden, toż mówię o sławie tej wymarzonej, a stracić marzenia, rzecz najgorsza, wtedy tylko zapieć się na śmierć, bo żyć nie ma po co.

– Głupiś, Sasza. Myślałby kto, że świat chcesz zbawić. Trenerska sława mu się marzy. Mówisz, że smarkacz ma talent, ale gra do niczego?

– Do niczego. W dodatku grać już nie chce.

– No tak. To pijmy za niego, Zwieriew.

– Denisow, dzwonię do ciebie jak do ostatniej instancji, traktuję cię jak genseka na wizytacji, a ty mi takie słowo dajesz w zamian?

Denisow pociągnął łyk z butelki. Zagryzł i z pełnymi ustami zaczął:

– Pamiętasz tę dziewczynę z Chabarowska? Jak jej było, czekaj, jak jej było... Wiem, Nadieżda. Nadieżda Łazarienko. Pamiętasz Nadieżdę Łazarienko na mistrzostwach kraju w sześćdziesiątym szóstym?

– Denisow, tyś rozum stracił? – Zwieriew się rozżłościł. – A po co mnie Nadieżda Łazarienko z Chabarowska? Co ona ma do rzeczy? Przecież nic tam nie wygrała.

– A to, że szachistka z niej była marna, fakt. Ale tu nie o szachy chodzi, tylko o jej cycki i w ogóle. Takie tam sprawy... – wybełkotał Denisow, któremu widocznie alkohol na chwilę zmącił myśli.

– Denisow, oszalałeś do reszty? – Zwieriew coraz bardziej się irytował. – Tyś nie spirytus pił, ale klej jakiś wąchałeś.

– Słuchaj dalej, zamiast człowieka obrażać – kontynuował Denisow, a język mu się lekko plątał, więc mówił z trudem. – Baba tęga była, no taka, brrrr, bez wody do takiej nie podejdziesz, przynajmniej tak nam się wydawało. Ubierała się tak, jakby zamiast sukienek wkładała na siebie worki na owies. Okulary, włosy upięte w kok, słowem wyglądała jak pracownica buchalterii z kołchozu.

– Ma uczyć Olega? O to ci chodzi?

– Cicho, durny. – Tym razem to Denisow się zniecierpliwiał. Znów słyhać było, jak pociągnął łyk. Westchnął ciężko, widać już wódka nie wchodziła tak ochoczo jak na początku. – Z Arłamowem żart taki zrobiliśmy. Napisaliśmy do niej list, że się w niej kochamy, i takie tam pierdoły, że pragniemy jej ciała, słowem bzdury same, że szkoda gadać.

– Słuchać też – warknął Zwieriew. – Co ma do tego Antonow?

– No i potańcówka tam była. Nic wielkiego, ot zwykła zabawa w hotelu, w którym mieszkaliśmy. Bo my ten żart zrobiliśmy właśnie ze względu na tę potańcówkę. Umówiliśmy się z nią przed budynkiem. Znaczą Arłamow i ja. Pijani byliśmy i rehot nas opanował na myśl, że zaraz nadejdzie nasze bóstwo z Chabarowska. A my, rzecz jasna, cisi wielbiciele, nie ujawnialiśmy się wcześniej. Ale, żeby było zabawniej, dostała zaproszenie od nas dwóch, więc niby chłopcy się o nią biją.

– Boże, Denisow, skończ wreszcie i powiedz, o co ci chodzi – załkał Zwieriew, którego spirytus wprawiał w coraz bardziej depresyjny nastrój i z każdą chwilą narastał w nim ból, że tak zmarnował swoje życie jak ostatnia swołocz.

– Czekaj, czekaj, zbliżam się do końca. – Zwieriew usłyszał w słuchawce, jak Denisow pociągnął kolejny łyk. – Przestań mnie poganiać jak jakiś zawiadowca na peronie. – Ziewnął i mówi dalej: – Więc siedzimy grzecznie na ławce i co? Nadchodzi Nadieżda Łazarienko z Chabarowska. Ale jaka. O Zwieriew, dobrze, że nie siedziałeś tam z nami. Żebyś ty ją wtedy zobaczył. Włosy rozpuszczone, talia jak u Mariny Vlady, okulary zdjęta, usta jak rozkwitające róże, a biust... Zwieriew, gdybyś zobaczył ten biust. Ech, Boże mój, anioły czasem ziemię

nawiedzają, Zwieriew, a tamtego wieczoru miałem na to dowód. Rechot zamarł nam z Arłamowem w gardle. Rzuciliśmy się do niej, waląc łokciami pod żebra jak wiejskie podrostki. Wzdychać tylko teraz przychodzi. Nie minął miesiąc, a Arłamow się oświadczył.

Zwieriew zmarszczył czoło. Złapały go lekkie mdłości, bo niepotrzebnie zmieszał alkohole, pociągając łyk czerwonego wina. Żołądek odpowiedział skurczem.

– Łcesz, Denisow, jak pies – wybełkotał z trudem, starając się uspokoić oddech.
– Łcesz jak pies. Znam żonę Arłamowa i to nie żadna Nadieżda jakaś tam z Chabarowska, tylko Wiera. W-I-E-R-A – przeliterował.

– A kto mówi, że przyjęła Arłamowa? Tak się babsko rozochociło, że dalejże łamać serca chłopom. Jeszcze kilku w swaty poszło i z niczym wróciło. O, słuchaj, Zwieriew, to była jakaś sprawa magiczna, boska... a wszystko sprawiła wiara. Rozumiesz już?

– Nic a nic.

– Bo masz zakuty łeb i nie chcesz rozumieć. Głupek by zrozumiał, a ty, Zwieriew, nie rozumiesz, „trenerska sławo”. – Denisow zaczął rechotać, powtarzając kilkakrotnie „trenerska sławo”.

– Przestań rechotać jak pawian, tylko mów jak człowiek, do rzeczy – odgryzł się Zwieriew.

– Toż przecież mówię i jaśniej chyba nie można, że taki anioł musi dotknąć tego twojego chłopaka. Z Arłamowem wmówiliśmy Nadieżdzie, że piękna i że zmysły pobudza, no i uwierzyła, poczuła w sobie tę kobiecość, o której zapomniała. – Ostatnie stwierdzenie Denisow okraślił kolejnym potężnym ziewnięciem. – To wmów mu, że wielki, że wybrany, przez ciebie namaszczony...

– Denisow, ech, Denisow – westchnął Zwieriew, który nagle poczuł się znużony i przytłoczony tym wszystkim. – Spać nam trzeba.

Zwieriew czekał na reakcję Denisowa, ale po dłuższym oczekiwaniu doszedł do wniosku, że przyjaciel zasnął.

Następnego dnia zaczął spotkanie z uczniem od słów:

– Mówiłeś kiedyś, że twój ojciec lubił prawdziwe wyzwania i z jakimś tam byle pięściarzem nie walczył serio, dlatego nie miał wielu tytułów. Ale jak przyszło co do czego, jak przyszła ta najważniejsza impreza, olimpiada, to pokazał, co potrafi.

– Tak było – potwierdził Oleg.

– Ano widzisz. U nas jest podobnie. Przeciwnicy byli za słabi, otwarcia zbyt banalne dla twoich możliwości. Musimy to zmienić.

To były dni pełne emocji. Oleg pracował bez wytchnienia. Każdego ranka przed

szkołą biegał dookoła bloków, żeby poprawić kondycję. Po lekcjach całe godziny, do późnego wieczoru, spędzał ze Zwieriewem, ucząc się nowych debiutów, poznając ich filozofię i strategię. Andriej i Fiedka byli rozczarowani, że poświęca im za mało czasu, zwłaszcza w chwili, którą Andriej nazwał „ostrym wirażem w historii rocka”, jako że dostał od ojca gitarę elektryczną i planowali z Fiedką założenie zespołu.

Moskwa czekała na wiosnę. Ludzie byli zmęczeni mrozami, stanem w kolejkach, pustkami w sklepach. Z coraz większą irytacją przyjmowali zapewnienia o zrealizowanych planach, osiągniętych normach, sukcesach radzieckiej nauki i techniki.

– Po co komu te propagandowe wiadomości, skoro każdy widzi, jak się żyje – narzekał z irytacją Lew Mojsiejewicz, który zatrzymał się w Moskwie na kilka dni w związku z sympozjum radzieckich chirurgów. – Komedie jaką by puścili z Leonowem.

Oleg żył w swoim świecie. Przygotowywał się do turniejów, myślał o Jelenie Oganiesjan i czytał *Obłok w spodniach* Majakowskiego. Z każdym dniem czuł podnoszący się w nim systematycznie poziom ekscytacji, która w połączeniu z myślą o Jelenie stawała się rodzajem romantyczno-erotycznego natchnienia, za pomocą którego wydobywał z siebie pokłady drzemiącej w nim energii. Po jednej z nocnych szachowych sesji, grubo po północy, gdy szedł do łazienki, ujrzał w kuchni dziadka Lowę. Lew Mojsiejewicz siedział na stołku w piżamie i wsmarowywał w stopę masło.

– Nie śpisz, dziadku? – odezwał się Oleg, otwierając drzwi do łazienki.

Lew Mojsiejewicz jakby się spłoszył, ukrył stopę w kapciu, chrząknął zakłopotany i nic nie odpowiedział. Myjąc zęby, Oleg myślał o zachowaniu dziadka i nagle odtwarzając scenę w pamięci, zwrócił uwagę, że stopa dziadka nie miała ani jednego palca. Ciekawy swojego odkrycia wyszedł szybko z łazienki do kuchni, w której ciągle siedział Lew Mojsiejewicz. Oleg teraz zauważył otwartą butelkę wódki, obok niej szklanekę z niewielką ilością alkoholu i odkrojoną kromkę chleba ze smalcem. Lew Mojsiejewicz siedział z ręką opartą o stół, dłonią obejmując butelkę i spoglądając na księżyc za oknem.

– Miesiąc dziś lśni niczym latarnia morska. – Westchnął. – W ostrym powietrzu przebija się przez mrok. Jest tak daleko, a jednak światło do nas dociera i możemy go tak dokładnie widzieć. Bóg mądrze ten świat wymyślił. – Odwrócił głowę i spojrzał na wnuka. – No, czemu nie śpisz?

Oleg usiadł naprzeciw Lwa Mojsiejewicza.

– Tak się zastanawiałem, że dużo wiem o ojcu, o dziadku Leonie, nawet o jego ojcu. A o tobie nie wiem prawie nic. Nawet nie wiedziałem, że ty, mama, babcia, ciotka Anna jesteście Żydami.

– Jesteście?

– Jesteśmy – poprawił się niepewnie Oleg.

– Wiedz, że jak twoja matka jest Żydówką, to ty też – pouczył go Lew Mojsiejewicz. – Krew z krwi.

– Wiem, matka mi mówiła – potwierdził Oleg. – Czemu nie powiedziała mi wcześniej? Czemu nic nigdy nie opowiada?

Lew Mojsiejewicz znów odwrócił głowę w stronę księżycy.

– Ze strachu, Oleg. Ze strachu.

Wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu, czyniąc całą scenę jakoś dramatycznie nierzeczywistą.

– Przed czym? – spytał Oleg, czując, że za słowami dziadka kryje się tajemnica.

Nastąpiła krótka pauza. Lew Mojsiejewicz dopił resztkę wódki, głęboko wciągnął ustami powietrze i rzekł spokojnym głosem:

– Aby nie powtórzyło się w rodzinie to, co przydarzyło się mnie. Widzisz, sprawa zaczęła się od donosu jednej takiej lekarki, Lidii Timaszuk, z lecznicy na Kremlu. Ta „dobra komunistka” doniosła Stalinowi o spisku mającym na celu uśmiercenie przedstawicieli władz przez żydowskich lekarzy z kremłowskiego szpitala. Samą Timaszuk okrzyknięto „wielką córą narodu radzieckiego”. W pięćdziesiątym trzecim rewelację Timaszuk podała oficjalnie „Prawda”. Napisano, że należący do spisku syjonistyczni lekarze planowali dokonanie zabójstw, umyślnie ordynując swoim pacjentom niewłaściwe leczenie. No i rozpętało się piekło. Urządzono publiczną nagonkę na „potworów i morderców”. Mówiono, że lekarze służyli obcym wywiadam. Słowem, wielki międzynarodowy spisek syjonistyczny. Zaczęły się aresztowania. Zamknięto Etingera, Feldmana, Grinsztejna, Jegorowa, Majorowa, Kogana, Winogradowa i Solomona Wowski. Jako lekarz praktykowałem u kilku z nich, a na kolei byłem najbliższym asystentem Leonida Charitonowicza Keczker, którego również wkrótce potem aresztowano. Rozpoczęło się śledztwo. Stalin sam instruował oficerów, jakimi torturami wymusić na aresztantach przyznanie się do winy. Zarzucono im udział w nacjonalistycznej organizacji syjonistycznej, współpracę z wywiadem brytyjskim, otrucie Zdanowa i Szczerbakowa, próby zabójstwa kilku admirałów i marszałków, w tym Koniewa i Bóg wie jeszcze jakie rzeczy. Tortury zrobiły swoje, większość przyznała się do winy. Kogan i Etinger zmarli w czasie śledztwa. Wkrótce po doniesieniach prasowych o „spisku lekarzy” i zapadnięciu wyroków skazujących w kraju rozpoczęła się wielka kampania antysemicka. Mnie też aresztowano. Torturowano. Po przyznaniu się głównych oskarżonych do winy, stałem się jednak zbędny, więc zesłali mnie do łagru na Sołowkę[12].

– Myślałem, że tam jest tylko monastyr – zdziwił się Oleg.

– Nie, nie tylko monastyr. To tam straciłem palce z powodu odmrożenia. W tym czasie ze szpitali, laboratoriów, uczelni medycznych wyrzucano wszystkich Żydów. Dochodziło do pobić i samosądów. Zakazano również wydawania książek,

których autorami byli Żydzi. Ba, mało tego, zabroniono nawet stosowania leków, które opracowali żydowscy lekarze. Słowem, psychoza. Psychoza, Oleg, i dom wariatów. Donosy pacjentów były na porządku dziennym. I nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło, gdyby nie to, że wielki Stalin zmarł. No cóż. Na każdego przychodzi pora. Na niego przysłała we właściwym dla mnie momencie. Po jego śmierci uspokoiło się trochę i zanim wsadzili nowych, część więźniów wróciła. Ja też. Ano widzisz, Oleg, taka głupia historia. Twoja mama po prostu się bała.

– Dziadek da małego łyka, nie zasnę inaczej. – Oleg wskazał głową na butelkę.

– Pierwszy raz? – spytał Lew Mojsiejewicz, niepewny, co ma zrobić.

– Nie – przyznał się wnuk.

– To masz, ale matce nie mów. – Podał mu szklanę z niewielką ilością wódki. – Chleb po tym powąchaj, smalcu nie jedz przed snem, bo ciężkostrawny. Najadłem się, głupi, i będę się przewracał z boku na bok przez pół nocy. Do późna siedzisz nad tymi swoimi szachami.

– Aleksander Władimirowicz powiedział, żebym szykował się do turnieju na wiosnę. Mam jechać do Odessy.

– Co to za turniej?

– Memoriał Alechina w Odessie. Właściwie to nie wiem nic więcej. Nie powiedział. Kazał jechać. Sam nie może. Mówił, żebym nie myślał, z kim mam grać, tylko się szykował, więc nie pytałem.

Moskwa, grudzień 1981–kwiecień 1982

W środku nocy zadzwonił telefon.

– Zaraz przyjedzie po was samochód – odezwał się głos, przerywając sen. – Pierwszy sekretarz ma życzenie zagrać w szachy.

Romancew ubierał się szybko.

– Kto to? – spytała sennie Dasza.

– Gensek.

– O tej porze?

– Nie może spać – rzekł Romancew, zawiązując pod szyją krawat. – Jadę.

Dasza nie odpowiedziała, przewróciła się tylko na drugi bok. Romancew nachylił się nad nią i pocałował we włosy. Mruknęła niezadowolona.

Romancew w milczeniu spoglądał na rozświetlone, puste o tej porze miasto. Nie przepadał za Moskwą.

– Jak tam, nasz zuchu, pokonasz Amerykanina? – powitał go Breżniew, leżąc na kanapie, przy której stał stolik z szachami. – Mówią, że tylko ty możesz to zrobić, uratować honor kraju.

– Pokonam, towarzyszu sekretarzu – odrzekł bez chwili wahania Romancew.

– To i dobrze. Spać dziś, widzisz, jakoś nie mogę. Myśli złe przychodzą i trzeba je zająć, a szachy dobra gra na taką przypadłość.

W pokoju panował półmrok. Jedyne kunsztowna złota lampa stojąca na wielkim drewnianym biurku, którego blat pokryty był zielonym suknem, rozświetlała ciemność. Pierwszy sekretarz mówił z trudem i ciężko oddychał. Otwierał usta niczym wielka ryba. Udar, który przeszedł, pozostawił po sobie ślad.

Te nocne partie nigdy nie wiązały się z rozmowami o polityce. Czasem pierwszy sekretarz pozwalał sobie na uwagę, że pionki to takie a takie kraje, albo że szach jest jak działanie na Bliskim Wschodzie. Ale w zasadzie na tym koniec. Wszystkie partie kończyły się pokojowo. Zazwyczaj po rozegraniu debiutu i kilku posunięć w grze środkowej pierwszy sekretarz pakował się w trudną dla siebie pozycję, proponował remis, który Romancew skwapliwie przyjmował, okraszając wszystko omówieniem partii, w której podkreślał intrygujące i nowatorskie podejście do rozegranej przez sekretarza gry środkowej oraz swój brak doświadczenia w danej pozycji, który zmusił go do przyjęcia lub wysunięcia samemu propozycji remisowej.

– Bo wy jesteście zbyt schematyczni – dodawał czasem Breżniew. – Za mało ufacie swojej intuicji, zbyt mało odważnie szukacie nowych idei.

Romancew przyznawał mu ze skruchą rację, obiecywał wykorzystać podpatrzone w partii idee podczas najbliższego turnieju.

Innym znów razem pierwszy sekretarz twierdził:

– Ciągłe eksperymentujecie, zamiast słuchać starszych mistrzów i kontynuować osiągnięcia starej szkoły radzieckiej.

Romancew pokazywał wówczas ostatnio rozegrane przez siebie pojedynki z zachodnimi szachistami i komentował je, nie szczędząc przytyków swoim przeciwnikom i podkreślając wyższość radzieckiej szkoły szachowej.

Wracał do willi nad ranem. Zasypiał na kanapie przy cicho grającym radiu, którego dźwięki pozwalały zająć czymś myśli. Kiedy była Dasza, kładł się na skraju łóżka i patrzył na nią, dopóki sen nie skleił mu powiek.

Bywały wieczory, gdy Romancew musiał brać udział w biesiadach z członkami Komitetu Centralnego. Oznaczało to wódkę, śpiew i kobiety oraz lawirowanie między zdaniem, które niczym miny na morzu groziły detonacją i zatopieniem czyjejś kariery. Wypowiedziane po pijanemu słowa mogły decydować o przyszłości. Jednego wieczoru członek prezydium Komitetu Olimpijskiego,

Konstantin Kapustin, gdy już nieźle zaszumiało mu w głowie, opowiedział dowcip, który nie spodobał się jednemu z członków KC. Dowcip, zwykły, coś o żonie zdradzającej męża. Nie wiedział, że krążyły plotki, jakoby żona sekretarza miała na boku kochanka. Kariera Kapustina skończyła się tego wieczoru.

Te bale Romancew postrzegał jako kolejny służbowy obowiązek. Cały wieczór był jak partia szachowa, w której nie można było popełnić żadnego błędu, a rozluźnienie mogło drogo kosztować. Więc należało z wirtuozerią wykonywać manewry, rozmawiać z tymi, którzy byli silnymi figurami, unikać tych, których pozycja słabła, oraz pionków, z którymi nie powinien być kojarzony. Kobiety do towarzystwa zazwyczaj nudziły się z nim śmiertelnie, a on szczerze ich nienawidził. Choć kiedyś, zanim poznał Daszę Suworową, Romancew wysłał jednej kwiaty. Wy tłumaczono mu, by więcej tego nie robił.

– Nie trzeba, Anatoliju Michajłowiczu. – To krótkie zdanie zakończyło jego chwilowe zauroczenie.

Romancew spełniał nadzieje pokładane w nim przez partię. W wielkim stylu wygrał turniej międzystrefowy w Kingston na Jamajce i z sukcesem rozpoczął mecze pretendentów, z łatwością pokonując w pierwszej rundzie Wasiukowa. Zaledwie dwóch przeciwników dzieliło go od pojedynku o mistrzostwo świata z Zimmermanem. Półfinałowy mecz z Gurgenidzem ze względu na ich chłodne relacje zapowiadał się nadzwyczaj ciekawie. Obaj gracze, poza kwestią czysto sportową, mieli sobie wiele do udowodnienia. Stary lis Gurgenidze ograł w pierwszej partii Romancewa i wydawało się, że zdobędzie przewagę. Ale wkrótce okazało się, że było to jedyne zwycięstwo byłego mistrza świata i po czterech wygranych partiach Romancew rozstrzygnął pojedynek na swoją korzyść.

Zwieriew był pod ogromnym wrażeniem tego meczu.

– Moim zdaniem był to prawdopodobnie jeden z najlepszych meczów, jakie widziałem – mówił do uczniów podczas sesji w moskiewskim Centralnym Klubie. – Gurgenidze grał dużo lepiej niż w Rejkiawiku z Zimmermanem, bez nerwów, bez wielkich błędów, a przegrał aż cztery partie. Romancew pokonał go w bardzo przekonujący sposób, prezentując fenomenalny poziom. Takiego gracza jak on dawno nie było. Niech Zimmerman drży.

Ostatnie spotkanie Romancewa z Breżniewem odbyło się kilka miesięcy później, w marcu lub kwietniu, wkrótce po wygranym przez niego, zaledwie jednym punktem, dramatycznym meczu finałowym z Wiktorem Krutinem.

– No widzisz, mam złamany obojczyk – powitał go Breżniew. – Taki przypadek. Podczas mojej wizyty w fabryce samolotów tłum rzucił się, by mnie zobaczyć, wspięli się na rusztowania i bach... Jakieś żelastwo oderwało się i spadło na mnie i Szafara Raszydowa.

– Narażacie się, towarzyszu sekretarzu, w trosce o kraj rujnujecie swoje zdrowie – próbował znaleźć właściwe słowa Romancew.

– Ano taki los – wysapał ciężko Breżniew. – Siadajcie. Coś wam z tym Krutinem nie szło najlepiej.

– Młodziak jestem – rzekł skromnie Romancew. – Jeszcze trochę się nauczyć trzeba, jak panować nad nerwami, jak się kontrolować, jak nie osłabiać. Za łatwo mi poszło na początku, to i straciłem czujność.

– Czujność jest najważniejsza. – Breżniew podniósł ostrzegawczo palec. – W rządzeniu krajem także. Stracisz czujność, wróg podejdzie i zanim się obejrzyysz zrujnuje, co zbudowałeś. Zobacz Polaków. Tyle razy im mówiłem, bądźcie czujni, energiczni. Nie słuchali. Aż doszło do kryzysu... Pokażcie decydującą partię.

– Wystarczał mi remis – zaczął tłumaczyć Romancew, demonstrując posunięcia. – Krutin atakował, atakował, zgrał się, dostał wyraźnie gorszą pozycję i zaproponował remis – zakończył z uśmiechem.

– I co, przyjęliście? – obruszył się Breżniew.

– Przyjąłem, bo to oznaczało mój sukces w całym meczu – odpowiedział niepewnym głosem Romancew.

– To źle, żeście przyjęli – zganił go pierwszy sekretarz. – Nie należało przyjmować. Wygrana dwoma punktami wygląda inaczej niż jednym. Sami mówiliście, że ten Amerykanin łatwym remisem się nie zadowala.

– Mówiłem, towarzyszu sekretarzu.

– No i?

– Cóż, gdybym miał okazję posłuchać rady towarzysza sekretarza przed partią, nie przyjąłbym remisu.

Breżniew zaniósł się potężnym kaszlem. Świst jego oddechu przypominał wydech wynurzonego z głębin wieloryba. Romancewowi przemknęła myśl, że to ich ostatnie spotkanie, i przez chwilę zrobiło mu się go żal. Tamtego wieczoru nie dokończyli partii. Kiedy Breżniew zapadł w drzemkę, lekarz kazał Romancewowi odejść.

Zapewniwszy sobie prawo gry o mistrzostwo świata z Zimmermanem, Romancew stał się jednym z najpopularniejszych sportowców Związku Radzieckiego. W wywiadzie emitowanym na głównej antenie radzieckiej telewizji redaktor Nikifor Walentinowicz pragnął pokazać go nie tylko jako szachistę.

– W waszym życiu, Anatoliju Michajłowiczu, są dwie pasje: szachy i muzyka. Jednak spośród tych dwóch życiowych karier wybraliście szachy...

– Tak. Jako małe dziecko uczęszczałem do szkoły muzycznej, gdzie uczyłem się gry na fortepianie. Byłem pewien, że podobnie jak matka zostanę pianistą. Kiedy jednak miałem dziewięć lat, do mego życia wtargnęły szachy i tak już pozostało. A zaczęło się od tego, że mój ojciec, choć dziś stroni od szachów, często ze mną kiedyś grywał i rzecz jasna wygrywał. I gdy matka poszła ze mną do Pałacu Pionierów i spytano mnie, do jakiej sekcji chcę należeć, odpowiedziałem: „Do

szachowej”. I tak odszedłem od muzyki, a wszedłem w świat szachów. Dyrektorem szkoły szachowej w Leningradzkim Pałacu Młodzieży był w tym czasie nie kto inny jak mój obecny trener Siemion Fomin.

– A potem studia: astrofizyka. Czy to nie za daleko od wcześniejszych zainteresowań?

– No cóż, każdy z muzyków i szachistów spogląda w gwiazdy, pragnąc, by stamtąd spłynęło na niego natchnienie.

– Nie będziemy dziś mówić o planowanej walce z Zimmermanem, za to powiedzcie mi, Anatoliju Michajłowiczu, o Daszy Suworowej. Widujemy was od pewnego czasu razem. Nasi widzowie chcieliby z pewnością wiedzieć, co planujecie.

– Dasza daje mi siłę, wiarę w sukces. Jestem szczęśliwy, mając ją u swego boku. Niestety, bardzo dużo oboje wyjeżdżamy i widzujemy się przez to zbyt rzadko. To utrudnia budowanie wspólnych planów.

– Wasz ulubiony reżyser filmowy?

– Andriej Tarkowski. Podziwiam jego kino, jego maestrię, wycucie i subtelność.

– Film?

– *Ojciec żołnierza* Rewaza Czcheidzego. Ilekroć oglądam ten film, zawsze wzrusza mnie scena, gdy główny bohater stara się zatrzymać czołg, mający zniszczyć winnicę. Cenię ten film za apoteozę niezłomności ludzkiego charakteru i ojcowskiej miłości do syna.

– Książka?

– *Wojna i pokój* Tołstoja. Szczególnie przemawia do mnie postać Andrieja Nikołajewicza Bołkońskiego.

– Najbliższy turniej szachowy, w którym wystąpicie?

– Memoriał Alechina w Odessie. To będzie ostatni turniej przed rozpoczęciem przygotowań do meczu z Zimmermanem. Jeśli będzie tak silnie obsadzony jak zwykle, pozwoli mi to złapać odpowiednią formę.

Moskwa, listopad 1981

Tamtego poranka Tatiana pomyślała, że jej życie rozpadło się jak zwierciadło, na tysiące części. Chciała ujrzeć tę metaforę i rzuciła butelką szampana przyniesionego przez Sewastianowa w wiszące w przedpokoju wielkie lustro.

Pękło na kawałki, a ona przyglądała się im w milczeniu. Spoglądała na swoje odbicie w rozbitym szkle i uznając, że nie należy naruszać artystycznej ekspresji, nie sprzątała tego manifestu swojej duszy. Tak więc każdego dnia, gdy Tatiana wychodziła na zajęcia w moskiewskiej szkole teatralnej, spoglądała na to dzieło, zastanawiając się, kiedy wreszcie poczuje spokój i ułoży sobie emocjonalne życie na nowo.

Było to wkrótce po tym, jak jej matka, Jelena Bułanowa, przeprowadziła się do nowego mężczyzny. Tatiana początkowo bała się ciszy pustego mieszkania. Nie mogła spać. Do rana leżała lub siedziała na łóżku, nasłuchując sygnału telefonu lub dzwonka do drzwi, które mogłyby przynieść jakąś nowinę, zmianę, cud. Łudziła się, że do pokoju wejdzie matka i powie: „Pakuj się, jedziemy do Ameryki, znów będziemy rodziną”. Do tamtego wieczoru nie rozumiała, czemu poeci piszą o pękniętym sercu. Teraz, siedząc samotnie na parapecie, tuląc swe długie jasne włosy do zimnej szyby, czuła, że tylko resztką sił powstrzymuje swe serce od pęknięcia.

Miała dziewiętnaście lat. Od roku studiowała w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej i z tego powodu ogarniały ją na przemian euforia i depresja. Dobrze czuła się w scenach dramatycznych, fatalnie w komediowych. Choć te ponoć grała rewelacyjnie, zachowując przejmujący chłód tam, gdzie innych ponosiła wesołość. Nie potrafiła dokładnie nazwać, czego pragnęła, a kiedy już próbowała to zdefiniować, dochodziła do wniosku, że pragnie sprzecznych ze sobą rzeczy – wolności i bliskości kogoś, kto dawałby jej bezpieczeństwo, odkrywania świata, a zarazem posiadania swojego małego schronienia, dokąd mogłaby wrócić, kiedy tylko będzie tego potrzebować. Marzyła o przestrzeni bez ograniczeń, a jednocześnie tęskniła za swoją ukrytą przed wiatrem przystanią. Czasem myślała, że rozumie matkę, która zostając trenerką łyżwiarek i przenosząc się do nowego mieszkania, otworzyła przed sobą kolejny rozdział, nie oglądając się więcej za siebie, nawet za cenę oddalenia się od córki. Bywały dni, gdy Tatiana, pogrążona w nieustającym spleenie, pragnęła wyśnić dla siebie lepsze jutro, lecz te próby zawsze przynosiły rozczarowanie.

Była świadoma własnej urody, lecz czasem, gdy długo patrzyła na swoje odbicie, na niepokojące zielone oczy, czuła lęk przed samą sobą, przed własnym wnętrzem, przed tym, co otrzymała od matki i ojca, którego nie знаła, a co definiowała jako mieszankę ambicji, egoizmu, bezwzględnej siły i słabości pełnej lęków.

Grigorija Sewastianowa poznała na wystawie Paryż–Moskwa. Kiedy podszedł do niej, powiedziała bardziej do siebie niż do niego:

– Chcę mieszkać w Paryżu.

Zadzwoił do niej wkrótce potem. Nigdy nie spytała, jak zdobył numer jej telefonu. Imponował erudycją, był w miarę przystojny, miał zachodni samochód i fajne mieszkanie w dzielnicy artystów, przy ulicy Prieczistienka. Dość szybko

znalazła się w jego łóżku. Nosiła wysokie szpilki, ciemne okulary i jeździła brawurowo samochodem. Nieco później dowiedziała się, że mówiono o nim „efekciarz”. Z ciekawości obejrzała jego filmy. Nie spodobały się jej, nie rozumiała ich, lecz kłamała, że jest w nich coś niepokojącego, metafizycznego. Nie umiała podzielić zachwytu tych, którzy dostrzegali w nich coś więcej niż mnożenie okropieństw, które miały ukryć brak pomysłu na scenariusz. Podczas kolacji w Russkim Zale zaproponował jej rolę w swoim nowym filmie.

– Robię film o zdrajcy, faszyście, antysemicie, obszarniku, który nadal cieszy się szacunkiem i miłością w Związku Radzieckim. Potrafisz sobie wyobrazić taką postać? Czym mógłby się zajmować? Zgadniesz?

– Pisarz? Naukowiec? – próbowała odgadnąć Tatiana.

Odgarnął jej włosy z czoła i wychylił kieliszek czerwonego wina.

– Powiesz? – szepnęła. Nie lubiła, gdy bawił się z nią, gdy na siłę pokazywał swoją przewagę, ale tolerowała to. W końcu dzięki niemu miała trafić na ekrany kin.

– Bohater mojego filmu urodził się w bogatej rodzinie, jego ojciec był posiadaczem ziemskim i deputowanym do Dumy. Już to powinno go dyskwalifikować w oczach naszych władz, ale to nic w porównaniu z tym, co było dalej, uważaj: bigamista, czterokrotnie żonaty ze znacznie starszymi od siebie kobietami, skazany na śmierć za szpiegostwo, prawnik, aktor, działacz komunistyczny i tłumacz przy Kominternie, a potem emigrant, aktywny antykomunista i faszystowski kolaborant.

Tatiana wytarła usta serwetką. Usiłowała wyobrazić sobie siebie w latach dwudziestych i trzydziestych. Była ciekawa, kim były jego żony, czy miał młodą kochankę, którą mogłaby zagrać. Oczami wyobraźni widziała się w małym toczku i siateczce spadającej na jedną część twarzy.

– Osadzono go w więzieniu w Odessie – ciągnął Sewastianow. – Miał być rozstrzelany. Ale dowódca plutonu egzekucyjnego, słysząc, kim jest, uwolnił go. Uwierzysz? Faceta, który stał przed lufami karabinów plutonu egzekucyjnego. Zresztą jest kilka wersji co do szczegółów tego zdarzenia. Jedni mówią o wstawiennictwie samego Lwa Trockiego, inni o telegramie szefa komisarzy Ukrainy, Rakowskiego. Mnie podoba się wersja pierwsza. Zresztą jakiś czas później znów miał być stracony i jakimś cudem po raz kolejny uniknął egzekucji. Na emigracji, w Paryżu, poznał jedną ze swych żon, wdowę po jakimś carskim generale. Miała córkę, Gwendolinę. Myślałem o tej roli dla ciebie – zwrócił się z uśmiechem do Tatiany. – Taki romans z córką swojej znacznie starszej żony.

Tatiana poczuła ukłucie. Chciała chlusnąć mu winem w twarz.

– We Francji pisze swoją antybolszewicką biografię, która dziś w naszym kraju nikomu nie przeszkadza traktować go jak bohatera. W tamtym jednak czasie jego sława ma zasięg, można rzec, światowy. Podróżuje z kontynentu na kontynent,

spotyka się z Douglasem Fairbanksem w Hollywood, by chwilę później bawić w Buenos Aires, Hongkongu czy Tokio.

– Kim on jest? – Tatiana uśmiechnęła się zimno.

– Cierpliwości, zaraz się dowiesz. Ponoć jadąc do Polski, zapomniał paszportu. Celnik nie chciał go wpuścić, a on mu powiedział, kim jest, i dodał: „Nie potrzebuję żadnego paszportu”. I przejechał granicę.

– Kim on jest?! – powtórzyła naprawdę zaintrygowana Tatiana.

– Jest na pewno facetem pełnym sprzeczności, których nie potrafię zrozumieć. Na przykład podczas pobytu w Argentynie otrzymuje wiadomość, że w Europie wybuchła wojna. Żona namawia go na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ale on wraca do Francji, by zgłosić się do wojska. Można powiedzieć: bohaterski czyn. Ale kilka tygodni później zadaje się z faszystowskimi dygnitarzami, publicznie wygłasza swoje profaszystowskie i antysemickie poglądy. Ponoć spotkał się z Josephem Goebbelsem i Hansem Frankiem. Publikuje w „Pariser Zeitung”. W końcu nasz bohater przenosi się do Portugalii i tam wkrótce po wojnie umiera. Mówią, że go zamordowano.

– Fascynujący i przerażający upadek niezwykłego człowieka – skomentowała Tatiana.

Sewastianow skończył stek. Wytarł lśniące od tłuszczu usta.

– Czy możesz wyobrazić sobie gorszy życiorys dla naszych władz?

– Nie chce mi się wierzyć, że taki człowiek może dziś cieszyć się szacunkiem u nas w kraju – rzekła sceptycznie Tatiana, rozczarowana swoją epizodyczną rolą w filmie.

– Ha. Właśnie. Mało tego. Od lat pięćdziesiątych władza radziecka organizuje co roku uroczystości ku jego czci. Fenomen, to niewytłumaczalne... Człowiek o takim życiorysie... – Pociągnął kolejny łyk wina. – Zgadujesz czy się poddajesz?

– Nazwiska nie znam, a zawód, no cóż... Nie ma zawodu. Był prawnikiem, oficerem, próbował aktorstwa, miał jakieś partyjne drobne fuchy. Ale kochano go i kocha się dalej, skoro tak wiele mu wybaczone i zapomniano o jego grzechach, skupiając się na twórczości. Tyle że pisarza, poetę bym znała. Muzykiem nie mógłby być, nie wspomniałaś o konserwatorium muzycznym. Więc pisarz. Przypomina mi trochę Bułhakowa. Jednak to nie on, rzecz jasna.

– Dobrze rozumujesz, ale myślę, że nie zgadniesz, bo sam bym na to nie wpadł.

– Więc?

– To szachista. Aleksander Alechin. Pierwszy rosyjski mistrz świata. Geniusz tej gry. Zawiedziona?

– Nie, choć nigdy bym się nie domyśliła.

Sewastianow zamówił kolejną butelkę wina. Pił dużo. Nie lubiła tego. Po alkoholu stawał się agresywny, nieprzewidywalny, gwałtowny. Spała z nim od

kilku tygodni. Początkowo seks traktowała z obrzydzeniem, z czasem przyzwyczała się milczeć i myślała, że bycie szczęśliwym to przesąd, wydumana przez kogoś teoria, która pogłębia tylko ludzkie frustracje.

Sewastianow wpadł na pomysł, żeby Alechin miał romans z pasierbicą Gwendoliną, w której postać miała się wcielić Tatiana. Krępowały ją rozbierane sceny, zbyt prowokacyjne, zbyt modernistyczne.

Kiedy pojawiła się na planie filmowym, zaczęto pytać, kim jest. Dawne kochanki reżysera śmiały się za jej plecami, a jedna współczująco wyznała, że Sewastianow to „droga donikąd”.

Ponieważ nie radziła sobie z własną nieśmiałością, Sewastianow zaczął mieć do niej pretensje, krzyczał, że marnuje na nią czas zdjęciowy. Zresztą już wtedy podejrzewała, że reżyser spotyka się z innymi kobietami, i czuła się jak w pułapce. Wiedziała, że zerwanie z nim byłoby równoznaczne z porzuceniem planu filmowego. Taka historia zamknęłaby jej drogę do kariery. Nikt nie chciałby z nią później pracować. Wiedziała, że jest dumny i zawzięty, i zrobi wszystko, by się zemścić. On mógł kobietę porzucić, ale nie pozwoliłby sobie, by to jego porzuciono. Tatiana zdała sobie sprawę, że go nie lubi. Nie lubiła też seksu z nim. Nienawidziła, gdy wchodził w nią gwałtownie, egoistycznie, szybko, bez czułości. Ale trwała przy nim. Kiedy w grudniu w mieszkaniu przy prospekcie Kutuzowa zastrzelono aktorkę Zoję Fiodorową, Sewastianow pił, był nerwowy, bał się. Chodziły plotki, że Fiodorowa współpracowała z KGB w tajnych operacjach i miała związek z „mafią diamentową”. Ile w tym było prawdy, Tatiana nie wiedziała. Wydawało się, że na Fiodorowej wykonano wyrok: zabito ją precyzyjnym strzałem w głowę z pistoletu marki Sauer. Sprawca miał klucz do mieszkania i nigdy nie został wykryty. Historia obrosła legendą, każdy miał na ten temat swoją teorię. Sewastianow o tym nie rozmawiał. Myślał o wyjeździe z Rosji. Kilka miesięcy później przyszedł do domu z wiadomością, że chodzą słuchy, iż Andriej Tarkowski uciekł na Zachód. Mówił, że to jedyna droga, by coś osiągnąć i nie żyć w tym piekle. Alkohol sprawiał, że zachowanie Sewastianowa pogarszało się z dnia na dzień i jej życie przy nim stawało się koszmarem. Jednak dzięki niemu zagrała rolę, która mogła otworzyć jej drogę do kina. Wystarczyło, by pojawiła się na ekranie studia montażowego na dwie lub trzy minuty, a w świecie filmowców już zaczęto pytać, kim jest ta nowa piękność, muza Sewastianowa. Jej niepokojąca uroda nie pozwalała o niej zapomnieć.

Sewastianow zdradzał ją z innymi kobietami i nawet się z tym nie krył. Kiedyś po pijanemu wyzwał ją od kurew. Leżała wtedy w wannie. Walił w drzwi, by otworzyła. Nie zrobiła tego. Bała się. Wyrwał zamek. Wysikał się do wanny i zanurzył jej głowę pod wodę. Znienawidziła go... W nocy zastanawiała się, czy nie wbić mu noża w serce. Obracała ostrze w dłoniach, aż się nim skaleczyła i z rozciętego palca pociekła krew. Na drugi dzień kupił jej kwiaty i ociekające

złotem duże kolczyki. Zawsze po pijackiej burdzie na drugi dzień kupował jej kwiaty i prezenty, zabierał na kolację do zamkniętych dla ogółu restauracji.

Realizacja filmu o Alechinie zbliżała się ku końcowi. Ostatnie sceny miały być nakręcone podczas szachowego memoriału na jego cześć, rozgrywanego w Odessie.

Odessa, maj 1982

Wieczorem pociąg do Odessy opuścił Dworzec Kijowski i Oleg leżący w *płatkartnym* wagonie poczuł lekki niepokój. Kiedy się obudził, cały otwarty wagon wypełniony był wonią jedzenia. Mężczyźni jedli to, co mieli ze sobą: bułki, jajka na twardo, kiełbasę i ogórki. Popijali jedzenie wódką, piwem lub kompotami z termosów. Na dole mężczyzna w kąpielówkach i siatkowym podkoszulku przeklinał siarczyście, bo nie udawało mu się złapać żadnej stacji radiowej w małym przenośnym odbiorniku, i słychać było tylko nieprzyjemny dla ucha szum. Obok czterech inni grali w karty. Gruba kierowniczką wagonu przeszła obok leżanki Olega.

– Herbaty się napijesz, synku? – spytała niskim głosem.

– Dziękuję, bardzo chętnie – odparł Antonow, przyglądając się ciekawie jej powiekom pomalowanym na wściekły zielony kolor.

– Twoja mama kazała cię przypilnować – dodała kobieta – żebyś zjadł, co ci dała, bo chuderlak jesteś.

Antonow się zaczerwienił. Siedzący pod nim chudy mężczyzna wstał ze śmiechem.

– W więzieniu mieliśmy takiego jednego chuderlawego, który miał wilczy apetyt...

– Siadajcie, obywatelu, i milczcie – surowo rozkazała kierowniczką.

Mężczyzna usiadł potulnie. Miał czarne, krótko przyszczyżone włosy i ziemistą cerę.

– Jakby cię zaczepiał, daj znać – odezwała się kobieta do Olega.

Dla zabicia czasu Oleg wyciągnął swoją małą tekturową szachownicę. Sąsiad z dołu zaczął się gimnastykować.

– W szachy grasz? – zaczepił chłopca. – Dawaj, zagramy. W więzieniu dużo grałem. Złaż na dół, u mnie będzie wygodniej.

Oleg, uznając, że nie ma co wchodzić w dyskusję, zsunął się z szachownicą na

dół.

– Co będzie, jak wygram? – spytał z ostrożności.

– No, szacun będzie – odrzekł mężczyzna, drapiąc się po kroczu.

Antonow wygrał w kilkunastu posunięciach. Mężczyzna zażądał rewanżu. Drugą partię przegrał jeszcze szybciej. Machnął ręką i położył się spać. W nocy jęczał, jakby we śnie dopadły go koszmary lub wyrzuty sumienia, które przygniatały jego piersi. Czasem uspokajał się i zaczynał chrapać, pokonując za każdym razem chwilę bezdechu. Oleg słuchał tego w napięciu, zastanawiając się, czy mężczyzna zdąży kolejny raz zaczerpnąć powietrza. W końcu, znużony, sam zasnął.

Okolo północy Olega obudziły szepty. Dyskretnie otworzył jedno oko, bojąc się, że to złodzieje. Kierowniczką świeciła latarką, a dwóch mężczyzn majstrowało coś w suficie. Potem szybko wepchnęli tam jakieś paczki, zakręcili kluczem i oddali go kobiecie.

– Zmykajcie – mruknęła i mężczyźni szybko się oddalili. – A ty śpij – zwróciła się nagle do chłopca.

– Śpię – szepnął przestraszony.

– I dobrze. – Zaśmiała się i odeszła.

Rano pociąg wtoczył się leniwie na secesyjny dworzec w Odessie. Oleg czuł się bardzo źle. Ponieważ był delikatnej budowy, kiepsko znosił długie podróże. Zmęczenie i duchota panujące w wagonie dały mu się we znaki. Minęło pierwsze podniecenie zbliżającym się turniejem i przyszedł lęk przed tym, co go spotka. Pisk hamulców wywołał nieprzyjemny i bolesny skurcz tętnic. Chłopiec przymknął na chwilę powieki, poczuł szarpnięcie oznaczające koniec podróży. Jego ciężka walizka przypominała mu czasy, gdy jako pionier zbierał makulaturę, a w jego dłonie wrzynał się sznurek, jakim przewiązane były gazety. Nie chcąc robić z siebie pośmiewiska przy mocowaniu się ze zbyt ciężką walizką, postanowił odczekać, aż wszyscy pasażerowie opuszczą wagon. Siedząc przy oknie, obserwował płynący po peronie strumień podróżnych. Czasem jego uwagę przykuwały drobne szczegóły. Czarne podkolanówki grubego mężczyzny, którego koszula była mokra od potu, kobieta w pomarańczowych sandałach, z nogami chudymi jak jego ręce.

Dostrzegł ją w chwili, gdy miał zamiar wstać i skierować się do wyjścia. Szła, trzymając w lewej ręce brązową malutką torebkę, wyprostowana, z dumnie uniesioną głową. Długie jasne włosy opadały jej miękko na ramiona. Była starsza od niego o kilka lat i jej sylwetka rozkwitała kobiecością. Twarz dziewczyny przywodziła na myśl postaci z filmów, twarze aktorek, które widział w albumie o historii kina, pieczołowicie uzupełnianym przez matkę i odstawianym ostrożnie na regał obok figurek z porcelany i zdjęć ojca. Przez sekundę tkwił bez ruchu, zastygły w zachwycie, potem rozejrzał się dookoła, by się upewnić, czy nikt nie

dostrzegł jego zmieszania. Stracił ją z oczu. Poczuł, że chce ją ujrzeć jeszcze raz. Rzucił się do wyjścia. Walizka zleciała z hukiem na podłogę, uderzając go boleśnie w ramię. Ból i złość sprawiły, że do oczu napłynęły mu łzy. Ciągnąc za sobą ciężar po korytarzu wagonu, myślał o tym, kim może być tajemnicza nieznajoma, czy uda mu się ponownie ją zobaczyć, zdążył nawet wyobrazić sobie jej spojrzenie i opanowało go zniewalające uczucie podniecenia. Stojąc na schodach wagonu, poszukiwał jej wśród innych idących peronem pasażerów. Nie bacząc na zniszczenia i przetarcia walizki, ciągnął ją za sobą, biegnąc przed siebie zgarbiony. Za plecami słyszał przekleństwa osób, które potraçał. Biegł, by raz jeszcze poczuć ten dziwny dreszcz, tę ekscytację, która ogarnęła go na myśl, że dziewczyna na niego spojrzy. Nie chciał dopuścić, by ta chwila stała się wyłącznie niedokończoną etiudą. Był ciekaw, co będzie dalej...

Metalowy zaczep od walizki odgiął się i rączka się urwała. Przeklinając pod nosem, Antonow wyciągnął pasek od spodni i prowizorycznie przymocował do walizki, by dało się ją nieść przed sobą. Było to mocno kłopotliwe i zrozumiał, że za chwilę straci możliwość dogonienia dziewczyny.

– Towarzyszu milicjancie, jestem szachistą, przyjechałem na turniej, muszę poszukać autobusu, a walizka się rozsypała. Popilnujcie? – zwrócił się nieoczekiwanie do grubego milicjanta, który spocony, z przytępieniem od gorąca wzrokiem, wpatrywał się w pasażerów. – Zaraz wracam!

Milicjant ospale spojrzał w jego stronę i nie wydobył z siebie ani słowa. Chłopiec, nie oglądając się, pobiegł dalej. Ujrzał ją ponownie, gdy z gracją wsiadała do zaparkowanej pod dworcem taksówki. Stał, bezwstydnie gapiąc się na odjeżdżający samochód i licząc, że choć na chwilę przyciągnie jej zainteresowanie, ukradnie spojrzenie. Taksówka zniknęła za rogiem, a on wciąż stał – rozemocjonowany, ogarnięty uczuciem, którego nie rozumiał.

Dureń, pomyślał zawstydzony. Nie kryjąc rozczarowania, zawrócił na peron. Milicjant rozmawiał z kierowniczką wagonu, trzymając w ręce kubek. Walizka leżała kilka metrów od niego. Chłopiec, którego opuściła już chwilowa brawura, po cichu wycofał się z nią i ruszył w kierunku wyjścia.

Czuł się jak po porażce w partii, w której nie wyszedł mu piękny atak. Opuściła go cała energia. Rozejrzał się dookoła, przypominając sobie, że przyjechał na turniej i powinien jakoś dotrzeć do hotelu. W końcu dostrzegł autobus LIAZ, za którego przednią szybą widniał napis: „Szachowy Memoriał Alechina”. Ciągnąc za sobą swoją skajową walizkę, która wydała mu się jeszcze cięższa niż poprzednio, podszedł do autobusu.

– Dzień dobry. Ja na turniej – odezwał się do kierowcy.

Ten spojrzał na niego zdziwiony.

– Jaki turniej? Juniorów nie wożę.

– Memoriał Alechina.

– A wasze nazwisko?

– Antonow.

Kierowca spojrział na kartkę.

– No zgadza się. Z Moskwy. A co wy tacy mali? Wrzucicie bagaż i wsiadajcie.

Po południu spadł przelotny deszcz. Gdy tylko ustał, Antonow wybrał się na spacer. Mokre ulice odbijały popołudniowe promienie słońca. Odessa przypominała jeszcze tę, o której pisał Majakowski, gdy wspólnie z małżeństwem Brików przemierzali jej ulice, tworząc przedziwny erotyczny trójkąt. Oleg kochał Majakowskiego, zachwycał go *Obłok w spodniach* i słowa poety:

To było.

Było w Odessie [13].

Całe popołudnie myślał o dziewczynie, którą zobaczył rano na dworcu. Nie opuszczała go myśl, że jeszcze ją odnajdzie i że to spotkanie nie było całkiem przypadkowe. Doszedł do wniosku, że chyba pierwszy raz w życiu ogarnęło go uczucie, które niedawno wyśmiewał, czytając rosyjskich romantyków: nagła, od pierwszego wejrzenia... miłość.

Idąc ulicą Jekatierińską w stronę bulwaru Nadmorskiego, Oleg minął budynek opery oraz imponującą Starą Giełdę, zbudowaną we florentyńskim stylu. Usiadł naprzeciwko budynku opery, który matka poleciła mu obejrzeć.

– To najwykwintniejsza budowla w Rosji – powiedziała przed jego wyjazdem. – Tam zabrałam twego ojca pierwszy raz na spektakl. Żebyś widział go w marynarce. Pękała w szwach na jego ramionach. Biedny. Męczył się, siedząc w ciasnych rzędach, ale gdy słuchał arii Leńskiego, był tak bardzo przejęty... Wtedy po raz pierwszy poczułam, że chcę z nim być, chcę, żeby był moim mężem. Czułam, że jest taki mój: prostolinijny, szczery, zakochany...

Oleg starał się wyobrazić sobie tę scenę. Pomyślał, że bardzo daleko mu do ojca i że pewnie ten nie byłby z niego dumny, lecz przecież może jeszcze w życiu wiele naprawić, byleby mieć takiego anioła, jakim dla ojca stała się matka, anioła, który dawał skrzydła i unosił do lotu. A może po prostu dała mu czułość, pokochała i była blisko. Nie odciągnęła od boksu. Dla niej zaczął trenować, poświęcając temu wszystkie siły, dla niej zdobył medal na olimpiadzie. Był dumny, że nauczycielka, dziewczyna po studiach, została jego żoną. Był szczęśliwy. A potem wszystko potoczyło się tak szybko, nagle. Zemdlał na treningu. Nie odzyskał już przytomności. Zmarł dzień później. Lekarze stwierdzili obrzęk mózgu.

– Ojciec chciałby, żebyś grał w szachy – rzekła matka, gdy po bójce na podwórku przyniósł w dłoni wybity mleczny ząb. – Na pewno czułby radość, widząc, że idziesz własną, inną drogą, że nie chcesz być tylko jego cieniem. Naśladownictwa by nie zaakceptował. Wiesz, że cenił odwagę.

Oleg czuł się podekscytowany atmosferą memoriału, ale nie mógł się od nikogo

dowiedzieć, gdzie odbywa się turniej juniorów. Czuł się przez to nieco zagubiony i zdeprymowany. Podczas wieczornej kolacji ze zdziwieniem ujrzał wielkich arcymistrzów: Romancewa, Gurgendizgo, Wasiukowa i Rodionowa oraz kilku znanych zagranicznych arcymistrzów z Jugosławii, Węgier, Czechosłowacji, Holandii i NRD. Ani śladu juniorów. Nie wiedział, co ma w tej sytuacji zrobić. Przestraszył się, że wyrzucą go z hotelu, a nie chciał znów wracać pociągiem do domu. Zresztą, przyjęli go tu, w najlepszym hotelu w mieście, dostał jedzenie, więc w najgorszym razie pokręci się, poobserwuje grę arcymistrzów. Poczuł się rozczarowany, bo domyślił się, że dostał się tu przez pomyłkę i nie zagra w turnieju. Ale potem szybko pocieszył się, bo w końcu nie co dzień można oglądać z bliska pretendenta do mistrzowskiego tytułu, Romancewa, byłego mistrza świata Gurgendizgo, Wasiukowa i kilku innych świetnych szachistów. No i była ona... Zobaczył ją, gdy stała na balkonie w powiewającej na wietrze sukience. Zastygł na dole jak ten mały ogrodnik z piosenki polskiej pieśniarki Ewy Demarczyk, której matka słuchała w czerwcowe wieczory. Bezwstydnie patrzył na nią, a jego oczy wyrażały ból beznadziejnych marzeń. Nie dostrzegła go. Weszła do środka. A on tak stał zaczarowany, zakochany.

Niecierpliwie wypatrywał jej podczas kolacji. Przyszła z dwoma mężczyznami. Jeden z nich przypominał mu Alechina, drugi, w ciemnych okularach i dżinsach, grubawy, z dłuższymi włosami, zachowywał się hałaśliwie. Usiedli w rogu.

Po kolacji miało odbyć się oficjalne otwarcie turnieju. Oleg ukrył się pod ścianą i z zapartym tchem obserwował losowanie par pierwszej rundy. Sędzia wyciągał i odczytywał nazwiska: Romancew, Timmer, Zuegler, Gurgendizgo, Marinović, Molnar, Wasiukow, Hansa, Antonow...

Krew uderzyła Olegowi do głowy. Serce waliło mu tak mocno, że nie był w stanie zapanować nad swoim ciałem. To pomyłka, wydawało mi się, mówił sobie, choć czuł, że to jednak prawda i że jakimś przedziwnym zrządzeniem losu dostał się na turniej, który nie był turniejem dla niego, tylko spotkaniem arcymistrzów. Można by pomyśleć, że ktoś postanowił zrealizować jego wyśnzione marzenie, nie czekając na normalny bieg wydarzeń. Ale teraz Oleg czuł panikę. Był zły na „głupiego pijaka Zwieriewa”, który pewnie pomylił papiery. A potem przemknęło mu przez głowę, że ona może spojrzeć na niego z zainteresowaniem, pozna jego imię. I w beznadziejnie zakochane serce wkradła się irracjonalna nadzieja, romantyczne pragnienie, by zdobyć laur i złożyć go u jej stóp.

Nie mógł zasnąć z emocji. Marzenia przeplatały się z atakami paniki. Zdawał sobie sprawę, że nie może, ot tak, wziąć udziału w turnieju z najsilniejszymi szachistami świata, że to będzie klęska. Jednak przyznanie, że to pomyłka, powrót do domu też nie wydawały mu się dobrym rozwiązaniem. Tak czy inaczej, czuł, że wynikną z tego nieprzyjemności. Ale ona, ona może będzie tu jeszcze kilka dni, myślał podekscytowany. Remis chociaż w jednej partii mógł zwrócić na niego jej uwagę. To zmobilizowało Olega jeszcze bardziej. Zadzwoił do matki. Bał się, że każe mu wracać do domu, więc nic nie wspomniał o pomyłce Zwieriewa.

Zrelacjonował tylko, że ma swój pokój, że wygodnie, że turniej zaczyna się jutro, że zjadł kolację i zwiedził miasto, widział operę i faktycznie jest piękna.

Kilka pokoi dalej w nocy Sewastianow uderzył Tatianę, był pijany. Wybiegła z hotelu. Szukał jej przez godzinę. Znalazł na ławce przy deptaku. Porwał w ramiona.

– Jak mogłeś to zrobić? – łkała.

– Ciii, dziecino, ciii – powtarzał. – Już dobrze.

Rano Oleg czekał na nią aż do chwili, gdy sędziowie rozpoczęli turniej. Nie przyszła.

Jugosłowiański arcymistrz Marinović spojrział na niego z niesmakiem, kiedy podszedł do ich szachownicy.

– Ruscy przysyłają nam dzieci? – obruszył się i usiadł, nie podając chłopcu ręki na przywitanie.

Olga Lwowna usłyszała dzwonek do drzwi. Nie kryła zdumienia, widząc na klatce zziąjanego Zwieriewa i towarzyszącego mu Denisowa. Wtoczyli się do mieszkania, jakby to było całkowicie naturalne. Po czym Zwieriew pocałował Olgę Lwownę z dubeltówki i krzyknął:

– Oleg wygrał! Wygrał! Wygrał! Boże mój!

Runął na kanapę, aż zagrały sprężyny, i ciężko sapał, a po policzku popłynęła mu łza.

– No, ale z czego wy się tak cieszyacie? – spytała Olga Lwowna. – Przecież to zaledwie podrzędny turniej juniorów?

Denisow z zadowolenia poklepał się po udach.

– Tak mówił Oleg? – Zachichotał.

– No może niedokładnie – odpowiedziała niepewnie, próbując zrozumieć sytuację. – Nie wiem, twierdził, że kazaliście mu nie przejmować się wynikiem ani z kim gra, tylko żeby grał.

– Olgo Lwowna – odezwał się Denisow zachrypniętym od śmiechu głosem. – Potwierdzam, Saszeńka powiedział Olegowi, by nie przejmował się wynikiem. No, ale turniej nie jest juniorski. To Memoriał Alechina, jeden z najsilniejszych arcymistrzowskich turniejów w roku.

Olga Lwowna usiadła na oparciu kanapy, spoglądając na przemian to na Zwieriewa, to znów na chichoczącego Denisowa.

Oleg miał zwyczaj przychodzić na śniadanie pierwszy i czekać na jej przyjście. W zielonych, rozedrganych, pełnych emocji oczach dziewczyny szukał natchnienia, a potem, pozbawiony jakiegokolwiek stresu, siadał do szachownicy i

podejmował ryzykowne decyzje podczas gry. A grał jak w transie. I żył jak w transie, szukając tylko możliwości spotkania nieznajomej. Nigdy wcześniej nie liczył wariantów z tak zadziwiającą łatwością i szybkością. Figury i pozycje przemawiały do niego, nie pozwalały na fałszywe posunięcia, jakby otwierały przed nim sekretny wymiar, do którego zwykłą logiką nie można było dotrzeć. Niczym Mozart słyszający w swej głowie muzykę, którą po prostu należało zapisać, Oleg wybierał posunięcia intuicyjnie, ślizgając się po powierzchni wariantów z głęboką, niezachwianą wiarą, że każda decyzja jest trafna i prowadzi do sukcesu. Aż przyszło załamanie.

Tego dnia stał przy windzie. Czekał na nią bez ruchu, jak rzeźba w rzymskiej willi patrycjusza, sparaliżowany emocjami, ale też bez wstydu. Przyszła. Spod białej bluzki prześwitywał jej bieliźniany stanik. Oleg gapił się na nią bez żadnego skrępowania, żądając natarczywie jej zainteresowania. Dostrzegła to. Przez chwilę zawisł na pograniczu raju i piekła. Nie zareagowała. Musiał ustąpić. Nie było szans. Spuścił pokornie wzrok. Rozczarowanie paliło mocno, a egzaltowane młode serce podszeptywało dramatyczne scenariusze. Tego dnia przegrał w trzydziestu posunięciach. Opuściło go natchnienie, nie mógł zdecydować się nawet na debiut. Grał biernie i nie stawiał żadnego oporu. Przez chwilę nawet ją znienawidził. Gdy jednak przyszła noc, tak bardzo jej pragnął, że gryzł swoje pięści do bólu. Biały stanik ukrywający piersi stał się fetyszem. I wtedy wpadł na kolejny, szalony pomysł. Podkraść się do jej drzwi i wsunąć list z wiadomością: *Kocham Was i dla Was rozegram najpiękniejszą partię tego turnieju. Po tym poznać, kim jestem.* W tym zdaniu było wszystko: miłosne wyznanie, ofiarowanie swojego talentu, postawienie sobie celu na miarę średniowiecznych rycerzy, wreszcie demaskacja własnych uczuć i osoby, lecz dopiero wtedy, gdy na to zasłuży. Co ciekawe, Oleg ani przez moment nie miał wątpliwości, że rozegra najpiękniejszą partię w swoim życiu. Jego przeciwnikiem był bardzo doświadczony węgierski arcymistrz Lajos Molnár. Następnego dnia po nieprzespanej nocy Antonow nadal czuł w sobie rozpierające go siły, które nie dawały mu wcześniej usnąć. Znow był w świecie własnych idei, na powrót stał się twórcą, artystą. To przemożne uczucie nie opuszczało go podczas gry. Grając białymi gambit królewski, z niewiarygodną wręcz wiarą i siłą wykonywał posunięcia, które rozpętały na szachownicy namiętą burzę. Wokół niego zgromadziła się grupa arcymistrzów, którzy – porzuciwszy własne partie – przyglądali się temu, jak młody zawodnik z Moskwy przeprowadza z rozmachem i z niebywałą fantazją atak, zmiatając swoimi figurami siły przeciwnika. Oleg wygrał w wielkim stylu i odzyskał prowadzenie w turnieju.

Gdy jego podopieczny szybował ponad chmurami w Odessie, Zwieriew otrzymał wezwanie do Sportkomitetu. Ktoś wreszcie odkrył, że trener podmienił papiery i arcymistrz Dimitrienko udał się na turniej juniorów do Mińska, a junior z Moskwy pojechał na Memoriał Alechina do Odessy. Zwieriew wiedział, że tylko sukces chłopca mógł sprawić, by wybaczone mu oszustwo. Tymczasem w turnieju

zbliżał się pojedynek Olega z mistrzem kraju – Romancewem.

Romancew, jako pretendent do mistrzowskiego tytułu, nie mógł sobie pozwolić na zajęcie innego miejsca niż pierwsze. W tym czasie jednak jego uwaga skupiała się głównie na toczących się negocjacjach z Zimmermanem. Amerykanin, jak to miał w zwyczaju, stawiał żądania: specjalny stolik według jego projektu, specjalny fotel, odosobnione od widzów miejsce na odpoczynek podczas partii. Wszystko to nie stanowiło problemu. Kością niezgody był natomiast regulamin ich przyszłego meczu. Zimmerman żądał przywilejów. Uważał, że powinien zachować tytuł nie tylko przy remisie, ale również wówczas, gdy Romancew nie wygra z nim przynajmniej dwoma punktami. Dla Sportkomitetu to był warunek nie do przyjęcia. Romancew przekonywał, że dla dobra meczu trzeba go przyjąć, że jest w świetnej formie i że wygra z Amerykaninem nawet trzema punktami, jeśli tego będzie wymagało zdobycie tytułu. Wahano się. Romancew niezłomie wierzył, że jest w stanie wygrać, nawet przy tak niekorzystnym dla niego regulaminie. Intuicyjnie czuł, że Zimmerman stawia zapory, bo obawia się konfrontacji. I to dodawało mu pewności. Marzył wręcz obsesyjnie o tym pojedynku. Widział się już bohaterem kraju, przywożącym ponownie do Związku Radzieckiego tytuł najlepszego szachisty globu. Dlatego każdą wolną od gry chwilę spędzał na rozmowach z Moskwą. Irytował się, że nie przyjmują jego argumentów i że wciąż w niego nie wierzą.

– Jedziemy do Rejkiawiku na negocjacje z prawnikami Zimmermana! – krzyczał do słuchawki Bondariewski.

A co będzie, jeśli zakończą się fiaskiem? – niepokoił się w duchu Romancew, wracając do sali gier. Stał za plecami młodzieńca, który grał z Węgrem Molnárem i spojrzał z zaciekawieniem. Nie spodziewał się tak dobrej gry po nieznanym juniorze.

Tatiana spędziła dzień na plaży. Pływała, a potem odpoczywając na plażowym leżaku, zastanawiała się, czy kiedykolwiek odzyska wewnętrzny spokój. Wciąż nie mogła odnaleźć w sobie tego uczucia, które po przebudzeniu pozwoliłoby jej powiedzieć do siebie: „Jestem tu, gdzie powinnam być”.

Oleg, jak co dzień, zadzwonił do matki. Opowiadał o turnieju, mówił, że usłyszał od kogoś, iż niegdyś w Odessie były przypadki cholery, że kończą mu się ruble, że odwiedził Dworzec Morski i widział pomnik Richelieu. Na pytanie, co zrobił z pieniędzmi, poinformował, że kupił stary laboratoryjny mikroskop od weterana wojennego i maszynkę do golenia Mińsk, bo z twarzy zaczęły mu „sterczeć kłaki”. A w ogóle jest fajnie. Juniorzy grają słabo i udało mu się objąć prowadzenie w turnieju.

Romancew, Tatiana i Sewastianow usiedli wieczorem w hotelowej restauracji i rozmawiali o Alechinie.

– Zaintrygował mnie Alechin, bo to jedyny zdrajca i faszysta, który cieszy się w tym kraju szacunkiem – mówił reżyser. – Chciałem zrozumieć ten fenomen. Gdy został aresztowany tu, w Odessie, skazano go, pod zarzutem szpiegostwa, na śmierć przez rozstrzelanie. Mówią, że w celi śmierci odwiedził Alechina sam Trocki, rozegrał z nim jedną partię i mimo przegranej ułaskawił. A może ułaskawił właśnie dlatego, że przegrał? Może zabawił się w Panią Śmierć, która, jak u Bergmana, gra z rycerzem w szachy. „Wygrasz, Alechin, będziesz żył. Przegrasz, już po tobie”. I czuję, że Trocki robi wszystko, by wygrać. Widzę tę scenę. Siedzą w nocy przy ogarku i grają. A o świcie, ponieważ rachunek rozstrzelanych musiał się zgadzać, zamiast Alechina rozstrzelano czekistę, który go wcześniej aresztował.

Sewastianow mówił i mówił. Romancew przyglądał się Tatianie, która starała się nie odwzajemniać jego spojrzenia.

– Nie przepadam za pańskimi filmami – odezwał się nagle Romancew.

Tatiana parsknęła śmiechem. Sewastianowa zamurowało. Zapadła cisza przerywana tylko chichotem Tatiany.

Oczy dziewczyny i Romancewa się spotkały. Dystyngowana elegancja szachisty wydała się jej pociągająca. Przez moment wyobraziła sobie wspólne tango.

– Kto rozegrał dziś najpiękniejszą partię? – zwróciła się nagle do niego.

Romancew zdziwił się tym pytaniem, ale odpowiedział, że młody chłopak z Moskwy rozegrał niezwykłą partię i to jego grę dziś uznano za najlepszą.

Tatiana swoją melancholią przypominała Romancewowi jego matkę. Jej oczy zrobiły na nim ogromne wrażenie. Przepełnione emocjami, nadwrażliwe, rozedrgane, nie mógł ich zapomnieć, nie dawały mu spokoju. Ale potem wytłumaczył sobie, że to oczy aktorki, artystki, a być może egzaltacja młodej dziewczyny. Mimo to złapał się na tym, że chciałby znać odpowiedź na pytanie, czy to samo spojrzenie Tatiana ma przy porannym parzeniu kawy lub podczas czytania książki, gdy przykryta kocem, oddaje się chwili prywatności i wyciszenia. Czy te emocje kryjące się w jej oczach ustępują wówczas spokojnej „tafli szmaragdowego górskiego jeziora”?

Zasypiając, Tatiana myślała o Romancewie. Zaczął jej się okres i z radością użyła tego argumentu, by uniknąć seksu z Sewastianowem. Pierwszy raz poczuła, że ma siłę wyrwać się z układu, w którym tkwiła.

Oleg kupił nowy film do aparatu fotograficznego i postanowił czekać na okazję, by dziewczynę sfotografować.

Romancew spędził resztę wieczoru, analizując warianty obrony królewsko-indyjskiej, którą dotąd wybierał jego kolejny przeciwnik – Oleg Antonow.

Przed meczem Olega z Romancewem Zwieriewowi puściły nerwy. Cały wieczór próbował dodzwonić się do hotelu i był wściekły na siebie, że nie może tam być,

by pomóc swojemu uczniowi. Walił pięścią w kuchenny stół i zastanawiał się, jaki debiut wybierze Oleg, co zagra. W końcu nie wytrzymał. Otworzył butelkę wódki i próbował znaleźć ukojenie w alkoholu. Przed snem zadzwonił do Denisowa.

– Alosza, uspokój mnie – zażądał w pierwszych słowach.

– Sasza, powiem ci coś – prychnął wyrwany ze snu Denisow. – Dobrze, że cię tam nie ma, bo jesteś jak galareta. Chłopak radził sobie dotąd, jest na wznoszącej się fali, czego można chcieć więcej. Nic byś mu nie pomógł.

– Co twoim zdaniem powinien zagrać? – nie dawał się zbyć Zwieriew.

– Grünfelda, rzecz jasna – odrzekł bez zastanowienia Denisow, co uświadomiło Zwieriewowi, że przyjaciel, mimo udawanego dystansu, też spędził wieczór na rozmyślaniu o Odessie.

– Denisow, oszalałeś? – skwitował jego słowa. – Przecież to jeden z najtrudniejszych debiutów, jakie znam. Tak ryzykowny, że trzeba mieć odwagę, by go wybrać.

– I o to chodzi. Jeśli chłopak w siebie wierzy, powinien go grać. Jakoś mam przed oczami tę scenę, kiedy Grünfeld gra swój debiut pierwszy raz z Alechinem i tamten zgrzyta zębami na takie prowokacje, a po przegranej rzuca figurami o ścianę. Dobrze, że Grünfeld zdążył się uchylić, dostałby niechybnie w oko.

– Denisow, ja cię osobiście zamorduję! – warknął Zwieriew.

– Tak czy inaczej, Saszka – kontynuował niezrażony Denisow – wiem, że chłopakowi błyszczały oczy, gdy mu pokazałeś ten debiut. Do tej pory nie miał odwagi go grać. Rozumiesz już, Sasza?

– Denisow – rzekł zrezygnowanym głosem Zwieriew. – Ty powinieneś zostać gensekiem albo lepiej rabinem, bo jak stary rabin prawisz same mądrości. Idę się napić. Może dotrwam jakoś do jutra. I tak Wiera wywaliła mnie z łóżka, bo kręcę się i sapię z nerwów.

– Pewnie z nerwów wiatry puszczałeś, więc cię wywaliła.

– Oj, durny ty jesteś, Denisow, durrrny – podsumował Zwieriew, którego rozmowa podniosła jednak na duchu.

Romancew golił się powoli i starannie. W myślach rozgrywał już debiut. Postanowił, że rozprawi się z obroną królewsko-indyjską młodzika spokojnymi, pozycyjnymi manewrami, jakie rok temu dały mu wygraną w partii ze Sztejnem w Mińsku.

Tatiana wyjechała rano z hotelu prosto na dworzec, gdzie wsiadła do pociągu jadącego do Kijowa.

W sali gier sędzia główny dał znak, że rozpoczyna się ostatnia runda turnieju. Mucha leniwie przechadzała się po szklance z wodą. Oleg spoglądał na ruchy owada, który przelatywał z krawędzi na krawędź. Chłopiec pomyślał, że gdyby

próbował złapać muchę, mógłby potrącić naczynie i rozlać napój na stół z szachownicą. Dookoła zgromadził się tłum obserwatorów, którzy wiedzieli, że ta partia zadecyduje o kolejności w turnieju. Romancew spóźnił się dziesięć minut. Dziesięć długich minut, podczas których w głowie chłopca kłębiły się tysiące myśli.

Partia rozpoczęła się od szybkiego uścisku dłoni. Obaj gracze wykonali błyskawicznie pierwsze posunięcia. Romancew spojrział ze zdziwieniem na rozegrany debiut i na swojego rywala. Nie spodziewał się obrony Grünfelda. Wzrok arcymistrza przeszył Olega na wylot i pomimo upału chłopiec przez moment poczuł zimno.

Romancew grał spokojnie, lecz w jego grze wyczuwało się pewną nieskrywaną nutkę znudzenia i lekceważenia. Oleg przypomniał sobie słowa Zwieriewa o tworzeniu atmosfery dominacji. Kiedy chłopiec zagłębiał się w analizę pozycji, Romancew wykonywał gest w stronę widzów, który zdawał się mówić: „ten mały zabiera mój cenny czas, myśli nie wiadomo o czym, zamiast grać”. Pod wpływem tego psychologicznego nacisku chłopiec zbyt szybko wykonał posunięcie, którego po chwili pożałował. Romancew wykonał swój ruch i znów rozpoczął teatralną grę. Oleg, zły na siebie, z coraz mocniej bijącym sercem starał się nie poddać tej presji. Zasłonił dłońmi twarz, pozostawiając sobie wąskie pole widzenia, i nachylił się nad szachownicą. Następne posunięcie skoczkiem zobaczył niemal od razu. Właściwie nie zastanawiał się nad nim. Po prostu je ujrzał. A był to ruch, o którym – jak opowiadał Zwieriew – albo pisze się w gazetowych komentarzach, opatrując dwoma wykrzyknikami, albo kompletna halucynacja. Oleg nie znał odpowiedzi, wierzył jednak w swoje szczęście. Jeśli pomysł był dobry, to w okamgnieniu stawiał białe figury w niezwykle trudnym położeniu. To była pozycja idealna dla gry kreatywnej, pełnej niekonwencjonalnych rozwiązań, i chłopiec poczuł natchnienie, rodzaj cudownego transu. Ale nie wykonał posunięcia natychmiast. Czekał. Potrzebował, by figury same mu „podpowiedziały”, potrzebował ich głosu, by odważyć się na ten niezwykle ruch. Jego myśli zaczęły krążyć wokół niej i coraz bardziej kusila go myśl, że jeśli się nie pomyli i w tak widowiskowy sposób pokona mistrza kraju, to może ona spyta go, kim jest. Poczuł niezwykle energię, chciał raz jeszcze wszystko policzyć, choć wiedział, że podjął już decyzję, bo przecież bez tego ryzyka straciłby szansę na jej uwagę. Romancew, znudzony czekaniem, wstał od stolika i począł spacerować między innymi graczami.

Olga Lwowna w towarzystwie Leonida Iwanowicza, Zwieriewa i Denisowa piła herbatę w salonie, kiedy do drzwi zadzwonił Lew Mojsiejewicz.

– Macie jakieś wieści? – przywitał córkę w drzwiach.

– Grają, nic nie wiemy. Co pewien czas dzwonią z Odessy i telefonicznie podają nam posunięcia.

Weszli do salonu, w którym Zwieriew i Denisow dyskutowali nad pozycją ustawioną na szachownicy.

– Może jeszcze herbaty? – spytała Olga Lwowna, starając się zająć czymkolwiek, byle zapomnieć o nerwach. – Woda w samowarze właśnie się zagotowała.

– To ja tak – wymamrotał Leonid Iwanowicz, który właśnie wkładał do ust łyżeczkę z ciastem.

Zadzwonił telefon. Olga Lwowna pobiegła do przedpokoju, ale już po chwili przekazała słuchawkę Zwieriewowi, a ten rozmawiając z kimś, jednocześnie zapisywał na kartce ruchy figur, upewniając się, czy aby na pewno chłopiec wykonał takie właśnie posunięcie.

– Nie wiem, co on wymyślił, ale od czasu partii z Marinowiciem obiecałem sobie nie reagować od razu krytycznie na jego szalone idee, zanim ich nie zrozumiem – rzekł, przekazując Denisowowi ukradkiem sygnał, że chłopak chyba zwariował.

– A ja się martwię – odezwała się Olga Lwowna. – Bo znam Olega. Rozmarzy się, a potem jak przegra, a przecież nie ma szans, sami mówiliście, że jest między nimi wielka przepaść, więc jak przegra, będzie to rozpamiętywał, chorował. Nie jestem z tego wszystkiego zadowolona.

– Co ty opowiadasz! – zaprotestował zirytowany Lew Mojsiejewicz. – Gra z najsilniejszym graczem w kraju, ba, na świecie! Sam fakt, że gra na takim poziomie, to sukces. Dawaj koniaku, bo jakoś nerwowy jestem. Ile oni tak będą grać? Lonia, napij się koniaku? – zwrócił się do Leonida Iwanowicza.

– Napiję – przytaknął zadumany Leonid Iwanowicz, który tłumił w sobie targające nim emocje.

Czekanie na Romancewa było dla Olega prawdziwą torturą. Satysfakcja z wykonanego posunięcia mieszała się z uczuciem niepewności. Czy aby na pewno pretendent do mistrzostwa świata nie widział tego posunięcia, nie znajdzie na nie odpowiedzi? Romancew powrócił do stolika. Od razu dostrzegł śmiałą ideę rywala i nie udało mu się ukryć zaskoczenia. Jednak odpowiedział po chwili, niemal bez zastanowienia, tak jakby ruch Olega był czymś, co widział już od dłuższego czasu, a uczucie, jakie odmalowało się na jego twarzy, było raczej niesmakiem. Oleg stracił na chwilę pewność siebie. Może się pomylił... Nie miał czasu, by się nad tym zastanawiać. Trzeba było prowadzić atak dalej, bez względu na konsekwencje. Nastąpiła szybka wymiana. Oleg zrozumiał, że sprawy idą dokładnie w tym kierunku, który przewidział, więc niepokoiła go ta ciągła pewność siebie Romancewa. Tłum obserwatorów gęstniał dookoła szachownicy. Arcymistrzowie z ogromnym przejęciem obserwowali, jak szesnastolatek uzyskał ciekawą pozycję w partii z mistrzem Związku Radzieckiego i pretendentem w zbliżającym się meczu o mistrzostwo świata.

Mucha wzbiła się w powietrze i leniwie przeleciała nad głową chłopca. Romancew wykonał gwałtownie ruch i mocno trzasnął przyciskiem zegara. Oleg natychmiast, niemal bez patrzenia na szachownicę, wykonał swoje kolejne posunięcie. Powoli i delikatnie wcisnął zegar, ponownie przerzucając czas pozostawiony na myślenie na stronę mistrza. Wokół przeszedł lekki szmer. Posunięcia, które wykonywał, ukazywały głębię planu, a jednocześnie zadziwiającą wręcz precyzję i odwagę. Romancew zrozumiał, że nastał czas na poważniejszą refleksję. Sytuacja wymykała mu się spod kontroli. Jego pewność, że obali pomysł chłopca, ustąpiła determinacji w dążeniu do uratowania partii. Trudno było policzyć wszystkie możliwe warianty, było ich tak wiele i każdy miał w sobie szczyptę obcego Romancewowi szachowego szaleństwa.

Mucha powróciła i usiadła na drewnianej ścianie zegara. Antonow powiódł za nią wzrokiem i w tej samej chwili dostrzegł ruch wskazówki. Na ostatnie posunięcia Romancew wykorzystał dwie trzecie swojego czasu. Arcymistrz dostrzegł wzrok chłopca i spojrzał na zegar.

Widzowie obserwujący to, co się działo, zdawali sobie sprawę, że są świadkami jednej z najbardziej ekscytujących partii w historii szachów. A dodatkowego smaku pojedynekowi dodawał fakt, że mistrz kraju i pretendent do tytułu mistrza świata walczy z nikomu nieznanym szesnastolatkiem.

Chłopiec chciał wstać od stolika, lecz poczuł, że nogi drżą mu z emocji. Usiadł z powrotem, ponownie ukrył twarz w dłoniach i przyglądał się pozycji. Podczas tej analizy dostrzegł z niepokojem, że być może nieco przecenił siłę swojego ataku. Przygryzł wargi, napił się wody i zagłębił w swoim świecie, w którym jego figury, niczym armia, przesuwały się w różne miejsca pola walki. Symulacje kolejnych wariantów przypominały pracę sztabu nad mapą lub pracę reżysera, który w wyobraźni planuje kolejne sceny filmu. Serce waliło mu coraz mocniej, szybki oddech, nad którym nie potrafił zapanować, zdradzał stres, jaki przeżywał. Wiedział, że nie uszło to uwadze Romancewa, który wykonał swoje posunięcie, odchylił się, opierając o oparcie krzesła, i z satysfakcją spojrzał na chłopca. Wśród obserwatorów znów słychać było szepty, ktoś z tłumu poprosił o ciszę. Pozycja na szachownicy jeszcze bardziej się skomplikowała i większość arcymistrzów oceniła, że chłopiec, po ostatnim posunięciu Romancewa, znalazł się w trudnym położeniu. W kilku najbardziej logicznych wariantach czarne przegrywały lub też skazane były na wyraźnie gorszą pozycję w końcówce. Wydawało się, że młodzik przekroczył dopuszczalne granice ryzyka i poza efektowną komplikacją nie uzyskał z całej swojej kombinacji żadnych korzyści. Ale gdyby znali obrazy, które podpowiadała Olegowi wyobraźnia, gdyby wiedzieli, jak daleko sięga jego genialna pamięć w liczeniu wariantów, ujrzeliby zupełnie inne ścieżki, którymi podążały jego myśli.

Oleg wykonał ruch gońcem, poświęcając swoją najsilniejszą figurę – królową. Jego ruch wywołał prawdziwą wrzawę wśród oglądających. Wyraz triumfu na twarzy Romancewa zmienił się w rodzaj grymasu. Posunięcie było tak

nieoczekiwane, że nie ulegało wątpliwości, iż mistrz po prostu nie zauważył wcześniej tego wariantu. Teraz wszyscy widzowie dostrzegli niebywale śmiałą kombinację. Nieprzyjęcie przez Romancewa ofiary groziło białym szybkim matem. Przyjęcie – oznaczało rozsypanie się pozycji białych, a dwa gońce i wieża w zamian za królową wystarczały w zupełności, by czarne doprowadziły partię do wygranej. Romancew, jakby nie dowierzając, wykonał posunięcie, bijąc czarną królową. Oleg odpowiedział natychmiast szachem, demonstrując swój fenomenalny plan. Przez zgromadzony wokół stolika tłumek obserwatorów przebiegł głośniejszy szmer. Arcymistrzowie zgromadzeni dookoła nie kryli już oznak zachwyty. Figury białych znikwały jedna po drugiej... Romancew zatrzymał zegar i wyciągnął dłoń na znak, że poddaje partię.

Chłopiec poczuł na swoich plecach poklepujące go dłonie, wokół zrobiło się gwarno. Mistrz podpisał swój protokół i wstał, obrzucając Olega chłodnym spojrzeniem. Sędzia składał swój podpis na blankietach z zapisem partii. Ta wygrana oznaczała, że Oleg zajął pierwsze miejsce w turnieju. Chłopiec z trudem podniósł się z miejsca. Drżał z emocji i wyczerpania. Nie rozumiał, co mówią do niego inni. Grupa arcymistrzów nadal analizowała pozycje, przestawiając figury i głośno dyskutując nad analizowanymi wariantami. Romancew opuścił już salę gry.

Zadzwonił telefon w przedpokoju. Olga Lwowna poderwała się, by odebrać, a po chwili wróciła do salonu.

– Dzwonił Oleg – szepnęła łamiącym się głosem.

Zapadła cisza. Wzięła kieliszek koniaku z dłoni ojca i jednym haustem wypiła jego zawartość.

– Wygrał z Romancewem. Po prostu z nim wygrał! – Rozpłakała się.

– Koniaku? – spytał Lew Moisiejewicz, chwytając butelkę.

– Koniaku – przytaknął Denisow.

Zwieriew wrócił do domu po północy, wionęło od niego alkoholem.

– Śmierdzisz jak stary kot ze śmietnika – oburzyła się Wiera Konstantinowna. – Pościel sobie na kanapie, bo ja spać z tobą nie będę.

Trener potulnie położył się i uśmiechnął na myśl, że bez kwiatów się jutro nie obejdzie. Poczuł trochę duszności i skurcz w sercu. Zaniepokoił się, bo przecież teraz nie wolno mu było chorować. Teraz, kiedy znalazł swoją drogę do celu, już nie wolno było być słabym, zmęczonym czy chorym. Pomimo bólu w klatce piersiowej śmiał się, a po policzkach spływały mu łzy.

Romancew siedział do rana, analizując partię. Był wściekły na siebie i zadawał

sobie ból, oglądając raz za razem dokonywane posunięcia. Im głębiej wnikał w przebieg gry i motywy kierujące kolejnymi ruchami, tym bardziej zdawał sobie sprawę, że nie grał z przypadkowym szachistą, który wykorzystał jego słabszy dzień. Zlekceważył go i został za to surowo ukarany. Grę chłopca cechowała niezwykła wiara w siebie, oryginalność idei, a co najbardziej zadziwiające – bezkompromisowość i upór w dążeniu do zwycięstwa. Nie szukał remisu, grając czarnymi z mistrzem Związku Radzieckiego i pretendentem do tytułu mistrza świata. Ani przez chwilę nie czuł respektu. Do Romancewa dotarła myśl, jakieś niemiłe przeświadczenie, że ten chłopiec może towarzyszyć mu jak cień w przyszłej walce o szachową koronę.

Nie mógł zasnąć, zszedł więc do baru. Na dole ujrzał Sewastianowa. Ten machnął do niego, by podszedł. Był pijany. Romancew udał, że go nie widzi. Usiadł tyłem.

– No, co tam, nie udawaj, że mnie nie widzisz, arcymistrzu – usłyszał po chwili Sewastianowa. Reżyser przysiadł się do niego. – Możesz nie lubić moich filmów, ale nie traktuj mnie jak psa.

– Skąd taki pomysł? – odrzekł zimno Romancew.

– Traktujesz mnie jak psa, widzę to. Opędzasz się ode mnie, jakbym był wiejskim kundlem, przybłądą. Wszyscy mnie dziś unikają. Tania wyjechała bez pożegnania. Zostawiła.

Romancew spojrział na niego z satysfakcją i pierwszy raz poczuł wobec niego odrobinę ciepłych emocji, coś na kształt współczucia.

– Dobrze. – Uśmiechnął się lekko. – Napiję się z tobą, chociaż tej dziewczynie się nie dziwię, bo paskudny z ciebie typ.

Sewastianow zaczął się śmiać.

– Powiedz mi o Daszy Suworowej – zmienił temat Romancew. – Znasz ją dobrze?

Część II

Droga moja stolica, złoty mój Spartak Moskwa [\[14\]](#)

Moskwa, maj 1982

Tatiana przyglądała się, jak gorąca woda spływa po jej nagim ciele wąskimi strumyczkami. Ciepły prysznic przynosił ukojenie. Łazienkę wypełniła para, która osiadła na lustrze. Woda opłukiwała jej skórę, a ona czuła, że wciąż potrzebuje oczyszczenia. Podniosła głowę i nadstawiła twarz na masaż deszczu. Kropelki delikatnie łachotały ją w kącikach ust i pierwszy raz tego dnia się uśmiechnęła. To był ten sam uśmiech, który zagościł na jej twarzy, gdy wspomniała szachistę mówiącego, że nie lubi filmów Sewastianowa.

Ubrana w szlafrok, z mokrymi włosami, usiadła z nogami na stole, kładąc na podołku aparat telefoniczny. Nieposłodzona kawa pachniała aromatycznie i odprężająco, smakowała w szczególny, intymny sposób. Tatiana wykręciła numer telefonu, odgarnęła do tyłu włosy i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Witaj, czarownico – wypowiedziała słowa półszepem, teatralnie zniżając głos. – Zwołuję dziś sabat. Nie, nie będzie tego dupka, i jutro też, i w ogóle. – Zaśmiała się i sprawiło jej to przyjemność. – A, to już mój sekret, nigdy więcej go przy mnie nie zobaczysz – dodała. – Mhm. U mnie o dziewiątej.

Po dziewiątej w mieszkaniu przy Sadowniczeskiej słyhać było bizantyjskie chorały, które wraz z kadzidłami unosiły się pod sufit, wypełniając ciemną przestrzeń, rozświetloną jedynie kilkoma świecami, swoim tajemniczym tchnieniem wschodniej mistyki. Pośrodku pokoju na podłodze usłanej setkami kwiatowych płatków siedziały w kręgu cztery młode kobiety. Trzymały się za ręce, miały rozpuszczone włosy. Ich smukłe ciała przykrywały zwiewne, czarne, bardzo proste sukienki, skrojone na modłę habitów. Pomiedzy nimi stały porcelanowe miseczki wypełnione ziołowym naparem. Z dymiącego kadzidła umieszczonego pośrodku kręgu unosił się biały gęsty dym. Na prawo od Tatiany siedziała Wiera, studentka malarstwa na Moskiewskiej Akademii Sztuki, dalej – Nadia, studentka historii sztuki, która przed rokiem wyszła za dziennikarza sportowego, i Lena, najpiękniejsza z całej czwórki, która mówiła o sobie, że jest warta tego, by mieszkać w Monte Carlo. Lena rozpoczęła pracę jako stewardesa Aeroflotu.

– Moce ukryte w ziemi i w niebie – zaintonowała Tatiana, a trzy pozostałe kobiety powtarzały za nią. – Boże rozgwieżdżonego nieba, Boginie gwiazd zanurzone w mrokach kosmosu, Wietrze wiejący z czterech stron świata i Słońce, które dajesz nam życie i moc, Księżycu, świadku nocnej rozkoszy i towarzyszu tych samotnych chwil, Duchy przenikające przestrzeń, te dobre i te, które czerpiecie swą siłę z przepastnych ciemnych otchłani, pobłogosławcie nas, otoczcie opieką i dajcie szczęście, a odbierzcie siły naszym wrogom i nieprzyjaciołom, pogrążcie ich w obłądnie, wygnajcie z naszego życia, dręczcie co dzień, jak oni pragnęli dręczyć

nas.

– Amen – zakończyły chórem Wiera, Nadia i Lena.

Wypiły zioła z porcelanowych miseczek, po czym podawały sobie z rąk do rąk kadzidełko, w którym tliły się liście szaławii. Wciągały mocno ten aromat, odurzając się nim i czerpiąc radość z poczucia ogarniającej je wolności. Tatiana zapaliła końcówkę pałeczki uplecionej z liści szaławii, delikatnie zdmuchnęła i tłącą się poczęła od dołu ku górze obrysowywać postaci stojących przed nią i zrzucających swoje okrycia uczestniczek rytuału, jakby trzymała w ręce czarodziejską różdżkę. Nazywały to oczyszczeniem aury.

Tatiana wciągnęła zapach i zamoczyła pałeczkę w miseczce z ziołami, po czym wszystkie cztery, piękne i nagie, powolnym krokiem, trzymając się za ręce, poczęły krążyć wokół kadzidła, powtarzając raz jeszcze słowa swojej modlitwy:

– Duchy przenikające przestrzeń, te dobre i te, które czerpicie swą siłę z przepastnych ciemnych otchłani, pobłogosławcie nas, oto stoimy przed wami nagie, byście nasyciły się pięknem naszych ciał i w zamian oddały nam część swoich mocy.

Tatiana wyjęła z czerwonego pudełka mały sztylecik, którego złotą rękojeść zdobiły lśniące cyrkonie.

– Jest mi dobrze. – Wiera zaśmiała się cicho, siedząc w kręgu i bawiąc się długimi czarnymi włosami Leny, która położyła jej głowę na ramieniu. Zamglone oczy dziewczyny lśniły w blasku świec.

– Na pohybel naszym wrogom, egoistycznym facetom, tym wszystkim świniom, które nie okazują nam szacunku – syknęła Tatiana, rozcinając sobie sztyletem koniuszek palca i spoglądając, jak kropla krwi spada w migoczący płomień świecy.

– Niech pokryją się wrzodami te podstępne zmije, które chciałyby uwieść mojego Aloszę – dodała Nadia, naśladując Tatianę, i upuściła kroplę na syczący płomień.

– Nie lubię tego – jęknęła Lena.

– Musisz – rzekła stanowczo Wiera, biorąc jej palec i delikatnie nakłuwając.

– Au – pisnęła Lena.

– Cii – uspokoiła ją Nadia. – Mów życzenie.

– Niech duchy dadzą mi bogatego męża, który otworzy przede mną świat i będzie mnie rozpieszczał – rozmarzyła się Lena, ofiarowując swoją kroplę krwi.

– A ja chcę mocy twórczych, aby to, co uczynię, zapierało dech w piersiach oglądającym, aby odejmowało im mowę z zachwyty, aby pragnęli tego, co stworzę, chcę, by mnie kochano. – Wypowiadając te słowa, Wiera nie żałowała swojej krwi, śmiejąc się głośno, a jej śmiech okazał się zaraźliwy i pozostałe dziewczęta również ogarnęła dzika wesołość. Biegały po mieszkaniu, goniąc się,

rzucając w siebie poduszkami, to znów na chwilę poważniejąc i roztkliwiając się nad sobą, mówiąc o marzeniach i tęsknotach.

Księżyc nad Moskwą przesłoniły gniewne szare obłoki, które niczym okręty wojenne nadpłynęły złowrogo ze wschodu i nagle w mieszkaniu przy Sadowniczeskiej zapadła cisza.

Moskwa, czerwiec 1982

Tego lata kraj żył mistrzostwami świata w piłce nożnej. Drużyna Bieskowa w pierwszym występie była bliska sprawienia niespodzianki w meczu przeciwko faworyzowanym Brazylijczykom. Po голу Bala wydawało się, że szczęście jest blisko. Zwieriew wypił wówczas kolejną szklankę z Denisowem i dziadkiem Olega, który „cholernie dobrze” znał się na futbolu. Potem wypili, aby „zmniejszyć ból”, gdy Biessonow z trzech metrów nie trafił do bramki, potem, za Dasajewa, który świetnie bronił, i jeszcze jedną, by zagasić smutek po голу wyrównującym Sócratesa. „Co za durne imiona mają ci Brazylikańcy”, złościł się Leonid Iwanowicz. A potem wypili z nerwów na sędziego, kiedy jakiś „banan”, jak brazylijskiego obrońcę określił Leonid Iwanowicz, ręką zdmuchnął przed nosa piłkę Błochinowi. „Karny! Karny!” – krzyczeli wszyscy, ale arbiter nie usłyszał, karnego nie podyktował i trzeba było wypić. A potem już sędzia wszystkich rozeźlił do reszty, bo dopatrzył się spalonego, gdy Szengelija strzelił bramkę. Mogło być dwa jeden dla sbornej. No i ten Éder i jego strzał, po którym Dasajew tylko odprowadzał wzrokiem piłkę do siatki...

– Jeszcze małpizjon koziołki robi z radości – grzmiał Leonid Iwanowicz.

Mecz był znakomity i do ostatnich minut trzymał w napięciu. Ale pomimo świetnej gry zespół radziecki przegrał.

– To przez to, że Bieskow wystawił zbyt wielu Gruzinów, samo Dynamo Tbilisi – zawyrokował Leonid Iwanowicz, wychylając kolejną szklankę z Denisowem i Zwieriewem.

Ale o którąś z nich było za dużo i teraz Aleksander Władimirowicz żałował tamtych wybuchów radości i topienia smutku w kolejnych szklankach, i tego wachtanguri[15] z Lonią. Żałował, bo ranek okazał się cięższy niż zwykle.

Zwieriew włożył brązowy garnitur, białą koszulę i krawat w czerwono-złote pasy. Wziął głęboki oddech i ziewnął przeciągle. Zawsze brała go ochota na ziewanie, gdy był podminowany. W myślach dobierał słowa, co odpowie, gdy spytają, jak znalazł tego niezwykłego dzieciaka, i co dalej, jakie mają plany. Czuł, że to będzie wspaniały dzień, moment, na który długo czekał. Tym bardziej był zły

na siebie, że wita go bólem głowy i silnym kacem. Oczy błyszczały mu z radości. Wreszcie będzie mógł pokazać wszystkim wrogom, że potrafi pracować z młodzieżą i że potrafi osiągać zadziwiające rezultaty. Wychodząc z metra, był ogromnie podekscytowany. Schody budynku Sportkomitetu pokonał niemal biegiem.

– A, Zwieriew. Siadajcie, Aleksandrze Władimirowiczu. No to nam ten młody Antonow zrobił niespodziankę. Mm? – przywitał go Gołubiew, nie odrywając wzroku od papierów. Jego czarny golf kontrastował z bielą cery. Ciągłe poruszał mięsistymi ustami, jakby ssał cukierka, wprawiając przy tym w ruch obwisłe policzki.

– Tak, wspaniałą niespodziankę. – Zwieriew nie potrafił ukryć entuzjazmu. – To czysty talent.

– Czysty talent, mówicie? – Sekretarz Sportkomitetu spojrzał na Zwieriewa, podnosząc na czoło kwadratowe grube okulary.

Zwieriew spieszył się pod wpływem tego wzroku. Po cholere mu czarny golf w taki upał? – zapytał się w duchu, patrząc na Gołubiewa jak na okaz w terrarium z pajakami.

– Będziemy musieli pomyśleć – zacharczał Gołubiew, powoli cedząc słowa – co z nim zrobić dalej.

Zwieriew znów poczuł niepokój. Chciał coś powiedzieć, chciał opisać cykl treningowy, metody szkolenia, ale wszystko to utknęło mu w gardle i nie powiedział nic, tylko pod wpływem wzroku Gołubiewa poczuł duszności i oblewający go pot, jakby ktoś zaczął mu sączyć płyn z butelki za koszulę.

Gołubiew przerwał długą ciszę.

– Lubicie kino?

– Lubię – odrzekł niemal szeptem zbity z tropu Zwieriew.

– Tak myślałem – rzekł sekretarz, wciąż wypowiadając słowa tym samym zółwim tempem, po czym wyjął z szuflady paczkę papierosów. Wytrząsnął z niej jednego, osadził w fifce i nie spiesząc się, zapalił, głęboko się przy tym zaciągając.

Zwieriew pomyślał o nim, że kopząc te swoje papierochoy, jak nic umrze na raka krtani.

– Naoglądaliście się filmów, Zwieriew – oświadczył Gołubiew i wypuścił w górę dym. – Otóż wiedzcie, że życie to nie jest jakiś film. Szczególnie tu, w naszym kraju, stąpamy twardo po ziemi. Nasza dewiza to realizm. Utopistów nam nie potrzeba.

Zwieriew nic nie rozumiał. Czuł, że ktoś przechylił mocnej butelkę, z której płyn leje się na jego plecy.

– Pomyśleliście sobie, że tak jak w filmach, można sobie z nas żarty robić. Takie kawały, żeby było weselej.

Zwieriew domyślił się, że chodzi o dokonaną przez niego podmianę delegacji.

– Nie czytajecie pewnie zagranicznej prasy – mówił sekretarz Sportkomitetu, ani o ton nie zmieniając barwy czy intensywności swojej pozbawionej emocji wypowiedzi. – A czasem nawet szkoda. Bo może rozumielibyście, że od dorosłego człowieka, Zwieriew, należy oczekiwać odpowiedzialności. Ale wy, widać, za dużo z juniorami się zadajecie i przesiąkliście ich umysłowością. A spójrzcie, co piszą o nas na świecie. – Przesunął czasopisma w kierunku Zwieriewa, który pochylił się nad nimi. Gołubiew zaczął cytować tytuły: – *Pretendent do mistrzowskiego tytułu pokonany przez nieznanego juniora*, *Sensacja w Odessie*, i mocniej: *Kompromitacja przed meczem o szachową koronę* albo tu: *Blamaż Romancewa...* Bawi was to? – Gołubiew nadal zachowywał absolutny spokój, który Zwieriewowi wydał się torturą. Na krzyk umiałby zareagować, zrugany, wiedziałby, co się dzieje. Ale ten głos był jak toczący się powoli walec, a on miał nogi uwięzione w korycie wypełnionym zastygającym betonem i nie mógł uciec. Milczał. Czuł, że spada w przepaść. – Jesteście odsunięci od pracy z kadrą i wasza umowa o pracę z Federacją Szachową zostaje rozwiązana. – Walec dotarł do celu i zmiażdżył go. – Podpiszcie tutaj i zejdźcie mi z oczu.

Zwieriew wyszedł na zewnątrz. Słońce oślepiło go, oparł się ręką o mur, ale zaraz zatoczył się i upadł. Z objawami ataku serca odwieziono go do szpitala. Wieczorem był u niego Denisow. Zwieriew przywołał go delikatnym ruchem głowy i wyszeptał do ucha przyjaciela:

– Nie mów nic Olegowi.

Moskwa, sierpień 1982

Oleg leżał apatyczny całymi godzinami. Przeżywał rodzaj załamania. Nie mógł zrozumieć, co się stało w Odessie. To było zbyt nieoczekiwane. Z dnia na dzień stał się znany. W klubie traktowano go z respektem, ale i z rezerwą. Podobnie w szkole. Koledzy go unikali. Pobił się kilka razy. Lekcje z dziadkiem Lonią na coś się przydały. Bił się dobrze, bardzo dobrze. Dla tych, którzy myśleli o nim wyłącznie jako o szachiście, to była przykra niespodzianka. Dyrektor szkoły wkrótce wezwał Olę Lwownę.

– Pani syn jest agresywny! – krzyczał. – Bije kolegów.

– Przeżywa depresję – odpowiedziała stanowczo i zimno Olga Lwowna. – Wygrał wielki turniej, nagle stał się znany, nie potrafi sobie z tym poradzić. Od szkoły oczekuję wsparcia w wychowaniu kogoś, kto przysporzy temu krajowi dumy.

Dyrektor usiadł. Przetarł okulary.

– To co mamy robić? – spytał zakłopotany.

Olga Lwowna siedziała tego dnia długo w kuchni, piła jedną szklanekę herbaty za drugą, zastanawiając się, jak powinna się zachować. Jej ścisły umysł wymagał, by każdą decyzję poprzedzić analizą. Oleg po ojcu odziedziczył charakter, po niej – umiejętność racjonalnego myślenia.

– Synku, co się dzieje? – zapytała, gdy Oleg usiadł obok niej do kolacji.

– Nie wierzę, że umiem grać tak dobrze – odrzekł rozdrażniony. – Raz mi się udało, raz jeden przez przypadek. To dlatego, że mnie zlekceważyli, nie znali. Teraz nie umiem sobie znaleźć miejsca. Wypełniłem normę arcymistrzowską. To jakiś żart. Niedawno nie łapałem się nawet do naszej drużyny. Nie wiem, kim jestem.

– Moim synem, chłopakiem z Moskwy. – Matka pogładziła go po czuprynie. – Ja nie kupię ci złotej łyżeczki do jajka, nie zwolnię z wyrzucania śmieci ani sprzątania po sobie brudnych gaci czy skarpetek. Nie chcę, byś skończył jak inne cudowne dzieci, którym w głowach się przewracało, a potem świat o nich szybko zapomniał.

– Idę do Andrieja – rzucił syn, którego zaczęła krępować ta rozmowa.

– Idź – zgodziła się matka.

Kiedy Olga Lwowna została sama, wykręciła numer siostry.

– Jest załamany nerwowo, ta wygrana w Odessie odebrała mu wszystkie siły. Martwię się o niego – mówiła, stojąc w przedpokoju, gdzie na małym stoliku, obok zdjęcia jej rodziców, ustawiony był telefon. – Gazety odnotowały sukces. Nawet zachodnie chciały się dowiedzieć, kim jest. Dzwonili do nas jacyś dziennikarze z Niemiec i Anglii. Wszystkich przepędziłam na cztery wiatry.

We wrześniu zaczęła się szkoła, ale również rozgrywki szachowe. Ku swojemu własnemu zdumieniu Oleg zdobył mistrzostwo Moskwy juniorów, i to z wielką przewagą. Jego gra stała się dojrzała, znacznie bardziej precyzyjna w końcówkach, dokładniejsza w debiutach, głębsza w ocenie pozycji w grze środkowej. Zwieriew i Denisow chwalili go za postępy, ale jednocześnie nie pozwalali na samozadowolenie, które, jak mówił Denisow: „rozleniwia do szpiku kości”.

Dużo czasu poświęcał też na boks. Popołudniami zaglądali z dziadkiem do klubu, gdzie ćwiczyli zawodowi bokserzy, którzy znali się z Leonidem Iwanowiczem.

Oleg nabrał męskiej sylwetki i dziewczyny w szkole zaczęły spoglądać w jego szarzielone oczy z coraz większym zainteresowaniem. Ale on marzył wyłącznie o niej, o dziewczynie z Odessy. Nie opuszczała go nadzieja, że jeszcze ją odnajdzie, pozna jej imię. I w końcu jego marzenie się spełniło, choć nie odbyło się to tak, jak tego pragnął. Ujrzał ją w kinie, a raczej na ekranie kinowym, i poczuł, że jego życie traci sens.

Film *Alechin* wywołał skandal. Giennadij Woszczenko na łamach „Komsomolskiej Prawdy” pisał o nim jako o „wytworze chorej, zdegenerowanej wyobraźni dekadentckiego reżysera Sewastianowa”.

Oleg chciał zobaczyć film o szachiście, którego uważał za swój sportowy wzór. Wysoki wzrost i barczysta sylwetka pozwoliły mu bez problemu wejść do kina, chociaż film był zakwalifikowany do oglądania przez widzów powyżej osiemnastu lat. Ujrzał ją naga, kochającą się z aktorem grającym Alechina. To był brudny seks, gdzieś w alkowie. Znienawidził ją, a jednocześnie jego obsesja na jej punkcie osiągnęła swoje apogeum. Pobił ucznia, który opisując koledze scenę seksu w filmie, użył słów: „Miała fajną dupę”.

Przynajmniej poznał jej imię.

– Tatiana. Tatiana Bułanowa – szeptał, przewracając się z boku na bok i nie mogąc zasnąć z powodu bólu nieugaszonego pragnienia.

Chłód przyszedł do Moskwy szybko. Już w październiku zaczęły się przymrozki i moskwianie wyciągali z szaf pachnące naftaliną futra, puszyste czapki z lisa lub uszanki i grube, wełniane, podszyte misiem płaszcze.

Leonid Iwanowicz postanowił zabrać Olega na Stadion Lenina na Łuźnikach, gdzie odbywał się mecz Spartaka z holenderskim Haarlemem. Choć październik się jeszcze nie skończył, tego dnia było wyjątkowo chłodno. Temperatura spadła do minus dziesięciu stopni. Olga Lwowna była zła.

– Jest za zimno, żeby dwie godziny sterczeć na takim mrozie – robiła wymówki teściowi. – Tata ma swoje lata i nie powinien się narażać, a Oleg, jak nic, zachoruje.

– Nie po to się hartowaliśmy w zimnej wodzie, żebyśmy mieli chorować – ripostował Leonid Iwanowicz. – Nie wychowuj chłopaka na słabeusza.

Olga Lwowna nie odpowiedziała już nic. Jej milczenie oznaczało brak aprobaty, ale miała dość rozsądku, by wiedzieć, że nie może zabronić Olegowi iść. Nie posłuchałby. Chociaż złościło ją to, żal jej było Leonida Iwanowicza, który wykosztował się na bilety i chciał zabrać wnuka.

Lód i śnieg zalegały na schodach prowadzących do poszczególnych sektorów stadionu i Leonid Iwanowicz wyjął zza pazuchy małą buteleczkę wódki.

– Masz, łyknij na rozgrzewkę – zwrócił się do Olega konfidencyjnym tonem.

Chłopiec dyskretnie pociągnął z butelki i poczuł żar w gardle.

– Co to? – wyszeptał z trudem.

– Mój samogon. – Leonid Iwanowicz się zaśmiał. – Wzmocniony. Mój koktajl Mołotowa.

Ogromny stadion wypełniło zaledwie piętnaście tysięcy widzów. Byli to najbardziej zagorzali kibice, dla których mróz nie stanowił przeszkody. Z okrzykiem „Kto przeciw Spartakowi!” rozgrzewali się, czym się dało. Władze zdecydowały, że wszyscy mają się pomieścić wyłącznie na trybunach A i C. Tak było łatwiej, nie trzeba było odsnieżać reszty miejsc. Większość wybrała sektor wschodni – C – jako że znajdował się bliżej stacji metra. Wśród nich byli także Leonid Iwanowicz i Oleg.

Mecz zaczął się o siódmej. Ubrany w białe kostiumy Spartak przeważał, ale na błotnistym boisku grało się bardzo ciężko. W końcu Gess strzelił bramkę, bezpośrednio z rzutu wolnego, pięknie, pod poprzeczkę. Było jeden do zera. Trybuny oszalały z radości. Leonid Iwanowicz pociągnął potężny haust z buteleczki. Potem podał Olegowi, który ostrożnie wychylił mały łyk. Zrobiło się raźniej. Kibice, wśród których zapanował entuzjazm, śpiewali. Oleg poczuł szczęście. Chłonał atmosferę całym sobą, alkohol wprawiał go w radosny nastrój. Ale milicja stwarzała niepotrzebne napięcie. Milicjanci włązili w tłum kibiców, zdzierając tu i ówdzie szale oraz klubowe czapki. To rozwścieczyło kibiców.

– Widziałeś, co te swołocze wyprawiają? – krzyknął rozżłoszczony Leonid Iwanowicz. – Co za ścierwa!

Kibice zaczęli rzucać w milicjantów śnieżkami. Robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie, a i zimno dawało się we znaki, więc pod koniec meczu Leonid Iwanowicz powiedział Olegowi, że trzeba iść, bo ciężko się będzie wydostać ze stadionu. Zresztą wielu widzów tak jak oni ruszyło do jedyne go otwartego wyjścia.

Nagle sędzia odgwizdał rzut różny. W zamieszaniu pod bramką Haarlemu Spartak strzelił gola na dwa do zera. To była ostatnia minuta meczu. Kilka tysięcy kibiców Spartaka krzyknęło z radości.

– Oż kurwa! – zawołał Leonid Iwanowicz. – Wracamy, nasi strzelili gola.

Spiker podał nazwisko Szwiecowa.

– Sierioża im wbił! – krzyknął uradowany Leonid Iwanowicz. – Muszę go chociaż zobaczyć. Wyczałowałbym mu mordę.

Byli blisko wyjścia z ciemnego korytarza, ale powracający na widownię tłum, stłoczony na śliskich schodach, utknął pod wpływem nacierającej z góry fali, ciągnącej ze stadionu. W pogrążonym w mroku wąskim przejściu zakotłowało się. Leonid Iwanowicz szarpnął mocno wnuka.

– Oleg, włącz mi na plecy i ruszaj do przodu! – krzyknął. – Włącz, do kurwy nędzy! – Jego głos był pełen strachu.

I zanim chłopiec zdążył zrozumieć, co się dzieje, dziadek podrzucił go z

niebawem się do góry, w stronę światła. Oleg spadł na czyjeś ramiona, czołgał się po głowach, nie zważając na nic, w szoku, w końcu złapał się rękami muru i wyciągnął na zewnątrz, chwytając się metalowej bariery nad wyjściem. Podciągnął się i z podkurczonymi nogami zawisł nad głowami tratujących się ludzi. Pod spodem, w tunelu, na kilku metrach znalazły się setki osób przyciskanych do betonowych ścian i metalowych poręczy przez tysiące innych... Milicja wypędzała ludzi z trybun, pokrzykując: „Wynocha, mecz skończony, won, cieszyć się na ulicę!”. Tymczasem obok Olega pod naporem setek ciał nie wytrzymały poręcze i ludzie zaczęli padać i przygniatać jeden drugiego. Widząc to, milicjanci stracili głowę, nikt nie był w stanie opanować sytuacji. Funkcjonariusze wydawali sprzeczne polecenia, co tylko potęgowało panikę w wąskich przejściach. W końcu zagrodzili drogę tym, którzy byli jeszcze na koronie stadionu, krzycząc, by się wycofali z powrotem na trybuny. Rozeźnieni kibice, nie rozumiejąc, co się dzieje, zebrali się w sobie i tym mocniej natarli w kierunku wyjść. Tłum zaczął się tratować. Oleg przedostał się przez barierkę i trzymając ją mocno, nie pozwalał się zepchnąć w dół. Adrenalina dodała mu siły. Poręcze ugiwały się pod naporem ludzi. Na śliskich stopniach kibice przewracali się i powalali innych na ziemię. Wyglądało to jak gigantyczne domino. Dookoła panowała panika, rozlegał się ogłuszający, przeraźliwy, zbiorowy krzyk. Nie można było uciec. Ludzie wzywali pomocy przygniecenii ciałami innych. Oleg wyciągnął za rękę chłopca. Miał pękniętą czaszkę. Z rany tryskała krew. Chłopiec spojrzał na Olega zdziwionymi oczami i zmarł na jego rękach. Z ciał powstała kilkumetrowa góra. Kto leżał na dole, nie miał szans przeżyć. Ludzie uciekali po trupach swych przyjaciół.

Oleg wspiął się wyżej i ukrył pod małą stalową budką, trzymając się kurczowo stalowej podpórki. Jego ręce były we krwi. Trząsał się, nie mogąc zrozumieć, co się stało.

Dziadek, przemknęło mu przez myśl. Dziadek Lonia...

Kiedy piekło się skończyło, strach odebrał mu siły. Nie mógł wstać. Choć chciał krzyczeć, głos uwiązał mu w krtani. Jego ciałem targnął szloch. Łzy ciekły mu po twarzy, zamarzając po chwili od mrozu.

Pomoc dotarła dopiero po kwadransie. Kilkaset martwych ciał położono na bieżni obok murawy boiska. Były wśród nich zwłoki Leonida Iwanowicza Antonowa, wiernego kibica Spartaka Moskwa.

Żadne środki masowego przekazu nie dały najmniejszej wzmianki o tragedii na Łużnikach. Mówiono, że przez długie tygodnie, aby ukryć informację o tragedii, milicja zrywała czarne opaski noszone przez kibiców Spartaka[16].

Moskwa,

październik 1982

Romancew czuł coraz większy niepokój. Od kilku tygodni nie był w stanie umówić się w Sportkomitecie z nikim, kto mógłby mu powiedzieć, na jakim etapie są rokowania z Zimmermanem. Wyczuwał wokół siebie atmosferę napięcia. W końcu po tak długim czasie milczenia zadzwonił do niego Bondariewski, który oznajmił, że powstało pewne zamieszanie wokół Odessy i wzywają go do Sportkomitetu. Romancew potwierdził przyjazd. Na koniec spytał:

– Kto tam wysłał tego juniora? Kim jest jego trener?

– Zwieriew. Podmienił papiery. Dimitrienko pojechał na turniej juniorów. Wściekł się, przybiegł do centrali zdziwiony, nie rozumiejąc, co się dzieje i kto zrobił mu taki dowcip. Wtedy zorientowaliśmy się, co zaszło, ale to była już piąta runda i chłopiec prowadził.

– Co z nim zrobicie? – wycedził zimno Romancew.

– Z chłopcem?

– Ze Zwieriewem.

– Już jest odsunięty od kadry. A chłopiec, przyznasz, diabelsko zdolny. Ale nim zajmiemy się potem. Teraz sprawa idzie o ciebie – rzucił Bondariewski i bez słowa wyjaśnienia, co miał na myśli, mówiąc, że „sprawa idzie” o Romancewa, pożegnał się i rozłączył.

Ten wieczór przypominał Romancewowi chwile, gdy z zapaleniem płuc i wysoką temperaturą leżał w swoim pokoju. Natarczywe obrazy cisnęły się wówczas pod rozgrzane chorobą powieki. Teraz było podobnie. Wszystko przerażało. Październikowa leningradzka noc zapowiadała się mglisto i deszczowo. Zadzwonił do Moskwy, do Daszy, nie odebrała. Przeklął pod nosem. Nie mógł przecież zadzwonić do szpitala, niepokoić matkę. Zrobił sobie herbatę, wcisnął cytrynę i dolał wódki. Znowu poderwał się z krzesła i zadzwonił do swojego trenera i mentora, arcymistrza Siemiona Fomina.

– Dobry wieczór, Siemionie Abramowiczu, nie przeszkadzam? – upewnił się grzecznie.

– Tola? Co się stało, chłopcze? – spytał słabym głosem Fomin. – Która to godzina?

– Chyba trochę po siódmej. Wzywają mnie do Sportkomitetu. Mówili coś o Odessie. Mam złe przeczucia.

– Tola, nie wiem, czego chcą, pamiętaj jednak, że jesteś najlepszym szachistą, jakiego znam, jakiego widziałem, i niech ta myśl będzie dla ciebie jak Gwiazda Polarna dla Siedowa. – Na moment Fomin zamilkł, starając się dobrać właściwe słowa. – Wiem, że może być to dla ciebie trudne, ale jakoś damy radę. Nie zmarnują twój talentu, nie pozwolimy na to. Przecież jesteś im potrzebny.

Muszą to rozumieć.

– Jak się czujecie, Siemionie Abramowiczu?

– Ech, Tola... Co tam mówić. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miał wieści. Pamiętaj, póki jesteś najlepszy, nie dadzą ci zginąć. – Fomin marzył, aby wstrzymać rozwój choroby i zdążyć przed śmiercią ujrzeć ucznia jako mistrza świata.

Romancew odstawił filiżankę i wyjął z szuflady szachownicę. To była ta sama szachownica, którą piętnaście lat wcześniej otrzymał w prezencie od ojca. Pamiętał tę pierwszą partię. Miał dziewięć lat. Nauczył się z szachowej książki ojca *Jak grać debiut* jednej kombinacji granej w obronie Philidora. I pomyślał, że zaimponuje ojcu, gdy zastosuje ją i wygra. Ojciec w trzecim posunięciu zagrał gambit królewski i mały Tola przegrał, nie mając pojęcia, jak grać. Pamięta duszące go łzy, smak rozczarowania i złość ojca, który nie lubił, kiedy syn „zachowywał się jak baba”. Romancew ustawił na szachownicy pozycję sprzed piętnastu lat. Nie, nie z tej pierwszej partii, lecz z tej granej z ojcem kilka miesięcy później. W partii hiszpańskiej, ulubionym debiucie ojca, arcymistrz Siemion Abramowicz Fomin pokazał podczas mistrzostw Związku Radzieckiego efektowny plan w ataku, którego ojciec nie znał, bo Tola ukrył przed nim nowy numer „Szachmatów”. Wiedział, że ojciec lubi grać partię hiszpańską. Romancew pamiętał każde posunięcie tej partii. Tamtego wieczoru ojciec nie spodziewał się postępów, jakie zrobił Tola przez miesiące codziennej pracy. Nie wiedział, że każdej nocy po zamknięciu drzwi od jego pokoju syn spędza czas z szachownicą pod kołdrą, ucząc się teorii, studiując partie mistrzów i rozwiązując szarady. I wreszcie nastąpił ten moment. Po skończonych kilku partiach z dziadkiem Toli ojciec w dobrym nastroju zaproponował grę synowi. Zaczęli grać partię hiszpańską. Gambit – nowa idea Fomina w grze środkowej – wydał się wówczas ojcu po prostu podstawieniem piona słabego gracza, lecz z każdą chwilą rozumiał, że syn gra znacznie lepiej niż dotąd i że on sam padł ofiarą jakiegoś podstępu. Złość, jaka go opanowała, i poczucie bezsilności w pozycji, która po kilkunastu posunięciach była przegrana, sprawiły, że Tola zaczął odczuwać przed nim strach. Ale satysfakcja, jaką wówczas czuł, była mocniejsza niż wszystko inne. Ojciec się nie poddawał. Tam, gdzie przeciwnik Fomina już dawno uznał się za pokonanego, partię trzeba było jeszcze skończyć. A to nie było już takie proste. Serce kołatało Toli tak, że zupełnie stracił trzeźwość myśli. W głupi sposób podstawił piona i pozycja, choć ciągle wygrana, przestawała być już tak oczywista. Ojciec zobaczył brak doświadczenia syna i zamiast pozwolić mu się pierwszy raz w życiu pokonać, zaproponował remis, licząc, że chłopiec skorzysta z okazji. Lecz syn tylko zaprzeczył ruchem głowy i wykonał kolejne posunięcie. Ojciec spojrział na szachownicę i zrozumiał, że zwycięskiego marszu piona nie zatrzyma i partia za kilka posunięć musi skończyć się jego porażką. W końcu rzekł: „Zdaje się, że wygrałeś”. Nigdy więcej ojciec nie zagrał w szachy, a szachistów nazywał ogólnie „bałwanami”.

Kiedy kilka lat później Romancew wygrywał, grając ten wariant, w każdym przeciwniku, który zatrzymując zegar i wyciągając do niego dłoń, przyznawał się do porażki, widział twarz ojca z tamtego wieczoru.

Przez chwilę bawił się nastrojem tamtych partii, smakiem triumfu, uczuciem spełnienia. To było przyjemniejsze niż wspomnienie chwili, gdy ojciec, odnalazwszy „Szachmaty”, oskarżył go o kradzież i manipulację. Przez pewien czas nie chciał grać tego wariantu, czując się oszustem. Ale łagodna perswazja Fomina sprawiła, że przestał czuć się złodziejem czyichś idei.

Romancew otworzył szklane drzwi prowadzące na taras. Dookoła panowała cisza, ostatnie promienie słońca, które pomimo nadchodzącej nocy nie chciało schować się za horyzontem, ześlizgiwały się po okrytych płaszczem mgły koronach drzew. Wciągnął powietrze przesycone zapachem wieczornej wilgotnej bryzy. Pomyślał, że znów przyjdzie mu się krzątać po domu do brzasku, jak zdarzało się to przed ważnymi meczami, gdy sen przychodził dopiero o piątej lub szóstej nad ranem. Kiedy wkładał do drewnianego pudełka figury szachowe, wróciły kolejne wspomnienia.

Nie zważając na ryzyko, że ktoś go zauważy, przyłożył ucho do drzwi. Słuchał w napięciu, wstrzymując oddech.

– Ten chłopiec nie czuje szachów, nie widzę przed nim przyszłości – zawyrokował Gurgenidze.

Łzy napłynęły mu wówczas do oczu.

– Dobrze, zabiorę go z twojej szkoły, zajmę się nim sam – odrzekł Fomin. – I wiesz co, Tigranie, mój Tola ogra cię kiedyś. Obiecuję ci to.

– Przyjmuję zakład – odparł Gurgenidze.

Praca z Fominem była ciężka, pełna wyrzeczeń, ale przynosiła rezultaty. Po dwóch latach Tola Romancew został wicemistrzem Związku Radzieckiego w kategorii juniorów. A potem zdarzyło się coś nieoczekiwanego: podczas wakacji zginął Siergiej Plawo, mistrz kraju juniorów. Młody ukraiński szachista utopił się podczas kąpieli w rzece. Tola otrzymał szansę występu w mistrzostwach świata juniorów. I wygrał je, z najlepszym rezultatem w historii tych zawodów. Fomin triumfował.

„Przecież jesteś im potrzebny. Muszą to rozumieć”, powtórzył w myślach Romancew, siedząc w wypełnionym nieprzyjemnym zapachem papierosów gabinecie Gołubiewa.

– Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę z konsekwencji tego, co się stało – zachrypiał sekretarz Sportkomitetu.

Romancew pomimo panującej w gabinecie duchoty poczuł, że krew ścina mu się w żyłach.

– Myślę, że nic wielkiego się nie wydarzyło – odrzekł, starając się nadać tonowi swojego głosu najbardziej obojętne brzmienie, na jakie go było stać. – Traktowałem ten turniej jako zwykłą rozgrzewkę przed meczem o mistrzostwo świata.

– Przeciwnie – zaprzeczył Gołubiew, gasząc papierosa. – Nie możemy sobie pozwolić na śmieszność. Po porażce Tigrana Wartanowicza z Zimmermanem śmieją się z radzieckiej szkoły szachowej. I to kto? Amerykanie! Wam powierzono przywrócenie mistrzowskiego tytułu naszej ojczyźnie. Wiedzieliście, co to oznacza. Zaufaliśmy wam. Tymczasem w Odessie, na kilka tygodni przed meczem, przegrywacie z jakimś nieznanym juniorem. To chaos, a my na chaos pozwolić sobie nie możemy.

Słowa smagały jak bicz. W Romancewie narastała wściekłość. Kiedy padło pytanie: „Czy możecie nam wytłumaczyć, jak to się stało, że przegraliście?”, poczuł, że jego duma żąda, by wyszedł bez słowa z gabinetu. Nie odważył się jednak wstać z fotela. Milczał przez chwilę, starając się opanować.

– Zlekceważyłem juniora, to wszystko – burknął niedbale.

– Przeanalizowaliśmy sytuację – oznajmił, zapalając kolejnego papierosa Gołubiew. – I uznaliśmy, że nie jesteście jeszcze gotowi, by wygrać z Zimmermanem na warunkach, jakie nam przedstawił i na jakie wyraziło zgodę FIDE[17].

– Kto uznał? – spytał zimnym głosem Romancew. – Na jakiej podstawie? Kto to analizował? Niech ten ktoś siądzie ze mną do gry, pokażę mu, jak się zna na szachach!

– Towarzyszu Romancew, bez teatralnych gestów – zganił go Gołubiew, nie podnosząc ani o ton głosu, jedynie wypuszczając w jego kierunku dym z papierosa. – Zajęliście dopiero drugie miejsce w turnieju w Odessie. Przegraliście z jakimś młodzikiem. Nie jesteście w formie, a my nie możemy pozwolić, aby mistrz Związku Radzieckiego ponownie poniósł dotkliwą porażkę. To już nie jest wasza sprawa ani nawet szachów, ale sprawa państwowa, sprawa godności narodu radzieckiego.

– Będę dobrze przygotowany – wyszeptał Romancew, któremu świat zawirował przed oczami, jakby wyszedł z kapsuły treningowej dla kosmonautów. – Ten mecz to dla mnie wszystko. Chcę pokonać Zimmermana. Dla kraju...

– Szansę dostaniecie, jednak nie w tym cyklu – uciał Gołubiew, mrużąc oczy.

– Co znaczy: nie w tym cyklu?! – krzyknął Romancew, nie mogąc dłużej zapanować nad sobą. – Towarzyszu, wygrałem turniej międzystrefowy, wygrałem mecze pretendentów, jestem oficjalnym pretendentem, należy mi się ten mecz!

– Towarzyszu Romancew, nie zapominajcie się – warknął sekretarz Sportkomitetu, otwierając teczkę z jakimiś papierami na znak, że chce zająć się innymi sprawami niż zawiedzione ambicje szachisty.

Romancew opadł na fotel.

– Powiadomię towarzysza Breżniewa. – Chwycił się ostatniej szansy.

– Towarzysz Breżniew w pełni popiera naszą decyzję – odciął się Gołubiew, zajęty czytaniem papierów.

Romancew zrozumiał, że jego sen o mistrzostwie został brutalnie przerwany.

– Podporządkuję się woli partii – szepnął.

– Dziękujemy wam – odrzekł obojętnie Gołubiew. – Zostaniecie odznaczeni Orderem Lenina. Nasza delegacja w przyszłym tygodniu odrzuci propozycję Amerykanów dotyczącą zmiany regulaminu. Sądzymy, że FIDE poprze ich stanowisko i zagrozi nam przegraną przez walkower. Pogodzimy się z tym. Będziemy moralnym zwycięzcą.

Romancew był już myślami daleko od pokoju w budynku Sportkomitetu.

Afganistan, 3 listopada 1982

Tym żołnierzom, którym Afganistan kojarzył się jedynie z upałem, nadejście mrozów przyniosło zaskakujące rozczarowanie. Grigorij Sawiczew jeszcze kilka tygodni wcześniej pisał do matki, że może pierwszy raz w życiu będzie świadkiem ciepłej zimy. A tu mróz minus trzydzieści i śnieżyca, którą wiatr przyniósł wraz z silnym podmuchem z wysokich gór. Grigorij służył od trzech miesięcy w 1 kompanii 221 Batalionu Zaopatrzenia. Nie czuł głodu jak inni, nie wędrował po górach, nie dane mu było odbyć jeszcze ani jednej potyczki z wrogiem. Ale nie czuł się bezpiecznie. Każdy w jego jednostce wiedział, że zaopatrzeniowcy ginęli w zasadzkach, nagle, bez ostrzeżenia, bez rozkazu: „Naprzód! Na wroga!”. Nie było medali, nie było brawurowych akcji bojowych. Nic z tych rzeczy. Jeździli w górę i w dół uralami lub kamazami w kolumnach złożonych z kilkunastu lub kilkudziesięciu pojazdów, w otoczeniu BTR-ów, czasem z eskortą jednego lub dwóch śmigłowców. Ale ta jazda zawsze wiązała się z ryzykiem. Wystarczył jeden granatnik przeciwpancerny, jedna mina lub strzał z moździerza, by ural, w którym jeździł jako konwojent, wyleciał w powietrze. Dlatego wolał przesiadać się na opancerzony transporter, z którego przynajmniej mógł spoglądać w górę i wypatrywać mudzahedinów. Wówczas pojawiała się nadzieja, że śmierć nie przyjdzie tak zniecka, i strach malał. Ścisnął w rękach karabin, czując, że ma, choć niewielki, wpływ na swój los. Na pace w uralu, pod plandeką, mógł jedynie spoglądać na kolejne pojazdy, wynurzające się zza wzbijanych przez ciężarówkę tumanów kurzu. W takich chwilach się bał. Żeby zająć czymś myśli, układał w głowie listy do domu, do Wolska. Czasem rozmawiał w wyobraźni z Gulnarą,

dziewczyną, z którą przed wojskiem spotkał się kilka razy.

– Wrócisz, pogadamy – ucięła krótko, kiedy zaczął jej mówić o miłości i wspólnych planach.

Więcej nie odważył się poruszyć tego tematu. Jednak tęsknił do niej, do jej zapachu, przyjemnego w dotyku ciała, miękkich ust, które udało mu się ostatnim razem pocałować.

Tss, ganił siebie Grigorij, kiedy fantazja biegła za daleko. Wiedział, że zbyt długi czas przed nim, żeby myśleć o niej w ten sposób. Ale pisał do niej listy, codziennie.

Tego ranka Grigorij siedział na pace urala pod brezentową plandeką. Trząsał się z zimna. Była trzecia nad ranem, chłód i niewyspanie sprawiały, że jego zęby dzwoniły, uderzając o siebie, a ciałem wstrząsały dreszcze. Na dworze panowała zamieć. Musiało być dwadzieścia kilka stopni poniżej zera. Wnętrze przykrytej plandeką paki oświetlała mała latarka. Naprzeciw Grigorija siedział Murat Uzbałow, Kazach ze skośnymi oczami, który przyjechał do Afganistanu przed sześcioma miesiącami. Przyzwyczajony widać do mrozu, zajadał mielonkę, nie przejmując się panującą wokół temperaturą.

– Zjesz, Rusek? – zapytał z uśmiechem Grigorija, wyciągając rękę z puszką.

Grigorij bez słowa sięgnął po puszkę, z trudem wyskrobał podanym przez Uzbałowa nożem resztki mielonki z jej dna i wsadził je sobie do ust. Była zmrożona i lodowata. Trzymał kawałek w ustach, próbując go rozgrzać przed połknięciem.

– Jak dojedziemy, zaparzę ci herbatę po kazachsku – obiecał Uzbałow, błyskając zębami w uśmiechu. – *Szaisah*, tak ją nazywamy. Gorąca, mocna, aromatyczna, gorzka.

– A skąd ty, Murat, taką herbatę aromatyczną weźmiesz? – zdziwił się Grigorij.

– Marzę sobie, ot co. – Zachichotał tamten, a jego skośne oczy zwęziły się tak, że ledwo można było dostrzec źrenice. – Ale dam zakurzyć. Trzymaj, Rusek. – Podał Grigorijowi papierosa. Zapalili. Grigorij zgasił latarkę. W półmroku widać było tłące się czerwone końcówki papierosów.

Tym razem kolumna składała się z około trzydziestu pojazdów. To był jego ósmy konwój. Dowódca, major Gricenko, dał rozkaz do wyjazdu drogą na Termez. Transport ochraniały opancerzone BTR-y. Ale tym razem nikt na nich nie siedział, nie było po co. Ściana sypiącego śniegu utrudniała widoczność, a i tak mróz nie pozwoliłby wytrzymać na zewnątrz. Na przepaścistej górskiej drodze kolumna posuwała się znacznie wolniej, niż planowano. Jechali w kierunku tunelu Salang, praktycznie jedynej drogi łączącej północ Afganistanu z południem. Masyw Hindukuszu jest naturalną fortecą, nie do przebycia o tej porze roku. Nie można tam wprowadzić pojazdów – przełęcz są zbyt strome. Ktoś w jednostce mówił, że nazwa Hindukusz oznacza „Zabójcę Hindusów” i pochodzi z czasów, gdy w tych

dzikich górach, wznoszących się do siedmiu tysięcy metrów, zginęły setki jeńców wziętych do niewoli w Indiach przez afgańskich najeźdźców i pędzonych przez śnieżne przepaście. Gdy Grigorij ujrzał góry po raz pierwszy, zachwycony stwierdził, że to najpiękniejsze miejsce, jakie widział w swoim życiu. Wokół wznosiły się gigantyczne masywy górskich pałaców. Zaśnieżone szczyty, błękitne jeziora, iskrzące się w słońcu górskie strumienie z krystalicznie czystą wodą – to wszystko poruszało jego wrażliwą duszę. Raz ujrzał jezioro, otoczone wysokimi klifami, na których rosły zielone, olbrzymie drzewa. Grigorij pomyślał wówczas, że trafił do rajy i że dane mu jest ujrzeć na własne oczy magiczne piękno nietkniętego przez cywilizację miejsca, do którego dostępu broniły strome podjazdy i serpentyny zawieszane nad przepaścią. Ale koledzy szybko wytłumaczyli mu, że w Afganistanie do słowa „piękne” trzeba zawsze dodać drugie: „zdradliwe”. I Grigorij niebawem poczuł, że wszechobecnemu pięknu i majestatowi towarzyszyły stałe napięcie i strach. Pamiętał, jak podczas pierwszego kursu wjechali na przełęcz, z której widok zaparł mu dech w piersiach. Góry widać było jak na dłoni, a poniżej, na kilkadziesiąt kilometrów, roztaczał się surowy pustynny krajobraz. Ale zaledwie kilka chwil później na stromym poboczu ujrzał spalone urale, po których zostały jedynie metalowe szkielety, i zniszczonego BTR-a, od którego siła wybuchu oderwała wieżyczkę. Wiedział, że jadący nimi żołnierze spalili się lub zostali rozerwani na kawałki. Od tamtej pory piękno stało się dla niego synonimem grozy, czającego się niebezpieczeństwa, śmierci. Ukryty na zboczach Hindukuszu labirynt bunkrów pozwalał mudżahedinom na łatwe uderzenie. Wstawali przed świtem, aby się modlić, i potrafili maszerować cały dzień o kawałku twardego chleba *naan*, aby w odpowiednim miejscu zastawić pułapkę na konwój. Informację o transporcie dostawali od Afgańców, którzy służyli jako pomoc w radzieckich jednostkach. Atakowali z nienacka, zazwyczaj trafiali pierwszy pojazd, czy to był czołg, czy BTR, nieważne. Pancierz nie wytrzymał. Kolumna stawała. Wtedy następowało najgorsze. Ostrzał zewsząd i kolejne pociski z ręcznych wyrzutni.

– Byle nie zostać samemu – mawiali koledzy Grigorija. – W końcu magazynek ci się wyczerpie i podejda do ciebie. Wtedy odrąbia ci głowę albo zrobią coś jeszcze gorszego.

Tego dnia nie było jednak słońca. Grigorij i Uzbałow jechali w mroku i śnieżycy. Droga prowadziła przez przełęcz do Salangu, tunelu drogowego, zbudowanego w latach sześćdziesiątych przez specjalistów radzieckich, którzy swoje doświadczenie zdobyli głównie podczas budowy moskiewskiego metra. We wrześniu sześćdziesiątego czwartego tunel oddano do użytku, a za ten sukces budowniczy zostali odznaczeni orderami, które wręczył im Aleksiej Kosygin i król Afganistanu Zahir Szach. Salang, położony na wysokości trzech tysięcy czterystu metrów nad poziomem morza, przez wiele lat był najwyższym położonym tunelem drogowym na świecie. Trzy i pół kilometra wąskiej gardzieli pod górami Hindukuszu. Koledzy z jednostki mówili, że to jak wjazd do odbytu.

– Nie ma tam światła, nie ma czym oddychać, jesteś w środku kurewskiej dupy – mówił Giena, kierowca urala z najdłuższym stażem w jednostce. – Z gór zejdzie lawina, to po tobie, zdechniesz w środku jak szczur w rurze z szambem.

W lutym osiemdziesiątego szesnastu chłopców z brygady raketowej zmarło od zatrucia spalinami. Ale dowództwo się tym nie przejęło. Nikt nie zmienił systemu klimatyzacji.

Ciężarówka trzęsa się na wybojach tak, że Grigorij czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, szara barania czapka spadła na podłogę. Ale chociaż widoczność była bliska zeru, kolumna wspinała się cierpliwie po stromych serpentynach. Nikt nie miał ochoty nocować pod gołym niebem na którejś z przełęczy. Zza brezentowej kotary Grigorij widział leżące po obu stronach drogi wraki cystern i ciężarówek. Czasem trafiał sięczołg lub BTR. Gdy dostrzegał te wraki, gardło ścisnęło mu łęk. W każdym zginęli żołnierze, jego towarzysze. Najbardziej podziwiał kierowców cystern. Przecież dla nich taki konwój był codzienną rosyjską ruletką: trafią w cysternę, to po tobie, ropa wybuchnie, ciężarówkę rozsądzi, nie będzie co zbierać. Chociaż z helikopterami nie było lepiej. Od początku roku zestrzelono ich ze trzydzieści, a każde takie trafienie to śmierć kilku chłopaków.

Do Salangu dotarli z kilkugodzinnym opóźnieniem, był wieczór. W ciemności zza zakrętu pojawiło się pomarańczowe światło ogni sygnałowych. Śnieg spowodował, że po obu stronach tunelu zgromadziło się mnóstwo pojazdów – zarówno wojskowych, jak i cywilnych, afgańskich ciężarówek oraz autobusów wypełnionych po brzegi ludźmi i towarami. Widząc korek, Grigorij pomyślał, że chyba przyjdzie mu tu zamarznąć. Ruch w tunelu mógł odbywać się tylko w jedną stronę. Musieli czekać na przejazd pojazdów z naprzeciwka, a dopiero potem mogli jechać dalej. Burza śnieżna nie ustępowała.

– Jakie to wąskie. Widziałeś, Murat, jakie to wąskie? – zżymał się Grigorij.

– Ano – przytaknął Uzbałow. – Mówiłem: „dziura w dupie”.

– Gdyby teraz zesza lawina, spadlibyśmy do przepaści – rzucił zaniepokojony Grigorij. – Ja pierdołę, ale droga.

– Zasłoń plandekę, bo śnieg leci do środka – zwrócił mu uwagę Uzbałow.

Koordynator ruchu zrozumiał, że konwój cystern zablokowany na przełęczy będzie łatwym celem dla mudżahedinów. Wystarczył jeden strzał z miotacza, by rozpętało się piekło. Reakcja łańcuchowa, ponad sto pojazdów poszłoby z dymem. W tej sytuacji, widząc, co się dzieje, zmienił normalną procedurę i zezwolił na ruch dwukierunkowy, który umożliwił przejazd pojazdów w obu konwojach jednocześnie.

Okolo północy 221 Batalion Zaopatrzenia wjechał do tunelu. Grigorij spoglądał na oddalający się odblask światła w białych płatkach śniegu nawiewanych przez szczeliny w betonowych żebrach, którymi zaczynał się tunel. Powoli zanurzał się

w ciemność. Poruszali się irytująco ospale, hałas maszyn był niemożliwy do wytrzymania, sprawiał straszliwy ból. Głowa od tego pękała. Podjechali metr i stawali.

– Pewnie zrobił się pierdolony chaos z powodu dwóch kierunków ruchu – zaklął Uzbałow. – Kilka dni temu jechaliśmy tędy. Nie było problemu.

Nikt z wjeżdżających do tunelu nie wiedział, że tego dnia i tak bardzo słaba wentylacja uległa awarii. Pod brezentem plandeki okrywającym tył ciężarówki zaczęło się robić potwornie gorąco. Ryk silników sprawiał, że Grigorij poczuł się jak w piekle.

– Ja pierdołę. – Uzbałow sięgnął pod szyję i zaczął rozpinać guziki. – Zrobią z nas smażeninę.

– Zaraz stąd wyjedziemy – odrzekł Grigorij, z trudem tamując napływ ogarniającej go paniki. – Zaraz, Murat, wyjedziemy. Przecież widzą, co się dzieje. Wydadzą rozkazy i wyjedziemy. Wyjedziemy.

Pojazdy znów, z potwornym warkotem, przesunęły się o metr, może dwa...

– Widzisz, wyjedziemy – powtarzał Grigorij, który czuł, jak jego ciało staje się z każdą sekundą coraz cięższe.

Chwilę potem kilkadziesiąt metrów przed uralem Grigorija jeden z afgańskich kierowców, rozsierdzony czekaniem, postanowił wymusić pierwszeństwo i wyminąć stojący przed nim autobus. Jego ciężarówka uderzyła w przód przejeżdżającej cysterny z paliwem, rozbijając jej szoferkę i całkowicie tarasując przejazd przez tunel.

– Kurrrwa, zastrzeliłbym sukinsyna – skomentował wydarzenie sierżant Kostiakow siedzący w UAZ-ie stojącym tuż za rozbitymi pojazdami. – Ubiłbym skurwiela na miejscu. Utknęliśmy teraz jak gówno w jelicie.

W tunelu było około stu pojazdów, każdy z pracującym silnikiem. Kierowcy nie wyłączali motorów z obawy przed trudnościami z ich ponownym uruchomieniem. Większość ciężarówek stanowiły stare, tandetne, afgańskie wraki, które niezmiernie ciężko było doprowadzić do rozruchu. Nikt z tyłu nie wiedział, co się stało, i każdy spodziewał się, że kolumny wreszcie ruszą.

Uzbałow nie odzywał się od pewnego czasu. Grigorij zapalił latarkę i spojrzał na niego. Nie ujrzał twarzy, gdyż głowa kolegi nisko zwisała mu na piersi, jakby Kazach po prostu spał.

Grigorij poczuł, że się dusi. Z trudem łapał resztki powietrza. Ogłuszał go ryk motorów. Zdjął czapkę, odłożył karabin i odsłonił plandekę. Pośród dymu spalin ciemność rozświetlały reflektory pojazdów. Grigorij zsunął się z ciężarówki i ruszył w kierunku, skąd wjechali do tunelu. Drogę zagroził mu jeden z oficerów i trzymając latarkę wysoko w dłoni, aby oświetlić twarz Grigorija, krzyknął do niego:

– Żołnierzu, wracajcie na ciężarówkę!

Grigorij nie usłyszał, szedł wprost na niego, zataczając się. Oficer wyciągnął rewolwer.

– Wracaj, chuju, na ciężarówkę, bo ubiję jak psa! – wrzasnął wściekły.

Grigorij spojrzał na niego, potem na rewolwer. Zrozumiał. Zaczął się cofać. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Przed oczami zrobiło się czarno. Upadł.

– Mamo... – wyszeptał i przez głowę przeszła mu ostatnia myśl.

Władze wojskowe podały oficjalny komunikat: *Trzeci listopada. Salang, Afganistan. Z powodu zderzenia dwóch kolumn pojazdów w tunelu doszło do zatrucia tlenkiem węgla, w którego wyniku śmierć poniosło sześćdziesięciu czterech żołnierzy radzieckich i stu dwunastu afgańskich.*

Pułkownik Giennadij Artiomowicz Grotow słyszał później plotki, że była jeszcze jedna wersja zdarzeń. Niektórzy twierdzili, że w tunelu doszło do wybuchu cysterny i zginęły tysiące ludzi, w tym siedmiuset żołnierzy radzieckich. Widział zdjęcie cysterny. Nie była spalona, lecz tylko uszkodzona z przodu jak po zwykłej kolizji. Ale czy to była ta sama cysterna...

Tamara Sawiczewa otrzymywała od syna listy co tydzień. Ale w połowie listopada korespondencja się urwała. Ostatni list był z trzydziestego października. Nie dostała nowego. Czekala tydzień i kolejny tydzień, potem zaczął ją dręczyć niepokój. Trzy tygodnie cierpliwego oczekiwania, trzy tygodnie ciężkich prób. Poszła do wojskowego punktu informacyjnego. Nie mieli żadnych wiadomości. Przyszła ponownie trzy dni później. Twarz miała bladą, zmęczoną od nieprzespanych nocy, oczy napuchłe od płaczu, targane szaleństwem lęku, pełne bólu. Komisarz wojskowy nie miał odwagi w nie spojrzeć. Prawie wyszeptał straszne słowa: „Wasz syn zginął...”.

Nie uwierzyła. Czekala dalej na listy od Grigorija, nie wolno było przy niej mówić o nim w czasie przeszłym. A gdy ból stawał się nie do zniesienia, szła nad Wołgę i tam wykrzykiwała imię syna, płakała, czując, jak rozpacz rozdziera jej duszę. A potem znów czekała mimo wszystko.

Kiedy przywieźli Grigorija w cynkowej trumnie, powiedziała, nachylając się nad nim:

– Czekałam na ciebie, synu... Wreszcie jesteś w domu. Chociaż teraz mogę cię przytulić. Na twoim grobie będę wypłakiwać ból. Powiem brzoźom, że mój smutek jest niezmierny.

Przy zwłokach szeregowego Grigorija Sawiczewa znaleziono niedokończony list, który przekazano jego matce.

Droga Mamo!

Chciałbym już wrócić do Ciebie, do Katuszki, do Wolska. Chciałbym siedzieć i czekać, jak wejdiesz i podasz pierogi. Pójść nad Wołgę... To już ostatnie dni tutaj.

W zaopatrzeniu jest dobrze, bezpiecznie, nie musisz się martwić. Jeździmy do chłopaków z jedzeniem, amunicją, to lepsze niż okopywanie się na wzgórzach lub łożenie po grotach, gdzie łatwo zginąć. Tu jeździmy pod osłoną BTR-ów. W razie czego walą z czternastoipółmilimetrych karabinów maszynowych. Sieką równo, sam widziałem. Hałas straszny, ale co tam, ważne, aby przegonić „Duchy” (tak nazywamy Afgańców).

Powiedz Katuszce, że ją kocham i tęsknię za nią. Jak nastanie tu wiosna, pojedę z chłopakami na targ, przywiozę jej jakąś sukienkę albo broszkę. Znajdę coś ładnego. Tobie, Mamo, też coś przywiozę. Pozdrów babcię Annę, niech będzie dumna z wnuka. A jutro... [18]

Leningrad, styczeń 1983

– Żyd gensekiem, no tego jeszcze w tym kraju nie było – oświadczył wściekły Michaił Nikołajewicz Romancew. – Mogli wybrać Czernienkę, Romanowa, Griszina lub Szczerbickiego, a oni wybierają Jewrieja z KGB. To już dla mnie przesada. Kto go w ogóle zna? Ma papiery na wszystkich i dlatego go wybrali, to pewne. Ma na nas jakieś kompromitujące materiały.

Michaił Nikołajewicz stanął, przyglądając się, jak żona układa cierpliwie świeże kwiaty w wazonie.

– Nie powinieneś się denerwować, jeszcze dostaniesz wylewu – uspokajała go Klara Dmitrijewna.

– Jak mam się nie denerwować? – wzburzył się Michaił Nikołajewicz. – Nie rozumiesz? Takich ludzi jak ja odsuną na boczny tor. W listopadzie, na tydzień przed śmiercią Breżniewa, powiedziałem Gromyce: „Umrze Leonid Iljicz, zacznie się wojna i nic dobrego z tego nie wyniknie”. No i masz. Żyd gensekiem.

Michaił Nikołajewicz podszedł do szklanej witryny, w której stały butelki z alkoholem. Nalał do kieliszka koniaku i wypił jednym łykiem. Po czym dolał sobie ponownie i wzięwszy głęboki oddech, usiadł w fotelu.

– Skąd wiesz, że jest Żydem? Andropow to rosyjskie nazwisko.

– Jego matka nazywała się Jewgienija Karłowna Flekenczajn – mówił już spokojniej. – Przecież on całą swoją biografię zmyślił. Był wnukiem żydowskich kupców, ot co. My też przekopaliśmy się przez archiwa i zasięgnęliśmy języka. W

Karelii, w partyjnym archiwum, przechowywane jest zdjęcie jego matki z imieniem i nazwiskiem rodowym. Mieszkała w Moskwie. Jeśli wiesz, gdzie i jak szukać, to coś na pewno znajdziesz. Zresztą to nie było wcale trudne. Wyobraź sobie, że w oficjalnym spisie mieszkańców Moskwy z dziewiętnastego wieku widnieje wzmianka o dziadku Andropowa, adres: Wielka Łubianka dwadzieścia sześć, Karl Flekenschtejn Brillling, fiński dystrybutor zegarków i biżuterii.

– No proszę, jakiego tajemniczego pierwszego sekretarza mamy – skomentowała ze śmiechem Klara Dmitrijewna.

– Tajemniczego? Łgarza! A nie „tajemniczego”. – Michaił Nikołajewicz poderwał się z fotela i odstawivszy kieliszek, począł przechadzać się po pokoju. – Na własne oczy widziałem, jak podawał trzy daty śmierci matki, od dwudziestego dziewiątego po trzydziesty pierwszy. Z ojcem to samo. W podaniu do technikum w Rybińsku pisze, że stracił ojca, jak miał dwa lata, czyli w tysiąc dziewięćset szesnastym. A w autobiografii podaje, że w dziewiętnastym.

– „My” to znaczy kto, konkretnie?

– Co my?

– Powiedziałeś: „My też przekopaliśmy się przez archiwa”.

– Nie mogę ci mówić takich rzeczy. – Michaił Nikołajewicz machnął zniecierpliwiony ręką.

– Misza, nie chcę, żebyś się komuś naraził. Komukolwiek. O naszą dwójkę już się nie boję. Mnie nie wiadomo, ile życia zostało...

– Przestań! Nawet tak nie mów. Nie wolno ci! Rozumiesz, Klaro? Nie wolno! – Michaił Nikołajewicz objął żonę i mocno do siebie przycisnął.

– Tak czy inaczej, Misza, ja już się sobą nie przejmuję. Ale Tola nie może paść ofiarą czyjejś zemsty za twoje działanie. Nasz syn, Misza, wybrał swoją drogę, jest cenionym na całym świecie sportowcem i musimy zrobić wszystko, aby mógł zająć jeszcze wyżej, by spełnił swoje marzenia i został mistrzem świata.

– Mm, jak to dumnie brzmi. „Mistrz świata”. – Michaił Nikołajewicz zadumał się. – Kiedy był małym chłopcem, ogrywałem go bez pardonowo. Później zapiszę sobie złotymi zgłoskami: wygrałem z przyszłym mistrzem świata. Dobrze, Klaro, obiecuję, że będę ostrożny. O której mają przyjść?

– Za kwadrans – odrzekła Klara Dmitrijewna, spoglądając na swój złoty zegarek. – Prosiłam, by się nie spóźnili. Tola jest punktualny.

– Znasz tę kobietę?

– Tak jak ty. Z telewizji. No, może odrobinę więcej. Tola czasem o niej opowiada.

– Nie podoba mi się, że jest aktorką. Nie lubię aktorów.

– Oj, Misza. – Klara Dmitrijewna się zaśmiała. – A kogo ty lubisz poza sobą?

– To nie było miłe, Klaro.

– Tak czy inaczej, jestem ogromnie ciekawa, na co stać Andropowa. Po tym, co mi powiedziałeś, wydaje się postacią z filmu i zawiodłabym się, gdyby nie zrobił czegoś ciekawego w naszym kraju.

– Jednego możesz być pewna: zmieni ekipę. Będzie promował tego swojego Gorbaczowa.

Usłyszeli dzwonek do drzwi.

– Luda, otwórz! – zawołała Klara Dmitrijewna. – Tola przyjechał.

Romancew i Dasza weszli do środka. On trzymał w rękach walizki, które z ulgą postawił na podłodze. Dasza wyglądała dojrzała, miała silny makijaż, który nie przypadł do gustu Klarze Dmitrijewnie, ale z uśmiechem przywitała przyjaciółkę syna.

– Jak miło was poznać, Dario Wiktorowna – odezwała się, podając rękę Daszy Suworowej. – Tola wiele nam o was opowiadał.

– Dzień dobry, mamu, jak się czujesz? – spytał Romancew, witając się z matką.

– Dobrze, dobrze, wspaniale cię widzieć, synku. – Oczy Klary Dmitrijewny błyszczały, gdy to mówiła, patrząc na syna. – Jedziecie prosto z lotniska?

Weszli do pokoju gościnnego. Michaił Nikołajewicz wstał z fotela.

– Zajechaliśmy jeszcze do Siemiona Abramowicza – relacjonował Romancew, całując się z ojcem.

– Tola, ty nawet trenera musisz mieć Żyda? – rzekł zrezygnowanym głosem Michaił Nikołajewicz. – Nie ma Rosjan? Ponoć szachy to rosyjski sport narodowy.

– Zajechaliśmy do Siemiona Abramowicza – powtórzył zimnym tonem Romancew. – Pozwól, że przedstawię ci Daszę.

– Dzień dobry, Dario Wiktorowna – przywitał się zaskakująco przyjaźnie Michaił Nikołajewicz, bacznie przyglądając się Daszy Suworowej.

– Siadajcie, kochani – zaproponowała z entuzjazmem Klara Dmitrijewna. – Naprawdę się cieszę, że mogę was poznać, Dario Wiktorowna. Do tej pory mogłam was jedynie oglądać w filmach.

Romancew spojrział na matkę z zaciekawieniem. Sprawiała wrażenie osoby, która traktuje tę scenę bardziej jak część spektaklu teatralnego niż rzeczywistość. Bawiła się rolą i w jakiś sposób swoją otwartością i dobrym nastrojem obezwładniła Daszę, która zachowywała się, jakby zapomniała tekstu na scenie.

Weszli do obszernego salonu. Dasza spoglądała na rozciągający się za oknem widok na Nową. Michaił Nikołajewicz przyglądał się jej z zainteresowaniem.

– Słyszałeś dowcip? – zwrócił się do ojca Romancew. – Towarzysze, którzy głosowali na Jurija Władimirowicza Andropowa, mogą opuścić ręce... i odejść od ściany.

– Oby twojego ojca nie pozostawili tam, przy ścianie – rzekł poważnie Michaił

Nikołajewicz. – Czego się napijecie?

Wymienili kilkanaście mało znaczących zdań. Oczy matki iskrzyły się tajemniczym blaskiem. Na tle Daszy prezentowała się wspaniale, młodo, tryskała energią. Romancew nie mógł się pozbyć myśli, że matka, chociaż jest znacznie starsza od Daszy, przyćmiewa jego partnerkę urokiem i klasą.

W drzwiach stanęła Luda. Klara Dmitrijewna zauważyła ją i z uśmiechem spytała:

– Obiad gotowy?

– Tak, Klaro Dmitrijewna.

– No to chodźmy. Luda się na pewno postarała uczcić przyjazd naszych gości i zadziwi nas smakiem potraw. Chodź, Misza, nie chmurz się już. – Pocałowała męża w czoło i podała mu rękę.

Wyszli do jadalni. Luda wniosła porcelanową wazę pełną zupy. Pomieszczenie wypełniło się zapachem świeżych grzybów. Michaił Nikołajewicz przelał czerwone wino z butelki do szklanej, eleganckiej karafki.

– Więc odwiedziliście Siemiona Abramowicza? – zaczęła Klara Dmitrijewna. – Jak się czuje?

– Nie jest z nim dobrze – odparł zmartwiony syn. – Nerki już prawie nie funkcjonują.

– Tyle mu zawdzięczasz – rzekła Klara Dmitrijewna, kładąc dłoń na jego ramieniu i znacząco spoglądając na męża.

– Tak. Bardzo wiele. Nauczył mnie wszystkiego. – Romancew się zadumał. – To tytan teorii szachowej. Zawsze mogłem poprosić go o radę, uwielbiałem wspólne analizy i poszukiwania nowych ścieżek, nowych wariantów. Oddany i mądry mentor.

– To wspaniale, że mogliście poznać Siemiona Abramowicza. – Klara Dmitrijewna odwróciła się w stronę Daszy. – Zazwyczaj mamy w sobie pragnienie dzielenia się z bliskimi radością posiadania przyjaciela. Dla Toli to na pewno było miłe i ważne. A wy, Dario Wiktorowna, czy mieliście w swoim życiu kogoś takiego, kogo nazwalibyście nauczycielem, mentorem?

– Myślę, że kimś takim był mój ojciec, stuprocentowy Żyd – powiedziała jakby od niechcienia Suworowa, spoglądając ze złośliwym uśmiechem na Michaiła Nikołajewicza. – Nazywał się Kronberg. Ale z tym nazwiskiem byłoby mi trudno zrobić karierę w Mosfilmie.

Klara Dmitrijewna wybuchła śmiechem.

– Wybaczcie, Dario Wiktorowna, śmieję się, bo dziś mówiliśmy już o polityce, szachach, a teraz, za waszą przyczyną, o kinie i za każdym razem schodzimy na temat Żydów w Rosji. Trzeci raz dzisiaj. To już jest zabawne.

– Pewnie dlatego, że jesteśmy wybitnie zdolni i twórczy.

– Mówi pani o Rosjanach? – zadał pytanie, mrużąc powieki, Michaił Nikołajewicz.

– Nie, o Żydach – odpowiedziała ze sztucznie szerokim uśmiechem na twarzy.

– Mam nadzieję, że nie lubicie, Dario Wiktorowna, zapachu i dymu cygara?

– Nie przepadam, a czemu pytacie?

– Bo mam zamiar po obiedzie zapalić.

Na chwilę zapadła cisza.

– Cenię mojego męża za wyszukany angielski humor. – Klara Dmitrijewna się roześmiała. – Trzeba być wysublimowanym rozmówcą, by dotrzymać mu kroku. Czy wiecie, Dario Wiktorowna, że bywał u nas Szostakowicz? Na początku lat sześćdziesiątych. Tola był wtedy mały, nie pamięta. Szostakowicza przyprowadził do mnie wspaniały pianista i jednocześnie arcymistrz szachowy Mark Jewgienijewicz Tajmanow. Potem Dmitrij Dmitrijewicz z rzadka mnie odwiedzał. Ale kiedy bywał, lubił słuchać mojej gry. Któregoś dnia, widzę, siedzi w fotelu i przechyla głowę na bok. Pytam więc, zaniepokojona: „Dmitriju Dmitrijewiczu, źle się czujecie?”. A on w odpowiedzi kładzie palec na ustach, żebym była cicho. Przymyka oczy i siedzi tak przez kilka dobrych minut. Zastygłam w napięciu i czekam, co się wydarzy. W końcu otwiera powieki, prostuje się i mówi: „Mam w głowie kawałek metalu, metalowy odłamek. Od kiedy mam ten odłamek, słyszę muzykę za każdym razem, gdy przechylam głowę na bok. I zawsze inne melodie”. To był wspaniały człowiek, choć wiem, że nie poznałam go na tyle dobrze, by móc mówić o nim poufale i pozwolić sobie na takie sądy. Mark Jewgienijewicz opowiadał mi wiele anegdot na jego temat. Ponoć w młodości Szostakowicz pracował jako pianista w kinie i pomiędzy seansami, do których akompaniował, grywał w szachy, i był w tym całkiem niezły. Ale raz przegrał z kretesem z pewnym nieznanym. Pyta więc tamtego: „Jak wam na imię?”, a tamten odpowiada: „Aleksander Alechin”.

– Nie znałem tego! – ucieszył się Romancew.

Luda wniosła półmiski z kaczką z pieca, skąpaną w sosie ze złotej renety i otoczoną leśną żurawiną.

– A czy wiesz, Tola – zwróciła się do syna – że kiedy postanowiłeś zostać szachistą, poradziłam się Marka Jewgienijewicza, do kogo z tobą pójść, a on mówi: „Fomin”. I zaprowadziłam cię do Siemiona Abramowicza.

– Dziwne, że ja nic o tym nie wiedziałem – odezwał się Michaił Nikołajewicz, który czuł się coraz bardziej ignorowany. – Poszukałbym rosyjskiego trenera.

– Albo taka mała anegdota – ciągnęła Klara Dmitrijewna, nie przejmując się złośliwymi uwagami męża: – Młody Dmitrij Szostakowicz przynosi swojemu profesorowi Głazunowowi do oceny *Pierwszą symfonię* i nieśmiało mówi: „Chciałbym uprzedzić profesora, że temat trzeciej części podobny jest trochę do Rimskiego-Korsakowa”. Na co Głazunow opryskliwie rzuca: „No to chwała Bogu,

że w ogóle jest do czegoś podobny”.

Po obiedzie Romancew zainteresował się okładką leżącego w pokoju ojca czasopisma „Time” z trzeciego stycznia. Zdobił ją napis: *Machine of the Year. The Computer Moves In*. Poniżej grafika przedstawiała mężczyznę siedzącego przed ekranem komputera. Romancewowi skojarzyło się to z szachistą siedzącym przed szachownicą. Otworzył czasopismo i zaczął czytać: „Człowiekiem roku osiemdziesiątego drugiego został... komputer”. Uśmiechnął się i przemknęło mu przez myśl, by stworzyć komputer, który będzie jego sekundantem, jego tajną bronią w przygotowaniach do wszystkich meczów.

Wieczór zakończyli małym koncertem Klary Dmitrijewny, która grała na przemian utwory Chopina, Skriabina i sonaty Szuberta.

Kilka dni później, podczas kolejnej wizyty w Leningradzie, Dasza Suworowa oznajmiła Romancewowi, że między nimi koniec. Usiadł w fotelu i przyglądał się, jak pakuje swoje rzeczy. Zaniósł jej bagaże do taksówki, pocałowali się i pojechała. Niebo zasnuło się ciężkimi chmurami, Romancew spojrzał w górę. Zanosiło się na śnieżycę.

Moskwa, styczeń 1983

– Zmarł twój ojciec, Taniu. – Jelena Bułanowa usiadła w kuchni, zdejmując rękawiczki.

Tatiana stała, zupełnie zaskoczona tą informacją, nie wiedząc, kogo matka ma na myśli

– Zrobisz mi herbatę? Zmarłam. – Matka Tatiany nie zmieniła rzeczowego tonu. – Chorował od dłuższego czasu. W końcu rak trzustki go pokonał.

– O kim mówisz, mamu? – Tatiana wypowiadała słowa powoli i dobitnie.

– O twoim ojcu, Taniu.

– Masz na myśli Aleksandra? – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

– Saszę? Nie. No nie, jasne, że nie Saszę. – Bułanowa prychnęła pogardliwie. – Sasza ma się dobrze. W filmie gra z gwiazdami Hollywood. O, Sasza zawsze potrafi wylądować na cztery łapy, jemu nic się nie stanie.

Tatiana stanęła plecami do matki i drżącymi rękami postawiła czajnik na kuchence.

– Mówię o twoim prawdziwym ojcu. Jutro jest jego pogrzeb. Sama nie wiem, czy powinnaś iść. Ale uważałam, że muszę ci o tym powiedzieć.

– Więc rozwieję twoje wątpliwości. – Tatiana odwróciła się z zimnym wyrazem twarzy. – Nigdzie się nie wybieram i nie interesuje mnie, czy ten człowiek zmarł na raka, czy wpadł pod tramwaj na Małej Bronnej i obcięto mu głowę[19]. Nie obchodzi mnie to, mamó.

– Po Małej Bronnej nie jeżdżą tramwaje – zauważyła Bułanowa.

– Nie chcę o nim nic wiedzieć. Nic. Ten człowiek nie istniał i nie chcę, by choć na moment pojawił się w moich myślach. Nie chcę znać jego imienia. Potrafisz to uszanować?

– Oczywiście, że potrafię – obruszyła się Bułanowa. – Jak tam sobie chcesz. Ja jednak na pogrzeb pójdę. Jaki był, taki był, ale coś mu w życiu zawdzięczam. W końcu to twój ojciec.

Tatiana spojrzała na matkę lodowatym wzrokiem.

– Nie patrz na mnie jak dziki kot. – Bułanowa się zaniepokoiła. – Kto to widział, żeby córka tak spoglądała na matkę? On przynajmniej przez wiele lat potrafił nas wspierać. A twój Sasza włóczy się z jakimiś aktorkami. A... – zająknęła się. – Miałam nie mówić jego imienia. A on dawał pieniądze, pytał o ciebie, interesował się, doradzał.

– Jeśli myślisz, że mnie to wzruszy, to się mylisz. – Tania wykrzywiła usta w pogardzie. – Odziedziczyłam pewne cechy po tobie i potrafię być zimna jak lód.

Bułanowa spojrzała na córkę z lekkim zmieszaniem.

– No tak, najłatwiej za wszystko winić matkę. Jadę z moimi łyżwiarzami na mistrzostwa do Helsinek – zmieniła temat rozmowy. – Mogę ci coś przywieźć, jeśli chcesz. Może coś do ubrania?

– Pomyślę.

– Pomyśl.

Obie milczały, pijąc parującą ze szklanek herbatę.

– Nie odwiedzasz mnie. – Bułanowa znów spróbowała przebić mur postawiony przez córkę. – Tak bardzo go nie lubisz?

– Nie znam twojego męża. Nie każ mi teraz traktować go jak członka rodziny. Wyrosłam ze złudzeń, że cokolwiek może być normalnie. To już poza mną. Być może położy się to cieniem na całym moim życiu, może tak, a może nie. Ale dziś nie jesteś w stanie zaproponować mi nic więcej poza ciuchami z twoich wycieczek na Zachód.

Bułanowa przełknęła tę nieprzyjemną uwagę wraz z kolejnym łykiem herbaty. Znów zapadło milczenie.

– Choć się odsuwasz, zawsze będę cię kochać – rzekła po chwili Bułanowa, podnosząc brwi.

– Wiem, że będziesz – zgodziła się z nią córka. – Nie o to chodzi. Pewnych rzeczy nie da się naprawić. Nawet jeśli o nich wiesz, nosisz je w sobie, zatruwają

cię, zniekształcają myśli, wypaczają prawdziwe pragnienia. Trudno się w tym rozeznąć, bardzo trudno. Ale na pewno nie będzie mi w życiu łatwo. Nie potrafię się emocjonalnie otworzyć, boję się komukolwiek ufać. Wiem, że wróciłaś wtedy dla mnie. Uratowałaś moją wiarę w miłość i przywiązanie. Ale cała ta historia i twoje wcześniejsze relacje z mężczyznami przekonały mnie, że oni mówiąc „kocham”, potrafią nami pogardzać. Nie potrafię im zaufać. Nie będę już po czymś takim normalna.

– Kto z nas może powiedzieć, że jest normalny. – Matka wzruszyła ramionami. – Na co dzień żyjemy w schizofrenii, miotani między skrajnościami. Dodajesz sobie nadziei, tworząc w wyobraźni iluzję, że na zewnątrz istnieje świat pełen troskliwej czułości, otwarty i jak to mówisz „normalny”. Sasza też chciał w to wierzyć.

Bułanowa wstała, spojrzała Tatianie w oczy, przytuliła ją, obejmując jedną ręką. Przez chwilę stały tak bez ruchu. Potem matka ruszyła do wyjścia.

– Daj znać, co ci przywieźć z Helsinek – rzekła, odwracając się do córki. – Wreszcie po latach odnajduję w swoim domu tę „normalność”, o której mówiłaś, i smakuje słodko. Życzę ci, byś tego doświadczyła. Życzę z całego serca. Zadzwoń przed moim wyjazdem.

– Zadzwonię – obiecała dziewczyna.

Zamknąwszy drzwi za matką, Tatiana odwróciła się i oparła o nie plecami. Zaciśnęła powieki i przez dłuższą chwilę próbowała uspokoić oddech.

Linares, luty 1983

Tego roku Andaluzja przeżyła „cud śniegu”, jak nazwano białą pokrywą, która przykryła południową Hiszpanię. To była niespodzianka dla organizatorów czwartego Torneo Internacional Ciudad de Linares. Hotel Cervantes, w którym był rozgrywany turniej, nie miał ogrzewania, więc zarówno w sali gier, jak i w pokojach było zimno. Turniej w Linares, sponsorowany przez hiszpańskiego milionera Luisa Rentero, nazywany był „Szachowym Wimbledonem”. Romancew grał przeziębiony, z gorączką i szło mu ciężko. Stawce przewodził z wyraźną przewagą Wiktor Krutin, który rozgrywał cały turniej z zadziwiającą lekkością, wiarą we własne siły i determinacją w dążeniu do zwycięstwa. Jego partia z Romancewem, wyznaczona na rundę kończącą turniej, budziła ogromne zainteresowanie. Dla nikogo nie było tajemnicą, że obaj gracze nie darzą się sympatią i że partia ta będzie miała wiele ambicjonalnych podtekstów. Ale zanim do niej doszło, wydarzyło się coś, co wywołało prawdziwą burzę. W dniu, w którym miał się odbyć pojedynek, Krutin zorganizował konferencję prasową, na

której ogłosił, że zostaje na Zachodzie. Wystąpił już o azyl polityczny, który został mu przyznany.

– Chcę żyć w wolnym kraju – tłumaczył swoją decyzję. – Chcę jako sportowiec mieć prawo do rywalizacji na równych zasadach, bez ulegania naciskom partii, bez obowiązku podkładania się w meczach tym, którzy są partyjnymi faworytami. Nie wymieniam nazwisk, ale wszyscy wiemy, o kogo chodzi. Mam na myśli zwłaszcza jednego szachistę, który grywał w szachy z Breżniewem. Chcę żyć i grać bez lęku jako wolny człowiek.

To, co wydarzyło się niedługo później na szachownicy, wprawiło w osłupienie wszystkich kibiców Romancewa. Arcymistrz z Leningradu przegrał partię w zaledwie piętnastu posunięciach, w zupełnie kompromitującym stylu. Zdjęcia triumfującego Krutina obiegły świat. Na tle pełnego energii, uśmiechniętego zwycięzcy Romancew wyglądał żałośnie. Przygarbiony, pokonany, blady, idealnie pasował dziennikarzom do tezy, że radzieccy zawodnicy, żyjący w ciągłym strachu, bardziej przypominają niewolników niż sportowców.

Romancew wrócił do pokoju. Przeziębienie nie ustępowało pomimo zażywania leków. Był na siebie zły za to, że wczorajszego wieczoru pił alkohol. To zapewne musiało osłabić efekt lekarstw. Ale jak mógł odmówić temu facetowi, który trząsał się i pomimo zimna w barze pocił ze strachu i emocji. Nikita Polinin był oficerem KGB, od kilku lat towarzyszącym szachistom w ich zagranicznych turniejach. Wszyscy wiedzieli, że pisze o nich raporty i że do jego obowiązków należy pilnowanie, aby każdy z radzieckich zawodników prezentował właściwą postawę, a dodatkowo inwigilowanie ich na różne sposoby. Ale ponieważ Polinina wszyscy znali, nie stanowił poważnego zagrożenia i można powiedzieć, zawodnicy zżyli się z nim, traktując go jako stały element zagranicznych wypraw. Tego wieczoru było jednak inaczej. Polinin wyglądał już na podpitego, kiedy Romancew go ujrzał. Szachista starał się nie patrzeć w stronę oficera, żeby nie czuć się zobowiązany do rozmowy, lecz Polinin zawołał go i trudno było to wezwanie zignorować. W końcu przysiadł się do funkcjonariusza.

– Słuchajcie no, poruczniku Polinin – zaczął protekcyjnie, aby zbudować dystans. – Jako oficer na służbie nie powinniście tyle pić.

Polinin zaczął nerwowo rechotać, a jego gardłowy śmiech przedłużał się, aż przeszedł w kaszel. Romancew spoglądał na niego zdziwiony, nie rozumiejąc, skąd takie wyzywające zachowanie u dyskretnego zazwyczaj oficera.

– A gównu – wydusił z siebie Polinin, nie przestając się śmiać. – Krutin mi zwiął, więc i tak jestem skończony. Teraz wszystko mogę. Rozumiecie? Wszystko. Jestem wolny. Już nie pracuję. Zostaję z Krutinem.

– Czy dobrze zrozumiałem? – spytał Romancew, ścisząc głos. – Chcecie powiedzieć, że zostajecie razem na Zachodzie?

– Tak.

– Jak to? I siedzicie tu, chlejecie i jeszcze o tym gadacie na prawo i lewo? A gdybym teraz zadzwonił, gdzie trzeba?

– Nie zrobilibyście tego.

– A czemu nie? Zasłużyłbym się partii.

– Nie zrobicie tego. – Polinin wydawał się pewny swoich słów. Ani trochę nie zląkł się groźby Romancewa. – Robak jestem, nie żaden szpieg ani ktoś ważny, żeby mnie musiano przemycać w bagażniku. Mojego zniknięcia nikt nie zauważy. Macie tu – wyjął z aktówki tekturową teczkę – poczytajcie sobie, a potem donoście, komu chcecie. – Upił solidny łyk ze swojej szklaneczki.

Romancew ostrożnie otworzył teczkę. Zerknął do środka, przerzucając maszynopisy, fotografie, odręcznie zrobione notatki. Zbladł. Do tego momentu myślał, że Polinin, po staremu, prowokuje go, by sprawdzić, czy nie zamierza uciec. Ale teraz uwierzył, że kagebowiec mówi prawdę. Zamknął teczkę. Wypił dwie kolejki i wstał od stolika.

– Dobranoc, poruczniku. Życzę wam szczęścia – odezwał się na pożegnanie. Zrobił kilka kroków, lecz zatrzymał się i odwrócił w stronę funkcjonariusza. – A co z waszą żoną, rodziną? – zapytał.

– Żona zmarła mi pół roku temu – odparł Polinin, patrząc tępo przed siebie.

Szczęście w nieszczęściu, pomyślał Romancew i rzekł do Polinina:

– Krutin zostawia swoją i swojego syna w kraju.

– Źle robi, ale to jego sprawa – rzucił oficer.

Romancew spojrzał na niego. Polinin trząsał się i uśmiechał nienaturalnie. Romancew pokiwał głową, nie odezwał się już więcej, lecz trzymając teczkę mocno w dłoni, udał się do swojego pokoju.

Po powierzchni gorącej wody pływały kartki maszynopisu. Zanurzony w wannie Romancew pił prosto z butelki, którą odstawiał na podłogę. Czytał i pozwalał kolejnym stronom ześlizgiwać się w dół. Dotarł do opisu akcji zaklasyfikowanej jako „Ścisłe tajne”, nazwanej „Miodowa Pułapka”. Przelatywał wzrokiem notatki.

MIODOWA PUŁAPKA

Obiekt: ambasador brytyjski Malcolm Readgreve

Agentessa: Daria Suworowa

Obiekt lubi słowiańskie kobiety. Po ośmiu miesiącach przygotowań – właściwy moment. Żona Ambasadora, Teresa Readgreve, na nartach w Szwajcarii. Obiekt sam. Suworowa zaprasza Obiekt do apartamentu przy Ananiewskiej. Informuje o chorobliwie zazdrosnym małżonku, który – gdyby ją zastał z innym mężczyzną – niechybnie zabije oboje. Skarży się na okrucieństwo z jego strony i swoją samotność. Małżonek jest na szczęście w podróży służbowej. Apartament pod

stałym nadzorem. Siedmiu agentów rozstawionych w kluczowych punktach. Pełna rejestracja zdarzeń za pomocą ukrytych kamer. Obiekt przybywa o siódmej wieczorem. Pije alkohol. Obiekt nagi. Dochodzi do aktu seksualnego między Obiektem a Suworową. O ósmej wieczorem do mieszkania wchodzi agent Malenkow, udając męża. Dochodzi do bójki.

Suworowa krzyczy: „Stój! Zabijesz go! To ambasador Wielkiej Brytanii! Co ty robisz?”. Malenkow krzyczy, że teraz to nie ambasador, ale sukinsyn uwodziciel i że zatłucze gnidę.

Obiekt zostaje pobity i ucieka nago na klatkę schodową. Agent Pawłow, ubrany w mundur milicyjny, przechwytuje Obiekt i po wyjaśnieniu sytuacji udziela mu pomocy. Obiekt przetransportowany do ambasady. Wieczorem Obiekt spotyka się z Generałem, informując, że ma problemy z milicją i potrzebuje pomocy. Generał informuje Obiekt, że rzecz jest trudna, ale będzie się starał pomóc, jednak ta sprawa musi zostać ich „sekretem” również przed małżonką Obiektu. Obiekt zgadza się, wyraża wdzięczność.

Obiekt omawia z Generałem różne aspekty polityki zagranicznej, a zwłaszcza relacji Wielkiej Brytanii ze Związkiem Radzieckim. Ponadto Obiekt, w nieformalnej rozmowie z Generałem, dzieli się swoimi opiniami na temat działań i cech charakteru innych zachodnich dyplomatów, z którymi utrzymuje stosunki w Moskwie. Relacjonuje swoje rozmowy z nimi, informuje o ich planach w stosunku do Związku Radzieckiego. Generał wręcza Obiektowi prezent – naszyjnik z diamentami dla pani Readgreve.

Na kolejnych stronach Romancew ujrzał swoje nazwisko.

DZIAŁANIE INWIGILACYJNE, KRYPTONIM: SZACHISTA

Obiekt: Anatolij Romancew

Obserwator: Daria Suworowa

Cel: rozpoznanie środowiska szachowego oraz jego kontaktów międzynarodowych.

Cel dodatkowy: obserwacja Michaiła Romancewa, ekonomicznego doradcy rządu.

Romancew wrzucił resztę kartek do wody, chwycił butelkę i pociągnął z niej spory łyk, a potem przymknął powieki i poczekał, aż alkohol zmaści jego myśli tak, by w tej chwili nie czuć już nic.

Wolsk,
kwiecień 1983

Blok Katii znajdował się niedaleko szkoły i dziewczynka wracała do domu sama. Droga wiodła ulicą Cemientników. Katia szła z tornistrem na plecach, bacząc, by omijać kałuże, które wypełniały nierówności chodnika. Kilka dni wcześniej wiosenne słońce stopiło śnieg. Na ulicach wciąż zalegało błoto i trzeba było uważać, by przejeżdżający samochód nie ochlapał nim od stóp do głów. Ale zrobiło się cieplej i mieszkańcy Wolska czuli większy optymizm, który przychodził wraz z pierwszym delikatnym tchnieniem wiosennej aury.

Ojciec Katii przyszedł z pracy pijany. Poślizgnął się na schodach i zbił sobie łokieć. Zrugął żonę, gdy ta zwróciła mu uwagę, że następnym razem skreśli kark. Powiedziała mu, żeby szedł precz z tą pijacką mordą, że straszy dziecko. Katia schowała się w swoim pokoju, a gdy usłyszała brzęk tłuczonych naczyń, wcisnęła się za kanapę, cała drżąc. Nagle do jej uszu dobiegł odgłos uderzenia o ścianę. Rozpoznała krzyk matki, jakiś dziwny, chrapliwy. Nie wytrzymała, wysunęła się zza kanapy i pobiegła do pokoju. Matka klęczała przy ścianie, na której widać było spływającą strużkę krwi. Ten widok przeraził dziewczynkę. Matka klęczała na podłodze i sprawiała wrażenie zdziwionej, jakby w szoku, z otwartymi szeroko ustami próbowała złapać oddech. Trzęsące się dłonie trzymała przed sobą na wysokości twarzy, ale lękała się dotknąć nimi puchnącego policzka i nosa, z którego obficie ciekła krew.

Katia zaczęła drzeć, jakby złapała ją epilepsja. Matka spojrzała na nią, a jej oczy z rozpaczy stały się większe, obce, przerażające.

– Katia – wycharczała imię córki. Jej głos wydobywał się gdzieś z głębokości ciała, bo prawie nie poruszała wargami. – Katia...

Pomimo strachu dziewczynka rzuciła się do niej, obejmując ramionami krwawiącą głowę matki. Ojciec, który siedział za stołem ze szklanką wódki w dłoniach, zobaczył tę scenę i wpadł w złość. Wstał, powoli i ostrożnie odstawił szklankę, po czym mamrocząc pod nosem przekleństwa, zaczął wyciągać pasek ze spodni. Katia spoglądała na niego, gdy chwiejąc się na nogach, niezdarnie próbował rozpiąć sprzączkę. Objęła mocniej głowę matki. Kiedy dosięgło jej pierwsze uderzenie, zmrużyła tylko oczy. Matka wstała, wydobywając z siebie krzyk, jakby to ryczało ranne zwierzę, krzyk ludzi doprowadzonych do ostateczności, opętanych bólem. Było to tak upiorne, jakby z grobu powstał zmarły szukający zemsty. Ojciec cofnął się zaskoczony. Katia zmoczyła się ze strachu. Tamara Pietrowna uderzyła męża w skroń porwanym z regału wazonem. Mężczyzna się zatoczył. Upadając, próbował złapać się stołu, ale tylko wyrzucił go na siebie, wylewając na dywan wódkę z butelki. Kobieta chwyciła córkę i pociągnęła ją w stronę drzwi. Zdążyła otworzyć zamki i wypchnąć córkę na korytarz, kiedy poczuła, że mąż chwyta ją za włosy i wciąga do środka. Katia spoglądała wielkimi oczami, jak drzwi, niczym paszcza ogromnej ryby połykającej swoją ofiarę, zamykają się za matką.

Sąsiedzi wezwali milicję. Kiedy przyjechali funkcjonariusze, Tamara Pietrowna

leżała nieprzytomna na podłodze w kałuży krwi. Katia wymknęła się na dwór. Błąkała się wokół bloków, zmoknięta. Buty miała całkiem przemoczone. Mokre rajstopy szczypały w nogi. Dziewczynka ukryła się pod daszkiem śmietnika. Ukucnęła, oparta o biały mur z pustaków. W kałuży dostrzegła coś błyszczącego, złotego koloru. Nachyliła się i ostrożnie wyjęła tę rzecz z wody. Była to mała, tandetna, metalowa rybka. Katia położyła ją sobie na dłoni i spoglądając na nią, powiedziała życzenie: „Chcę spotkać księcia, który mnie stąd zabierze. I... i żeby mama była zdrowa”. Zacisnęła palce wokół rybki, zastanawiając się, co jeszcze powinna zrobić, żeby czary zadziały. Nie była pewna, czy wystarczą tylko słowa, by stało się, jak zapragnęła. Oparła głowę na kolanach, które przytuliła do swoich piersi, obejmując rękami. Siedząc tak w kucki, walczyła ze snem, który co chwilę sklejał jej powieki.

– Katia! Katia! – usłyszała nagle głos babci Anny.

Dziewczynka z trudem wstała. Nogi miała zdrętwiałe. Była przemoczona i przemarznięta. Na dworze była szarówka.

– Katia! – nawoływała babcia.

Wnuczka wyszła powoli z ukrycia. Ujrawszy ją, Anna Filipowna podbiegła do niej i przytuliła do siebie. Katia tkwiła tak chwilę. Myślała o swojej złotej rybce, o tym, gdzie ją ukryć, czy nie powinno się jej wrzucić do rzeki, tak jak to było w bajce. Może właśnie tego potrzeba, by stały się czary.

Moskwa, wrzesień 1983

– Następny – dobiegło Olega zza drzwi. – Spojrzał na Andrieja, który siedział z wypiekami na twarzy, potem na Fiedkę, który skrecał się, zgięty wpół na krześle. Poczul lęk. Przedpokój w ciasnym mieszkaniu wypełniał niemiły zapach stęchlizny. Oświetlająca go, pozbawiona klosza żarówka, wisząca nad ich głowami, nie dawała poczucia intymności. Oleg przełknął ślinę i wszedł do środka.

– Zamknij za sobą drzwi – usłyszał polecenie.

Przymknął je ostrożnie, przytrzymując ręką, by nie trzasnęły. W pokoju panowały półmrok i zaduch. Kobieta siedziała na skraju rozłożonej wersalki przykrytej za krótkim prześcieradłem, spod którego wystawał kraciasty koc.

– Brałeś prysznic?

Oleg nie wydobył z siebie głosu, który ugrzązał mu gdzieś w gardle, dał radę jedynie skinąć głową.

– Siadaj – rzekła znudzona jego niezdecydowaniem. Miała nieco zachrypty głos. Usiadł posłusznie obok. – Masz cholernie ładne oczy. Pewnie onieśmielasz nimi dziewczyny, mm? No co, czarujesz je? – Roześmiała się.

Oleg nie odpowiedział, delikatnie odsunął jej ręcznik i odsłonił bujne piersi. Pozwoliła, by je ugniatał. Przez chwilę spoglądała na niego z zaciekawieniem, po czym – znudzona – położyła się na plecach z jedną ręką pod głową. Oleg ułożył się wzdłuż jej ciała. Całował ją po piersiach. Pachniała szarym mydłem, takim samym, jakie mieli w szkolnej łazience. Dłonie Olega błądziły po łonie kobiety.

– Starasz się, chłopcze. – Zaśmiała się cicho. – Nie warto.

Speszył się. Zorientował się, że nie sprawiał jej przyjemności. Wstała i sprawnymi ruchami ściągnęła mu spodnie i slipy. Poddał się temu bez słowa sprzeciwu. Nie miał pełnej erekcji, więc pomogła mu.

– Jak ciepło... – szepnął, podnosząc się na łokciach, by przyjrzeć się, jak to robi.

Skończyła dłonią. Chciał ją przytulić, ale zanim zdążył, wstała i okryła się ręcznikiem.

– Zawołaj następnego – rzuciła, zapalając papierosa.

Oleg szybko włożył slipy, chwycił w rękę spodnie i koszulę, po czym wyszedł do przedpokoju.

– Fiedka, idź – powiedział do kolegi. – Jest w dechę – skłamał.

Kiedy było po wszystkim, w monopolowym kupili butelkę wódki. Ukryli się za ceglana ścianą osiedlowego śmietnika, z którego wytaszczyli zdezelowaną kozetkę, aby na niej usiąść.

– No to co, pijemy, panowie? – Andriej podniósł butelkę i pociągnął z niej duży łyk. – No, nieźle daje. Gdzie ten chleb? – zwrócił się do Fiedki. Odłamał kawałek, przyłożył do nosa i głęboko wciągnął powietrze, po czym wsadził go do ust.

Wszyscy po kolei wlewali w siebie wódkę dużymi haustami. Alkohol szybko uderzył im do głowy. Oleg czuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

– Kurwa, panowie – odezwał się Andriej. – Nie uwierzycie, ale dwa dni temu narąbałem się z własnym ojcem. – Pociągnął łyk z butelki, zakrztusił się, zakasłał, splunął na ziemię. – Miałem nie mówić, ale chuj z tym, wam mogę powiedzieć. Stary najebał się, bo miał wszystkiego dość. Słyszałem, jak mówił matce, że gdzieś nad Sachalinem zestrzelili cywilny samolot z kupą ludu na pokładzie. To było takie wielkie bydlę, jumbo jet, więc musiało nim lecieć kilkaset osób.

– Ale jak to: zestrzelili? – Fiedka zmarszczył czoło, próbując zrozumieć słowa przyjaciela.

– Ano, kurwa, ktoś wymyślił, że to szpiedzy, kazał zniszczyć, więc pilot odpalił rakietę. Stary się załamał.

– Skąd był ten samolot? – wtrącił się Oleg, który wstał i zaczął oddawać mocz

na mur od śmietnika. – Amerykański?

Andriej się rozeźlił.

– Jakby amerykański, to już byś wojnę miał, głąbie.

– No fakt – zgodził się Oleg, czując ulgę i zapinając niezgrabnymi ruchami rozporek. – To skąd?

– Koreański.

– Szkoda ludzi – westchnął, ziewając, Fiedka, który nagle zrobił się senny.

– I co, twój ojciec walnął z tobą lufę? – zapytał Oleg, wciąż stojąc, bo poczuł, że jeśli usiądzie, za chwilę nie będzie w stanie się podnieść i o własnych siłach wrócić do domu.

– Tak. Był już nieźle nawalony. Zobaczył mnie i krzyknął: „Synu, chodź tu! Masz już osiemnaście lat, masz dowód, więc możesz się napić z ojcem. Za pokój!”. Tak mówi i leje nam do szklanek. Chciałem iść, bo głupio jakoś z własnym starym... Ale mnie zatrzymał. Wlewaliśmy wodę, aż mną trząchało, a on się śmiał. Potem dźwignął się chwiejnie z krzesła, oparł na stole i kurwa, mówię wam, chłopaki, do końca życia tego nie zapomnę. Podniósł mnie silną łapą, aż stanąłem naprzeciw niego. Pomyślałem, że w mordę mi za coś chce dać czy co. A on objął mnie tak mocno, że dech mi zaparło. „Synu, mój synu”, powiedział i polazł do swojego pokoju. Ja pierdołę. Poryczałem się wtedy jak baba.

Oleg słuchał, oparty o drzewo. Zazdrościł Andriejowi. Przez chwilę czuł ten męski uścisk. Pomyślał o dziadku Loni.

– Chuj z wami wszystkimi – rzucił do kolegów i z zamglonymi od łez oczami poszedł do domu.

Nowy Jork, 5 września 1983, godzina 20.00

Janet usiadła na podłodze przed telewizorem. Miała na sobie fartuch kuchenny, dłonie wciąż nosiły ślady dopiero co przygotowywanej kolacji dla przyjaciół, którym Jim był szczególnie bliski. Nalała sobie pół szklanki bourbona. Była blada po nieprzespanej nocy, oczy miała zapuchnięte od płaczu. Przyjaźnili się z Jimem od studiów. Przez chwilę nawet więcej niż przyjaźnili. Wciąż miała kilka zdjęć z tamtego okresu. Ale przede wszystkim Jim był przyjacielem, bliskim jak nikt inny. Dzięki niemu uwierzyła w siebie. Pomógł jej zdobyć pracę w „New York Timesie”. Był dla niej autorytetem, mentorem. Z Seulu chciał się przedostać do Phenianu. Miał zrobić materiał o Korei Północnej. Wymyślił tytuł: *1984, czyli George Orwell w Korei Północnej*. Przygotowywał się do tego od miesięcy. Janet opróżniła szklankę

jednym tchem. Smak alkoholu zmieszał się z goryczą łez.

W telewizji prezydent Ronald Reagan rozpoczął swoje przemówienie nadawane z Gabinetu Owalnego. Ubrany w ciemnogrnatowy garnitur, podobnego koloru krawat i białą koszulę, wyglądał bardzo poważnie. Mówił szybko, wyraźnie poruszony.

– Moi rodacy, Amerykanie – zaczął – stoję przed wami dziś wieczorem, by mówić o masakrze samolotu koreańskich linii lotniczych, ataku Związku Radzieckiego na dwieście sześćdziesięcioro dziewięcioro niewinnych mężczyzn, kobiet i dzieci na pokładzie nieuzbrojonego koreańskiego samolotu pasażerskiego. Ta zbrodnia przeciwko ludzkości nie może być nigdy zapomniana: zarówno tutaj, jak i na całym świecie. Modlimy się dziś za ofiary i za ich bliskich pogrążonych w straszliwej rozpacz...

Janet zacisnęła powieki, jej oczy napełniały się łzami. Pociągała mocno nosem, którego koniuszek zrobił się czerwony od płaczu. Poszła do łazienki po chusteczki. Nie mogła opanować wzruszenia. Słowa prezydenta trafiały w sedno. Widziała oczami wyobraźni zagubiony w mroku nocy wielki kadłub boeinga 747, rozświetlone światła, ciszę na jego pokładzie, śpiących ludzi, którzy pełni zaufania do pilotów, czuli się bezpieczni trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią. Czuła, że Jim, który nie lubił marnować czasu, czytał książkę przy nocnej lampce. Uwielbiał czytać. Wykorzystywał każdą chwilę, by przyswajać zachłannie wiedzę.

– ...Ale pomimo bestialstwa ich zbrodni, powszechnej reakcji na to, co się wydarzyło, oraz dowodów na ich współudział, Sowieci nadal odmawiają wyznania prawdy – kontynuował Reagan. – Uparcie nie chcą przyznać, że ich pilot strzelał do koreańskiego samolotu. W rzeczywistości nie mieli nawet odwagi powiedzieć własnym obywatelom, że samolot został zestrzelony...

Janet chwyciła butelkę bourbona i pociągnęła solidny łyk. Czuła, że tak bystry obserwator jak Jim musiał zobaczyć radziecki myśliwiec. Być może dostrzegł smugi strzałów.

Boże mój, co wtedy czuł Jim? Janet zaniósła się szlochem. Może myślał, kochany sukinsyn, że będzie miał fenomenalną sensację. Przecież nie mogło mu przejść przez głowę, że Ruscy odpałą rakiety. Nie mogło. Nie mogło. To nie mogło przyjść do głowy nikomu w cywilizowanym świecie. Więc pewnie poczuł ekscytację, podniecenie, może w myślach naszkicował pierwsze zdanie depeszy o incydencie nad Morzem Japońskim. Janet uśmiechnęła się i jej ciało zadrżało z bólu.

– ...Pozwólcie mi zreasumować naszą obecną wiedzę i przedstawić wam niezbity dowód, który posiadamy – mówił coraz bardziej dramatycznie Reagan. – Koreański samolot pasażerski, boeing siedemset czterdzieści siedem, lecący do Seulu w Korei, wystartował z Anchorage na Alasce, obierając kurs na południe i zachód, by znaleźć się na szlaku, który przebiega nad terytorium Japonii. Był widziany nad Pacyfikiem, nad wodami międzynarodowymi, przez moment znalazł

się w pobliżu jednego z naszych samolotów zwiadowczych, RC sto trzydzieści pięć, który odbywał rutynową misję. RC sto trzydzieści pięć ani przez chwilę nie wszedł w sowiecką przestrzeń powietrzną. Koreański samolot kontynuował swój lot i oba samoloty wkrótce oddaliły się od siebie...

Janet odsunęła butelkę. Bała się, że wstawi się przed wizytą gości.

– ...Sowieci śledzili ten samolot przez dwie i pół godziny – mówił dalej prezydent – podczas lotu na wysokości przelotowej od trzydziestu do trzydziestu pięciu tysięcy stóp. Tylko cywilne samoloty latają w taki sposób. W pewnym momencie koreański pilot przekazał japońskiej kontroli powietrznej swoją pozycję, jako pozycję na wschód od japońskiej wyspy Hokkaido, co świadczy o tym, że nie zdawał sobie sprawy, iż zboczył z kursu o sto lub więcej mil. Sowieci przejęli ten meldunek, przechwytyjąc go w bazie na Sachalinie. Japońskie anteny naziemne zarejestrowały transmisje samolotów przechwytyjących – ich rozmowy z własną kontrolą naziemną. Mamy tylko głosy pilotów. Sowieckie transmisje ziemia–powietrze nie zostały zarejestrowane. Jest jednak jasne, że słowa pilota stanowią reakcję na rozkazy i zapytania z kontroli naziemnej. Oto krótki fragment nagrania, które mamy zamiar odtworzyć jutro w całości podczas posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ.

Kamera oddaliła się od twarzy Reagana, który w skupieniu, ze wzrokiem skierowanym w swoją lewą stronę, wsłuchiwał się w głos radzieckiego pilota podającego z zadziwiającym spokojem kolejne komunikaty.

Janet zaniósła się płaczem, bezsilnym wobec brutalnych faktów, z którymi przyszło jej się zmierzyć.

– To były głosy radzieckich pilotów – odezwał się po chwili prezydent. – Na tej taśmie pilot, który wystrzelił rakietę, opisuje swoje poszukiwania tego, co nazywa „celem”. Składa meldunek, że ma go w zasięgu wzroku, a nawet, że utrzymuje się w odległości około mili od koreańskiego samolotu, robi wzmiankę o jego migającym świetle stroboskopowym i o tym, że światła nawigacyjne są włączone. Następnie informuje o zmniejszeniu prędkości, by zająć pozycję za samolotem pasażerskim, podaje odległości dzielące go od samolotu podczas wykonywania kolejnych manewrów, na koniec obwieszcza coś, co można nazwać jedynie masakrą koreańskiego samolotu. Mówi, że uchwycił cel na radarze, odpalił pociski, cel został zniszczony, a on kończy atak. Pozwólcie mi zwrócić na coś uwagę: tutaj mamy do czynienia z kontaktem wzrokowym z samolotem. Wiemy, że była jasna, księżycowa noc. Boeing siedemset czterdzieści siedem ma unikalną i charakterystyczną sylwetkę, nie przypomina żadnego innego samolotu na świecie. Jest niemożliwe, by pilot pomylił się i uznał tę maszynę za coś innego niż cywilny samolot pasażerki. A jeśli to nie wystarczy, chciałbym zwrócić uwagę, nasz RC sto trzydzieści pięć, o którym wspomniałem wcześniej, był z powrotem w swojej bazie na Alasce na godzinę przed morderczym atakiem nad Morzem Japońskim. Nie dajcie się zwieść, że ten atak był wymierzony jedynie w nas lub w Republikę

Korei. To był atak Związku Radzieckiego przeciwko światu i zasadom moralnym, które kierują człowiekiem i kształtują stosunki między ludźmi na całym świecie. To był akt barbarzyństwa zrodzony w społeczeństwie, które bez skrępowań lekceważy prawa jednostek i wartość ludzkiego życia i które bezustannie dąży do zdominowania innych narodów.

Janet, ze łzami wciąż spływającymi po policzkach, wsłuchiwała się w słowa prezydenta płynące z ekranu.

– ...Jeśli będziemy trzymać się razem i iść naprzód z odwagą – kończył swoje orędzie Reagan – historia odnotuje, że coś dobrego wzięło swój początek z tego potwornego zła, które będziemy pamiętać do końca naszych dni. Dziękuję. Niech was Bóg błogosławi i dobranoc[20].

Moskwa, wrzesień 1983–kwiecień 1984

Oleg wrócił do kina z magnetofonem kasetowym ukrytym pod kurtką. Nagrał tę krótką scenę, w której wystąpiła Tatiana. Potem wieczorami kilkadziesiąt razy z rzędu odsłuchiwał kasetę, delektując się jej przyspieszonym oddechem, jej szepczeniem. W takich momentach nie wiedział, co ze sobą zrobić, jak dać upust nagromadzonej energii. Pragnął fizycznego bólu, który pomógłby mu zapomnieć o cierpieniu duszy. Katował ciało ćwiczeniami, bił w worek bokserski, aż na dłoniach pojawiała się krew. Nie stronił od bójek. Gdy z Fiedką towarzyszyli Andriejowi, który kupował odtwarzacz wideo z kontrabandy, wrócił do domu szczęśliwy, choć z rozbitą twarzą. Potem przez tydzień wspominali, jak Fiedka z główki walnął jednego z napastników w mostek, aż tamten stracił dech i zrobił się siny, a Oleg wyprowadził po uniku podbródkowy, który zamroczył drugiego. To prawda, że gdyby nie pociąg wjeżdżający właśnie na bocznice, tamci pewnie by ich dorwali i w końcu zatłukli. Ale się udało. Byli trzema muszkieterami, którym nic złego nie mogło się stać. Fiedka wciąż kochał się beznadziejnie w Tamarze Gordiejewej, Andriej mierzył wysoko, mówił, że rozmawiał ze swoim „drągalkiem” i wspólnie uzgodnili, że na początek zaliczą Daszę Suworową. W grupie było różnie. Kiedy jednak po przyjściu do domu Oleg zostawał sam, wracała ona. Była jego obsesją. Fiedka wytatuował mu na środku piersi literę „T”. Potem, gdy z podziwem spojrzął na przyjaciela, poprosił, aby zrobił mu taką samą na cześć Tamary Gordiejewej.

– Andriej też musi mieć kogoś o imieniu na „T” – mówił Fiedka, krzywiąc się z bólu. – Wtedy będziemy naznaczeni jak trzej krzyżowcy.

Obok boksu, szachy były dla Olega ucieczką od udręczonych z miłości myśli.

Pracowali ze Zwieriewem nad repertuarem debiutowym. Oleg lubił wariant Scheveninigen w obronie sycylijskiej. Wciąż ćwiczył swoje umiejętności zapamiętywania. Poza książką telefoniczną Moskwy zaczął dodatkowo uczyć się na pamięć partii z „Biuletynu Szachowego” i „Szachów w ZSRR”. Potrafił również fotografować wzrokiem pozycje na szachownicy, zdjęcia, a nawet całe teksty z gazet. Czasem grał ze Zwieriewem „na ślepo”, bez patrzenia na szachownicę, posługując się jedynie obrazem tworzonym w pamięci, która notowała posunięcia dyktowane mu przez trenera. Po pewnym czasie większość takich gier wygrywał. Zwieriew był wówczas zawstydzony. Od czasu gdy stracił pracę w Sportkomitecie, pracował jako instruktor szachowy w domu kultury. Nie wiodło mu się najlepiej i często, gdy pracował z Olegiem u nich w mieszkaniu, Olga Lwowna zapraszała go, aby został na obiad lub kolację. Żał jej było patrzeć na jego wytarty na łokciach i kolanach brązowy garnitur. Wprawdzie męczyły ją opowieści o szachach, ale czuła, że trener w jakiś sposób wypełnia lukę po dziadku Olega, Leonidzie Iwanowiczu.

Ale potem na wiosnę osiemdziesiątego czwartego przyszedł czas egzaminów na studia. Oleg więcej się uczył, mniej uwagi poświęcał grze. Na mistrzostwach świata juniorów w fińskiej Kiljavie zajął dopiero piąte miejsce. Zwieriew był zawiedziony. Odbyli ze sobą ostrą rozmowę.

– Albo będziesz się przykładał, albo się rozstajemy – ostrzegł ucznia. – Mogłeś wygrać te mistrzostwa.

– Mam egzaminy na studia – bronił się Oleg. – Będę grał tyle, ile mogę.

Oleg spędzał wolne wieczory na spotkaniach z Andriejem i Fiedką. Włóczyli się, marzyli, zafascynowali się filmami z Bruce'em Lee i próbowali naśladować różne techniki sztuk walki, które ćwiczyli wytrwale, tłukąc sobie przy tym łokcie i kolana. No i pili. Aż Andriej poznał dziewczynę, i to wcale nie Daszę Suworową. Na pewien czas zniknął. W szkole opowiadał, że prostytutka to kompletne dno w porównaniu z prawdziwą dziewczyną. Wtedy Fiedka namówił Olega na kurs tańca towarzyskiego w domu kultury, na który chodziła Tamara Gordiejewa. Mieli pecha. Obaj trafili na partnerki do niczego. Oleg męczył się z brzydką bibliotekarką z osiedlowej biblioteki publicznej, która karciała go surowo za każdą pomyłkę w tanecznym kroku. Chciał już zrezygnować, zwłaszcza że przyjaciel żalonymi minami dawał mu do zrozumienia, że jego o głowę wyższa partnerka nie jest ani trochę bardziej tolerancyjna. Fiedka ze smutkiem w oczach spoglądał na obiekt swoich westchnień w ramionach innego mężczyzny. Do akcji musiał wkroczyć Andriej. Pogadał z instruktorką, a ta – w zamian za prezent w postaci francuskich kosmetyków – zarządziła zmianę par i Fiedka „przypadkowo” trafił na Tamarę Gordiejewą. Gdy Oleg patrzył na przyjaciela, nie przeszkadzały mu już syknięcia i docinki kolejnej partnerki, która okazała się równie gderliwa jak bibliotekarka. A potem, sam nie wiedząc, dlaczego to robi, został po zajęciach i poprosił instruktorkę, Janinę Trifonową, o dodatkowe lekcje, za które płacił ze swojego, dopiero co otrzymanego ze Sportkomitetu stypendium szachowego. I

okazało się, że jest całkiem dobrym tancerzem, z poczuciem rytmu i gibkim ciałem, które lubiła obejmować nauczycielka.

Dziewiątego lutego 1984 roku zmarł Sekretarz Generalny KC KPZR Jurij Andropow, a już cztery dni później jego miejsce zajął lider konserwatystów Konstantin Czernienko.

Przyszedeł maj, kwitły kasztany, a Oleg w głębokim stresie przystąpił do egzaminów. Nie wiedząc za bardzo, co wybrać, zdecydował się na filologię angielską.

– Zawsze będziesz mógł zagadać do Jacqueline Bisset, jak ją spotkasz gdzieś w Ameryce – podsumował wybór przyjaciela Andriej.

Ku radości Olgi Lwowny jej syn zdał wszystkie egzaminy, uzyskując maksymalne oceny, i dostał się na anglistykę na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym imienia Łomonosowa. Oleg miał coraz mniej chęci do przesiadywania nad szachami.

– Byłem niedaleko – zaczął Denisow. – Pomyślałem, że odwiedzę. Spytam, jak sobie radzi Oleg. Nie był od dwóch tygodni na zajęciach w klubie. Sasza się martwi. Powiedział mi: „Idź do niego, dowiedz się, wybadaj, czy zły na mnie. Szkoda takiego talentu”.

– Szkoda – przytaknęła Olga Lwowna. – Ale co ja mam zrobić? Mnie już słuchać nie chce. Liczą się tylko koledzy. Włóczą się gdzieś całymi dniami. Kilka razy wrócił pijany. I jak tu dorosłemu chłopakowi cokolwiek tłumaczyć. – Machnęła zrezygnowana ręką. – Co mówią o tym Czernience? – zmieniła temat.

– Nazywają go: „Tak jest Iljicz”. No, co można powiedzieć o człowieku, który zrehabilitował Mołotowa, a ponoć myśli także o rehabilitacji Stalina. Liczyłem, że gensekiem zostanie Gorbaczow. No, ale widać przestraszyli się reform Andropowa.

– Powiedzcie mi, czy to prawda, co mówią, że Sacharowa zgarnęli wprost z ulicy i przewieźli do szpitala w Gorkim, i że go tam torturowali? – spytała Olga Lwowna, jakby Denisow był skarbnicą wiedzy.

– Coś o tym mówił mi Giennadij, były sekundant Krutina.

– A co słyhać w świecie szachowym?

– No cóż. Romancew został mistrzem kraju. Krutin wygrywa za granicą, Zimmerman po latach milczenia zapowiedział swój występ w turnieju w Nowym Orleanie, a Antonow się leni i nie przychodzi na zajęcia, i to chyba najważniejsza wiadomość dla przyszłości szachów.

– Nie potrafię do niego dotrzeć. – Olga Lwowna pokręciła głową. – To co, mówicie, że Zimmerman wraca do szachów?

– Krąży plotka, że zgodził się zagrać w Memoriale Paula Morphy’ego, pierwszego mistrza świata, też Amerykanina. Szykuje się duża feta.

Resztę popołudnia spędzili na dyskusji o polityce i przyszłości Olega.

Moskwa, maj 1984

W maju 1984 roku świat sportowy obiegnęła wiadomość, że Związek Radziecki odmówił startu w igrzyskach olimpijskich w Los Angeles. W oficjalnym komunikacie Moskwa poinformowała, że organizatorzy nie przedstawili pisemnych gwarancji związanych z zapewnieniem bezpieczeństwa ekipom Związku Radzieckiego oraz innych krajów socjalistycznych. Ignorując fakt, że takich gwarancji władze Stanów Zjednoczonych udzieliły już w momencie ubiegania się o organizację igrzysk, przewodniczący Komitetu Olimpijskiego Związku Radzieckiego Marat Gramow oświadczył, że „polityka administracji prezydenta Reagana nie daje żadnych gwarancji godnego i bezpiecznego przyjęcia radzieckich sportowców”. Podniesiono również kwestię smogu, który zalega nad Los Angeles i uniemożliwia przeprowadzenie konkurencji wytrzymałościowych, ponieważ stanowi śmiertelne zagrożenie dla maratończyków, długodystansowców, kolarzy i pięcioboistów. Tak czy inaczej, po całej serii oświadczeń, not dyplomatycznych i rozmów z przewodniczącym MKOl Juanem Antonio Samaranchem, który niezmiennie gwarantował spełnienie wszelkich wymogów bezpieczeństwa, w Moskwie zapadła ostateczna decyzja: „Sytuacja, jaka zapanowała w USA, nie pozwala radzieckim sportowcom na wzięcie udziału w igrzyskach”.

Romancew przyjął komunikat władz z obawą. Lękał się, że może to oznaczać bardziej restrykcyjną politykę dotyczącą udziału sportowców radzieckich w zagranicznych imprezach sportowych, a tu zbliżała się wymarzona szansa gry przeciwko Zimmermanowi w Nowym Orleanie. Zastanawiał się, czy wobec perspektywy zakazu wyjazdów nie zostać na Zachodzie. Ale bał się tęsknoty za krajem. Zresztą przed kilkoma dniami jego matka, Klara Dmitrijewna, otrzymała przez zaufanego posłańca krótką wiadomość z Włoch napisaną ręką Andrieja Tarkowskiego:

Droga Klaro!

Ciężkie myśli. Opanował mnie strach. Jestem zgubiony! Nie mogę żyć w Rosji i tu również nie można żyć!

Andriej

– Kto wie, co może się dzieć z powodu bojkotu igrzysk – mówił do Fomina Romancew, gdy odwiedził trenera w szpitalu.

– Nowego Orleanu nie zlekceważą – uspokajał go Fomin. – To byłoby niepolityczne, małostkowe. Świat szachowy źle by to odebrał. Muszą kogoś wysłać, nie mają wyboru.

– Co znaczy „kogoś”? – Romancew się zaniepokoił. – Mnie! Nie „kogoś”, tylko mnie. To moja szansa, by pokazać Zimmermanowi, że czasy jego hegemonii się skończyły.

Fomin miał rację. Gołubiew i Bondariewski otrzymali zgodę na wysłanie radzieckiego szachisty do Nowego Orleanu. Warunek był jeden: „Żadnych medalistów, żadnych utytułowanych graczy, żeby nie dać Amerykanom satysfakcji”. Ostatecznie Bondariewski wpadł na pewien pomysł, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Bondariewski i Gołubiew rozważali polityczne aspekty turnieju w Nowym Orleanie, niedaleko stacji kolejowej w Wolsku Wiaczesław Jewgienijewicz Czerkasow kończył pisać skierowany do Sportkomitetu list, w którym zaproponował nową ideę w obronie sycylijskiej.

Od dziesięciu lat, czyli do czasu przedwczesnej śmierci żony, Czerkasow był zawiadowcą na stacji. Wcześniej wykładał matematykę na uczelni w Saratowie i nieźle grał w szachy, zdobył rangę kandydata na mistrza międzynarodowego. Po bólu, jakiego doświadczył, to właśnie szachy stały się dla niego jedyną ucieczką od rzeczywistości. Nie miał siły dalej uczyć studentów, poszukał więc samotni, w której mógłby ograniczyć całą aktywność zawodową do prostych rutynowych czynności. Resztę swojego czasu oddał szachom.

Wariant, który opracował, był przygotowany specjalnie na pojedynek radzieckiego szachisty z Zimmermanem. W ulubionym przez Amerykanina wariacie przeciwko obronie sycylijskiej Czerkasow znalazł bardzo śmiałą ideę forsownego ataku w centrum. Pracował nad nią kilka miesięcy i wariant wydawał się przygotowany bez zarzutu. Nie wiedział, kto zagra z mistrzem świata, martwił się, że Romancewowi, który rzadko grał obronę sycylijską, jego wariant nie przypadnie do gustu. Ale z drugiej strony opracowany przez niego plan gry mógł być idealną pułapką.

Nie miał maszyny do pisania, więc wszystkie notatki wykaligrafował, kilkakrotnie przepisując cały tekst, gdy popełnił błąd. Nie chciał, aby gracz tej klasy co Romancew widział niechlujne skreślenia. Zresztą Czerkasow przez całe życie uważał, że wszystko należy robić porządnie. Nie pił, choć wódka wydawała się najprostszą metodą, by zapomnieć. Ale alkoholu nie dało się pogodzić z pracą, którą wykonywał, więc nie brał go do ust.

Czerkasow napisał na kopercie: *Dla szachisty, który będzie grał z Zimmermanem*, i zaadresował do Sportkomitetu w Moskwie. Potem wsadził do niej swoje notatki i zakleił. Postanowił od razu wybrać się na pocztę, by kupić znaczek i nadać

przesyłkę.

Moskwa, 9 czerwca 1984

Tego dnia we wczesnych godzinach popołudniowych przez regiony moskiewski, kaliniński, jarosławski, iwanowski i kostromski przeszło tornado. Świadkowie mówili, że w mieście Iwanowo piętnaście po trzeciej pojawił się wielki wir przypominający pień potężnej sekwoi, który – kołysząc się z boku na bok – wtargnął do miasta. Widziano gwałtowny obrót gigantycznego leja, słyszano syk i szum, podobny do tego, jaki towarzyszy odrzutowcom. Chmura, z której wyłoniło się tornado, szybko przeniosła się na północ. W pasie szerokim na pół kilometra tornado pozrywało dachy, połamało i powyrywało drzewa z korzeniami, przewracało słupy elektryczne. Samochody, nawet ciężkie autobusy, były unoszone w górę i przewracane na boki.

Oleg, Andriej i Fiedka siedzieli w mieszkaniu Rodina, pałac podawany z ręki do ręki skręt marihuany.

– Rodin, po cholere ci ten piec pośrodku pokoju? – spytał Andriej, wskazując na wielkie żeliwne ściany pieca o kształcie potężnej beczki, z którego odchodziła do otworu wentylacyjnego metalowa rura.

– To, mój drogi, urządzenie dwudziestego pierwszego wieku – mruknął Rodin, układając się w hamaku rozwieszonym pomiędzy ścianami. – Piec do ceramiki. Wypalałem w nim dzbany gliniane. Tylko sąsiad z góry narzeka, bo jak w nim palę, to po podłodze chodzić nie może, tak w stopy parzy. Muszę mu wodę kupować, żeby nie doniósł milicji.

– Z tego można żyć? – Andriej rozejrzał się po pokoju wypełnionym dzbankami naśladowymi ludowe rękodzieło.

– Dzbany nie idą, więc przerzuciłem się teraz na matrioszki. Łatwiej je wcisnąć zagranicznym. Płacą walutą. Na żarcie starcza. Zresztą jakiś czas temu próbowałem przestać jeść – rzekł Rodin, przewracając się na bok i wyciągając rękę do Fiedki. – Daj sztacha.

Wsadził skręta do ust. Zaciągnął się. Przymknął oczy. Oddał Fiedce, który przyglądał mu się z podziwem.

– Gdzieś wyczytałem – mówił Rodin – że da się przeżyć na samych wibracjach wywołanych obcowaniem ze sztuką i przez wystawienie ciała na światło słoneczne.

– I? – zainteresował się Oleg.

– I byłoby dobrze, gdyby nie kurewka Lenoczka. Przylazła tutaj któreś nocy. „Daj działkę, daj działkę”, skomlała. W końcu uległem. Dałem. A ona na to, że nie ma czym zapłacić, ale robi mi dobrze i będę mógł wybrać, jak chcę. Uległem. Zrobiła, jak obiecała. A potem przeczytałem, że seks jest w tej mojej diecie zakazany. Że ubytek energii i takie tam. Rzuciłem to w pizdu. Zżarłem golonkę i popiłem wodą.

Milczeli.

– Rodin, to prawda, że jak cię ostatnio zgarnęli, to siedziałeś w wariatkowie? – przerwał ciszę Fiedka.

– W durce? Byłem – odrzekł niedbale Rodin.

– I jak tam jest? – Fiedka próbował sobie wyobrazić szpital psychiatryczny.

– Chujowo. A jak ma być. – Rodin ziewnął przeciągle. – Ale te fiuty załatwiły mi pokoik w żółtym domku, zapominając, że mogły mnie wziąć w kamasze, wysłać do Afganistanu i byłbym trup. Więc w sumie zrobili mi przysługę. Można powiedzieć, przez to, że wtedy, przed olimpiadą, zgarnęli mnie wprost z ulicy, ominęła mnie tielega na komisji poborowej.

– Co to? – zapytał Oleg.

– Co? Tielega? Świrowanie, żeby uciec przed wojskiem. Już w durce przyszło mi trochę poświrować, na wszelki wypadek. Kiedy spytałem lekarza: „Czy myślicie, towarzyszu doktorze, że Lenin sapał jak zwykły człowiek, gdy rznął Nadieżdę Krupską, albo stękał ciężko i kręcił się na desce klozetowej, jak miał twardy stolec?”, wpisali mi: „Niegodny służby wojskowej nawet w okresie wojny”. No i git. Byłem wolny. Zresztą durka to na swój sposób sanktuarium, oaza wolnych ludzi. Siedzą tam dysydenci, profesorowie, artyści, przymknęli nawet jakiegoś zajebistego szachistę, słyszałem to, bo ponoć sam Misza Sztejn przyjeżdżał do niego grać. Był tam gość, który siedział z Wołodią Wysockim. Ja nie miałem tyle szczęścia. Trafił mi się operator dźwigu. Któregoś wieczoru miał doła, więc wrócił do roboty, uniósł tym dźwigiem pobliską budkę z piwem i postawił ją na bloku stojącym po sąsiedzku. Rano znaleźli go tam na dachu, pijanego w trzy dupy. W celi obok siedział facet, który porwał wielki spychacz drogowy i zapieprzał nim w najlepsze po Moskwie, ale wpierw wywiesił na pługu transparent: „Komuchy won z Afgana”. Sęk w tym, żeby nie przegiąć z tielegą, bo mogą wlepić pobyt na stałe, a to już przejebane. Temu gościowi wlepili dziesiątaka. Skręć no jeszcze jednego – zwrócił się do Andrieja.

– Nie możemy. – Andriej się zasmucił. – Kasy już nie mamy.

– Firma stawia – rzucił z nutką pogardy Rodin.

Andriej szybko zwinął skręta, zapalił, zaciągnął się i podał Rodinowi. Ten powoli delektował się ziołem, wciągając w siebie dymek.

– W durce miałem swój najpiękniejszy kajf – zaczął Rodin. – To nie było takie gównno z efedryny czy morfiny jak zwykle. To był niebiański lot. Mój duch

przekraczał bariery, wiedziałem, że osiągam pełną harmonię i głębię myślenia, o jakiej nigdy wcześniej nie śmiałem nawet marzyć. Czułem się tak, jakbym po śmierci dotarł do tajemnicy wszechrzeczy. Nie chciałem z tego wracać. Gdy tylko mnie wypuścili, pojechałem z grupą na południe. Najlepszą marihuanę i haszysz zdobędziecie w Kotlinie Czujskiej, na pograniczu Kirgizji i Kazachstanu. Konopie indyjskie rosną tam jak rajskie kwiaty. Tam nauczyli mnie robić herę z maku. To był kurewsko dobry czas. Wybierałeś na mapie jakieś miejsce na południu, na chybił trafił, i w drogę. Chociaż najlepiej gdzieś nad morzem, bo spać można było na plaży, a do tego orgie przy ognisku, kąpiele przy blasku księżyca. Ech. Tam odnajdywałem natchnienie do malowania. Musicie pojechać w sierpniu lub we wrześniu na Łotwę albo do Estonii. Tam jest większa wolność, spotykają się fajni ludzie. Mienty gonią ich i wyłapują, ale to cała frajda. Nie musicie się kłopotać, gdzie spać, zawsze ktoś was przygarnie. A potrafi być zajebista zabawa. Gra muza, są prochy, poznaje się genialnych ludzi. Nigdy nie wiesz, gdzie wylądujesz następnego dnia. Zresztą ludzie skrzykują się swoimi sposobami, żeby mienty nie wiedziały, gdzie szukać.

– Zazdroszczę ci, Rodin – odezwał się smutnym głosem Oleg. – Jesteś wolny, wolny od chorej ambicji, od rywalizowania, od wyrzutów sumienia, że nawalasz i że marnujesz talent. Robisz, co chcesz, kochasz się, z kim chcesz i kiedy chcesz. Właśnie, a dzieci macie? – zainteresował się.

– Jakieś chyba mam – rzucił niedbale Rodin. – Kto by tam wiedział dokładnie.

– Oleg – włączył się Andriej. – Ty masz wolność na wyciągnięcie ręki. Będziesz jeździł po świecie i w każdej chwili możesz nawiać.

– A po co mi to? – odrzekł sceptycznie Oleg.

– Po co, po co – przedrzeźniał go rozjuszony Andriej. – Głupek. Bo są tam laski zajebiste, jest luz, są dzinsy, można mieć dom nad oceanem.

– Mnie się podobają ruskie dziewczyny – odparł z rozbijającą szczerością Oleg. Fiedka zaczął kasłać od dymu.

– Ja pierdołę, mocne to – przeklął, z trudem tłumiąc kaszel. Nie chciał okazać się mięczakiem.

– Zresztą matki bym nie zostawił – wyznał po chwili Oleg. – Jak powiedziałem jej, że Krutin uciekł po turnieju, mówi do mnie: „Za jakiś czas może też tam zostaniesz, nie będę cię trzymać, bo to twoje życie, sam wybierzesz. Ożenisz się, też mnie opuścisz. Ale teraz cię potrzebuję, umarłabym bez ciebie”.

Po słowach Olega zapadła cisza.

– No i przejebane – skomentował filozoficznie Rodin, układając się w hamaku plecami do chłopców.

– A co z twoimi starymi, Rodin? – spytał Andriej.

– Pierenta już dawno zrozumiały, że nic nie wskórają. Wcześniej ciężko się było

z nimi dogadać. Poszedłem po zapałki, tak jak stałem, bez żadnych rzeczy w plecaku. Szukali. Odezwałem się po roku czy półtora, nie pamiętam. Trochę było wtedy spięć. Ale odkąd wyszedłem z durki, matka nic nie mówi. Cieszy się, że nie pojechałem na wojnę. No dobra. Dość chrzanienia. Wazonów dla swoich matek nie chcecie kupić?

Rozstali się około północy. Oleg zwymiotował pod swoim blokiem. Czuł, że nogi ma miękkie jak po silnym podbródkowym. Zamiast trzymać się prosto, szedł jak po pokładzie statku, który walczy ze sztormem. Podczas jazdy windą miał uczucie, jakby unosił się pod sufitem niczym mały balon kupiony na straganie w wesołym miasteczku. Gdy podnosił upuszczone na posadzkę klucze, uderzył głową w kłamkę.

Olga Lwowna czekała na niego, czytając książkę przy lampie, narzuciwszy na koszulę nocną szal z wełny. Kiedy syn wszedł do mieszkania, poderwała się z miejsca, odłożyła okulary i weszła do przedpokoju.

– Gdzie byłeś? – spytała przez zaciśnięte zęby, dopiero po chwili dostrzegając, że syn chwieje się na nogach. – Jest już po północy – dodała zimnym tonem, przyglądając mu się bacznie i wciągając zapach, jaki unosił się w ciasnym korytarzyku. – Zalatuje od ciebie jakimiś papierosami albo Bóg wie czym jeszcze. Co ty ze sobą robisz? Spójrz na siebie, chwiejesz się na nogach jak ostatni alkoholik. Co paliłeś? Co to za zapach? Odpowiedz! Wymiotowałeś? Przecież widzę! Co paliłeś?

Próbowała go przytrzymać, ale wyrwał się i ukrył w swoim pokoju, zostawiając ją za drzwiami. Położył się do łóżka, nasłuchiwał.

Olga Lwowna nie miała odwagi wejść do środka. Oparła się o ścianę i przymknęła powieki, usiłując złapać oddech, uspokoić nerwy. Po chwili, kiedy wreszcie udało jej się odetchnąć pełną piersią, otarła łzę, uchyliła drzwi do pokoju syna.

Oleg zastygł w napięciu.

– Dzwonił jakiś Bondariewski z wiadomością ze Sportkomitetu – odezwała się matka. – Powiedział, że jedziesz na turniej do Nowego Orleanu.

Oleg leżał bez ruchu i czuł, jak serce wali mu z całych sił.

Nowy Orlean, lipiec 1984

– Masz bieliznę na każdy dzień – mówiła, pakując syna, Olga Lwowna. – Daję ci grzałkę i metalowy kubek, zaparzysz sobie herbatę, jak będziesz potrzebował.

Spakowałam też lekarstwa na problemy żołądkowe. A po co ci kąpielówki? – spytała, znajdując je w walizce.

– Nowy Orlean leży nad morzem – powiedział Oleg. – Myślałem, że może uda się wyskoczyć i pokąpać w oceanie. A i w amerykańskich hotelach mogą być baseny.

– No dobrze. Ustawiłam budzik na czwartą. Dobranoc.

Na lotnisku Oleg spotkał Bondariewskiego, który taszczył ze sobą wielką skajową walizkę. Przez oba ramiona miał przewieszane dwie mniejsze torby podręczne, które opierały się na okazałym brzuchu. Spocony, ubrany w białą koszulę, sapał ciężko i co chwilę wycierał chusteczką pot z czoła lub czyścił zaparowane, małe, okrągłe okulary. Z powodu embarga na loty Aerofłotu do Stanów Zjednoczonych podróż do Nowego Orleanu zajmowała dwa dni. Najpierw iłem-62 do Shannon w Irlandii, gdzie Aerofłot zbudował dla swoich załóg prawdziwą wioskę na potrzeby lotów transatlantyckich, stamtąd do Gander w Kanadzie i dalej do Hawany, skąd musieli się dostać do Cancún, i na koniec już małym czarterowym samolotem do Nowego Orleanu.

Podczas pierwszego dnia podróży Antonow przeglądał na małej składanej szachownicy partię z ostatniego wydania „Biuletynu Szachowego”. Bondariewski, który sam miał tytuł kandydata na mistrza, kiedy nie spał, zerkał ciekawie na to, co robi młodzieniec. W końcu zaproponował rozegranie partii. Po szybkiej porażce zniechęcił się i zajął układaniem pasjansa małutkimi kartami. Potem, znużony i tym, zaczął szukać pozycji do snu. Przed zaśnięciem przypomniał sobie jednak o czymś. Z trudem wyciągnął spod fotela swoją torbę, pogrzebał w niej i wyciągnął ze środka białą kopertę.

– Macie. – Podał ją Olegowi. – To dla was.

Młodzieniec spojrział na list z zainteresowaniem. Przesyłka była otwarta. Obrócił ją w dłoniach. Na dole koperty widniał odręczny napis: *Dla szachisty, który będzie grał z Zimmermanem.*

Bondariewski, nie czekając na reakcję Olega, ułożył głowę na oparciu fotela i zasnął z otwartymi ustami. Po chwili rozległo się głośnie chrapanie.

Oleg wyjął notatki z koperty i szybko zorientował się, że zawierają wariant gry w obronie sycylijskiej. Rozpoznał go, ponieważ jakiś czas temu analizowali go ze Zwieriewem, oglądając partię Zimmermana. Od razu jednak dostrzegł, że propozycje autora są znacznie ciekawsze i głębsze od pomysłów, które obaj z trenerem uznali za najbardziej poprawne. Przebiegał wzrokiem po liniijkach zapisanych posunięć, z ekscytacją analizował w wyobraźni rozpisane warianty. Potem rozstawił figury na małej składanej szachownicy i puścił wodze fantazji, bawiąc się kolejnymi pozycjami, jakie powstawały w wyniku zastosowania przesłanej w liście idei. W tym miejscu Oleg zaciekawiał się, kto właściwie jest jej

autorem. Przejrzał kartki i na ostatniej z nich znalazł podpis – Wiaczesław Jewgienijewicz Czerkasow, zawiadowca, miasto Wolsk, obwód saratowski.

– Wolsk, Wolsk. – Oleg próbował skojarzyć nazwę, jednak nic mu nie mówiła. – Gdziekolwiek leży Wolsk, jeśli wygram z Zimmermanem dzięki tej idei, pojedę, ba, pielgrzymkę odbędę, żeby podziękować temu bystremu sukinsynowi – mruknął pod nosem. Nie myślał już z lękiem o grze z Zimmermanem. Ekscytowała go myśl, że mógłby zastosować poznaną przed momentem pułapkę.

Do Nowego Orleanu dotarli nocą. Oleg spoglądał w zachwycie na rozświetlone tysiącem świateł miasto, na wieżowce odcinające się na tle ciemnogramatowego nieba. Po tylu godzinach podróży wszystko wydawało mu się snem. Snem cudownym jak muzyka Gershwin lub głos Armstronga. Andriej miał rację, pomyślał. Ameryka to bajkowa kraina.

Na lotnisku czekał na nich szofer z kartką. Bondariewski mówił po angielsku z silnym rosyjskim akcentem. Oleg był tak wyczerpany, że zasnął natychmiast po wejściu do samochodu. Obudził go ból w skroni, kiedy jego bezwładna od snu głowa uderzyła o szybę.

Nowy Jork, lipiec 1984

Janet czuła, że to będzie pechowy dzień. Obudziło ją kapanie z sufitu. Zanim sąsiad zorientował się, że łóżko wodne, na którym śpi, przecieka, jego pokój wyglądał jak sadzawka, a sufit Janet zdążył się pokryć żółtymi bąblami, z których co pewien czas urywała się kropelka, z płaskim rozbijając się o podłogę.

Mieszkała w East Village, na rogu Pierwszej Alei i Siódmej Ulicy, gdzie wciąż można było znaleźć mieszkania w przystępnych cenach. Lubiała to miejsce ze względu na artystyczny, nieco zwariowany punkowy klimat. W dziewiętnastym wieku mieszkali tu głównie Niemcy, i rejon ochrzczono „Kleindeutschland”. W ostatnich dekadach dzielnica przechodziła jednak transformację: najpierw zasiedlili ją emigranci z Europy Wschodniej, potem – Portorykańczycy, a potem niemal w tym samym czasie – artyści, pisarze i poeci.

„Cyganeria, punki, artyści”, tak Janet opisywała bratu miejsce, do którego sprowadziła się z dwiema walizkami, upstrzonymi autografami i życzeniami przyjaciół, i workiem żeglarskim na plecach.

Odpowiadała jej atmosfera dzielnicy. To był ten Nowy Jork, który kojarzył się Janet z otwarciem na świat i szerokimi horyzontami intelektualnymi. Lubiała zachodzić do sklepu Jimmiego Webba, gdzie można było znaleźć wszystko, czego tylko potrzebowałaś, by przeistoczyć się w stuprocentowego punka. Wprawdzie

ciężko jej było znaleźć coś dla siebie, bo wolała nosić sztruksowe męskie marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach, dzinsy czy boty na obcasach, ale w sklepie panowała tak urzekająca i bezpretensjonalna atmosfera, że Janet od razu nabierała dystansu do otaczającego ją świata.

Kiedy z kubkiem kawy w jednej dłoni i notatnikiem w drugiej szła do gabinetu szefa, miała przeczucie, że dostanie trudny temat.

– Chcę, żebyś zrobiła artykuł o sowieckich sportowcach, którzy mimo bojkotu igrzysk startują w imprezach organizowanych w Stanach Zjednoczonych – obwieścił szef, swoim zwyczajem siedząc w fotelu z butami opartymi o blat biurka i z głową odchyloną do tyłu. Janet notowała. – Ponoć, jak twierdzą sowieckie władze, nie potrafimy zapewnić bezpieczeństwa ich zawodnikom. Chcę mieć informację o tych, którzy nie wystraszyli się tej absurdałnej propagandy i odważyli do nas przyjechać. Nie interesuje mnie relacja z imprezy. Gdybym tego potrzebował, zwróciłbym się do działu sportowego. Interesuje mnie: kto, gdzie, dlaczego... Co sądzą o tej maskaradzie, jaką robi ich rząd, jakie mają zdanie na temat bojkotu. Chcę prowokacji, ujawnienia tej całej propagandowej obłudy.

Po wyjściu z gabinetu szefa Janet wypuściła z siebie powietrze, jakby dmuchała w żagiel małej dziecięcej żaglówki. Od czegoś musiała zacząć. Wpierw, co wydało jej się naturalne, zasięgnęła języka u Billa Cartwrighta, kolegi z działu sportowego.

– Mogą być łyżwiarze – wymieniał Bill, przeglądając notes z imprezami sportowymi. – Ale co najwyżej z pokazami rewiowymi. To już raczej aktorzy niż sportowcy z prawdziwego zdarzenia. Zresztą nie wiadomo, czy w ostatniej chwili nie odwołają przyjazdu. – Bill kartkował dalej notes, licząc, że okaże się przydany. – Czekał. – Ucieszył się. – Szachy. Turniej w Nowym Orleanie, w stulecie śmierci naszego pierwszego mistrza świata Paula Morphy'ego. To prawdziwa sensacja, bo po trzech latach milczenia ma wziąć w nim udział Bobby Zimmerman. Ale z tego, co wiem, tam jest już wielu dziennikarzy z innych gazet, którzy o tym piszą.

– Nie interesuje mnie ani Zimmerman, ani szachy – rzuciła zirytowana Janet. – Mam pisać o Sowietach, którzy pomimo sportowego bojkotu, mimo zawieszonych lotów Aerofłotu, dotarli tu i teraz biorą udział w organizowanych u nas zawodach.

– Powrót Zimmermana to sprawa więcej niż sportowa – obruszył się urażony Bill. – Nie pamiętasz, ile politycznych emocji wywołał jego mecz w Rejkiawiku o mistrzostwo? Zresztą masz rację. Nie chodzi o Zimmermana. Trudno jednak wyobrazić sobie taki turniej bez Rusków.

– Lepiej znajdź mi coś innego. Szachy są nudne i nie znam się na nich.

– Dobra. Ale to nie będzie łatwe...

– Przestań używać samczych sztuczek – ostrzegła go.

Bill zlekceważył ostrzeżenie i mimo wszystko próbował umówić się z nią na kolację.

– Bill. – Pokiwała głową z dezaprobatą. – Nudzisz, chłopie. I poszukaj mi czegoś lepszego niż szachy.

– Zgoda, jeśli będzie coś innego. Na wszelki wypadek masz tu telefon do organizatorów turnieju. – Bill zapisał numer telefonu i podał jej kartkę. – Nigdy nie wiadomo, może się namyślisz i zmienisz zdanie.

– Okie dokie. – Janet puściła do niego oko na pożegnanie, po czym wyszła.

Billowi nie udało się znaleźć nic ciekawego, więc pod wieczór zadzwoniła do Nowego Orleanu.

– Z jednej strony jesteśmy niezwykle podekscytowani! – entuzjasmował się dyrektor turnieju, krzyżąc do słuchawki. – Zimmerman wraca z niebytu i to właśnie u nas wystąpi pierwszy raz po przerwie. Media zapowiedziały najazd. Ale z drugiej strony jesteśmy bardzo rozczarowani postawą Sowietów. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy, są sponsorzy, miało być święto, a Ruscy przysłali mi telegram, że z powodu choroby nie przyjadą ich czołowi gracze. Wszyscy się położyli pokotem, zaraza, zaniemogli w jednym terminie. Zamiast nich jest tu jakiś młodzik. Nie powinienem go dopuścić do gry, bo przecież to absurd. Ale pomyślałem, niech zajmie ostatnie miejsce, najedzą się wstydu.

– Nie robię materiału o szachach – przerwała mu Janet. – Interesują mnie Rosjanie, ale na tę imprezę, jak widać, też nikogo ważnego nie przysłali.

Na wszelki wypadek zostawiła mu jednak numer swojego telefonu.

Hokej albo boks byłyby świetne, pomyślała. Bill musi się bardziej postarać.

Wróciła do kolegi z działu sportowego.

– No dobra, zjem jutro z tobą lunch, u Chińczyka na rogu, pod warunkiem, że do tej pory coś mi przyniesiesz – starała się go zmotywować.

W południe następnego dnia Janet spoglądała, jak Bill napycha sobie usta kaczka po seczuańsku, wprawnie posługując się pałeczkami.

– Kim w ogóle był ten cały Morphy, na którego cześć grają ten turniej? – zaczęła rozmowę.

– Ha! Wiedziałem, że zadasz mi to pytanie – rzucił radosnym tonem Bill, spiesznie przełykając kawałki jedzenia. – Żeby ci zaimponować, przygotowałem sobie parę informacji. Przeczytam je, jeśli na koniec powiesz: „Bill, ale mi zaimponowałeś”. Zgoda?

– Zgoda.

I Bill zreferował jej dokładnie życie i niebywałe osiągnięcia sportowe Paula Morphy’ego.

– Ja pieprzę. – Janet pokręciła głową, uśmiechając się z niedowierzaniem. – Kto by pomyślał. Dotąd szachiści kojarzyli mi się wyłącznie z dziadkami grającymi

w Central Parku.

– A gdzie moje: „Bill, ale mi zaimponowałeś”?

– Bill, ale mnie oszukałeś – odrzekła Janet, krzywiąc się na widok ust Billa ociekających tłuszczem z kaczki.

– Oszukałeś? – Bill rozdziawił gębę.

– Przełknij.

Dziennikarz odczekał chwilę, przełknął, popił wodą.

– Oszukałeś? – powtórzył.

– Mówiłeś, że masz sportowca.

– Bo mam. Nazywa się Oleg Antonow, młody szachista z Moskwy.

– Powiedziałam ci, że nie lubię szachów.

– Chłopak nie jest taki kompletnie znikąd. Ustanowił szachowy rekord świata w tempie progresji rankingowej.

Janet zmarszczyła czoło.

– Co to znaczy?

– Że w jednym turnieju zrobił wynik, który pozwolił mu przeskoczyć kilkaset pozycji w rankingu. To tak, jakbym wszedł na korty Flushing Meadows i ot tak pokonał Johna McEnroe, Jimmy’ego Connorsa i Ivana Lendl’a za jednym zamachem. Prosto z ulicy wszedłbym do pierwszej pięćdziesiątki rankingu tenisistów.

– Ciepłej, ciepłej – mruknęła zadumana Janet.

– A gdybym wziął wolne i poleciał z tobą do Nowego Orleanu? No wiesz, jak śpiewał Frank Sinatra: *Come fly with me...*

– Hm, niech się zastanowię. – Janet się uśmiechnęła. – Pomyślałabym, że jesteś banalny, wpychasz się na siłę, kierowany wyłącznie męskim egoizmem i podpowiedziami swojego wacka. Naraziłbyś mój artykuł na fiasko i zszargał moją reputację w oczach szefa. W ten sposób na pewno straciłbyś do reszty szanse u mnie. Co, Bill?

Bill uniósł brwi, nadymając policzki, a gest ten niósł ze sobą komunikat złożony z trzech słów: „Rozumiem. Próbowałem. Odpuszczam”.

Wieczorem, kiedy Janet jak co dzień uprawiała jogging w Washington Square Park, przyszło jej do głowy, że do tej pory – nie licząc historii z Jimem – ze Związkiem Radzieckim miała kontakt jedynie przez ukraińską restaurację Veselka i ukraiński kościół katolicki niedaleko St. Mark’s Place. Nagle przystanęła. Przypomniała sobie, że na Thomson Street jest sklep szachowy. Postanowiła do niego zajrzeć. Po drodze wstąpiła jeszcze do Kim’s Video and Music, gdzie wypożyczyła kasetę z filmem o Bondzie – *Pozdrowienia z Rosji*[21].

Nowy Orlean, lipiec 1984

Turniej rozpoczął się dziesiątego lipca, dokładnie w stulecie śmierci Paula Morphy'ego. Tego samego dnia na konferencji prasowej w Mediolanie Andriej Tarkowski, który już dwa lata wcześniej wyjechał ze Związku Radzieckiego, oznajmił światu, że zamierza pozostać na Zachodzie. Bondariewski otrzymał instrukcję, by pilnował Antonowa, bo ucieczka juniora byłaby pożywką dla amerykańskich propagandzistów.

Tymczasem Oleg kupił sobie w sklepie przy basenie okulary przeciwsłoneczne. Wolny czas spędzał głównie na opalaniu się i pływaniu. Na dwie godziny przed rozpoczęciem rozgrywek organizatorów i zawodników spotkało ogromne rozczarowanie: Zimmerman poinformował, że wystąpi wyłącznie w jednej partii, przeciwko zawodnikowi prowadzącemu w turnieju, i zagra białym kolorem. Postawił też dodatkowy warunek: jeśli pokona wspomnianego lidera, to jemu zostanie przyznane miano zwycięzcy całego turnieju. Antonow, rzecz jasna, stracił nadzieję na partię z mistrzem świata. Ale w sumie było mu to obojętne. Luksus, jaki go otaczał, leniwy hotelowy nastrój, doskonałe jedzenie – to wszystko sprawiało, że był ogromnie szczęśliwy z powodu przyjazdu do Ameryki. I jakby pod wpływem tego przyjemnego luzu, który go ogarnął, zaczęły dziać się cuda... Wygrywał. Po prostu pokonywał kolejno jednego gracza za drugim, a robił to z taką łatwością, jakby tańczył jive'a, a nie rozgrywał obronę sycylijską. Ani on, ani Bondariewski nie potrafili powiedzieć, dlaczego szło mu tak dobrze. Ale kiedy Oleg zorientował się, że minął półmetek zawodów, a on nadal wygrywa i zdecydowanie przewodzi stawce, zląkł się i w końcu zwierzył się Bondariewskiemu:

– Coś jest nie tak, zbyt łatwo mi idzie – wyznał zaniepokojony.

Bondariewski się zasepił. Przez chwilę dumał, chodząc po pokoju. W końcu zatrzymał się i z poważną miną stwierdził:

– To sprawa polityczna. Chcą, żebyście wygrali i mieli okazję zagrać z Zimmermanem. Tak. Chcą, żeby Zimmerman pokonał was na oczach całego świata. Żeby upokorzył radzieckiego szachistę.

– Niby co? – zdumiał się Antonow. – Spisek światowy?

– Nie światowy, tylko amerykański. Wiedziałem, wiedziałem. Że też mnie to musi spotykać. Zrobią wszystko, żeby nas upokorzyć na oczach całego świata – ciągnął swoją spiskową teorię Bondariewski, wycierając zroszone potem czoło. – A ja odpowiem za to głową. Przecież to ja was wyciągnąłem jak królika z kapelusza.

– A, dziękuję, Władimirze Zacharowiczu.

– Za co mi dziękujecie? – obruszył się Bondariewski, nie wyczuwając kpiny w

słowach Olega.

– Za „królika”.

– Lepiej myślcie, co zrobić, bo obaj pójdziemy na dno.

Teoria o amerykańskim spisku jakoś nie przekonała Olega. Co spisek miał wspólnego z tym, że udawało mu się dostrzegać warianty, kombinacje w sposób – można by rzec – plastyczny, przestrzenny... Nie, to nie miało nic wspólnego z polityką. Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak góruje nad rywalami, musiała się kryć w nim samym. Ale chociaż marszczył czoło i drapał się po brodzie, nie potrafił znaleźć racjonalnego wytłumaczenia tego, co się działo. Więc dał sobie z tym spokój. Delektował się wygodnym łóżkiem, bawił urządzeniem do rozsuwania zasłon, leżał godzinami w wannie, rozkochał się w grze w kręgle i darmowych drinkach, które zapewniali organizatorzy.

Bondariewski nie mógł spać, odkąd dostał z Moskwy faks, że ma zrobić wszystko, by młodzik nie stracił prowadzenia i nie przegrał z Zimmermanem. Ale co niby miał zrobić?

Zapukał do pokoju Antonowa.

– Wszędzie was szukam! – zagrział, gdy w końcu Oleg otworzył mu drzwi, przepasany ręcznikiem. – Mam nadzieję, że spędziliście ten dzień, przygotowując się do finałowej partii. A co, jeśli zagracie z Zimmermanem?

– Martwicie się o Amerykańca, Władimirze Zacharowiczu? – zadrwił Oleg. – No pewnie śledzi turniej i widzi, z kim mu przyjdzie zagrać. Może w ostatniej chwili stchórzy.

– Nie błaznujcie! – Bondariewski się rozgniewał. – Dlaczego mnie to spotyka?! – Wzniósł ręce w bezsilnym geście.

– Kogoś z góry przywołujecie na pomoc, Władimirze Zacharowiczu? – docinał mu dalej Oleg.

– Nie możecie przegrać! Pod żadnym pozorem – zagroził Bondariewski. – A jak to się skończy, to chyba pójde do cerkwi zapalić świecę – dodał półgłosem do siebie.

Oleg wzruszył ramionami i wszedł do łazienki, żeby się ubrać.

– Pomyślcie o ojczyźnie, to doda wam odwagi! – krzyknął z korytarza Bondariewski, zamykając za sobą drzwi.

Ale Oleg nie chciał myśleć o ojczyźnie. Przyglądał się w lustrze literze „T” wytatuowanej na opalonej piersi.

Nowy Jork, lipiec 1984

Janet męczyła się z artykułem. Nie dotarła ani do hokeistów, ani do bokserów. Pozostawał jej jedynie szachista z Moskwy. Czuła, że zbliża się katastrofa.

– Janet! – krzyknął Mike Nichols z działu ekonomicznego. – Dzwonią do ciebie z Nowego Orleanu.

Kiedy sięgnęła po słuchawkę, którą trzymał Mike, zastanawiała się, kto z Nowego Orleanu może mieć do niej sprawę.

– Ale jazda! – usłyszała podekscytowany głos dyrektora turnieju szachowego. – Właśnie mistrz Anglii poddał partię z tym sowieckim młodzikiem, który nawet nie jest jeszcze arcymistrzem.

– Czemu pan dzwoni? – spytała zirytowana Janet.

– Ten Rosjanin ograł już siedmiu najsilniejszych graczy z Zachodu. Znosi się, że jutro wygra turniej i zagra z Zimmermanem.

– Przylatuję najbliższym samolotem – odrzekła zdecydowanym głosem dziennikarka.

Intuicja podpowiedziała Janet, że to może być jednak ciekawy temat. Kim jest ten młodzieniec zza żelaznej kurtyny? Wyobraziła go sobie w mundurze pioniera. Mundur skojarzył się jej z wojskiem, a potem pomyślała o Jimie, o jego śmierci i znienawidziła sowieckiego pioniera całym sercem. Nienawidziła tej obłudy radzieckich ambasadorów, wiecznie podkreślających swoją troskę o pokój, gdy jednocześnie napadali na Afganistan, zabijali Jima i prawie trzystu niewinnych pasażerów na pokładzie samolotu pasażerskiego. Znenawidziła pieprzonego ruskiego szachistę, kimkolwiek był, jego pochrzanioną moralność, wierność partii i kłamstwa, którymi na pewno był przesiąknięty.

Lecąc samolotem do Nowego Orleanu, myślę, kim jest ten „wytwór” radzieckiego sportu, radzieckiej szkoły szachowej. Wiem, że Sowieci w swojej hipokryzji postanowili nie zlekceważyć wydarzenia związanego z rocznicą śmierci pierwszego mistrza świata Paula Morphy’ego, tak samo jak z przewrotnym i niezrozumiałym uwielbieniem podchodzą do innego szachowego geniusza – Aleksandra Alechina. Ale jednocześnie musieli wymyślić jakąś sztuczkę. Nie przystali więc żadnego znaczącego arcymistrza, żadnego medalisty ostatnich mistrzostw Związku Radzieckiego. To dla nich typowe. Udawana poprawność, a w istocie pogarda dla innych. Dlaczego Sowieci przystali akurat tego szachistę? Jakich tricków go nauczono? Jakie otrzymał instrukcje? Czy wyuczył się na pamięć odpowiedzi na niewygodne pytania? Czy rzeczywiście wierzy w komunizm? Nic o nim nie wiem, a przybył w tym czasie do Stanów

Zjednoczonych jako jedyny radziecki sportowiec. Staram się nie być uprzedzona, staram się myśleć o nim w sposób jak najbardziej obiektywny.

Janet trafiła na dzień przerwy w turnieju spowodowany oczekiwaniem na przybycie Zimmermana. Dojeżdżając taksówką do hotelu, zdała sobie sprawę, że nikogo nie spytała, jak właściwie wygląda ten Rosjanin. Aby nie marnować czasu, przeprowadziła kilka wywiadów o dotychczasowym przebiegu turnieju, o rozegranych partiach, o grze zwycięzcy – Olega Antonowa. Rozpakowała się. Ustawiła na stoliku małą maszynę do pisania. Usiadła, wkręciła w rolkę papier i w tym momencie pomyślała, że dla czytelnika „New York Timesa” taki szachowy turniej to zapewne abstrakcja, nikt nic z tego nie zrozumie, podobnie zresztą jak ona. Wpadła w złość. W końcu, co ciekawego można napisać o szachach albo o szachistach? – myślała, przeklinając. Wypiła kilka łyków bourbona z piersiówki i przymierzyła się do wstępu: *Szachista kryje w sobie...*

– Nie. – Skrzywiła się.

Umysł szachisty...

– Sztampa... – podsumowała, wyrzucając kartkę do kosza. Opróżniła buteleczkę z bourbonem. Uspokoila myśli. Wzięła głęboki oddech. Zaczęła od nowa:

Dla Rosjan szachy są sportem narodowym...

Jej palce sprawnie poruszały się po klawiaturze maszyny.

Ciekawe więc, co może czuć ten młody człowiek, wystawiony przez swoje władze do nierównego pojedynku, wiedząc, że cały kraj liczy na jego zwycięstwo? Przecież musi zdawać sobie sprawę, że w rywalizacji z mistrzem świata jego szanse są minimalne. Ma swoją dumę, swoje nadzieje. Ale kto by się tym przejmował tam, w Moskwie? Typowo sowiecki sposób podejścia do ludzi. Zaintrygowała mnie postać tego szachisty. Na razie nie miałam okazji z nim porozmawiać. Wyobrażam go sobie jako człowieka przerażonego odpowiedzialnością, którą na niego zrzucano. Nie mogę się doczekać spotkania z nim. Ale czy uda nam się zamienić choć kilka słów? Bardzo prawdopodobne, że nie zna angielskiego. A gdyby nawet mówił w naszym języku, od rozmowy wykręci się prostym: „nie wolno mi, nie mam takich instrukcji”. Jeśli jednak będę miała możliwość porozmawiać z nim, obiecuję, że pomogę wam go poznać, zrozumieć, z jakimi nadziejami tu przyjechał, co myśli o Ameryce. Zrobię, co w mojej mocy, żebyście nie usłyszeli sztamkowych odpowiedzi przygotowanych dla niego przez jakiegoś politycznego cenzora. Jeżeli mi się to nie uda, obiecuję, że oszczędzę wam informacji, iż usłyszałam od niego tezę, którą karmi swoich obywateli radziecka propaganda: „Ameryka to kraj nierówności społecznych, więc nie mam czym się zachwycić”.

Janet przerwała pisanie. Posmutniała. Nalała sobie dużą porcję bourbona z

buteleczki wyjętej z minibaru. Brzydziła się tymi młodymi ludźmi pozbawionymi kręgosłupa moralnego. Wyobraziła sobie chuderlawego wyrostka, pozbawionego własnego zdania, zależnionego, którego siłą posadzono naprzeciwko mistrza świata, wystawiono jak zwierzynę do upolowania. Wzięła do ręki listę zawodników, odnalazła nazwisko reprezentanta ZSRR: Oleg Antonow.

– Oleg Antonow – powtórzyła pod nosem, by zapamiętać, gdy będzie o niego pytać w recepcji, i powróciła do pisania.

Antonow ma jutro zagrać z Zimmermanem. Cały świat wstrzymuje oddech. Kolejny raz dochodzi do pojedynku amerykańskiego mistrza świata z przedstawicielem radzieckiej szkoły szachowej. To dla Rosjan niezwykle prestiżowe wydarzenie. Myślę, że nagle w Moskwie zdano sobie sprawę, iż popełniono błąd, wysyłając żółtodzioba.

Janet zrobiła sobie notatki. Do artykułu postanowiła dodać dokładny opis partii, opis spotkania z ekscentrycznym Zimmermanem, wraz z jego życiorysem, od czasu, gdy jego rodzice wyemigrowali z Niemiec do USA.

W końcu wstała, wzięła prysznic, przebrała się i wyszła, by odnaleźć Rosjanina.

W recepcji przedstawiła się jako dziennikarka, z którą był umówiony Antonow. Kierownik recepcji zaprowadził ją pod drzwi pokoju radzieckiego szachisty. Zapukał. Nikt nie odpowiedział. Upewnił się, czy na pewno na tę godzinę miała wyznaczone spotkanie. Gdy potwierdziła, zaniepokojony otworzył drzwi, by sprawdzić, czy z gościem jest wszystko w porządku. Pokój był pusty. Janet zdążyła zlustrować rzeczy Rosjanina. Tandetny granatowy garnitur na wieszaku. Małe szachy rozstawione na stoliku nocnym. Zaintrygowało ją stojące obok nich zdjęcie boksera. Kierownik recepcji wyprosił ją uprzejmie, acz zdecydowanie. Była zła. Chciała przyjrzeć się zdjęciu. Skąd bokser? – zastanawiała się, pierwszy raz czując, że ten szachista może być kimś więcej niż papierową postacią wziętą wprost z propagandowych książeczek dla pionierów. Poszła do baru na drinka. Od czasu śmierci Jima piła więcej, tak jakby z jego odejściem odeszła część jej pewności siebie i potrzebowała alkoholu, by pisać swobodniej, czasem z nutką prowokacji. Po pierwszej szklaneczce poprosiła o drugą. Dopiero po niej poczuła się rozluźniona. Z trzecią, z umysłem lekko zmaconym bourbonem, wyszła na patio, przy którym znajdował się basen. Rozejrzała się dookoła. Kilku emerytów, matki z rozkrzyczanymi dziećmi. Odwróciła się na pięcie. Na lewo od baru znajdował się duży balkon, na który wchodziło się po kilku stromych stopniach.

Nie dla bachorów, pomyślała i postanowiła ukryć się tam ze swoim drinkiem.

Schody okazały się niezbyt przyjazne nie tylko dla „bachorów”, ale również dla niej. O mało nie potknęła się w swoich butach na obcasach. Ale uratowała drinka, trzymając szklanekę ponad głową.

– Nie wylałam ani kropli – rzuciła do opalonego młodzieńca, który przyglądał się całej scenie.

– Widziałem – przytaknął, wypowiadając słowa z wyraźnym europejskim

akcentem.

Janet przeszła wzdłuż patio. Wyrzała przez barierkę. Młodzieniec usiadł w gotowości, na wypadek gdyby musiał ją złapać, ponieważ chwiała się na nogach. Wróciła lekko zdezorientowana i usiadła na leżaku obok.

– Pieprzę tych szachistów, mojej skórze brakuje słońca – rzuciła do niego, śmiejąc się. – Pociągnęła łyk, odstawiła szklanę, po czym zsunęła koszulkę koloru khaki i została w staniku od bikini.

– Myślałem, że jesteś żołnierzem – odezwał się młodzieniec.

Otworzyła jedno oko i spojrzała na niego.

– Odbiło ci? – odrzekła, ponownie zamykając oko.

Chłopak zamilkł, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Janet wybuchła śmiechem i nie otwierając oczu, chichotała chwilę, po czym zapytała:

– Europejczyk?

– Tak – odrzekł speszonym tonem, jakby wstydział się, że jego akcent to zdradził.

Dopiła drinka i poczuła się kompletnie pijana. Popatrzyła na niego gwałtownie. Dostrzegła, jak pod wpływem jej wzroku napina klatkę piersiową. Był ładnie zbudowany. Zdjął ciemne okulary. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Zajrzała mu w oczy.

– No, nie, nie, nie. – Zaśmiała się. – I łapiesz w tej swojej Europie dziewczyny na to spojrzenie?

Zdziwił się i zmieszał.

– No i co, Europejczyku? Chcesz mnie tu zbałamucić? Mnie? Porządną amerykańską dziewczynę?

– Mhm – przytaknął z tajemniczym uśmiechem młodzieniec.

– Ha, nawet przydałoby się. – Ziewnęła. – Ostatni raz bzykanko miałam z pół roku temu. Walter miał przedwczesny wytrysk. I tak to była mizerota.

Młodzieniec przełknął głośno ślinę, jakby zaschło mu w gardle.

– Nie przejmuj się, jestem pijana. – Janet machnęła ręką. – Szybko się wstawiam, jak jestem zmęczona. Musiałam wcześniej wstać, żeby zdążyć na samolot. Jestem tu w pracy. – Podniosła szklanę w jego kierunku, po czym dopiła bourbona. – Nie przyniósłbyś mi jeszcze jednej?

Młodzieniec włożył płaszcz kąpielowy i poszedł do baru.

– Kurwa – szepnęła Janet. – Ładne ma ciało – mruknęła, odprowadzając go wzrokiem. – No dobra, idę, nim się zakręcę. – Chwyciła koszulkę i naciągnęła na siebie.

Minęła Europejczyka w drzwiach.

– Drinki – rzekł do niej zdziwiony, widząc, że go opuszcza.

– Słodki jesteś, ale idę szukać pieprzonych szachistów.

– Szachistów? Jakich szachistów? – nie dawał za wygraną, idąc za nią ze szklankami w obu dłoniach. – Kogo szukasz konkretnie? Zimmermana?

Przystanąła i obejrzała się zdziwiona.

– Szukasz Zimmermana? – powtórzył pytanie.

– Akurat nie jego. Szukam jednego Ruska. Komuchy przysłały go na ten turniej i mam o tym zrobić artykuł. Jestem dziennikarką „New York Timesa”. Janet Wyatt. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Bent Petersen, jestem szachistą i grałem w tym turnieju. – Uśmiechnął się do niej, a widząc wyciągniętą dłoń, dodał: – Odstawię. – Postawił drinki na stole, wytarł dłoń o szlafrok i podał ją Janet.

– No dobra, wypiję z tobą, ale jak się urznę, masz zawołać gościa z recepcji, a nie odprowadzać mnie do pokoju. – Podniosła palec, by uświadomić mu, że mówi serio. – Nie chcę się jutro obudzić ze Szwedem czy Duńczykiem w jednym łóżku. Skąd jesteś?

– Dania.

Usiedli.

– Nie wyglądasz na szachistę.

– Ćwiczę trochę boks.

– Żartujesz sobie? Jak to boks? Widziałam właśnie zdjęcie boksera w pokoju tego Ruska!

– W pokoju? – zdziwił się.

– Tylko tss. – Położyła mu palec na ustach, a on odruchowo rozchylił je, jakby chciał go pochwycić wargami.

Dostrzegła to i przez chwilę zastygła, spoglądając mu w oczy, po czym powolnym ruchem cofnęła rękę. Pili w milczeniu. Ona niedbale rozglądała się po sali. On na próżno szukał słów, którymi mógłby poprowadzić rozmowę. W końcu Janet przerwała ciszę.

– O czym mówiliśmy? – odezwała się, spoglądając na jego tatuaż.

Przykrył go, lekko zmieszany, przed jej wzrokiem.

– Rozmawialiśmy o rosyjskim szachiście.

– A tak. Skoro grałeś w tym turnieju, w co ciągle wątpię, to pewnie go znasz.

– Znam. Gra czarnymi wariant Scheveningen w obronie sycylijskiej lub w obronie Grünfelda. Jeśli ma biały kolor, wybiera partię katalońską.

Przymrużyła oczy, zastanawiając się, czy blefuje, korzystając z jej nieznamości szachów, czy też naprawdę jest przystojnym, wysportowanym szachistą z Europy. Jak on ma, do cholery, na imię?

– Słuchaj, Hamlecie – zaczęła – skoro jesteś szachistą, to opowiedz mi o tamtym komuchu. Ty, niestety, nie stanowisz interesującego tematu. – Stuknęła się z nim szklaneczką. – Jak wygląda? Zna angielski? Graliście ze sobą? Często ze sobą rozmawiacie? Dlaczego wybrali właśnie jego? Opowiadaj. Kim jest ten bokser na zdjęciu?

– To jego ojciec, zdobył srebrny medal na igrzyskach w Meksyku. Przegrał w finale z Foremanem.

– Ja cię pieprzę! – Janet się ucieszyła.

– No... jeszcze nie. – Uśmiechnął się zalotnie.

– Hamlet, wiesz, dlaczego ten Ruski wygrywa, a ty nie? Ktoś ma nad tobą większą władzę niż twój rozum.

– Kto? – zaniepokoił się.

– Zajrzyj do swoich spodenek. – Zachichotała ze swojego cienkiego żartu.

– Mm, nie tylko nade mną potrafi zdobyć władzę.

– Uuu, szachista. Daruj sobie – skarciła go. – Mówisz, syn boksera? A dlaczego właśnie jego przysłali? Ponoć wcześniej wcale nie był znany.

– Ale jest diabelnie zdolny, dostrzegli talent i dali mu szansę.

– To twoja teoria – skomentowała sceptycznie. – Osobiście uważam, że przysłali dupka, by Zimmerman nie ograł któregoś z ich najlepszych szachistów.

– To czemu ten dupek wygrał turniej? – obruszył się młodzieniec.

– No tak. – Janet pokiwała głową. – To niespodzianka. Dobra dziennikarska niespodzianka. Bo dzięki temu jest o czym pisać. Choć nienawidzę komuchów, gdyby wygrał z Zimmermanem, jeszcze bardziej byłoby o czym pisać.

– Wszystko jest możliwe. Gra fenomenalnie. A dodatkowo, z tego, co wiem, przygotowuje pułapkę na Zimmermana.

– Jaką pułapkę? Szachową? – Czuła, że alkohol coraz mocniej uderza jej do głowy.

– Zagrać wczesne d5 w obronie sycylijskiej przeciwko ulubionemu wariantowi Zimmermana: atakowi Sozina.

– A co to za pułapka, którą nawet ty znasz? – Zaśmiała się lekceważąco. – Opowiedz mi coś więcej o samym Antonowie.

– Dlaczego „New York Times” interesuje się Antonowem?

– Dobre pytanie. – Znowu pokiwała głową, a potem wypila ostatni łyk bourbona i ze smutkiem przyjrzała się pustej szklance. – W pewnym sensie w ogóle się nim nie interesuje. Bo nie ma kim. Jakiś mydłkowaty komuch. Chociaż powiem ci, że tym ojcem bokserem mnie zaintrygowałeś. Tak czy inaczej, wszystko wskazuje na to, że to jedyny sowiecki sportowiec, który odwiedza teraz Stany Zjednoczone.

– Tylko dlatego jest interesujący? – zapytał młodzieniec zmartwionym tonem.

– Tylko. – Janet nie pozostawiła mu złudzeń, podpierając opadającą sennie głowę.

– A szkoda. Bo na pewno warto się nim zainteresować z wielu innych powodów. Jest geniuszem, bez dwóch zdań.

– Na czym polega jego geniusz? – spytała niedbale. – I czemu wciąż gapisz się na moje usta?

– Gapię?

– Taaa. Bez przerwy.

Młodzieniec nadal na nią spoglądał. Nie podobała mu się, ale miał jakąś zniewalającą pokusę, aby ją pocałować. Nie wiedział, czy to dlatego, że była Amerykanką, pewną siebie dziennikarką, czy po prostu pragnął kobiety, bo był w takim wieku. Uśmiechał się, spoglądając na nią, kiedy zadawała pytania. Nagle się nachylił i pocałował ją: miękko, bez pośpiechu, głęboko.

Znieruchomiała. Kiedy odchylił się z wyrazem triumfu, otrząsnęła się.

– A teraz mogę opowiedzieć o twoim rosyjskim szachiście – rzekł aksamitnym tonem, który nie przypominał głosu chłopca, lecz brzmiał niezwykle męsko.

Wzięła głęboki oddech.

– No to mów, jak wygląda? – rzuciła, choć wciąż myślała o pocałunku. Zaprzagnęła, by to powtórzył.

– Jak wygląda? Nie potrafię ocenić. – Uśmiechnął się tajemniczo. Między nimi wytworzyła się przedziwna energia. – Może się podobać kobietom. Tak przypuszczam.

Janet się zaśmiała.

– Co to za znak masz na piersi? – spytała, rozchylając poły jego płaszcza kąpielowego i dotykając jego torsu. – To jakiś skandynawski krzyż lub symbol?

– Tak. To skandynawski symbol płodności.

Spojrzała w jego oczy, nie cofając ręki.

– Tam w Danii lubicie wyrafinowane zabawy z językiem?

– Mhm.

– Słuchaj no, Hamlecie, jestem pijana i czas na dziś skończyć. I powiem ci jeszcze, że chyba zmieniłam zdanie, i mam ochotę, żebyś odprowadził mnie do pokoju.

Następnego dnia podczas śniadania pojawił się Zimmerman w otoczeniu kamer. Antonow, spoglądając na niego, miał gęsią skórkę. Amerykanin usiadł z dala od innych, z kilkoma osobami, które nie odstępowały go na krok. Oleg

przyglądał mu się uważnie. Zimmerman sylwetką przypominał hollywoodzkiego aktora: wysoki, szczupły, z elegancko ułożonymi włosami i uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów. Biła od niego pewność siebie. Kiedy wychodził z restauracji, nie przejmował się zbytnio fotografami, których aparaty błyskały fleszami, ani dziennikarzami, którzy podsuwali mu pod usta mikrofony. Z uśmiechem godnym polityka przeszedł wzdłuż tego szpaleru i zniknął w windzie.

Przebierając się w pokoju, Antonow krążył myślami wokół tego, co ma zagrać, usiłował przypomnieć sobie sekwencję posunięć. Starał się opanować stres. Z trudem zapiął błękitną koszulę. Włożył świeżo kupione džinsy i marynarkę. Spojrzał na siebie w lustrze. Wyglądał okropnie. Przygarbiony, z lękiem wymalowanym na twarzy.

– No nie. Tak nie pokonasz Zimmermana – szepnął do siebie.

Odwrócił się plecami do lustra, dwa razy chlasnął się w twarz z obu stron, a potem się wyprostował, zatoczył krąg głową, rozluźniając mięśnie karku. Odwrócił do lustra. Wyglądał już inaczej. Przyjął pozycję boksera.

– Chodź tu, kurwa – syknął przez zaciśnięte zęby do swego odbicia w lustrze. – Chcesz się zmierzyć z mistrzem? Dostaniesz wpierdol, popaprany Amerykańcu.

Idąc do windy, chwiał się na boki niczym bokser, od czasu do czasu wyprowadzając ciosy jak podczas walki z cieniem. Na parterze przy windzie spotkał Bondariewskiego.

– Tylko nie rzucajcie ręcznika, nawet jakbym przez chwilę leżał na deskach. – Oleg zaśmiał się i wykonał ruch pięściarza podnoszącego ręce do gardy, czym wprowadził Bondariewskiego w osłupienie.

Zimmerman spóźnił się dziesięć minut. Podając Olegowi rękę, pozował do zdjęć. Zagrał pionem królewskim. Antonow poczuł przyływ gwałtownych emocji. Mógł zagrać obronę sycylijską i podarowany przez Czerkasowa wariant. Cierpliwie powtarzał wyuczone na pamięć posunięcia, spoglądając, jak pewny siebie Amerykanin krok po kroku zbliża się do pozycji, w której przygotowana została nowinka. Aż wreszcie nastąpiło uderzenie. Na widok planu gry czarnych na twarzy Amerykanina pojawiło się maksymalne skupienie. Antonow poczuł niepokój. Nie chciał wierzyć, że może pokonać wielkiego Zimmermana, że mistrz świata da się złapać na wariant opracowany przez nieznanego szachistę i nie znajdzie czegoś, co za chwilę, po kilku posunięciach, obali zamysł czarnych. W tej atmosferze ogarniających go wątpliwości Oleg zląkł się, że się wygłupił, polegając na wariacie opracowanym przez zawiadowcę stacji, i zapewne zostanie ukarany za swoją lekkomyślność. Na razie jednak nic takiego poza obrazami tworzonymi przez wyobraźnię Antonowa nie następowało. Na szachownicy białe figury Zimmermana nadal stały przed poważnymi problemami do rozwiązania. Amerykanin wykonał wprawdzie bardzo dobre posunięcia, wymienił królowe, uprościł pozycję i stworzył sobie duże szanse na uratowanie partii. I w tym właśnie momencie Antonow, nieoczekiwanie dla wszystkich obserwatorów,

zapropował remis. Zimmerman spojrział na niego zdziwiony, wyrwany ze swojego świata, i odrzekł niedbale: „Jeszcze nie teraz...”.

Olega ogarnęła złość. Czuł, że ma lepszą pozycję i że Amerykanin nie powinien mu odmówić. Więc czemu to zrobił? Czemu nie przyjął remis? Przypomniał sobie, jak w wielu, wydawałoby się, wyrównanych pozycjach, przeciwnicy Zimmermana sami popełniali błędy, które decydowały o ich porażce. Wróciła mobilizacja. Zagłębił się na całe pół godziny w rozważaniach, badając ustawienie pionów na szachownicy i starając się wniknąć całkowicie w pozycję. Po tej analizie zrozumiał, dlaczego Zimmerman liczył, że przy odrobinie szczęścia uda mu się osiągnąć wygraną. Plan Amerykanina był brutalnie prosty: wtargnąć swoją wieżą na tyły pozycji Antonowa i próbować dokonać tam spustoszenia. Ale wyglądało na to, że po prostu nie docenił możliwej odpowiedzi, jaką dysponował Oleg. Młodzieniec wykonał posunięcie, zamykając wieżę przeciwnika w pułapce, i szepnął w kierunku mistrza świata: „Już nie...”. Potem szybko wstał od stolika i zaczął spacerować po scenie, obserwując w skupieniu zachowanie Zimmermana.

Było jasne, że Amerykanin jest w opałach. Musiał poświęcić wieżę i wymienić ją na słabszą figurę, jaką był goniec Antonowa. Teraz Rosjanin, który ponownie usiadł za szachownicą, zaczął krok po kroku realizować zdobytą przewagę, coraz bardziej spychając mistrza świata do rozpaczliwej obrony. I kiedy sytuacja zaczęła wymagać od niego maksimum precyzji, Antonowa sparaliżowało napięcie. Stres spowodowany myślą, że może wygrać, zaczął odbierać mu pewność siebie i trzeźwość oceny pozycji. Dwa słabe, zbyt niecierpliwie posunięcia niemal nie pozbawiły go szans na wygraną. Pośród szumu myśli wydobył z pamięci poradę Zwierewa: „W takich sytuacjach mądry arcymistrz robi pauzę”. Antonow zerwał się z krzesła i wyszedł z sali.

Janet była wściekła na siebie, że zasnęła. Zdążyła tylko zjeść croissanta i popić go szybką kawą na stojąco. Wbiegła do holu prowadzącego do sali gier i nagle stanęła zaciekawiona. Przez szyby korytarza dostrzegła nad basenem młodzieńca, którego spotkała wczoraj. Widziała, jak zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do basenu. Szybkimi ruchami zagarniał wodę, płynąc kraulem. Zamiast biec dalej, Janet stała oczarowana i czuła coś w rodzaju erotycznej ekscytacji. Młodzieniec podpłynął do krawędzi basenu i wyskoczył z niego, podciągając się na rękach. Lekko wytarł się pierwszym znalezionym ręcznikiem, włożył spodnie oraz koszulę i z mokrymi jeszcze włosami, z marynarką przerzuconą przez ramię przeszedł miękko obok, nie wiedząc, że Janet obserwuje go zza szyby. Miał dziwny wyraz twarzy, pełen skupienia, energii, charyzmy. Zupełnie inaczej niż wczoraj jego wzrok podążał za horyzont, daleko, przed siebie. Biła od niego zniewalająca siła, która wręcz owiała ją niczym podmuch wiatru.

Janet weszła za nim do sali. Na scenie ujrzała stolik, przy którym siedziało dwóch graczy: Zimmerman i młodzieniec z Danii. Z mokrymi po kąpieli włosami

nachylał się nad szachownicą, obok której stała tabliczka z napisem: „Oleg Antonow”.

Kiedy Oleg usiadł ponownie do stolika, Zimmerman spojrzął na niego, nie rozumiejąc, skąd ta nagła przemiana u przeciwnika, który patrzył mu teraz odważnie prosto w oczy z beczelnym uśmiechem na twarzy. Amerykanin przez dwadzieścia kilka minut myślał nad posunięciem, które nie wymagało aż tak wiele analizy. Widać było, że mistrz świata zdał sobie sprawę z nieuchronności przegranej. Obu graczom pozostały na kolejne posunięcia już tylko sekundy. Zimmerman pomylił się. Jego pion znajdował się zbyt daleko od króla, który mógłby go ochronić, i stał się łatwą zdobyczą. Wraz z czterdziestym posunięciem dotarli do kontroli czasu. Przyjrzał się raz jeszcze pozycji, uznał, że w tej partii „zgrał się” i dalszy opór nie ma sensu. Wyciągając rękę w kierunku Antonowa, poddał partię.

W tym czasie noc okrywała Moskwę swoim ciemnym welonem. Zwieriew czuwał przy telefonie. Kiedy przyszła wiadomość, czuł, że serce może nie wytrzymać wzruszenia.

Okolo północy w mieszkaniu Antonowów zadzwonił telefon.

- Wybaczcie, Olgo Lwowna, późną porę, tu Zwieriew – mówił z trudem.
- Boże mój, co się stało? – Olga Lwowna się zaniepokoiła.
- Dzwonię, by powiedzieć, że Oleg wygrał z Zimmermanem. – Po chwili dodał:
- Musiałem zadzwonić, żeby podzielić się radością. Życzę miłej nocy.
- Dziękuję, Aleksandrze Władimirowiczu, dziękuję za dobre wieści, dobrze zrobiliście.

U Andrieja trwała impreza, kiedy zadzwonił telefon.

- Andriej?
- Tak. A tam kto?
- Ja, Oleg. Wygrałem z Zimmermanem! Wygrałem z nim!
- O cholera! Hej tam! – krzyknął Andriej do swoich gości. – Zamknijcie mordy, dzwoni z za wielkiej wody Bohater Związku Radzieckiego!

Po partii Antonow z trudem rozumiał, co się do niego mówi. Błyskały flesze. Janet zapewniła sobie pierwszeństwo wywiadu. Nagle świat obiegła sensacyjna wiadomość i wszystko zmieniło swój wymiar. Powrót Zimmermana miał być triumfalny, zakończył się jednak katastrofą, a media obwieściły narodziny nowej gwiazdy. W „New York Timesie” ukazał się artykuł następującej treści:

Kiedy Związek Radziecki ogłosił bojkot igrzysk olimpijskich w Los Angeles, rzekomo obawiając się o bezpieczeństwo swoich sportowców, byłam ciekawą, czy znajdzie się w Rosji choć jeden śmiałek, który przeleci ocean, by wziąć udział w zawodach sportowych na tak niebezpiecznej dla radzieckich sportowców amerykańskiej ziemi. Szukałam cierpliwie kogoś takiego i uwierzcie mi, nie było to zadanie łatwe. W końcu znalazłam Rosjanina, który miał wziąć udział w turnieju, w dyscyplinie sportowej, na której się zupełnie nie znam, a która w Związku Radzieckim jest częścią kultury – w szachach. Turniej, na który przyjechał młody, nieznany bliżej na arenie międzynarodowej moskwianin, Oleg Antonow, był poświęcony pamięci pierwszego mistrza świata, amerykańskiego geniusza – Paula Morphy’ego. Choć nie byłam pewna, czy to dobry pomysł, postanowiłam przyjrzeć się z bliska tej imprezie, i wsiadłam w samolot do Nowego Orleanu. Jeszcze na lotnisku w Nowym Jorku przeszło mi przez myśl, że radziecki szachista pewnie okaże się nudną postacią i nie uda mi się sklecić na jego temat nawet zdania, które czytelnikom naszej gazety mogłoby wydać się ciekawe.

Samolot uniósł mnie ponad chmury, by zabrać nad Zatokę Meksykańską, gdzie rozgrywały się wydarzenia dla szachowego świata fascynujące. Wylądowałam w Nowym Orleanie i przez chwilę dane mi było obcować z szachami, z wielkimi szachami. Grą, której nie rozumiem, a która jednak potrafi być frapująca, o czym przekonałam się w czasie mojego krótkiego pobytu w tym mieście. Podczas turnieju doszło bowiem do dwóch niezwykle wydarzeń. Przede wszystkim mistrz świata, Robert Zimmerman, powrócił do profesjonalnych szachów. Ci, którzy śledzili błyskotliwą karierę naszego mistrza, wiedzą, że w ostatnim czasie wystawił on wielbicieli swego talentu na ciężką próbę. Ponad trzy lata milczenia, żadnej rozegranej partii, praktycznie pełna izolacja od świata – tak wyglądał sportowy dorobek Zimmermana. Miłośnicy szachów tracili powoli nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze ujrzą jego niezwykle pojedynki, szachową twórczość, jego niezapomniane posunięcia. Tymczasem tuż przed turniejem w Nowym Orleanie wybuchła sensacja: Zimmerman zgodził się rozegrać partię z liderem turnieju. Piszę: „liderem”, nie „zwycięzcą”, jako że warunkiem, jaki postawił Zimmerman organizatorom, było uznanie go za zwycięzcę turnieju w przypadku jego wygranej w tej jednej, jedynej partii. Ta ekscentryczna propozycja została przyjęta. Organizatorzy zrobiliby wszystko, byle tylko Zimmerman zaszczycił turniej swą grą. I tak się stało.

Ale chyba nikt nie mógł przewidzieć, że po dwóch tygodniach zmaganiń końcową tabelę turnieju będzie otwierać nazwisko nieznanego nikomu szachisty z ZSRR, który został tu przysłany wyłącznie jako cyniczny żart wobec organizatorów. Dwudziestego czwartego lipca o dziesiątej rano w hotelu Palace naprzeciw siebie usiedli do szachownicy aktualny mistrz świata Robert Zimmerman i dziewiętnastoletni student anglistyki z Rosji, nieposiadający nawet tytułu arcymistrza. Było w tej partii wszystko: polityka, duma narodowa, walka

charakterów, pojedynków ambicji i umysłów, śmierć króla i narodziny nowej gwiazdy.

Nie sądzę, by Antonow zdawał sobie sprawę, że jego występ ma jakiegokolwiek znaczenie polityczne. Nie sądzę, żeby władze szachowe w Moskwie wierzyły, że do takiego pojedynku może w ogóle dojść. Widząc ogromne zainteresowanie wynikiem tej partii w Związku Radzieckim, musieli wszakże zadać sobie pytanie, czy nie popełnili błędu, czy nie sprawili, że naród może poczuć się upokorzony ewentualną porażką.

Jadąc do Nowego Orleanu na spotkanie z młodym radzieckim szachistą, spodziewałam się spotkać wyrosniętego pioniera, który na większość pytań będzie odpowiadał wymijająco lub w ogóle nie udzielił odpowiedzi. Po tragicznej śmierci naszego redakcyjnego kolegi Jima Goldsteina, pasażera zestrzelonego barbarzyńsko przez Sowieców koreańskiego boeinga 747, nienawidziłam Rosjan. Przyznaję to i myślę, że te uczucia podzielała większość moich rodaków. Ale spotkanie z młodym radzieckim szachistą, Olegiem Antonowem, sprawiło, że nauczyłam się dostrzegać różnice. Wciąż czuję nienawiść do systemu komunistycznego i rządu, który ten system wspiera, ale zaczęłam zdawać sobie sprawę, że to uczucie nie musi być tożsame z negatywnymi emocjami wobec Rosjan. Antonow sprawił, że zaczęłam zadawać sobie pytanie, co tak naprawdę wiemy o ludziach zza żelaznej kurtyny. Wydają nam się obcy, inni, pozbawieni poczucia wolności, uczuć, poddani rygorowi, jaki dyktuje im państwo, pozbawieni wnętrza, które wyparła ideologia. My, ludzie z wolnego świata, myślimy o nich jak o przybyszach z innej planety. Obcych, do których czujemy uprzedzenie, być może pogardę. Kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że żywię wobec nich rodzaj pogardliwej wyższości, zrozumiałam, że niczym nie różnię się od ich schowanych za murami przywódców, którzy również odczuwają pogardę do swoich obywateli. Zamykając się na drugiego człowieka pod pretekstem różnic ideologicznych, różnic w pochodzeniu, majątku, stajemy w jednym rzędzie z poplecznikami apartheidu w Południowej Afryce, fanatykami religijnymi, którzy zabijają drugiego człowieka, myśląc, że czczą tym swojego Boga, antysemitami, którzy chętnie przyłączyliby się do średniowiecznego pogromu, by wyrzucić z siebie frustrację.

Było lipcowe popołudnie, kiedy poznałam przybysza z tej tak dalekiej nam, Amerykanom, planety. Okazał się młodym, przystojnym, pełnym marzeń mężczyzną. Gdybym od pierwszej chwili wiedziała, że pochodzi ze Związku Radzieckiego, zapewne narosłaby we mnie agresja wobec niego. Jego dobra znajomość angielskiego sprawiła, że wzięłam go za kogoś z Europy Zachodniej. Kogoś podobnego do mnie, z kim po prostu miło spędziłam czas, czując się swobodnie, zaprzyjaźniając. Gdy używał słowa „rząd”, nie wiedziałam, że mówi o totalitarnym reżimie. Twierdził, że kocha wolność i że żaden rząd nie zamknie przestrzeni dla jego myśli, tak jak nie zamknie jej dla miłości, muzyki, sztuki, radości ze sportu czy nawet odurzania się czymkolwiek. Jego poglądy na temat

narkotyków wydały mi się zbyt liberalne.

Pomimo młodego wieku było w nim coś niezwykłego, coś, co sprawiało, że czuło się jego charyzmatyczną aurę. Kim może być kobieta, dla której straci głowę? – pomyślałam zaintrygowana i być może lekko zazdrosna.

Jego dystans do władzy, jej autorytetu czy siły przymusu skłoniły mnie do wysnucia wniosku, że w kraju, skąd pochodzi, ludzie muszą mieć poczucie własnej indywidualności. Kiedy potem ujrzałam przy jego szachowym stoliku czerwoną flagę z sierpem i młotem, nie uwierzyłam. Myślałam, że to żart, jakiś kawał. Ale to nie był dowcip, on rzeczywiście pochodził z kraju, który nasz prezydent słusznie określił mianem „imperium zła”. Partia skończyła się sensacyjną wygraną młodego Rosjanina. Wyobrażam sobie ten entuzjazm i dumę, jakie opanowały jego rodaków. Z dnia na dzień stał się ich bohaterem. Ale też z dnia na dzień stał się dla władzy kimś, komu trzeba się bacznie przyglądać, kto nie jest już anonimowy.

Antonow wrócił do kraju za żelazną kurtyną. Nie jestem naiwna jak Bernard Shaw, wiem, jak wygląda komunizm, wiem, czym jest gułag, wiem, że pogromca Zimmermana nie wrócił do wolnego kraju, do kraju, w którym władza szanuje swoich obywateli. Próbuję sobie wyobrazić, jak ten wesoły, pełen pasji, młody chłopak, odnajduje się w tamtej rzeczywistości. I przychodzi mi na myśl jedna refleksja – Rosja niebawem się przebudzi. Młodzi ludzie pokroju Olega Antonowa, ludzie o nowych horyzontach, pełni wewnętrznej siły i marzeń, rozsądzą skostniałe imperium. Gorąco w to wierzę...

Z Nowego Orleanu pisała dla was Janet Wyatt

Moskwa, 2 sierpnia 1984

Powrót do Moskwy dłużył się Antonowowi niemiłosiernie. W samolocie myślał o Janet, niemal gotów przyznać przed samym sobą, że jest w niej zakochany. Pragnął jej dotyku, bliskości. Nie wiedział, co go spotka po powrocie do kraju. Nie chciał wracać. Bał się, że to wszystko, co przeżył w Nowym Orleanie, pryśnie jak bańka mydlana, że nigdy więcej nie przeżyje tak niezwykłych chwil, jakie za sobą pozostawiał...

W hali przylotów lotniska międzynarodowego Szeremietiewo czekali na niego matka, dziadek Lowa, Zwieriew, Denisow i wujek Jurij Borisowicz.

– Co za komitet powitalny – rzucił ucieszony Oleg, całując matkę. – Dziękuję, dziadku, że przyjechałeś – zwrócił się do Lwa Mojsiejewicza. – Cześć, wujku. – Uścisnął dłoń Jurija Borisowicza.

Potem stanął naprzeciw Zwieriewa, uśmiechnął się i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „No, jakoś poszło. Chyba nie wypadłem najgorzej”.

Oczy Zwieriewa zaszklily się od łez. Nie powiedział nic, tylko mocno objął ucznia i po ojcowsku przytulił. Denisow spoglądał na to, drapiąc się po głowie, z miną, która świadczyła o tym, że doszedł właśnie do wniosku, iż wszystko jest w życiu możliwe i takich chwil nie ma co analizować, tylko należy przeczekać mętlik myśli i przetrwać wszystko z butelką stolicznej. I z taką właśnie myślą podszedł do Olega, poklepał po go policzku, po czym zwrócił się do Jurija Borisowicza:

– Zmieścę się na szóstego w waszej wołdze?

– Pewnie – przytaknął Jurij Borisowicz. – Ściśniemy się i zmieścimy.

– Nie będzie takiej potrzeby – wtrącił się chudy niski mężczyzna z małym wąsikiem, ubrany w kurtkę ze sztucznej czarnej skóry. – Mistrza i matkę wezmę do siebie.

– A wy kto? – Denisow zmarszczył brwi. – Czort jakiś czy co? Pojawia się taki znieścacka i ludzi straszy.

– Taksówkarz.

– Nie potrzebujemy – zachnął się Jurij Borisowicz.

– Kiedy kurs za darmo. Czekam tu od trzech godzin. Moje nazwisko Owieczkin.

– Słuchaj no, człowieku, po rosyjsku nie rozumiesz? – Denisow się zezłościł. – Coś się przyczepił jak rzep do psiego ogona?

– Tak, zabiorę mistrza, matkę i jeszcze jedno miejsce z przodu zostanie. Bohatera zawiozę do domu gratis.

– W takim razie – rzekł po namyśle Denisow – chwytaj, Owieczkin, bagaże mistrza i prowadź do swojej karocy. Aaa, nie masz tam przypadkiem, królu cygański, jakiejś buteleczki piwa? Upał diabelski.

Karoca okazała się ładą 1500, a Owieczkin miał przypadkiem w torbie butelkę piwa za pięć kopiejek, za co dostał pochwałę od Denisowa. Ale zanim zdążyli odjechać, podeszli do nich milicjanci.

– Boże jedyny – syknął Denisow, znowu rozeźlony. – Ci to każdą uroczystą chwilę potrafią człowiekowi zapaskudzić swoimi czerwonymi gębami.

Milicjant zapukał w tylną szybę. Oleg opuścił ją za pomocą korbki.

– Oleg Antonow?

– Tak – odrzekł niezdecydowanie.

– Czy można dostać autograf? – Milicjant wsunął przez okno blankiet do wystawiania mandatów i długopis.

Oleg podpisał się szybko i oddał blankiet. Milicjant obejrzał go dokładnie. Zamienił dwa zdania z kolegą.

– Pozwolicie, że was poeskortujemy? – Wsunął głowę do samochodu tak

niespodziewanie, że Denisow wylał sobie piwo na spodnie i zaklął pod nosem. – Dokąd? – rzucił do Owieczkina.

– Najlepiej do metra Sportiwnaja od prospektu Komsomolskiego, za Frunzienską. Potem poprowadzę dalej – wtrąciła się Olga Lwowna.

– No to ruszamy – zakomenderował ucieszony milicjant. – Podjedziecie do nas, tam stoimy. – Pokazał ręką.

Pojechali. Milicjanci pierwsi, za nimi łada Owieczkina, a kordon zamykała wołga Jurija Borisowicza. Od czasu do czasu milicjanci torowali drogę syreną i rozginali samochody na boki. Widocznie podali wiadomość dalej, bo na wysokości prospektu Kutuzowa za czarną wołgą pojawiły się jeszcze dwa radiowozy. Lew Mojsiejewicz spoglądał na nie przez tylną szybę, potem zerknął na siedzącego obok Zwieriewa, który nie przejmował się niczym i siedział nieruchomo, pogrążony we własnych myślach.

W samochodzie przed nimi Olga Lwowna popatrzyła na syna.

– Zmęczony?

– Tak. Długa podróż, długi lot.

– Zrobiłam ci pomidorową. Zjesz, potem pójdziesz spać. Wyśpisz się, wypoczniesz.

Kiedy podjechali pod blok, na chodniku stał tłumek ludzi, wśród których panowało wyraźne poruszenie.

– Pożar czy co? – Olga Lwowna rzuciła zaniepokojone spojrzenie w stronę budynku.

Gdy wysiedli, ludzie zaczęli bić brawo, a Oleg ujrzał rozwieszony nad wejściem transparent z napisem: „Witamy bohatera!”.

Owieczkin wyciągnął walizkę. Milicjanci szli obok Olega niczym obstawa. Córka sąsiadów, Rusłana, podała Olegowi trzy goździki i dygnęła. Powstał korowód. Idąc po schodach, Oleg zauważył, że żadne drzwi od mieszkania nie są zamknięte. Ba, mało tego, sąsiedzi z dołu wynieśli i ustawili na klatce schodowej krzesła i stół, na którym ich syn ustawiał butelki i szklanki. Zresztą podobnie było na ich piętrze, gdzie na stole stały nie tylko szklanki i butelki z wódką, ale także ciemny chleb pokrojony w kromki, sałatka jarzynowa, ogórki, pomidory i śledzie, pocięte na małe kawałki i polane odrobiną oliwy. Z góry popłynęła muzyka z radia albo gramofonu. Śpiewała Ludmiła Zykina.

– Pomóż mi chociaż powynosić krzesła – poprosiła syna Olga Lwowna, otwierając drzwi.

Po godzinie ich ciasne mieszkanko było pełne ludzi, którzy schodzili się zewsząd, żeby złożyć Olegowi gratulacje. W jego pokoju Zwieriew rozprawiał z Lwem Mojsiejewiczem, w korytarzu Owieczkin tańczył z córką sąsiadów z drugiej klatki. W pokoju gościnnym milicjanci pili w milczeniu, siedząc na kanapie z

Denisowem. Jurij Borisowicz pomagał Oldze Lwownie w kuchni.

Przez otwarte drzwi ludzie wchodzili i wychodzili. Przynosili wódkę i co tam mieli pod ręką. Grała głośno muzyka.

Oleg wychylił się przez okno, by odetchnąć chłodnym, wieczornym powietrzem. Wspominał Janet.

Andriej nie uwierzy, że kochałem się z Amerykanką, pomyślał. Może nie najładniejszą, ale zawsze Amerykanką.

Tymczasem na Kremlu wybuchła burza. Z dnia na dzień Antonow stał się bohaterem Związku Radzieckiego i jednocześnie jego wrogiem. Nie zdając sobie sprawy, że dolewa oliwy do ognia, Oleg udzielił jeszcze kilkunastu wywiadów najpoczytniejszym dziennikom z krajów zachodnich.

W swoim gabinecie na czwartym piętrze w budynku Sportkomitetu Gołubiew rzucił wściekły gazetą.

– Co to jest? To wasz bohater? – Pochylił się nad czasopismem i przeczytał: – „Wolnomyśliciel z Moskwy?”.

Bondariewski osłupiał.

– Teraz nie możemy mu nawet nic zrobić, jest chroniony przez miłość tłumów, przez zainteresowanie zachodnich mediów – grzmiał Gołubiew. – Nic, rozumiecie? Nic! Inaczej damy dowód niewdzięczności.

– Prowokacja jakaś? Narkotyki? – podrzucał pomysły Bondariewski.

– Nie gadajcie bzdur! – warknął Gołubiew. – To dopiero będzie afera. Mieliście go pilnować! Sami wymyśliliście, żeby go wysłać, a teraz co?

– Towarzyszu sekretarzu, już ja znajdę sposób, żeby o nim szybko zapomniano – mamrotał Bondariewski, który pierwszy raz w życiu widział Gołubiewa w ataku złości.

– Najpierw to ja z nim porozmawiam. – Gołubiew zaniósł się kaszlem. Usiadł w fotelu i zapalił papierosa.

Antonow otrzymał wezwanie jeszcze tego samego wieczoru. Rano miał stawić się w gabinecie Gołubiewa. Spodziewał się pochwał, obietnic i kto wie czego jeszcze. Tymczasem słowa sekretarza Sportkomitetu były jak zimny prysznic.

– Czy wiecie, że bez zgody przewodniczącego delegacji nie wolno nikomu udzielać wywiadów? – Gołubiew mówił spokojnym, lodowatym tonem, w którym słychać było jego doświadczenie jako prokuratora sądowego.

Oleg odpowiedział, że wie.

– A skąd znacie Amerykankę o nazwisku Janet Waytt?

– Janet Waytt? – powtórzył zdziwiony chłopak. – A co ona złego zrobiła?

– Znacie ten artykuł? – Gołubiew rzucił na biurko egzemplarz „New York Timesa”.

– Nie pamiętam, żebym tam udzielał jakichś wywiadów – rzekł stremowany Antonow, który zaczął domyślać się, o co chodzi. Nie miał jednak odwagi zajrzeć do środka gazety.

– Nie zrobicie więcej nic, na co nie udzielimy zgody. Zrozumieliście? – zapytał, nachylając się nad jego uchem, Gołubiew. W jego głosie słychać było groźbę.

Oleg milczał, po krzyżu przebiegł mu dreszcz. Nie chciał przytaknąć, by nie poczuć, że ma przetrącony kręgosłup.

– Pytam, czy zrozumieliście?

– Mówicie jasno, towarzyszu sekretarzu – odrzekł wymijająco, a „towarzysza sekretarza” dodał, by Gołubiew pomyślał, że tytułując go tak, wyraża pokorę.

– I mnie się wydaje, że trudno nie zrozumieć – zacharczał Gołubiew, nie będąc pewnym, co właściwie ma o nim myśleć.

Oleg uśmiechnął się niczym młody komsomolec, ufnie patrząc w oczy Gołubiewa, który usiadł za biurkiem i wpatrywał się teraz w jego twarz. Trwali tak przez moment. Oleg, nauczony różnych tricków, jakie stosowali jego szachowi przeciwnicy, wytrzymał to spojrzenie, przybierając maskę ufności i otwartości.

– Możecie iść – odezwał się sekretarz Sportkomitetu, przenosząc wzrok z twarzy Olega na stertę papierów na biurku. – Muszę napisać raport o tym, co się stało. I nie sprawiajcie więcej problemów, bo wygrana z Zimmermannem was nie uratuje.

– Do widzenia, towarzyszu sekretarzu – pożegnał się Oleg, zmierzając czym prędzej do wyjścia.

Sonata Leningradzka

Po rozczarowaniu, jakiego doznał w Nowym Orleanie, Zimmerman przysłał pożegnalny list, w którym poinformował, że porzuca szachy. Na końcu napisał: *Niech FIDE bierze sobie swój tytuł i da go, komu chce. Gra w ich meczach i turniejach już mnie nie interesuje. Jestem mistrzem i na zawsze nim pozostanę.*

W zaistniałej sytuacji Sportkomitet postanowił przedstawić Romancewa jako najlepszego szachistę planety. W Moskwie zaplanowano spotkanie z reżyserem, któremu postawiono zadanie nakręcenia o nim filmu. Jednak Romancew nie przyleciał. Gdy tylko dowiedział się o pogorszeniu stanu zdrowia Fomina, nie zważając na nic, odwołał lot do Moskwy i pojechał do szpitala. Zdążył. Siemion Abramowicz leżał podłączony do kroplówki. W jego oczach pojawiły się łzy, gdy ujrzał ulubionego ucznia. Romancew usiadł i złapał swojego drugiego ojca za rękę. Tak trwali w milczeniu, wiedząc, że niektóre chwile, podobnie jak partie szachowe, wymagają szczególnego subtelności wycucia i odwagi, by móc je przeprowadzić do końca.

Po powrocie do mieszkania Romancew nie zapalił światła. Włączył adapter i położył na krążku płytę z sonatą fortepianową Skriabina. Nalał kieliszek koniaku i usiadł na podłodze przy oknie balkonowym. Spoglądał na płynące po rzece statki, wspominał wszystkie chwile, kiedy pracowali do późna z Fominem nad pozycjami i kiedy podczas wygranych mistrzostw świata juniorów uczył go wiary w siebie, której tak bardzo chciał go pozbawić ojciec.

Zadzwoił telefon. Romancew wstał, ściszył muzykę i podniósł słuchawkę.

– Halo? – spytał spokojnym głosem.

– Dobry wieczór, Anatoliju Michajłowiczu – odezwał się silny niski głos. – Mówi Giennadij Trankl, reżyser filmu o was. Nie przyjechaliście do Moskwy, więc dzwonię, żeby ustalić szczegóły tego projektu.

– Tak, dobry wieczór. Nie mogłem przyjechać. Choroba bardzo bliskiego przyjaciela.

– Siemion Abramowicz?

– Tak.

– Jak on się czuje?

– Znacznie gorzej. Niestety, rak silnie uderzył. To już dni... – Gardło Romancewa ścisnęło ogromny żal.

– No tak, smutne. Nawet liczyłem, że nakręcę scenę, jak pracujecie razem. Szkoda. Przykre to wszystko. No, ale co można zrobić? Anatoliju Michajłowiczu, zdjęcia w przyszły wtorek, od samego świtu. Dzień wcześniej przyjedziemy z ekipą. A jutro wysyłam asystenta, żeby zrobił dokumentację miejsc.

– Rozumiem. Czyli mam na jutro zarezerwować dla niego czas?

– Tak, jak najbardziej. Czy możemy teraz chwilę porozmawiać? Chciałbym wam opowiedzieć, jak to widzę, i potwierdzić, czy moja wizja wam odpowiada.

– Oczywiście, możemy porozmawiać. – Romancew znów usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę.

– Więc roboczo nazwałem ten projekt *Sonatą Leningradzką*. Chodzi mi o połączenie waszej pasji do szachów z miłością do muzyki, do miasta. Zależy mi też na ukazaniu was w życiu prywatnym. Mówię „też”, żeby zaznaczyć, że szachy nie będą wyłącznym tematem. Jako arcymistrza wszyscy was znają, to już nie jest dla widza tak interesujące jak to, jacy jesteście prywatnie. Rzecz jasna damy trochę gry, trochę rozmów o szachach, odwiedzić klub, popracujecie z trenerami, może sfilmujemy jakąś szybką partię pokazową. Ale dla mnie jest ważne, żeby widz pokochał was nie tylko za osiągnięcia sportowe, żeby zobaczył, jak gracie na fortepianie, jak opowiadacie o astronomii. No i chciałbym, żebyście byli przewodnikiem po Leningradzie.

– Przewodnikiem?

– Tak, pokażecie nam Leningrad po swoim, taki subiektywny przewodnik, a w tle będziecie mówili o waszych emocjach związanych z miejscami, które odwiedzacie. Wybaczcie, Anatoliju Michajłowiczu, ale rozmawiałem na wasz temat z szachistami i z ludźmi z uczelni. Chciałem was poznać, przygotować się. Panuje powszechne przekonanie, że jesteście typem zamkniętym, samotnikiem i że ciężko się do was zbliżyć. Kogoś takiego niełatwo będzie ludziom zaakceptować, a przecież stajecie się jedną z ikon radzieckiego sportu i kultury. Dlatego chciałbym pokazać was jako kogoś pełnego emocji, kogoś, kto jest niejednoznaczny, wielowymiarowy. Czy jak dotąd was nie przestraszyłem?

– Nie, choć przyznaję, że nie tego się spodziewałem. Ale dobrze. Brzmi ciekawie. W końcu to wy jesteście twórcą, ja jedynie aktorem.

– W takim razie bardzo się cieszę. Będzie piękna muzyka, będą spotkania z ludźmi pracy, relacje z rodzicami, wreszcie spotkanie z kobietą.

– Kobieta? Macie na myśli moją matkę?

– Nie, nie, bynajmniej. Spotkanie z rodzicami to osobny temat. Będzie taka chwila. Może jakaś gra na fortepianie, rozmowa o muzyce, dyskusja z ojcem. Nie za dużo. Mówię o kobiecie, z którą spędzilibyście dzień, oczywiście przed kamerą, na potrzeby filmu. Wszystko chcę oprzeć na impresjach o was, niedopowiedzeniach, subtelnościach.

– A możecie dać jakiś przykład? – spytał rozbawiony tą wizją Romancew, opróżniając jednocześnie kieliszek koniaku. – Możecie to nieco przybliżyć, bo trudno mi to sobie teraz wyobrazić.

– Świt nad Newą. Słońce lekko unosi się nad horyzontem, przez ciemną tkaninę nieba przebijają się pojedyncze promienne blaski. W tle muzyka: Rachmaninow, adagio sostenuto z *Drugiego Koncertu fortepianowego*. Stoicie nad rzeką, wiatr lekko

mierzwi wam włosy. Przepływa statek. To moment, kiedy oddajecie się marzeniom, nie myślicie o szachach, nie myślicie o wariantach, debiutach, turniejach. Zastanawiacie się nad sobą, nad swoim miejscem na świecie, nad tą konkretną chwilą w waszym życiu. Może nadszedł czas, by podjąć jakąś decyzję. Z tej zadumy wyrывa was przypadkowy przechodzień. Podchodzi do was, muzyka staje się nieco cichsza. Podajecie sobie ręce na przywitanie, chwilę rozmawiacie. Mężczyzna odchodzi, znów pozostawiając was samych. Spacerujecie nad Newą, nad którą weszło słońce i jego blask rozświetla taflę rzeki, sprawiając, że iskrzy niczym kolia diamentów. Wchodzicie do dobrze wam znanej kawiarni. Prowadzi ją ów mężczyzna, z którym przed chwilą rozmawialiście. Siadacie w ustronnym miejscu i czekając, próbujeecie przeglądać poranną gazetę. Wchodzi ona. Jest ubrana w jasny trencz, włosy ma spięte do góry, delikatny makijaż. Jest przecież wcześniej rano. Siada naprzeciwko was. Kelner nie pyta, co podać, bo spotykacie się tu często o poranku. Sam przynosi wam kawę i francuskie croissanty. Niech to zostanie owiane mgiełką tajemnicy, jakie wiążą was relacje, kim ona jest. Nie chcę, by was podsłuchiowano, to będzie trochę jak dawne nieme kino. Ale wiem też, że chcę, abyście mówili do niej coś pięknego, coś, co sprawi, że jej oczy będą błyszczeć. Nie życzę sobie udawanego zachwyty, musicie się więc postarać i zrobić to z prawdziwą pasją. Zdaję sobie sprawę, że to niełatwe. Ale to kluczowy moment. Muzyka Rachmaninowa staje się intensywna. Potem wychodzicie razem. Ona bierze was pod ramię. Odprowadzacie ją na przystanek. Całujecie się na pożegnanie, ona odjeżdża. Przez chwilę spoglądacie za nią. Ktoś prosi was o autograf. Nie słyszycie. Po chwili reagujecie, wyrwani z własnych myśli, uśmiechacie się, podpisujecie książkę, wymieniacie z tą osobą kilka słów. Odwracacie głowę w kierunku jadącego gdzieś daleko trolejbusu. Słońce weszło już i mamy kolejny dzień, pełen pracy, spotkań i wyzwań. Muzyka milknie, przechodzimy na „setki”. Słysząc gwar ulicy, wchodzicie do klubu szachowego, spotykacie się z trenerami, sekundantami, żartujecie, gracie blitze, zachowujecie się naturalnie. W południe obiad z kimś z władz miasta. Rozmawiacie o projektach dla młodzieży, o imprezach w domach kultury. Po obiedzie wizyta w zakładzie pracy. Symultana na dwudziestu szachownicach. Po południu odwiedzacie rodziców. Z matką rozmawiacie o muzyce. Z waszym ojcem o wizycie w zakładzie pracy, o kilku kwestiach ekonomicznych. W tej sprawie czekam jeszcze na wytyczne z góry. Wieczorem wraca tajemnicza kobieta. Idziecie razem do opery. Trzyma was pod ramię, gdy wchodzicie po schodach, w tle płynie muzyka, kamera robi szeroki plan, rozświetlony Leningrad nocą. Co wy na to?

– Hm, brzmi ciekawie – odpowiedział wyrwany z zadumy Romancew. – Faktycznie czułem się jak aktor. Widziałem to. Muszę ostrzec, że jestem raczej osobą nieśmiałą. No i ta kobieta... Kto to właściwie ma być?

– Przyznam, że liczyłem na waszą odpowiedź. Nie powinna być nikim znanym, bo łatwo byłoby zweryfikować wasze relacje. Ach, zapomniałem jeszcze o astronomii. Może uda się ją gdzieś wpleść. Dla mnie to było fascynujące, kiedy

dowiedziałem się, że pisaliście pracę z astrofizyki. A wracając do kobiety, czy macie jakąś sugestię?

– Ha. – Romancew się zastanowił. – Trudno powiedzieć... Może, może jest jedna, o której pomyślałbym w ten sposób. Pasowałaaby do obrazu, jaki namalowaliście. Nie wiem czemu, ale to właśnie ją widziałem, gdy w myślach podążałem za waszym opisem. Grała w *Alechinie* Sewastianowa. Poznałem ją w Odessie.

– Kogo tam grała? Pamiętacie?

– Pasierbicę Alechina.

– A tak. Wiem, kojarzę. Nie pamiętam nazwiska, ale kojarzę. Znajdziemy.

– Proszę, byście jej nie mówili, że to ją zaproponowałem. Nie chciałbym, żeby wyszło z tego jakieś nieporozumienie, praktycznie się nie znamy, ale to jedyna osoba, która przyszła mi na myśl.

– Dobrze, nic jej nie powiem.

Tydzień później w kawiarni Oniegin Tatiana usiadła naprzeciw Romancewa.

– Cukier? – spytał, sięgając po cukiernicę i zerkając dyskretnie w jej oczy. Wydała mu się tak piękna, że w duchu śmiał się do siebie, nie wierząc, że jest prawdziwa.

– Nigdy nie słodzę kawy – szepnęła.

– Ja za to nawet trzy łyżeczki. Wszystko oczywiście zależy od gatunku, niektóre nie mają tyle goryczy, by trzeba je było słodzić.

Milczeli, przyglądając się sobie ukradkiem i uśmiechając z lekkim zażenowaniem, gdy ich spojrzenia się krzyżowały.

– No więc, Tatiano – zaczął Romancew, a jego głos brzmiał inaczej, silniej, odważniej. – Reżyser wyznaczył mi aktorskie zadanie. Mam opowiedzieć wam jakąś historię, cokolwiek, byleby to uczynić z taką pasją, żeby wasze oczy rozpromieniły się, pojawiły się w nich iskielki, błysk, który uda mu się zarejestrować w kamerze.

– Błysk? – Zaśmiała się, podnosząc filiżankę do ust. – I jak zamierzacie to osiągnąć?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, co to mogłaby być za opowieść. Nie przygotowałem żadnego tematu, uważając, że zrobię to spontanicznie, naturalnie, pod wpływem chwili, w trakcie naszego spotkania.

– I?

– I wszystkie myśli uleciały – rzekł z rozbrajającą szarością.

– Więc zróbcie to, jak mówicie: spontanicznie. Mmm, opowiedzcie mi o najlepszej kawie, jaką piliście. Zapach, aromat, smak, wasze wrażenia z tym

związane.

– O kawie? – Zaśmiał się. – Kawie? Czy od opowieści o kawie mogą wam zaiskrzyć oczy, Tatiano? Czy to nie zbyt banalne?

– Jeśli zrobicie to dobrze, kto wie. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

– Dobrze, spróbuję. O kawie... – powtórzył raz jeszcze. Przez chwilę zbierał myśli. – Zaczynam. Gotowa?

– Tak, czekam z niecierpliwością.

– To było w Kingston na Jamajce. Siedziałem na tarasie. Patrzyłem na morze i przysłała mi do głowy nieoczekiwana myśl, że większości z nas brakuje miłości i że żyjemy często jakby w próżni. Nasze związki bywają krótkie, powierzchowne, imitują to, czego naprawdę szukamy, czego pragniemy doznawać. Tracimy wówczas część siebie, czujemy się słabi, niespełnieni, pozbawieni tych silnych emocji i doznań, które mogłyby nas nieść przez całe życie. Nasza dusza karłowacieje. A chcemy od życia więcej, chcemy czuć drzenie, chcemy prawdziwie pragnąć i móc to pragnienie ugasić w ekstatycznym uniesieniu, które sprawia, że choćby na moment wznosimy się na wysoką wieżę, skąd rozciąga się widok na cały świat. Wówczas możemy powiedzieć sobie: zrozumiałem już wszystko, poznałem to uczucie bezkresnego szczęścia i czuję, jak moje dłonie ściągają z nieba obłoki, jak układają kompozycję nieba, wpinając w jego tkaninę gwiazdy. To uczucie sprawiłoby, że mógłbym rzec: wyśnię wszystko, czego zapragnę, bo otrzymałem dar, wielką siłę, i niebawem jak w poetyckiej wizji Blake'a tchnę w świat dookoła życie, nową energię. To, co było banalne, smutne, pozbawione muzyki i barw, nagle stanie się pełne wyrazu, pełne ekspresji. Miłość, Tatiano, to może uczynić tylko miłość... Siedząc wtedy na tarasie podczas turnieju międzystrefowego na Jamajce, poczułem część, namiastkę tej pasji ukrytej w smaku tropikalnej, cudownie przygotowanej, świeżej kawy. Morski wiatr, przestrzeń przede mną i ten aromat, unoszący się ku moim zmysłom, ten czekoladowy aksamitny pełny smak, który krył w sobie pasję, miłość, życie, dziką i nieokiełznaną naturę południowej przyrody sprawiły, że w tamtym momencie poczułem się, jakbym stał na tej najwyższej wieży, ogarnęły mnie euforia i poczucie, że wszystko, czego się pragnie, można uczynić realnym. Ta mała filiżanka czarnej kawy wywołała wówczas we mnie te emocje, tę tęsknotę, to pragnienie, pragnienie miłości lub wręcz pragnienie kochania. Niesiony tym nagłym uczuciem doznawałem magicznej otwartości i przenikliwości umysłu. Wygrałem tamten turniej i zostałem pretendentem. Dziś, siedząc tu z wami, czuję się trochę podobnie i myślę, mam pewność, że tym razem nie dzieje się tak za sprawą kawy.

Zakończył i uśmiechnął się lekko zażenowany. Tatiana milczała, wpatrując się w niego.

– Kamera stop – wydał polecenie Trankl. – Mamy to!

Szli wzdłuż rzeki. Czuł jej bliskość, gdy chwyciła go pod ramię, i miał wrażenie,

że stanowi podporę dla czegoś bardzo kruchego, delikatnego, niczym figurka porcelanowej baletnicy, której romantyczna tutu była utkana nie z tiulu, lecz z mglistej pajęczyny. Na moment stanęli, wsłuchując się w dźwięk syreny wydobywającej się z wnętrza płynącej po rzece barki.

– Leningrad to piękne miasto – przerwał milczenie Romancew. – Fascynująca architektura, mosty i kanały jak w Wenecji. Nad ranem nad Newą unosi się mgła. W nocy, kiedy powietrze jest przejrzyste, stalowe mosty wznoszą się ku niebu, jakby miasto prosiło o błogosławieństwo. Przepływają pod nimi duże statki. Byłem w wielu miastach na świecie i Leningrad jest moją niezmienną miłością. Gdybym musiał go opuścić, być może odnalazłbym się jedynie w melancholijnym Paryżu lub pełnej sekretnych uliczek Barcelonie.

Tatiana spoglądała na jego profil. Zaprosił ją na kolację. Byli już sami, bez telewizyjnej ekipy, która filmowała ich do momentu wejścia do opery. Około północy odwiózł ją do hotelu. Smak jej ust wydał mu się przepojony nutą rozgrzanych słońcem południowych owoców.

Rano, gdy się obudził, mieszkanie wydało mu się jeszcze bardziej puste niż zwykle. Usiadł do pianina. Przypomnił sobie, jak po szkole matka uczyła go grać. Wydawała mu się taka delikatna i krucha z jej długimi, niemal przezroczystymi palcami, z ciemnymi, pełnymi uduchowionego spokoju oczami, elegancją. Często bywała smutna. Nie wiedział czemu. Może brakowało tylko tego jednego elementu... i aż jednego.

Pojechał do hotelu, w którym wczoraj pozostawił Tatianę. W recepcji czekała na niego wiadomość w kopercie.

Drogi Anatoliju!

Miło, że nasze drogi skrzyżowały się choć na chwilę. Życzę Ci powodzenia i myślę, że nieraz będę czytać o Twoich sukcesach.

Tatiana

Wracając do siebie, układał zdania, którymi mógłby opisać jej swoje emocje.

Tatiano, myślał, nad Newą znów wstał kolejny dzień, dziś jesteś daleko, oddziela nas przestrzeń, którą stara się przeniknąć moja myśl. Wciążam głęboko powietrze, by odnaleźć zapach twych perfum, dotykam warg, by poczuć raz jeszcze smak twoich ust. Pragnę, by moje zmysły pomogły mi przywołać te chwile, gdy byłaś tak blisko, przez moment tylko dla mnie. Opuszkami palców gładzę przedmioty dookoła, pragnąc tą pieśczęcią przemienić je w twe ciało, twoje policzki, twoje dłonie. Chciałbym otworzyć swe ramiona, by dać ci schronienie. Byś, przymykając powieki, chłonęła mą czułość. Byś znalazła w nich ukojenie...

Następne dni żył w jakimś przedziwnym stanie rozmarzenia i oczekiwania. Napisał do niej list, który wysłał kurierem.

Tatiano!

Bardzo trudno rzec po kilku zdaniach, które zamieniliśmy, że mam prawo pisać do Ciebie jak do kogoś bliskiego. Wiem, łamię konwenanse, a to, co napiszę, być może wyda się tak dalece niedorzeczne, że wywoła jedynie uśmiech zdziwienia na Twej twarzy. Ale kiedy myślę, że nasze spotkanie było jakimś nierealnym zdarzeniem na kształt snu, chcę go raz jeszcze śnić i dzień cały znów chodzę półsenny. Lecz nagle, zdaję sobie sprawę, że jesteś prawdziwa. Że o poranku odślaniasz zastony, by spojrzeć na świat za oknem, że siadasz z filiżanką nieposłodzonej kawy, myśląc o tym, co przyniesie dzień. Czuję tęsknotę... Nie wiem, czy po tym liście uznasz mnie za głupca. Nie wiem, ale chciałem, byś wiedziała, co czuję, odkąd Cię ujrzałem.

Dwa dni później o poranku przyszedł kurier z listem od niej. Anatolij otworzył go, pełen napięcia.

Myślałam o Tobie i czułam, że między nami jest coś niezwykłego, niebanalnego... Ale pewne słowa nie zostały wypowiedziane, pewne działania nie zostały podjęte, nie było gotowości do oddania się bez ograniczeń emocjom... A ja obawiam się tego, czego nie rozumiem.

Zadzwonił telefon. Jego silny dźwięk wyrwał w końcu Romancewa z zadumy.

– Tola. – W słuchawce odezwał się głos Miszy Sztejna. – W nocy zmarł Fomin. Przyjedź.

Moskwa, maj 1985

Z turnieju w holenderskim Tilburgu Oleg przywiózł dzinsy dla siebie i dla Andrieja. Kupił też kilka płyt, w tym longplay Madonny *Like a Virgin*. Oglądając okładkę, Andriej oświadczył: „Ta babka jest w moim typie”.

W marcu, po śmierci sekretarza generalnego KPZR i przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Konstantina Czernienki, nadzwyczajne plenum Komitetu Centralnego KPZR, zgodnie z sugestią Andrieja Gromyki, wybrało na sekretarza generalnego pięćdziesięcioletniego Michaiła Gorbaczowa.

– Po długiej zimie może do nas zawitać wiosna – stwierdziła Olga Lwowna, słysząc o nowym kursie obranym na kwietniowym plenum Komitetu Centralnego, który nazwano pieriestrojką.

A Andriej, chcąc jej zrobić przyjemność, dodawał, że dzinsy, cola i koncert Madonny w Moskwie to już tylko kwestia czasu. Ale potem, gdy w maju, uchwałą Komitetu Centralnego KPZR i Rady Ministrów, wprowadzono program przeciwdziałania nadużywaniu alkoholu i wypowiedziano wojnę alkoholizmowi i samogonom pod hasłem: „Trzeźwość normą życia”, Andriej zawyrokował: „Związek Radziecki niedługo się skończy. Bez samogonu wszystko pójdzie w diabły”.

Oleg, jakby w odpowiedzi na rządowe hasło, przestał pić. Jednak przyczyną tej zmiany nie była pieriestrojka, tylko film o Romancewie, który wyemitowano na pierwszym kanale telewizji w niedzielne popołudnie w porze obiadu. Kiedy Oleg zobaczył ją, idącą z Romancewem pod rękę brzegiem Newy, rozmawiającą z zachwytem na twarzy w kawiarni, poczuł, jakby ktoś w ciągu kilku chwil wyssał z niego duszę, a z żył – całą krew, pozostawiając ciało niczym kruszący się w dłoni poźółkły pergamin. Wszystkie marzenia zostały skradzione jak ta nowa kolarka Andrieja pozostawiona na moment przed sklepem, po której, gdy wyszli, nie było już śladu.

Oleg unikał przyjaciół. Nie chciał odpowiadać na ich pytania, nie chciał współczucia. Jak dawniej siadał w kuchni, obok matki, która szykowała się do lekcji lub krzątała przy przygotowywaniu posiłku, rozkładał podręczniki akademickie. Dużo w tym czasie czytał.

W głębi ducha Olga Lwowna cieszyła się, że historia z dziewczyną, bo przecież musiało chodzić o nieszczęśliwą miłość, zakończyła się niepowodzeniem. Czuła, że dopiero co rozpoczęte studia oraz szachy wymagają skupienia. Zbyt silne zauroczenie sprawiłoby, że straciłaby syna, a on straciłby szansę, żeby osiągnąć dobre wyniki w zbliżających się eliminacjach do mistrzostw Związku

Radzieckiego.

Olga Lwowna zazwyczaj zajmowała się swoimi sprawami. Kilka prób kontaktu z synem skończyło się awanturami, jego wychodzeniem z domu i powrotami nad ranem. Starła się więc nie wchodzić Olegowi w drogę. Zaakceptowała nawet jego treningi boksu. Nie wiedziała, że na prywatne lekcje przyjął go sam Aleksiej Iwanowicz Kisielow [22]. Te treningi go odmieniły. Rzucił palenie, nie przychodził do domu pijany, uspokoił się i niespodziewanie wrócił do szachów – z nowym zapałem, z nową energią. Odtąd na stole w kuchni pojawiała się szachownica, figury i biuletyny szachowe oraz jego notatki. Któregoś wieczoru Olga Lwowna ujrzała zeszyt z zapiskami szachowymi. Na okładce widniał napis „Scheveningen”. Usiadła przy stole, spoglądając na szachownicę z figurami.

Po jakimś czasie zajął pozycję naprzeciw niej, tak jakby szykował się do gry.

– Wyglądasz groźnie, gdy tak siedzisz naprzeciw. – Zaśmiała się. – Przeciwnik musi czuć się nieswojo, widząc twoją srogą minę.

Nie odpowiedział.

– Jeśli czujesz złość, gniew, że się nie udało i że nie potrafiłeś doprowadzić tego do szczęśliwego zakończenia, to spraw, żeby pozałowała. To najlepsze rozwiązanie.

– Nawet o mnie nie słyszała – burknął.

– Nic prostszego, by usłyszała: zdobądź mistrzostwo kraju, będzie o tobie głośno.

– Jest dziewczyną obecnego mistrza.

– Co ty mówisz? – Matka nie potrafiła ukryć zdziwienia. – Romancewa? Tego sopla lodu? Jest szachistką?

– Aktorką.

– I dwóch szachistów... – nie dokończyła, widząc minę syna. – Więc nie pozostaje ci nic innego, jak odebrać mu tytuł. Raz już go pokonałeś w Odessie.

Chwilę milczeli, wspominając w myślach wydarzenia z Odessy.

– Jest taka piosenka – odezwała się Olga Lwowna. – Tej artystki, którą lubię, Anny German. Śpiewa w niej: „Nadzieja – mój ziemski kompas, a powodzenie – nagroda za odwagę”. Pomyśl o tych słowach. Spoglądałam na szachownicę – postanowiła zmienić temat, by nie rozeźlić go do reszty. – Jak te czarne piony są ładnie ustawione w rzędzie.

– Nazywają to systemem jeża.

– Ale żadne czarne piony ani figury nie dotykają się z pionami białych, nie wchodzi ze sobą w interakcję.

– Jednak istnieje między nimi napięcie.

– Jak między kobietą a mężczyzną, którzy dopiero co się poznali?

– No może niezupełnie, bo to przecież wrogie sobie armie. Powiedziałbym, że czarne figury to Trojanie: przygotowani do obrony, ustawieni w szyku, dumnie obserwujący greckich najeźdźców. Czekają, manewrują, ustawiają się. Jest cisza przed walką, napięcie, które sięga zenitu. Grecy również czekają, szykują się do ataku. Agamemnon, ukryty za rydwanami, dowodzi z daleka. Myśli, którą uderzyć. Achilles i Hektor to najsilniejsze figury. Pytanie, czy to będzie Achilles, czy tylko Patroklos, który pożyczycy od niego zbroję. Czy to będzie ten dzień, w którym Trojanie z zapalem i odwagą w sercach szli na wroga, spychając go do rozpaczliwej obrony nad brzegiem morza, a Hektor zdobywał nieśmiertelną sławę? Czy też dzień odwrotu i smutnej śmierci trojańskiego księcia? Wszystko zależy od głównodowodzących, od graczy, ich odwagi, psychicznej siły, sprytu, determinacji, mądrości przy obieraniu strategii i wreszcie od tego, czy rozumiejąc przeciwnika, potrafią odczytać zawczasu planowane przez niego posunięcia, jego reakcje.

– Piękne – mruknęła w zadumie Olga Lwowna. – Nie dziwi mnie, że ta gra tak cię pochłania.

Poczuła matczyną dumę. W tej jednej chwili ogarnął ją całkowity spokój, całkowite spełnienie. Podeszła do niego, pocałowała w głowę, gdy nisko pochylony nad szachownicą analizował warianty. Cicho, by mu nie przeszkadzać, poszła do sypialni, rozłożyła kanapę i ułożyła na niej pościel. Myślała o mężu. Co powiedziałby Igor, widząc syna? Łzy spłynęły jej po policzkach. Wiedziała, że byłby dumny i wdzięczny, że przytuliłby ją i powiedział, że dziękuje, bo tak wspaniale wychowała ich syna. Położyła się, pełna marzeń i obejmującej ją silnymi, męskimi ramionami tęsknoty za mężem, i zasnęła.

To były dobre chwile. Oleg cieszył się, że szachy i boks pozwalają mu zapomnieć o Tani, pracował jak nigdy wcześniej. W te dni, gdy przeplatał studia na Wydziale Anglistyki z pracą nad swoim przygotowaniem debiutowym i analizą końcówek, zmienił się również styl jego gry. Jak mawiał Zwieriew: „Z prostych fajerwerków weszliśmy w świat delikatnych niuansów, które odsłaniają swoje uroki”. Efekty pracy znów przekroczyły ich oczekiwania. Antonow bez porażki zakończył półfinał mistrzostw Związku Radzieckiego i po raz pierwszy miał wystąpić w finale, w najważniejszym turnieju w kraju, obok Romancewa, Gurgenidzego, Szejna. O tym, co się dzieje, Oleg nie powiedział matce ani słowa. Chciał przynieść do domu puchar, postawić go na stole i spytać, czy teraz ojciec byłby szczęśliwy i czy ona jest szczęśliwa i dumna.

Ostatecznie jednak Antonow zakończył turniej finałowy na drugim miejscu, ustępując Romancewowi. Zwieriew i Denisow byli oczarowani. Osiągnięty wynik oznaczał start w pierwszym cyklu o mistrzostwo świata, w turnieju międzystrefowym. To było zaskoczenie dla wszystkich, również dla samego Olega, który snuł marzenia o starcie w tych rozgrywkach najwcześniej w następnym

cyklu, za trzy lata. Sprawy nabrały tempa. Udało mu się szybko zdać egzaminy na studiach i mógł poświęcić się przygotowaniom. Oczywiście, sława wicemistrza Związku Radzieckiego dawała mu pewne przywileje. Egzamin z historii literatury średniowiecznej zdał pomimo pewnych braków, gdy usprawiedliwił się przed egzaminującym go profesorem wyczerpującym turniejem.

– Postawiłbym wam dwójkę za słabą znajomość Chaucera – westchnął egzaminujący Olega profesor. – Ale za partię ze Sztejnem daję piątkę, więc w sumie średnia wychodzi na trzy z plusem, a za tytuł wicemistrza kraju podnoszę do czterech.

Antonow podniósł dłoń profesora do ust, pocałował i rzekł:

– Całuję tę świętą dłoń, która wpisuje mi do indeksu dobrą ocenę. Zadedykuję wam następną wygraną, Jewgieniju Rusłanowiczu.

Turniej międzystrefowy w Hawanie był największym wyzwaniem, przed jakim dotąd stanął. Przygotowania zajmowały mu całe dni. Żaden z nich – ani on, ani Denisow, ani Zwieriew – nie powiedział tego głośno, ale w głębi ducha nie wierzyli w powodzenie w turnieju, w którym grała elita z całego świata. Pomimo to postanowili, że przygotowują się maksymalnie dobrze, tak żeby zdobyte doświadczenie zaprocentowało w przyszłym cyklu. Zwieriew zgromadził bazę danych o wszystkich przeciwnikach, Denisow, na podstawie rozegranych przez nich partii, zbudował ich psychologiczną charakterystykę, zestawienie mocnych i słabych stron, najczęściej grane debiuty. Po trzech miesiącach Antonow był gotów stawić czoło wyzwaniu, jakim był turniej międzystrefowy. W jego karierze sportowej nie dało się tego porównać z niczym innym.

– Wierz w siebie, Oleg. Wierz w swoją intuicję – powtarzał Zwieriew, gdy na lotnisku żegnał się ze swoim wychowankiem. – Nie jesteś od nich gorszy. Brak ci doświadczenia, ale odwagą, entuzjazmem i oryginalnością możesz ten brak nadrobić. Musisz tylko być skoncentrowany i w każdą partię włożyć wszystkie swoje siły. Nie myśl o niczym innym, tylko o swojej grze. Nie przejmuj się tym, co się dzieje podczas turnieju, jak grają inni. Myśl wyłącznie o własnych posunięciach.

– Odpoczywaj po partii, odpoczywaj, żeby chronić system nerwowy – szeptała mu na ucho Olga Lwowna, kiedy ją przytulał.

– Dobrze, że on leci z Leningradu, nie musimy razem tam podróżować. – Oleg uśmiechnął się, mając na myśli Romancewa.

– Stajesz się teraz wielkim sportowcem jak ojciec, Oleg, jak on, kiedy leciał na olimpiadę. – Matka otarła łzy. – Wiem, że to takie teatralne. – Uśmiechnęła się. – Ale przypomniałam sobie, że nie masz zegarka, pomyślałam, że będzie ci miło, jeśli będzie ci towarzyszył zegarek ojca. To jego poljot. – Wyjęła z torebki zawiniątko, odsupłała chustkę i podała synowi srebrny zegarek na czarnym pasku. – Nazywa się „Gagarin”, bo taki model miał na orbicie Gagarin. Ojciec mówił, że gdy go nosi, pozwala mu unieść się czasem nad ziemią i wierzyć w

spełnienie marzeń. W końcu czy Gagarin jako chłopiec mógł sobie wyobrazić, że ujrzy Ziemię z kosmosu? Więc nie trać wiary, synku.

Oleg wziął do ręki zegarek niczym relikwię. Przez chwilę gładził szkiełko opuszkami palców. Potem założył go ostrożnie, spojrzął na matkę. Oczy miała wilgotne od łez. Kiwnął głową, nie chcąc się rozrzewnić, uśmiechnął się do Zwieriewa i poszedł w kierunku odprawy paszportowej, by przygotować się do lotu.

Siedząc na leningradzkim lotnisku Pułkowo, Romancew przeglądał czasopismo. Na jednej ze stron ujrzał zdjęcie Daszy Suworowej. Przez chwilę przyglądał mu się z czułością. Dotknął dłonią jej ust. Odnalazł w sobie to uczucie, które go wypełniało, gdy o poranku budził się przy niej, wierząc, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo dostał od życia wszystko, czego pragnął. Przymknął powieki i przeniósł się do jej mieszkania w Moskwie. Westchnął. To, co odbierał jako pełnię szczęścia, było cieniem. To, co wydawało mu się bliskością, okazało się karykaturą. W tamte dni pragnął wziąć rewolwer i zastrzelić ją, a potem siebie, jak w melodramacie. Wydało mu się to śmieszne, ale ból, jaki czuł w tamtej chwili, był tak wielki, że nie mógł go opanować żadnymi racjonalnymi argumentami.

Głos kobiety z obsługi lotniska wezwał pasażerów lotu do Hawany do odprawy biletowo-paszportowej. Ruszył w stronę stanowiska, ale po chwili zawrócił. Podeszedł do automatu telefonicznego. Wykręcił numer do mieszkania rodziców. Odebrała Luda.

– Luda? Tu Anatolij, czy możecie mi dać do telefonu mamę?

Po chwili oczekiwania usłyszał słaby głos matki.

– Tola? Jesteś już na lotnisku?

– Tak, mamó, jak się czujesz?

– Już dobrze, mój kochany. Już lepiej. Jedź, wygraj i wracaj do nas prędko. Będziemy z ojcem śledzić turniej, będziemy z tobą. Ojciec zadzwonił do ambasady w Hawanie, gdybyś czegoś potrzebował.

– Wszystko będzie dobrze, mamó, wygram, wrócę i zajmujemy się twoim zdrowiem.

– Kocham cię, Tola.

– Ja ciebie też kocham, mamó. Zadzwonię, gdy tylko przylecę na miejsce. Muszę iść. Do usłyszenia.

– Czekamy na ciebie.

Romancew odłożył słuchawkę i poszedł się odprawić.

Hawana, sierpień 1985

Ił-62 wylądował z ciężkim klapnięciem na rozgrzanej białej płycie lotniska imienia José Martí. Oleg z trudem wytrzymał w fotelu, tak bardzo był ciekaw świata na zewnątrz. Słońce Karaibów zachwyciło go od pierwszej chwili, gdy stanął na stopniach schodów, które podstawiono do samolotu. Gorące powietrze wprawiło go w euforię. Energia płynąca z Hawany sprawiła, że w ciągu kilku chwil poczuł w sobie siłę, radość i ekscytację. W miejsce lęku pojawiło się uczucie pewności siebie. Czuł się tak, jakby właśnie w tym miejscu ziemia nadawała na tych samych częstotliwościach co jego umysł i ciało.

– Och, Kuba... – westchnął z uśmiechem, jakby mówił o pięknej kobiecie, mrużąc leniwie oczy, które oślepiał blask słońca. – W takim miejscu nie może mnie spotkać rozczarowanie.

Przed terminalem lotniska czekała na nich czarna wypolerowana na błyszcząco czajka z radzieckiej ambasady. Kierowca powitał ich słowami: „Witamy w raj”. Bondariewski, którego okulary zaparowały od potu, mruknął coś o tęsknocie za Moskwą.

– Tu, na Kubie, Olegu Igorowiczu – mówił kierowca – wszyscy byli z was dumni po waszym sukcesie w Nowym Orleanie. Fidel, który sam kocha szachy, zwierzył się naszemu ambasadorowi, że to wspaniały symbol siły umysłu socjalistycznego człowieka. Choć on Zimmermana lubi. Pewnie wiecie, że mimo zakazu władz amerykańskich kilkanaście lat temu Zimmerman wziął udział w turnieju w Hawanie. Pierwsze rundy grał przez telefon. Zuch. No, ale jakkolwiek by było, Amerykaniec. Kubańczycy to bardzo dumny naród. Szczycą się tym, że gdy Kolumb po raz pierwszy zobaczył wyspę, powiedział, że nigdy nie widział piękniejszej krainy.

Na czole kierowcy srebrzył się pot, a od wilgotnego powietrza koszula lepiała mu się do ciała. I choć świstał niczym chomik przy nabieraniu kolejnych oddechów, nie przestawał gadać.

– Kubańce twierdzą, że to tutaj żyli Adam i Ewa – kontynuował swoją opowieść.

– O jakim Adamie i Ewie mówicie? – wtrącił się Bondariewski, którego wyraźnie drażniła paplanina kierowcy.

– Jak patrzy się na tę niesamowitą niebieskość, wręcz turkus morza, przełamany antracytowymi skałami, i tę zniewalającą biel piasku – Oleg rzucił koło ratunkowe kierowcy – to zapiera dech w piersiach. Nie podoba wam się stolica naszego socjalistycznego sojusznika, Władimirze Zacharowiczu?

Bondariewski dyszał ciężko, postępując. Podniósł z podłogi teczkę i postawił

sobie na kolanach, odwracając głowę w kierunku okna.

– Mnie się tu cholernie podoba – zwrócił się do kierowcy Oleg, zachęcając go do dalszej opowieści.

– Spójrzcie na prawo, Olegu Igorowiczu. To dumne palmy real – zaczął kierowca, który poczuł się doceniony. – Są symbolem Kuby. Królewskie palmy. A pnie mają jak betonowe słupy.

– Faktycznie – przytaknął Oleg. – Zajebiste – dodał, spoglądając dyskretnie w kierunku Bondariewskiego, by sprawdzić, jakie wrażenie robi na nim to słowo.

Bondariewski pokiwał z obrzydzeniem głową i starł chusteczką pot z czoła.

– A te inne drzewa? – spytał Oleg, ciesząc się, że opowieści kierowcy drażnią Bondariewskiego.

– Mamee, hibiskusy, orchidee i inne. Kiedy to kwitnie, człowiek czuje się, jakby wdychał perfumy na ciele pięknej kobiety.

Bondariewski poprawił się nerwowo na swoim siedzeniu.

– Nic tylko chodzić i się zachwycać. – Kierowca się roześmiał.

– Albo wachać i próbować smaku – zawtórował mu Oleg, poklepując go po ramieniu.

– No, babki to tu są pierwsza klasa – przyznał kierowca, cmokając.

– Zajmijcie się drogą! – przerwał mu Bondariewski. – Daleko jeszcze?

– A hotel, do którego nas wieziecie, fajny? – spytał Oleg, nie zwracając uwagi na Bondariewskiego.

– Habana Libre? – podjął kierowca, któremu milczenie wyraźnie nie było w smak. – Palce lizać. To taka nasza kubańska Rossija. Jeden z największych w Hawanie, w samym centrum miasta, tylko trzysta metrów do nadmorskiego bulwaru Malecón. Będziecie w samym centrum tej nowoczesnej Hawany.

– Czemu Habana Libre? – drażył Oleg. Nazwa hotelu skojarzyła mu się z drinkiem, o którym wspominał Andriej.

– Nazwę otrzymał po zwycięstwie rewolucji, ale zbudowany został przez Amerykańców jako Habana Hilton, pod osobistym nadzorem dyktatora Batisty. Chcieli pewnie tam robić ten swój hazard i inną gangsterkę. A tu guzik. Jak do Hawany wkroczył Fidel, to zainstalował się w apartamencie razem z Che Guevarą. To tu organizował konferencje prasowe i spotykał się z przedstawicielami innych państw.

– Skąd wy to wszystko wiecie? – zainteresował się Oleg.

– A bo przez pewien czas dwa piętra hotelu zajmowała nasza pierwsza ambasada. Co tu gadać, w tym hotelu spała nasza Walentina Tierieszkowa i ta aktorka amerykańska, no, jak jej tam, eee, taka piękna z dużym biustem, czarnowłosa jak egipska królowa.

– Elizabeth Taylor?

– O, ona. Niezła lala, kurde. Niedaleko hotelu będziecie mieli park lodowy Coppelia. Kształtem przypomina spodek kosmiczny. A ja lubię to, co się kojarzy z kosmosem. Widziałem u was na ręce „Szturmański” Gagarina, dobrze mówię?

– Dobrze – pochwalił go Oleg. – To pamiątka po ojcu.

– Piękna rzecz.

– O jakim parku lodowym mówiliście? – odezwał się nagle Bondariewski, którego uderzyła niedorzeczność istnienia parku lodowego w samym jądrze upału.

– No, lodziarnia – odrzekł kierowca, spoglądając na Bondariewskiego w lusterku wstecznym.

– Lodziarnia? Jaka znowu lodziarnia? – nie dawał za wygraną Bondariewski.

– Oj, nie, nie – wtrącił się Oleg. – To nie to, co myślicie Władimirze Zacharowiczu. Ale podoba mi się wasza wyobraźnia. Proszę jednak pamiętać, że tu, na Kubie, tak jak u nas, obowiązuje moralność socjalistyczna.

Bondariewski zapowietrzył się, poczerwieniał na twarzy i nie wykrztusił z siebie ani słowa. Kierowca zaczął tak chichotać, że nie mógł się opanować.

– Olegu Igorowiczu – rzucił w końcu, ciągle z szerokim uśmiechem na ustach – jesteśmy niedaleko Cementerio de Cristóbal Colón, gdzie jest pochowany sam wielki Capablanca [23]. Kubańcy, obok boksu i szachów, to przede wszystkim kochają baseball. Mają tu dwa wielkie pomniki ku czci baseballistów.

– Co tam baseballiści, samochody mają tu nieprawdopodobne – zauważył Oleg.

– Ha, ha – zaśmiał się kierowca. – Czekałem, aż mnie o to zapytacie, Olegu Igorowiczu.

– Jakoś dopiero teraz to do mnie dotarło. Tyle wrażeń, tyle widoków, nie wiadomo na czym... na czym oko zawiesić. – Ostatnie słowa Oleg wypowiedział powoli, oczarowany urodą stojącej na chodniku kobiety w żółtej sukience.

– Mówiłem, że babki są tu pierwsza klasa – rzucił ze śmiechem kierowca, który dostrzegł zachwyt Olega. – Mam się zatrzymać?

– Jakie „zatrzymać”?! – warknął Bondariewski, któremu nie umknęło żadne wypowiedziane słowo. – Jedźcie przed siebie!

– Dla takiej to skali brakuje – westchnął smętnie Oleg, wpatrując się w kobietę przez tylną szybę. – No dobra, mówcie mi o samochodach, bo kobiety tylko serca łamią i człowiek nieszczęśliwy.

Kierowca dał długi wykład na temat samochodów, jakie można spotkać w Hawanie. Oleg oglądał z zainteresowaniem pochodzące z lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych chevrolety, fordy, oldsmobile, plymouthy i chryslery. Wpatrywał się zachłannie w ich błyszczące płetwy na karoserii, pełne przepychu stopnie, po których niewątpliwie stąpały obcasy pięknych, eleganckich kobiet, wielkie kraty przypominające fiszby wielorybów, wypolerowane, dumne

symbole marek na maskach.

– Boże mój, a to co? – Oleg wskazał na połyskujący w karaibskim słońcu samochód wyposażony w rozkosznie i beztrosko szeroki grill i słodkie reflektory ukryte pod daszkami błotników. Tył samochodu zdobiły skrzydła, śmiałe niczym u Nike z Samotraki, wznoszące się wysoko, jakby samochód miał unieść się w przestworza na podobieństwo mitycznego Ikara. – Toż to łożo rozkoszy, lubieżny symbol kapitalizmu. Proszę, Władimirze Zacharowiczu, nie patrzeć na to zgorzenie.

– Chrysler, rocznik pięćdziesiąty siódmy, istne чудо – powiedział kierowca z uznaniem dla znawstwa Olega.

– Chryslerze, roczniku pięćdziesiąty siódmy, na sam twój widok dostaje wzwołu – westchnął Oleg.

Kierowca zaczął się śmiać.

– Odkąd ograliście Zimmermana, pokochałem was Olegu Igorowiczu, a teraz, gdy was poznałem, Kocham jeszcze mocniej. Pasujecie do Kuby.

– O, ja i Kuba to jedno – szepnął mu na ucho Oleg.

– Gdybyście tak jeszcze poszli kiedyś ze mną napić się tutejszego rumu, to powiedziałbym do siebie: Stiopa, sens twojego życia właśnie się dopełnił.

– No, nie mogę tego słuchać! – Bondariewski pękał ze złości.

– Stiopa, więc już ci mówię, szykuj butelkę rumu. – Antonow nachylił się nad kierowcą. – Należy ci się za twoje opowieści. Kiedyś przyjadę tu ze swoją żoną. – Oleg osunął się na oparcie i spoglądał na świat dookoła, na samochody, które przenosiły go w świat Humphreya Bogarta i hollywoodzkiej magii. Nie wszystkie jednak były tak zjawiskowe. Niektóre zżerała rdza, którą czasem wstydliwie przykrywała zwykła farba olejna, łuszcząca się, przegrywająca nierówną walkę ze słońcem i słonym powietrzem.

– No i nasz hotel. – Kierowca wyrwał Olega z zadumy.

Hotel był widoczny z daleka. Ogromny budynek majestatycznie górował nad okolicą, przytłaczając swoim rozmachem niskie domy, jakby wielki kondor usiadł obok małych kolorowych papużek.

Wchodząc do hotelu, Oleg czuł się fantastycznie. Ogarnęła go radość, którą zmącił jedynie widok ubranego w biały garnitur Romancewa popijającego na tarasie drinka w towarzystwie Sztejna. On i Sztejn byli w hotelu od wczoraj.

Wieczorem całą trójkę arcyministrów zaprosił na kolację radziecki ambasador Konstantin Katuszew. Z restauracji hotelowej rozpościerał się piękny widok na Malecón i zatokę. Na pierwsze danie podano zupę czosnkową przyrządzoną z dodatkiem kukurydzy, dyni i czarnej fasoli. Jako danie główne Oleg zamówił *carne calle sol* – pieczoną wieprzowinę – podaną z *arroz tradicuba*, czyli z ryżem i warzywami. Pomyślał o matce. Chciał, by mogła to wszystko zobaczyć,

skosztować tych potraw, przekonać się, jak żyją inni ludzie. Na deser podano *cururucho*.

– *Cururucho* to przysmak z Baracoi – objaśniał Katuszew. – Starty kokos, pomarańcze, papaja, miód wymieszane i owinięte w liście palmowe.

Ambasador zaproponował im rum caney, mówiąc, że jest to „narodowa wódka” Kubańczyków, a caney należy do ulubionych trunków samego towarzysza Castro. Delikatny pełny smak rumu, zabarwiony lekką słodyczą, wypełniał wachlarz smaków złożony z wanilii i pomarańczy. Idealnie pasował do kubańskich cygar, których nie mogli sobie odmówić. Oleg pierwszy raz w życiu palił cygaro i jego moc przyprawiła go o zawrót głowy. Romancew i Sztejn palili z należą delikatnością, bacząc, by nie ulec potędze tytoniu. Sztejn opowiadał o miłości Fidela do szachów.

– Przewodniczący Castro – zagaił, puszczając oko do Olega – zorganizował największy festiwal szachowy w historii. Było nas ze trzystu, jak tych Spartan pod Termopilami. Nie macie nawet pojęcia, z jakim rozmachem zorganizowano tę imprezę. Wykwintne jedzenie, wino, limuzyny i luksusowe apartamenty. Wszystko było jak z filmów. Sam Castro rozegrał partię z Zimmermanem.

– No proszę, a ja nie dostąpiłem nigdy tego zaszczytu – rzucił zimno Romancew, któremu rum i cygaro lekko przytępiły zwykłą ostrożność.

– Za to mieliście inny zaszczyt, z którym partia z Zimmermanem nie może się równać – odciął się Oleg, myśląc o Tatianie.

Romancew spojrział na niego zdziwiony, nie wiedząc, co ma na myśli, a w końcu zgadując, że Antonow pije do partii z Breżniewem, zmierzył go lodowatym wzrokiem.

– Michaił Gorbaczow – zmienił temat ambasador – przywiązuje ogromną wagę do wzajemnych stosunków z Kubą.

– Wcale się nie dziwię. Widziałem tu jedną Kubankę i aż zaniemówiłem z wrażenia, i też mi się zachciało bliskich stosunków – rzucił, chichocząc, Oleg, coraz bardziej wstawiony.

– Ech, kobiety, kobiety, kobiety... – westchnął Sztejn.

– Misza, dodaj czwartą, a będę wiedział, że wzdychasz za swoimi żonami – skomentował ze śmiechem Romancew, nawiązując do trzech rozwodów Sztejna.

– W zeszłym roku – ciągnął niezrażony Katuszew – handel między naszymi narodami stanowił ponad siedemdziesiąt procent całej wymiany towarowej Kuby.

– Jadłem niedawno ich pomarańcze, małe jakieś i gorzkie – rozkręcał się Sztejn.

– Wypijmy za radziecką szkołę szachową i jej wybitnych absolwentów, trzech arcymistrzów, którzy, jak sądzę, zakończą ten turniej zwycięstwem! – wybrnął dyplomatycznie Katuszew.

– Święte słowa, towarzyszu ambasadorze – przytaknął, uśmiechając się, Sztejn.

– No, przyjaciele, do dna, za zwycięstwo!

Wypili rum ze szklanek.

– Tak sobie myślę, że wy, towarzyszu ambasadorze – Sztejn poufale objął Katuszewa ramieniem – musicie mieć niezwykle mocną głowę. Bo przecież w polityce nie uchodzi upić się jak my teraz i gadać trzy po trzy, co ślina na język przyniesie.

– No cóż, Michaile Nehemowiczu, nie uchodzi – zgodził się ambasador.

Następnego dnia najlepsi szachiści globu stawili się w największej sali hotelu Habana Libre na oficjalnym otwarciu turnieju. Antonow, Romancew i Sztejn dyskutowali o swoich przeciwnikach. Dla byłego mistrza świata Sztejna to był już piąty turniej międzystrefowy. Każdego z przybyłych graczy znał na wylot. Potrafił nie tylko podać suche informacje o ich szachowych osiągnięciach, ale również opowiedzieć o każdym kilka dowcipnych dykteryjek. Oleg czuł się z nim pewnie. Były mistrz świata dźwigał na karku szósty krzyżyk i przebył wiele chorób, a mimo to tryskał energią. Kiedy dowiedział się, że Oleg jest synem wicemistrza olimpijskiego Igora Antonowa, od razu wdał się z nim w dyskusję o boksie, pytał, czy jego zdaniem Larry Holmes jest lepszy od Michaela Spinksa i czy ten dobrze zrobił, że przeszedł z wagi półciężkiej do ciężkiej. Romancew pojechał na kolację z ambasadorem.

W wieczór poprzedzający rozpoczęcie gier Oleg pływał w hotelowym basenie aż do utraty tchu. Zupełnie wyczerpany, dotarł do pokoju i delektował się widokiem rozświetlonego nabrzeża, słuchaniem dobiegającej go muzyki, chłonał energię ciepłego wieczoru.

Pomimo dobrego nastawienia zaczął turniej nieco bojaźliwie. Stawka była ogromna. O trzy miejsca premiowane awansem do dalszej gry rywalizowało osiemnastu szachistów. Trzy szybkie remisy przyszły niemal bez walki. Zwieriew był niezadowolony. Dał mu przez telefon reprimendę, że pojechał do Hawany walczyć, a nie markować grę. „Brak polotu i zbytnia ostrożność”, tak scharakteryzował partie Olega biuletyn „Szachy w ZSRR”. Na tle Antonowa gra Romancewa świeciła blaskiem. Cztery zwycięstwa z rzędu ustawiły go na czele tabeli. W czwartej rundzie do Olega uśmiechnęło się szczęście: pokonał czarnymi Weissa, który w niedoczasie roztrwoniał całą przewagę i wpadł w prostą pułapkę. Rozluźniony pierwszym zwycięstwem, pokonał w następnych rundach van Wella i przedstawiciela gospodarzy Domingueza. Po sześciu rundach tabela wyglądała następująco: Romancew 5,5 punktu, Magnusson i Lyne – po 5, Antonow – 4,5. W siódmej rundzie Antonow spotkał się z Romancewem. Jak się można było spodziewać, padł szybki remis tuż po rozegraniu debiutu. Decyzja o remisie zapadła w Sportkomitecie, jeszcze zanim obaj usiedli do szachownicy. W ósmej rundzie Antonow stanął przed trudnym zadaniem, na jego drodze stanął Sztejn, który rozdrażniony bardzo złym początkiem, za wszelką cenę chciał się odegrać.

Tym razem zabrakło instrukcji z Moskwy, jako że Sztejna spisano w tym turnieju na straty, a obaj z Antonowem nie cieszyli się sympatią ani zaufaniem Sportkomitetu. Partia należała do tych, które sprawiają, że wokół graczy tworzy się ciasny krąg obserwatorów, i okazała się dla Antonowa bardzo trudna. Mimo to niespodziewanie udało mu się uratować pozycję, którą większość widzów uznała za przegraną, dzięki bardzo śmiałej ofierze figury za dwa piony. Po partii Sztejn długo analizował z nim warianty, wciąż nie dowierzając, że nie udało mu się wygrać takiej końcówki. Partia zrobiła na obserwatorach duże wrażenie i okazała się przełomowa dla obu graczy. Antonow uwierzył, że towarzyszy mu szczęście i to może być jego turniej, a rozczarowany Sztejn uznał, że dla niego zawody się skończyły, całkowicie się rozluźnił i zaczął grać swoje kombinacyjne szachy z taką lekkością, że niespodziewanie przynosiło to doskonałe rezultaty, i szybko nadrabiał stracony dystans.

Oleg zauważył, że kolejni przeciwnicy siadali do gry przeciwko niemu z coraz mniejszą wiarą. A to dodawało mu pewności siebie. W dziesiątej rundzie dogonił prowadzącego Romancewa i od tej pory niczym kolarze uciekający przed peletonem zaczęli wymieniać się pozycją lidera, wzajemnie się mobilizując do ostrej, bezkompromisowej gry przeciwko swoim rywalom. Kiedy Antonow widział, że Romancew ma na swojej szachownicy wygraną pozycję, natychmiast czuł dodatkową mobilizację i intuicyjnie zaczynał zaostrzać pozycję w poszukiwaniu wygranej. Ta rywalizacja wpływała na nich jak środek dopingujący. Przed ostatnią rundą obaj prowadzili z przewagą pół punktu nad Molnarem i Magnussonem. Bondariewski zaproponował, żeby Antonow i Romancew zremisowali swoje partie, by ominąć niepotrzebne napięcie. Porażka jednego z nich, przy wygranych Molnara i Magnussona, mogła oznaczać spadek na czwarte miejsce. Molnar grał ze Sztejnem, który wciąż miał szansę na trzecie, premiowane awansem, miejsce. Decydująca runda rozpoczęła się równo o dziesiątej. Około dziesiątej trzydzieści Romancew podszedł do stolika Antonowa, by upewnić się, że ten wypełnił instrukcje Bondariewskiego, zanim sam zaproponuje remis swojemu przeciwnikowi. Ze zdumieniem stwierdził jednak, że Antonow gra bardzo ostro, licząc na wygraną. „Smarkacz”, szepnął rozdrażniony i wrócił do swojego stolika. Ostatecznie obaj wygrali swoje partie, choć Romancewowi pomógł w tym wydatnie prosty błąd przeciwnika. Bondariewski określił zachowanie Antonowa jako „skrajnie nieodpowiedzialne” i umieścił jego opis w raporcie. Końcowa tabela: Romancew i Antonow po 12,5 punktu, Sztejn – 12, Molnar – 11,5, Magnusson – 11,5. Ten wynik oznaczał, że trzech radzieccy szachiści: Romancew, Antonow i Sztejn zakwalifikowali się do meczów pretendentów, gdzie czekali na nich zwycięzcy turnieju w Bugojno: Nikolić, Olafsson i Bird, a także turnieju w szwajcarskim Biel: Krutin i Szabo.

Aby uczcić sukces, Sztejn wyciągnął Antonowa i Romancewa do knajpy. Najpierw jednak musieli zgubić towarzyszącego im wszędzie oficera KGB, którego przydzieliła szachistom ambasada. Wymknęli się przez wielkie hotelowe patio z

basenem, usytuowane na tarasie, z którego spuścili się po linie zrobionej z powiązanych ręczników kąpielowych.

– Opatentowaliśmy to z Krutinem. – Sztejn zaśmiał się wesoło. – Czasem zwiewaliśmy tak prosto z balkonu. Drugi sposób to okno w toalecie. Niby każdy to zna, a ciągle działa.

Po ucieczce z hotelu szli ulicami Hawany, która tonęła w zieleni. Pomimo wieczornej pory nadal było parno i duszno. Stanęli przy nadmorskiej promenadzie Malecón i patrzyli na kilkumetrowy klif, o który rozbijały się turkusowe fale. Szum morza mieszał się z dźwiękami gitary, na której grał stary ciemnoskóry mężczyzna, pomarszczony jak jaszczur. Krętymi uliczkami przeszli na postój taksówek, zatrzymując się na chwilę w przydrożnym barze, by spróbować napoju z owoców mamei. Napój oczarował Olega mnogością barw i płynących z tego smakowych doznań. Rozglądali się ciekawie dookoła, część domów musiała pamiętać jeszcze czasy konkwistadorów. Ale nie wszystkie urzewały rozkoszną witalnością. Czasem spoglądali na wspaniałe niegdyś budynki, których okna brutalnie pozabijano deskami. Sztejn postanowił zawieźć ich do baru Floridita. W czasie drogi opowiadał im, że Hawana ma dwa najsłynniejsze bary Floridita i La Bodeguita del Medio znane przede wszystkim z powodu regularnych wizyt Hemingwaya.

– Kiedy byliśmy tam ostatnio z Krutinem, jeden Kubańczyk opowiadał nam o daiquiri floridita, najbardziej znanym tu drinku. Stworzył go Hiszpan Constantino, nazwiska nie pamiętam, bo było trudne. Więc ten Hiszpan trafił na Kubę na początku wieku i jak wielu Europejczyków pozostał na niej, zniewolony pięknem Karaibów. W kilka lat stał się właścicielem baru Floridita, w którym pracował wcześniej jako barman. Miał ambicję, by stworzyć miejsce szczególne, inne od wszystkich. Tym, co miało je wyróżniać, był napój. Constantino eksperymentował i eksperymentował, aż w końcu przygotował własne daiquiri. Był mistrzem w łączeniu smaków. Pamiętam ten przepis dokładnie, bo kupiłem składniki i po powrocie do Rygi próbowałem bez powodzenia sam przyrządzić takiego drinka. Uncja i pół rumu, łyżeczka cukru, sok z połowy limonki kubańskiej i pięć kropli likieru maraschino. No i okazało się, że wyszedł mu niebiański napój. Od tego momentu daiquiri floridita stało się prawdziwym symbolem Kuby. Kiedyś Hemingway wlaźł do Floridity za potrzebą, a zanim wyszedł, spróbował serwowanego w lokalu daiquiri. Odtąd powracał tam codziennie. W barze bywali też Sartre, Gary Cooper czy Tennessee Williams.

Przed wejściem do lokalu poczuli podmuch silnego słonego wiatru wiejącego od zatoki. W środku uderzył w nich zapach palonych cygar i rumu, a ich oczom ukazało się imponujące wnętrze utrzymane w spokojnych i jasnych kolorach. Za barem wisiał obraz z okrętem wpływającym do starej Hawany. Na ścianach pełno było zdjęć osób, które odwiedziły Floriditę. Ujrzeli popiersie Hemingwaya i jego stolik, zabezpieczony łańcuchem, który w ten sposób pozostaje zawsze zajęty. Słyszeć było kubańskie rytmy. Oleg czuł, że pod wpływem muzyki jego nogi i

biodra same się poruszają. Dziwna tęsknota ogarnęła jego duszę, serce ścisnął mu smutek. Nawet gdyby się tu zjawiała, nie byłaby dla niego. Ta myśl odbierała mu siły. Spojrzał z zazdrością na Romancewa, który z uśmiechem spoglądał na kołyszące się w rytm muzyki piękne roześmiane Kubanki.

Zamówili daiquiri i pod wpływem jego smaku zrozumieli, jak wiele tajemnic jest jeszcze na świecie do odkrycia.

Cierpienie spowodowane zazdrością nie opuszczało Olega. Bał się, że po powrocie do pokoju rozpacz opanuje go jeszcze mocniej. Dlatego, gdy wracali, namówił ich, aby zaszli do kolejnego baru. Znów pili. Antonow tańczył z jakąś kruczoczarną dziewczyną i pragnąc choć na chwilę zapomnieć o Tatianie, stawał się wobec dziewczyny coraz bardziej natrętny. Nie pozwolił jej odejść, tylko zaciągnął niemal siłą do ich stolika. Szejn podał jej szklaneczkę daiquiri. Kiedy muzyka zamilkła, Romancew chwiejnym krokiem podszedł do pianina i z trudem trzymając się na krześle, z nieoczekiwaną maestrią i lekkością zagrał *Por una Cabeza* Carlosa Gardela. Dostał brawa, uklonił się i tym samym chwiejnym krokiem powrócił do ich stolika. Antonow oznajmił mu, że zawsze myślał o nim wyłącznie jak o sztywnym dupku i nie miał pojęcia, że umie grać na pianinie. W przyływie szczerości Romancew odwzajemnił się Olegowi uwagą, że znienawidził go, gdy ten ograł Zimmermana, bo ten zaszczyt miał należeć do niego. Siedząca z nimi dziewczyna wstała i podeszła do koleżanki. Szejn ruszył za nią. Zaczął obejmować obie kobiety. Do tej trójki podszedł jakiś mężczyzna. Oleg nie widział dokładnie, co się stało, doszło chyba do jakiejś przepychanki, nagle ludzie rozstąpili się, a Szejn leżał na podłodze, z głowy płynęła mu krew, a wokół niego widać było kawałki rozbitego szkła. Romancewowi, który ruszył w jego kierunku, zastąpił drogę jakiś kubański rybak.

Marynarz krzyknął po hiszpańsku coś, co na pewno nie było słowami powitania, i trzasnął Romancewa pięścią w twarz tak, że tamten runął na stół, wywracając szklanki.

Oleg poderwał się i jednym ciosem w splot słoneczny pozbawił napastnika oddechu.

– Bij Kubańca! – zawołał, a adrenalina dodała mu sił. – Za Pietię Zajewa! – krzyknął i wyprowadził podbródkowy, po którym marynarz upadł jak długi. – Zabiją nas, wiejemy – rzucił do Romancewa, rozbijając porwaną z blatu butelkę i trzymając ostro zakończoną stroną w kierunku zbierającej się wokół nich grupki mężczyzn. Romancew pozbierał się jakoś i widząc, co się dzieje, złapał Szejna pod pachy i zaczął ciągnąć do wyjścia. Oleg osłaniał ich, wycofując się tyłem. Zaczęli uciekać ze zwieszonym na ich ramionach Szejnem. Kiedy schowali się w pierwszym zaułku, nie mogli złapać tchu.

– No, Misza – sapnął Romancew, spoglądając na dłoń lepłą od krwi z pękniętego łuku brwiowego. – Na pewno było lepiej niż z Krutinem! Dziękuję – zwrócił się do Olega. – Ten drab by mnie zabił. – Poklepał Antonowa po ramieniu, z trudem

łapiąc oddech.

– Ano pewnie tak. O jednego rywala w szachach mniej. – Oleg się zaśmiał. – Tylko jej byłoby szkoda.

– Jakiej jej? – wysapał Romancew, ciężko łapiąc oddech.

– Bułanowej, twojej narzeczonej.

– Narzeczonej? A skąd taki pomysł?

– No, widziałem was w telewizji.

Romancew roześmiał się na całe gardło.

– A jakaż ona moja narzeczona? Aktorka po prostu. Grała swoją rolę i tyle. Nie wszystko w życiu jest takie piękne i filmowe. Ale pomarzyć można.

Incydent z nocną ucieczką nie uszedł uwadze Bondariewskiego, który napisał raport, nie wspominając w nim jednak o Romancewie.

Zwieriew spoglądał na telegram z końcowymi wynikami. Łzy napłynęły mu do oczu. Cokolwiek miało się stać w przyszłości, czuł, że spełniło się marzenie jego życia, doprowadził swojego ucznia do cyklu pretenckiego. Czekał na to dwadzieścia trzy lata.

Moskwa, październik 1985

– W wyniku losowania – Olga Lwowna czytała na głos gazetę – wyłoniono następujące pary pretendentów: Romancew – Bird, Antonow – Szabo, Sztejn – Olafsson, Krutin – Nikolić.

– Trudno uwierzyć, że nasz Oleg wspiął się tak wysoko – stwierdził Lew Mojsiejewicz, popijając herbatę. – Wiadomo było, że ma w sobie to coś, że bystry chłopak z niego i że uparty w dążeniu do sukcesu. Ale wiesz, Olgo, jak to spotyka cię we własnej rodzinie, to jakoś trudniej ci uwierzyć, że znany na świecie, doceniany. Dla mnie to wciąż nasz mały Oleg.

– A myślisz, że mnie jest łatwo? – Olga Lwowna położyła rękę na ramieniu ojca. – Patrzeć tylko, jak któregoś dnia przyprowadzi jakąś dziewczynę, przedstawi mi ją... I co wtedy? Zostanę sama?

– Taka kolej rzeczy – westchnął Lew Mojsiejewicz. – Tak to już jest.

– A tam, gadanie – zaprotestowała córka. – Nigdy się z tym nie pogodzę.

– Pogodzisz, pogodzisz – rzucił ze śmiechem Lew Mojsiejewicz. – Inaczej

powiem, że jesteś głupia.

– Ech – mruknęła Olga Lwowna. – A ty tato? Jak sobie radzisz sam?

– Chyba nie czuję, że jestem sam. Po prostu do mnie to jeszcze nie dotarło. – Zamyślił się na dłuższą chwilę. – Rano jedliśmy śniadanie – zaczął, a głos lekko łamał mu się ze wzruszenia. – Poszła do kuchni, ja do łazienki. Czytam gazetę, krzyczę coś do niej, nie odpowiada. Myślę, moja Kirus musi sobie taką tubkę do ucha zacząć przystawiać, wiesz, dawniej były takie, co to wyglądały jak tuba od patefonu. Wychodzę z łazienki. Leży na podłodze. Ukląkłem przy niej i płakałem jak dziecko, mówię ci, Olgo, płakałem jak dziecko. Nalej mi kieliszek, bo zaraz mi będą kapać łzy, ściekają tak zabawnie po nosie. – Wychylił kieliszek. – No to mówisz, że Oleg sławny, i boisz się, że przyprowadzi ci do domu kobietę. A ona, co? Siedzieć będzie na kanapie, oglądać telewizję w kapciach i ziewając, prosić, byś jej kawę zrobiła, bo jakaś taka niewyspana jest, mimo że już południe?

– Oj, przestań. – Olga Lwowna szturchnęła ojca. – Pogoniłabym taką.

– A myślałaś o tym, kogo chciałabyś zobaczyć?

– Ha, dobre pytanie. – Olga Lwowna się zadumała.

– No i? – spytał Lew Mojsiejewicz po kilku minutach oczekiwania. – Namysliłaś się?

– Sama nie wiem. Na pewno chciałabym, żeby miała osobowość i nie dała sobie wejść na głowę. Oleg to marzyciel, z taką za bardzo uległą to razem zginą. Ale z drugiej strony, żeby nie była zbyt taka, no...

– Egzaltowana?

– To znaczy?

– No, taka przewrażliwiona na swoim punkcie.

– Tak, tak, to by było najgorsze. Nie wiem, jaka powinna być. Czy ja i Igor byliśmy dopasowani? Czy w ogóle się można jakoś tak w życiu dopasować?

– A mówią, że najlepiej to się uzupełniać, wtedy jest jak z magnesami.

– Może.

– Ale wiesz, Olu, najważniejsza, jakkolwiek by na to patrzeć, jest miłość. Bez miłości to jak u Czechowa: siedzą i narzekają na los. Jak ta Masza w *Mewie*. Noszą żałobę po swoim straconym życiu, choć mają zaledwie dwadzieścia kilka lat. Przeżyłem wojnę, więzienie, teraz śmierć Kiry, a nie mógłbym powiedzieć, że straciłem życie. Mam dwie córki, mam wnuki, zawód, który chciałem wykonywać, ot co. Nie oczekiwałem od życia zbyt wiele.

Olga Lwowna westchnęła.

– Oleg był niedawno zakochany.

– Co ty mówisz? – zainteresował się Lew Mojsiejewicz. – W kim? Poznałaś ją?

– Nie poznałam. Aktorka jakaś. Najpierw myślał, że ona jest z Romancewem...

- Z tym Romancewem? Szachistą?
- No z tym.
- A co oni tak razem upodobali sobie jedną?
- Ano widzisz, taki los. Ale to, że ona z tym Romancewem, okazało się nieporozumieniem. Więc Oleg ma ostatnio lepszy humor.
- Myślałem, że lepszy humor to ma z powodu wygranych w turniejach.
- Ano widzisz, tato, z młodymi, zakochanymi to inaczej bywa. Mają swoje spojrzenie na świat.
- No, jestem młody, więc go rozumiem. – Lew Mojsiejewicz się zaśmiał. – Aktorka mówisz. Mm, ładna chociaż?
- Tato...
- Pewnie ładna. A to nie ta Daria Suworowa? Przecież mówiłaś mi kiedyś, że z nią był Romancew.
- Nie, nie Suworowa. O tej nie wiem tak naprawdę nic. Oleg mi słowa nie powie. Ech, te ich wszystkie tajemnice...
- No tak. Też taki byłem. Wszyscy tacy jesteśmy.
- Prawda.
- O której wraca Oleg?
- Powinien być lada chwila.
- To dobrze, że pamięta i że szanuje pamięć dziadka. Bardzo lubiłem Leonida. Mimo że inna natura, to dobrze się przy nim czułem, taki otwarty człowiek.
- Nawet kwiatów tam pod stadionem nie mogą zostawić. Nie mówiąc już o pomniku pamięci. Oleg był wzywany na milicję, straszili go, że jeśli będzie wspierał innych kibiców w tym pomysle, to nie dadzą mu więcej paszportu.
- Taki los.

Po wejściu na cmentarz Oleg kupił kwiaty. Potem wolnym krokiem skierował się wąskimi alejkami pośród nagrobków opatrzonych pomnikami, rzeźbami czy zwykłymi zdjęciami zmarłych ku mogiłom ojca i dziadka. Z daleka zobaczył znajomą sylwetkę mężczyzny.

- Dzień dobry, Nikiforze Gawriłowiczu – przywitał się. – Wy tu?
- Przychodzę co dzień trochę pogadać – odezwał się Nikifor Gawriłowicz, uśmiechając się nieśmiało. – Złości mnie. – Wskazał palcem na grób Leonida Iwanowicza. – Bo ciągle mi dokucza. „Nikuś to”, „Nikuś tamto”, ciągle narzeka, ale się do niego tak przyzwyczaiłem, że nawet jego docinki cierpliwie znoszę.

Oleg usiadł obok Nikifora Gawriłowicza i spojrział na owalne zdjęcie dziadka umieszczone na płycie grobu.

– Opowiadał mi o Spartaku – ciągnął Nikifor Gawriłowicz. – Z kim grał, który jest w tabeli. Oczywiście, zawsze wtrąca swoje trzy grosze, wymądrza się, jak ustawiłby drużynę, jaką obrałby taktykę. Nic się nie zmienił. Pyta też o boks, więc muszę śledzić na bieżąco, co tam się dzieje, i mu relacjonować. Nie dalej jak wczoraj mówi do mnie: „Nikifor, pamiętasz jak Muhammad Ali powiedział, że pierwszą rundę przegrał z naszym pięściarzem? To był nasz Pietia Zajew. Znaczący uznał, że Pietia mu trochę dołożył”. Ja mu mówię, że gdyby Amerykaniec walczył całe trzy rundy i na poważnie, to Zajew by dostał łomot. A on w swoim stylu: „Nikuś, ty się co najwyżej znasz na pieczeniu kiełbas na swoim grillu, a nie na boksie”.

– Dziękuję, Nikiforze Gawriłowiczu. – Oleg pokiwał głową, jakby chciał pokazać, że docenia jego poświęcenie. – Dziękuję, że mu towarzyszyście i że ma z kim pogadać. Zawsze powtarzał, że choć się spieracie, jesteście najlepszymi przyjaciółmi, że za wami w ogień by skoczył.

– Ja za nim też. – Nikifor Gawriłowicz otarł łzę z oka. – Choć Lonia pewnie stwierdziłby, że jestem gruby i że skacząc w ogień, wytopię sobie słoninę na bokach.

Zaczęli się śmiać. Siedzieli tak jeszcze kilka minut, rozmawiając. Oleg położył kwiaty na grobach ojca i dziadka, po czym odszedł, zostawiając Nikifora Gawriłowicza samego.

W listopadzie rozpoczęły się mecze pretendentów mające wyłonić dwóch finalistów do walki o tytuł mistrza świata. Zgodnie z regulaminem w pierwszej rundzie grano po osiem partii. Romancew wyjechał do Sztokholmu na mecz z Birdem. Grał bardzo źle. Przegrał czarnymi pierwszą i trzecią partię, przy szczęśliwym remisie w drugiej. Wreszcie w czwartej udało mu się zmniejszyć dystans do przeciwnika, wygrywając ją, by znów doznać porażki w piątej przez prosty błąd. Pachniało sensacją i nikt nie mógł wytłumaczyć słabej gry Romancewa. I nagle nastąpił jego zryw – trzy wygrane z rzędu i ostatecznie zwycięstwo w całym meczu: cztery i pół do trzech i pół.

Dla Olega ćwierćfinałowy mecz z Węgrem Szabo okazał się łatwiejszy, niż się spodziewał. Przegrał tylko w pierwszej partii. Po serii trzech remisów, które pozwoliły mu oswoić się z napięciem i przywrócić wiarę we własne umiejętności, wygrał trzy kolejne partie i jedną zremisował. Ostatecznie zakończył pojedynek wynikiem pięć do trzech.

Tydzień później odbyło się losowanie par półfinałowych. Romancew miał zmierzyć się z Antonowem, Krutin z Olafssonem, który niespodziewanie łatwo pokonał Sztejna.

Sportkomitet dotrzymał słowa. Zrobiono wszystko, by Romancew miał wreszcie „swoją cykl”. Mecz z Antonowem, którego rozpoczęcie zaplanowano na koniec marca, miał zostać rozegrany w prestiżowej Sali Koncertowej imienia

Czajkowskiego w Moskwie. W skład ekipy Romancewa wchodził jego nowy trener Wasiukow, a także Sztejn, Wolf, Radczenko i w razie potrzeby czterech innych arcymistrzów. Organizacją pracy zespołu zajął się Bondariewski. Role były rozpisane. Arcymistrzowie pracowali w grupach: pierwsza przygotowywała debiuty przeciwko otwarciom i stylowi gry Antonowa, druga opracowywała wzmocnienia i nowinki w obronach stosowanych przez Romancewa: w obronie hetmańsko-indyjskiej, Nimzowitscha oraz Caro-Kann. Trzecia, którą stanowili Sztejn i Radczenko, szachiści grający w podobnie agresywnym stylu jak Antonow, służyła pretendentowi jako sparingpartnerzy.

Zespół Olega złożony ze Zwieriewa, Denisowa i Makarowa zazwyczaj zbierał się u Antonowów w domu. Nie wiedzieli za bardzo, jak podejść do przygotowań. Robili to chaotycznie i trochę na wyczucie. Potrzebowali wsparcia, ale wszyscy arcymistrzowie odmówili im pomocy. Zwieriew zaproponował debiuty: na e4 – obronę sycylijską, wariant Scheveningen lub Paulsena. Na d4 zaś niespodziankę: zamianę obrony Grünfelda i królewsko-indyjskiej, całkowicie nowy debiut: obronę Tarrascha.

– Nikt z zespołu Romancewa nie będzie podejrzewał takiego ruchu – argumentował. – To dynamiczny debiut, podobna gra figurowa jak w ulubionym przez Olega „Grünfeldzie”.

Zgodzili się, pod warunkiem dodatniego wyniku w sparingu z Makarowem. Próbné partie z wykorzystaniem obrony Tarrascha przyniosły bardzo dobry rezultat: siedem zwycięstw i trzy remisy. To zrobiło na wszystkich wrażenie. Przede wszystkim zaś dały Olegowi dobre czucie nowego otwarcia i pewność siebie. Byli pełni optymizmu.

Zazwyczaj siedzieli do późnego wieczoru. Zostawali na kolację przygotowywaną przez Olę Lwową.

Wiosenna Moskwa była piękna. Oleg wracał trolejbusem z uczelni pełen marzeń. Wierzył w siebie. Wierzył bardzo mocno.

Klimat meczu był niezwykły. Po głośnych artykułach w prasie zachodniej Antonow był kojarzony z nowym myśleniem, z pragnieniem wolności i zmian, niektórzy nazywali go „dzieckiem pieriestrojki”. Romancew, syn byłego aparaczyka, przeciwnie – symbolizował stare struktury partyjne, niechętnie zmianom. Mecz składał się z ośmiu partii. Do pierwszej kolor biały wylosował Romancew.

**Partia pierwsza: obrona sycylijska, wariant Scheveningen
białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow**

Wchód słońca nad Moskwą przesiąknięty był wilgotną parą, która unosiła się w powietrzu, czyniąc je zamglonym. Światło słońca leniwie przenikało tę delikatną mgiełną pajęczynkę, pozostawiając na niej część swego blasku, co sprawiało, że

nad okolicznymi blokami unosiła się przedziwna poświata, jakby niebo zsunęło się ze swego piedestału. Okna w blokach lśniły niczym lustra, które dodatkowo od dołu oświetlały to monumentalne zjawisko.

Oleg przyglądał się temu w milczeniu, myśląc, że wygląda to jak pole bitwy dla dwóch tytanów. Obudził się jeszcze przed świtem i potem nie mógł już zasnąć. Czuł ucisk w klatce piersiowej. Bał się przyznać matce, by nie kazała mu iść do lekarza. Siedział na stole przy oknie, dopóki nie usłyszał jej głosu z kuchni:

– Głowa cię będzie boleć, jeśli nie wstaniesz.

Wstał, bo już zaczynała boleć. Włożył szlafrok i poszedł do łazienki. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Nie był zbudowany tym widokiem. W oczach krył się stres.

– Jajecznicą gorąca, pospiesz się! – krzyknęła ponownie matka.

– Idę.

Usiadł i zaczął jeść z apetytem, zagryzając kromką czarnego chleba.

– Wychodzę do pracy – odezwała się Olga Lwowna, przyglądając się uważnie synowi. – W lodówce zostawiłam ci obiad. Zjedz, bo potem nie będziesz miał siły grać.

– Zjem. A co zrobiłaś?

– Twoje ulubione mięso wołowe w sosie śmietanowym.

– Zjem.

– Przyjadę prosto na mecz.

– Przyjedź, tylko nie krzycz z widowni, gdy będę przegrywać. – Zaśmiał się.

– Nie przegrasz. – Pokiwała głową. – Matczyzna intuicja podpowiada mi, że dziś wszystko będzie dobrze.

– Tylko dziś?

– Nie nadużywaj matczynej intuicji – zażartowała. – Jedz, doprowadź się do porządku. Idź na spacer, dobrze ci zrobi, jak się trochę przewietrzysz.

– Daj mi lepiej coś na uspokojenie.

– Nic ci nie dam. Będziesz senny. Idę.

Oleg został sam. Kręcił się po mieszkaniu w piżamie. Wypił cztery herbaty. Zadzwoił Zwieriew, żeby zapytać, czy ma przyjść. Antonow nie chciał.

– Spotkamy się na miejscu – rzekł trenerowi.

– Jak chcesz, nie spóźnij się.

Cały dzień spędził sam. Przymykał oczy i wstrzymywał oddech, by zbadać, czy ma w sobie natchnienie, tę magiczną siłę, która pozwalała mu łatwo wygrywać w Nowym Orleanie, ale stres wypierał cały zapał twórczy, co wzbudziło w nim uczucie lekkiej paniki. Znów się położył do łóżka, aż do pierwszych oznak bólu

głowy. W końcu włożył golf, spodnie, czarną kurtkę z kapturem i poszedł na spacer.

Wszystkie bilety na dzisiejszy wieczór były wykupione. Na widowni miało więc zasiąść tysiąc sześćset osób. Oleg zdecydował, że będzie lepiej, jeśli zapomni o widzach. To mogło utrudniać koncentrację. Ale cieszyło jego próżność. Tuż przed wyjściem zadzwonił wuj Jurij Borisowicz ze słowami wsparcia:

– Bądź jak Iljuszyn: solidny, dynamiczny, wznoszący się ponad chmury! – Śmiał się podekscytowany.

Antonow pojechał do centrum metrem. Wsiadł na stacji Puszkinskaja, by przejść się jeszcze przez moment, pomyśleć o tym, co ma się wydarzyć.

Jednym ze szczęśliwców, którzy zasiedli w sali koncertowej, był dziesięcioletni szachista Sasza Arszawin, którego na mecz zabrał ojciec.

– To wariant Scheveningen – szepnął ojciec, nachylając się do ucha chłopca, by objaśnić mu debiut, który rozgrywali na scenie pretendenci.

Gdy Sasza usłyszał tajemniczą nazwę, przeszedł go dreszcz. Scheveningen, powtórzył w myślach i ścisnął jeszcze mocniej kciuki za Antonowa.

Obaj gracze wykonywali szybko posunięcia, aż do szóstego, gdy Romancew postawił piona na g4. Antonow pochylił nisko głowę. Był wyraźnie zdeprimowany nowinką.

– Antonow próbował ominąć atak Keresa, najpierw stawiając skoczka na c6 – szepnął ponownie ojciec do Saszy. – Ale Romancew go zaskoczył, grając tak samo, jakby to był atak Keresa, pomimo że w tej pozycji nikt tak jeszcze w historii nie zagrał.

Aż pół godziny obmyślał Antonow plan obrony, by wreszcie wybrać skromne posunięcie pionem na linii „h”.

– Boże mój, więcej nie będę tu przychodzić – mruknęła pod nosem Olga Lwowna. – Nic nie rozumiem, co się dzieje. Czy Oleg wygrywa, czy przegrywa? Potrzebuję kogoś, kto mi to wszystko wytłumaczy.

Zwieriew zapisywał posunięcia, przygryzając wargi, i analizował w myślach pozycję, którą odczytywał z tablicy. Gra szybko nabrała ostrego charakteru. Doszło do wymiany figur i obustronnych ataków. Aleksander Władimirowicz spojrzał na Antonowa. Nie widział w nim już lęku. Poczuł wielką ulgę, bo zrozumiał, że tego wieczoru nie stanie się nic złego. Po trzech godzinach gry Romancew uzyskał lekką przewagę, miał piona więcej, ale przy różnopolowych gońcach jego przewaga była nie do zrealizowania. Wykonując trzydzieste drugie posunięcie, Antonow szepnął coś do Romancewa. Ten spojrzał na szachownicę i skinął głową na znak, że przyjmuje propozycję remisu. Obaj gracze uścisnęli sobie dłonie, po czym, nie odchodząc od stolika, analizowali to, co się wydarzyło przed chwilą na desce. Publiczność biła brawo.

Czekali na niego pod budynkiem. Olga Lwowna nie zgodziła się, by Zwieriew, Denisow i Makarow przyjechali do nich na wieczór.

– Oleg musi odpocząć – zaprotestowała. – Znam go i wiem, że w środku cały się trzęsie. Przyjedźcie z samego rana.

Oleg nie nalegał. Zdążył tylko rzucić do Zwieriewa:

– Widziałem w jego oczach, że wszystko ma ułożone z góry, że wie, jak postawię figury. To było straszne.

Wracali do domu samochodem Jurija Borisowicza.

– Remis to dobry wynik, czarnymi, na otwarcie – odezwał się po dłuższej chwili Lew Mojsiejewicz. – Jestem z ciebie dumny i wiem, że pokażesz temu bufonowi swoją siłę. Przywiozłem ze sobą trochę leków – dodał, zwracając się do Olgi Lwowny. – Mam coś na uspokojenie. Przyda się, byś spokojnie zasnął.

– Tylko nie przesadź, bo jutro musi mieć świeżą głowę.

Oleg siedział bez słowa z czołem opartym o szybę.

– Dobrze się czujesz? – spytała zaniepokojona matka.

– Zmęczony i zimno mi – wyszeptał.

– Zrób mu gorącą kąpiel, taką kąpiel. Dodamy soli – poradził Lew Mojsiejewicz.

Zwieriew nie wytrzymał. Około dziesiątej zadzwonił i Olga Lwowna usłyszała przeprosiny trenera i tłumaczenie, że jednak musi zamienić z Olegiem dwa słowa.

Przepasany w ręcznik Oleg wziął od matki słuchawkę.

– Wygląda jak Igor, tak samo dobrze zbudowany – rzucił Jurij Borisowicz, popijając herbatę.

– Dużo ćwicz – przytaknął Lew Mojsiejewicz. – I dobrze. Teraz tężyzna fizyczna będzie jak znalazł.

– Dobry początek, Oleg – sapał do słuchawki Zwieriew. – Jutro mamy biały kolor, gramy spokojnie, d4, potem skoczek na f3, ciśniemy, szukamy szansy na wygraną, ale bez ryzyka.

Partia druga: obrona hetmańsko-indyjska

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Oleg wstał wcześniej. Aby zrzucić z siebie stres, postanowił pojechać na rowerze do parku Gorkiego dawną trasą, jaką co niedzielę pokonywał z dziadkiem Lonią. Nad wodą trochę poćwiczył, poruszał się, walczył z cieniem. Od rana czuł w sobie tak wielkie emocje, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Grał białymi i doskonale wiedział, że trzeba zaatakować, walczyć o wygraną. Dystans ośmiu partii był krótki i zmarnowanie białego koloru poprzez szybki remis nie wchodziło w grę.

Około południa zjawił się jego „sztab”.

– Chodźcie coś zjeść – zaproponował Denisow. – Kiszki grają mi marsza. Nie potrafię tak o pustym brzuchu myśleć.

Poszli. Jedzenie było złe. Zapili je piwem, inaczej nie dało się zjeść. Oleg nie pił, Zwieriew nie pozwolił, choć Denisow przekonywał, że mu nie zaszkodzi. Potem wdał się w długi wywód, ilu to wielkich mistrzów grało na rauszu i jak fantastycznie potrafili wygrywać.

– Weźmy takiego Miszę Sztejna – argumentował. – Ileż to razy Misza z trudem trzymał się na krześle, a grał jak natchniony.

Popołudnie spędzili na poszukiwaniu sposobu, by Oleg poczuł przyływ „natchnienia”. W końcu Denisow zdrzemnął się i chrapał, leżąc na kanapie. Zwieriew z Makarowem próbowali raz jeszcze przeanalizować wszystkie możliwe schematy związane z planowanym przez nich manewrem skoczka na pole e5 przeciwko obronie hetmańsko-indyjskiej. Antonow wziął prysznic, przebrał się w garnitur, założył zegarek poljot. Był gotów do walki.

Również o siedemnastej na scenie Sali Koncertowej imienia Czajkowskiego sędzia włączył zegar i Antonow wykonał posunięcie pionem królowej. Odchylił się na fotelu i czekał na wejście Romancewa. Przeciwnik pojawił się po trzech minutach, szybkim ruchem uściśnął dłoń Antonowa, który specjalnie zacisnął ją mocniej niż zwykle, i odpowiedział skoczkiem na f6. Rozpoczęli rozgrywanie debiutu. Nastąpił moment, w którym Antonow wykonał przygotowany przez jego zespół manewr skoczkiem. Zaczął forsować rozwój wydarzeń. Szukał za wszelką cenę agresywnego spięcia. Romancew nie cofnął się ani o krok. Nie sprawiał wrażenia zdeprymowanego. Obaj gracze tracili dużo czasu na szukanie optymalnych planów ataku i kontrataku. Ocena pozycji zmieniała się z każdym posunięciem i szala przewagi kołysała się niczym statek miotany sztormem. W końcu w ostrym niedoczasy Antonow zaryzykował i – zdaniem Zwieriewa – przecenił siły. Trener czuł, że jego serce nie wytrzyma napięcia. Widział, jak podopieczny wykonuje seryjnie złe posunięcia, nie mógł zrozumieć, co siedzi w głowie Olega. Nie trzeba było długo czekać, Romancew rozpoczął kontrę i pozycja Antonowa stała się wkrótce trudna do obrony. Zwieriew zacisnął dłonie, szepcząc pod nosem kolejne posunięcie, jakby chciał podpowiedzieć swojemu uczniowi jedynie rozsądny plan na uratowanie remisu. Ale Oleg nie słyszał. Wykonał swój ruch, po którym sytuacja stała się dla jego figur beznadziejna. Ale ku zdumieniu Aleksandra Władimirowicza Romancew, mając kilka sekund na ostatnie posunięcie przed kontrolą czasu, wykonał ruch, który zamiast zagwarantować mu wygraną, dawał Olegowi szansę na remis poprzez wiecznego szacha. W tym miejscu partia została odłożona. Antonow zapisał tajne posunięcie, spojrzawszy w oczy Zwieriewa i podał kopertę z formularzem sędziemu. Na twarzy Olega poza napięciem można było dostrzec wyraz ulgi. Wiedział, że błąd przeciwnika uratował go przed pewną klęską. Wciąż pozostawało pytanie, czy da się obronić pozycję podczas

zaplanowanej na następny dzień dogrywki.

– Co się dzieje? – spytała Olga Lwowna. – Remis?

– Nie, partia została odłożona – odrzekł Zwieriew, który nie potrafił ukryć rozczarowania. – Jutro dogrywka. Trudna sytuacja, ale wydaje mi się, że jest szansa na remis przez wiecznego szacha.

Tym razem wszyscy przyjechali do Antonowów. Denisow uspokajał. Oleg był zły na siebie, przeklinał pod nosem. Denisow i Zwieriew siedzieli do rana, analizując pozycję. Makarow miał przygotować debiut na trzecią partię. Olga Lwowna przynosiła kawę i jedzenie. O świcie obaj trenerzy, bladzi ze zmęczenia, opuścili mieszkanie przy Kooperatywnej z silnym przekonaniem, że partię uda się zremisować. Antonow ledwo powstrzymywał się od torsji. Około południa zadzwonił Zwieriew.

– Zaproponowali remis – rzekł zmęczonym głosem. – Powiedziałem, że oddzwonię po konsultacji z tobą.

– To co? Godzimy się – rzucił z ulgą Oleg.

– No pewnie, że się godzimy – przytaknął poirytowany Zwieriew. – Ech. Oni w ogóle nie tracili czasu na analizę. Już wczoraj wiedzieli, że się zgodzimy, i spali całą noc w najlepsze.

– Zemścimy się – wycedził Oleg. – Widzimy się wieczorem, aby ustalić, co gramy jutro. Idę spać, bo czuję się fatalnie.

Partia trzecia: obrona Tarrascha

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

– Dziś nie dam rady przyjść na mecz – oznajmiła przy śniadaniu Olga Lwowna. – Mam dzień otwarty w szkole. Nie gniewasz się, prawda?

– Nie. – Oleg się uśmiechnął. – Najwyżej mogę żałować, że nie zobaczysz partii, bo zapowiada się fajna bitwa. Czuję, że obrona Tarrascha została wymyślona właśnie dla mnie. Gra z izolowanym pionkiem w środku, ze wszystkimi aktywnymi figurami w boju, to coś, co bardzo mi odpowiada. Dziś nie czuję stresu, czuję ekscytację.

– To dobrze. – Olga Lwowna pokiwała głową. – Kiedy jesteś w takim nastroju, zazwyczaj świetnie ci idzie.

– Najważniejsze, że Romancew spodziewa się obrony Grünfelda. Będzie kompletnie zaskoczony, a to da mi kolosalną przewagę. Mam dobre przeczucia.

– Przyjdą tu przed partią? Przygotować coś dla nich na obiad?

– Nie, pojedę sam.

– W lodówce masz strogonowa. Odgrzej, nie przypal. Ziemniaki w garnku.

– Poradzę sobie.

Olga Lwowna dopiła herbatę, umyła szklanę, pocałowała syna w czoło i wyszła, zabierając po drodze torebkę i siatkę z klasówkami uczniów.

Tego dnia, gdy Romancew wchodził na scenę Sali Koncertowej imienia Czajkowskiego, czuł spokój. Nie opuszczało go uczucie pewności siebie, które wzmógł, wkładając garnitur, zazwyczaj przynoszący mu szczęście. Witając się z Antonowem, nawet na niego nie spojrzał. Debiut przygotowany przez zespół Olega, mający stanowić jego sekretną broń, Romancew rozegrał praktycznie bez zastanowienia, na pierwsze piętnaście posunięć zużywając zaledwie dwie minuty. Po czym manewrem skoczka na pole f5 pozbawił rywala inicjatywy i skazał na bierną obronę, której ten nienawidził.

Tuż przed kontrolą czasu Antonow zaczął grać niedokładnie, spieszył się, widać było, że ma trudności z koncentracją. Czas na jego zegarze upływał, a on nerwowo spoglądał na tarczę i dalej zagłębiał się w rozważaniach nad kolejnym posunięciem.

– Czego to myśleć tyle? Czas ucieka – mamrotał poirytowany Zwieriew.

Antonow czuł, jakby jego nogi stawały się ciężkie, ołowiane. Oddychał szybko i płytko. Wskazówka zegara przesuwiała się, a on nie był w stanie zdecydować się na żadne posunięcie. Zwieriew z trudem powstrzymywał się, by nie krzyknąć w jego stronę: „Rusz dupę i przestań dumać!”. Oleg jakby usłyszał wypowiedziane w myślach słowa trenera. Wykonał posunięcie pionem na b5. Ale na pewno nie był to ruch, którego oczekiwał od niego Zwieriew. Widząc, gdzie umieszczono piona czarnych na tablicy demonstracyjnej, trener zaczął drapać się nerwowo oburącz po głowie. Kilka posunięć później Oleg zatrzymał dłonią zegar i wyciągnął do Romancewa dłoń na znak, że poddaje partię.

– Co to było?! – krzyknął Antonow, kiedy znaleźli się w swoim gronie w mieszkaniu przy Kooperatywnej. – Co to, kurwa, było? – powtórzył, dzieląc słowa na sylaby.

– Nie wiem, Oleg, nie wiem. Po prostu nie wiem. – Zwieriew kręcił głową.

– Widziałeś, jak grał?! – krzyczał zirytowany Oleg. – Czy ty widziałeś, jak on grał? Ani na minutę się nie zatrzymał, ani przez sekundę nie zawahał. Dwie minuty na debiut! To jest niespodzianka? Dla kogo, kurwa, niespodzianka!? Pieprzę was z takimi niespodziankami. Kurwa, kurwa, kurwa! – przeklinając, walił pięścią w oparcie kanapy.

Wszyscy milczeli. W końcu Antonow odwrócił się do Denisowa i Makarowa.

– Idźcie do domu – poprosił chłodno. – Wy zostańcie – rzucił do Zwieriewa.

Denisow i Makarow spojrzeli po sobie. Atmosfera była tak napięta, że z ulgą opuścili mieszkanie, żegnając się po cichu z Olgą Lwowną.

– Skąd wiedział? – spytał bardzo poważnym głosem Antonow. – Bo od kogoś musiał dostać informację. Nie bądźmy dziećmi. Denisow?

– Denisowa znam dwadzieścia lat. Nie zrobiłby tego. Nie on.

– Więc Makarow?

– Nie masz dowodów...

– O jakich dowodach mówisz? – Antonow bezwiednie zaczął mówić do trenera na „ty”. – Debiut w piętnaście minut? Nowy, zaskakujący... Żartujesz sobie, pytając o dowody? Kpisz ze mnie? Nie życzę sobie Makarowa w zespole. Od jutra ma go tu nie być.

Zwieriew milczał. Olga Lwowna weszła do pokoju.

– Aleksandrze Władimirowiczu, zostanę z Olegiem.

Zwieriew przytaknął, bez słowa ucałował jej dłoń i wyszedł.

– On nie jest temu winien – zwróciła się do syna Olga Lwowna, siadając naprzeciw. – Jutro następna runda. Jeszcze meczu nie przegrałeś. Nie ułatwiał wrogowi zadania. Idź spać. Wypocznij.

Pokiwał głową bez słowa. Poszedł do łazienki, a Olga Lwowna wyjęła pościel z kanapy i zaczęła przygotowywać się do snu.

Partia czwarta: partia hiszpańska

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

– Mamo, pamiętasz może, jak się czuł ojciec, kiedy przegrał złoty medal na olimpiadzie? – spytał Oleg, spoglądając przez okno.

– Przed turniejem cały czas mówił: „Olga, byle nie być czwartym. Byle nie być czwartym”. Wcześniej już oznajmił: „Gdyby mieli mnie poddać, ubiję ich”. Ale w finale wiedział, że nie pociągnie. Zresztą miał już medal. Czasem tu, w kraju, wstawał z desek zupełnie nieprzytomny. Przed olimpiadą powiedział sobie: „Jak już walczyć, to niech mam poczucie, że dałem z siebie wszystko, bez rezerwy, bez lęku. Trudno, nawet jeśli tamten mi dowali, to przynajmniej następne lata nie będę myślał, że mogłem coś zrobić, a nie zrobiłem. Jak się zgrać, to się zgrać do końca”. Wiedział, że na następną olimpiadę pewnie nie uda mu się załapać. Jak na zawodnika miał już swoje lata. Ale w finale był bez szans. Amerykanin bił mocno, Igor krwawił już po pierwszej rundzie. Płakałam, gdy pokazywali go na zbliżeniu, jak ciężko oddycha, jak ktoś zmywa mu krew z twarzy. W drugiej rundzie znów poszedł do przodu i znów dostał wiele mocnych ciosów. Sędzia przerwał pojedynek, nie było szans. Jednak ojciec sam by się nie poddał, dałby się raczej znieść na noszach.

No taki był ten twój ojciec. Taki był i takiego go kochałam, bardzo kochałam. Chociaż nie był wykształcony, miał jasną duszę. Wiesz, co to znaczy? Jasna dusza

to brak bagna w środku, które każe ci szukać w filozofii i nauce wytłumaczenia dla twoich złych postępów. Ludzie, którzy mają jasną duszę, mogą mówić prosto, jak dzieci, mają dzięki temu swoją mądrość, zasady, szacunek innych. Twój ojciec miał jasną duszę...

Oleg słuchał i zapragnął być tak prostolinijny, uparty, ambitny.

Lecz tego wieczoru nie mógł znaleźć sposobu na mądrą obronę przeciwnika. Wprawdzie udało mu się uzyskać pozycję, która rokowała nadzieje, ale tylko rokowała. Ponad czterdzieści minut szukał rozstrzygającego posunięcia i nie był w stanie odnaleźć wariantu, który dałby mu zwycięstwo. W końcu, zmęczony i zaniepokojony małą ilością czasu, zaproponował remis, który Romancew przyjął.

Partia piąta: obrona Tarrascha

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

W pokoju panowała cisza. Pozostały dwie godziny do kolejnej partii, a oni nadal nie wiedzieli, jaki wybrać debiut.

– Co grać, do cholery! – krzyknął Antonow. – Od tego jesteście sekundantami, by doradzić.

I znów zapadła cisza.

– Tarrascha – rzekł cicho Zwieriew. – Nie będą się spodziewać. Wcześniej nas nie zawodził. W tamtej partii nie debiut zawinił, ale niechlujna gra w środku...

– Co wy wiecie! – wrzasnął Antonow i wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

Denisow spojrzał na Zwieriewa, ten podniósł tylko brwi.

– No i skończyliśmy na dziś przedmeczową odprawę – rzekł Denisow. – Nie wróci już?

– Nie. Już nie wróci – mruknął zmęczony Zwieriew. – Idziemy, Alosza. Nic więcej nie zwojujemy.

Tego wieczoru w Moskwie padał deszcz. Antonow zagryzł wargi i starał się uzyskać maksymalną koncentrację. Romancew szybko wykonywał posunięcia i znów na szachownicy stanęła obrona Tarrascha. Ale w piętnastym posunięciu leningradczyk zmienił plan. Wykonał ruch gońcem i stało się jasne, że pomimo wygranej w poprzedniej partii jego sztab przygotował jeszcze jakieś nowe warianty prowadzenia ataku, związane z uderzeniem na izolowanego piona czarnych.

Zwieriew spojrzał na Antonowa, który właśnie w tym momencie rzucił w jego kierunku przeszywające jak sztylet spojrzenie. To wystarczyło za cały komentarz.

Oleg bronił się rozsądnie. Zwieriew zaczął wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Z każdym posunięciem topniała przewaga Romancewa, gra się uspokajała. Po trzydziestym dziewiątym posunięciu trener mrugnął znacząco do Denisowa.

Zostało jedno posunięcie do kontroli czasu, zapewne gracze zgodzą się na remis lub odłożą partię na jutro, a on z Denisowem już sobie z tą pozycją poradzą. Jak przewidywał Zwieriew, partia została odłożona. Zdaniem wszystkich – w pozycji remisowej. Do domu wracali w dobrych humorach.

– Nie sądzę, by chcieli to dogrywać – wyraził przekonanie Zwieriew. – Przypuszczam, że rano zadzwonią z propozycją remisu.

Pili herbatę. Olga Lwowna siedziała w fotelu z kompresem na głowie. Miała migrenę, zapewne z napięcia.

– Dobrze – rzekł zadowolony z siebie Antonow. – Mamę boli głowa, musi się położyć. Spotkajmy się jutro koło dziesiątej. Popracujcie u siebie i rano pokażecie, co grać.

Poranki po nocnych analizach były jak leczenie kaca. Głowa Denisowa pękała z bólu. Trzeba było to jednak wytrzymać. Około dziewiątej zadzwonił do Zwieriewa.

– Sasza, dzwonili z remisem?

– Nie. Nikt nie dzwonił. Ale zadzwonią. Siedziałem do rana i nic nie znalazłem. Byle Oleg nie szarżował, to remis pewny.

– No tak – rzucił Denisow z lekkim wahaniem w głosie.

Zapadła cisza.

– Co cię gryzie, Alosza?

– Ano się niepokoję.

– No to mów!

– Pamiętasz Owieczkina, tego taksówkarza, co nas kiedyś wiozł z lotniska?

– Taki z wąsikiem?

– Tak, ten. Wtedy po tej zabawie u Olega byłem niedysponowany i pomógł mi wejść do mieszkania.

– Denisow, jak ja nienawidzę twoich opowieści, które nie mają nic do rzeczy! – niecierpliwiał się Zwieriew. – Rozumiem, że temat dogrywki skończyliśmy i chcesz opowiedzieć jakąś anegdotę?

– Żadną anegdotę, Sasza – kontynuował dokładnie tym samym tonem Denisow. – Ot, widzisz, koło północy ktoś dzwoni do moich drzwi. Nie spałem, więc podchodzę w szlafroku. Milicja, myślę. A tu kto? Wcale nie milicja. Owieczkin. Kaja się, że w nocy nałazi jak tajniak. „Ale pomyślałem, że to ważne”, mówi. Wpuściłem go do środka. Zrobiłem herbatę. Usiedliśmy. Ponaglam: „No, mówcie, Owieczkin, co się stało”. A on: „Nie zgadniecie, Aleksieju Eduardowiczu, kogo wiozłem przed chwilą”. Nie wiedziałem, więc milczę z miną surową, bo pomyślałem, że pijany. „Tigrana Gurgendizego”, powiada Owieczkin i klaszcze w dłonie. „Boże mój”, mówię. „I dlatego przyjechaliście do mnie o północy?”. A on ucieszył się, cymbał jeden, jakby tylko czekał na to pytanie. „To nie był zwykły

kurs”, oświadczył. „Mistrz kazał mi jeździć przez godzinę po mieście. Zapowiedział, że jak będzie trzeba, pojedziemy na Wnukowo i tam poczekamy. Czy to nie było dziwne?”. Przyznałem, że brzmiało dziwnie, bo każdemu wiadomo, że Tigran Wartanowicz to domator, zwłaszcza gdy na krótko wpada do Moskwy, i trudno sobie wyobrazić, żeby mu takie nocne przejażdżki sprawiały przyjemność. Więc zgodziłem się z Owieczkinem, czym wprawiłem go w doskonały humor. Aż podskakiwał z radości. „Ale, ale, to nie koniec”, zastrzegł od razu. „Powiedziałem mistrzowi, że przed rokiem wiozłem innego szachistę, Antonowa, gdy wrócił z Ameryki, po tym sukcesie nad Zimmermanem. Ba, nie tylko wiozłem, ale nawet zaprosił mnie do siebie na opijanie wygranej. I dodałem, że od tamtego dnia kocham Antonowa jak brata. Na co Tigran Wartanowicz mówi do mnie: «Ano i przez niego teraz krążymy po mieście. Ukrywać się trzeba przed ludźmi Romancewa, którzy nocą ściągają wszystkich do pomocy. A ja gadom nie pomogę»”.

Denisow zakończył relację. Zapadła cisza.

– No i? – spytał Zwieriew.

– No i poklepałem Owieczkina po ramieniu, i mówię mu: „Dobrzeście się spisali, Owieczkin”. Wypiłem z nim koniak. Rozpracowaliśmy całą butelkę. Wódki nie piliśmy, bo chłop mały, chuderlawy, nie wiem, ile wypić może, a przecież był samochodem...

– Denisow – zawarczał Zwieriew. – Pytam, co z tej opowieści wynika?

– A to, Sasza, że jak oni starego Tigrana do tej pozycji w nocy chcieli ściągnąć, znaczy się z remisem nie zadzwonią.

– Alosza. Daj mi się ogolić i będę u ciebie za godzinę – zdecydował Zwieriew. – Chłopakowi ani słowa.

Około południa przyjechali do Olega.

– I? – spytał od progu Antonow.

– Nic. Nie dzwonili – odrzekł Zwieriew. – Nie znaleźliśmy też jakichś powodów do niepokoju – dodał niepewnym głosem.

– Tak, przyglądałem się rano pozycji – przytaknął Oleg, wchodząc do kuchni i stawiając patelnię na ogień. – Nie ma jak sforsować czarnych. Wymienimy lekkie figury i remis.

Nigdy dotąd Zwieriew i Denisow nie czuli tak wielkiego napięcia jak tamtego wieczoru. Obaj wiedzieli, że pojedynki toczy się teraz pomiędzy nimi a sztabem Romancewa. To była sprawa ich honoru, honoru sekundantów.

Początek partii potwierdził przewidywania. Antonow pozwolił wymienić lekkie figury, zostając z białopolowym gościem przeciwko skoczkowi. Nastąpiła wymiana pionów na skrzydle królewskim i... Romancew zamiast bić piona czarnych i przywrócić równowagę w liczbie figur, wykonał zupełnie nieoczekiwany manewr skoczkiem, pozwolił zbić sobie kolejnego piona, lecz jednocześnie stworzył dla

swojej figury przestrzeń, która umożliwiła mu wtargnięcie na tyły pozycji obronnych Antonowa. Plan był tak śmiały, że ani Denisow, ani Zwieriew czegoś podobnego nie rozważali. Romancew odbił piona, by następnie z zimną precyzją zacząć taniec skoczkiem pomiędzy zasiekami czarnych pionów, które w tym momencie stały się warte tyle, co drewniany płot postawiony na polu. Nastąpiła realizacja przewagi, można rzec: egzekucja, bo przypominało to strzelanie myśliwego do lecących w popłochu kaczek. Ktoś na widowni krzyknął: „Tola, ubij go!”. Sędzia energicznym krokiem wszedł na środek sceny i ruchem rąk kategorycznie zakazał jakichkolwiek hałasów. Atmosfera gęstniała. Ruch po ruchu ginęły pionki czarnych. Antonow gwałtownym gestem zatrzymał zegar na znak, że się poddaje. Podpisał blankiet. Chciał wstać, lecz Romancew zatrzymał go i zaczął coś ustawiać na szachownicy. Wdali się w dyskusję i spędzili pół godziny, przestawiając figury i rozmawiając.

Usiedli we czworo w mieszkaniu Antonowów. To był koniec. Romancewowi brakowało jednej wygranej, by zakończyć mecz przed czasem. Nie zanosilo się na to, że Olegowi uda się odmienić tragiczny bieg wydarzeń.

– Wykończysz się – narzekala załamana Olga Lwowna. – Co to za głupi sport? Co to za straszna gra? Może trzeba to skończyć? – zwróciła się nagle do Zwieriewa i Denisowa. – Przecież on się załamie.

Zwieriew spojrzal na nią spode łba w milczeniu.

– Nastawie samowar – powiedziala i wyszla do kuchni.

Wiedzieli, że trzeba coś zmienić, ale brakowało im sił. Antonow položyl się na kanapie plecami do swoich sekundantów. Nie reagował na ich pytania.

– Zmienimy skoczka f3 na skoczka c3 i dajmy mu zagrać Nimzowitscha. To ostrzejszy debiut i Oleg może się w nim czuć lepiej – zaproponował Denisow. – Będzie z nami rozmawiał? – Wskazał na leżacego Antonowa.

– Nie, ale słyszy – rzekł spokojnie Zwieriew, ustawiając pozycję w obronie Nimzowitscha.

– No więc? – spytał Denisow.

– Zagramy to, co Oleg uzna za stosowne. Jak nie zechce, będzie grał dalej przeciwko hetmańsko-indyjskiej.

– Zwariować z wami można – obruszył się Denisow. – Oleg, wstajesz czy będziesz tak leżał i udawał tureckiego paszę?

Antonow nie odpowiedział. Usiadł.

– Przegraliśmy – oznajmił zrezygnowany.

– Gówna prawda! Gówna! A ło! – Denisow się rozeźlił i pokazał figę. – Nic nie przegraliśmy. Przypomnij sobie wojny ojczyźniane! Napoleon myślał: wygrałem. Miał Borodino, Moskwę i już się czuł panem świata. A wała. Kutuzow zmusił go do

odwrotu. Sami wiecie, jak wracał. Nie było co zbierać z dumnej armii. Faszyci to samo. Zajezdnie tramwajów w Moskwie przez lornetki widzieli. I co? Stalingrad, Kursk i trach, drugi raz złamaliśmy wielką potęgę. Wańka-wstańka! Kiedy on odwróci się do nas tyłem, żeby pozdrawiać publiczność i wypinać pierś do orderów, kopniemy go w dupę i strącimy ze sceny! To właśnie zrobimy, chłopaki! Moja drużyno... Jasna cholera, ale mnie złapał... – Denisow nie dokończył. Podniósł się z krzesła złapał oburącz za koszulę na piersiach, jakby chciał ją rozerwać, dał krok naprzód, po czym upadł na podłogę.

– Boże mój! Co tam się stało?! – krzyknęła Olga Lwowna, przybiegając z kuchni.

Oleg zerwał się z kanapy, przewrócili Denisowa na plecy.

– Mamo, dzwoń po pogotowie! – zawołał Oleg.

– Dajcie mu szybko glicerynę pod język! – nakazała Olga Lwowna. – Jest w szafce w łazience. Posadźcie go i otwórzcie okna! Rozepnijcie koszulę!

Oleg rzucił się do łazienki, gdy tymczasem matka wykręcała numer pogotowia. Zwieriew posadził przyjaciela, opierając go plecami o kanapę, i podskoczył do okien, by je otworzyć. Siedzieli wokół bladego jak ściana Denisowa, czekając w napięciu na przybycie ambulansu. W końcu po kilkunastu minutach dał się słyszeć dźwięk syreny karetki pogotowia. Wynieśli Denisowa na noszach. Olga Lwowna pojechała z nimi do szpitala.

– Jasna cholera – podsumował zdarzenie Zwieriew, gdy zostali sami. – Co robimy? Masz siłę pracować? Przerywamy?

– Aleksiejowi Eduardowiczowi nie pomożemy teraz – odrzekł stanowczym głosem Oleg. – Zresztą on chce, żebyśmy się nie poddali, jutro będzie oczekiwał od nas wygranej. Mama zadzwoni ze szpitala, gdy tylko będzie mogła – dodał. – Kurwa, nie poddamy się i zrobimy to właśnie dla niego!

Partia szósta: obrona Nimzowitscha

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Antonow i Zwieriew usiedli do szachownicy. Spojrzeli na siebie w milczeniu. Przytaknęli ruchem głów i zaczęli analizować obronę Nimzowitscha. Pół godziny później usłyszeli dźwięk telefonu. Olga Lwowna dzwoniła, by powiedzieć, że Denisow miał zawał, ale jest pod kontrolą lekarzy, którzy twierdzą, że życie zawdzięcza ich szybkiej pomocy. Postanowiła jeszcze zostać w szpitalu, wróci taksówką.

Oleg przyniósł wódkę. Drżącymi ze wzruszenia i emocji rękami rozlał dwie szklanki.

– Jak mówią Gruzini: „Wachtanguri” – zaproponował Zwieriew. – I tak, gówniarzu, ostatnio zaczęłaś do mnie mówić na „ty”. Wypili i ucałowali się. –

Sasza.

– Oleg.

– No, a teraz, Oleg, zacznijmy pracować, bo Alosza nam skopie tyłki, że leniliśmy się całą noc.

Zaczęli analizować możliwości gry białymi przeciwko obronie Nimzowitscha. Po kilku minutach ktoś zadzwonił do drzwi. Antonow i Zwieriew spojrzeli na siebie zdziwieni.

– Matka?

– Niemożliwe. Nie zdążyłaby. Może sąsiedzi spytać, co się stało.

– Idź, sprawdź.

Antonow poszedł do drzwi.

– Kto tam? – spytał.

Nikt nie odpowiedział. Antonow szybkim ruchem otworzył drzwi. Na klatce stał Tigran Wartanowicz Gurgienidze. Oleg osłupiał i spoglądał na mistrza, jakby ten był zjawą.

– No co, trzeba ci pomóc. Nie można tak grać, synku – odezwał się spokojnie mistrz i powolnym krokiem, chwiejąc się nieco na boki, wszedł do mieszkania. Dostrzegł stojącego w osłupieniu Zwieriewa, zabrał z krzesła papiery z notatkami i siadając z wysiłkiem zdradzającym chorobę, spytał:

– Co gramy jutro?

– Myśleliśmy o Nimzowitschu – rzekł Oleg, spoglądając porozumiewawczo na Zwieriewa.

– I?

– I ciężko znaleźć coś nowego – z zażenowaniem dodał Zwieriew.

– Nie macie nowych pomysłów, to sięgnijcie do starych wariantów. Pamiętacie wariant Rubinsteina[24]?

– Hm – mruknął Antonow. – Tego dziś nikt nie gra.

– I co w tym złego? – zapytał spokojnym głosem Gurgienidze. – Zróbcie mi filiżankę herbaty i siadajmy.

Oleg pobiegł do kuchni i podstawił czajnik na palniku. W głowie miał tysiące myśli. Ale przede wszystkim czuł napływ entuzjazmu. Wiara, która opuściła go w ostatnich dniach, ba, godzinach, wróciła, jakby sam fakt pojawienia się byłego mistrza świata natchnął go mistycznym przeświadczeniem, że otrzymał znak i że teraz wszystko się może odmienić. Kiedy wrócił, na szachownicy ustawiony był wariant Rubinsteina w obronie Nimzowitscha. Zwieriew żywo dyskutował z Gurgienidzem nad ideą ataku białych. Antonow postawił filiżankę obok mistrza i wziął głęboki oddech, starając się przeniknąć pozycję i dojrzeć w niej szansę na zmianę losów pojedynku.

Nie przerwali swojej pracy, nawet gdy ze szpitala wróciła Olga Lwowna.

– I na koniec, synku – rzekł Gurgenie – jeśli Romancew odpowie na twoją nowinkę natychmiast, niemal bez zastanowienia, to będzie znaczyło, że czuje panikę, ale stara się ją ukryć. To jego standardowe zachowanie. Aha, i jeszcze jedno. Proszę cię, nie analizuj z nim partii po meczu, bo przecież on podczas tych analiz poznaje na wylot twój sposób myślenia. Nie pomagaj mu, synku, wystarczy, że jest z nim cały sztab wyznaczony przez Sportkomitet, no i głupiec w waszym obozie.

– Jaki głupiec? – zdziwili się.

– Denisow – rzekł spokojnym głosem Gurgenie.

– Denisow jest w szpitalu, właśnie miał zawał, Tigranie Wartanowiczu – poinformował mocnym głosem Zwieriew.

– Wyjdzie z tego? – zapytał zmartwiony Gurgenie.

– Tak – wtrąciła się Olga Lwowna, która przysłuchiwała się rozmowie z kuchni.
– Wyjdzie. Jest pod dobrą opieką.

– Żal mi go, bo to poczciwy facet – ciągnął Gurgenie. – Ale popełnił głupstwo. – Arcymistrz upił łyk herbaty. – Jest coś takiego jak totalizator. Obstawia się wasze ruchy, debiuty, wszystko, co można. Wielu w to gra. No i Denisow też... Obstawiając przez znajomego to, co, synku, będziesz grał, zdradzał mu wszystkie wasze sekrety. A tamten zanosił informacje do Bondariewskiego i Romancewa. Ot, swołocz.

Wszyscy milczeli zażenowani. Gurgenie napił się koniaku, którego nalał mu do kieliszka Antonow, po czym zaczął tłumaczyć im tajniki gry o mistrzostwo świata na przykładzie swojego meczu z Zimmermanem.

– Widzisz, Oleg – zaczął – żeby grać na tym poziomie, to nie tylko trzeba mieć talent, ale też spryt, intuicję, znajomość psychologii. To cała prawda. Myślisz, że Romancew nie ma słabych punktów? Ma, oczywiście, że ma. Nie lubi nieznanych pozycji, nie lubi grać, gdy na szachownicy jest ogień, nie lubi, gdy przeciwnik nie okazuje lęku, gdy próbuje go zdominować. Nawet taki as jak Zimmerman czasem czuł się niepewnie. Pamiętam raz chciał sprawdzić, czy się nie myli, i wyobraźcie sobie, podłożył mi blankiet z zapisanym swoim następnym posunięciem. Zerka na mnie, a ja nic, niczego nie daję po sobie poznać. Ziewnąłem. Skreślił to posunięcie i zagrał bardzo słaby ruch. Musisz ustawiać Romancewa w sytuacjach, w których źle się czuje. Nie graj tylko w szachy, graj z nim. Pamiętaj, leningradczyk nie lubi, gdy na szachownicy tańczą figury. Zresztą tak jak ja. Kiedy graliśmy ostatnio w mistrzostwach kraju, złościłem się na ciebie, bo agresywnie szukałeś komplikacji, grałeś posunięcia, które zmuszały mnie do liczenia wariantów, wykonywałeś ruchy, których zgodnie z tym, czego mnie nauczono, wykonywać nie można. Ale czuć, że coś nie odpowiada pozycji, a udowodnić ci to i pokazać, że stare prawdy nadal obowiązują, to co innego. Nikt ci tego nie mówił, lecz kiedy zacząłeś grać te

swoje szachy, pełne temperamentu, trudne, osaczające, zaczęliśmy żartować, że grasz, jakbyś boksował i zaganiał nas do narożnika. Ciężko z tobą grać. No, ale Romancewowi oddałeś pole. A on jest jak ciężka jazda, zgniecie, jeśli nie podejmiesz walki. Pamiętasz Aleksandra Newskiego? Ściągnij go jak on tych krzyżowych rycerzy na lód, niech się topi. – Zapalił papierosa.

O siedemnastej zero pięć wchodzącego na scenę Sali Koncertowej imienia Czajkowskiego Romancewa uderzyła dziwna pewność siebie młodego przeciwnika. Poczul lekki niepokój. Przecież rywal był praktycznie na deskach, należało go tylko dobić. Wprawdzie, jak planował, miało to nastąpić w następnej partii, w której, jak sądził, Antonow po raz kolejny spróbowałby obronić swoje przywiązanie do wariantu scheveningeńskiego w obronie sycylijskiej, ale z drugiej strony, czemu by nie spróbować ponownie wciągnąć go w pułapkę, grając czarnymi? Sprowokować do szaleńczego ataku, po którym mógłby skontrolować młokosa i zakończyć ten pojedynek.

Pierwsze ruchy Romancew wykonał spokojnie. Kiedy jednak ujrzał siódme posunięcie Antonowa, zrozumiał, że pewność siebie przeciwnika miała swoje źródło w przygotowanej przez niego niespodziance. Wariantu Rubinsteina Romancew nie grał praktycznie nigdy wcześniej, a mimo to wykonał kolejne posunięcie niemal natychmiast. Liczył, że Antonow, widząc jego opanowanie, straci swoją pewność siebie. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Sytuacja na szachownicy stawała się dla Romancewa coraz trudniejsza. Nie znając zbyt dobrze wariantu, tracił mnóstwo czasu na analizę. Dodatkowo miał problem z koncentracją, ciągle nie mogąc zrozumieć, skąd w Antonowie nowe siły i ten przeklęty i niespodziewany entuzjazm. Niby nic wielkiego nie działo się na szachownicy, niby stale niwelował zagrożenia, lecz problemy wciąż się przed nim piętrzyły, a możliwości rozwiązania ich – ubywało. Ostatecznie w końcówce miał o jednego piona mniej. Nie było szans na obronę i pierwszy raz w tym meczu Romancew uznał się za pokonanego.

Partia siódma: obrona Grünfelda

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Po raz pierwszy od rozpoczęcia meczu Romancew poczuł zmęczenie. Był tak blisko celu i teraz należało wykonać ostatni krok, ale w tym decydującym momencie brakowało mu determinacji.

Tego wieczoru spoglądał na szachownicę znużony, jakby nieobecny. Siedzący naprzeciw niego Antonow grał zupełnie na zimno, bez emocji, technicznie. Wydawało się, że wyprzedza Romancewa z każdym posunięciem. Na każdą próbę ataku odpowiadał silniejszym naporem. Nie było w tym żadnych fajerwerków, ale stała presja. Mimo to Romancew utrzymywał równą pozycję. I wtedy nastąpiło

coś, o czym następnego dnia gazety napisały:

W historii szachów zdarzały się wielkie pomyłki najsilniejszych graczy, gdy napięcie, jakie towarzyszy walce o najwyższą stawkę, powodowało chwilową utratę koncentracji. Z takim wydarzeniem mieliśmy do czynienia wczoraj. Grający białymi Romancew popełnił błąd, który przejdzie do historii szachów jako jedna z tych niezwykłych pomyłek w meczach o najwyższą stawkę. W prostej sytuacji, po rozwiązaniu problemów debiutowych, jakby rozluźniony tym faktem, podstawił figurę w prostej kombinacji. Partia zakończyła się po zaledwie dwudziestu dwóch posunięciach. Czy Romancew zdoła się odbudować psychicznie i przebudzić z letargu, w jakim pozostaje od pewnego czasu w meczu z Antonowem?

Po powrocie do hotelu Romancew położył się w garniturze na łóżku.

Kiedy zasypiał, nad Moskwą pojawiły się na granatowym niebie delikatne prześwity błękitu zwiastujące poranek.

Partia ósma...

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Na mniej więcej godzinę przed partią zadzwonił telefon. Oleg dopił łyk herbaty, by szybciej przełknąć kęs matczynej szarlotki, i podszedł do telefonu.

– Halo? – spytał, myśląc, że to Zwieriew chce mu dać ostatnie wskazówki.

– Oleg Igorowicz? – W słuchawce Antonow usłyszał głos kobiety. – Chciałabym porozmawiać o was i o niej.

– Znaczy o kim?

– O niej, Olegu Igorowiczu.

– O Tani?

– Tak, o Tani.

– Skąd wiecie o Tani?

– Powiedziała mi.

– Jak to: powiedziała? Co powiedziała? Ona mnie zna?

– Oczywiście! Czy możemy porozmawiać w cztery oczy, nie przez telefon? Zajmie nam to piętnaście minut.

– Mam dziś mecz szachowy, zaczyna się za godzinę, o piątej.

– Gdzie gracie?

– W Sali Koncertowej Czajkowskiego.

– Tak. Mówicie, że macie godzinę do meczu? Spotkajmy się w takim razie przy Teatrze Mossowietu.

– Dobrze. Pod teatrem.

– Albo nie. Na skos od sali, gdzie gracie, jest restauracja Sofia. Będzie intymniej. Zamienimy dwa słowa. O wpół do piątej. Zgoda?

– Zgoda. Czy z Tanią wszystko dobrze? Czy coś się stało? Co mówiła o mnie?

– Wszystko dobrze. Wszystkiego się dowiecie. Pospieszcie się, nie mamy zbyt wiele czasu. Do zobaczenia.

Antonow chwycił krawat i włożył go do kieszeni marynarki, po czym wyskoczył z mieszkania, pobiegł w dół, przeskakując po kilka stopni.

Kobieta czekała przy stoliku. Rozpoznała go i dała mu znak, żeby się do niej przysiadł.

– Mamy kilka minut, zamówiłam nam herbatę.

– Tak. Dziękuję. Jestem trochę zdenerwowany, bo zaraz gram ważną partię, no i Tania...

– Napijcie się herbaty, to was uspokoi.

– Mówcie, co z nią.

– Nie powiem ani słowa, dopóki nie weźmiecie głębokiego oddechu, nie wypijecie łyka herbaty. Nie chcę, żebyście przez wasze emocje przegrali dzisiejszą partię, miałabym was na sumieniu.

Antonow wypił posłusznie herbatę.

– Jesteście jej przyjaciółką?

– Jeszcze jeden łyk i wszystko powiem. Wyciszcie się.

Antonow przechylił filiżankę i wlał w siebie resztę jej zawartości, żeby kobieta się już nie czepiała.

– Jestem spokojny, mówcie – rzucił zniecierpliwiony. – Mówcie – powtórzył, zastygając w napięciu.

– Tania będzie dziś na widowni – mówiła nieznajoma, głęboko spoglądając mu w oczy. – Chce, żebyście wygrali dla niej, a potem będzie czekać na was po meczu.

– Jak to? Tania? Ale skąd ona...? Jak to?

– Wszystko wam opowie. Nie pytajcie mnie, bo zakazała mi cokolwiek mówić, dopóki się nie zobaczycie.

– Ja nawet nie wiedziałem, że ona mnie zna... że... ona...

Równo o siedemnastej sędzia włączył zegar stojący przy szachownicy na scenie w Sali Koncertowej imienia Czajkowskiego. Pięć minut później Romancew usiadł do stolika lekko zdziwiony, że nie ma przy nim Antonowa. Odchylił się na fotelu i

zastygł w oczekiwaniu. Po półgodzinie przywołał sędziego i poprosił o informację, co się dzieje. Na widowni słychać było szum niezadowolenia. Gdziegdzie odezwały się gwizdy.

Antonow otworzył oczy. Kelnerka szarpała go i przykładła zimną, moką ściereczkę do twarzy.

– Co wam? – pytała. – Pijani jesteście czy wam słabo?

Antonow czuł, jakby jego głowa ważyła tonę. Spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na kobietę.

– Zadzwoń po pogotowie?

Zaprzeczył delikatnym ruchem głowy.

– Za chwilę będziemy zamykać. Zbierajcie się. Jak nie wyjdziecie, kierownik wezwie milicję. Dacie radę wstać?

Przytaknął ruchem powiek. Palcem pokazał kobiecie, by dała mu minutę.

Westchnęła i poradziła:

– Wyjdziecie na powietrze, zrobi wam się lepiej. Młody człowiek, a tak pije. Matkę zabijecie.

Oleg podniósł się wielkim wysiłkiem woli i krok za krokiem, chwiejąc się i przytrzymując wszystkiego, co było w zasięgu ręki, wyszedł przed restaurację. Chłodne wieczorne powietrze owiało mu twarz. Usiadł na najbliższych schodach. Siedział kilka minut, zbierając się w sobie, by wstać i iść. Znowu wymagało to ogromnego psychicznego wysiłku, żeby podźwignąć się z kamiennych stopni, a potem zmusić nogi, które wydawały się teraz jakimiś ciężkimi protezami, do stawiania kroków. Jeden, drugi, trzeci i następny, i następny. Wokół pędziły samochody, szybkim swobodnym krokiem podążali w swoją stronę przechodnie. Dla niego dojście do stacji metra było jak dotarcie do bieguna południowego dla członków wyprawy Roberta Falcona Scotta. Latarnie miejskie zaiskrzyły światłem. Moskwa wydała mu się taka ogromna, monumentalna jak wielkie pasmo górskie. Przed nim był jego szlak, a wokół piętrzyły się wysokie, strome skały budynków. Czuł, że nie da rady przejść tych kilkuset metrów do stacji metra. Oparł się o latarnię. Ludzie omijali go z daleka, myśląc, że jest pijany. Usta wykrzywiły się w grymasie przypominającym uśmiech, jego ciałem wstrząsnął szloch. Przypomniał sobie słowa Wysockiego i zaczął je nucić w myślach:

*Wybicie, skok – i niech to piorun trzaśnie,
trybuny w śmiech, a ja przetykam łzę...* [25]

Z trudem, powłóczywszy noga za nogą, dotarł do przystanku metra. Kiedy udało mu się usiąść w wagonie, szepnął do kobiety siedzącej obok:

– Chory jestem. Obudźcie, proszę, na Sportiwnej.

Kobieta przesiadła się na drugi koniec wagonu. Przed Sportiwną jakaś silna ręka podniosła Antonowa i wysoki mężczyzna wyprowadził go z wagonu.

– Gdzie mieszkacie? – zapytał szorstkim, stanowczym głosem.

– Kooperatiwnaja – wybełkotał Antonow, wpadając znów w letarg.

– No to wojskowym krokiem na raz – zakomenderował mężczyzna.

Olga Lwowna z płaczem rzuciła się synowi na szyję. Zwieriew uniósł się znad stołu. Oczy miał przekrwione ze zmęczenia.

– Poczekajcie, wejdźcie – zwróciła się Olga Lwowna do mężczyzny, który przyprowadził jej syna. – Wejdźcie, proszę... Jak wam na imię?

– Misza. Misza Sałow.

– Miszo. Dziękuję wam. Bardzo dziękuję. Wpadnijcie do nas jutro na kolację. Zapraszam. Oleg będzie chciał wam podziękować. Miał dziś grać ważny mecz szachowy. Jest szachistą. Wicemistrzem kraju. To porządny chłopiec. Boże mój, co ja wam tu opowiadam. Dziękuję. Dziękuję.

Tej nocy w swoim mieszkaniu Zwieriew siedział pijany w kuchni. Dawniej bardzo dużo pił. Odkąd spotkał Olega, udało mu się to zmienić.

Poranne gazety podały krótki komunikat:

Z powodu niestawienia się na ostatnią partię przez Olega Antonowa, zaliczono ją, jako walkower, Anatolijowi Romancewowi.

Wolsk, kwiecień 1986

Katia pierwszy raz dała się namówić Rusłanie, żeby pójść z nią na „peryfki” – jak młodzież nazywała pusty teren niedaleko szkoły, który służył im za miejsce spotkań. Chłopcy przynieśli wódkę. Pili ją prosto z butelki. Katia poczuła, jak alkohol uderza jej do głowy, jak świat wiruje dookoła. Słyszała śmiech Rusłany, kiedy chłopcy ją obłapiali. Katia kopnęła w krocze tego, który się do niej zbliżył, po czym zwymiotowała i czepiając się drzew, z trudem dotarła do domu. Rano obie z matką leczyły kaca.

– Nie zeszmac się – rzekła matka. – Ja już jestem na dnie. Ale ty jeszcze masz nadzieję, masz w środku duszę. Mówią, że jak matka pije, jak ojciec pije, dzieci też piją. Ale Grigorij nie pił. Twój święty brat nie pił, nie chodził na kurwy, zachował czystą duszę. Pamiętaj o Grigoriju, noś jego portret na sercu jak świętego Bazylego, nie stocz się na dno, nie wolno ci, córko.

Katia położyła głowę na stole obok dłoni matki, jakby czekała na drobny gest

miłości. Palce matki lekko dotknęły jej włosów, po czym cofnęły się i Tamara Pietrowna dodała:

– Będę musiała kłamać, gdy spytają, czemu nie przyszałaś do szkoły.

Na drugi dzień Katia również opuściła lekcje. Zamiast do szkoły udała się z pielgrzymką na grób brata. Szron spowodowany wieczornym przymrozkiem pokrył kamień grobowej płyty tak, że Katii owa biel skojarzyła się z koronkowym obrusem babci Anny. Dziewczynkę zainteresowały kwiaty, których trzy dni wcześniej, gdy była tu ostatni raz, na pewno nie widziała. Przyjrzała się im uważnie. W stalowym, emaliowanym, ciemnobrązowym dzbanku stały białe narcyzy. Nie mogła ich przynieść matka, która od kilku dni szwendała się po domu pijana. Babcia Anna poza rocznicami nigdy nie zachodziła na cmentarz, twierdząc, że „żyjących nie szuka się pośród umarłych”. A poza tym kwiaty były zerwane prosto z łąki, naturalne, nie kupiono ich w przycmentarnym kiosku. Więc kto je przyniósł? To pytanie nurtowało dziewczynkę do tego stopnia, że postanowiła przyjść na cmentarz również po południu, kiedy dorośli wracają z pracy, i sprawdzić, czy ten ktoś odwiedzi Grigorija ponownie. A potem zaczęło ją dręczyć przeświadczenie, że jednak ktoś mógł położyć je przed pracą, a wówczas, jeśli kolejny raz nie zrezygnuje z pójścia do szkoły, nie dowie się, kim jest ta osoba. Zdecydowała więc, że zrezygnuje z lekcji i zajdzie na cmentarz z samego rana.

Nazajutrz płatki narcyzów opadły na płytę grobu. Lecz nikt nie przyszedł, by podmienić kwiaty na nowe. Więc Katia znów zdecydowała, że w tej sytuacji nie pozostaje jej nic innego, jak zjawić się na cmentarzu następnego dnia.

Ranek był mroźny. W powietrzu unosiła się delikatna mgiełka utkana z wilgotnych cząsteczek, a na gałęziach drzew ślad po swoim chłodnym oddechu zostawiła szadź. Aby się rozgrzać, Katia przycupnęła pod drzewem z kolanami pod brodą. Tkwiąc tak bez ruchu, zrobiła się senna i z heroicznym trudem walczyła z tą słabością, szczypiąc się po policzkach i podnosząc palcami powieki, dopóki wzrok nie odzyskiwał ostrości. Podczas jednego z tych zabiegów, kiedy udało jej się zapanować nad uciekającymi do góry gałkami oczu, dostrzegła przy mogile Grigorija młodą kobietę w beżowym prochowcu i w brązowym berecie na głowie. Kobieta, nisko pochylona nad grobem, wkładała właśnie kwiaty do dzbanka. Katia przyglądała się jej uważnie, starając rozpoznać rysy. Jednak dziewczynce nie udało się dopasować tej twarzy do nikogo, kogo mogła znać lub o kim mogła słyszeć. Z tym większym zainteresowaniem przyglądała się nieznajomej, podpierając oburącz głowę. Kobieta stanęła wyprostowana, rozejrzała się dookoła i przeżegnała, na chwilę zatapiając się w modlitwie. Kiedy skończyła, ostrożnie, z szacunkiem dotknęła dłonią płyty w miejscu, gdzie przytwierdzone było zdjęcie Grigorija. Chwilę stała tak z wyciągniętą ręką, po czym odeszła pospiesznym krokiem. Katia zerwała się z miejsca i podbiegła tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała nieznajoma. Spojrzała na świeżo zerwane narcyzy. Potem odprowadziła wzrokiem nieznajomą.

Kochała Grigorija jak ja, przemknęło jej przez myśl. Wyjęła kwiaty z dzbanka i wyrzuciła przed siebie, najdalej jak potrafiła.

Kilka dni później Katia spacerowała rankiem bez celu, starając się nie rzucać w oczy, by nikt nie wezwał milicji i nie powiadomił matki, że wagaruje. Przechodząc ulicą Firstowa, zauważyła zaparkowaną ciężarówkę. Od razu ją rozpoznała. Ojciec woził nią towary z cementowni. Miała charakterystyczne proporczyki umieszczone na przedniej szybie. Zastanowiło ją, co ojciec robi tutaj w ciągu godzin pracy. Nie chciała go spotkać, ale ciekawość wzięła górę i podeszła bliżej. Zza drzwiczek szoferki usłyszała kobiecy jęk, któremu towarzyszyło przeciągłe stękanie mężczyzny. Poznała zachrypnięty od picia głos, charakterystyczne postękiwanie, które słyszała zza ściany, gdy czasem w środku nocy przebudziła się, a potem, by tego nie słyszeć, zasłaniała głowę poduszką. W tamtych chwilach ojciec kojarzył jej się z człowiekiem-koźłem, którego kiedyś widziała w telewizji, w przedstawieniu muzycznym *W grocie króla gór*. Bała się go, lękała się tej muzyki, która towarzyszyła tańcom w grocie, bała się ludzi-koźłów i tego, co on robił mamie. Ale teraz wiedziała, że tą kobietą nie jest matka.

Katia zdjęła rajstopy. Nie wiedziała, skąd na jej twarzy pojawiły się łzy, które szczypały na zimnie. Odkręciła bak i wsadziła jedną nogawkę do środka, po czym nasączoną wyjęła na zewnątrz i na jej miejsce wsadziła drugą. Z kieszeni wydobyła zapałki, które nosiła ze sobą od czasu, gdy zaczęła podkradać matce papierosy. Potarła zapałką o draskę na boku pudełka. Wiatr zgasił ogień. Ponowiła próbę, tym razem zakrywając zapałkę od wiatru. Z drewnienka ogień przeniósł się na nasączony olejem materiał i powoli zaczął go trawić, posuwając się w górę. Dziewczynka odeszła parę kroków i spoglądała na palący się lont. Powietrzem wstrząsnął wybuch, którego siła rzuciła ją na ziemię. Po chwili ciszę przerwał kolejny wybuch. Katia zamknęła oczy. Pomyślała o Grigoriju, że wyciąga ku niej swoją dłoń i że jak dawniej weźmie ją na rower i będzie biegł za nią, trzymając kij, żeby się nie wywróciła. Jednak zamiast głosu Grigorija usłyszała pisk kobiety i ojca, który miotał przekleństwa i kazał jej uciekać, bo wszystko zaraz pójdzie „w pizdu”.

Bojąc się kolejnego wybuchu, Katia przylgnęła do ziemi i leżała bez ruchu, aż rozległ się sygnał milicyjnej syreny. Usłyszała głosy, ktoś spytał, czy żyje. Otworzyła oczy. Milicjant podniósł ją z ziemi. Rozejrzała się dookoła. Tylna opona ciężarówki płonęła, dymiąc obficie. Fragmenty baku leżały pogięte na ziemi jakieś dwa metry od samochodu. Drzwi od szoferki były otwarte.

– Tyś to zrobiła? – spytał milicjant głosem, w którym nie było czuć złości, raczej coś w rodzaju znudzenia.

– Tak – odparła Katia.

– No to chodź. – Szarpnął ją i poprowadził do milicyjnego uaza.

Milicjant przez krótkofalówkę raportował komuś, co się wydarzyło. Przeklinał, że jeszcze nie ma strażaków. Samochód ruszył. Katii chciało się spać, bardzo

spać... Gdy jechali na posterunek, nie czuła lęku. Była pewna, że jeszcze dziś, za chwilę, jej serce przestanie bić i już nie będzie trzeba się bać, nie będzie zimno. Grigorij się nią zajmie.

– Poczekasz tu – odezwał się milicjant, wpychając ją do małej celi, w której była już starsza od niej o kilka lat dziewczyna.

Siedziała na łóżku z plecami opartymi o ścianę, obejmując rękami kolana. Katia usiadła naprzeciwko. Była tak zmęczona, że po chwili położyła się i zasnęła. Kiedy się obudziła, dziewczyna leżała na pryczy, spoglądając na nią ciekawie.

– Za co cię zgarnęli? Kradłaś?

Katia spojrzała na nią zdziwiona. Minęła chwila, zanim przypomniała sobie, gdzie jest.

– Za co? Dawłaś dupy? – nalegała dziewczyna.

– Zabiłam ojca – szepnęła Katia.

– O kurwa. – Dziewczyna pokiwała głową, a potem zmarszczyła brwi, jakby czegoś nie rozumiała. – Jak?

– Wysadziłam go w powietrze – odrzekła spokojnie Katia, a brzmiało to tak chłodno i wiarygodnie, że dziewczyna nie mogła mieć wątpliwości, iż tak właśnie było.

– O ja pierdołę – podsumowała.

Milczały dłuższą chwilę.

– Powinłam była zrobić to samo z gachem mojej matki – zaczęła dziewczyna. – Gwałcił mnie. Byłam w twoim wieku. Wieczorami wchodził do mojego pokoju. Ręką ścisnął usta, żebym nie krzyczała. Bolało, bolało jak cholera. Kurwa, jak bolało. – Dziewczyna przełknęła łzy. – Rano budziłam się we krwi. Kiedy powiedziałam o tym matce, zakazała mi o tym komukolwiek mówić. Płakała, straszyła, że jak o tym powiem, to ją na pewno zamkną do więzienia, a ja pójdę do domu dziecka. Suka. Więc gwałcił mnie dalej pod bokiem tej kurwy, która piła w kuchni, żeby nie słyszeć moich krzyków. Zaczęłam uciekać z domu. Mieszkałam po strychach, nocowałam w toalecie dworcowej albo w wagonach na bocznicy. Potem matka trafiła do szpitala. Zbił ją tak, że nie mogła chodzić. Trafiłam do domu dziecka. A tam... Tam musiałam walczyć każdego dnia. Jak w więzieniu. Nie bijesz ty, biją ciebie. A potem zaczęli gwałcić. Najpierw starsi chłopcy, potem kierownik. Bił tych, którzy chcieli mnie dotknąć. Jednemu odbił nerki. Chciał mnie mieć tylko dla siebie. Uciekłam. Powinłam wcześniej ubić chuja. Złapali mnie. Podkablowała mnie dziewczyna z sąsiedniej pryczy, gdy nie wróciłam na wieczór. Trafiłam do piekła. W nowym miejscu karali za wszystko. Bili wszędzie i wszystkim. Musztra, praca, kara. Rozwaliłam głowę takiej jednej, co chciała mną rządzić. Wepchnęłam jej głowę do wiadra z pomyjami. O mało nie zdechła. Poszłam do poprawczaka. Ogolili mnie na łyso, katowali jak esesmani. Potem znów trafił się taki jeden, którego musiałam bawić, inaczej bił. Nie walczyłam już.

Robiłam, co kazał. Po pierwszej próbie samobójczej siedziałam w karcerze. Siedziałam tam jak zwierzę, w ciemnicy, we własnych odchodach i rzygach, bo rzygałam z głodu. Po dwóch dniach w końcu odesłali mnie do szpitala. A stamtąd z powrotem. Odsiedziałam swoje. Nie buntowałam się, przyjęłam reguły. Jak wyszłam, zaczęłam brać. Biorę, żeby zdechnąć jak najszybciej.

Gwałtownym ruchem odwróciła głowę w kierunku Katii, która dostrzegła w jej twarzy rodzaj współczucia i rezygnacji.

– Masz ładne oczy, mała – odezwała się dziewczyna. – Jak ci na imię?

– Katia.

– Ja byłam Luda. A teraz to już nawet imienia nie mam. Ale to wszystko się już niedługo skończy.

– Uratuję cię, Luda – powiedziała nagle Katia.

– Nie, mała – szepnęła Luda, a jej twarz była mokra od łez. – Wszystko spierdalone, nie ma już co ratować. Ratuj siebie, jeśli jeszcze masz szansę, ratuj – dodała, odwracając się plecami do Katii.

Do celi wszedł milicjant.

– Sawiczewa, wstawaj – zwrócił się do Katii.

Dziewczynka się bała. Była pewna, że milicjant zrobi z nią coś złego, coś, o czym opowiadała Luda. Weszła do pokoju, który jej wskazał. W środku siedziała młoda kobieta ubrana w beżowy płaszcz i brązowy beret na głowie.

– Witaj, Katiu – odezwała się miękkim, acz zmęczonym głosem. – Nazywam się Gulnara Gajdarowna Protasowa. Mój mąż jest tu komendantem.

Katia spoglądała na nią wielkimi oczami, pełnymi lęku i zdziwienia.

– Nie znasz mnie... – rzekła łagodnym tonem kobieta.

– Widziałam was na cmentarzu – szepnęła Katia, która instynktownie poczuła, że kobieta nie chce jej zrobić nic złego.

– Na cmentarzu? – zdziwiła się Gulnara Gajdarowna.

– Przy Grigoriju... – wyjaśniła Katia i natychmiast przestraszyła się, że kobieta domyśli się, iż to ona wyrzuciła jej kwiaty.

– Przy Grigoriju... – powtórzyła zamyślona Gulnara Gajdarowna. – Nie widziałam cię. Mm, starałam się, by nikt mnie nie zobaczył. No tak. Następnym razem będę ostrożniejsza. – Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech. – Więc, Katiu, zachowajmy to dla siebie, dobrze? Mogę ci zaufać?

Katia przytaknęła skinieniem głowy.

– Widzisz – zaczęła Gulnara Gajdarowna – jak już wspomniałaś, widziałam mnie „przy Grigoriju”. Ciekawe, bo właśnie z jego powodu tu jestem. Czy to nie zbieg okoliczności? – Znów zadumała się na kilka chwil. – Nie, to nie jest przypadek – rzekła w zamyśleniu. – Kiedyś kochałam twojego brata, a on kochał mnie.

Przysyłał mi listy, nawet wiersze. Piękne wiersze. Każda kobieta powinna dostać choć raz w życiu od swojego mężczyzny list lub wiersz, napisany tylko dla niej. O tęsknocie, miłości, oddaniu. Potem, myjąc gary, piorąc, siedząc sama w kuchni lub leżąc po cichu w sypialni, gdy mąż pije z kolegami, taki list, taki wiersz możesz szeptem powtarzać sobie w myślach, wiedząc, że był napisany tylko dla ciebie. Takie coś pozwala ci czuć, że byłaś kobietą i że byłaś kochana. Ja to mam na zawsze dzięki twemu bratu. Wspominam jego słowa każdego wieczoru przed snem. Każdego. Jak modlitwę. I dlatego zawsze będę go kochała.

Katia spoglądała na nią, pragnąc, by wzięła ją w swoje objęcia.

– Jak widzisz, Grigorij to twój anioł stróż – odezwała się Gulnara Gajdarowna lekko zachrypniętym od wzruszenia głosem. – On kazał mi tu przyjechać. Nie wiem dlaczego, bo nigdy tutaj nie zaglądam. A dziś właśnie to zrobiłam. Usłyszałam, co się stało. Kiedy rozpoznałam nazwisko, powiedziałam sobie, że on kazał mi się tobą zająć. No i miałam rację. Chodźmy stąd, to nie miejsce dla takiej dziewczynki jak ty. – Wyciągnęła do Katii rękę. – Nikomu nie powiemy, że to byłaś ty, żeby twój ojciec się nie dowiedział.

Wieczorem po Pawła Rinatowicza Sawiczewa przyszła milicja. Na ciężarówce znaleziono cement, który dwa dni wcześniej zniknął z magazynu.

Kiedy przed snem Katia pomyślała o tym, co się stało, poczuła wstyd, że zapomniała poprosić Gulnarę Gajdarownę o pomoc dla Ludy. Było jej z tym tak bardzo źle, że płakała przez całą noc.

Dwa dni później o świcie przyszła babcia Anna. Z torby, którą ze sobą przyniosła, zaczęła wyjmować puszki, słoiki z jedzeniem, butelki z czerwonym winem.

– Co ty tu robisz, mamó? – spytała zaspana Tamara Pietrowna.

– Był wybuch jądrowy – rzekła spokojnym głosem babcia Anna. – Rano mówili w radiu. Sama posłuchaj. Zaraz będą wiadomości. – Włączyła odbiornik.

– Mamó, wojna skończyła się czterdzieści lat temu.

– Katia zostaje dziś w domu – zdecydowała babcia Anna, nie przejmując się komentarzem córki. – Mówią, że trzeba pić czerwone wino. Że chroni krew.

– Mamó, co ty mówisz? Kto na kogo spuścił bombę? Amerykanie?

– Sama słuchaj – przerwała jej matka i pogłośniła radio.

Spiker czytał: „W elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszło do nieszczęśliwego wypadku. Uszkodzony został jeden z reaktorów. Obecnie podejmowane są kroki w celu usunięcia skutków tego incydentu. Poszkodowanym udzielono niezbędnej pomocy. Powołana została rządowa komisja do zbadania tego zdarzenia”.

– O Boże... – przeraziła się Tamara Pietrowna. – O Boże... Co z nami będzie? Gdzie ten Czarnobyl?

– Gdzieś pod Kijowem – odrzekła spokojnym głosem babcia Anna, otwierając

butelkę czerwonego wina.

– Boże, toż to przecież w linii prostej do Saratowa i do nas. I co teraz? Co teraz, mamó?

– Nic. Okna zamknij. Katia w domu zostanie. Modlić się trzeba. Mówią, że teraz wszystko zależy od pogody, że chmura z tym wszystkim, co tam wybuchło, będzie się przemieszczać. Więc módlmy się, żeby nie w naszą stronę.

Katia podniosła się ostrożnie na łokciach. Spojrzała przez szybę w niebo, lecz było błękitne. Żadnej czarnej chmury, która mogłaby przynieść śmierć. I Katia poczuła spokój, wiedziała, że Bóg nie pozwoli, by tu przyplłynęła, bo Grigorij na pewno go o to poprosił. Nie wiedziała, że wiatr wiejący z zachodu, znad Czarnobyli, w okolicach Kurska w przedziwny sposób rozdzielił się i skręcił na północ i na południe, omijając Wolsk z dwóch stron.

Po śniadaniu babcia Anna poprosiła wnuczkę, by pomogła jej uczesać włosy.

– Księżniczko, o jakim księciu marzysz? – spytała, przyglądając się w lustrze ślicznej twarzyczce wnuczki.

– Nie ma już książąt – odpowiedziała dziewczynka, plotąc babci warkocz. – A jeśli są, to gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Moskwa, kwiecień 1986

– Olga? – w słuchawce odezwał się spokojny głos Lwa Mojsiejewicza.

– Tak, tato. – Olga Lwowna ucieszyła się, słysząc ojca. – Boże mój, wszystko z wami dobrze? Słuchałam wczoraj informacji z zagranicy, że skażenie jest kilka razy wyższe od maksymalnej dopuszczalnej. Radioaktywna chmura pokryła Sztokholm, południe Finlandii, północną Polskę, przemieszcza się do Norwegii. A w Kijowie i innych miastach Ukrainy i Białorusi ludzie spędzają na pochody pierwszomajowe. A co u was, tato? Gdzie ty jesteś, że taki hałas? Co to za syreny w tle?

– Ano właśnie – zaczął trochę niepewnie Lew Mojsiejewicz. – Widzisz, Olga, dzwonię ze sztabu kryzysowego.

– Skąd? – zdziwiła się córka. – A ciebie, tato, gdzie znowu poniosło?

Zgiełk zagłuszył odpowiedź Lwa Mojsiejewicza.

– Tato, możesz powtórzyć? Nie słyszałam. Co się tam dzieje dookoła?

– Jestem pod Czarnobyliem. Zgłosiłem się na ochotnika, do pomocy. Być może trzeba będzie robić przeszczepy szpiku.

Zapadła cisza. Twarz Olgi Lwowny zrobiła się blada, niemal biała, na podobieństwo jej płóciennej letniej sukienki.

– Dlaczego mi to robisz? – spytała cicho, a jej szczęka drżała.

– Olga...

– Nie – przerwała ojcu. – Dlaczego mi to robisz? Dla medali? Postanowiłeś się zabić, bo co? Bo masz taki kaprys? Bo się znudziłeś życiem? Masz wszystkich za nic, liczy się tylko twój ból i twoja samotność?

– Nie, Olgo! – zaprotestował mocnym zdecydowanym głosem Lew Mojsiejewicz. – Kiedy umiera stary człowiek, to jest to zwykła kolej rzeczy. Ale przywieziono z całego kraju chłopców w wieku naszego Olega. Nie mają żadnych uniformów, które chroniłyby przed radiacją, nie mają pojęcia, co się dzieje, idą w samo centrum, gdzie promieniowanie tysiące razy przekracza normy, pracują z łopatomy, polewają wodą. Wieczorem napromieniowanych przywożą do mnie. Pierwsza brygada strażacka myślała, że przyjeżdża do zwykłego pożaru instalacji elektrycznych. Oni umierają, córeczko. I nie ma dla nich ratunku. Mówili do mnie: „Doktorze, nie wiedzieliśmy, że to reaktor. Nikt nam tego nie powiedział”. Podnosili z ziemi rozrzucony na niej grafit z rdzenia, nie mając pojęcia, co to jest. Poszli wprost do pożaru, jak to zwykli robić w innych przypadkach. Uratowali nas od zagłady. Pożar mógł przenieść się na inne bloki. Boże mój, widziałem ich dowódcę [26], miał niebieskie oczy, promieniowanie całkowicie zniszczyło mu tęczówki. Potem, kiedy zorientowali się, co się dzieje, nie przzerwali akcji. Mówili, że czuli moralny nakaz, by iść do reaktora. Wymiotowali, mdleli, puchli. W ciągu kilku chwil dostali śmiertelne dawki promieniowania. Żona jednego z nich biegła za noszami, była w ciąży. Przez moment groziła nam totalna zagłada. Rdzeń mógł wpaść do zbiornika z wodą, radioaktywna para wybuchłaby z wielką siłą. Żeby temu zapobiec, trójka inżynierów weszła do środka i otworzyła główne zawory zbiornika. Zgłosili się na ochotnika. To jest apokalipsa. Trzeba stąd wywieźć ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nikt im przez trzy dni nie powiedział, co się dzieje. Dzieci bawiły się na podwórkach. Teraz są tak przerażone, że musiałem dawać im leki na uspokojenie. Nie wiem, co będzie z tymi ludźmi, nie wiem, jakie dawki dostali. Tu cały czas fałszują wszystkie odczyty. Ci młodzi żołnierze, którzy pracują na pierwszej linii, być może umrą za kilka dni, być może na moich rękach. Obłożeni ołowianymi płytami, z łopatomy w rękach, wbiegają na dach, nabierają na łopatę napromieniowany gruz, zrzucają go poza krawędź dachu, po czym uciekają przed promieniowaniem. Wracają do mnie, badam ich. Ci chłopcy mają matki w twoim wieku. I one czekają w domach, niepokoją się, nie wiedzą nic. Więc nie mów mi o orderach, ja muszę tu być. Kończę. Jestem potrzebny. Olga? Słyszysz mnie?

– Tak, tato. Wróć do nas bezpiecznie.

– Wróć. Nie mów Olegowi, ma dość swoich zmartwień.

– Nie powiem.

– Do zobaczenia.

Olga Lwowna nie zdążyła odpowiedzieć, bo ojciec odłożył już słuchawkę. Wyjęła z szuflady karty i na stole w pokoju gościnnym zaczęła układać pasjansa. Po chwili z małej gablotki wyciągnęła butelkę koniaku. Nalała do kieliszka. Wypiła jednym haustem. Wzdrygnęła się. Nalała drugą porcję, wróciła do kart i zamykając oczy, szeptała: „Shema Israel Adonai Elohenu Adonai Ehad”[\[27\]](#).

Wyprawa w Dagestański Kraj

lato 1986

Niemal każdego wieczoru Oleg pił piwo z Andriejem i Fiedką, siedząc na ławce między blokami. Fiedka na kilka dni dostał przepustkę i wrócił z Murmańska, gdzie odbywał służbę wojskową na swoim wymarzonym atomowym okręcie podwodnym K-278 „Komsomolec”. Pękał z dumy, że jego okręt może się zanurzać na głębokość tysiąca metrów, głębokość nieosiągalną dla żadnego innego okrętu podwodnego na świecie.

– Kiedy robili próbę, bosmanowi ścisnęło koję w kołyskę – mówił Fiedka, pociągając łyk moskiewskiego.

– Co ty chrzanisz? – obruszył się Andriej. – Niby jak?

– No, takie było ciśnienie, że blachy się wyginały. Ale nic to, bo „Komsomolec” jest zrobiony z tytanu. Zwykła stal by nie wytrzymała.

– Jaja jakieś – stwierdził sceptycznie Andriej. – Nie dałbym się zamknąć w takiej konserwie. To samo z czołgami. W Afganie walą w taki z ręcznej wyrzutni i po czołgu. Niby pełno blachy, a jak przychodzi co do czego, to trach.

Andriej studiował w akademii ekonomicznej w Moskwie. Oleg kilka razy spotkał się z Miszą Sałowem, z którym zaprzyjaźnił się od czasu, gdy tamten wtaszczył go uwieszonego na jego barku do domu. Misza studiował na Wydziale Systemów Łączności w Wojskowej Akademii imienia Feliksa Dzierżyńskiego. Był rostry, opanowany, z dużą szczęką. Kiedy spotykali się we czwórce, Misza potrafił wypić więcej niż pozostała trójka. Polubili go. Andriej twierdził, że ten gość jest jak Portos, fajnie dopełnia paczkę.

Wraz z początkiem czerwca do Moskwy przyszły upały. Rtęć na termometrze przyklejonym do kuchennego okna wskazywała czterdzieści stopni. Wieczory przynosiły odrobinę ulgi i wówczas Olga Lwowna siadała w kuchni przy otwartym oknie i popijając herbatę, sprawdzała ostatnie klasówki, czytała prasę lub periodyki niezależne.

Oleg wszedł do kuchni, żeby wyjąć zimne piwo z lodówki.

– Słuchaj – zwróciła się do niego Olga Lwowna, po czym z okularami na nosie zaczęła czytać: – Przemawiając na Ósmym Zjeździe Pisarzy Radzieckich, Danił Granin powiedział: „W ciągu ostatniego półtora roku ujawniło się zło, wyposażone w szerokie kontakty, przywileje, aroganckie i można powiedzieć, nielekające się niczego. Ukazało swoją skalę, której nie mogliśmy sobie nawet wyobrazić...”. – Odłożyła gazetę i spojrzała na syna. – Sam widzisz, ludzie powoli zaczynają mieć odwagę, by głośno nazywać pewne rzeczy po imieniu. Po tym, co się stało, można cię zaliczyć do bohaterów prześladowanych przez system.

– I co mi po tym? – odburknął Oleg, zdejmując kapsel z piwa. – Mistrzostwa

świata mi za to nie przyznają.

– Za tydzień przyjeżdża dziadek Lowa – odezwała się, a ton jej głosu był chłodny. – Będzie u nas trochę mieszkał, musi zrobić sobie badania.

Oleg popatrzył na matkę zdziwiony.

– Coś mu jest?

– W jego wieku trzeba od czasu do czasu się przebadać – odrzekła, opuszczając wzrok z powrotem na gazetę.

– Dziadek to przedwojenna konstrukcja, nie do zdarcia – rzucił Oleg i poszedł do siebie.

Olga Lwowna podeszła do okna, chcąc zaczerpnąć chłodniejszego powietrza.

W tym czasie Andriej zdołał namówić Antonowa na wspólny wyjazd na południe. Opowiadał, że chce jechać tam, gdzie jest przestrzeń i wolność, że chce się kochać z dziewczynami i spróbować życia i że dlatego trzeba jechać na południe.

– Rodin mówił, że w Kotlinie Czujskiej konopie indyjskie rosną na kilkuset hektarach – przypomniał Olegowi. – Nie żebym tam jechał od razu się naćpać, ale to musi być niezmiernie wesoła okolica. Wiesz, co mam na myśli? Ostatnią dziewczyną, którą miałeś, była ta Amerykanka. Czas coś upolować, brachu.

Andriej robił różne drobne interesy, dorabiał też, grając na weselach i na dancinгах, miał pieniądze. Mówił, że na południe ciągną teraz wszyscy „wolnomyślący” ludzie. Mieli wyruszyć z początkiem sierpnia. Olegowi wizja włóczenia się bez celu i topienia smutku w alkoholu, przygodnym seksie, a może nawet w narkotykach wydała się najlepszym rozwiązaniem, by zmniejszyć uczucie dręczącej go depresji. Andriej zbierał pieniądze na samochód.

– Ty masz forszę z szachów – zwrócił się do Olega, gdy wracali wieczorem z kina. – Ile tam, na Zachodzie, zarobiłeś?

– Mam gdzieś ze dwanaście tysięcy dolarów – przyznał Oleg. – Resztę zabrali.

– Boże mój. – Andriej złapał się za głowę. – Co za fortuna! Ty jesteś *farcowszczyk*, jak marynarze. Dżinsy, płyty, waluta, wszystko w zasięgu ręki. No dobra, kupujemy wóz od Stasa, znajomego Rodina. Jak wydam płytę, to zwrócę ci z zarobionych pieniędzy – zadeklarował. – Gdy zobaczysz ten samochód, nie będziesz żałował.

– Jaki samochód?

– Powiedziałem: samochód? To świątynia na kołach. Stas osobiście nadał mu charakter. Niezły koleś. Ma trzy żony, to znaczy jedną tę urzędową, a dwie po tych ich własnych jakichś odjechanych ceremoniach ślubnych. Mówi o nich: „moje gierle” [28]. Już ci nie będę opowiadał, że ponoć na golasa stawały do ślubu. Oż w mordę, być družbą na takim ślubie... Kiedy o tym myślałem, to potem przez

tydzień nie mogłem się przed snem uspokoić i odwiedziłem dwa razy naszą dziewczynkę.

– Chodzisz do niej?

– Czasami.

– Andriej – zdziwił się Oleg. – Przecież ty jesteś macho, na ciebie każda poleci, a ty łazisz do kurew.

– No widzisz? Sam tego nie mogę zrozumieć. I czas to zmienić. Dawaj kasę i jadę po naszą świątynię. Jak zobaczysz wóz, sam zrozumiesz, dlaczego musimy go mieć.

– Jadę z tobą.

Nazajutrz pojechali razem. Stasa nie było w domu. Otworzyła im jedna z żon. Wysoka, potężnie zbudowana, z dużym biustem. Oleg spojrział znacząco na Andrieja, który skrzywił się i pokręcił przecząco głową, by przyjaciel nie próbował silić się na żadne aluzje.

– Stasa znajdziecie na tusowce[29], na Arbacie, koło kawiarenki Aromat. Ale o tej porze już siedzi na igle, więc nic z nim nie ugadacie. Samochód stoi na dole. Jak chcecie, to płacicie i go bierzcie. Stas i tak już nim nie jeździ, bo sprzęgło ciągle wyskakuje, a na południe pociągnie hajkiem[30].

– To jak będziemy jeździć, skoro sprzęgło zepsute? – rzucił zaniepokojony Oleg.

– Nie bój nic, sprzęgło się zrobi. Dostajesz prawdziwy przybytek pański, a ty się o sprzęgło martwisz. Wóz był w Grodnie – zwrócił się do żony Stasa: – Dobrze mówię?

– Nie, nie ten – zaprzeczyła kobieta. – Tamten stoi u kogoś na podwórku, pod Tallinem. No to co, płacicie?

– Płacimy.

Wyciągnęli z rozporków spięte gumką pliki banknotów.

– Co było w Grodnie? – spytał Oleg, kiedy schodzili po schodach, by obejrzeć samochód.

– Nie słyszałeś? – zdziwił się Andriej, otwierając drzwi od klatki schodowej. – W sierpniu siedemdziesiątego pierwszego mieli tam prawdziwy zjazd hipisów. Do Grodna przyjechali ludzie z Wilna, Rygi, Tallina. Święto kwiatów. Nawet nie wchodzili do miasta. Rozłożyli się gdzieś na obrzeżach, ale komuś to widocznie przeszkadzało. Zawiadomił milicję. Już widzę tę tępą mordę, tego prawego obywatela z portretem Lenina w jednej ręce i z ikoną świętego Bazylego w drugiej. Przyjechała milicja, zaczęła się zadyma. Więc nasi ruszyli do Grodna, ale tam czekali już na nich z większymi siłami. Ponoć chłopakom z Wilna komsomolcy własnoręcznie obcinali włosy. Kutasy jedne. Trzeba było jakoś na to odpowiedzieć. Nasi ponieśli transparenty: „Łapy precz od włosów”. Pałki poszły w ruch. No dobra – przerwał Andriej, stając przed stojącym na parkingu modelem

karetki UAZ 452 z napisem „Szybka pomoc medyczna”. – A oto nasze cudło, „Erotomobil”. Tak go nazwałem. Z zewnątrz wciąż karetka, dla bezpieczeństwa, bo służby zdrowia milicja nie będzie kontrolować. Fartuchy skombinujemy, znam jedną pielęgniarkę. Nie patrz tak, brzydka jest, nic z tych rzeczy. Ale fartuchy skombinuje, oni tam w magazynie mają burdel, więc nikt się nie zorientuje. Wiesz, że fartuch lekarza to może być przepustka do kobiecego ciała. – Mrugnął znacząco do przyjaciela.

– A co on ma taką smutną mordę? – spytał Oleg, wskazując na przód samochodu wyposażonego w okrągłe reflektory, które wyglądały jak zdziwione i zasmucone oczy psa.

– Jak każdy Rosjanin. Na gębie smutny, w środku za to pełen wódki i radości – skwitował jego słowa Andriej i otworzył tylne drzwi furgonetki.

Wnętrze pomalowane było ostrymi kolorami, wśród których mieszały się zielony, czerwony, żółty i czarny. Kobięcy manekin siedzący frywolnie na noszach ubrany był w koronkowy gorset. Wszędzie dookoła roilo się od koralików, flag, proporców. Znalazło się nawet miejsce na adapter, który korzystał z prądu przeznaczonego dawniej do aparatury medycznej.

Oleg zaniemówił. Patrzył jak zaczarowany.

– Aaaa, gębę rozdziawiasz. – Andriej śmiał się na całego. – Mówiłem, że jak zobaczysz, to zrozumiesz. Świątynia, muzeum erotyki na kółkach.

– Jedziemy – szepnął Oleg. – To przerosło moją wyobraźnię.

– Ano.

Uradzili, że zamiast do Kotliny Czujskiej, która była „zajebiście daleko”, pojedą do najstarszego miasta Rosji – Derbentu. Mieli jechać we czwórkę: Andriej, Oleg, Fiedka i Misza. Dwóm ostatnim ojciec Andrieja załatwił kilkutygodniowe przepustki. Andriej i Misza mieli prawo jazdy.

– Mamo – zaczął Oleg. – Muszę trochę pojeździć po kraju, nic tu po mnie. Jest lato, żal siedzieć w domu.

– Z kim będziesz jeździł? – spytała spokojnym głosem Olga Lwowna. Od kilku dni obawiała się usłyszeć od syna te słowa.

– Andriej kupił samochód. Z nim, z Fiedką, z Miszą. Na jesień wrócę.

– A jak się wdacie w jakąś awanturę?

– Mamo, w parku może na ciebie spaść chmura radioaktywna, na stadionie piłkarskim o mało nie zginąłem, a potem grając w szachy, omal nie zostałem otruty. Bardziej niebezpiecznych miejsc niż to miasto nie odwiedzę ani bardziej niebezpiecznych rzeczy robić nie będę.

Olga Lwowna westchnęła, wstając.

– No to jedź, jak musisz.

Objęła syna. I trwali tak przez dłuższą chwilę w milczeniu.

– Pomogę ci się spakować.

Dzień później Andriej przyjechał po niego Erotobilem. Oleg prosił, by zaparkował nieco dalej, nie pod blokiem, na wypadek gdyby matka zobaczyła przez okno, że wsiada do karetki. W środku byli już Fiedka i Misza.

Ruszyli. Przez radio słuchali relacji z zawodów Goodwill Games, które właśnie kończyły się w Moskwie. Oleg kibicował Wiaczesławowi Jakowlewowi – bokserowi wagi ciężkiej.

– Naszym świetnie idzie. – Pokiwał głową. – Wszystko na razie powygrywali.

– Zabrałbyś mnie kiedyś na trening do Kisielowa – poprosił Misza, sięgając po butelkę moskiewskiego. – W wojsku takie rzeczy się przydają. Co, Fiedka? – Odwrócił się do Fiedki, który przeglądał płyty z muzyką. – Cieszysz się na te swoje łodzie podwodne?

– Pewnie, że cieszę. Jak mam się nie cieszyć.

– Cholera, dziewczuchy by się przydały... – odezwał się Misza. – Coraz trudniej bez nich wytrzymać.

– No co ty? Będziemy poznawać po drodze – rzekł zdecydowanym tonem Andriej. – Mam tu lekarskie fartuchy. Na lekarzy wiejskie dziewczyny poleca, bez dwóch zdań. Musimy tylko skombinować jakieś konfitury.

– A po cholere konfitury? – zdziwił się Misza. – Konfiturami je będziesz przekupywał?

– A żebyś wiedział.

Misza odwrócił się w stronę Olega z pytaniem na twarzy. Ten tylko wzruszył ramionami.

– No jak, konfiturami? Co one konfitur nie widziały?

– Konfitury pewnie i widziały, ale nie nasze medyczne – odrzekł zadowolony z siebie Andriej. – To będzie środek na różne dziewczęce pragnienia.

– Nic nie rozumiem. – Misza zmarszczył brwi.

– Ano widzisz, kolego. Za małe cycki? Wsmarowujemy. Za duże? Wsmarowujemy. By były jędrne pośladki? To moje ulubione. Wsmarowujemy. Za małe usta? Wsmarowujemy. Za duże? Sprawdzamy organoleptycznie jeszcze raz, bo może trzeba powtórzyć. No dobrze, wsmarowujemy.

– O kurwa... – jęknął z zachwytem Misza. – I one tak się zgodzą?

– Oj, chłopaki. – Andriej zachichotał. – Czuję, że nasza wyprawa to będzie wielki przyczynek do historii Erotomobilu. Fiedka wrzuc no jakąś muzę.

Wyjechali szosą warszawską na południe. Stojąca na rogatkach milicja ich nie

zatrzymała. Karetka budziła szacunek.

– Na Dagestański Kraj! – krzyknął Andriej, gdy mijali tablice Moskwy.

Minęli Domododiewo, a za Podmoskiewskimi Sanatoriami Andriej wcisnął pedał gazu i zaczął śpiewać piosenkę muszkietierów z radzieckiej ekranizacji powieści Dumasa.

To jest czas, to jest czas radości w naszym życiu.

Piękne dziewczyny i kielich, szczęśliwe ostrze

Żegnajcie, żegnajcie, potrząsając piórami na kapeluszach,

Losowi nieraz powiemy: „Merci beaucoup”.

Za Stupinem musieli wskoczyć do lasku, by opróżnić pęcherze po wypitym piwie. Misza przejął kierownicę, a Andriej włączył adapter z płytą Madonny *Like a Virgin*.

Oleg siedział obok kierowcy i spoglądał przed siebie. Niebo było stalowe, chmury sunęły nisko: od spodu ciemnoszare, u góry znów jasne od słońca, które oświetlało je niczym zawieszony wysoko reflektor. Jak okiem sięgnąć, rozciągały się łąki. Tu i ówdzie stały słupy wysokiego napięcia. Nic więcej. Oleg poczuł, że ogarnia go spokój. „Kajf”, przypomniał sobie słowo, które usłyszał od Rodina. Wyciszenie, błogostan. Nie potrzebował się spieszyć, nie potrzebował nic nikomu udowadniać. Dawał się wieść, przed siebie. Czasem lekko przysypiał. Potem otwierał oczy i znów spoglądał na drogę. Od czasu do czasu mijaly ich samochody z naprzeciwka. Droga była połatana, gdzieniegdzie wciąż szpeciły ją dziury.

Drewniane płyty – obserwował i nazywał w myślach mijane rzeczy. Drewniane domy. Piękne sady. Cerkiew. Słońce wyszło zza chmur i dodało ciepła. Domy z werandami. Zastanawiał się, kto w nich mieszka, z czego żyje. Lasy olchowe, brzozy. Zielono. Spokojnie. Znów notował w pamięci, nie zastanawiając się nad niczym głębiej. Cementownia. Zaniedbana. Beżowa, z wielkich betonowych gotowych płyt, poskładanych niczym klocki.

Jechali drogą Kaspijską, z boku zostawiając Sieriebrianyje Prudy. Mijali zagony rolne. Niebo się zachmurzyło. Zaczął kropić deszcz. Aż po widnokrąg otaczała ich płaska równina. Wszyscy, z wyjątkiem Miszy, zasnęli. Za tablicą „obwód rizański – rejon michajłowski” stanęli, żeby się znowu wysikać. Zjedli chleb z kiełbasą i ogórki.

– Mamy coś w ogóle do żarcia? – spytał Oleg.

Misza bez słowa otworzył szuflady i drzwiczki szafki, która dawniej służyła do przechowywania narzędzi medycznych. Oczy Olega rozblęsnęły na widok puszek z konserwami, butelek z piwem i wódką, słoików z ogórkami, faszerowanymi pomidorami.

– Ano widzisz. – Andriej poklepał go po ramieniu. – Nie ma takiej rzeczy, której

by generał radzieckiej armii nie potrafił zorganizować. Na tym polega nasza przewaga militarna nad resztą świata. Ja zostałem gitarzystą w kantynie oficerskiej i dali mi najlepszą gitarę, Fiedka ma swojego „Komsomolca”, Misza nie musi się martwić dobrym przydziałem, a prowiant pierwsza klasa. Prosto z magazynu. Wszystko to zawdzięczamy generałowi Giennadijowi Artiomowiczowi Grotowowi.

– Masz zajebistego ojca, Andrieju Giennadijewiczu – przyznał Oleg.

– Wiem.

Kiedy zatrzymali się w okolicy Pokrowskiego klasztoru kobiecego w rejonie michajłowskim, Misza spytał, czy nikogo nie kusi, by poszukać konfitur.

– Ja z ruskiej Cerkwi nie żartuję – odparł poważnym głosem Andriej. – Moja matka ma dla niej wielki szacunek.

Mijali złote pola, mijali skoszone łąki, na których stały kopy siana. Zewsząd otaczała ich wielka przestrzeń nappełniająca myśli i płuca nową energią. Olega zaintrygowały butelki zatknięte do góry dnem na żerdziach płotu jednego z ogródków. Pewnie na ptaki, pomyślał. Minęli pomnik „Pamięci bojowników” z czerwoną gwiazdą, a Oleg pomyślał o swoich dwóch dziadkach. Obiecał sobie odwiedzić dziadka Lowę po powrocie z wyprawy. Za Tambowem zachwyciły go piękne lasy iglaste.

Wieczorem stanęli na nocleg. Zachód słońca, które kładło się nad polami, wprowadził Olega w romantyczny nastrój. Fiedka rozpałił ognisko. Wrzucił do żaru ziemniaki. Misza grał na harmonijce ustnej.

– Smutek, przestrzeń. Nie wiadomo, po co się żyje – odezwał się Andriej, patrząc w ciemnoczerwony żar. – Dokąd to wszystko?

– Co: dokąd? – spytał Oleg, który czuł coraz większe szczęście z powodu wyjazdu.

– Dokąd to człowiek zmierza...

– Do Derbentu – odpowiedział ze śmiechem Fiedka.

– Jak się kocha, to łatwiej – zwrócił się do niego Andriej. – Ty, Fiedka, ciągle możesz liczyć, że kiedyś Tamara powie ci: „tak”. Oleg kocha beznadziejnie. Ja się miotam, bo chcę oddać serce tej jednej, w której zakocham się od pierwszego wejrzenia. Jak to mówią na Sycylii: „rażony piorunem”. A Misza... Misza, a ty właściwie co? Kochasz kogoś?

Misza odsunął harmonijkę od ust. Pomyślał chwilę.

– Matkę. Matkę kocham – rzekł spokojnym głosem i wrócił do gry.

– No to jest was dwóch liczących na wzajemność – podsumował Andriej. – Wy, wojaki, jakoś prościej układacie sobie świat i życie.

– Boże, jak ja lubię kartofle z ogniska. – Fiedka pochylił się w stronę dogasającego ogniska.

– Sami widzicie. – Andriej wskazał ręką na Fiedkę. – Ja o duszy, a ten o kartoflach. Dawaj jednego, bo też zgłodniałem. Wyjmijcie masło i sól.

Oleg poparzył sobie podniebienie gorącym ziemniakiem. Nie obierał go, lecz jadł całego, łącznie z zesmaloną na czarno skórką. Smakował wybornie.

Andriej zagrał na gitarze i zaczął śpiewać *Modlitwę* Okudźawy. Po jedzeniu Fiedka i Misza rozstawili namiot. Oleg z Andriejem spali w karetkce.

– Słuchaj, Oleg – odezwał się Andriej, kiedy leżeli obok siebie w ciemnym samochodzie. – Ta twoja Tatiana... Czemu mówisz, że z nią to beznadziejna sprawa? Przecież ten film z Romancewem okazał się mistyfikacją.

– Nie wiem, stary. – Oleg podparł głowę na rękę. – Ktoś taki jak ona nie zadaje się z byle kim.

– A kto jest tym „byle kim”? – Andriej podniósł się na łokciach. – No chyba nie ty? Co ty, myślisz, że ja bym miał za przyjaciela „byle kogo”? No wprawdzie nie mówisz po francusku, więc na salony można cię wpuścić jedynie od kuchni, ale światowy człowiek jesteś. Słyszysz, jak tamci chrapią?

Faktycznie, z namiotu słyhać było świetnie uzupełniający się duet. Raz wysoki chrapliwy tenor Fiedki, to znów baryton Miszy na zmianę wprawiały w zakłopotanie okoliczną ciszę. Przed snem Oleg myślał o słowach kolegi.

Znów pokonywali drogę. Podłą, połataną, ale mającą cel. Zobaczyli tablicę informacyjną: „Astrachań 820 km, Moskwa 520 km”.

– Wielka ta nasza ojczyzna – stwierdził filozoficznie Misza.

Oleg wyjrzał przez okno. Dostrzegł drewniane domy, psy na łańcuchach i wymalowany białą farbą na drewnianej tablicy napis: „Złe psy”. Zachwyciły go rozciągające się po obu stronach drogi pola słoneczników, które odbijały promienie słoneczne, kontrastując z niebem koloru ultramaryny. Wszystko to przywodziło mu na myśl obrazy van Gogha, które widział w Amsterdamie.

Na obiad zatrzymali się w „restauracji” reklamującej się hasłem: „Gorące dania”. Oleg z Andriejem weszli do środka. Za ladą siedziały dwie zajęte rozmową dziewczyny. Andriejowi pojaśniało oblicze, odwrócił się na pięcie i wyszedł, by po chwili wrócić ubrany w biały fartuch, ze słuchawkami lekarskimi na szyi. Dyskretnie wepchnął Olegowi drugi fartuch pod pachę. Sam podszedł do lady i zaczął czytać menu. Dziewczyny zauważyły go i przerwały rozmowę.

– Co myślicie, doktorze, o tym preparacie, który kazano nam dostarczyć do Wołgogradu? – zwrócił się Andriej do Olega, nie przerywając czytania. – Rosół z kury proszę i bliny – zamówił u ekspedientek. – Gdyby kobiety się o nim dowiedziały i zaczęłyby go regularnie stosować, mężczyźni oszaleliby na ich

punkcie. I piwo, poproszę. Może być ciemne. No bo po nałożeniu preparatu na wybrane miejsce osiąga się na drugi dzień stuprocentowy efekt. Piękniejsze ciało, bez niedoskonałości, praktycznie wszystko można w sobie zmienić. O, na przykład tym pięknym paniom – wskazał na dziewczyny, które przyglądały się zaintrygowane obu gościom – nie brakuje niczego, ale nawet tak piękne osoby mogłyby chcieć coś poprawić w swoim wyglądzie. Chciałybyście? – zwrócił się bezpośrednio do jednej z nich.

– Niby co? – odparła z nieco zdezorientowaną miną.

– Czy chciałybyście zmienić w sobie kilka elementów, żeby mężczyzna zwariował na wasz widok. Dziś nauka radziecka daje taką możliwość, a my w naszej karetce medycznej wieziemy ten cudowny specyfik do Wołgogradu. Aż mnie kusi, by go użyć lub wypróbować na kimś. No co, chciałybyście?

Barmanka popukała się po głowie, pokazując Andriejowi, co myśli o jego pytaniu.

– Załóżmy, że ja bym chciała – wtrąciła się nagle druga dziewczyna. – I co?

– Co: i co?

– No i co byście mi zapisali, doktorzy?

– Prawdę powiedziawszy, lek, który mamy, jest niezwykle cenny. Tak cenny, że moskiewski instytut dał nam nawet dwóch milicjantów do ochrony, tych tam, co palą, tajniaków ubranych po cywilnemu. Wszystko po to, żeby preparat dotarł do Wołgogradu nietknięty. Ale myślę, że gdybyśmy uszczknęli dla was ociupinkę, oczywiście tak, by nikt nie zauważył, to instytut nie miałby nam tego za złe. Mam rację, doktorze?

Oleg skinął potakująco głową.

– A co byście chcieli w sobie poprawić? – spytał coraz bardziej pewny siebie Andriej.

Dziewczyna zaczęła chichotać.

– No, dalej. Jestem lekarzem – próbował ją ośmielić Andriej. – Mnie można powiedzieć wszystko. Żaden wstyd.

Dziewczyna nachyliła się i wyszeptowała mu coś na ucho.

– Noo... – powiedział Andriej. Głos mu zadrżał, a twarz się zarumieniła. – Lek może tego dokonać. O tak. Na pewno. Za to mogę ręczyć. Ale... – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Nachylił się do ucha dziewczyny i tym razem on zaczął jej coś szeptać.

– Aha – potwierdziła dziewczyna.

– No dobrze. To zrobmy tak. Żeby lady nie zostawiać pustej, koleżanka z doktorem dopilnują interesu, a my zobaczymy, jak działa nasz preparat wyprodukowany dzięki zdobyczom radzieckiej nauki. – Uśmiechnął się zachęcająco, po czym nachylił się do Olega i szepnął: – Pilnuj tej drugiej, żeby nie

przeszkodziła i milicji nie wezwwała.

Oleg chciał spytać przyjaciela, co znowu wymyślił, ale nie zdążył. Andriej wyszedł na zewnątrz w towarzystwie barmanki. Oleg zagadywał jej koleżankę, pytając o życie w rejonie michajłowskim.

– Czemu ta wasza karetka tak się kolebie? – spytała po chwili barmanka, spoglądając przez okno.

Rzeczywiście Erotomobil kołysał się to w przód, to w tył, rytmicznym ruchem.

– Dozowanie leku – odpowiedział Oleg. – Czy mogę prosić jeszcze o barszcz?

– Na co miał jej pomóc lek? – dopytywał się Oleg, gdy bar z napisem „Gorące dania” zniknął w tumanie pozostawianego przez samochód kurzu.

– Powiedziała – mruknął leniwie Andriej – że jeszcze ani razu nie była w niebie ze swoim Kostią, a robią to już od miesiąca, i czy coś mogę poradzić. Więc dałem jej lek i od razu sprawdziliśmy jego działanie.

– Fiu, fiu – zagwizdał z podziwem Misza.

A Andriej zaczął śpiewać.

Po drodze do Wołgogradu Andriej jeszcze kilka razy próbował swoich sił jako doktor oferujący magiczny specyfik. Udało się tylko raz. Ta druga „pacjentka” kierowała traktorem, gdy stali przy karetkce, naprawiając linkę od sprzęgła. Sama zaczepiła Andrieja, pytając, co tu robią lekarze i czy coś się stało. Była trochę po trzydziestce, z lekką nadwagą i obfitym biustem. Potem Andriej mówił, że nie musiał wcierać żadnego specyfiku.

– Sama uznała – tłumaczył przyjacielom – że nie ma po co, kiedy zobaczyła moją reakcję na jej ciało.

– A co chciała zmieniać? – zainteresował się Fiedka.

– Biust sobie zmniejszyć, głupia, bo ponoć chłopcy jej żyć nie dają, ciągle świntuszą, i myślała, że to powód do wstydu.

– No, świnię z nas, to prawda – podsumował Fiedka.

W pierwszej aptece, którą mijali, Andriej kupił pastylki ziołowe na pęcherz. Opowiadał potem dziewczynom, że to afrodyzjak i po jego spożyciu kobieta wydziela takie feromony, że mężczyzna nie jest w stanie się jej oprzeć. No i zapraszał do Erotomobilu na eksperyment. Siedział obojętnie, a dziewczyny nabawiały się kompleksów, że u nich te feromony słabe jakies. Więc wzmacniały Andriejowi dawkę wrażeń, byle tylko nie przyznać się do porażki. W zamian za eksperyment, który odbywał się w Erotomobilu, dziewczyny otrzymywały cały listek lekarstwa.

Erotomobil sunął „Kaspijską” w kierunku Wołgogradu, a w jego środku kręciła

się płyta The Doors. Wieczorami stawali, rozpalali ognisko, spali w samochodzie i w namiocie. Andriej grał romanse na gitarze. Pili piwo i prowadzili długie dysputy. Opowiadali o dziewczynach, z którymi byli, o meczach, o wojsku, o tym, co można by było zrobić z wielką ilością pieniędzy. Oleg opowiadał o swoich podróżach, o Hawanie, o smaku daiquiri, o Ameryce i o Janet. Nie mogli zrozumieć, dlaczego tam nie został. Odpowiedział im prosto:

– Ludzie inni, obyczaje inne, kobiety też, nie mój kraj...

– No tak, nie twój kraj, to prawda – przyznał Misza.

Andriej stwierdził, że Olegowi czerwoną szmatę powiesili na drzewie jak w *Polowaniu na wilki* Wysockiego i zaczął śpiewać utwór, akompaniując sobie na gitarze.

Oleg siedział wpatrzony w ogień, słuchając mocnego głosu Andrieja. Potem pili. Pili tyle, że w końcu stracili przytomność i Misza, który miał najmocniejszą głowę, układał ich do snu. O poranku Oleg miał ochotę umrzeć. Czuł się całkiem bez ducha. Głowa mu pękała, dostał mdłości.

– No, bohaterze. – Misza zaśmiał się rubasznie. – Z Andriejem jest niewiele lepiej.

I znów jechali „Kaspijską” na południe, mijając pola i łąki. Nad wielką plantacją słoneczników złapała ich burza z piorunami. Niebo było ciemnoszare, deszcz bił z ukosa, wyginając łodygi roślin. Musieli się zatrzymać, bo wycieraczki nie nadążały ścierać kropel z przedniej szyby.

– Dawaj tam, Fiedka, *Riders on the Storm* Doorsów! – krzyknął Andriej.

W jednej ze wsi w rejonie frołowskim Andriej najął się, żeby grać na weselu. Orkiestra potrzebowała gitarzysty, bo ich człowiek przepadł bez wieści w ostatniej chwili. Ale podczas zabawy Andriej upił się i zaczął dostawiać do jednej dziewczyny. Doszło do awantury. Musieli uciekać przed grupką pijanych weselników. Ktoś, rzuciwszy kamieniem, rozbił tylną szybę Erotomobilu i trzeba było później wstawić zamiast niej drewnianą deskę. Podczas postoju nad brzegiem Wołgi pomalowali ją na biało, by nie rzucała się w oczy. Misza uczył Olega łowić ryby, w rewanżu Oleg pokazał mu, jak grać w pokera, i spędzali wieczory, grając we czwórkę w karty i używając pestek słonecznika jako żetonów.

Andriej zafascynował się pozostawioną przez Stasa w samochodzie książką o hipnozie. Próbował kilkakrotnie zahipnotyzować Olega. Ten cierpliwie znosił próby i eksperymenty, ale sukcesu to nie przyniosło. Co najwyżej ucinał sobie drzemkę. Andriej postawił tezę, że albo Oleg ma zakuty łeb, na który nie działają żadne fale, albo on jest mistrzem sztuki relaksacyjnej i potrafi na zawołanie usypiać swoich pacjentów.

W jednej z okolicznych wiosek poznali dziewczyny i razem z nimi poszli się grzać do bani. Zapowiadało się fantastycznie. Ale zanim udało im się zrealizować

swoje najśmielsze fantazje, musieli uciekać całkiem nago. Dziewczyny okazały się „nie całkiem wolne”. Przynajmniej trzech tęgich drabów uważało, że mają do nich jakieś prawa. Chłopcy dali się zaskoczyć i nie pozostawało im nic innego jak ucieczka. Tak czy inaczej, zanim dotarli do Erotomobilu, swoim brakiem ubioru wprowadzili w osłupienie dwie kobiety wracające na rowerach z miejscowego kołchozu.

W Wołgogradzie załatwili sobie nocleg u szachistów, znajomych Denisowa. Gospodarze byli dumni, że mogą gościć pogromcę Zimmermana. W zamian za jedno spotkanie Olega z szachistami w miejscowym klubie cała czwórka przez trzy dni zażywała rozkoszy kąpeli w gorącej wannie i domowego jedzenia. Oleg zatelefonował do matki, by ją uspokoić, że wyprawa jest „w dechę” i bardzo mu pomogła odbudować się psychicznie. Obiecał, że będzie dzwonił.

I znów jechali na południe „Kaspijską”. Mijali stepy. Drewniane domy, pomalowane na zielono i niebiesko. Czasem pomniki upamiętniające obrońców ojczyzny – ot choćby katuszę na podwoziu ZiS-151 – jak fachowo opisał Misza.

– Patrzcie – zauważył siedzący z przodu Fiedka. – Kałmucja.

Minęli monument z napisem „Sadowoje 1849” i zobaczyli niedaleko drogi jezioro. Zaparkowali ambulans na jego brzegu i wskoczyli nago do wody. Była całkiem ciepła jak na tak ponury wieczór i zachmurzone niebo. Potem rozpalili ognisko, a Andriej, jak każdego wieczoru na biwaku, wyciągnął z samochodu gitarę.

– Ja pierdołę, chłopaki! – zawołał. – Czuję się jak w westernie. Brakuje mi tylko Indian. Step jak okiem sięgnąć. Piękny ten nasz Związek Radziecki. – Westchnął. – Człowiek nie wiedział, że ma taką prerię jak w Ameryce. Czekać tylko, aż się pojawi Winnetou na koniu.

– I w dupę ci strzeli z łuku, Andriusza. – Fiedka ziewnął, układając się przy ognisku.

– Indianie to też Ruscy – wtrącił się Oleg, podnosząc ostrożnie z żaru ogniska puszkę z mielonką.

– Co? Jacy Ruscy? – Fiedka zaśmiał się z niedowierzaniem.

– No tak. Mówię, że rdzenni mieszkańcy Ameryki Północnej, znaczy Indianie, to też Ruscy. Od nas wyemigrowali tam kilka tysięcy lat temu.

– Bujasz – obruszył się Andriej. – Już wtedy przewidzieli u nas komunizm?

– Nie bujam – odrzekł spokojnie Oleg. – Przez Syberię i Alaskę.

– Kurde, ci wszyscy Apacze i Czejeni, i Siuksowie to z pochodzenia Ruscy? – Andriej roześmiał się, jakby przypadła mu do gustu wizja, że jest tej samej krwi co Siedzący Byk. – Myślałem, że nasze westerny to wyłącznie *Taczanka z południa*[31].

Do późna w nocy Oleg z Andriejem snuli opowieści, jak żyłoby się im, gdyby

byli Indianami na prerii. Następnego dnia znowu mieli problem ze sprzętem. Jechali z duszą na ramieniu, gdy nagle w czymś, co z daleka przypominało jurte, dostrzegli warsztat samochodowy. Skośnoocy i pucołowaci mechanicy byli podobni do siebie jak bracia. Krzżeli się, mówiąc w niezrozumiałym dla chłopców języku.

– Znacie ten dowcip? – spytał szeptem Andriej. – Wysłali gdzieś, do takich tu, fotografa z Moskwy, żeby im przygotować legitymacje partyjne. Robi zdjęcie jednemu, potem drugiemu, widzi, że nie ma między nimi żadnej różnicy. Więc myśli sobie: zrobię po prostu odbitki z jednego negatywu. Jakiś czas potem daje któremuś zdjęcie, a tamten krzyczy: „To nie ja!”. „Jak to nie ty, przecież gęba twoja”, upiera się fotograf. „Gęba moja”, mówi tamten, „ale papacha nie moja”.

– Oni papach nie noszą – szepnął, chichocząc, Fiedka. – Zobacz, wygląda to jak czapka wańki-wstańki.

Sprzęgło udało się naprawić albo lepiej: „załatać na jakiś czas”. Erotomobil przemierzał Kałmucję, miejsce, w którym, jak się dowiedzieli, najczęściej praktykowaną religią jest buddyzm. Droga dłużyła się im niemiłosiernie, bo wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, było kompletne pustkowienie, radziecki step. W końcu ujrzeli na horyzoncie piękne jezioro. Ucieszyli się. Podjechali bliżej. Okazało się, że jeziora nie ma.

– Co jest? – zdziwił się Andriej. – Do naszej wódki ktoś pewnie dolał etanol albo denaturat.

– Widzieliście to, czy mi się śniło? – zapytał Oleg, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Ja widziałem – potwierdził Fiedka.

– Ja też – dodał Misza.

– No to gdzie to kurewskie jezioro się podziało? – sapnął Andriej.

– Wiecie co? – Oleg próbował rozwiązać zagadkę. – Mam wrażenie, że mieliśmy wszyscy fatamorganę. Jak na prawdziwej pustyni.

– Fatamorgana w Związku Radzieckim? – Andriej pokręcił głową. – U nas się to zdarza tylko w sklepach spożywczych.

Ale inaczej niż fatamorganą nie mogli sobie wytłumaczyć faktu, że wszyscy czterej widzieli wody jeziora, którego w tym miejscu nie było.

Jadąc dalej na południe, zobaczyli w stepie prawdziwe jurty, wokół których pasły się owce.

– Myślę sobie, że tak naprawdę to nic nie wiedzieliśmy o naszym wielkim Związku Radzieckim – rzekł filozoficznie Andriej, siadając za kierownicą, żeby zastąpić Miszę.

Jechali dalej. Oleg i Misza ułożyli się z tyłu, Fiedka drzemał obok kierowcy, z głową opuszczoną na piersi. Nagle samochód z piskiem opon wyhamował tak gwałtownie, że Fiedka rąbnął czołem w szybę. Andriej wrzucił wsteczny i zaczął

się gwałtownie cofać.

– Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Oleg, podnosząc się na łokciach ze swojej leżanki.

– Kurwa, wielbłąd! – wykrzyknął podekscytowany Andriej, zatrzymując samochód naprzeciw zwierzęcia. – Najprawdziwszy wielbłąd!

Minęli stolicę Kałmucji, Elistę, za którą rozciągał się step, „kompletnie przygnębiający”, jak go określił Oleg. Stanęli pod miejscowością Saruł. Oleg leżał na boku przy ognisku i spoglądał w ogień. Pierwszy raz podczas ich podróży złapała go chandra.

– Oleg, przestań robić z siebie Lermontowa, tylko zajmij się kolacją! – krzyknął do niego Andriej.

– Czemu Lermontowa? – zainteresował się Misza.

– W szkole, jak wkuwaliśmy jego wiersze, zawsze były smutne i jakieś tęskne – wyjaśnił Andriej.

– *I byłoby to wszystko śmieszne, gdyby nie było takie smutne.* – Oleg dopełnił ten wykład o Lermontowie stosownym cytatem.

– No, widzisz go? – Andriej wskazał głową na Olega. – Poeta. Za jego babą mu się cni.

– O, jakoś mi moją Tamarę przypomniałście przez te wasze wiersze. – Fiedka posmutniał. – Aż mi się do niej wracać zachciało. Moje szczęście...

– A ty wiesz, co to jest szczęście? – zakpił Andriej.

– Po pierwsze: usłyszeć „kocham cię” z ust ukochanej kobiety... – zaczął Fiedka.

– Niedobrze mi. – Andriej wsadził sobie palce do ust.

– Po drugie – ciągnął niezrażony Fiedka – mieć swoje miejsce na świecie i czuć, że jesteś właśnie tu, gdzie być powinienes. Po trzecie: robić to, co sprawia, że rano masz na gębie uśmiech na myśl, że właśnie się zaczął kolejny dzień.

– Tak. – Andriej ziewnął ostentacyjnie. – I wszyscy żyją w szczęściu i zgodzie jak psy z bajki Kryłowa. Tylko gorzej będzie, gdy ktoś wyrzuci kość przez okno[32].

– Z ukochaną osobą łatwiej przetrwać zawieruchę – odciął się Fiedka.

– Fiedka, tyś się krokodyla Gieny naoglądał – kpił dalej Andriej.

– No dobrze, a ty, Oleg, gdybyś tę swoją zdobył, to co? – nie dawał za wygraną Fiedka. – Byłbyś już do końca spełniony i szczęśliwy?

– A jak mógłbym nie być? – rzucił rozmarzony Oleg, któremu od wizji bycia z Tatianą zakręciło się w głowie.

– No, a dajmy na to, gdyby ci w szachach nie szło – dopytywał się Fiedka.

– To chuj z szachami – odrzekł zdecydowanie Oleg.

– Mnie się też tak to widzi. Gdy pomyślę o Tamarze Gordiejewej, że mogłaby powiedzieć mi: „tak”, czuję to spełnienie całym sobą.

Andriej przedrzeźniał Fiedkę, wykrzywił się i robił cielejące oczy, szepcząc jednocześnie: „Tamaro, moja miła”. Misza śmiał się, patrząc na jego mimikę.

– Fiedka, po cholere wybrałaś te łodzie podwodne? – spytał nagle Oleg. – Będziesz musiał ciągnąć Tamarę gdzieś na północ, przecież inaczej się nie da. Po co ci to było?

– Nie będziecie się śmiali? – Fiedka spoważniał.

– Mów – zainteresował się Andriej.

– Z powodu wieloryba.

– Wieloryba? – powtórzył Oleg.

– Tak. Płetwala błękitnego. – Głos Fiedki nabrał miększego, jakby uduchowionego brzmienia. – Miałem z siedem lat, kiedy dziadek wziął mnie na kuter rybacki. Od świtu płynęliśmy po Morzu Ochockim. Było wietrznie, zimno, woda ciemnosina, tylko wokół kutra bryzgała biała piana. Niedobrze mi było, bo bujało to w lewo, to w prawo. No i rzygałem za burtę. I nagle... Boże mój. Nigdy w życiu tego nie zapomnę. Gdy to zobaczyłem, poczułem, że mam ciało jakby z ciężkiego betonu, stałem niby skamieniały i prąd mnie przeszedł od czubka głowy do samych stóp.

– No coś zobaczył? – dopytywał się zniecierpliwiony Andriej.

– Jego. Miał ze trzydzieści metrów długości. Z tej szarówki, z tego deszczu i mgły wyłonił się nagle z głębiny morskiej i uniósł łeb nad falami gdzieś na trzy metry w górę. Opadł z całą swoją potęgą, rozbijając fale, a potem wypuścił fontannę w górę na kilka metrów. Myślałem, że śnię i że to jakieś przywidzenie. A on zastygł na moment tuż pod powierzchnią i wtedy dopiero zobaczyłem jego ogrom. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Był tak wielki jak kuter. Czułem jego moc, która działała na mnie niczym czary. Po prostu stałem tam z rozdziawioną gębą i zdrętwiałymi palcami ścisnąłem z całych sił burtę, nie mogąc się poruszyć. I nagle zanurzył się, opadł w głębinę. Trwało to sekundę, może dwie. Zniknął w czeluści morza, zabierając ze sobą tę magiczną potęgę. Po chwili nie wiedziałem już, czy to była prawda, czy też to wymyśliłem, czy od choroby morskiej nie dostałem jakichś omamów. Opowiedziałem wszystko dziadkowi. Stwierdził, że czasem można je spotkać w tych okolicach, i widząc moje podniecenie, dodał: „Jeśli chcesz, możemy zostać na morzu na noc i posłuchać, jak śpiewa”. „Jak to, śpiewa?”, dziwiłem się, nie rozumiejąc, o czym mówi. „Śpiewa”, potwierdził dziadek. „Sam usłyszysz”.

Fiedka przegarnął dłonią włosy.

– I usłyszałem – kontynuował. – Nie umiem wam tego opowiedzieć. Może wasz Lermontow by umiał, bo to pewnie tylko wierszem da się jakoś ująć, opisać to wszystko, co czułem. Gdzieś z głębin, gdzieś z kosmosu, który zlewał się z morzem,

brzmiała ta pieśń niesiona blaskiem księżyca. Kiedy wyobrażałem sobie, że on tam jest na dnie, że jest niedaleko, miałem ochotę wskoczyć do wody, zanurzyć się w niej i płynąć do niego. To było tęskne jak wiatr jesienią, głębokie jak wyznanie miłości, monumentalne jakby całe tysiąclecia istnienia ziemi zamknięte były w tym śpiewie natury, którego uczył się przed wiekami. Serce pękało mi z jakiejś niewysłowionej tęsknoty i smutku, łzy lały się po policzkach. Nie miałem sposobu, by to jakoś ogarnąć, by te uczucia w sobie oswoić. Szarpały moją duszę i miotały nią jak oszalały wichry. Odtąd nie zaznałem spokoju. Przemówił do mojej wyobraźni. Poczułem z nim jakąś jedność. Może pojawił się wtedy, by zaprosić mnie do swojego świata, odkryć pragnienia. Nie wiem. Wyobrażałem go sobie latami. Tam, w głębinach, na dole, dziesiątki metrów pod taflą oceanu, ukrytego w mroku, odbywającego swe podróże od Morza Beringa aż na południe, po Australię. Ta wizja mnie prześladowała, tęskniłem za nim niemal fizycznie. I uznałem, że bycie na łodzi podwodnej to coś najwspanialszego, bo będę w jego świecie. Sam stanę się częścią tego cudownego, podwodnego świata.

– Fiedka – odezwał się Oleg. – Gdzie ty tak poetycko nauczyłeś się gadać?

– Chciałem to kiedyś opisać. Kilka lat pisałem pierwszą stronę, starając się oddać to, co czułem. No, poza tę pierwszą stronę nie wyszedłem.

– A coś ty robił na Morzu Ochockim? – zadał pytanie Andriej ściszym już głosem.

– Dziadek tam pracował jako kierownik w kombinacie rybnym. Dziadkowie ze strony matki są z Chabarowska.

– Coś ty? – zdziwił się Oleg. – Nigdy o tym nie mówiłeś.

Znów zapili wieczorem i ciężko im było się zebrać rankiem. W Koczubie zatrzymali się na kawę w restauracji, która mieściła się na werandzie w skleconej z drewna budzie. Obok stolików suszyła się bielizna. A następnego dnia minęli tablicę z nazwami: „Machaczkała” i „Baku”.

– Kurde, gdzie my jesteśmy? – Andriej łapał się za głowę. – Cerkwie, świątynie buddyjskie, meczety, ludzie w turbanach na głowie... Co to za kraj ten nasz Sojuz?

Przy drodze kupili owoce, duże soczyste melony.

– Nie zjadajcie ich, dopóki Andriej się nimi nie nacieszy – rzucił Fiedka. Gonili się z Andriejem dookoła samochodu.

Zboczyli z głównej drogi, by zobaczyć Morze Kaspijskie. Pod Machaczkałą zaintrygowały ich wakacyjne kurorty.

– Wiele o nich słyszałem, a nigdy nie mogłem sobie tego wyobrazić – oświadczył Misza, spoglądając z zaciekawieniem na plaże, na których opalały się setki ludzi, i usytuowane tuż nad nimi ośrodki wczasowe.

Postanowili zatrzymać się na trochę w którymś z nich. Po namyśle zdecydowali się na położony tuż przy plaży, noszący nazwę Jedność.

– Biorę to na siebie – zadeklarował Andriej, wkładając swój lekarski fartuch.

Przedstawił się jako lekarz medycyny wojskowej.

– Szukamy miejsc, które działałyby uzdrawiająco na weteranów z Afganistanu. Przywieźliśmy jednego. – Wskazał na Miszę. – Poraniony psychicznie. Wysłał nas generał Grotow. Zadzwońcie, sprawdźcie. Misja tajna, więc telefon jest bezpośredni. Eksperyment trwa dwa dni i ma wielką wagę społeczną. Sam sekretarz generalny jest żywotnie zainteresowany wynikiem. W przypadku sukcesu rząd daje wysokie dotacje.

Spędzili tam trzy dni. Plaże były cudowne. Dziewczyny – piękne. Oleg poznał jedną podczas kąpieli w morzu. Łazili wszędzie razem. Jej mąż pracował w Baku, był dyrektorem jakiegoś kombinatu związanego z gazociągami. Nudziła się sama, więc zapewniał jej towarzystwo i w dzień, i w nocy.

W rejonie kajtagskim Dagestanu zatrzymali się we wsi Adaga.

– To najbardziej odjechane miejsce, w jakim byłem – podzielił się swoją refleksją Andriej, rozglądając się dookoła.

Wioska położona była na wzgórzu otoczonym zewsząd górami. Wszystko to wręcz tonęło w zieleni, która mieniła się wszystkimi odcieniami: od limonowej barwy łąk skąpanych w słońcu przez intensywną malachitową zielenią rosnących na wzgórzach lasów, miętową i oliwkową trawę, porastającą cieniste północne zbocza, patynową barwę rosnących na nich krzewów, które na południowych stokach bawiły oczy zielenią Veronesego, a w zależności od tego, jak wiele światła przebiło się przez chmury, potrafiły przybrać kolor szmaragdu.

– Pustelnia – dodał Andriej, na którym wszystko to zrobiło ogromne wrażenie. – Świat jakby w innym czasie i w innym wymiarze. Spójrzcie. – Wskazał na kamienne domki z czerwonymi dachami przyklejone do zbocza urwiska, które wyglądały jak niemowlęta podwieszane w chuście do boku swej matki. – A może by tak wszystko rzucić w cholerę – zaproponował. – Kobiety, armię, szachy, łodzie podwodne, wódkę. Żyć tu na tych zielonych wzgórzach wśród łąk i kwiatów. Cudowna pogoda. Po co wracać dokądkolwiek? Tu wydoisz kozę, narąbiesz drewna, coś upichcisz i leżysz w hamaku.

– To ile byś tak leżał? – spytał rzeczowo Oleg, któremu ta wizja wcale nie przypadła do gustu. – W końcu chciałbyś się czymś zająć, wydać płytę, zrealizować marzenie. A to nie żadne marzenie, ale ucieczka.

– Wiesz co, Oleg, wszystko, co mówisz, to racja, ma to sens. Pamiętaj o tym wieczorem, kiedy będziesz pił, żeby zapomnieć o tych swoich niespełnionych marzeniach – zakpił Andriej. – Ludzie harują całe życie, upadają się do reszty, żeby potem kupić sobie dache i siedzieć tak na werandzie, i spoglądać na to wszystko dookoła. A tu? Tu masz to od razu, bez upodlenia, bez lizania dupy, bez kradzieży.

– To prawda – odrzekł Oleg, który poczuł się urażony. – Tyle że siedząc na

werandzie, masz co wspominać. A teraz siedziałbyś jak pusty dzban. Nic w środku. W końcu wpadłbyś w depresję i zaczął pić, aż zachlałbyś się na śmierć.

Jednak Oleg również nie umiał ukryć wzruszenia, jakie wywołało w nim to miejsce, pełne spokoju i mistycznej jedności z otaczającą przyrodą.

Kiedy dotarli do celu swojej podróży, do Derbentu, nie pamiętali już, dlaczego właściwie tu postanowili zakończyć odkrywanie swojego kraju. Derbent, którego nazwa pochodziła z języka perskiego i oznaczała „zamknięte wrota”, został zbudowany w piątym wieku. Kiedy podjechali pod miasto, wysokie mury dumnie mieniły się złotym kamieniem na tle ciemnozielonej barwy wzgórz. Gładzili budowle dłońmi, zastanawiając się, ile tysięcy osób robiło to przed nimi. Zapewne mury te pamiętały niezwykle zdarzenia, o których mogłyby opowiadać niezliczone historie, gdyby tylko poznać ich język, wsłuchać się w wiatr wpadający w drobne szczeliny i wydobywający z nich dźwięk niczym z pasterskiej piszczałki. Brama Kaspijska, której strzegły mury, była naturalną drogą łączącą brzegi Morza Kaspijskiego z górami Kaukazu. Tu krzyżowały się główne szlaki regionu. Nic dziwnego, że o to miejsce walczyli Scytowie, Hunowie, Chazarowie, Persowie, Arabowie i Turcy, dla których Derbent stanowił najważniejszą twierdzę w tym rejonie. Rozległa cytadela przywodziła na myśl historie znane z podręczników i książek popularnonaukowych, które czytawali, będąc w szkole podstawowej, a które rozbudzały ich dziecięcą wyobraźnię.

– Takie miejsca wbijają mnie w ziemię – przyznał Andriej. – Stoisz przy starożytnych murach, gapisz się na morze na horyzoncie, myślisz sobie, że ty jesteś chwilą, a te mury trwają wieki. Morze faluje niezmiennie, a ty znikniesz i ślad po tobie nie zostanie. Żeby choć dzieci pisały kroniki o swoich przodkach, w których znalazłaby się wzmianka także o tobie. Gównu. Nie wiem, kto był moim przodkiem w dziewiętnastym wieku, nie mówiąc już o wcześniejszych czasach. A przecież musieli być, by mi dać życie. Musieli, czy to z miłości, czy z rozsądku, łączyć się w pary i płodzić. Następni płodzili następnych i tak do moich starych i do mnie. Gdy się nad tym zastanowić, to zwierzęta jakoś rozsądniej do tego podchodzą. Płodzą, bo tak trzeba dla gatunku, a nie, bo kochają, bo pieśczoły, spełnienia, cały ten liryczny seks. Weź takiego Fiedkę. Ślubował, że jak nie Tamara, to żadna. Czujesz, ile potencjalnych pokoleń jego wnuków i prawnuków może teraz zniknąć z metryki urodzeń? Jedna taka decyzja i wielu z nich nigdy się nie narodzi. A może wśród nich jest Ciołkowski, Tołstoj, Fietisow albo nawet Kałasznikow. A ten uparł się, że nie, bo nie.

Na targu Andriej kupił sobie bęben i kilka dywanów. Oleg i Misza też po dywanie dla swoich matek. Fiedka kupił dla Tamary piękną czapkę z białego lisa, na zimę. Spoglądali na niego z zazdrością, bo wiedzieli, że gdy ją wręczy ukochanej, jej oczy rozbłyszczą.

Leningrad, wrzesień 1986

Kolejna nieprzespana noc wyczerpywała organizm. Romancew wyszedł na taras ze szklanką wody. W oddali słyhać było odgłosy żab z pobliskiego stawu. Każdym nerwem czuł przygniatającą go samotność. Pierwszy raz pomyślał, że warto byłoby odpocząć, uwalniając myśli z kieratu narzuconej sobie dyscypliny. Pamiętał jednak dobrze swoją opinię na temat obozu przygotowawczego, jaki zafundował sobie Gurgienidze. Sam więc postanowił przepracować bardzo solidnie cały okres poprzedzający mecz.

Presja, jaka mu towarzyszyła, była nie do zniesienia. Cały kraj oczekiwał od niego zwycięstwa i nie było innego wyjścia, jak tylko wygrać. W te dni w jego głowie powstał plan, by w razie porażki uciec na Zachód. Gdyby udało mu się bez przeszkód przesłać na konto w jakimś zachodnim banku honorarium za mecz, byłoby to wystarczająco dużo, by zacząć wygodne życie z dala od kraju. Jeśli przegra...

Każdego poranka zadawał sobie pytanie, czy uda mu się pokonać Krutina. Zdaniem wszystkich ekspertów miał większe szanse. Był młodszy, jego gra wydawała się stabilniejsza, zachowywał zimną krew w trudnych sytuacjach. Z drugiej strony Krutin, od momentu ucieczki ze Związku Radzieckiego, przeżywał drugą młodość. Grał z wielką fantazją, swobodą, wygrywał turniej za turniejem i pomimo pięćdziesiątki na karku był w szczytowej formie. Jego niezłomny charakter pozwalał mu bez znużenia rozgrywać wielogodzinne batalie, komplikować pozycje, które wydawały się proste i w tych komplikacjach znajdować nieoczekiwane drogi do zwycięstwa. Niosła go sława dysydenta, jaką zyskał na Zachodzie. Listy z poparciem dla niego pisali czołowi intelektualiści z Ameryki, Francji czy Wielkiej Brytanii.

Romancew czuł, jak ogarnia go obsesyjna żądza zostania mistrzem świata. I to było silniejsze niż cokolwiek innego. Pracował bez wytchnienia, spędzał przy szachownicy po szesnaście godzin na dobę. Przerwał jednak przygotowania, gdy dowiedział się, że stan matki pogorszył się, bo po okresie uśpienia nowotwór znów dał o sobie znać i pojawiły się przerzuty.

– Tola, chcę byś dla mnie wygrał – rzekła do niego słabym głosem Klara Dmitrijewna, gdy podawał jej filiżankę herbaty. – Nie żyłam nigdy twoimi szachami, może to był mój błąd, ale przecież radziłeś sobie i radzisz wyśmienicie bez matczynych emocji. Nie chciałam być nadopiekuńcza jak te wszystkie matki, które przelewają na dzieci swoje niespełnione ambicje. I cieszę się, że do wszystkiego doszedłeś dzięki własnej inteligencji, wytrwałości i życiowej mądrości. Ale teraz... – Zrobiła pauzę, by chwilę odpocząć. – Teraz, mój Tola, wygraj, wejdź na szczyt, zdobądź laur, zrób to dla siebie i dla mnie. A potem, kiedy już poczujesz

spełnienie, ożeń się z jakąś wspaniałą kobietą, która będzie ciebie warta. Będiesz już wtedy wiedział, jak wygląda świat z góry, twoje męskie ambicje zostaną zaspokojone i nic nie będzie przeszkadzać waszej miłości. Zrób, jak mówię, Tola.

Syn spoglądał na matkę, na jej szczupłą twarz, na mądre oczy, wciąż pełne blasku. Przyłożył jej dłoń do swych ust i szepnął:

– Zrobię, mamó. Obiecuję, że tak właśnie zrobię. Wygram mistrzostwo i przedstawię ci narzeczoną, którą pokochasz.

– O tak. – Klara Dmitrijewna przymknęła powieki. – Ta Suworowa to było nieporozumienie. Dobrze, że z nią zerwałeś. – Na jej twarzy pojawił się błądy uśmiech. – To powiedz mi, kiedy lecisz na Filipiny?

– Pojutrze. Jutro do Moskwy, stamtąd do New Delhi i dalej do Manili.

– Kto to wymyślił, żeby tak daleko rozgrywać mecze szachowe? Jaka tam panuje pogoda?

– Teraz jest pora deszczowa. Do końca listopada. Monsuny.

– Żartujesz? I tam cię posyłają? Przecież to niebezpieczne.

– Niebezpieczniejsze od monsunu mogą być zachowania Krutina. Ten człowiek mnie nienawidzi.

– Za co, Tola?

– Za ojca, za to, że znałem Breżniewa. Uważa, że był ofiarą systemu, a ja korzystałem z samych przywilejów. Opisał to wszystko w książce. Czytać się tego nie da.

– To nie czytaj. Kiedy byłam pianistką, też nie czytałam niczego na swój temat. Od tego można umrzeć jak Bizet. Potem nikt nawet nie powie „przepraszam”. Tola, mój Boże, zapomniałabym, wczoraj przyszedł do ciebie list.

– List?

– Tak, koperta zaadresowana kobiecą ręką. Litery piękne jak czcionka „litieraturnaja”. Myślę, że to właśnie ta osoba, którą chcesz mi niebawem przedstawić.

– Gdzie ten list?

– Wyjmij z szufladki sekretarzyka, przy fortepianie.

Romancew rozerwał kopertę, przeczytał i posmutniał.

– I? – zapytała matka, widząc frasunek na twarzy syna.

– Píše, że jutro będzie w Leningradzie. Jaki pech.

– Czy to właśnie tę kobietę chcesz mi przedstawić?

– Mamó, po Daszy ciężko jest w cokolwiek wierzyć, ciężko uwolnić się od lęku, że wszystko jest fałszem, a uczucia są prawdziwe.

Klara Dmitrijewna spojrzała na syna i westchnęła.

– Opowiedz mi, jaka ona jest. – Wyciągnęła do niego rękę. – Usiądź przy mnie i opowiedz.

Romancew wziął jej dłoń w swoje, przechylił głowę w jej kierunku i wyszeptał:

– Jest w niej jakiś smutek, piękny, pełen sekretu, jak *Nokturn cis-moll* Chopina. To sprawia, że roztacza wokół siebie niezwykłą aurę. Myślę, że z tego powodu mężczyzna nigdy nie będzie miał przy niej poczucia, że ją naprawdę zdobył. Ona jest ciągłym wyzwaniem, wieczną tajemnicą. Dlatego jest tak bardzo fascynująca. Przypomina mi ciebie, mamo.

– Jak ma na imię?

– Tatiana. To córka tej baletnicy, Bułanowej.

– Mój Boże, Tola, tej Bułanowej, która zostawiła męża w Ameryce?

– Tej.

– Mm, więc zapewne ma wiele przeżyć z dzieciństwa, które tworzą po części ową aurę. W jakim jest wieku?

– Młoda, nie wiem dokładnie, ale ledwie po studiach.

– Hm, z twojego opisu, myślałam, że starsza. To cudownie, Tola. Jak *Nokturn cis-moll*, powiadasz? Wiesz, osobiście wolę *Nokturn b-moll*, opus dziewiąte. Wydaje się odrobinę cieplejszy, a przez to jest w nim miejsce na miłość, a nie tylko na jesienne wspomnienia i tęsknotę.

– I niech tak będzie. – Uśmiechnął się. – Niech będzie miejsce na miłość.

– Pamiętasz, Tola, jak graliśmy na dwa fortepiany Rimskiego-Korsakowa?

– Tak, dziś już nie dałbym rady. Nie poradziłbym sobie, tak z marszu.

– Zagraj mi *Marzenie* Debussy'ego.

– Teraz?

– Tak, teraz. Nuty są przy fortepianie. Zagraj, Tola.

Romancew usiadł do klawiatury i zagrał, jak najdelikatniej potrafił. Klara Dmitrijewna poczuła dreszcz, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Cudownie, Tola – szeptała. – Boże, jak cudownie. Lekko. Jak dusza, lekko... Tak to się właśnie stanie, poczuję lekkość, będę jak ta muzyka, jak płatki kwiatów, które padają na taflę jeziora. Lekkość, wolność... Jedną myślą przemierzać niezmiernie przestrzenie. I nie będę tęsknić, bo tam nic nie przemija, wszystko jest wieczne... Będę jak piórko unoszone delikatnym powiewem, jak piórko...

Romancew skończył grać i spojrzał na matkę.

– A teraz *Światło księżycy*, Tola, mój kochany synku – poprosiła słabym głosem i znów, gdy grał, ledwie poruszając wargami, mówiła cichutko: – Chcę jak u Bułhakowa ujrzeć światło księżycy i zbliżyć się do niego bez lęku. Bez lęku. Oczarowana, w zachwycie, bez lęku... Graj, Tola. Tak, zbyt piękne, aby się

wszystko kończyło ciszą. Zbyt piękne, głębokie, mądre... Muzyka tam trwa, jestem pewna, wierzę, że trwa przez wieczność i księżyc też się srebrzy. Nawet jeśli jest więcej cienia niż kolorów, to przecież także może być pięknie...

Klara Dmitrijewna Wołkowska zmarła sześć dni później. W Sportkomitecie uznano, że tę informację należy utajnić przed jej synem, aby „Romancew nie utracił ducha walki i zdolności do gry na najwyższym poziomie”.

Południe Związku Radzieckiego wrzesień–październik 1986

– I co dalej? – spytał Andriej. – Dojechalśmy. Wracamy?

– Nie – zaprzeczył Oleg. – Jeszcze nie, za wcześnie. Chcę dalej. Mam przyjaciela w Erewaniu. Arszaka Oganiesjana. Pojedziemy do niego.

– I co? – Andriej wzruszył ramionami. – Przyjedziemy i powiemy: „Cześć, Arszak, fajnie cię widzieć”.

– Do dziadków Arszaka zjeżdżają się hipisi.

– Żartujesz?

– Poważnie. Sam kiedyś częstował mnie ziołem.

– Ja w to nie wchodzę, nie patrzcie na mnie – zdystansował się Misza. – Muszę wracać. Za tydzień powinienem być w Moskwie.

– Załatwimy ci transport z Tbilisi – zdecydował Andriej. – Polecisz samolotem wojskowym, w końcu mój ojciec to generał lotnictwa.

– Fiedka?

– Zabiorę się z Miszą.

– Dobrze, w Tbilisi się rozdzielamy – podsumował Andriej. – Wy polecicie z powrotem, my z Olegiem dojedziemy do Erewania. Tam gdzie zaparkujemy wózek na zimę, żeby na wiosnę dokończyć podróż.

– No co ty? – zdziwił się Oleg. – Chcesz jeszcze dokądś jechać?

– Tak. Umyśliłem sobie, że zobaczę Pik Komunizmu[33]. Zobaczą go i mogą wracać. A poza tym mieliśmy wpaść do Kotliny Czujskiej.

– A co cię naszło z Pikiem Komunizmu? – Fiedka podrapał się po głowie, nie rozumiejąc motywów przyjaciela.

– Ano, widzisz, to taki mój „wieloryb” z dzieciństwa – odparł krótko Andriej.

Dwa dni później wjechali do Czeczenii.

– Ktoś coś wie o Czeczenii? – spytał Andriej.

– Zobaczcie, jak tu jest zajebiście pięknie i spokojnie – zauważył Fiedka.

Fiedka mówił prawdę. Na południe od drogi, którą jechali, rozciągały się góry, które zyskały amarantową barwę, jakby pokrył je rumieniec wstydu na myśl o nocy nadciągającej z zachodem słońca. Słuchając płyty *Przejazd* swierdłowskiej grupy Nautilus, minęli Chasawjurt, Grozny i Samaszki.

– Ładnie tu, jak na innej planecie – westchnął Misza, który pierwszy raz mocno się upił, bo tego dnia miał jakiś smutek w duszy. – Boże mój, też bym tak pędził na koniu jak ten Kozak. A co mi tam. Śmierci się nie bał. Wypuście mnie! Chcę w te góry!

– Fiedka – rzekł spokojnym głosem Andriej. – Trzeba go dobić „Ubijcem Mołotowem”, inaczej gotowy awanturę zrobić i poniszczy coś.

Fiedka wyjął z szafki butelkę, która zawierała miksturę przygotowaną na podobne okazje. Była to mieszanka wódki, koniaku i piwa. Podał Miszy, mówiąc:

– Pij, Miszka, a potem wsiądziesz na konia i polecisz nad górami.

Misza wypił i po chwili padł niemal bez ducha.

– Poszło? – Andriej odwrócił się do tyłu.

– Patrz na drogę, Andriucha, bo wylądujemy w rowie – ostrzegł go Oleg.

– Padł – poinformował Fiedka.

– Na mojego „Ubijca” nie ma silnych – oznajmił Andriej z wyraźnym zadowoleniem w głosie. – Na noc staniemy we Władykaukazie. Mamy nocleg w jednostce. Znam pułkownika.

I tak zrobili. Miszę zostawili w samochodzie, bo chrapaniem obudziłby całe koszary. Sami zjedli kolację z pułkownikiem Piotrem Jewgienijewiczem Trietiakiem, weteranem z Afganistanu, który opowiadał im o wojnie, o kulturze islamu i Kaukazie. Pijani doczłapali się do pokoju. Żaden nie miał siły wejść na górną pryczę, więc Fiedka z Olegiem spali na kocach rozłożonych na podłodze.

Ranek przywitał ich silnym kacem. Misza był ledwie żywy. Próbował klinem zmniejszyć ból głowy. Jechali powoli, bo w tym stanie każdy zakręt był dla nich nie lada wyzwaniem. Ale jechać musieli, bo pułkownik pił strasznie i wykończyłby ich w trzy dni.

Za Władykaukazem wjechali na terytorium Osetii, gdzie dosłownie przygwoździł ich widok na Górę Stołową. Andriej stanął z piskiem opon, wysiadł z samochodu i gapił się, oczarowany jej potęgą. Pomimo kaca chłonęli obrazy, które natura niczym hurysa podawała im na złotej tacy. Piękno ogarniało ich z coraz większą siłą i choć wstydziło się do tego przyznać jeden przed drugim, przeżywali je każdy na swój sposób.

Od spotkania z pułkownikiem Trietiakiem pili znacznie mniej. Ale także otaczająca ich przyroda sprawiła, że wyciszyli się, mniej żartowali, w ogóle mniej rozmawiali, jakby w ciszy kontemplując naturę, a jeśli już decydowali się na

dysputy, to rozmawiali o tym, co ma dla nich wartość, o marzeniach, o szukaniu w sobie i poza sobą sensu życia.

Kiedy wjechali na teren Gruzji, a droga wspięła się w górę, kręciła serpentyny wzdłuż rzeki Aragwi, już nie rozmawiali. Milczeli w zachwycie, nie mogąc uwierzyć, że są tak piękne miejsca w ich kraju, o których dotąd mogli tylko słyszeć, ale nie byli w stanie sobie tego wyobrazić.

Nad ranem nad doliną Tereku unosiły się mgły, a Oleg próbował zapamiętać ten obraz i dobrać słowa, którymi kiedyś opowie jej o tym, co czuł w tej chwili. Urządzili sobie piknik pod warownymi murami Alawerdi.

– Wyobraź sobie, Fiedka – zagaił Andriej – że Tamara byłaby panią na tym zamku. A ty? No dajmy na to, świniopasem. I to wcale nie takim z bajki Andersena.

– Po pierwsze, to nie zamek, tylko monastyr. A po drugie, dlaczego od razu świniopasem? Co, nie mógłbym być księciem albo jakimś rycerzem?

– Fiedka, spójrz na swoją gębę i powiedz, jakie jest prawdopodobieństwo, że twoi przodkowie byli rycerzami?

– Idź w pizdu, Andriej – warknął Fiedka. – Arystokrata się odezwał.

– Ja byłbym mistralem – obwieścił niezrażony Andriej. – Grałbym na lutni i śpiewał legendy jak Homer.

– Błaznem nadwornym, co najwyżej – odciął się Fiedka, czym rozbawił Miszę, bo obaj trzymali zazwyczaj swoją stronę.

– Dajcie spokój, chłopaki. – Oleg ziewnął. – Żarcie nam się powoli kończy. Wpychaliśmy w siebie jak zwierzaki.

– No już nie chcę pokazywać palcami, kto... – Andriej rzucił przed siebie kamieniem, który odbił się od skałki.

– Andriej! – zganił go Oleg. – W Tbilisi trzeba będzie trochę uzupełnić zapasy i tyle. Odwiedzimy Gurgenidze, on lubi dobrze zjeść.

– Tego szachistę?

– No. – Oleg był zadowolony ze swojego pomysłu. – Właśnie tak zrobimy. Zwalimy mu się bez zapowiedzi i zaparkujemy na tydzień.

– Wojaków odstawimy wcześniej na lotnisko, bo Gurgenidze musiałby wietrzyć po nich mieszkanie przez miesiąc.

– Andriej, zejdź ze mnie – wycedził Fiedka.

– ...poprosiła Tamara, gdy Fiedka zasnął na niej, zanim zdążył jej wsadzić...

– Oż ty. – Fiedka rzucił się na niego. Zaczęli się kotłować.

– Misza, wkraczamy – zakomenderował Oleg, widząc, że sprawy wymykają się spod kontroli.

Razem z Miszą rozdzielili walczących. Resztę wieczoru siedzieli w milczeniu,

pijąc piwo i spoglądając w ogień.

– A może niech oni razem śpią dziś w namiocie? – zażartował Misza, nachylając się do Olega. – Jak pies z kotem.

Zielone doliny Gruzji uspokoiły ich emocje. Po kilku godzinach milczenia Andriej bez słowa wyciągnął do Fiedki rękę. Ten ją uściskał i znów wszystko wróciło do normy.

A kiedy wykąпали się przy wodospadzie Arsza, oglądając przy tym tęczę, która powstała wokół wody, nabrali w płuca tyle szczęścia, ile tylko byli w stanie w nich pomieścić.

Przepaściste serpentyny sprawiły, że Andriej nie mógł prowadzić, bo nabawił się lęku wysokości. Misza przejął kierownicę.

– Nic na to nie poradzę, że mam bujną wyobraźnię i za każdym razem widziałem Erotomobil staczający się po stoku w przepaść.

A gdy zza zakrętu wyłoniła się przed nimi monumentalna twierdza Ananuri, której widok przywiódł im na myśl średniowieczne krucjaty rycerskie, poczuli dotyk mistycznego świata.

Kiedy Erotomobil stanął na brzegu jeziora, dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając na fale rozbijające się o wysoki brzeg.

– Chłopaki, za mną! – krzyknął nagle Andriej, wyskakując z samochodu. Za nim wybiegli Oleg, Fiedka i Misza. Wszyscy, biegnąc, zrzucali z siebie ubrania, by w końcu zupełnie nadzy wskoczyć do wody. Potem dla rozgrzewki bili się na kije, udając rycerzy. Gdy położyli się wokół ogniska, marzyli, co by było, gdyby pod fortecą znaleźli skarb.

– Milicja by wam zabrała – uciął brutalnie wizje pozostałej trójki Misza.

Jeszcze tego samego dnia ich oczom ukazała się tablica informacyjna: „Suchumi 421, Batumi 351, Tbilisi 12”.

– Wiecie co? – odezwał się Andriej. – Jak widzę te nazwy, to jakoś w głowie mi się to wszystko nie mieści, gdzie my jesteśmy. Dotąd słyszałem je tylko w piosenkach, widziałem w szkolnych czytankach.

W Dolnej Kartlii zaintrygował ich księżycowy krajobraz. Zaczęli udawać, że są pierwszymi przybyszami na Marsa.

– Kiedy to będzie prawdziwe?

– Co?

– No, loty na Marsa.

– Dwa tysiące dziesiąty. Na pewno. Wtedy już ludzie będą inaczej żyli.

– To znaczy?

– Trudno to sobie wyobrazić. Ale na pewno będą latać w kosmos, na pewno

będą inaczej jedli, pili mniej wody, a jak już, to tak kulturalnie, jakieś pigułki pewnie będą brać.

– Zaraz, zaraz, jacy oni? W dwa tysiące dziesiątym będziemy mieli... Czekać... Ile? Niech policzę, o kurwa, czterdzieści pięć... Ja pierdołę, stare grzyby. Fiedka będzie grubym wąsatym kapitanem z piątką bachorów i patrząc na młodą panią oficer, będzie się zastanawiał, po kiego grzyba uganiał się za tą Gordiejewą, skoro ona teraz spasiona i gderliwa. Życ się nie da. Dobrze, że w tym swoim „wielorybie” może pływać na dnie oceanów. A to już będzie okręt dwudziestego pierwszego wieku. Taki, co... Sam nie wiem, co one wtedy będą potrafiły... Co tam, Fiedka, mogą dodać, żeby były jak z innej planety?

– A bo ja wiem?

– Oleg? Oleg będzie z Tatianą grać w szachy z komputerami. Będzie się na odległość łączył z turniejem i nie wychodząc z wanny, rozgrywał partię, dopóki Tania go tam stopą nie zacznie pieścić i nagle gazety podadzą: „Mistrz świata podstawiał nieoczekiwane figure”.

Oleg zakręcił palcem kółko wokół głowy, dając koledze do zrozumienia, co sądzi o podobnych pomysłach, ale Andriej, wcale się nie przejmując, kontynuował wyliczankę:

– Misza to będzie miał najlepiej, bo w tych wojskach raketowych i łączności to najwięcej się zmieni.

– A ty, Andriej? – wtrącił się Fiedka.

– Ja? – Zadumał się. – Hm, nie mam pojęcia. Co ja, kurde, będę robił jako czterdziestopięciolatek? Może będę gwiazdą telewizji, a może nikim. Kto wie? Kto wie? A jak „Gorbi” przykręci jeszcze „śrubę prohibicji”, to nic nie zostanie z Sojuza. Już ja to prorokowałem. Widział kto genseka, który pije samą wodę?

W końcu wczesnym popołudniem dotarli do Tbilisi, które przywitało ich złotym słońcem na błękitnym niebie niczym z obrazów Niko Pirosmanaszwilego[34].

Zaparkowali wóz w pobliżu domu Gurgenidzego, a gdy stanęli przy furcie, Oleg nacisnął dzwonek.

Gurgenidze burknął pod nosem coś na kształt: „Kogo diabli niosą”, odstawił szklaneczkę z intensywnym, słodkim kindzmarauli[35] z zielonych winnic znad rzeki Alazani, którym delektował się przez ostatni kwadrans, i poczłapał do frontowej części ogrodu.

– Nie można tak grać, synku – odezwał się Oleg, parodiując przywitanie mistrza z tamtego majowego wieczoru, gdy Gurgenidze zjawił się w jego mieszkaniu przy Kooperatywnej.

– Oleg? – W głosie Gurgenidzego słyhać było zaskoczenie, ale i radość. – A co ty tu, dzieciaku, robisz? – spytał, obejmując Olega i całując w policzki. – Jak dobrze cię widzieć, synku.

– A odwiedziłem was, mistrzu – odpowiedział z uśmiechem Oleg, którego wzruszyły słowa wielkiego szachisty. – Tak wpadliśmy po drodze. Z przyjaciółmi jestem. Podróżujemy po ojczyźnie.

– Wchodźcie. – Gurgenidze ruchem ręki zaprosił do środka pozostałych. – Ugotujemy coś dobrego. Na długo?

– Dwa, trzy dni – odrzekł Oleg, zerkając ukradkiem na reakcję Tigrana Wartanowicza. – Może tydzień. Fiedka i Misza, pokażcie się, chłopaki, wylatują jutro do Moskwy. Wojsko wzywa. A my z Andriejem do Erewania, do przyjaciela, Arszaka Oganiesjana.

– A swoją drogą, masz rację, pewnie, że nie można tak grać – przypomniał sobie słowa Olega Gurgenidze. – Przegrałem głupio w zeszłym tygodniu w Soczi. Co za durna partia, Kryłow zagrał mi b4 w obronie sycylijskiej, jakby to był gambit wołżański. Wziąłem piona, bo zawsze biorę, taka moja natura, a potem coraz mniej rozumiałem z pozycji i ee... – Machnął ręką. – Szkoda gadać. Siadajcie w salonie, a ty, Oleg, chodź, pomożesz mi w kuchni i pogadamy o tym, co tam Romancew wyprawia w Manili.

– A ja nic nie wiem. Nie słuchaliśmy radia.

– No masz, nic nie wiesz?

– Nic a nic – potwierdził Oleg, zakasując w kuchni rękawy.

– Chodź tu, pokażę ci, jak przyrządzić dobre gruzińskie chinkali. Tych wojaków trzeba będzie jakoś nakarmić. Farsz z wieprzowiny i wołowiny mamy. Świeżutkie mięsko. Wołowinę dziś rano mi przynieśli. Bardzo mnie tu rozpieszczają, więc czasem mi do domu wina czy mięsa naznoszą. Nie powiem, żebym tego nie lubił. – Zaśmiał się. – Gdybym tego Zimmermana ograł, to miałbym chyba prywatny odrzutowiec. No dobrze. Najpierw zrobimy ciasto z mąki, wody i doprawimy je solą. Pomagasz matce w kuchni?

– Nie bardzo – przyznał ze wstydem Oleg.

– Mężczyzna powinien dbać o takie rzeczy. Inaczej pozwala kobiecie przejąć nad sobą kontrolę. Jesz, co ci poda. A jedzenie, mój drogi, wpływa na nasze samopoczucie, na nasze siły witalne. Jesz za lekko, brakuje ci zadziorności i odwagi, jesz za ciężko, tracisz fantazję i pasję. Wałkuj ciasto i wykrój szklanką okrągłe placuszki. Rozwałkuj porządnie, bo nie starczy mąki, a tyle gąb trzeba nakarmić. Ja wymieszam nasz mięsny farsz. Zawsze łyzy mi ciekną, gdy siekam cebulę.

– To ja posiekam.

– E tam, jak nie masz wprawy, to naknocisz tylko. Tu trzeba precyzji, a tobie brakuje cierpliwości. Miałem gdzieś trochę kolendry. To mówisz, że po kraju jeździecie?

– Ano jeździmy.

– Tak bez celu?

– No, można tak powiedzieć.

– No i dobrze. Od czasu do czasu tak właśnie trzeba. Teraz do farszu wsypujemy łyżeczkę pieprzu, podaj mi sól, stoi nad tobą, trochę soli. Wlewamy pół szklanki ciepłej wody i mieszamy. Długo tak jeździcie?

– Będzie szósty tydzień.

– Powiedz przyjaciołom, że łazienka z wanną jest na górze. Pewnie marzą o kąpeli. Dawaj te swoje placki. No dobrze. Teraz na każdy placek nałóż łyżkę stołową farszu. Chwyć obiema dłońmi za przeciwległe krańce placka i zlep ciasto pośrodku, a potem dookoła. Tylko się nie spiesz, bo się wszystko porwie. Jak się woda zagotuje, wrzucaj kolejno po jednym, żeby się ze sobą nie posklejały.

– To mówicie, mistrzu, że coś się interesującego dzieje w Manili? – nie mógł opanować ciekawości Oleg.

– No tak – zaczął Gurgenidze, a widząc, że przykrywka na garnku wynoszona przez parę zaczyna podskakiwać, dodał: – Woda nam się gotuje. Możesz wrzucać chinkali, jak je skończysz sklejać. Tylko bez pośpiechu.

– Dobrze, bez pośpiechu – zapewnił Oleg.

– W Manili? – wrócił do tematu, ziewając przeciągle, Gurgenidze. – No tak. Jest ciekawie. Romancew prowadził trzy do zera. Krutin poprosił o przerwę, na cztery dni wyjechał nad morze. Ponoć Wiktora zafascynowała joga. Wrócił zrelaksowany, opalony. Nie wiem, co w tym czasie robił Romancew, ale gdy zasiedli znowu do gry, dał sobie wbić trzy gole.

– Jak to?

– No tak. Jest remis. Jak widać, to jego przypadłość. Rozluźnia się, kiedy jest tuż przed metą, daje przeciwnikowi się podnieść. A Wiktora znasz. Tylko zwietrzył szansę i natychmiast zaczął napierać. Walczył do upadłego. Próbowali go złamać, jak zwykle. Wzięli mu do wojska syna, Borisa. Nie poznałeś go chyba. Wysłali chłopaka do Afganistanu.

– Nie zrobili tego! – zaprotestował Oleg, nie mogąc uwierzyć w taką podłość.

– Zrobili. A czemu by nie? Oczywiście wybuchł skandal, w zachodniej prasie pojawiły się protesty, kogo to jednak obchodzi. Wydali oświadczenie, że Boris podlegał służbie wojskowej, więc mieli prawo to zrobić i tak dalej. Wiktor nawet się zastanawiał, czy nie przerwać meczu, nie zbojkotować na znak protestu, ale tak pozwoliliby im poczuć, że wygrali. A syn, dopóki żyje, jest kartą przetargową, mam nadzieję, że trzymają go gdzieś w kuchni, z dala od frontu. Tak czy inaczej, na sobotę zaplanowano dwie dogrywane partie. W jednej Romancew stoi beznadziejnie, w drugiej znacznie lepiej. Prawdę mówiąc, kto wygra w sobotę, ten zostanie mistrzem świata. Po obiedzie pokażę ci te dwie pozycje, jestem ciekaw twojego zdania.

– Oczywiście, mistrzu, z wielką chęcią się im przyjrzę. – Oleg spojrział na niego błyszczącymi z radości oczami. – A czemu dwie dogrywki jednego dnia?

– To z powodu tych dni wolnych Wiktora. Jedna dogrywka powinna być grana już jakiś czas temu. Chodź tu. – Gurgenidze podał Olegowi szklaneczkę z winem barwy ciemnego rubinu. – Skosztuj, jak smakuje dobre gruzińskie chwanczakara. Czujesz jego delikatny malinowy aromat?

– Mhm – przytaknął Oleg, któremu od taniej wódki stępił się smak do wyszukanego alkoholu.

– To pochodzi z zachodniej Gruzji, z winogron Aleksandria i Mudzhuretuli – zaczął objaśniać Gurgenidze, przyglądając się, jak światło przenika przez intensywny, krwisty odcień wina w jego szklance. – Jest półsłodkie.

Chłopcy jedli chinkali z ogromnym apetytem, czym zrobili gospodarzowi nie lada przyjemność.

– A w sobotę zabieram was na mecz naszego Dynama – zdecydował zadowolony z siebie Tigran Wartanowicz. – Mam tam zawsze miejsce dla siebie i przyjaciół. Nie wiem, czy wiecie, że ja tu w Gruzji jestem bohaterem narodowym, takim, co jak mu się znudziło stać na cokole, to zlął na dół i zaczął raczyć się wybornym winem i doceniać uroki dobrej kuchni.

Do kolacji pili wyśmienite wytrawne mukuzani, którego butelki przysłał Gurgenidzemu dyrektor winiarni z Kachetii. A potem legli na pościeliach i zasnęli snem sprawiedliwego, tak że cała dzielnica Tbilisi nie mogła zmrużyć oka z powodu ich chrapania.

Oleg wstał o piątej. Miłość do Tani nie dawała mu spać. Zdał sobie sprawę, jak bardzo jej pragnie. Od świtu analizował pozycje dwóch odłożonych partii, czując dreszcz emocji na myśl o tym, co dzieje się teraz w Manili, gdy oba sztaby pracują nad znalezieniem drogi do wygranej. Kiedy wszyscy raczyli się winem w ogrodzie, Oleg siedział nieco z boku, pił i spoglądając na szachownicę, myślał, jakie możliwości obrony ma Romancew. W końcu, gdy przyszła pora obiadu i trzeba było się zbierać na mecz Dynama, odsunął od siebie szachownicę i wychylił kolejną szklaneczkę wina.

– Oleg, nie siedź nad szachami, obiad podajemy – zwrócił uwagę przyjacielowi Andriej, który wciągnął się w gotowanie i po dwóch dniach pod okiem Gurgenidzego ochrzcił się mianem „Chef de la cuisine”. – Ile obstawiacie?

– Dynamo wygra. Feyenoord ma lata świetności za sobą – rzucił gospodarz. – No i co myślisz? – spytał, podchodząc do Olega i nachylając się nad szachownicą.

– No cóż. W pierwszej partii Krutin ma piona więcej i przewagę pozycyjną, za to Romancew posiada jakość[36]. Sęk w tym, że ta jego wieża na razie nie ma właściwego pola rażenia. Wygląda na to, że Krutin jest w lepszej sytuacji, a jednak...

– No, mówiłem – przytaknął Gurgienidze – A jednak co?

– A jednak – rzekł Oleg z oznakami triumfu w głosie – może się myłę, ale myślę, że ta pozycja daje się obronić. Zacząłbym, stawiając gońca na e5. – Wykonał posunięcie i spojrzął na Tigrana Wartanowicza w oczekiwaniu reakcji.

– No, no, no... – mruknął Gurgienidze, na którym ruch zrobił wielkie wrażenie.

Oleg przedstawił plan obrony czarnych, który dawał im realną szansę na wybronienie remisu.

– W drugiej Romancew ma przewagę – kontynuował Antonow. – Ale nie będzie miał łatwego zadania, jeśli Krutin nie popełni więcej błędów. Możemy wyobrazić sobie jednak taki schemat posunięć. – Przesuwał kolejne pionki, wyjaśniając mistrzowi tajniki strategicznych planów, które obmyślił podczas ostatnich kilku godzin.

Gurgienidze był pod takim wrażeniem analizy Olega, że jeszcze przed wyjściem na mecz Dynama zadzwonił do Jefima Wolfa.

– Wilczku? – zaczął podekscytowany. – Zgadnij, co mamy w pierwszej dogrywce. Uważasz? Goniec na e5! No i co ty na to? Mhm. Właśnie. A teraz słuchaj dalej. – Gurgienidze zrelacjonował przyjacielowi plan nakreślony przez Olega.

Manila, październik 1986

Romancew odkrył w sobie ten element nieoznaczoności, który dawniej, gdy studiował fizykę, przerażał go w teorii Heisenberga. Ten wyjątek w prawach fizyki nie dawał mu spokoju. Wcześniej sądził, że potrafi nad wszystkim zapanować i przewidzieć wszystko, co dotyczy jego osoby. Tymczasem myśli o Tatianie, pojawiające się w najmniej oczekiwanych momentach, wspomnienie listu, który niegdyś do niej wysłał, i brak sił psychicznych, by w obliczu przewagi, jaką uzyskał na starcie meczu, postawić kropkę nad „i”, to wszystko sprawiało, że poczuł lęk przed samym sobą.

Mecz z Krutinem rozpoczął się praktycznie kilka dni przed pierwszą partią, gdy świat obiegnęła wiadomość, że syn Krutina został wcielony do wojska i natychmiast wysłany do Afganistanu. Ekipa Krutina zorganizowała w odpowiedzi konferencję prasową, podczas której oskarżyła władze radzieckie o szantaż i niehumanitarne metody wywierania nacisku.

– W ten sposób Związek Radziecki próbuje dać fory swojemu pupilkowi – grzmiał szef delegacji Krutina, Ezer Mohad. – To ohydna, totalitarna zbrodnia,

która ma na celu złamanie ducha Wiktora Krutina. Czy pan Romancew jest aż tak słaby, że potrzebuje, by jego kraj uciekał się do podobnych metod? Czy zwycięstwo ma mieć aż tak wysoką cenę? Panie Romancew, apeluję do pana! Apeluję do pańskiego sumienia! Niech pańscy poplecznicy zakończą tę ohydną akcję przeciwko rodzinie Krutinów!

Dziennikarze natychmiast podchwycili temat i nie dawali Romancewowi spokoju.

– Panie Romancew, jak pan skomentuje oskarżenia pod adresem władz Związku Radzieckiego, że wysłanie syna Wiktora Krutina do Afganistanu ma na celu złamanie bojowego ducha pańskiego rywala przed meczem?

– Wiktor Krutin to bardzo silny gracz – odpowiadał Romancew, starając się zachować spokój. – Niełatwo go złamać. Myślę, że przyjechaliśmy tu przede wszystkim grać w szachy, a nie dyskutować o polityce i przekonaniach politycznych. Wiktor Krutin, opuszczając swoją rodzinę i zostawiając ją w Związku Radzieckim, sam podjął decyzję i nie będę jej komentować, ale nie sądzę, by wybrał tę drogę z troski o syna. Więc kiedy mnie pytacie, czy to, że jego syn służy w radzieckiej armii, może go niepokoić, odpowiem: „na pewno nie”.

– Przecież pan wie, że żona i syn Krutina od dwóch lat bezskutecznie zabiegają o to, by pozwolono im dołączyć do męża i ojca.

– Gdyby nie jego decyzja, mogliby być teraz razem.

– Czy podacie sobie panowie ręce na przywitanie?

– To zależy, co uzgodnią kierownicy naszych ekip.

– Czy zna pan list rosyjskich intelektualistów dysydentów popierających Wiktora Krutina?

– Nie, nie znam. Dla mnie istotne jest poparcie udzielone mi przez intelektualistów radzieckich.

– Jak pan reaguje, gdy mówią o panu jako o symbolu radzieckiego reżimu?

– Jeśli ma pan na myśli radziecką potęgę, to czuję dumę.

– Czy bliskie kontakty z Breżniewem pomogły panu kiedyś w karierze sportowej?

– Oczywiście. Przewodniczący Breżniew pomagał mi w przygotowaniu debiutowym, trenował mnie, a nawet jeździł na niektóre turnieje jako mój sekundant.

– Dlaczego, będąc tyle razy na Zachodzie, nie wybrał pan wolności?

Zapadła chwila milczenia.

– Jak powiedział Dostojewski – rzekł poważnym tonem Romancew – jedyna wolność to zwycięstwo nad samym sobą.

Za oknami padał deszcz, który z ogromną siłą uderzał o dach willi. Romancew

był wyczerpany upałem i wilgotnością powietrza, którą ledwie znosił. Miał wrażenie, że otacza go para unosząca się w gorącej drewnianej bani.

Atmosfera napięcia, jaka panowała w zespole, osiągnęła szczyt przed dogrywanymi partiami. Pozycja w pierwszej z nich wydawała się przegrana, druga przeciwnie – zapowiadała zwycięstwo i wszyscy oczekiwali, że Krutin nie przystąpi do niej, nie chcąc dawać Romancewowi dodatkowej satysfakcji.

Nocą, gdy sekundanci Romancewa uznali, że dalsza analiza nie ma sensu i że pierwsza z dogrywanych partii jest raczej spisana na straty, Bondariewski upił się, powtarzając cały czas, że jak Tola nie wygra, to będą skończeni. Potem śpiewał stare rosyjskie romanse. Kładąc rękę na ramieniu Romancewa, bełkotał, że to, czego go nauczono, to brać sprawy w swoje ręce i być silnym, bo słabych nikt nie szanuje. Nie mieli dość odwagi, by go przywołać do porządku lub po prostu wyrzucić precz za drzwi.

Zmęczenie, jakie czuł Romancew, potęgował lęk, co stanie się z nim i jego karierą, jeśli nie wygra tego meczu. W tajemnicy przed wszystkimi, przy wsparciu zaprzyjaźnionego z nim prezydenta FIDE, porozumiał się z organizatorami, aby w wypadku jego porażki ogromną kwotę, jaka była przeznaczona na honorarium dla pokonanego, sięgającą ośmiuset tysięcy dolarów, przelano na jego sekretne konto w Zurychu. Gdyby przegrał, nie zamierzał wracać do kraju. W razie wygranej niemal połowa z półtora miliona nagrody była zabierana przez Sportkomitet.

Upał, wilgotność powietrza i ciągły stres, jaki mu towarzyszył, sprawiały, że zasypiał dopiero nad ranem. Budził go byle szmer. A po przebudzeniu już nie umiał zasnąć ponownie.

Na godzinę przed rozpoczęciem dogrywki do pokoju, w którym Romancew i sekundanci wciąż zastanawiali się, jak uratować pierwszą z dogrywanych partii, wszedł Bondariewski.

– Zerknijcie na to – rzekł do Wasiukowa i przestawił jedną z figur na szachownicy.

– Goniec na e5? – mruknął Wasiukow. – Ciekawe...

– Ciche i piękne. – Sztejn cmoknął i spojrzał pytająco na Bondariewskiego. – Kto to znalazł? Co za geniusz?

– Przyda się? – spytał skromnie Bondariewski.

– Przeoczyliśmy to – przyznał Wasiukow. – Tak, Misza ma rację. Ciche, skromne i piękne.

– O co chodzi? – spytał Bondariewski. – Przecież to tylko jedno posunięcie.

– Prawda. – Sztejn się zaśmiał. – Ale zarazem początek całego planu, który po tym ruchu staje się dość oczywisty. Ten goniec to klin, który może trzymać całą pozycję.

Stadion Dynamo Tbilisi, Gruzja

Mecz Dynamo toczył się pod dyktando gospodarzy. Gurgenidze miał rację, Feyenoord grał nieskutecznie, nie był w stanie przeciwstawić się energii, z jaką atakowała drużyna z Gruzji. Dlatego po pierwszej połowie wynik na tablicy wskazywał dwa do zera dla klubu z Tbilisi. Jednak w czwartej minucie drugiej połowy zdarzyło się coś, co nie miało nic wspólnego z rozgrywanym meczem. Kibice usłyszeli głos spikera:

– Uwaga, mam przed sobą specjalny komunikat z Manili, gdzie nasz arcymistrz Anatolij Romancew toczy bój z Wiktorem Krutinem o mistrzostwo świata w szachach.

Oleg, jak i cały stadion, zamarł w oczekiwaniu. Choć nienawidził Romancewa, serce łomotało w nim, jakby wiadomość miała dotyczyć jego samego.

– Korespondent TASS informuje – kontynuował spiker – że trzynasta partia dogrywanego meczu zakończyła się... – spiker zrobił długą pauzę – zwycięstwem naszego Anatolija Romancewa!

Cały stadion dosłownie oszalał, jakby właśnie padł gol. Ludzie rzucali się sobie w ramiona, manifestując radość. Oleg nie potrafił odszyfrować swoich uczuć. Z jednej strony czuł zazdrość i niechęć do Romancewa, z drugiej – dumę, że jednak zawodnik radziecki jest górą...

– Ale jak?! – zakrzyknął do ucha Tigrana Wartanowicza. – Przecież miał walczyć o remis!

– Nie mam pojęcia – odpowiedział ze śmiechem mistrz, kręcąc głową. – Wiktorowi musiały puścić nerwy. Może Romancew uruchomił wieżę, jak pokazywałeś w swoim wariacie.

Oleg próbował wyobrazić sobie, co mogło się zdarzyć na szachownicy w dalekiej Manili.

Nie minęło pół godziny, gdy spiker ponownie podał komunikat: „Drodzy widzowie, nasz korespondent donosi, że czternasta partia meczu o mistrzostwo świata zakończyła się... – ponownie zrobił pauzę i choć Antonow domyślał się wyniku, czekał w napięciu jak reszta stadionu – triumfem Anatolija Romancewa!

Antonow spojrział na Gurgenidzego. Ten pokiwał z uznaniem głową. Wracali do domu podnieceni wieściami.

– Umieram z ciekawości, co się wydarzyło w pierwszej partii – przyznał Oleg.

– Ja też jestem ciekawy – zgodził się z nim Gurgenidze. – Ale umieram raczej z głodu. Poczekajmy na poniedziałkowe gazety z zapisem partii.

Dwa dni później Oleg z Andriejem ruszyli w dalszą drogę. Tym razem ich celem był Erewań, stolica Armeńskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Znów szybko dali się unieść mistycznemu nastrojowi południa, klimatowi kraju, który witał ich ponadtysiącletnią tradycją. Chłonęli sobą duszę monastynu Haghpat, z jego architekturą owianą mgłą bizantyńsko-romańskiej tajemnicy, ruiny Zwartnocu, które przenosiły ich w klimat pierwszych wieków chrześcijaństwa. Czuli, że gdy zagłębiali się w duchowość południa, Erotomobil przekształcał się w latający dywan, który szybuje ponad chmurami, ponad światem zostawionym gdzieś tam w Moskwie.

Kiedy zbliżali się do Erewania, ich oczom ukazał się przysłonięty jedną chmurą, niczym listkiem figowym, strzelisty masyw Araratu. Andriej bez słowa zatrzymał samochód na poboczu. Obaj z Olegiem wysiedli. Widząc zachwyt w oczach przyjaciela, Oleg milczał, nie chcąc mu burzyć nastroju. Sam zaś zastanawiał się, jak wielki musiał być potop, skoro arka Noego mogła osiąść na szczycie góry tak ogromnej, że sięgającej wręcz nieba, w które wbijała się całą swą potęgą. Westchnął głęboko.

– Wiesz – szepnął Andriej, a na jego twarzy malowało się wzruszenie – Fiedka ma swoje wieloryby, a na mnie tak działają góry... Gdy widzę taki szczyt jak Ararat, to mnie opanowują jakieś religijne, mistyczne myśli. No wiesz, że nie jesteśmy sami w kosmosie, no, że ktoś tę potęgę gór stworzył, nadał tym szczytom moc, obdarował duszą. Czuję się taki mały, zabawny, z tymi moimi bzdurami, z tym moim Pedrem Salvadorem...

– Jakim znowu Pedrem Salvadorem? – zdziwił się Oleg.

– Nie mówiłem ci?

– Nie.

– Gram w knajpach jako hiszpański macho. Zresztą nie wiadomo, czy hiszpański, czy wenezuelski. Mam taką kwiecistą koszulę, perukę i śpiewam po hiszpańsku.

– Przecież ty nie znasz hiszpańskiego.

– No nie znam, ale kto by to rozpoznał.

W Erewaniu okazało się, że Arszak pojechał do Lwowa na turniej szachowy, a w ogóle to wyniósł się z Erewania do Kirowakanu, gdzie kupił mieszkanie, Jelena zaś wyszła za mąż i mieszka w Baku.

– No, tośmy się nawdychali „zielska” po wsze czasy – podsumował filozoficznie całą sytuację Andriej. – Ale wcale mnie to nie dziwi. W końcu to stąd nadaje „Radio Erewań”. „Drogi Radio Erewań” – zaczął parodiować głos spikera radiowego. – „Słuchacze pytają: Co by się stało, gdyby zamiast prezydenta Kennedy’ego zabito Chruszczowa? Radio odpowiada: Nie wiemy tego na pewno poza jednym: że Onasis raczej nie ożeniłby się z wdową po Chruszczowie”.

Oleg zadzwonił do matki.

– Jutro będziemy w Moskwie. Nie. Jesteśmy w Erewaniu. Lecimy samolotem. Co? No dobrze, mamó, zapas nieszczęść wyczerpany, samoloty nie ulegają katastrofom co drugi dzień. Tak statystycznie, mamó. Dobrze, poproszę, by pilot leciał powoli. Nie kpię. Jutro cały i zdrowy będę na lotnisku Wnukowo. – Odłożył słuchawkę automatu telefonicznego. – Słyszałeś? – zwrócił się do Andrieja. – W Berlinie nasz tupolew rozbił się we mgle. Zginęło siedemdziesięciu ludzi.

– Nie mów mi takich rzeczy – obruszył się Andriej. – Teraz będę musiał się napić, zanim wsiądę do samolotu.

Zostawili Erotomobil w jednostce lotniczej i powrócili do Moskwy jak zwykli, grzeczni obywatele samolotem Aerofłotu. Podczas lotu Oleg czytał w gazecie: *Wystarczył jeden telefon Michaiła Gorbaczowa do Gorki, by Andriej Sacharow otrzymał pozwolenie na powrót do Moskwy.*

Leningrad, listopad 1986

Samochód wiozący go z lotniska podjechał pod dom.

– Anatoliju Michajłowiczu, jesteśmy na miejscu – odezwał się szofer. – Pomogę wam wnieść walizki.

Kiedy Romancew zamknął drzwi, otoczyła go zupełna cisza. Usiadł na ustawionej przy ścianie komodzie i w milczeniu kiwał się nieznacznie do przodu i do tyłu, a stres minionych tygodni odpływał powoli.

Zaczął przeglądać pocztę. Kilkadziesiąt listów i telegramów z gratulacjami. I wśród nich ten jeden, który sprawił, że jego serce przeszył lodowy soplel:

Drogi Anatoliju, łączę się z Tobą w bólu po śmierci Twojej matki. Tatiana.

Romancew osunął się na podłogę i, ubrany w garnitur i jasny płaszcz, siedział tak przez kilka następnych godzin. Od czasu do czasu ciszę przerywały telefony od ludzi, którzy dzwonili z gratulacjami.

Jeszcze tej nocy Romancew zadzwonił z budki telefonicznej do swojego menadżera, mieszkającego w Monachium. Konferowali przez kilka minut, podczas których mistrz świata dał mu instrukcje, i umówili się na kolejną rozmowę za trzy dni.

Przez następne tygodnie odbierał odznaczenia państwowe, nagrody ze Sportkomitetu, udzielał wywiadów, przecinał wstęgi otwieranych szkół i szpitali, odbywał dziesiątki wizyt w zakładach pracy, ścisnął dłonie robotników, cierpliwie wysłuchiwał opowieści o ruchu wózków widłowych lub prasownic, montażu blach

czy spawaniu tłoków. Odpowiadał na pytania, opisywał mecz, z uśmiechem i wdzięcznością przyjmował rady, jak należało grać w jakiejś rozegranej niedawno przez niego partii.

Odwiedzał grób matki przy każdej okazji, gdy tylko przebywał w Leningradzie. Siadywał na ławce i odtwarzał w pamięci rozmowy, jakie ze sobą prowadzili. Dwa, może trzy razy na cmentarzu spotkał ojca. Nie czuł potrzeby, by go odwiedzać, jakby wraz z odejściem matki rodzina przestała istnieć.

Czasem w swoim pustym mieszkaniu siadał do fortepianu i grał dla niej. I kiedy słyszał dźwięki jej ukochanych koncertów fortepianowych, nokturnów, ballad, sonat, czuł, że przebywa obok niego, że przywołuje ją muzyką i że muzyka jest tym językiem, który pozwala mu przesłać jej komunikat, przekazać swoje emocje, marzenia i ból, który w sobie nosi.

Gdy otrzymał pierwsze zaproszenie na turniej w Nicei, poczuł ulgę. Miał wrażenie, że uda mu się odzyskać samego siebie. Usiadł i napisał list do Tatiany. Zakleił kopertę i udał się na pocztę, żeby go wysłać.

Kiedy wrzucał list do skrzynki, na jego beznamietnej zazwyczaj twarzy malowało się silne wzruszenie.

Część III

Moskwa nie wierzy łzom [\[37\]](#)

Moskwa, wiosna 1987

Tatiana została zaangażowana do Teatru imienia Marii Jermołowej. Mieszczący się przy ulicy Gorkiego pod numerem 5/6, zaliczany był do najbardziej dynamicznych moskiewskich teatrów, zwłaszcza gdy kierować nim zaczął słynny Walerij Fokin. Zeszłoroczne przedstawienie Fokina *Mów* wywołało wielką polemikę prasową, było traktowane niemal jak prorocstwo, pierwsza sztuka przepowiadająca zmiany w Związku Radzieckim, wejście Rosji w nowy polityczny okres, mający swój realny kształt w pieriestrojce Michaiła Gorbaczowa, reformach politycznych i gospodarczych. I w Moskwie czuło się nadchodzące zmiany. Gdzieś podskórnie, gdzieś w głębi duszy moskwianie wiedzieli, że zbliża się starcie tytanów. Nie znali ich sił, nie wiedzieli, kto i kiedy doprowadzi do bitwy, ale czuli jej nieuchronność. Nie rozumiano tego wszystkiego, po latach lęku głośność wydawała się niczym kolejna prowokacja, stworzona pod sztandarem liberalizmu tylko po to, by było łatwo zlokalizować intelektualne ogniska oporu, a potem rozprawić się z nimi dawnymi metodami. Lecz nic takiego nie następowało. Przeciwnie, działy się rzeczy budzące entuzjazm, jak to, że sekretariat Związku Pisarzy rehabilitował Borysa Pasternaka, że w końcu zezwolono na wydanie *Dzieci Arbatu* Anatolija Rybakowa, a z Paryża do Leningradu po sześćdziesięciu pięciu latach emigracji wróciła Irina Odojewcewa.

Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, ludzie zaczęli mówić odważniej i nie dotykały ich za to represje. Nastrój nadziei pojawił się na moskiewskim niebie niczym wielka tęcza po burzy.

Tatiana pokochała swój teatr całym sercem. Trafiła do trupy aktorów, których podziwiała. Kochała wieczorne spacerowanie ulicą Gorkiego, próby spektakli, nastrój wytężonej pracy, wysiłek dochodzenia do sedna dramaturgicznej myśli, szukania kluczy do roli.

Ale mimo całej euforii związanej z pracą w teatrze czuła też w sobie pustkę. Nie potrafiła nazwać tego uczucia precyzyjnie. Z jednej strony pragnęła ciepła i czułości, z drugiej – ogarniał ją wstręt na myśl, że ktoś mógłby chcieć pozbawić ją wolności, oczekiwać od niej czegokolwiek, zabierać przestrzeń, panoszyć się w jej mieszkaniu. Nie chciała stać się czyjąś kolejną zabawką.

Czasem wspominała Romancewa. Trafiła na informacje o nim w gazetach i były momenty, gdy zastanawiała się, jak by to było, gdyby dali się wówczas ponieść emocjom. Wspominała, jak pachniał i jak czuła spokój, siedząc obok niego, jak ogarnęła ją tęsknota, gdy odjechał, jak pragnęła więcej pocałunków, wtulając się z ufnością w jego czułe ramiona. Ale on milczał. Czegoś zabrakło. I wkrótce Tatiana wyrzekła się myśli o nim, uznając, że to kolejny zadufany w sobie facet, dla którego o mało co nie straciła swojego bezpieczeństwa. Odtąd

obiecała sobie być ostrożniejsza.

Samotność o poranku wywoływała czasem tak silne uczucie paniki, że pozbawiała ją oddechu i zmuszała do szukania kontaktu z kimkolwiek: z matką, Wierą, Nadia, Leną... Każda z nich miała własny świat, własne problemy. Wiera nie mogła nikogo znaleźć, wciąż powtarzała, że mężczyźni boją się jej intelektu. Lena była zakochana w kapitanie tupolewa, który pewnego dnia przysłał reszcie załogi zaproszenie na swój ślub, ukrywając przed Leną do ostatniej chwili, że ma narzeczoną. A Nadia – no właśnie z Nadia był największy problem. Jej mąż, dziennikarz sportowy, wdał się w romans z gimnastyczką. Którejś nocy Nadia po prostu sprowadziła się z córką do mieszkania Tani na Sadowniczeską. To był koszmarne czas. Nocne, ciągnące się do rana rozmowy, łzy, proszki nasenne, ukrywanie przed Nadia wszystkich ostrych przedmiotów, którymi mogłaby sobie zrobić krzywdę, wizyty lekarzy, zastrzyki na uspokojenie, wódka... Po dwóch tygodniach przyjechał po Nadia z pękiem dwudziestu jeden róż... Tatiana poczuła ulgę, znów odzyskała swoją przestrzeń.

I w tym właśnie czasie, kiedy gubiła się w labiryncie własnych emocji i nieodszyfrowanych pragnień, otrzymała list, któremu towarzyszył bukiet świeżych kwiatów. Słowa listu były być może nieco egzaltowane, ale zdradzały szczerść uczuć autora:

Tamtego zwykłego zdawałoby się dnia, daleko od Moskwy, spotkałem Was. To było dawno, choć wydaje mi się, że było to przed momentem, jakby czas moich uczuć zatrzymał się wtedy i jakby tkwiły one nadal w tamtej przedziwnej chwili. I to uczucie, które wciąż w sobie noszę, każe mi przypuszczać, że nigdy nie zaznam go przy innej kobiecie i że jestem jak więzień skazany na tęsknotę za Wami...

– Więzień miłości. – Tatiana się zaśmiała. – Wreszcie wielki mistrz świata wrócił z dalekich podróży i sobie o mnie przypomniał. – Ucieszyła się. – Anatolij, co ty wyprawiasz, hm? – Śmiała się, a oczy jej błyszczały cudownym blaskiem niczym mieniące się w świetle diamenty.

...Czasem ową tęsknotę czuję tak bardzo fizycznie. Aż boli. Obawiam się, że mogę być śmieszny, wstydzę się wyznać, w końcu jestem mężczyzną. Wiem, że piszę niezgrabnie, nie potrafię przelać na papier tego, co dzieje się w moim wnętrzu. Ale kiedy próbuję sobie wyobrazić to wszystko, co się ze mną teraz dzieje, przypomina mi to obrazy średniowiecznych malarzy, tryptyki przedstawiające piekło, czyściec i raj... I myślę, że piekło to samotność, tęsknota, poczucie beznadziei, niemoc, by marzenie uczynić realnym, a wszystko, co nam pozostaje, to niespełnione pragnienie, którego nie sposób ugasić... Hybrydy, wizje, które mają, rozplywając się dokładnie w momencie, gdy zaczynamy odczuwać szczęście, jak sen, który zostaje gwałtownie przerwany, pozostawiając pustkę...

Czyściec uczy pokory, każe czekać. Cierpliwie, bez słowa skargi na los. Samotnie jak dawni eremici, bez gwałtowności i brutalnej siły, choć wydawała się mocą konieczną do ujarznienia świata, zdobycia przedmiotu pożądania.

Niebo... Kiedy pozwalam sobie o Was myśleć jak o kimś... bliskim, myślę obrazami, wyobrażam Was sobie w różnych sytuacjach, w różnych chwilach. Myślę o tym, jak pijecie poranną kawę i jak trzymacie wówczas filiżankę, albo w jaki sposób rozchylacie wargi, gdy leżycie ufna, pogrążona we śnie, a Wasze włosy rozrzucone są w słodkim nieładzie, jak spoglądacie w zadumie przez okno, jak malujecie rzęsy, unosząc brwi... drobiazgi, małe szczegóły, które w mężczyźnie czasem powodują dreszcz... a ja jestem obok, przy Was...

Tatiana z westchnieniem odwróciła się, chcąc do niego zawołać. Ale wciąż była sama w garderobie.

Tamtego wieczoru wróciła do pustego mieszkania. Zamiast lamp zapaliła małą świeczkę i włączyła muzykę. Zrobiła sobie kąpiel i wrzuciła do wanny płatki kwiatów, które otrzymała, przyglądając się, jak unoszą się na powierzchni wody niczym malutkie łódeczki. Płomyki świec migotały, gdy leżała w wannie wśród płatków róż. Położyła się naga do łóżka i zanim zasnęła, próbowała w wyobraźni spojrzeć na siebie z góry, leżącą w białej satynowej pościeli. Opuszkami palców dotknęła swych lekko rozchylonych warg.

Przez kilka następnych dni pierwszy raz od długiego czasu była w naprawdę dobrym nastroju. Na dworze panował kwietniowy czas budzącej się wraz z wiosną przyrody, drzewa kwitły, roztaczając zapach, który wzywał do miłości. Tania pod wpływem wzbierającego w niej uczucia oczekiwania na to, co się niebawem zdarzy, poczuła spokój i jednocześnie pozytywną energię. I to otwarcie na to, co przyniesie życie, zaowocowało nową rolą w *Drugim roku wolności* Burawskiego. Była w euforii. Idąc, niemal tańczyła, uśmiech nie schodził z jej ust, a koledzy mówili, że jej oczy błyszczą i emanują przedziwnym natchnieniem, które ich inspiruje. Tatiana pokochała życie, które wiodła, poranną nieposłodzoną kawę, spacer do teatru, wieczorne próby, wymyślne kolacje z winem, gorące kąpiele w wannie z płatkami kwiatów lub olejkami. Nie mogła sobie wyobrazić cudowniejszego czasu. Wypełniała ją radość, taka nieskomplikowana, prosta, fizyczna, która powodowała, że miała ochotę dzielić się nią z innymi.

Dostała list, w którym prosił ją o spotkanie, informując, że będzie na nią czekał po próbie. Śmiała się. To było takie literackie, takie teatralne, takie filmowe. Brała głęboki wdech, by uspokoić emocje, a chwilę potem śmiać się i oddawać bez reszty uczuciu szczęścia.

O poranku Tatiana narzuciła na siebie czerwony szal. Był elegancki, ale go nie lubiła. To był prezent od Sewastianowa, który otrzymała na przeprosiny za którąś z jego pijackich burd. Nie lubiła, gdy cokolwiek przypominało jej tamte chwile, lecz nie potrafiła się z nim rozstać, bo nieodparcie kojarzył jej się z Paryżem. Malowała oczy mocnym ciemnym kolorem, czerwone usta i szal współgrały

idealnie i zdawać by się mogło, że to kobieta z obrazów Tamary Łempickiej idzie ulicami Moskwy pewnym krokiem i ze zniewalającym spojrzeniem. Czuła się bardzo piękna. Bardzo...

Tatiana spieszyła się, by urwać się z próby jak najszybciej. Serce omdlewało jej od radosnego oczekiwania. Wyszła przed teatr, rozejrzała się. Niedaleko bramy o samochód opierał się wysoki, przystojny młodzieniec, z włosami spadającymi falami do ramion, ubrany w elegancki garnitur. Na jej widok wyprostował się, stając niemal na baczność. Była zakłopotana, rozczarowana, nie potrafiła tego ukryć. Młodzieniec zbliżył się do niej niepewnym krokiem. Odwróciła się gwałtownie w jego stronę, jakby chciała wykrzyczeć mu w twarz, że z niej zakpiono, że ją oszukano, potraktowano wstrętnie...

Na twarzy młodzieńca pojawił się ten rodzaj męskiego zmieszania, który zawsze wydawał jej się zniewalająco uroczy. Jego szarozielone oczy o źrenicach drżących pod wpływem emocji były tak piękne, że poczuła, jak opuszcza ją gniew, a jego miejsce zajmuje ciekawość. Stanęli w milczeniu naprzeciw siebie i jakby pod wpływem zaskoczenia nie wiedzieli, co powiedzieć.

– To wy przysłaliście list? Wy prosiliście o spotkanie?

– Tak, czekałem. Choć trudno mi było uwierzyć, że zgodzicie się zamienić ze mną choćby słowo.

Tatiana spojrzała na niego roztargniona, nie mogła zebrać myśli, trudno było dopasować słowa listu, wciąż rozbrzmiewające w jej myślach, do ich autora, którego nie znała, o którym nie wiedziała nic, który jednak, sądząc po tym, co do niej pisał, uwielbiał ją.

– No dobrze, to dokąd chcecie mnie zaprosić? – spytała nagle, przygryzając lekko wargi.

– Do Siódmego Nieba [38]?

– Tak symbolicznie?

– Tak symbolicznie, Tatiano Aleksandrowna.

– Wpuszczą nas o tej porze?

– Wpuszczą.

– No to w drogę, nie stójmy tak na ulicy. Jak wam na imię?

– Przepraszam, z wrażenia nie przedstawiłem się, Oleg Igorowicz Antonow.

– A więc Olegu Igorowiczu, skoro podstępem wywabiliście mnie z mojej samotni, proszę mnie teraz zabawić.

Tania piła szampana, spoglądając na szykującą się do snu, rozświetloną tysiącami świateł Moskwę, która leżała u jej stóp. To lepsze niż samotność tego wieczoru, myślała, pozwalając mu opowiadać o czymś, gdy sama podziwiała panoramę miasta nocą. Miała ochotę lekko się upić, zapomnieć na chwilę o dniu codziennym i dobrze się bawić w jego towarzystwie. Była mu wdzięczna, że będzie

mogła rozładować stres, jaki nagromadził się w niej z powodu pracy. Znów powróciła do niego myślami i słuchała, tym razem rozumiejąc, co mówi. Bardzo się starał. Bawił ją, próbował rozśmieszyć opowieściami z jakiejś podróży na południe, którą odbył z kolegami. Tak czy inaczej, czuła ulgę, że jest wśród ludzi. A potem mówił coś o swoich studiach, o literaturze angielskiej, lecz kiedy zauważył, że nie wzbudziło to w niej zainteresowania, nie ciągnął tematu, tylko zaczął opowiadać o miastach, które zwiedził, o gorącej Hawanie, o Nowym Orleanie, o Amsterdamie. Opowiadał tak barwnie, że przez chwilę czuła się częścią tamtych miejsc, jechała po Hawanie wielkim amerykańskim samochodem. Nie pytała, skąd na to bierze pieniądze i dlaczego tak łatwo porusza się po świecie. Było jej to obojętne, bo nie chciała go poznawać bliżej. Wydawał się dostatecznie miły i uroczy, by nie psuć sobie tego obrazu odkrywaniem jakiejś nieprzyjemnej prawdy o nim. Nie zastanawiała się, czego tak naprawdę od niej oczekiwał, dlaczego pojawił się tak niespodziewanie. Bo nie było między nimi nic, co mogłoby ją skłaniać do takich pytań. Pomyślała, że jutro nie będzie musiała odbierać od niego telefonu, nie będzie musiała pamiętać jego imienia i z niczego nie będzie musiała się tłumaczyć. Rozbawiła ją myśl, że spędza ten wieczór, zapewne pierwszy i ostatni raz, z nieznanym jej mężczyzną i ich drogi, które na moment się przecięły, znów się rozejdą. A kiedy poczuła coraz większy szum w głowie, spowodowany szampanem i zmęczeniem, przerwała mu w pół zdania i poprosiła, by odwiózł ją do domu. Nie zgodził się, żeby odprowadził ją pod drzwi. Potem, gdy zasłoniła zasłony i puściła wodę do wanny, zaczęła się śmiać, czując, że zaśnie z myślą, iż ktoś stoi pod oknem, licząc choćby na jej cień, który jak w chińskim teatrze ukaże się na okiennej firanie.

Oleg siedział na masce samochodu i palił papierosa, patrząc w okno Tani. Przez moment nabrał ochoty, by usiąść pod jej drzwiami i nasłuchiwać. Może zanuciłaby coś, może zadzwoniła do kogoś, żeby opowiedzieć o randce, a może po prostu mógłby sobie wyobrazić, że jest tam z nią, słysząc, jak się porusza po mieszkaniu. Rozmyślił się, gdy doszedł do wniosku, że sąsiedzi pewnie wezwaliby milicję i narobiłby jej wstydu, tracąc wszelkie szanse na przyszłość.

Siedział więc, paląc następnego papierosa, i zastanawiał, co zrobić jutro, by iść za ciosem, o której najwcześniej można zadzwonić do teatru i o co spytać, gdyby, co mało prawdopodobne, podeszła do telefonu. Czy pisać kolejny list? A może czekać pod budynkiem. Choć właściwie dlaczego nie pod jej domem? Był tak podekscytowany, że nie mógł się zmusić, by wsiąść do samochodu i odjechać.

A może tak po rynnę, tak szekspirowsko, pomyślał, podnosząc wzrok. Niech się dzieje, co chce, zdobyć, utulić w ramionach, rozważał, spoglądając na rynnę i wyobrażając sobie swoją wspinaczkę. Zamiast tego jednak dwie godziny po tym jak powiedziała mu „Dobranoc”, wsiadł do samochodu i odjechał spod domu na Sadowniczeskiej, w którym mieszkała miłość jego życia.

Przez kolejne dni bez powodzenia próbował skontaktować się z nią w teatrze. Nie ustępował. Wykorzystując swoją znajomość angielskiego, udawał holenderskiego producenta teatralnego.

Tamtego poniedziałkowego poranka Tatiana poczuła się przerażająco samotna. Zadzwoiła do koleżanek, lecz żadna z nich nie odebrała telefonu. Herbata z goździkami i cynamonem, która miała ją podnieść na duchu, wydała jej się pozbawiona smaku. Tania usiadła na podłodze i zaczęła płakać. I w tym momencie, jakby w odpowiedzi na jej smutek, niczym za pomocą magicznej sztuczki Wolanda czy Korowiowa [39], zadzwonił telefon. Pierwszy sygnał wydał się jej projekcją własnej wyobraźni. Ale drugi był już realny, trzeci przyniósł nadzieję. Chwyciła telefon i podniosła słuchawkę, nie chcąc dłużej wystawiać na próbę cierpliwości dzwoniącego.

– Halo? – spytała słabym głosem.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc wolno odkładając słuchawkę, pogrążyła się w samotną depresję.

– Tatiana Aleksandrowna? – odezwał się męski głos, zanim położyła słuchawkę na widełki telefonu.

Przytknęła ponownie słuchawkę do ucha i spytała:

– Halo?

– Tatiana Aleksandrowna? – powtórzył mężczyzna.

– Tak, ja – odrzekła, próbując dopasować głos do któregoś ze znajomych.

– Przepraszam, dzwoniłem wiele razy, pierwszy raz udało się i teraz zaniemówiłem – powiedział mężczyzna.

– Znamy się? – spytała z lekką ulgą.

– Oleg Igorowicz Antonow.

Zapadła cisza, podczas której starała się skojarzyć nazwisko.

– Ach, mój wielbiciel? – podsumowała swoje poszukiwania pytaniem.

– Owszem, można tak powiedzieć. Tak. Zdecydowanie tak, Tatiano Aleksandrowna.

– I odważyliście się dziś zadzwonić, czy tak?

– Tak. Nie było to łatwe.

– Domyślam się. Ktoś z teatru zdradził mój numer telefonu, chociaż prosiłam, żeby pod żadnym pozorem tego nie robić.

– No tak, wybaczcie. Użyłem podstępu.

– Olegu Igorowiczu, czemu dzwonicie? – W jej tonie rozbrzmiała nutka rezygnacji i smutku.

– Proszę mi wybaczyć śmiałość, Tatiano Aleksandrowna, chciałem was zaprosić na kolację.

– Na kolację, powiadacie – powtórzyła beznamiętnym tonem.

– Wiem, że żądam wiele... wiem.

– I znowu raj i te wszystkie romantyczne dyrdymały? – spytała, znużona jego entuzjastyczną natarczywością.

– Tak. Zdecydowanie tak. To znaczy... – Urwał. – Nie, nie będzie „romantycznych dyrdymałów”. Mogę za to obiecać przyjemny wieczór. Będę kulturalny, zabawny, elokwentny. Zabiorę was do Aragwi, lubię kuchnię gruzińską, ba, nawet sam coś niecoś potrafię ugotować.

– A czym wy się zajmujecie, Olegu Igorowiczu? – Postanowiła poprzez jego odpowiedź pozbyć się pokusy. – Uczycie się, to wiem, ale co poza tym?

– Uczę się i pracuję. Jestem sportowcem.

– A w jakiej dziedzinie?

– Szachy.

Roześmiała się, myśląc, że kpi z niej, przypominając jej dwa filmy, jedyne, w których zagrała: *Alechin* i dokument o Romancewie.

– Jakżeby inaczej – odrzekła, śmiejąc się, lecz w jej tonie słychać było lekką rezygnację. – Jesteście bardzo mili, Olegu Igorowiczu, ale nie będę mogła się dziś z wami spotkać.

Zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że was nie zraniłam.

I dalej trwała cisza.

– Mam wieczorem próbę – dodała rozbawiona tym, że jego zapał zniknął pod wpływem jej słów.

– Wiem. Codziennie jestem pod teatrem. Dziś też będę. Tatiano Aleksandrowna – ton jego głosu spoważniał – będę czekał, proszę, proszę nie strącać mnie od razu do piekła. Proszę choć zostawić mi nadzieję. Będę czekał wieczorem po próbie. Może najdzie was ochota...

– Czekać wam nie zabronię – odparła, kręcąc sceptycznie głową i próbując w myślach powtórzyć jego pełne teatralnej egzaltacji słowa. – A jeśli będziecie natarczywi, zawołam milicję, zgoda?

– Dziękuję, Tatiano Aleksandrowna. Dziękuję. Będę czekał.

– Próbować możecie. Do widzenia, Olegu Igorowiczu.

– Do widzenia, Tatiano Aleksandrowna.

Wieczorem podczas próby Tatiana grała inaczej. Jej gra była pełna emocji, niepokoju ukrytego w głębi młodego serca. Nigdy wcześniej nie udało jej się osiągnąć w tych kilku słowach takiej głębi, melancholii i prawdziwości, oddać swą

grą tak wielu niuansów i paradoksów ukrytych w tekście. To była najlepsza próba Tatiany i Fokin nie omieszkał jej za to pochwalić.

Po pracy poczuła lęk przed powrotem do pustego mieszkania. Była wyczerpana, nerwowa. Dostrzegła go, gdy czekał. Tak jak poprzednio zrobił kilka kroków w jej stronę.

Pojechali do Gwiezdnego Nieba, gdzie do późnej nocy prezentowano program rodem z paryskich variétés. Czuł się tak bardzo stremowany, że całkowicie stracił swoje poczucie humoru. Przed wypowiedzeniem jakiegokolwiek zdania powtarzał je trzykrotnie w myślach, upewniając się, że jest właściwe. Dostrzegła jego zmieszanie i bawiło ją to. Zebrał się w sobie i spojrzał jej w oczy. Głęboko, przenikliwie.

– Tak, macie charyzmę, teraz ja się peszę. Nie patrzcie na mnie w ten sposób. – Zaśmiała się, odwracając głowę. – Zawsze wybieracie restauracje z niebem w nazwie? Miała być kuchnia gruzińska, a tu variétés.

– Podświadomość, Tatiano Aleksandrowna, i zbieg okoliczności. – A zmieniłem lokal, bo wydało mi się, że dziś byliście bardzo smutna i chciałem, by było odrobinę weselej.

– Smutna, mówicie? A skąd taka myśl?

– Głos. Wasz głos zdradzał zwątpienie.

– Zwątpienie w co?

– Bo ja wiem? Rozczarowanie.

Nie odpowiedziała. Spojrzała na niego i po raz pierwszy, odkąd się poznali, wydał jej się interesujący, a jego spojrzenie speszyło ją, sprawiając, że poczuła przez moment falę gorąca, która przeszła przez jej ciało.

Na pobliskiej placówce pocztowej naczelnik Witalij Piotrowicz Zubajew rugał swoich podwładnych:

– Dlaczego ten list ma stempel sprzed sześciu tygodni? Nie będę tolerował podobnego bałaganu! – krzyczał. – Zanieście go natychmiast, powtarzam: natychmiast! I poza kolejnością, na Sadowniczeską, adresatka: Tatiana Bułanowa.

Wieczorem po powrocie ze spaceru Tatiana znalazła w skrzynce pocztowej list. Otworzyła go, siadając w kuchni, i zaczęła czytać:

Tatiano!

Piszę do Ciebie, by się pożegnać. Zdałem sobie sprawę, że nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym napisać o emocjach. To dziwne, po tylu latach czuć tak wielką samotność we własnym kraju. No cóż.

Myślę o Twoich pięknych, głębokich, przepętnionych dziwnym drżeniem oczach, o Twoim uśmiechu, o tym, jak w sobie tylko właściwy sposób spoglądasz przez okno w zadumie. Nasze drogi się nie zjedną. Tak... żyjemy w innych światach. Mój świat nie jest podobny do Twojego. Wyjeżdżam. Opuszczam ten kraj, z którym wiąże mnie wiele, ale który odbierał mi również tak często marzenia i złudzenia. W moim życiu, wbrew temu, co sądzą inni, zbyt wiele było smutku. No taki widać mój los. Mam nadzieję, że czasem o mnie pomyślisz.

Anatolij

List wypadł Tatianie z rąk. Poczowała ogromny smutek. Miała wrażenie, że straciła coś bardzo cennego, kogoś bardzo jej bliskiego, noszącego w sobie podobnie jak ona jakiś nieodgadniony ból, który w niej zanikał, gdy myślała o nim, i wierzyła, że w nim również maleje, gdy on myśli o niej...

Moskwa, maj 1987

Oleg żył jakby w półśnie. Do końca nie wiedział, czy sprawy wokół dzieją się naprawdę, czy też pisze swoim życiem jakiś rodzaj powieści, której stał się jedynie bohaterem. Praktycznie nie spał, uważając, że sen to strata czasu. Całe noce paliło się u niego światło, czas spędzał pomiędzy myślami o Tatianie a grą w szachy. Nigdy wcześniej nie miał tak wyostrzonego zmysłu szachowego, jakby brak kontaktu ze światem zewnętrznym spowodowany przez miłość pozwalał mu głębiej wniknąć w siebie, a przez to skoncentrować się maksymalnie podczas gry.

Tatiana zgodziła się z nim spotykać. Bawiła się swoją rolą. Przywykła żyć z nim i mimo że nadal był dla niej tylko cieniem, zaczął jej towarzyszyć, nadając sens jej dniom, skracając czas oczekiwania, czyniąc poranek miłym posłańcem przynoszącym wieści o tym, co się wydarzy wieczorem. Poczowała się szczęśliwa i zdziwiło ją to, bo myślała, że nieprędko wróci to uczucie, które sprawiało, że śmiała się, czesząc przed snem włosy i zmywając makijaż.

Oleg pisał do niej list za listem. Ale już ich nie wysyłał. Bał się, że uzna go za szaleńca. Więc palił je w ogniu świecy, co niezmiernie irytowało Olgę Lwownę. Tamtego dnia postanowił zamanifestować swoją miłość w inny, mniej konwencjonalny sposób... Wdrapawszy się na dach, przymocował do komina linkę, na której zawiesił kosz z kwiatami. Powoli opuszczał go, a potem zatrzymał na wysokości okna Tani.

– Ale jestem głupi – szepnął do siebie, zbiegając na łeb na szyję po schodach, licząc, że zdąży uchwycić moment, w którym Tatiana, zdziwiona, wychyli się

przez okno, by pochwycić przesyłkę... – Niech wie, że Kocham – rzekł do siebie, stojąc dumny pod oknem.

Ujrzała kwiaty. Spojrzała dyskretnie przez okno i dostrzegłszy go, postanowiła nie dawać mu satysfakcji, tylko udała się do drugiego pokoju poczytać książkę. Nie doczekawszy się jej, ze smutkiem odszedł i dwa dni nie dawał znaku życia. To wystarczyło, żeby się na niego obrazić. Któregoś dnia miała ogromną ochotę, by zadzwonił i poprosił ją o spotkanie. Być może w pierwszej chwili by odmówiła, wykręcając się bólem głowy lub znużeniem, ale w końcu dałaby się namówić i zaprosić gdziekolwiek, byle nie siedzieć w domu... Zadzwonił przed wieczorem, pytając, czy nie chciałaby z nim pójść potańczyć. Zaskoczył ją. Mężczyźni unikali zazwyczaj podobnych propozycji, nie czując się pewnie podczas tańca. A on robił to świetnie i był w tym tak swobodny, że Tatiana pierwszy raz poczuła dreszcz erotycznego zainteresowania. Jego silne ramiona sprawiały, że miała ochotę się w nie wtulić, ukryć w nich, poczuć bezpiecznie, a jednocześnie przeżyć coś szalonego.

Codziennie czekał na nią pod teatrem. Wspólne kolacje stały się dla niego ceremonią, wyjścia do kina – sennym marzeniem, wspólny spacer – magią, pierwsze spotkania z jej znajomymi – wstąpieniem do nieba, a pierwszy pocałunek... no cóż, skala szczęścia ma swoje ograniczenia, które uczucie ogarniające Olega znacznie przekraczało...

Bardzo szybko zorientowała się, że jest całkowitym przeciwieństwem tych mężczyzn, których dotąd znała. Jego energia była podobna do energii Sewastianowa, ale Antonow w przeciwieństwie do reżysera potrafił kumulować ją w sobie, napełniać się nią w sposób zupełnie wyjątkowy, tak że odnosiło się wrażenie, iż potrafi osiągnąć wszystko, co sobie postanowi, i to z zadziwiającą lekkością. Sewastianow tracił tę siłę w ciągłych pojedynkach z samym sobą, w nieustannych wahaniach, pokonywaniu niewiary w siebie i swój talent za pomocą krzyku i alkoholu. Antonow różnił się od niego tym unikalnym czarem, tą niewymuszoną gracją towarzyszącą zwycięzcom. Nie wiedziała, czym się zajmuje poza studiami, ale czuła, że swoje sukcesy zawdzięcza nie tylko ciężkiej pracy, determinacji i opanowaniu, lecz właśnie temu magicznemu darowi, który nosił w sobie i niewątpliwie wykorzystywał do zaczarowania rzeczywistości wokół siebie. W końcu podczas spaceru po Arbacie spytała od niechcienia:

– Czym się zajmujesz?

Przystanął. Spojrzał na zegarek.

– Dwadzieścia dwie godziny, trzy minuty i czternaście sekund. Tyle czasu spędziliśmy razem i tyle czekałem na to ponowne pytanie od momentu, gdy ci powiedziałem pierwszy raz.

– Zadałeś sobie trud, by to policzyć?

– Tak. Zazwyczaj ludzie pytają o to od razu, kiedy kogoś poznają. Ty wprawdzie spytałaś, ale nie uwierzywszy w odpowiedź, nie ponowiłaś pytania aż

do dzisiaj.

– Myślę, że masz jakiś mocny układ i szmuglujesz dzieła sztuki dla zagranicznych kolekcjonerów.

– Naprawdę?

– Mhm. – Zaśmiała się. – Inaczej nie byłoby cię stać na drogie restauracje, na samochód, na ubrania z Zachodu.

– No dobrze. Powtórzę raz jeszcze: jestem szachistą.

– Ach, szachistą? Ciekawe. – Znów mu nie uwierzyła. – Nie wyglądasz na szachistę.

– Bo trochę trenuję także boks.

– Tak się składa, że znam mistrza świata w szachach.

– Romancewa? Nie lubię go.

– A ja owszem. Można powiedzieć, że się przyjaźnimy. I co ty na to?

– Zacisnę zęby i też się z nim zaprzyjaźnię.

Wstąpili do księgarni, gdzie Tatiana kupiła album z reprodukcjami obrazów malarstwa niderlandzkiego. Potem w kawiarni spotkali Andrieja, który wcześniej umówił się z Olegiem, że będzie tam na nich czekał i niby przypadkiem wpadną na siebie.

– Andriej – zwróciła się do niego Tatiana w pewnym momencie rozmowy. – Powiedz mi, czym się zajmuje twój przyjaciel?

– Handluje prochami i walutą – wypalił Andriej bez zastanowienia. – Poza tym boksuje, bierze lekcje u samego Kisielowa. Może coś tam jeszcze robi, o czym mi nie wspominał.

– A mnie powiedział, że gra w szachy. – Tatiana lekko zmrużyła oczy.

– Szachy? – udał zdziwienie Andriej. – Tego jeszcze nie słyszałem. Chciał ci widocznie zaimponować. Pozuje na intelektualistę.

– No to jak, jest szachistą czy nie? – dopytywała się Tatiana.

– No może wczoraj się zabrał do szachów, kto go tam wie. – Andriej podrapał się po głowie. – Szachiści mają, zdaje się, dobrą pamięć, nieprawdaż? Sprawdź go.

– Masz dobrą pamięć? – zwróciła się do Antonowa.

– Mam – odrzekł spokojnie Oleg.

– No dobrze – rzuciła Tatiana. – Znam cały *Wiśniowy sad*, każdy dialog. Przebijesz?

– On naprawdę ma dobrą pamięć – wtrącił się Andriej, popijając piwo. – Ale *Wiśniowego sadu* na pewno nie przebije. O nie, nie. To by było niemożliwe. *Wiśniowy*... nie, nie.

– Poddajesz się? – spytała z dumą Tatiana.

– Oleg? – Andriej zachłysnął się piwem. – Oleg ma się poddać? Nie, Oleg nie poddaje się tak łatwo. Fakt, trochę go zastrzeżeliś tym pytaniem o *Wiśniowy sad*. Dla mnie to bomba i w ogóle leżę na obie łopatki. Ja bym się poddał od razu. Od razu, bez walki. Ale podejrzewam, że Oleg nie da tak łatwo za wygraną. Nie, Oleg nie. Czuję, że i z tym może by sobie poradził. Choć to takie tam tylko podejrzewania i przechwałki. Aż wstyd...

– Niech udowodni. Chcę to zobaczyć – drążyła temat Tatiana.

Oleg poprosił o album z malarstwem. Zaczął go kartkować, strona po stronie, zajęło mu to niewiele więcej niż minutę. Tania patrzyła na niego mocno zaintrygowana. Po chwili oddał jej książkę i spojrzał w oczekiwaniu. Tania zerknęła na Andrieja, spodziewając się odpowiedzi.

– Otwórz na dowolnej stronie i podaj mi jej numer – zgadł Andriej. – Powie ci, jaki obraz się na niej znajduje.

Tania, nie wiedząc, czy dobrze zrozumiała, otworzyła powoli książkę i spoglądając z niedowierzaniem na Olega, powiedziała:

– Strona osiemdziesiąta druga.

– Rembrandt, *Prorok Eliasza na górze*, na dole zbliżenie twarzy z obrazu – wyrecytował Oleg.

Tania sprawdziła w książce, a potem, zaskoczona, spojrzała na Andrieja, który bez żadnego zdziwienia popijał z uśmiechem piwo.

– Strona czterdziesta czwarta – spróbowała ponownie Tatiana.

– Bruegel, *Spis ludności w Betlejem*.

– Dwudziesta druga...

– Memling, *Sąd Ostateczny*, na dwóch stronach.

– Sto jedenasta...

– Vermeer, *Dziewczyna z perłą*.

– Trzeba przyznać, ma seksowne spojrzenie – wtrącił Andriej, spoglądając na obraz ponad ramieniem Tatiany. – Może by tak coś z Rubensa?

– Robicie ze mnie żarty? – Tatiana się rozzłościła. – Tak?

– Przecież ty wybierałaś obrazy – odparł Andriej, siadając z powrotem na swoim miejscu. – Nie, ten facet tak ma. Ale nie martw się, po wódce szybko zapomina.

Tatiana zwróciła wzrok na Antonowa, który przytaknął z uśmiechem.

– Tak, to prawda – przyznał. – Po wódce zapominam. I jestem szachistą, takim z pierwszej trójki najlepszych na świecie.

– Romancew, Krutin, Antonow. Straszne trio szachowych zabijaków – dodał Andriej tonem znawcy.

Tatiana spoglądała to na jednego, to na drugiego i pomyślała, że mówią

prawdę.

– A co ma do tego boks? – spytała, starając się ułożyć to wszystko w swojej głowie.

– Mój ojciec był wicemistrzem olimpijskim w boksie, w sześćdziesiątym ósmym – odrzekł Oleg, spoglądając na nią w ten sposób, że poczuła przepływający przez jej ciało prąd.

Rozmawiali o karierze Olega, o przerwanych meczach pretendentów, o jego triumfie nad Zimmermanem. Oczy Tatiany rozjaśnił jakiś blask, jakaś tajemnicza myśl, która sprawiła, że Oleg poczuł, jakby jego ciało emanowało siłą przeciwstawiającą się grawitacji, która unosi go ponad ziemią.

Rozstali się z Andriejem i wsiedli do trolejbusu linii 2. Kiedy znaleźli się na ulicy, rozpętała się burza i z nieba lunął ciepły deszcz. Ukryli się przed nim, wbiegając do podziemia stacji metra. Zmoczeni, biegli, trzymając się za ręce. Śmiali się i nagle, całkowicie spontanicznie przystanęli, zaczęli się całować i mocno do siebie tulić. Weteran z orderami w klapie zwrócił im uwagę, że zachowują się nieprzyzwoicie. Tatiana ucałowała go w policzek i pobiegli dalej, zostawiając staruszkę w osłupieniu. Gdy znaleźli się sami w mieszkaniu na Sadowniczeskiej, zapadła cisza. Spoglądali na siebie w milczeniu, oddychając ciężko, czuli, jak przestrzeń pomiędzy nimi wypełniają elektrony. Stali w półmroku, nie odzywając się, pełni pragnienia. Chciał zrobić krok ku niej, lecz ona położyła palec na jego ustach i przytrzymała go, po czym zsunęła z siebie mokrą bluzkę, a potem stanik, odsłaniając przed nim piersi. Nie spuszczała z niego wzroku, obserwując jego pożądanie. Porwał ją w ramiona i zaniósł do sypialni. Bawiła ją jego niezdarność i zapał. Pieścił ją czule, czego się nie spodziewała, lecz też intensywnie, namiętnie, w jego silnych ramionach czuła się niczym święta, której oddawał hołd. Więc ośmielała go: gryzła delikatnie w ucho, drapała po plecach i bawiła się jego włosami.

Pośrodku nocy, leżąc obok niej, szukał fali radiowej. Szum mieszał się z dźwiękami wypowiedzi lub muzyką. Od niedawna przestano zagłuszać *Głos Ameryki*. Tania przewróciła się na bok. Włosy opadły jej na policzek. Spojrzał na nią, był tak bardzo zakochany. Kochał ją każdą cząstką swojej duszy.

Jego życie nabrało tak zawrotnego tempa, że tracił nad sobą panowanie. Praca magisterska wymagała wysiłku, a kolejne turnieje szachowe zabierały siły. W tych pierwszych dniach ogarniająca go euforia nie pozwalała spać. Nocami krążył po domu. Wciąż szeptał jej imię. Śmiał się do siebie. Spoglądał w lustro, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że jego marzenie staje się rzeczywistością. Drzemał, może trzy, cztery godziny na dobę. Kilkakrotnie zdarzyło mu się zasnąć w metrze i przejechać kilka przystanków.

Kiedy przychodziły te chwile, kiedy zostawali sami, gdy mijała trema, gdy wtulona w niego oddawała mu swoją ufność, w jej dotyku, oddechu, bliskości szukał potwierdzenia tego, co stanowiło sens jego życia – jej miłości.

Kiedy zadzwonił do niej po porażce, zrozpaczony, a ona powiedziała: „mój kochany, ambitny, cudowny”, były to słowa, które powtarzał jak modlitwę każdego poranka i każdego wieczoru, ciągle dziwiąc się swojemu szczęściu. Śmiał się, śmiał na całe gardło, nie mogąc opanować tego tajfunu, jaki szalał w jego duszy, tańczył walca *Na wzgórzach Mandżurii* Szatrowa, udając, że trzyma ją w objęciach, a ona odchyła na bok głowę i pozwala się prowadzić w tym szalonym i cudownie wirującym zapomnieniu.

Moskwa, 28 maja 1987

Wracali razem z teatru, idąc prospektem Marksa. Oleg trzymał ją za rękę, swoją wyśnioną miłość. Chciał krzyczeć z radości, chciał, aby wszyscy patrzyli na nich i cieszyli się jego szczęściem. Serce waliło mu w tempie mechanicznych tłoków. Tania zaszła do GUM[40], aby kupić drobiazgi na wieczorny „Sabat Czarownic”, jak nazywała spotkania z Wierą, Nadią i Leną. Oleg czuł zazdrość, że tej nocy ktoś ukradnie mu zainteresowanie jego Miłości. Kiedy z zakupami szli po placu Czerwonym, dostrzegł na niebie punkt, który jakby się do nich przybliżał.

– Tania, spójrz, tam, na niebie. Coś się zbliża.

Nie mógł wskazać jej ręką miejsca, które miał na myśli, bo w obu dłoniach trzymał torby z zakupami.

– Gdzie? – spytała i podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Przez chwilę stali w milczeniu, obserwując dziwne zjawisko. – Przecież to samolot. Będzie tu lądował.

– Ha! – ucieszył się Oleg. – W radiu mówili, że dziś święto sił obrony powietrznej, to pewnie coś ciekawego szykują. Mogliśmy spytać ojca Andrieja.

Podeszli bliżej Wasilewskiego Zbocza przy placu Czerwonym.

– Może kręcą jakiś film – zastanawiała się na głos Tatiana.

Samolot, jakby szukając dogodnego dla siebie miejsca do lądowania, wykonał trzy kręgi tuż nad placem i Kremllem.

– Ależ on nisko leci, jest kilka metrów nad placem, przecież może o coś zaczepić i spadnie na nas – zaniepokoiła się Tatiana.

– Pewnie to mistrz powietrznych akrobacji – uspokajał ją Oleg, chociaż sam był zdziwiony widokiem samolotu, który przemknął z głośnym warkotem kilka, może trzy, cztery metry nad jego głową. – Byle kogo nie wytypowaliby do takiej imprezy.

Samolot wykonał ostatnie podejście i zaczął ponownie obniżać swój lot, by w

końcu wylądować na moście Moskwoieckim, po czym zatrzymał się u szczytu schodzącego ku rzece Wasilewskiego Spuska, który służył za parking dla autokarów wycieczkowych, tuż obok cerkwi Świętego Bazylego, niecałe sto metrów od murów Kremla.

– Chodź, zobaczymy, co się dzieje! – zawołała Tania, przyspieszając kroku.

– Tania, on ma oznaczenia niemieckie, spójrz, zachodniemiecka flaga i litera „D” – rzucił ze śmiechem podekscytowany zdarzeniem Oleg. – Czyżby ktoś chciał u nas prosić o azyl?

Podeszli do ubranego w pomarańczowy skafander pilota. Nie wyglądał jak Rosjanin. Był młody, szczupły, na nosie miał okulary w złotych oprawkach. Nie wyglądał też jak zawodowy pilot. Oleg spytał go po angielsku, skąd jest. Chłopak wytłumaczył im, że pochodzi z Hamburga, ale przyleciał z Helsinek, że niedawno zrobił licencję pilota, a tu przybył z pokojową misją. Ktoś ze zgromadzonych gapiów poprosił go o autograf. Za chwilę podeszli następni z tą samą prośbą. Pilot sprawiał wrażenie rozluźnionego. Rozdawał autografy z uśmiechem, wymieniał jakieś uwagi z zagranicznymi turystami. Stojący nieopodal milicjanci gapili się z niepewnymi minami, nie wiedząc, co właściwie mają zrobić.

Tania chwyciła Olega mocno za rękę, gdy kilka metrów dalej, z piskiem opon, na plac wtargnęły dwie czarne wołgi. Wyskoczyli z nich funkcjonariusze KGB i zaczęli się przedzierać przez tłum gapiów. Za nimi podjechała ciężarówka, z której milicjanci zaczęli wyciągać płotki do ogrodzenia miejsca, gdzie stał samolot.

– Oleg, chodź – szepnęła Tatiana. – Aresztują go, nie chcę na to patrzeć.

– Czekaj, może będzie jakaś zadyma.

– Chodź, proszę, albo zostawaj sobie sam.

Poszedł, chociaż miał ochotę zostać. Kilka godzin później, słuchając zachodnich rozgłośni radiowych, dowiedział się, że pilot nazywa się Mathias Rust i doleciał do placu Czerwonego, omijając całą radziecką obronę przeciwlotniczą.

Wieczorem Tatiana miała swój „Sabat Czarownic”, a Oleg siedział z Andriejem i Miszą, pijąc piwo.

– To mówisz – dopytywał się Andriej – że nad samą głową ci przeleciał i niby nic wylądował na moście?

– Zgadza się.

– Cholera, odważny gość – skomentował Misza. – Aż dziw, że nie zestrzelili go po drodze.

– No właśnie. – Andriej się zmartwił. – Stary będzie wkurwiony, bez dwóch zdań. Tak czy inaczej, ten Niemiec ma jaja. Szalone, ale ma.

Milczeli, próbując sobie wyobrazić siebie w takiej misji. Pociągnęli z butelek piwo.

– Fiedka mówił, że na następnej przepustce chce się oświadczyć Tamarze –

rzucił Misza.

– No i dobrze – pochwalił zamysł kolegi Andriej. – Nareszcie. Spotykają się ponad rok, na co czekać.

– Takie tam spotkania. Nie wiem, czy się chociaż raz pocałowali – zauważył sceptycznie Oleg.

– Patrz na tego naszego Valentino – zakpił Andriej. – Całuśny się zrobił.

– A ty, Andriucha? – spytał Misza, który skończył kolejną butelkę.

– Moja musi mieć duże piersi, jak gwiazdy filmowe – odparł rozmarzonym tonem Andriej. – Długie nogi. Duże usta. Taka Sophia Loren, która przyprawia o zawrót głowy. Myślę o niej, odkąd jako maluch zobaczyłem ją w jakimś filmie, gdy kręcąc tym swoim tyłeczkiem, zaśpiewała: „Forsa, forsa, bądź błogosławiona”.

– Wiem, to był *Boccaccio '70*, trzy nowele de Sicci, Felliniego i Viscontiego – wtrącił się Oleg.

– No masz, chodząca encyklopedia. – Andriej pokręcił głową.

– Zapamiętałem, bo też nie mogłem się po tym filmie uspokoić, tyle że ja z powodu Anity Ekberg. A reżyserów i tytuł filmu znalazłem niedawno w książce o filmie, u Tani.

– Oleg, daj jeszcze raz ten klucz do odkapslowania – poprosił Misza.

Oleg wyciągnął klucz i pokazując kolegom, rzekł:

– Tak wygląda klucz do raj.

– Od jej mieszkania? – zainteresował się Andriej.

– Mhm – przytaknął Oleg.

– Czekaj! – wykrzyknął Andriej i wyrwał Olegowi klucz. – One tam dziś urzędują na sabacie, a ty masz klucz i nic nie mówisz?

– Andriej, bój się Boga, nie będę zadzierał z Tanią. Nie po to mnie dziś wywaliła, żebym tam przyłaził i przyprowadzał degeneratów.

– No dobra, dobra. Jakich degeneratów? Student Akademii Wojskowej, przyszły oficer wojsk łączności i artysta scen radzieckich Pedro „Michu” Salvador.

– Jaki znowu „Michu”? – Misza się zaśmiał.

– „Michu” to taki swojski element – zaczął tłumaczyć mu poważnym tonem Andriej. – Że niby moja matka była Rosjanką, która wyjechała do Wenezueli za miłością swojego życia. Urodziła tam Pedra, ale dała mu na drugie „Miszka”, aby jej przypominał kraj ojczysty. Dzięki temu „Michu” i radzieckim korzeniom mogę gadać z kobietami łamanym rosyjskim.

– Nie pozwolę na żadnego Michu Salvadora u Tani – sprzeciwił się Oleg, ale jednocześnie parsknął śmiechem na myśl o minach dziewczyn.

Nie było szans, by nie ulec pokusie. Ostatecznie stanęło na tym, że Andriej, przebrany za Pedro „Michu” Salvadora, pójdzie tylko w towarzystwie Miszy. Dla

niego Andriej też znalazł przebranie, a raczej jego brak. Z naoliwionym torsem Misza miał zawitać na Sadowniczeską jedynie w kąpielówkach, udając zamówionego przez którąś z dziewczyn dewizowego striptizera.

Równo dwie godziny później, kiedy migotliwe odbłaski świec na szybach w mieszkaniu Tani zdradzały, że obrzęd się już rozpoczął, pod blokiem pojawili się Andriej w kwiecistej rozpiętej koszuli, z nagim torsem, na którym widniał wielki złoty krzyż, w kruczoczarnej peruce, z domalowanym lekkim zarostem, dzierżąc w ręce gitarę, i Misza w czerwonych kąpielówkach i z ciałem błyszczącym od oleju oraz – to był ostatni pomysł Andrieja – opaską à la Zorro skrywającą nieco twarz.

Zgrabnie i po cichu otworzyli drzwi wejściowe i z głośnym śpiewem przy dźwięku akompaniującej gitary pojawili się w salonie Tani, gdy dziewczęta wykonywały swój taniec wokół rozstawionych w kręgu świec. Pisk, jaki wydobył się z ich gardeł, dało się usłyszeć na ulicy. Oleg zanosił się śmiechem. Sprawy się trochę pokomplikowały, gdy sąsiedzi, widząc gołego Miszę, wezwali milicję. Skończyło się na tłumaczeniu, że to tylko zabawa. Zresztą, nie zważając na obecność milicjantów, Andriej, znaczy Pedro „Michu” Salvador, nieusatysfakcjonowany do końca przebiegiem swojej misji, wyciągnął z radiowozu gitarę i zaintonował piosenkę pod oknem, w którym ukazały się twarze dziewczyn.

Dzień później, gdy Oleg dostał od Tani karę trzech dni „miłosnej abstynencji”, wpadł z wizytą do Andrieja.

– Andriej, co się stało? – krzyknął, widząc przyjaciela pijanego, z oczami podkrążonymi po nieprzespanej nocy.

– Tssss – szepnął Andriej, przykładając palec do ust. – Tssssss.

– Co się dzieje? – spytał cicho Antonow.

– Zakochałem się. – Andriej zapłakał i opadł na podłogę.

– Ożeż kur... – zaklął Oleg. Wziął stojący na stole słoik z ogórkami, do połowy wypełnioną butelkę i usiadł przy Andrieju.

– Dawaj – wybełkotał płaczliwym głosem Andriej, wyciągając rękę po butelkę.

– No tak – zaczął filozoficznie Oleg. – Że ja zakochany, to i byłem stracony od samego początku, dureń z definicji. Fiedka to samo. Ale ty? Ty byłeś ostoją wolności i rozsądku, naszym bohaterem. Przed wojskiem umiałeś się wykręcić, a tu gorzej, na zmarnowanie.

– O Boże – jęknął Andriej i złożył głowę na podłodze. – Nie wierzyłem ci, Oleg, myślałem, żeś symulant, a tu...

– A nie możesz po prostu powiedzieć: „stop”?

– A ty mogłeś?

– No fakt. Napijmy się – rzekł zadumany Antonow i pociągnął spory łyk z butelki.

Pili i milczeli dłuży czas, jakby podniosłość tej chwili wymagała ciszy.

– W kim, Andriej?

– Lena. Ujrzałem ją wczoraj, gdy wlałem tam z gitarą. Była naga. Stała przede mną, nie uciekała. Jakby mnie grom trzasnął w łeb. Ten obraz mnie prześladował całą noc, zwariowałem. Aż w końcu w tajemnicy przed tobą wziąłem dziś rano jej numer od Tani i poprosiłem o spotkanie. Zanim się spotkaliśmy, wyznałem, że kocham.

– Jak to? Tak przez telefon?

– Tak przez telefon. Spytała, czemu dzwonię, to co miałem zrobić?

Gdy po powrocie Oleg opowiedział to Tani leżącej z książką w fotelu, ta śmiała się do rozpuku, machając zadartymi do góry nogami jak dziewczynka.

Ech, miłość... – pomyślał Oleg przed snem.

Dwa dni później Andriej i Lena polecili razem do Duszanbe, a stamtąd helikopterem w Pamir, aby zobaczyć Pik Komunizmu. Andriej twierdził, że szczyt szczęścia, jaki stał się jego udziałem, przerasta wszystkie szczyty razem wzięte.

Marszałek Aleksander Kołodunow, dowódca Wojsk Obrony Przeciwlotniczej, słuchał raportu, siedząc w swoim gabinecie.

– Z naszych ustaleń wynika – relacjonował oficer – że dwudziestego ósmego maja Rust, pilotując szkolno-treningową cessnę F sto siedemdziesiąt dwa P Skyhawk dwa, numer rejestracyjny D-ECJB, poinformował wieżę kontrolną w Helsinkach, że zamierza lecieć do Sztokholmu, ale po przekazaniu tej wiadomości zawrócił samolot i skierował go w kierunku Leningradu. Wyłączył przy tym radio i nie utrzymywał żadnej łączności z kontrolą naziemną. Z tego, co przekazali nam Finowie, mniej więcej czterdzieści kilometrów na północny wschód od Helsinek cessna zniknęła im z radaru. Zapewne Rust obniżył wysokość i leciał dosłownie kilkanaście metrów nad ziemią. Finowie myśleli, że się rozbił, więc rozpoczęli akcję ratunkową. Szukali na lądzie i nad morzem jakichś znaków, które wskazywałyby na katastrofę. Ciekawe, że w tym miejscu, gdzie urwał się z nim kontakt, odnaleziono na tafli wody dużą plamę oleju, jakby faktycznie samolot się rozbił. To nie jedyny dziwny przypadek z całej serii. W tym czasie Rust przekroczył granicę naszej przestrzeni powietrznej. Nadleciał znad Zatoki Fińskiej. Zostawił z boku Leningrad i trzymając się linii kolejowej Leningrad–Moskwa, leciał w kierunku stolicy od północnego zachodu...

– Nikt go nie widział? – przerwał mu zirytowany Kołodunow.

– Widzieli, towarzyszu marszałku. O czternastej dwadzieścia dziewięć samolot Rusta pojawił się na ekranie radaru. Ponieważ nie było z nim łączności radiowej, ogłoszono zgodnie z procedurą alarm i nadano mu numer osiem tysięcy dwieście

pięćdziesiąt pięć. W tym momencie wszystko działało. Jednostki raketowe miały go na radarze, były gotowe odpalić rakiety. Ale nie otrzymały rozkazu zestrzelenia. Czekwały. W ślad za Rustem wysłano dwa myśliwce przechwytyjące MiG. O czternastej czterdzieści osiem niedaleko miasta Gdow jeden z naszych pilotów zlokalizował intruza. Poinformował, że to mały samolot podobny do jaka dwanaście, i wysłał do dowództwa pytanie, czy ma go zestrzelić. Nikt nie wydał takiego rozkazu. Jak nam powiedziano, wystąpił syndrom koreańskiego boeinga. Dowódcy bali się zestrzelić przez pomyłkę cywilny samolot. Wkrótce potem w pobliżu miasteczka Stara Russa obaj nasi piloci stracili Rusta z oczu. Nie wiemy, czy ukrył się na jakimś polu, takie samoloty mogą lądować niemal wszędzie. Staramy się to ustalić. Niemniej po pewnym czasie nasze jednostki obrony powietrznej namierzyły cessenę jeszcze kilkakrotnie, ale wtedy też nikt nie wydał rozkazu, aby ją zestrzelić. Większość doświadczonych oficerów, wśród nich odpowiedzialny za ten obszar generał Grotow, była na manewrach. Ponadto, towarzyszu marszałku, wprowadzone kilka dni temu zmiany organizacyjne spowodowały lekkie zamieszanie w ustaleniu, kto powinien wydać rozkaz. Trzeba przyznać, że niski pułap lotu powodował ciągłe problemy z utrzymaniem samolotu na ekranach radarów. Myśliwce bojowe nie mogłyby lecieć tak nisko. Co innego mała cessa. Jeszcze przed Moskwą Rust został namierzony kolejny raz. Ale znów zbieg okoliczności spowodował, że go przepuszczono. Poprzedniego dnia była tam katastrofa lotnicza i myślnano, że to helikopter ratowniczy. Potem brano Rusta za kursanta szkoły pilotażu, który nie potrafi obsługiwać radia...

– Dużo przypadków – westchnął Kołdunow, który zdał sobie sprawę, że nieuchronnie stracił swoje stanowisko. Wiedział, że na nim czy na Sokołowie[41] się nie skończy. Musiał za to odpowiedzieć Grotow i wielu innych, którzy choćby znaleźli się w pobliżu tego skandalu[42].

W dalekim Tadżykistanie Andriej i Lena nocowali w jurcie. Zdaniem Leny wszystko pachniało tam skwaśniałym kumysem, lecz zapach Andrieja powodował, że zamiast kapryścić, pozwoliła mu się porwać w tę przedziwną krainę. Czytał jej poezje, grał na gitarze, śpiewając romanse, czarował ją humorem i pasją, której ulegała. A kiedy ujrzeli potężne ściany gór, pokryte lodem szczyty, które jaśniały na tle błękitu, poczuła, że warto było wdać się w tę awanturę z przyjazdem w „dzicz”. Krystalicznie błękitne niebo i białe piramidy tworzyły urzekający pięknem obraz jak z folderów biur turystycznych.

I wtedy Lena otworzyła się na Andrieja. Opowiadała mu o swojej pracy, o lotach ponad chmurami, o zachodzącym słońcu, którego promienie kładą się na obłokach, o gwiazdach podczas nocnych przelotów. A Andriej słuchał i z każdym wypowiedzianym przez nią zdaniem wypełniała go coraz większa miłość.

Kiedy helikopter zawiózł ich w miejsce, skąd rozpościerał się widok na Pik Komunizmu, Andriej miał łzy w oczach. Wziął Lenę za rękę i szepnął:

– Poczuję spełnienie.

Stojąc w budce telefonicznej, Oleg wykręcił numer telefonu.

– Halo – odezwał się kobiecy głos.

– Mamo?

– Oleg?

– Wsiadamy do metra. Jesteś w domu? Chcielibyśmy przyjechać razem.

– Tak, czekam na was.

– No to jedziemy.

Odkładając słuchawkę drżącymi rękami, Olga Lwowna poczuła tak silne wzruszenie, że się rozplakała. Chwilę potem śmiała się z siebie, powtarzając w myślach: Czego ryczysz, głupia babo, toż to dorosły mężczyzna, nie chłopiec. Przebrała się w sukienkę, którą zazwyczaj wkładała na zakończenie roku szkolnego. W kuchni szybko zabrała się do przygotowywania sałatki jarzynowej. Kiedy zabręczał dzwonek do drzwi, spojrzała na swoją twarz w lustrze, poprawiła włosy.

– Jesteśmy – oznajmił Oleg, na którego twarzy można było dostrzec dumę i lekką treść.

– Dzień dobry, Olgo Lwowna. – Tatiana uśmiechnęła się, a pod Olgą Lwowną ugięły się z emocji kolana.

– Dzień dobry – wyszeptwała. – Cieszę się, że mogę was poznać, Tatiano Aleksandrowna.

A potem, po kolacji, spoglądała na syna, kiedy pokazywał Tatianie zdjęcia z zachodniej prasy, z różnych miejsc, do których podróżował, i opowiadała, jak jej syn pierwszy raz grał z mistrzem świata Gurgenidzem, jak pokonał w Odessie Romancewa, choć nikt się tego nie spodziewał.

– I wrócił stamtąd zakochany po uszy, chociaż się do tego nie przyznał. – Śmiała się. – Zadurzył się w jakiejś dziewczynie, którą poznał na turnieju.

– Mamo – usiłował jej przerwać Oleg. – Tatiany to nie interesuje.

– I dostrzeżliście to, Olgo Lwowna? – podpytywała Tatiana.

– No tak, tak. Przecież widziałam to w jego oczach.

– Poznał ją w Odessie? – spytała Tatiana, spoglądając na Olega przymrużonymi oczami.

– Tak – potwierdziła Olga Lwowna. – Podczas memoriału Alechina w osiemdziesiątym drugim.

– No to idę umyć naczynia. – Oleg podniósł się od stołu i szybko wyszedł do

kuchni.

– To ja byłam tą dziewczyną – szepnęła Tatiana, gdy zostały same. – Przypominam go sobie. Nastolatek, który gapił się na mnie bezwstydnie w hotelu i dedykował mi wtedy najpiękniejszą partię. Teraz go rozpoznaję...

Olga Lwowna wzięła głęboki oddech.

– Pomogę Olegowi w kuchni – rzekła, podnosząc się z krzesła.

Antonow ujrzał, że ręce matki drżą.

– Mamo, czemu? – spytał, chwytając jej dłonie.

– Och – szepnęła. – Ona taka dystyngowana, taka elegancka. Kochasz ją mocno, prawda?

– Kocham. Bardzo. Chcesz ją mieć za córkę?

– Chcę, synku, byś ty był szczęśliwy.

Resztę wieczoru spędzili na rozmowie o filmie i teatrze, o aktorach i ich romansach, o modzie, o kuchni orientalnej, którą Tatiana była zachwycona, odkąd dostała w prezencie od Leny książkę z przepisami. Oczywiście, od czasu do czasu Oleg próbował zwrócić na siebie uwagę, ale obie kobiety ignorowały go i nudził się niemiłosiernie. Lecz po powrocie do mieszkania na Sadowniczeskiej dali się ponieść namiętności. Leżeli w wannie. Dookoła paliły się świece. Po koniaku zaśmiewali się do łez z dowcipów, które nie były aż tak śmieszne, ale ich ciała drżały z podniecenia. Dotykali się niby niechcący pod wodą, aż do momentu, gdy owe przypadkowe muśnięcia stawały się planowe, dłuższe, wraz ze spojrzeniem pełnym cudownych uniesień, nieskromnie natarczywym wzrokiem, gdy dotykał jej ud, a ona, zniewolona jego oczami, oddana jego pragnieniu, pozwalała mu czytać z twarzy doznania i co pewien czas wstrząsał jej ciałem dreszcz. Nagle Tatiana poderwała się i spoglądając na Olega z uśmiechem kusicielki, wyszła do sypialni. Po chwili usiadł przy niej na łóżku. Popatrzył na nią, gdy naga, przybrana jedynie w rumieniec, leżała spragniona pieśczoły. I zaczęli szukać swych ciał drżących namiętnością. Jej pocałunki parzyły. Czuli się jak para łabędzi splecionych szyjami niczym dzikie wino, porwanych wichrem, to spadając, to znów gwałtownie podrywając się do lotu, targani potężnymi siłami, to naprężając mięśnie, to znów oddając się słabości. I stanowili jedno – palącą wulkaniczną skałę. Dawała mu swój oddech, który przyjmował, smakując grona jej ust. Ziemia dla nich zadrzała. Czuli to, czuli się niczym w oku cyklonu. Jego namiętność buchała z siłą gejzeru, lecz oni, w ich intymności, bezpieczni, ukryci w swoich ciałach, złączeni w jedno, oddawali się sobie bez reszty, wiedząc, że czas uwięziony jest w tej magicznej chwili.

Wrząca lawa płynęła, a oni osuwali się bezsilni spełnieniem, zdziwieni sobą i zafascynowani światem, w którym przebywali.

- Co to było Oleg? – wyszeptwała. – Dlaczego moja skóra płonie?
- To ogień naszego pragnienia, Taniu.
- Co ja mam z tobą, Oleg? Co ty ze mną robisz? Mmm...
- Och, Taniu, moja Taniu... – Wzruszenie odbierało mu głos.
- To było nasze, Oleg, tak nasze – powtarzała Tania, przymykając powieki, jakby delektując się doznaniem, które przeżyła.
- I będzie, Taniu, zawsze. Na zawsze...

Gdy spała, Oleg przyglądał jej się i rozkoszował widokiem twarzy, ust, brwi, nosa, rzęs, uszu, włosów. Chciał je wszystkie dotykać, kochać, ale bał się, że ją zbudzi. Nie potrafił usnąć. Przepęlniały go emocje i nie był w stanie zmusić się do snu, wyhamować. Włączył cicho radio. Zbliżała się północ, po chwili podano wiadomości. Wśród różnych komunikatów spiker przeczytał informację: „Dziś w godzinach wieczornych, po dymisji otrzymanej ze sztabu generalnego, generał Giennadij Artiomowicz Grotow odebrał sobie życie, strzelając z rewolweru w usta. Natychmiastowa pomoc sanitarna nie przyniosła rezultatu. W wyniku obrażeń głowy generał zmarł na miejscu”.

Paryż, zima 1987

Romancew wynajął pierwsze mieszkanie w Paryżu przy rue Dauphine pod numerem dwudziestym. Był to dwupokojowy lokal na trzecim piętrze w starej kamienicy, z podwórkiem w kształcie studni, do którego dostępu strzegła potężna drewniana brama ze stalowymi okuciami. Kamienica sprawiała wrażenie dość przypadkowo zmontowanej konstrukcji, która przy byle powiewie zaczęła się chwiać jak wieża zrobiona z klocków ustawionych jeden na drugim. W tej niebudzącej zaufania budowli znajdowały się bardzo schludne, duże i wygodne mieszkania. Ponieważ w kamienicy nie było windy, wdrapywanie się z zakupami nie należało do przyjemności. Na szczęście klatka schodowa była zadbana, gdyż dozorca cierpliwie szorował stare schody, wkładając w to dużo wysiłku. Do mieszkania Anatolija prowadził długi ciemny korytarz, którego ściany przystrojone były zdjęciami Argentyny, wyciętymi z folderów biur turystycznych. Naprzeciwko drzwi Romancewa mieściło się mieszkanie, które zajmowała Isabel, szefowa małej argentyńskiej restauracji mieszczącej się przy rue du Bac. Isabel lubiła zapraszać do siebie znajomych i wówczas Romancew nie miał szans na spokojny sen. Od czasu do czasu jej przyjaciele mylili adres i wówczas, nierzadko podczas nocy, zmuszali go do wypowiedzienia z uśmiechem formułki: „Isabel mieszka naprzeciwko. Proszę nie przepraszać. Nic się nie stało”.

Romancew szybko polubił swoje przejściowe mieszkanie, głównie ze względu na jego położenie. Samo serce Paryża, naprzeciwko Pont Neuf, pięć minut drogi od Luwru z jednej strony i pięć minut do Saint Germain des Prés z drugiej. Obok jego rue Dauphine, na której zazdrosny d'Artagnan zatrzymał swą gaskońską szpadą księcia Buckingham prowadzonego przez ponętą Konstancję, znajdowała się najstarsza w Paryżu restauracja, której witryny zdobiły portrety Benjamina Franklina i Robespierre'a. Jedyne, na co mógł narzekać, to akustyczność kamienicy. Nie przeszkadzało mu, gdy fantastyczna długonoga Murzynka z pierwszego piętra nuciła z lekką chrypką swingujące kawałki. Dźwięki wypełnione po brzegi falującym leniwie erotyzmem przywodziły mu na myśl zdanie, iż na wadze szczęścia szalkę z dużą ilością złota potrafi zrównoważyć odrobina miłości. Jednak nie wszystkie dźwięki budziły tak miłe skojarzenia. Kiedy ktoś urządzał w piątek lub sobotę prywatkę, Anatolij miał wrażenie, że dzieje się to w jego mieszkaniu. W czasie meczów piłkarskich słycać było okrzyki radości i jęki zawodu. A nad ranem pod pierzynę snu wdzierały się płacz dziecka z naprzeciwka i krzątania dozorczy przetaczającego śmietniki, co kojarzyło mu się z odgłosem czołgów podczas bitwy pod Kurskiem. Od czasu do czasu pikanterii dodawał pobudzający wyobraźnię przyspieszony rozkoszny jęk sąsiadki z czwartego piętra. W zależności od rodzaju dźwięku, jaki z siebie wydawała, starał się odgadnąć, jaką w danej chwili przyjęła pozycję. Nie dane mu było jednak dowiedzieć się, czy jego przypuszczenia były trafne. Życie biegło pełną parą i to dawało mu radość. Lubił odbywać długie spacery. Na przykład, idąc aleją Victora Hugo, dochodził do Łuku Triumfalnego, a stamtąd Polami Elizejskimi i ogrodem Tuileries do Luwru, skąd miał już pięć minut do siebie.

Popołudniami przechadzał się alejkami Ogrodu Luksemburskiego. W samotne wieczory wrywał się czasem do kina na Pola Elizejskie lub do teatru. Miał dwa kroki do Odeonu, ale niedaleko również do Comédie Française. Uwielbiał po spektaklu wracać spacerem ulicą Rivoli i przez dziedzińce Luwru wchodzić na ukochany Pont Neuf, najstarszy paryski most. W weekendy, jeśli nie trawił czasu na kolacji w którymś z gwarnych i pełnych turystów lokalików w okolicach Saint Séverin, starał się spotykać z nowo poznanymi francuskimi znajomymi. Niekiedy zaglądał do jednej z dwóch włoskich restauracji na jego ulicy. Miały niewyszukany domowy nastrój, taki, w którym nikt nie musi przekonywać samego siebie, że jest pełnym radości obywatelem świata.

Od czasu do czasu przesiadywał na podwórzu w Luwrze, naprzeciwko szklanej piramidy, gdzie za kilka franków słuchał muzyki poważnej w wykonaniu zawodowych muzyków, którzy dorabiali sobie w ten sposób. Wyjątek w tym względzie stanowiła noc świętojańska, w którą grał każdy, niezależnie od talentu, a przede wszystkim umiejętności. I właśnie w noc świętojańską do jego drzwi zastukała Isabel.

- Dobry wieczór, Tony – przywitała się. – Mam do ciebie interes.
- Wejdz, Isabel. – Wpuścił ją do środka. – Napijesz się czegoś?

- Masz yerba?
- Nie – zaprzeczył. – Nie wiem nawet, jak smakuje.
- Żartujesz? – zdziwiła się. – Nie piłeś nigdy yerba mate?
- Nie. Ale chętnie kiedyś spróbuję.
- No dobrze, jutro cię zaproszę. Daj mi trochę calvadosu. Kto jest na tym zdjęciu?
- Moja matka. Była pianistką. Znaną.
- Boże, jaka piękna, jak Audrey Hepburn. A więc to po niej masz talent do muzyki. Nie myśl, że nie słyszę, jak grasz.
- Przeszkadzam ci?
- Daj spokój, ani trochę. Lubię muzykę, tak jak te twoje alkohole. Dolej mi jeszcze. No właśnie, przychodzę do ciebie w sprawie alkoholu... Wróć. Muzyki. W sprawie muzyki.
- Słucham cię.
- Dziś we Francji mamy Dzień Muzyki, wymyśliłam sobie koncert w restauracji. Jest gitara, jest śpiewaczka, tylko pianista przepadł. Nie odbiera telefonu od dwóch dni. Straciłam nadzieję.
- Chcesz, bym zagrał dziś wieczór?
- Mhm. Co ty na to?
- Raz zdarzyło mi się grać tango w Hawanie. Nie skończyło się to dobrze. Rozumiem, że masz nuty?
- Owszem.
- Nie mam wprawy w waszej muzyce, ale żał byłoby nie spróbować.
- Nie sądzę, żeby w naszej argentyńskiej muzyce było coś specjalnego, co by sprawiło, że mógłbyś mieć jakiś problem.
- To opisz mi ją w dwóch słowach.
- Hm. Melancholijna, pełna niepokoju i napięcia, jakby radość mieszała się w niej z poczuciem ludzkiego tragizmu. Są w niej niespełniona miłość, tęsknota, pragnienie, które nie znajduje sposobu, by napęcić się spełnieniem, emocje, które zabijają ciebie lub kogoś, kto cię pokocha. Jest w niej pasja ludzkich ciał splecionych ze sobą w tańcu lub miłości, tak gwałtownie, że krew burzy się w nich jak młode wino, które z całą siłą uderza do głowy. A wszystko zaśpiewane w taki sposób, jakby to była ostatnia chwila twego życia, życia, z którym się żegnasz po wielu miłosnych zawodach, po wzlotach i upadkach...
- Aha – chrząknął Romancew. – Nic prostszego.
- Myślałeś kiedyś o samobójstwie, Tony?
- Samobójstwie? Nie, chyba nie. Może jako chłopiec. Tak, jako chłopiec tak.

Ojciec potrafił doprowadzić mnie do łez.

– Mm, a teraz nie miewasz takich stanów, kiedy wszystko wrze w twoim sercu?

– Miewam.

– Kochałeś, Tony?

– Tak.

– Nieszczęśliwie?

– Nieszczęśliwie.

– Chciałeś ją zabić?

– O, jeszcze jak! Wyobrażałem to sobie, ach, no właśnie, i wtedy myślałem o samobójstwie. Tak, chciałem zastrzelić ją i siebie.

– To przypomnij sobie to uczucie i usiądź, Tony, do fortepianu. Kiedy już poczujesz te emocje na nowo, na pewno sobie poradzisz z argentyńską muzyką. A ja przyniosę ci zaraz nuty. Siadaj. Albo lepiej wypij jeszcze solidny łyk i wtedy usiądź.

Romancew poczuł prawdziwą ekscytację, która sprawiła mu przyjemność. Pobiegł do kuchni i wyjął butelkę malbeca z argentyńskiej Mendoza. Nalał kieliszek. Wrócił do pokoju i stawiając kieliszek na fortepianie, usiadł, by odszukać w sobie zapomniane emocje. Ale zamiast o Daszy, w pierwszej chwili pomyślał o Tatianie. Widział obraz, który nie miał w sobie nic z tych winnoczerwonych, pełnych pasji kolorów, o jakich mówiła Isabel, ale nosił na sobie ślady delikatnych pociągnięć pędzla trzymanego w dłoni malarza impresjonisty: pastele, zamglone światło o poranku... Przez chwilę gładził palcami klawiaturę fortepianu, kumulując w sobie energię i starając się odczytać targające nim uczucia. Muskał lekko klawisze, wydobywał delikatny dźwięk, grając legato, aby powoli jego muzyka nabrała siły jak echo rodzącego się uczucia, które, niczym ogród pełen kwiatów, wraz ze wschodem słońca napęłnia się barwami – mocnymi, soczystymi, pełnymi wyrazu. I cała klawiatura fortepianu służyła mu już na podobieństwo palety z kolorami w rękach mistrza. Dobierał tonacje dla wyrażenia emocji, uczuć, pragnień i wreszcie tęsknoty, która nim zawładnęła. Muzyka nabrała tempa vivace. Grał tak, jakby w tych dźwiękach zamknięty był obraz tego wszystkiego, co kochał, i tych, które kochał: matki, Tatiany i Rosji. Jego miłości, za którymi tęsknił i które nawoływał całym sobą przez gwałtowne przejścia appassionato pomiędzy liryką delikatnych wysokich tonów a silnymi uderzeniami i gwałtownymi falami pociągnięć dłoni, gdy przechodziły po pianinie niczym dreszcz lub gwałtowna ulewa, malując wszystkimi odcieniami uczucia, jakie tylko jego tęskniące serce mogło oddać i wykreować w muzyce, na ile starczało mu talentu, aby w tych brzmieniach oddać miłość, żal i pragnienie czułości. Kochał, i to uczucie za pomocą muzyki przerwało tamę jego milczenia, wypełniając przestrzeń dookoła i dając, niczym latarnia morska uwieczniona na samotnej skale, sygnał dla ukrytego za mrocznym

horyzontem żeglarza, który pochwyci go i prześle z powrotem odpowiedź.

Kiedy skończył, przez chwilę tkwił pochylony nad instrumentem, ciężko oddychając. Obejrzał się za siebie. Isabel stała w drzwiach, a na jej twarzy malował się zachwyt.

– To nie była muzyka argentyńska. – Westchnął.

– Nie, Tony – przyznała, próbując opanować oddech. – Muzyka... nie. Ale uczucia... tak.

Restauracja, którą prowadziła Isabel, była własnością zakochanego w niej Jean-Luca. Jean-Luc był mężczyzną o wesołym usposobieniu, trochę po pięćdziesiątce, szpakowatym, typem francuskiego uwodziciela, z aksamitnym głosem i świetnym serwisem w tenisie. Kiedy Isabel pierwszy raz przysłała do restauracji w poszukiwaniu pracy kelnerki, z miejsca zakochał się w niej i zamiast pracy kelnerki zaproponował jej stanowisko kierowniczk.

– Jestem Francuzem, więc z definicji kocham piękno i pasję – powiedział do niej. – Jeśli poprowadzisz lokal, niebawem stanie się taki jak ty: piękny, pełen wewnętrznego ciepła, ale też wigoru. Byłbym głupi, gdybym tego nie wykorzystał.

Isabel zmieniła profil lokalu z francuskiej, bezbarwnej kafejki na argentyńską rodzinną restaurację, w której od progu czuło się unikalną atmosferę południowoamerykańskiej przygody.

Obok Isabel i tenisa Jean-Luc miał jeszcze jedną pasję – namiętnie lubił grać w szachy. Jak na amatora grał całkiem nieźle.

– Nasza kuchnia jest prosta i rodzinna – tłumaczyła Romancewowi Isabel, oprowadzając go po lokalu. – Gość powinien czuć się u nas jak podczas rodzinnej biesiady, kiedy dobre wino i jedzenie otwierają serca. Rozumiesz, Tony? Chcę, by to miejsce emanowało miłością. Nie zależy mi na zimnych biznesmenach, którzy zapraszają się nawzajem na kolację wyłącznie po to, żeby jeden drugiemu coś sprzedał. To nie taki lokal. Ale, oczywiście, jeśli ktoś przy okazji rozmowy o biznesie chce odkryć w swoim partnerze człowieka, jego duszę, emocje, to znajdzie do tego u nas idealne miejsce. Pragnę, Tony, aby zakochani mężczyźni oświadczyli się w moim lokalu swoim kobietom, aby dzieci lub wnuki zapraszały tu swoich dziadków i rodziców, żeby wspólnie świętować sukces, czyjś jubileusz lub po prostu podziękować za życie. Dlatego tak ważna jest u nas muzyka. Tak jak fotografie, te w sepii, oddające emocje towarzyszące tym szczególnym chwilom, przedstawiające ważnych gości, którzy do nas zaglądali, historię Paryża i Buenos Aires, ciepłe barwy światła. A nasza kuchnia? Robimy potrawy głównie z wołowiny przywożonej prosto z Argentyny. Serwujemy *bife de lomo*, *bife ancho*, *bife de chorizo* i *bife de cuadril*. Grillujemy mięso dokładnie według argentyńskiej tradycji. I sosy. Sosy są dla nas ogromnie ważne, one nadają potrawie tej wyjątkowej nutki, która sprawia, że zapamiętasz smak i zajrzysz do nas

ponownie. Wszystkie domowej roboty. I na koniec dodatki, takie jak purée, słodkie ziemniaki, grillowana papryka i oczywiście frytki. A na deser spróbuj naszego Martín Fierro lub Vigilante. Chcę, aby każdy, kto wyjdzie od nas, czuł, że jego krew pulsuje szybciej i oddycha szczęściem, nawet jeśli to miałyby trwać zaledwie trzy kwadransy.

– Gdzie jest pianino? – spytał Romancew, który w myślach układał już repertuar na dzisiejszy wieczór.

Był stremowany. Nigdy, poza szkołą muzyczną, nie występował publicznie. Ale wszystko to, co powiedziała Isabel, sprawiło, że nie mógł się już doczekać swojego występu. Kiedy usiadł do pianina, złapała go lekka trema. Za sobą słyszał głosy pierwszych gości. Powoli robiło się gwaro. Poczuł, że nie powinien przebijać się przez ten gwar, nie powinien go tłumić, ale zgodnie z tym, co mówiła Isabel, jego zadaniem jest sprawić, by goście sęczyli muzykę – powolutku, niczym słodki wermut. Ujrzał w wyobraźni Tatianę i przez moment siedział z nią przy stoliku, tuż obok. Jego palce dotknęły klawiatury i rozpoczął dialog, szeptem, pełen intymności. Miękkie niskie tony grane andante opowiadały historię, wysokie odpowiadały allegro perlistym śmiechem, zdziwieniem. Harmonijne przejścia ze zmianą tempa sprawiały, że rozmowa kryła w sobie wiele niejednoznacznych komunikatów, szarady, aluzje i niedopowiedzenia, jak to zwykle bywa pomiędzy kochankami. A potem, potem zręcznym ruchem rąk Romancew odmienił klimat i muzyka stała się opowieścią pewnego macho, który kochał kobietę o imieniu Consuela, a ona co noc oddawała swoje serce i ciało innemu. I słuchając tej skargi, chciało się wypić więcej wina, by zapomnieć o smutku i odszukać myśl potrzebną do pogodzenia się z losem i akceptacji życia takim, jakie ono jest. A kiedy kelnerzy i kelnerki krzątali się wokół stolików, dłonie Romancewa wyczarowały inny świat, świat Puerto Madero[43], a w nim – pary chodzące po nabrzeżu, trzymające się za ręce. Małe tawerny, w których pośród gwaru słysząc było dźwięk gitary i jej szarpnięcia, przywodzące na myśl gwałtowne westchnienia kochanka. Romancew znów zmienił tempo i przeniósł gości w inne miejsce. Kilka taktów pozwoliło im znaleźć się w lokalu w centrum San Telmo[44], gdzie tancerze oddawali swoje dusze i ciała magii tanga. Ich gwałtowne ruchy, ich pasję, emocje – wszystko to wyczarowywały dłonie Romancewa, na przemian głaszcząc, to znów uderzając z mocą w klawiaturę. Swój koncert zakończył pełną uroku biesiadną historią opowiadającą o urokach winnic Mendoza, o gajach, które dają schronienie przed palącym słońcem, o gładkich udach kobiet, które napełniają dusze mężczyzn pragnieniem, gdy ich *mujeres* odsłaniają je, wskakując do wielkich drewnianych kadzi i stopami rozgniatają winogrona. Opowiadał o smaku wina, które każdym jego łykiem pozwala poczuć, że pomimo codziennych trosk powinniśmy kochać życie i przeżywać je z pasją. Kiedy skończył, przez chwilę próbował przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Rozglądał się dookoła roztargniony i wyczerpany po tym, jak całą swą energię podarował tego wieczoru muzyce.

– Odpocznij, Tony – szepnęła mu na ucho Isabel. – Ramon przygotowuje ci kolację.

Romancew spojrział na nią pytająco.

– Przecież wiesz. – Zaśmiała się i dodała, całując go w policzek: – Skradłeś mi serce, Tony.

Zdarzało się, że Romancew przychodził grać pięć razy w tygodniu. Lokal wypełniały wówczas tanga i przejmujące romanse, które wychodziły spod jego dłoni. Klienci to lubili i częściej zaglądali do restauracji. Zamawiali też więcej wina, co Isabel z satysfakcją zakomunikowała Jean-Lucowi.

Romancew zjawiał się w restauracji wcześniej, na długo przed otwarciem. Czas spędzał na pogawędkach z Isabel, obmyślaniu repertuaru, a niekiedy na układaniu menu. Zastanawiali się, co mogą zmienić, jak poprawić drobiazgi. Nierzadko też gotowali razem. Początkowo pozwalała mu się wyłącznie przyglądać, jak sprawnymi ruchami przygotowuje potrawy. Z czasem dopuściła go do pomocy, uczyła rozpoznawać wszystkie subtelności i niuanse smaków. Opowiadała mu o przyprawach, ich historii i pochodzeniu, czasem o argentyńskich zwyczajach kulinarnych lub rodzinnych. Potrzebował rozmowy, by zapomnieć, jak bardzo czuje się w Paryżu samotny. Chłonał więc całym sobą ten nastrój codziennych wieczorów, które pozwalały mu zająć czymś myśli i nie zadawać sobie dręczących go pytań.

– Wstyd się przyznać, ale nie byłam dotąd w Argentynie. Wszystko, co o niej wiem, pochodzi od dziadków, którzy co roku mnie tu odwiedzają – wyznała Isabel. – Moja zwariowana matka zakochała się w Paryżu pod wpływem *Gry w klasy* Cortázara. Chciała być jak Maga. Wylądowała w Paryżu bez grosza przy duszy. No może coś tam miała, zdaje się ukradła pieniądze z kasy restauracji dziadka w Buenos Aires. Tak czy inaczej, to, co miała ze sobą, mogło starczyć na kilka dni. Nie wiem, jak przeżyła. Piła yerba mate i tyle. Kiedy ją widzę we wspomnieniach, zawsze była smutna i chłodna.

– Zmarła? – spytał Romancew, który słuchając Isabel, myślał o swojej matce.

– A gdzie tam. Jest gdzieś między Miami a Rio. Rozwiodła się z ojcem, wyjechała, wyszła za mąż drugi raz.

– Więc czemu sama nie pojedziesz do Argentyny?

– Ha, Tony, to proste. – Zaśmiała się. – Bo boję się rozczarować. W moim sercu i wyobraźni jest tak piękna, że chyba nie przeżyłabym rozczarowania.

– Myślę, że się nie rozczarujesz, Isabel. Byłem w Buenos Aires kilkakrotnie. To cudowne miasto. – I Romancew opowiedział jej o klimacie secesyjnych kamienic, targach staroci, ogarniętych gorączką słońca ulicach z pomnikami bohaterów i dźwiękach akordeonu, na którym grał mężczyzna siedzący na kamiennym murku pod parkanem parku Rio de La Plata.

Tego wieczoru wrócili razem do kamienicy przy rue Dauphine, przeszli długi

korytarz prowadzący do ich drzwi i niemal jednocześnie przekręcili klucze w zamkach. Odwrócili się do siebie i pocałowali na pożegnanie. Lecz ten pocałunek był długi, za długi jak na zwykłe „dobranoc”. Isabel odsunęła się, zostawiając Romancewa z przymkniętymi powiekami i dyskretnie czmychnęła do swojego mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia padał deszcz, a mimo to Isabel poprosiła, aby poszli na spacer nad Sekwanę. Szli ciasną *rue des Saints Péres*. Trzymała go pod rękę, mocno w niego wtulona. Doszli do Sekwany naprzeciwko niewielkiej przystani rzecznych statków, po czym kierując się na prawo, dotarli do *Pont des Arts*. Przystanęli na moście, by popatrzeć na płynący pod nimi *bateau-mouche*. Była blisko, zbyt blisko, by nie musnął wargami jej skroni, a potem delikatnie nie zsunął swych ust do jej warg, które pomogła mu odnaleźć. Nie mieli pojęcia, ile to trwało, chyba dość długo, zanim poczuli, że stoją pod gigantycznym prysznicem. Przemoczeni do suchej nitki, pod pozorem osuszenia zdejmowali z siebie kolejne rzeczy, nie przerywając przy tym pocałunków. Kiedy zanurzyli się w ciepłą pościel, ich mokre ciała lepiły się do siebie, pobudzając jeszcze bardziej zmysły. Śniade ciało Isabel zachwyliło Romancewa wspaniałą harmonią i cudownymi kształtami. Dał się unieść namiętności, która przyniosła mu w zamian chwilę niewysłowionego szczęścia.

Przez otwarte okna wślizgnął się lekki chłód. Anatolij, z ręką starannie ułożoną pod głowę, leżał, spoglądając na uśpioną twarz Isabel. Potem położył na talerz od adaptera płytę Nat King Cole’a. Głos Nata i saksofon pieściły jego zmysły. Czuł się jak postać z amerykańskich filmów. W Paryżu na *rue Dauphine* pod numerem dwudziestym. Myślał o ulicach wokół, które nadal tętniły życiem. W tamtej chwili przyszło mu na myśl, że nie ma już dokąd zmierzać, że to szczyt. Czego więcej mógł spodziewać się od życia? Był mistrzem świata, mieszkał w Paryżu, był bogaty. Czuł, że to moment, w którym można zapragnąć, by czas przestał dalej płynąć.

Na drugi dzień zaproponował, że zabierze ją na weekend nad morze.

– Pojadę, jeśli ograsz w szachy Jean-Luca – droczyła się z nim, wiedząc, że Jean-Luc wygrywał ze wszystkimi ich znajomymi, i przez to będąc pewna, że dla Romancewa okaże się to przeszkodą nie do przebycia. – Słyszysz, Jean-Luc?! – zawołała do przyjaciela. – Jeśli przegrasz i Tony porwie mnie nad morze, to będzie twoja wina. – Śmiała się.

Romancew poczuł się skrepowany. Widząc to, Isabel wytłumaczyła mu, że Jean-Luc ma wiele kochanek i oboje nie są o siebie zazdrośni. Nie potrafił tego pojąć, ale przyjął do wiadomości. W końcu po dłuższym namyśle uległ pokusie i spytał Jean-Luca, czy zgodzi się zagrać z nim partyjkę o weekend z Isabel. Jean-Luc z uśmiechem na ustach rozstawił figury na szachownicy, dla pewności zostawiając dla siebie biały kolor.

Romancew zabrał Isabel do Mont Saint Michel. Gdy spoglądali na mury i strzelistą wieżę benedyktyńskiego opactwa, przypomniały mu się te różnorakie teorie, które łączyły egipskie piramidy z kosmicznymi przybyszami.

– Myślę – odezwał się, przytulając Isabel – że Saint Michel było rodzajem gwiazdnego pojazdu, który niczym rakieta piął się w górę prosto do tronu Boga. Na poły już oderwany od ziemi, wznoszący się pośród okalających go wód do świata, o którym śnili mnisi.

Zamieszkali w małym hoteliku La Mère Poulard, znanym z najlepszych na świecie omletów.

Figura świętego Michała złocąca się na szczycie kościoła sprawiła, że kolację spędzili na dyskusji o Lucyferze. Ale to było tylko pół nocy, te mniej ciekawe. Potem wrócili do pokoiku na górze. Pragnęli siebie nawzajem, bardzo pragnęli...

Gdy wracali do Paryża, Romancew opowiadał o życiu, które pozostawił w Rosji, o Daszy Suworowej, a potem o Tatianie, poczynając od ich pierwszego spotkania w Odessie. Isabel spoglądała na niego uważnie, wiedząc, że w tak czuły sposób może opowiadać o kobiecie jedynie zakochany w niej mężczyzna.

A potem ona zrewanżowała mu się opowieścią o Jean-Lucu, o tym, że bardzo go lubi, że średnio raz w miesiącu jej się oświadcza i być może któregoś dnia przyjmie te oświadczenia.

– Jest trochę starszy – zastanawiała się. – Ale miał ciekawe życie. Był kiedyś szefem kuchni, a potem dyrektorem hoteli w Wietnamie, Singapurze i Tokio. Jest uroczy i jeśli wyrzeknie się kochanek, będzie z niego dobry mąż.

– A miłość, Isabel? – spytał ją, czując ukłucie zazdrości.

– Romantyk, Tony. Romantyk. Wasz męski romantyzm, Tony, wystarcza na kilka upojnych nocy. Potem opędzacie się od kobiet jak od much. Oglądacie futbol, palicie duszące cygara i upijacie się sami ze sobą. A my, kobiety, staramy się być w tym wszystkim również odrobinę pragmatyczne. Miłość oznacza dla nas to, że jesteśmy najważniejsze nie przez miesiąc, kiedy upajając się swoim romantyzmem, kupujecie kwiaty, ale gdy dbając o nas, dajecie nam stabilizację i bezpieczeństwo, gdy dokonując wyborów, liczycie się z naszym zdaniem, gdy budujecie dla nas zamki i pałace.

– Ale to nudne, banalne, trywialne. Znudziłoby ci się, Isabel.

– Jak nam się nudzi, zawsze możemy znaleźć romantycznego kochanka, na miesiąc lub dłużej – szepnęła, całując go w policzek.

Tydzień później powiadomiła Romancewa, że przyjęła oświadczenia Jean-Luca.

– Nie udawaj żalu, Tony – zaprotestowała, widząc, że chce jej robić wymówki. – Nie potrafiłabym wywołać w tobie nigdy tych emocji, co ta Rosjanka, o której opowiadałeś. Kobieta nie może sobie pozwolić, aby jej mężczyzna, zasypiając, marzył o innej. Mam swoją dumę, Tony. Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem, i niech tak zostanie.

Moskwa, wiosna 1988

Moskiewska wiosna osiemdziesiątego ósmego pachniała miłością. Andriej zadurzył się bez reszty w Lenie. Tamara Gordiejewa przyjęła oświadczyzny Fiedki. Andriej nie byłby sobą, by nie zrobić przy tym kawału. Zdobył spadochron, który przymocował do komina, i kiedy odświętnie ubrany Fiedka zbliżał się do bloku, Andriej opuścił się ze skrzydłami anioła do okna Tamary, czym dziewczynę śmiertelnie wystraszył, po czym rzekł: „Co w niebie postanowione, nie waż się zmieniać, Tamaro, a dziś już niebawem otrzymasz szczęśliwą nowinę”.

Kiedy Fiedka uklęknął na kolano przed Tamarą w parku, ta objęła jego głowę, przytuliła i przykładając czoło do jego czoła, szepnęła, że anioł już oznajmił jej tę nowinę i zakazał mieć wątpliwości, więc mówi: „Tak”.

W noc poprzedzającą przeprowadzkę do mieszkania Tani na Sadowniczeską Oleg nie spał. Serce biło mu z taką siłą, jakby chciało się wyrwać na wolność. Wciąż w jego głowie odbijała się echem myśl, że od teraz będą mieli z Tanią wspólne życie, wspólną przestrzeń. Siedząc na podłodze z papierosem w dłoni, napawał się wspomnieniami, jak bardzo tego pragnął i jak bardzo ją kochał. Starał się nie uронić ani minuty tej nocy, nocy, która wydawała mu się podobna do wieczorów przed zaślubinami, kiedy natłok myśli i emocji pozbawia spokojnego snu. Ale wiedział, że nie ma dla niego nic poza tym, co miało się wydarzyć, że właśnie w tym momencie swojego życia realizuje marzenie, które uczyni go szczęśliwym. Snuł plany. Obiecał sobie rzucić się w wir rozgrywek szachowych, wrócić na szczyt, ciężko pracować, by złożyć u jej stóp swoje tytuły i sukcesy. Wziął do rąk notes i paląc papierosa za papierosem, na przemian z pochłanianymi w szybkim tempie kieliszkami koniaku, planował swoją karierę tak, aby zdążyć wystartować w następnym cyklu mistrzostw kraju, a potem, być może, w turnieju międzystrefowym i w meczach pretendentów.

Wesele Tamary i Fiedki było różowe, zarówno w przenośni – młoda para czuła się tak, jakby świat dookoła wypełniła radosna różowa poświata, lukrowana słodycz – jak i dosłownie, bo ubiór znacznej części gości oraz wystrój mieszkania był mieszanką białego i różowego koloru. Pomimo niezbyt gustownej sukni Tamara wyglądała pięknie, pełna emocji, z oczami błyszczącymi z przejęcia. Tatiana i Lena czarowały gracją, a mężczyźni nie odrywali od nich wzroku, za co dostawali kukuksańce od swoich partnerek.

Fiedka z powodu wzruszenia z wielkim trudem wygłosił formułę małżeńskiego ślubowania. Odczuwał takie zdenerwowanie, że głos mu się łamał. Oleg był jego drużbą. Stojący z tyłu Andriej zabawiał się w wypowiedanie słów przysięgi dla

Leny, z tym że przekręcał niektóre słowa.

Po przyjeździe z Pałacu Ślubów młodych małżonków przywitali chlebem i solą rodzice Tamary, składając im przy tym życzenia na nową drogę życia. Fiedka zjadł większy kawałek, co oznaczało, że zamierza być głową rodziny. Towarzyszyły temu śmiechy i komentarze otaczających ich zaproszonych na wesele dalszych i bliższych krewnych oraz kilkorga przyjaciół. Kiedy goście usiedli do stołów, zaczęły się przemówienia. Mówił ojciec Tamary, jak bardzo wzruszający jest to dla niego moment, gdy oddaje swoją jedyną córkę pod opiekę jej męża. Dziękował też za przybycie gości. Mówił ojciec Fiedki, jak bardzo dumny jest z syna, jak podziwia go za to, że konsekwentnie realizuje swoje marzenia – ślub z ukochaną kobietą i służba ojczyźnie na elitarnym, wspaniałym okręcie.

Wstał również Oleg.

– Andriej namawiał mnie, bym do mojej wypowiedzi nawrzucał różnych pieprzonych historii związanych z Fiedką, o naszej przyjaźni z artystą Rodinem, o naszych wspólnych pasjach, przygodach i doświadczeniach.

Słyszając to, Fiedka zrobił się na twarzy czerwony jak burak.

– Ale powiedziałem do Andrieja – ciągnął Oleg. – Bracie, przecież niedługo Fiedka będzie wygłaszał przemówienie na moim lub twoim weselu. Tak, tak, dziewczyny. – Skłonił głowę w kierunku Tatiany i Leny. – Byliśmy z Fiedką trzema muszkietierami, dołączył do nas czwarty, Misza. Fiedce nie wypada, ale mnie tak. – Rozpiął koszulę. – Wytatuowaliśmy sobie literę „T”. Ja z myślą o Tani, Fiedka z myślą o Tamarze. Lena sprawdź, czy Andriej ma na piersi literkę „L”. – Tym razem Andriej spojrzał na Olega zakłopotany. – Ten tatuaż to dowód na to, że Fiedka jest prostolinijnym, lojalnym, ambitnym, wytrwałym i wspaniałym facetem, który zakochał się w dziewczynie z równoległej klasy jeszcze w podstawówce i temu uczuciu pozostał wierny przez ponad dziesięć lat. Pamiętam, jak biedny męczył się, chodząc na kurs tańca, aby tylko być bliżej Tamary, która rzecz jasna miała go wtedy w nosie. Tak, tak, Fiedka, kiedy przyjdzie czas, wystaw rodzicom Tamary rachunek za te francuskie kosmetyki, którymi przekupiliśmy instruktorkę, żebyś mógł tańczyć w parze z Tamarą.

Tamara otworzyła usta ze zdziwienia i spojrzała pytająco na Fiedkę, a wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Jestem tym szczęściarzem – mówił dalej Oleg – że wiem, co to znaczy zdobyć miłość swojego życia. I wiem, że Tamara zawsze będzie dla Fiedki jego księżniczką, najcenniejszym skarbem. Wiem to, bo znam mojego przyjaciela. Tamaro, jesteś szczęściarą, Fiedka, jesteś szczęściarzem. Wprawdzie ktoś może powiedzieć, że tu bajki opowiadam, ale wiem swoje. Pamiętam, jak rozmawiając o szczęściu, Fiedka wyznał nam prosto z mostu, że dla niego największym szczęściem jest usłyszeć z ust ukochanej kobiety: „kocham cię”. Lena, spytaj później Andrieja, jak na to zareagował. Zresztą nieważne. Obaj wiemy, że Fiedka miał wtedy rację. Dlatego, Tamaro, mów swojemu mężowi jak najczęściej:

„kocham cię”.

Rozległy się brawa i okrzyki „gorzko!”, „gorzko!” i Fiedka z Tamarą się pocałowali, Andriej zaczął głośno liczyć, a za nim reszta biesiadników. Doliczyli do szesnastu.

– Za krótko! – zdecydował Andriej.

– Daj spokój, oddechu nie mogli złapać – zganiała go Lena.

– To chodź, my poćwiczymy. – Andriej nadstawił się do pocałunku.

– Głupek.

– Oj, Lenoczka, jak ja cię kocham.

– Tania – Lena odwróciła się do przyjaciółki z uśmiechem – czy ten twój też jest takim nudziarzem? Andriej nic innego nie mówi, tylko: „Kocham cię, Lenoczka”, „Uwielbiam cię, Lenka”.

– Ja? – udał zdziwienie Andriej.

– Oleg? – podchwyciła żart Tatiana – żeby chociaż tyle. Zazwyczaj mówi do mnie: „Wiesz, gdybym postawił wieżę na c4, to byłby szach. A jak na c5, to będzie krach”. To ja go pytam: „Kochasz mnie, Oleg?”. A on na to: „Jak obronę sycylijską, Tanieczka, albo jakiegoś tam Bumberga”.

– Grünfelda – wycedził Oleg.

– O, słyszysz. Jakieś stare zgrzybiałe ramole.

– Wiesz co, Tania? – Lena się skrzywiła. – Ci nasi nie są nic warci. Spójrz na tych pięknych chłopaków, o tam. Kapitał w szczęce.

– Mówisz o tym ze złotymi zębami?

– Złoty chłopak – ciągnęła Lena. – Albo ten obok, prawdziwy mężczyzna z wąsiskami. Widziałam, jak na ciebie łytał pożądliwie. Dziś będziemy miały z kim się bawić.

– Oj, jak ja cię zaraz przełożę przez kolano. – Andriej chwycił Lenę w pasie i uniósł, jakby rzeczywiście zamierzał ułożyć ją sobie na udach.

Lena pisnęła i ugryzła go w nos. Bawili się do rana przy dźwiękach biesiadnej muzyki. Byli szczęśliwi, zakochani, pełni wiary i młodzi.

Dacza nad Donem, sierpień 1988

– Makarowa[45] – odezwała się Tatiana, spoglądając w zadumie przez okno samochodu – po osiemnastu latach od ucieczki na Zachód zatańczyła z Baletem

Kirowa w Londynie. A ten siedzi w tej Ameryce, nie przyjedzie, nie da znaku życia. W filmach go oglądam, jak gra jakichś terrorystów. To wszystko.

– Mówisz o Naumowie?

– No tak. Nie mam od niego żadnych wieści.

– Ludzie tam, na zewnątrz, nie wierzą, że u nas się coś na dobre zmieniło. To jeszcze zbyt krótko. Mają we krwi nieufność. Nauczono nas tego.

– A tam – przerwała mu zirytowana Tatiana. – Zawsze można sobie znaleźć wymówkę. Ten nasz pokój ma ładny widok za oknem?

– Bardzo ładny, na sad i zakole rzeki. W kwietniu wygląda cudownie, bo drzewa kwitną na biało i różowo i wygląda to jak bajkowy świat namalowany ręką dziecka.

– Ale mamy sierpień.

– Oj, księżniczka nie w sosie.

– Zezłościł mnie. Nigdy nas tak naprawdę nie kochał. Oj, jestem zła, zaraz się rozpłaczę.

– Ja cię kocham, Taniu, będę ci za męża, ojca, ojczyma i kochanka.

– Dorzuć jeszcze moją matkę, która przypomina sobie o mnie raz do roku, kota i psa.

Okolo południa wzięli rowery i ruszyli drogą, wzdłuż której rosły słoneczniki. Tania miała na sobie delikatną błękitną sukienkę zapinaną na guziki. Słońce ich oślepiało.

– Prawdziwa wieś. – Tania westchnęła. – Brakowało mi tego świeżego powietrza w Moskwie.

– Oj, to brzmi prawie politycznie – rzekł Antonow i nacisnął mocniej pedały. – Ścigamy się!

– O nie, nie, nie – zaprotestowała Tania. – Ja się z wami ścigać nie będę, drogi arcymistrzu.

Oleg zwolnił. Tania podjechała do niego, po czym popchnęła go ręką tak, że stracił równowagę i musiał postawić stopy na ziemi, by nie wylądować w przydrożnym rowie.

– Wy mnie będziecie gonić, obywatelu Antonow! – zawołała Tania i ze śmiechem ruszyła ile sił w nogach.

Oleg dogonił ją niemal natychmiast.

– Mnie nie uciekniesz. Całe dzieciństwo ścigałem się z dziadkiem.

Zwolnili. Przy drodze stała dziewczynka z małym chłopcem na rękach. Tania zsiadła z roweru i ukucnęła przy niej, szepnęła coś i wzięła malca na ręce, tuląc w

swoich ramionach. Oleg stał kilka metrów dalej i przyglądał się ukochanej z dzieckiem na rękach.

Tania podała dziewczynce dłoń i ruszyły razem przed siebie, rozmawiając.

– Będziecie łaskawi zająć się moim rowerem – rzuciła do Antonowa.

Po południu, gdy ćwiczył mięśnie, Tania lubiła siadać na jego plecach. A kiedy robił skłony, kuciała naprzeciw, nastawiając usta do pocałunku. Lubiała patrzeć, jak się gimnastykuje, lubiła jego wysportowane ciało, jego charyzmę i wewnętrzną energię. Podniecała ją myśl, że jest jej, całym sobą, że potrafi ujarzmić ten wulkan, sterować nim, choć czasem lubiła, gdy porywał ją i unosił jak piórko, silny, męski, wymagający.

Wieczorem usiedli na werandzie oświetlonej blaskiem lampy naftowej. Tatiana śpiewała romanse, akompaniując sobie na gitarze. Anna Lwowna przyniosła herbatę z liściem świeżo zerwanej mięty w środku. Oleg patrzył na Tanię zakochany, dumny, szczęśliwy.

Noc była ciepła, parna, zanosilo się na burzę. W ogrodzie słycać było jedynie cykady. Oleg pragnął jej. Bardzo. Kochali się przy odgłosie uderzających piorunów i dudniącego o blaszany dach deszczu. Kochali czule jak nigdy dotąd, oddając sobie nawzajem całą miłość i namiętność. Ukryci w intymnym mroku, spijali westchnienia ze swych warg, którym wciąż było mało pieśczoćy. A ciała ich były tak blisko, jakby pragnęli przylgnąć do siebie każdą cząstką.

– Tania, och, Tania, Tanieczka – szeptał jej do ucha, pocierając w pieśczoćie ustami jej policzek i całując ją w urocy łuk na styku szyi i ramion, który wydał mu się jednym z rozgrzanych od słońca łuków weneckiej bazyliki Świętego Marka. A ona palcami czochrała mu włosy lub też wbijała je mocno w jego plecy, a z jej piersi co pewien czas wyrzywały się niskie okrzyki, jakby była wprowadzoną w trans tancerką, wykonującą pełen ekspresji ekstatyczny taniec, podczas którego łączy się z duchami przodków. Kiedy znaleźli spełnienie, ukryci w sobie, słuchali, jak niebo łączy się z ziemią potężnym deszczem, który wybijał miarowy rytm, schwytany w niewielką rynnę.

Pod koniec sierpnia Tatiana rozpoczynała w Leningradzie zdjęcia do filmu *Intergirl* realizowanego przez Mosfilm w koprodukcji ze szwedzką kinematografią na podstawie prozy Władimira Kunina. Oleg uparł się, by odprowadzić ją na Dworzec Leningradzki.

– Widziałas, co się działo ostatnio na placu Puszkina [46] – przekonywał ją.

– Ale ja nie jadę na manifestację, tylko na dworzec – dziwiła się jego uporowi Tatiana, nie rozumiejąc, czemu nie może pojechać na dworzec sama, taksówką.

W końcu postawił na swoim. Stali na peronie jak para filmowych kochanków.

– No nie martw się, za tydzień wrócę. – Zaśmiała się, widząc jego smutne oczy. Pocałowała go i skryła się w wagonie.

– Tania! – zawołał.

– Tak? – spytała, wychylając się z uśmiechem przez otwarte okno.

– Kocham cię. Będę tęsknił.

– Ja też. Idź już. Nie lubię pożegnań. Pa. Robimy tu scenę balkonową.

– Dobrze, już się pozbywam zbędnego ckliwego romantyzmu. Pa.

Odszedł kilka kroków.

A kto tu się żegna, zaśmiał się w głębi ducha i upewniając się, że Tania go nie widzi, wskoczył do następnego wagonu.

– Ty kompletnie straciłeś rozum! – krzyknęła, widząc go na korytarzu, kiedy pociąg opuścił już dworzec.

– Wiem. Z miłości.

– Do turnieju masz się szykować! – Załamała rękę.

– No coś ty, nie potrzebuję. Mając ciebie, nie muszę trenować. Jesteś moim talizmanem. Teraz będę tylko wygrywał.

– Będziesz przeszkadzał, jeszcze zaczniesz się kręcić po planie i pouczać reżysera. Już ja cię znam.

– Obiecuję, że będę grzecznie czekał w hotelu.

– I uważasz, że to mądre? Że warto się tak thuc tysiąc kilometrów?

– A nie zapomniałaś, że jeszcze cię kocham?

– Nie, nie zapomniałam, ty mój wariacie. – Zaśmiała się, całując go.

Wieczorami w przerwach między zdjęciami wychodzili gdzieś na kolację, i włączyli się po Leningradzie. Tatiana wspominała swój pobyt w tym mieście. Czuła się, jakby w tym momencie zdradzała Olega i z zakłopotaniem odwracała wzrok, gdy rozmawiali, bojąc się, że z jej spojrzenia odgadnie, o czym myśli.

Po powrocie do Moskwy zabrała go na przyjęcie z okazji ostatniego spektaklu granej w teatrze przez szesnaście lat komedii *Proszę bez seksu, jesteśmy Brytyjczykami*. Oleg wzbudzał zainteresowanie jej przyjaciół. Była dumna z niego i chyba po raz pierwszy naprawdę poczuła, że go kocha, kocha z pełnym oddaniem i ufnością.

W październiku Oleg triumfalnie przeszedł przez eliminacje do mistrzostw Związku Radzieckiego. Znów grał pełen wiary i pewności siebie, lepiej niż przed wielomiesięczną przerwą. Zwieriew i Denisow pracowali nad jego przygotowaniem. Zdawali sobie sprawę, że nie muszą go do niczego motywować, bo dla Tatiany jest gotów do wielu wyrzeczeń, byleby tylko osiągnąć zamierzony cel. A tym celem było mistrzostwo świata. Bali się powiedzieć to głośno. Nawet gdy po kilku szklankach wódki Denisowa ogarniał ckliwy nastrój i w rozmarzeniu

snuł różne scenariusze, Zwieriew przerywał mu w miejscu, w którym dochodził do przyszłego meczu z Romancewem.

– Dość, Alosza – ganił go, wydłużając po pijanemu sylaby. – Dość, mówię!

– No, czego się czepiasz, dziadzie jeden – odgryzał się Denisow. – Człowiek przy tobie nawet marzyć nie może. Tępe to takie i wredne z tą pijacką mordą. No, czego się gapisz?

– Idź, durniu. Już sam nie wiesz, co gadasz, pijany jesteś – łajał go Zwieriew. – Będziesz kłapał tym dziobem i wszystko schrzanisz.

– A ło! – krzyknął Denisow i wyciągnął dłoń zwiniętą w figę. – Figę, Zwieriew, widziałeś? ło! Zdobędziemy z Olegiem Berlin, na czołgach tam wjedziemy i faszystów rozgonimy. Zuch Oleg! Pij, Zwieriew, za zwycięstwo! – Denisow trzęsącymi się rękami rozlał wódkę do szklanek.

– No to za zwycięstwo. – Zwieriew westchnął i wychylił szklankę. – Rozgonimy, oj rozgonimy...

Olga Lwowna i Lew Mojsiejewicz zaprosili obu trenerów na obiad w dniu rocznicy śmierci Igora i ku czci Leonida Iwanowicza. Przyjechał Jurij Borisowicz z żoną Anną Lwowną. Przyszła też Tatiana z Olegiem.

– Cholera – szepnął córce na ucho Lew Mojsiejewicz. – Piękna ta dziewczyna Olega. Ale bije od niej chłodem. Przypomina te księżniczki, co dla uciechy kazały chłostać chłopów.

– No wiesz co, tato – oburzyła się Olga Lwowna. – Jest piękna i tyle. Pamiętaj, jakie miała podłe dzieciństwo, nie zna nawet swojego prawdziwego ojca, a ojczym zostawił ją z matką, wybierając życie w Ameryce. Jest inteligentna i potrafi być czuła.

– Jak tam chcesz. – Lew Mojsiejewicz nadgryzł ogórka, z którego sok wypłynął mu na brodę. – Mówię tylko, że w niej dużo jakiejś melancholii, a to szkodzi na wątrobę.

– Idź i jej to powiedz.

– Ech, ty, ty, ty. – Pogroził córce placem. – Widzę, że tobie się wnuki marzą. No tak, zamienisz towarzystwo starego pryka na różowe niemowlę Olega i Tani.

– Tato, upiłeś się?

– Nie, jeszcze nie. Ale mam dobry humor.

To był uroczy wieczór. Inny niż wszystkie poprzednie. Bo mało mówiono o tym, co bezpowrotnie minęło, a wiele o tym, co ich jeszcze w życiu czeka. Jurij Borisowicz tryskał energią: Samolot Ił-96, nowa duma radzieckiego lotnictwa, przeszedł miesiąc wcześniej udane próby oblatywania.

– To był krok milowy w rozwoju naszego lotnictwa! Ten samolot. – Podniósł rękę. – Ten samolot będzie jeszcze latał za dwadzieścia lat, ba, za dwadzieścia pięć także!

– Taniu, ty się uśmiechnij – zagadnął Lew Mojsiejewicz. – Żółć na wątrobę źle działa.

– Tato! – Olga Lwowna się przeraziła.

– Uśmiecham się, Lwie Mojsiejewiczu – odparła Tatiana. – A jeśli nie widać, że jestem wesoła, to pewnie odrobina zadumy zasłoniła te promyki na mej twarzy. Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie spędzałam tak czasu z rodziną, że nie miałam kontaktu z dziadkami i że przez to wszystko jestem jakaś uboga.

Olga Lwowna usiadła obok niej i objęła ją czule.

– Więc teraz masz nas wszystkich. Jesteśmy twoją rodziną.

– Ha! – zawołał Lew Mojsiejewicz. – No to ja już jestem przyrządzony jak pieczony prosiak i czuję, że dam się tej mojej trzeciej wnuczce na postronku wodzić. – Ucałował dłoń Tatiany. – A jak ten mój durny wnuk będzie ci się naprzykrzał, to wal do nas bez gadania. No, Alosza – rzucił do Denisowa – polewaj. Jurze nie lej – dodał, wskazując na śpiącego z otwartymi ustami Jurija Borisowicza. – Bo chłop już swoim iluszynem w chmury poleciał. Sasza, dawaj ogórki. Mam na nie dzisiaj dziki apetyt.

– Ech, jak ten czas szybko leci – rozrzewnił się Zwieriew. – Pamiętam, jak Oleg, chłopaczek jeszcze, pokazywał mi albumy ze zdjęciami ojca. A teraz chłop na schwał.

– Jak się pospieszą – Denisow zachichotał – to się jeszcze, Zwieriew, załapiesz jako trener małych Antonowów.

– Wypijmy za to! – podchwyciła Anna Lwowna. – Przyjeżdżajcie do mnie na wieś jak najczęściej, to i... – nie dokończyła, bo niespodziewanie jej mąż ocknął się, wstał, wziął pierwszą z brzegu szklankę i unosząc ją, zaintonował przepięknym basem, który wprowadził w podziw wszystkich biesiadników:

– *Wstawaj, kraju ogromny. Wstawaj na śmiertelny bój*[\[47\]](#).

– O – rzekł z filozoficznym spokojem Lew Mojsiejewicz. – Jura dał nam znak, byśmy przestali gadać, tylko, jak przystało na rodzinę, zaśpiewali.

Pili i śpiewali, a prym wiedli Jurij Borisowicz, Lew Mojsiejewicz, Denisow i Anna Lwowna. Rozprawili się z *Pożegnaniem Słowianki*, *Falami Amuru*, *Aloszą*, *Czarnymi oczami*, *Niebieskim szalikiem*, *Trzema czołgistami*, *Ciemną nocą*, *Podmoskiewskimi wieczorami*, a nawet hymnem Związku Radzieckiego.

– Oleg! – zawołała Tatiana, leżąc w wannie, gdy znaleźli się z powrotem u siebie na Sadowniczeskiej. – To był cudowny wieczór. Dziękuję!

Oleg uśmiechnął się, spoglądając przez okno, po czym wszedł do łazienki i usiadł na podłodze.

– Jestem zbyt pijany, by do ciebie tam, kotku, wskoczyć, ale pozwól mi tu posiedzieć cichutko i popatrzeć na ciebie.

Kilka dni później o poranku Tania obudziła się i dojrzała jego roześmiane, wpatrzone w nią oczy.

– Och, co mój mężczyzna znów wymyślił, hm? – Podniosła się na poduszce, rozejrzała dookoła i dostrzegła, że całą pościel przykrywa warstwa kwiatowych, różanych płatków.

– Dzień twoich urodzin, kochanie – szepnął Oleg, nachylając się, by ją pocałować.

– Mmm, skąd się biorą tacy mężczyźni... – mruknęła zadowolona Tatiana.

Za oknem spadł ulewny deszcz, który rytmicznie uderzał w szyby i blaszane parapety. Po śniadaniu Oleg usiadł na podłodze i wyjął pudełko ze zdjęciami. Oglądał je, nie spiesząc się. Tania podeszła do niego, ubrana w długi sweter i rajstopy, ze spiętymi włosami, w dłoniach niosła dwa kubki herbaty. Spojrzał na nią, zakochany do szaleństwa.

– Posuń się, arcymistrzu, nie oglądaj sam.

Przesunął się, by mogła przy nim usiąść.

– To w Hawanie. – Podał jej jedno ze zdjęć. – W tej knajpie, do której zaglądał Hemingway. Byliśmy tam ze Szejnem i Romancewem.

– Pamiętam tę historię – rzekła, mrużąc lekko oczy. – No widzisz, jak to się dziwnie układa, jaki to ludzki los? Moglibyście być przyjaciółmi, a staliście się wrogami.

– Równie dobrze można próbować pożenić wodę z ogniem.

– Dwa żywioły. Oba dają życie i oba potrafią zabić.

W tamtych dniach Antonow zrozumiał, że w życiu ma dwie wielkie namiętności – Tanię i szachy. Razem oznaczały one dla niego rodzaj ekstazy, razem na siebie oddziaływały, inspirując go do osiągnięcia zamierzonego celu. To dzięki szachom mógł się do niej zbliżyć, to z miłości do niej czerpał natchnienie, by wygrywać. Zdał sobie sprawę ze swojej siły, z potencjału, jaki w sobie nosi. Na szachowej desce pokazywał, że nie boi się niczego i nikogo, realizował każdą śmiałą ideę, która przychodziła mu do głowy. Wśród jego przeciwników narastało poczucie braku wiary we własne umiejętności. Któryś z dziennikarzy szachowych porównał to do rodzaju hipnozy, jakiej ulegali grający z Antonowem szachiści. Po raz pierwszy w karierze Oleg zdobył mistrzostwo kraju z doskonałym wynikiem dziewięciu punktów uzyskanych w trzynastu partiach, nie ponosząc przy tym żadnej porażki. Grał z polotem, w każdej partii na krawędzi ryzyka, z wielką ufnością w swoje nieprzeciętne umiejętności. Pomimo nieobecności w turnieju byłych radzieckich mistrzów – Romancewa i Krutina oraz Gurgeniidzego i Szejna – wynik osiągnięty przez Olega odbił się szerokim echem w świecie szachowym i Sportkomitet zdał sobie sprawę, że to jedyny gracz, który może dać Związkowi

Radzieckiemu tytuł szachowego mistrza świata.

W nowy – ważny dla swojej kariery szachowej – rok Oleg wchodził pełen marzeń i mocnych postanowień. Chciał wygrywać, by na końcu drogi zmierzyć się z Romancewem o prymat w szachowym świecie. Ale nie wszystko układało się tak, jak sobie zaplanował.

Dwa miesiące po tym, jak Andriej przyniósł przyjacielowi w prezencie album Paula McCartneya *Z powrotem w ZSRR*, Oleg wsiadł do samolotu, by udać się na turniej w Pradze, którego jednak nie dane mu było rozegrać. Już drugiego dnia swojego pobytu w stolicy Czechosłowacji przyłączył się do demonstracji, mającej uczcić dwudziestą rocznicę samobójstwa Jana Palacha[48]. Jego obecność wśród demonstrantów zauważyły zachodnie media. Demonstracja została brutalnie rozpędzona przez milicję, a Antonow zamiast na turniej trafił do aresztu, stamtąd zaś samolotem prosto do Moskwy. Działacze Sportkomitetu nie wiedzieli, co z nim zrobić. Zresztą pozycja Gołubiewa nie była tak mocna jak kiedyś, a Bondariewski, jako były wojskowy, odszedł na wcześniejszą emeryturę. Wśród zwolenników pieriestrojki Antonow zyskał sobie miano symbolu. Stał się przedstawicielem młodego pokolenia, domagającego się zmian i większych swobód. Mieszkanie na Sadowniczeskiej, z miejsca spotkań artystów, stało się celem pielgrzymek liberalnie myślących reformatorów. Tatiana była zła.

– Już raz polityka zniszczyła moje życie! – krzyczała do Olega. – Nie powtórzę tego błędu!

Jednak Oleg nie chciał ustąpić. Jego próżność karmiła myśl, że nie stoi z boku głównego nurtu wydarzeń, ale przeciwnie, że jest postrzegany jako ktoś ważny dla rówieśników, ktoś, kto kształtuje ich opinię polityczną.

Andriej zabrał ich na nocne wyścigi motocykli. Kiedy milicja zaczęła strzelać w opony ścigających się, przestało być zabawnie, i Lena z Tatianą były złe.

– Można zginąć jak ci ludzie w Duszanbe[49], nieświadomi niebezpieczeństwa, albo czując adrenalinę w żyłach – bronił się Andriej, gdy robiły mu wymówki.

– Jesteś dureń, który nie ma wyobraźni i uwielbia głupie ryzyko – piekliła się Lena. – Chciałeś jeszcze biedną Tamarę ciągnąć w siódmym miesiącu ciąży. Co ja mam z tym durnym chłopem!

– Chciałem, bo bez Fiedki się nudzi. Żal mi jej. Skąd mogłem wiedzieć, że mienty będą strzelać.

– I nie używaj przy mnie tego swojego hipisowskiego żargonu! – Lena walnęła Andrieja torebką po plecach. – Bierz przykład z Fiedki, on traktuje Tamarę z należnym kobiecie szacunkiem, a ty mi nawet kwiatów nie kupisz!

– Jak to? Proponowałem ci konopie indyjskie, to nie chciałaś. – Andriej śmiał się, całując Lenę. – A Fiedka – dodał tajemniczym głosem – Fiedka to zawsze był święty. Urodził się już z areolą nad głową.

„Komsomolec”

„Komsomolec” wypłynął z macierzystego portu w zatoce Zapadnaja Lica dwudziestego ósmego lutego 1989 roku. Po trzydziestu siedmiu dniach okręt znajdował się na Morzu Norweskim koło Wyspy Niedźwiedziej, około czterystu mil na północ od Murmańska i dwustu od wybrzeży norweskich.

Tamtej nocy Fiedka miał przedziwny sen, tak sugestywny, że niemal czuł się częścią świata wykreowanego przez własną wyobraźnię. W tym śnie znów spotkał ogromnego płetwala błękitnego, którego widział na Morzu Ochockim. Poznał go, nie miał wątpliwości, że to on. Fiedka zanurzył się w błękitnej poświacie, która była przestrzenią wypełnioną ciemną próżnią niczym kosmos, gdzieśgdzie mieniącą się różnymi odcieniami morskiej głębin, to znów poprzecinaną wiązkami promieni, jakby pochodziły one ze światła wysyłanego z gwiazd. Wieloryb spoczywał w tej przestrzeni, zawieszony niczym ogromny sterowiec. Fiedka zbliżał się do niego, poruszając ramionami jak pływak. Był coraz bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki, gdy w tym właśnie momencie, jakby pod wpływem magnetycznej siły jego ciało ogarnął stan inercji, został uwięziony w przestrzeni. Pomimo wysiłku woli Fiedce nie udawało się płynąć dalej, męczył się, wyteżał wszystkie siły, lecz ciało wciąż tkwiło w tym samym miejscu. Wieloryb przymknął na chwilę powieki, jakby dając mu znak, że on również stoczył niegdyś taki bój, ale już dawno zrozumiał, iż ten wysiłek jest daremny, że trzeba pogodzić się z sytuacją i na swój sposób ją zaakceptować. Fiedka poczuł, że mądrość płetwala jest mądrością samej natury, instynktem, a może nawet czymś więcej, być może umiejętnością odczytywania ukrytych sygnałów, prehistoryczną wiedzą odziedziczoną po przodkach, która w umyśle człowieka zatarła się, ustępując miejsca nowym informacjom. Zrozumiał, przestał się buntować i walczyć przeciw temu, co zdawało się naturalnie nieuchronne. Płetwal wydał z siebie przeciągłe westchnienie i Fiedka znów usłyszał śpiew, który towarzyszył mu od dzieciństwa, napawał lękiem, a jednocześnie rozpalał w nim niezaspokojoną ciekawość. Przestrzeń dookoła rozświetliła się tysiącem drgających refleksów, które załamywały obraz, tak że sylwetki zarówno wieloryba, jak i Fiedki wyglądały jak odbicia zniekształcone przez krzywe zwierciadło. Fiedka zrozumiał, że to, co widzi, to tylko subiektywne, chwilowe wrażenia, które mogą zmieniać postrzeganie świata w ciągu kilku sekund. Naraz, jakby pod wpływem tej nowej myśli, wszystko stało się dla niego dziwnie dalekie, bez znaczenia. Usłyszał w uszach pisk, który go ogłuszył. I czuł, niemal fizycznie, wlewającą się do jego uszu wodę, która sprawiała, że głowę wypełnił mu szum, a głosy słyszał z bardzo daleka. Tak, to był głos Tamary, rozpoznał go, pomimo że brzmiał z oddali.

– Tamara! – krzyknął, lecz nie usłyszał swego głosu, jakby przestrzeń, w której się znajdował, stała się nagle gęstsza i stłumiła wszelkie słowa. – Tamara! – powtórzył i poczuł, jak woda wlewa się do jego gardła i płuc, zrozumiał, że

tonie...

Obudził się, łapiąc nerwowo oddech. Całe rano podczas swoich rutynowych obowiązków zastanawiał się, co mógł znaczyć ten sen, co dzieje się teraz z wielorybem, którego niegdyś ujrzał pośród sinoszarych fal Morza Ochockiego. Jego uszy wciąż atakował natarczywy piszczący dźwięk, głosy kolegów dochodziły do niego jakby zza szyby. Mówili do niego coś o konieczności pomiaru tlenu, że aparat pomiarowy w siódmym przedziale jest zepsuty, a on za daleko, nie ma po co iść. Został więc, a mimo to ktoś powiadomił kapitana, że siódmy sprawdzony i stężenie tlenu w normie. Fiedka starał się wydobyć z pamięci głos Tamary, zrozumieć, co do niego mówiła, odszyfrować zdeformowane słowa.

Światła żarówek migają i Fiedce wydało się, że to znów owe iskrzące się wodne refleksy, które rozświetlały ciemną przestrzeń w jego śnie.

Było trzy po jedenastej, gdy poprzez muzykę wypełniającą ową tajemniczą przestrzeń, w której znów zaczął się pograżać jego umysł, dosłyszał sygnał alarmu. Po chwili doszedł do niego odbijający się echem, komunikat: „Pożar w przedziale siódmym”, „Pożar w przedziale, siódmym”, „Pożar w przedziale, siódmym”.

– Przedział reaktora jądrowego! – krzyknął mu ktoś w twarz, szarpiąc za ramiona, i Fiedka poczuł rozlewający się po całym ciele chłód lęku, który momentalnie ścisnął mu serce i któremu towarzyszyła ciemność.

Mocne szarpnięcie okrętu podsunęło mu myśl, że kapitan Wanin zarządził wynurzenie. Fala powietrza, która miała iść do zbiorników balastowych, przez czyjąś nieuwagę została wpompowana do przedziałów, podsycając jeszcze bardziej ogień. Fiedka widział, jak koledzy uciekają z przerażeniem na twarzach, gdy fala ognia uderzyła w dwa następne przedziały: turbinowy i jego – elektrotechniczny. Fiedka został porwany przez kolegów w kierunku grodzi. Zdążył jeszcze dostrzec, że któryś z marynarzy płonie. Po chwili, z krwawiącą od uderzenia głową, posuwał się do przodu na czworakach. Z trudem oddychał powietrzem, które cuchnęło olejem. Ktoś obok leżał zemdłony. Fiedka, zataczając się, próbował wstać, lecz ponownie runął na podłogę, kiedy okrętem wstrząsnął wybuch w przedziale piątym. Gdzieś w zakamarkach świadomości zrozumiał, że nie uratują okrętu i że przyjdzie mu pójść wraz z nim na dno. Ogarnęła go panika i poczuł, jak jego ciało staje się ciężkie, potwornie ciężkie...

Było już po czwartej po południu, kiedy do jego umysłu zdołał przebić się dźwięk rozkazu: „Załoga, opuścić okręt!”. Słyszał bicie swojego serca, stuk-puk, stuk-puk. Teraz jakby szybsze, tak, na pewno szybsze...

– Fiedka – jakiś głos przemówił do niego. – Idź, idź, tam na górze jest światło. Idź.

Serce biło stuk-puk, stuk-puk, stuk-puk. Szybciej, szybciej. Fiedka przeciskał się w górę, byle szybciej, do wyjścia, na powietrze, z dala od tonącego okrętu, ciało znów słuchało poleceń, znów odzyskało sprawność.

– Idź, Fiedka – ponaglał głos. – Czeka ją tam na ciebie. Czeka ją, by cię zabrać.

Ale na zewnątrz, dookoła, było tylko sine morze, żadnego statku, żadnej pomocy. Sine, lodowate, morze, fale, które kołysały okrętem na boki. Fiedka rozglądał się bezradnie, nie wiedząc, co ma zrobić. Marynarze krzyczeli. Spoglądał na nich, lecz nie rozumiał, co mówią. Widział, jak bezradnie mocują się z tratwami ratunkowymi, których nie potrafili otworzyć. W jego uszach brzmiał śpiew, śpiew wieloryba. Rozpoznał go i w zachwycie stał z uniesioną głową i zamkniętymi oczami, nie chcąc, by umknęła jego uwadze jakakolwiek fraza tej muzyki. Pożar wewnątrz okrętu spowodował rozhermetyzowanie kadłuba i okręt zaczął nabierać wody, przechylać się i tonąć. Nie mogąc otworzyć tratw, zrozpaczeni marynarze poczęli skakać wprost do wody, ubrani jedynie w kamizelki ratunkowe. Ktoś pchnął również Fiedkę, którego ciało w zetknięciu z lodowatą wodą przeniknął ostry ból.

Kilka tysięcy mil na południowy wschód, ugodzony wypuszczonym z działka harpunem wieloryb poderwał się z bólu. Oszołomiony, płynął przez chwilę wzdłuż stalowej burty statku, po czym spróbował się zanurzyć, lecz stalowa lina utrzymywała go na powierzchni. Wierzył więc ciałem, silnie uderzając ogonem o tafelkę wody, napinając linę i wyrywając ze swojego grzbietu kawały mięsa. Broczył obficie krwią. Fontanna powietrza, którą z siebie wypuszczał, również była pełna krwi. Lekko przechylił się na bok, starając się zmniejszyć napięcie liny i swoje cierpienie. Walczył, choć z każdą minutą słabł. Jego ogromnym ciałem wstrząsały śmiertelne konwulsje. Druga lina, zaczepiona wokół ogona, naprężyła się i stalowe zębate koła, umocowane na pokładzie statku, poczęły miarowo kręcić się, ściągając ją i wywlekając olbrzyma na pochyłą rufę statku. Wieloryb, kłapiąc w jakiś groteskowy sposób pyskiem, poddawał się tej ostatniej upokarzającej torturze, którą postanowiono mu zgotować na końcu drogi jego życia. Wciągany przez tylną platformę, zostawiał za sobą czerwoną smugę. Rozdziawiony, jakby w uśmiechu, leżał na boku. Powoli uchodziło z niego życie. Z oczu ściekał strumyk wody, a może były to jego łzy.

Umierając z wychłodzenia w morzu, Fiedka zapłakał na myśl o Tamarze i małej Oldze, której nie zdążył zobaczyć. Jego uszy wypełniał śpiew, śpiew wieloryba, który wydał mu się przeciągłą skargą, wołaniem o pomoc, by nagle, nieoczekiwanie, pogрузić się w ciszy [50].

Moskwa, maj 1989

Już nic nie było takie jak dawniej. Śmierć przyjaciela sprawiła, że w duszy Olega rozplenily się, niczym chwasty, złość, agresja, a czasem ślepe okrucieństwo. Aleksiej Iwanowicz, widząc jego zachowanie podczas treningów bokserskich, ostrzegł, że jeśli nie pozbędzie się tych emocji, nie będzie go dalej trenować. Oleg przestał do niego przychodzić. Jeden z bokserów o przywisku „Ryży” poznał go z Timofiejem, który był kulturystą i ćwiczył jujitsu. Obaj pochodzili z Lubiercy[51] i znali się od podstawówki. Oleg pojechał razem z Ryżym pod Moskwę, by zobaczyć, jak ćwiczą w kaczaloku, czyli w piwnicy przerobionej na salę do ćwiczeń. Był pod wrażeniem ich muskulatury, ich umiejętności. Przez pewien czas jeździł do nich uczyć się nowych technik walki. Nienawiść i rozpacz, jakie w sobie nosił, znajdowały swoje ujście.

– Czasem jeździmy się bić w okolice placu Majakowskiego i Puszkina – zagadnął go, żując gumę, Timofiej. – Dołącz do nas. Czyścimy ulice z brudasów, głównie tych z Kaukazu, którzy przyjechali do stolicy jak bezpańskie psy. Wprawdzie to już nie te sławne wyprawy co dawniej. Jeszcze rok temu jeździliśmy do parku Gorkiego tłuc nieformalów[52]. Aż w końcu doszło do prawdziwej zadymy z OMON-em. Od tamtej pory uwzięli się na nas. No to teraz robimy swoje.

Oleg przez chwilę pomyślał, co by zrobił Timofiej, gdyby mu się przyznał, że po matce odziedziczył żydowską krew.

Niedługo potem Timofieja aresztowano pod zarzutem wymuszania okupów i zwykłego reketu.

Oleg nadal chodził na mecze Spartaka. Tragedia na Hillsborough[53] przypomniła mu tę październikową, która zabrała mu dziadka. Kilka razy wziął udział w bójkach, a że umiał się dobrze bić, czuł satysfakcję i dawało mu to ogromną dawkę adrenaliny. Ale tych kilka tygodni zmieniło coś pomiędzy nim a Tatianą. Kiedy zdarzyło mu się, że po „ustawce” z kibicami Dynama Kijów, którzy wciąż pałali żądzą rewanżu[54], wrócił z raną na policzku, kazała mu iść precz do matki. Nie poszedł. Siedział na klatce schodowej tak długo, aż go wpuściła. Opatrzyła. Nie odzywała się do niego przez dwa dni. Przeprosił. Kupił kwiaty, poszli do opery. Ale oboje wiedzieli, że oddalili się od siebie, tak jakby szczęście, że może przebywać z ukochaną, wywoływało u Olega wyrzuty sumienia wobec Fiedki.

Tatiana poczuła niepokój i zaczęła szukać swojej bezpiecznej przestrzeni. Nie była już pewna, czy może mu bezgranicznie zaufać, czy zna go na tyle dobrze, by związać się z nim do końca. Kilka tygodni później dostała rolę w angielskim filmie szpiegowskim. Miała grać u boku samego Seana Connery’ego. Podekscytowana, tryskała energią i dobrym humorem. Zazdrosny Oleg nie szczędził jej docinków.

Dochodziło między nimi do pierwszych awantur.

Tamara Gordiejewa urodziła córkę. Nadała jej imię Olga. Oleg przeznaczył pieniądze otrzymane za mistrzostwo kraju na urządzenie pokoju dla dziecka, kupno wózka i zabawek.

Którejś nocy Tatiana obudziła się i spostrzegła go siedzącego przy oknie z szachownicą. Nie włączył światła, by jej nie obudzić.

Czy on w ogóle nie sypia? – pomyślała, ziewając.

– Oleg?

– Tak, kochanie?

– Która godzina?

– Piąta.

– I nie śpisz całą noc?

– Nie. Obudziłem się koło czwartej. Nie mogę spać.

– Boże, wykończysz się. – Tatiana podniosła się na łokciach i ziewnęła przeciągle. – Ja też już nie zasnę. Ty mój wariacie.

– Chodź, kochanie, na dach, zobaczymy wschód słońca.

– No coś ty.

– No chodź. Będzie słodko. Naleję do termosu gorącej herbaty, będziemy oglądać gwiazdy. Zobacz, jaki dziś księżyc. Jak lampa.

Usiedli na dachu, zawinięci w koc.

– Zimno – szepnęła Tania.

Antonow wyjął mały termos.

– Napij się.

– A ty skąd to masz?

– Pomyślałem, że będzie ci zimno.

– A tu co? – Posmakowała w ustach. – Herbata czy wódka?

– Napij się jeszcze i przekonaj sama.

Tatiana upiła kolejny łyk.

– Wódka z odrobiną herbaty.

– Niech będzie.

Uśmiechnęła się i jej białe zęby zajaśniały w półmroku, a jego ogarnęły pragnienie i czułość.

– Kocham was, Bułanowa. – Oleg westchnął. – Kocham jak cholera, każdym nerwem, każdą cząstką duszy.

– No i dobrze – szepnęła Tatiana, opierając głowę na jego ramieniu. – Kochajcie.

Siedzieli, patrząc na uśpioną Moskwę. Ich Moskwę...

– Jestem szczęśliwy – rzekł, kładąc głowę na udach Tani i tuląc twarz do jej łona. Dotknęła jego włosów i pierwszy raz poczuła bardzo silne pragnienie, by mieć z nim dziecko.

Moskwa, czerwiec 1989 10 dni do turnieju międzystrefowego

– Pierdolę twoje przygotowania! – krzyknął Oleg. – Jeśli to ma popsuć mi relacje z Tanią, to chrzanię to. Rozumiesz? Mam to w dupie! Powtórzyć? W dupie! Jestem człowiekiem, rozumiesz, co do ciebie mówię? Człowiekiem! Nie dymam się z szachownicą po nocach, nie jestem też pieprzonym robotem. Mam swoje życie! Jak ty swoje spierdoliłeś, to twoja sprawa.

Zwieriew bez słowa wziął notatki, włożył płaszcz i ruszył do wyjścia.

– I kurwa, nie myśl, że się przejmę! – wrzasnął za nim Oleg. – Mam was wszystkich w dupie. Zaczniacie mnie w końcu traktować poważnie. Kurrrwa, znaleźli sobie dojną krowę. Przychodzi tu ze swoją smutną gębą i pieprzy, że za mało pracuję.

Zerwał się z kanapy, otworzył okno i wychylając się przez nie, krzyczał za odchodzącym Zwieriewem:

– Nie jestem twoją zabawką, twoją pierdoloną niespełnioną ambicją! Należę do siebie! Rozumiesz! Do siebie! Mam was w dupie! – Osunął się na podłogę i ciężko oddychał. – Egoistyczne stare chuje – wycedził wściekły, a potem poderwał się i ponownie krzyknął przez okno: – I tak wygram! Bez twojej zasranej pomocy.

Do Belgradu wylecieli nieco wcześniej, by Tatiana odzyskała spokój. Już w podróży jej panika ustąpiła i znów zaczęła się uśmiechać, normalnie rozmawiać. Południowa Jugosławia przywitała Antonowa i Tanię lejącym się z nieba i wszechogarniającym żarem, który sprawił, że po przybyciu do hotelu spoglądali na siebie z nieukrywanym pragnieniem. Kiedy recepcjonista wpisywał ich dane do hotelowej książki gości, Tatiana wsadziła Olegowi rękę pod koszulę.

Kocham południe, pomyślał Antonow pełen żądy.

Stojąc w windzie obok innych hotelowych gości, rzekł do Tani z obojętną miną:

– Lubię widzieć twoje oczy, które zmieniają barwę, gdy czujesz podniecenie... Jesteś wtedy jak kotka.

– A ja kocham twoje oczy, gdy zachodzą mgłą... – zrewanżowała mu się, nie

odrywając wzroku od folderu reklamowego. – Więc gotuj się na ostry seks, arcymistrzu.

Trzy dni spędzili na wyspie Korçula, spacerując po utrzymanym w weneckim stylu mieście, w którym na świat przyszedł Marco Polo. Godzinami przesiadywali w restauracjach i kawiarniach. Dzień przed otwarciem turnieju odwiedził ich znajomy Olega, arcymistrz Zlatko Krstić, a wraz z nim jakiś fotograf i jego partnerka. Pili do rana. Tania śpiewała rzewne rosyjskie romanse, zaśmiewając się i wlewając w siebie alkohol, ani przez moment nie myśląc o jutrze.

– *Już nie płacze dusza moja samotna* – śpiewał Antonow. – *Jest tu obok mnie moje natchnienie i szczęście.*

Tania śmiała się do rozpuku, wymachując nogami.

W dzień rozpoczęcia turnieju przyjechali do Dubrownika. Byli zachwyceni miastem, które błyszczało jak alabastrowa wielka muszla wyrzucona na brzeg przez błękitne morze.

– Ależ tu pięknie. – Tatiana nabrała powietrza w płuca. – Tak chcę żyć. Pełną piersią. Pod słońcem południa.

Dubrownik, czerwiec–lipiec 1989 turniej międzystrefowy

Oleg rozpoczął turniej, grając praktycznie każdą partię na kacu po nocnym pijaństwie. Przez pierwsze dni każdej nocy do rana włączyli się z Tatianą po tawernach w towarzystwie Krsticia, jego znajomego fotografa oraz dwóch dziennikarzy i jakichś dziewczyn, których imion Oleg nawet nie pamiętał. A mimo to po sześciu rundach był u góry tabeli, nieznacznie, o pół punktu za Węgrem Molnarem. Kryzys nastąpił w siódmej rundzie. Prosty błąd i porażka w szkolnym stylu z Olafssonem spowodowały całą serię nieudanych partii.

– Jest źle, prawda? – spytała Tatiana, gdy siedział na balkonie, spoglądając w milczeniu na zachód słońca nad Adriatykiem. – Jest?

– Tak.

– Przecież jesteś najlepszy.

– Jak widać nie.

– Chyba nie masz zamiaru tak łatwo się poddać? Hej, mężczyzno!

– Tia – prychnął, nieprzekonany o skuteczności takiego zagrzewania do walki.

– No nie wyszło.

– Koniec?

– Jeszcze nie, ale szanse są bardzo małe.

– Co możemy zrobić? – spytała zatroskana.

– Mm, trochę późno to pytanie.

– Chcesz na mnie zwalić winę?

– Winę? A kto tu mówi o winie?

– Przecież słyszę. Obwiniasz mnie o porażkę.

– Jeszcze, kurwa, nie przegrałem – wycedził przez zaciśnięte zęby, a jego twarz wyrażała taką wściekłość, że Tatiana cofnęła się i poczuła przed nim lęk.

– Nie mów do mnie w ten sposób! – syknęła, mrużąc oczy. – Rozumiesz? Nigdy więcej nie waż się tak do mnie mówić.

Wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Zerwał się i pobiegł za nią. Wiedział, że jeśli teraz zostawi go samego, zwariuje z rozpaczy i rzuci się ze skały do morza.

Szansa wciąż istniała. Wciąż mógł zakończyć turniej na trzecim miejscu, które było premiowane awansem do meczów pretendentów. Warunkiem było wygranie partii z argentyńskim arcymistrzem Lozano. Grał czarnymi. Lozano spisywał się w turnieju solidnie, zajmował szóste miejsce. Nie było nadziei na łatwą wygraną.

W dzień przed decydującą partią Oleg wstał z łóżka już o piątej rano. I tak nie spał, tylko przewracał się z boku na bok. Cały trud, jaki włożył w powrót na szczyt, mógł się okazać daremny. Wszystko, co wypracował, zmarnował przez te kilka ostatnich dni. Siedział nad brzegiem morza, ubrany w lekką koszulę z białego lnu, i myślał, co dalej, spoglądając na horyzont, który z każdą minutą rozjaśniał się, rzucając blad różowe światło na siną o tej porze dnia taflę wody.

Tatiana nie wytrzymała. Zjechała windą na dół i wywołała z widowni Krsticia.

– Co tam się dzieje? Jak u Olega?

– Nie wiem. – Krstić uśmiechnął się tajemniczo. – Oleg zagrał w debiucie bardzo dziwne posunięcia, których nikt z profesjonalnych szachistów nie stosuje. Chyba wkurzył tym Lozano, bo Argentyńczyk zupełnie nie wie, jak grać. Wykonał kilka szkolnych ruchów, biernie, bez planu i wizji, co dalej. Musiałbym mówić o szczegółach, ale najważniejsze jest to, że Lozano nie ma pomysłu, jak atakować, a Oleg wykorzystuje jego opieszałość i naciera na niego.

Wzruszenie, jakie opanowało w tej chwili Tatianę, zaskoczyło ją samą. Łzy pociekły po jej policzkach.

– Przepraszam. – Śmiała się zakłopotana. – To nerwy. Za mało go wspierałam. Ale on wygra, prawda? Wygra?

– Nie wiem, Taniu – odrzekł Krstić, ściskając lekko jej dłoń, by dodać otuchy. – Ale na pewno jest ciekawie. Wracam tam. Trzymaj się.

– Wygra – szepnęła do niego Tatiana. – Jest geniuszem i nigdy się nie poddaje.

Kiedy Lozano zatrzymał zegar i wyciągnął rękę, by pogratulować Olegowi wygranej, ten czuł się tak, jakby jego ciało unosiło się ponad ziemią i wystarczyłoby mu kilka susów, aby stanąć znów przed Tanią i obwieścić jej wygraną. Przepęłniały go niewysłowiona radość i poczucie ulgi, jakich nigdy wcześniej jako szachista nie doświadczył.

Moskwa, 20 listopada 1989; tydzień do półfinałowego meczu pretendentów z Janem Timmerem

Oleg był sławny i Tatiana czuła się dumna. Ona zresztą również znalazła się na zdjęciach zachodnich magazynów. Żyli na skraju fizycznego wyczerpania. Tak wiele się działo w ich życiu, że szkoda było czasu na sen. A świat dookoła zmieniał się gwałtownie i zdawało się, że nieśmiały promyk wolności, który przenikał ciemność, teraz przemienił się w ogarniający niebo brzask. Polska miała niekomunistyczny rząd, Węgry wprowadzały demokratyczne zmiany, w Pradze doszło do zamieszek i protestów, w Berlinie zaczęto demontaż muru dzielącego miasto. To była prawdziwa „Jesień Ludów”, jak ją nazywał Lew Mojsiejewicz, który wraz z Olgą Lwowną zaangażował się w nową demokratyczną inicjatywę o nazwie „Memoriał”.

Oleg uwielbiał, gdy w satynowym krótkim szlafrocuku, narzuconym na nagie ciało, Tania siadała z kawą i czytała gazety, a palcem wyciągała konfitury ze słoika. Czasem z napięciem czekał, aż natrafi na artykuł o nim. Niekiedy, by się z nim podrażnić, ogarniała artykuł wzrokiem i przerzucała gazetę na kolejną stronę. Gdy warczał niczym wielki pies, patrzyła na niego z niewinną miną, zaglądała ponownie na poprzednią stronę i wzruszając ramionami, pokazywała mu, że tam nie ma nic do czytania. Czasem zaś odrobina konfitury lądowała na jego nosie. W końcu wracała do artykułu i czytała go na głos z zabawną intonacją, przez co czyniła materiał prasowy groteskowym.

Wieczorem, przytuleni, słuchali płyt. Zabrzmiął głos Wysockiego:

Już całkiem ze mną źle; zamykam oczy – widzę [55].

– Co byś zrobił na jego miejscu? – spytała Tania.

– Gdybym był z Mariną Vlady? Rzuciłbym wszystko i uciekł do niej do Paryża.

- Ja ci dam Marinę Vlady. Świnia. Gdybyś był ze mną.
 - A co ty byś w Paryżu robiła? Zakupy?
 - Nie mówię o zakupach, tylko gdybym ja była tam, a ty tu.
 - A niby dlaczego ty tam, a ja tu?
 - No, gdyby nas rozdzielono, nie wiem, albo po prostu gdybym uciekła na Zachód jak mój ojczym.
 - Gdybyś uciekła beze mnie to... – szukał właściwego słowa. – No nie wiem, co bym ci zrobił.
 - Chciałabym mieszkać w Paryżu. Albo lepiej w Prowansji. Mieć mały domek. Niedaleko morza, tak aby poza sezonem można było jeszcze przed wschodem słońca spacerować po plaży, a potem wracać z butelką wina i świeżą bagietką na śniadanie.
 - Jakbym tam był – zamruczał Oleg, kładąc głowę na jej udach niczym Hamlet na łonie Ofelii.
- Porażka, jakiej doznał w Dubrowniku, zajmując zaledwie trzecie miejsce, zaboląła Olega mocno i nauczyła pokory. Poszedł z armeńskim koniakiem najpierw do Zwieriewa, potem do Denisowa. Byli szczęśliwi, że wrócił. Oczywiście, nie zostawili na nim suchej nitki za to, co zrobił w Dubrowniku, a Denisow postawił nawet śmiałą tezę, że taki był na nich zły, więc grał kiepsko, by doprowadzić do ich śmierci.

Wiedeń, listopad 1989 mecz półfinałowy z Janem Timmerem

Mgła, która o poranku spowiła budzący się za snu Wiedeń, nadała miastu romantyczny koloryt. Światła latarni nie uderzały swoją konkretnością, lecz chowały się za białym delikatnym woalem, który rozpraszał je i tworzył wokół rodzaj jaśniejącej aureoli.

Tatiana wymknęła się po cichu z hotelowego pokoju, wciągnąwszy dzinsy i narzuciwszy na siebie białą bluzkę i płaszcz. W windzie spięła włosy do góry spinką, trzymaną w ustach.

Powietrze na zewnątrz było chłodne. Niebo, pochmurne, niczym srogi celnik na granicy, nie dopuszczało do ziemi zbyt wielu słonecznych promieni. Na ulicach było pusto, tak że udało jej się usłyszeć stukot dorożki, która zmierzała na swoje stanowisko pod pałacem Hofburg. Tatiana zamknęła powieki i cieszyła się chwilą,

czując rozpierającą ją radość na myśl, że jest w mieście sławnych kompozytorów i że będzie spacerować po ulicach, po których chadzali Mozart, Haydn, Beethoven, Straussowie i Mahler. Tu przecież tworzył jej ulubiony malarz Gustaw Klimt, którego obrazy *Pocałunek* i *Judyta* w postaci reprodukcji wisiały w jej mieszkaniu na Sadowniczeskiej. Kochała secesję. I gdy tylko usłyszała od Olega, że będzie grał kolejny mecz w Wiedniu, poczuła ogromną ekscytację. Nie mówiła mu o tym, by z niej nie kpił i nie zatruł radości swoimi wywodami na temat jej roli w motywowaniu go do zwycięstwa, przekonywaniu, jak ten pojedynek jest ważny dla niego i dla niej. Zamiast tego jej umysł wypełniały delikatne muśnięcia koncertu fortepianowego numer piąty Mozarta czy jego wznoszący duszę pod niebiosa koncert na flet i harfę.

Szła sprężystym krokiem w kierunku katedry Świętego Szczepana. Idąc, przystawała co pewien czas, by przyjrzeć się wystawom sklepowym. Obiecała sobie, że przywiezie do Moskwy jeden z takich porcelanowych serwisów do kawy, które ją zachwyciły, gdy przechodziła obok sklepu z porcelaną. A kiedy pomyślała o kawie, nabrała tak ogromnej ochoty na filizankę dobrej, aromatycznej, wiedeńskiej kawy, że przymknęła powieki i pośród wielu zapachów próbowała wyłować aromat macchiato lub mocnego espresso, który zaprowadziłby ją do kawiarni.

Usiadła przy stoliku i delektowała się chwilą, pieszcząc zmysły ciepłem, waniliowym zapachem kawy, kruchością i słodyczą podanego jej ciasteczka i luksusem braku pośpiechu, który zmuszałby ją do spoglądania na zegarek. Po prostu bawiła się tym uczuciem spełnienia, które ją wypełniało, nazywając je w duchu na wiele sposobów. Myślała tylko o tym, co tu i teraz. Lecz kiedy to zrozumiała, przyszło wspomnienie, które natrętnie przypominało jej podobne emocje, gdy w Leningradzie, o poranku, siedziała naprzeciwko Romancewa i nie chciała, aby ta chwila się kiedykolwiek skończyła. Teraz Tatiana strzepnęła z siebie tę myśl, jak latem strzepywała ziarna zboża, które Oleg sypał jej na włosy, gdy szli wzdłuż złotych pól pełnych żyta, owsa i jęczmienia.

I właśnie w tym momencie, jakby wyciągając do niej pomocną dłoń, w kawiarni rozbrzmiały cichutko takty serenady *Gran Partita* Mozarta. Znów była tu i teraz, bez wspomnień i bez martwienia się o przyszłość. Klarnety, oboje, rożki basetowe, rogi i fagoty wraz z kontrabasem, których dźwięki splotła w cudowną harmonię muzyki genialna ręka kompozytora, przeniosły ją z powrotem z Rosji do jesiennego Wiednia. Wyjęła z kieszeni płaszcz przewodnik i zaczęła układać na najbliższy tydzień plan, w którym znalazły się katedra Świętego Szczepana, Hofburg, Belweder, Muzeum Klimta, dom Mozarta, Galeria Marii Teresy, Schönbrunn, Prater... Jej dusza śmiała się na myśl, że będzie mogła swobodnie dysponować sobą, swoim czasem, realizować kaprysy – te mniejsze, jak torcik Sachera czy wieczór w Operze Wiedeńskiej, czy te większe, jak zakupy w drogich butikach z torebkami, butami i sukienkami.

Podniosła do ust filizankę z kawą, wciągnęła jej aromatyczny zapach i

powolutku smakowała aksamitny ton. Obiecała sobie, że będzie tu szczęśliwa i że ochroni swój nastrój przed inwazją gwałtownych emocji, jakie targały Olegiem podczas meczu.

Kiedy wróciła do pokoju, zastała w nim Zwieriewa i Denisowa, którzy byli pochłonięci pracą z Olegiem nad szachownicą.

– Gdzie byłaś? – spytał Oleg.

– Na spacerze. Pracujcie.

– Zamówiłem dla nas śniadanie – dodał, przenosząc wzrok z powrotem na szachownicę. – Zaraz przywiozą.

– Dobrze. Wezmę prysznic.

Wieczorem, kiedy po całodziennym zwiedzaniu wróciła do hotelu, w ich apartamencie Oleg dyskutował ze Zwieriewem na temat wyboru debiutu na jutrzejszy dzień. Nie musiała pytać o wynik zakończonej gry. Znała go na tyle, że wystarczyło jedno spojrzenie w jego oczy, by wiedziała, czy wygrał, czy też porażka odebrała mu pozytywną energię i pewność siebie. Zamknęła się w sypialni, do której dochodziły rozemocjonowane głosy szachistów.

Następne dni spędzała sama, zgodnie z przyjętym przez siebie planem. Delektowała się smakami Kaisermelange, czyli mokki z dodatkiem żółtka, miodu i winiaku, Almkaffee, której smak tworzyły przyprawy korzenne, wanilia, żółtko, śmietanka i owocowy winiak. Pozwalała sobie na chwilę słabości, napełniając swoje zmysły słodyczą torciku kardynalskiego czy lodami z bitą śmietaną okraszonymi soczystymi truskawkami.

Co wieczór wracała z torbami pełnymi zakupów, obdarowana przez Wiedeń wrażeniami, czasem poddana uczuciu nostalgii, gdy jej myśli wypełniała zaduma nad losem cesarzowej Sisi, samotnej śmierci Mozarta czy refleksje dotyczące śmiałych teorii Freuda.

W pokoju zastawała Olega, od którego emanował radosny lub posępny nastrój. Regulamin meczu, który zakładał rozegranie sześciu partii w sześć dni, narzucał mu bardzo dużą dyscyplinę.

Kiedy w pochmurny dzień spacerowała po ogrodach Schönbrunn, zawładnęła nią melancholia. Znów jej duszę ogarnęło pragnienie posiadania dziecka, stworzenia domu, pragnienie słońca i emocjonalnego bezpieczeństwa.

Po sześciu dniach mecz się zakończył. Dogrywka nie była potrzebna. Tatiana i Oleg poszli razem na bożonarodzeniowy jarmark na Rathausplatz. Drzewa otaczające plac przystrojone były wielkimi czerwonymi i złotymi bombkami, sercami i figurkami aniołów. Krążyli, przytuleni, po alejkach pośród drewnianych budek i straganów. Dookoła pachniało grzany winem, pieczonymi kiełbaskami, wanilią i migdałami.

– Kupię ci taką świnkę. – Tatiana się zaśmiała. – Tu, w Austrii, to symbol szczęścia.

– Ty jesteś moją świnką – zażartował Oleg, chrumkając. – Ole-chrum, chrum, chrum.

– Głuptas. – Dała mu kuksańca w bok.

Pili korzenne grzane wino, jedli kiełbaski i pieczone ziemniaki i zagryzali prażonymi migdałami i aromatycznymi rożkami.

– Zrobiłaś dużo zakupów?

– Całe mnóstwo. Nie wiem, jak się spakujemy.

– Miło spędziłaś czas?

– Bardzo. Było cudownie. A ty? Dobrze się bawiłeś?

– Bardzo. Cztery wygrane przy jednej porażce to dobry wynik, choć Zwieriew był wściekły z powodu tej głupiej przegranej.

Moskwa, 16 grudnia 1989

Wieczorem zadzwonił do nich Misza Sałow.

– Oleg – zaczął poważnym głosem. – Ta siostra Arszaka mieszka teraz w Baku?

– Tak, w Baku.

– Trzeba ją stamtąd szybko zabrać. O Karabach poszło, ale to się wymyka spod kontroli. Azerowie i Ormianie skoczą sobie do gardeł. Chodzą słuchy, że poślą tam armię, by zaprowadzić porządek, bo inaczej dojdzie do pogromów[56].

Budapeszt, 4 maja 1990; konferencja prasowa po zakończeniu meczu Krutin–Antonow

Robert Lyne, „The Guardian”: Zwracam się z pytaniem do Wiktora Krutina. Czy zgodzi się pan z oceną mistrza świata Anatolija Romancewa, że wasz zakończony właśnie finałowy mecz pretendentów był skandalem i kompromitacją dla szachów?

Wiktor Krutin: Myślę, że osoba mistrza świata to kompromitacja dla szachów i obelga dla całego wolnego świata. Nie będę więc komentować jego słów.

Robert Lyne: To samo pytanie do Olega Antonowa.

Oleg Antonow: Myślę, że liczna obecność dziennikarzy na dzisiejszej konferencji prasowej uprawnia mnie do postawienia tezy, że pomimo kontrowersyjnego przebiegu ten mecz przysłużył się popularyzacji szachów.

Siergiej Marwiejew, „Komsomolskaja Prawda”: Czy wy, Wiktorze Nehemowiczu, zaplanowaliście wasze niestandardowe zachowanie już wcześniej?

Wiktor Krutin: W pojedynkach o wysoką stawkę napięcie towarzyszące zawodnikom osiąga bardzo wysoki poziom. Doświadczyłem tego, grając mecz o mistrzostwo świata na Filipinach. Moje zachowanie, dozwolone regulaminem, nie było wymierzone w Olega Antonowa. Przeciwnie, sądziłem, że może przyczynić się do bardziej pokojowego charakteru meczu. Zgadzam się, że z tego punktu widzenia mój cel nie został osiągnięty. Natomiast niewątpliwie efekt sportowy był znakomity. Moje trzy wygrane z rzędu, w tym dwie w obronie francuskiej, do której wróciłem po latach, na tym szczeblu rozgrywek nie przychodzą łatwo. Tak. Trenowałem taki rodzaj gry z moim sekundantem Giennadijem Sokolskim.

Siergiej Marwiejew: Jak wy, Olegu Igorowiczu, to skomentujecie?

Oleg Antonow: Siedzenie w boksie z kawą i obmyślanie posunięć przy tablicy demonstracyjnej to nie są rzeczy zakazane regulaminem. Nie wszystko jednak, co robimy w życiu, musi być uregulowane przez prawo. Myślę, że liczy się coś, co mógłbym nazwać kulturą tej gry. Przebywanie w innym pomieszczeniu przez cały czas partii, podchodzenie do stolika, gdzie znajduje się szachownica i gdzie jest rywal, wyłącznie w celu wykonania ruchu, traktuję jako prowokację i brak szacunku. Przykro mi, że dałem się wciągnąć w tę maskaradę i w piątej partii w ślad za Wiktorem Nehemowiczem zacząłem sam stosować tę metodę. Jest mi wstyd. Podobnie zresztą jak za te porażki białym kolorem przeciwko obronie francuskiej.

Igor Matić, tygodnik „Duga”: Czemu panowie zrezygnowaliście z podawania sobie ręki na przywitanie?

Oleg Antonow: Mmm, po tych dwóch porażkach byłem nieco rozeźlony. Jeśli Wiktor Nehemowicz się zgodzi, w tej chwili jestem gotów podać mu rękę. Wyciągam swoją.

Wiktor Krutin: Zgadzam się, Olegu Igorowiczu. Oto moja dłoń. Sport sportem, ale jako do człowieka nie mam do was o nic żalu.

Ferenc Gabor, „Magyar Nemzet”: Czy uważacie, panowie, że takie zachowanie, iż żaden z was nie siedział przy szachownicy, było zachowaniem fair w stosunku do publiczności? Wielu kibiców gwizdało i opuszczało salę na znak

protestu.

Wiktor Krutin: No cóż. Na pewno była to sytuacja bez precedensu i publiczność miała prawo być zaskoczona. Ale w końcu miłośników szachów interesował przede wszystkim przebieg meczu, wykonane posunięcia, rozegrane partie, a nie my.

Jürgen Welter, „Allgemeine Zeitung”: Jeśli wspomniał pan o przebiegu partii, to wszyscy komentujący mecz arcymistrzowie byli zgodni, że począwszy od trzeciej partii, mecz miał bardzo niski poziom i zaprezentowaliście panowie całą serię pomyłek.

Oleg Antonow: Owszem. Muszę wyrazić moje ubolewanie z tego powodu. Szczególnie piąta partia, którą przegrałem w sposób kompromitujący, bawiąc się w tę głupią grę z niepodchodzeniem do stolika... No cóż, nie zwykłem przegrywać w dziewiętnastu posunięciach. Dałem się łatwo zaskoczyć w obronie francuskiej. Niemniej jednak zgadzam się z oceną, że z szachowego punktu widzenia mecz miał bardzo niski poziom. Myślę, że światu szachowemu należą się słowa przeprosin.

Wiktor Krutin: W tym spotkaniu stawka była bardzo wysoka. Mecz o mistrzostwo świata to wielka pokusa i strona twórcza szachów ucierpiała. Cóż. Myślę, że listopadowy pojedynek o szachową koronę wynagrodzi ten zawód wszystkim wielbicielom szachów.

Gilles Clavie, „Le Figaro”: Skoro wspomniał pan o meczu o mistrzostwo świata, to pozwolę sobie zadać pytanie, kto jest pańskim faworytem.

Wiktor Krutin: Oczywiście, że ja! No dobrze, nie dodałem, że pod warunkiem, iż Oleg Igorowicz zrezygnuje i odda mi prawo gry, które sobie wywalczył, wygrywając ze mną. Żartuję, oczywiście. A na serio: Antonow. Mówię to dziś tu, przy nim, i gratuluję mu zwycięstwa w naszym meczu.

Moskwa, maj 1990

Samolot wylądował na Szeremietiewie. Antonow poczuł falę szczęścia, która rozplywała się po jego organizmie. Znów był w ukochanym mieście, znów oddychał jego powietrzem, widział ciężkie bloki mieszkalne zbudowane z wielkiej płyty, monumentalne budynki w centrum, szerokie ulice, niemodne ubrania i stare radzieckie samochody. Kochał to miejsce. Na myśl, że Tania czeka na niego w ich mieszkaniu, w ich świecie, rozpierała go radość. Choć wydało mu się to nieprawdopodobne, nie mylił się, czekała właśnie na niego, na niego, na Olega. Jak kochał, gdy wypowiadała jego imię. „Oleg, Oleg, Oleg...”, starał się

przypomnieć sobie jej głos. Czuł, że kochają do szaleństwa. A ona była teraz przy nim. To więcej, niż mógłby wymarzyć. Znacznie więcej...

Jechał taksówką, rozkoszując się każdą chwilą. „Szczęśliwym się bywa”, przypomniał sobie myśl, jaką kiedyś podzieliła się z nim matka.

Bez żadnego ostrzeżenia z nieba lunął deszcz. Wiosenny, ale gorący, wokół zrobiło się parno. Antonow czekał w taksówce, spoglądając z zaciekawieniem na ulicę. Ludzie dookoła chowali się pod drzewami lub biegli, przykrywając sobie głowy, czym popadło. Tak samo jak niespodziewanie przyszedł, deszcz nagle ustąpił, pozostawiając po sobie soczysty zapach zroszonej nim zieleni.

Serce waliło mu z radosnego podniecenia, gdy stanął pod drzwiami mieszkania. Przez chwilę nasłuchiwał. Chciał pochwycić jakikolwiek dźwięk, choćby telewizora lub radia, by wyobrazić sobie Tanię, a chwilę potem skonfrontować to z rzeczywistością. Ale za drzwiami była cisza. Choć miał klucze, zapragnął, by mu otworzyła. Zadzwoił. Cisza. Odczekał parę sekund i kiedy zamierzał zadzwonić ponownie, zawahał się. Pomyślał, że może Tania śpi, będzie zła, jeśli ją obudzi dzwonkiem. Milej zakraść się, ukucnąć przy łóżku i patrzeć na nią, bawiąc odkładaniem w myśli tego momentu, gdy nachyli się i pocałuje ją lekko na przebudzenie. Ukochaną, wymarzoną Tanię... Ostrożnie przekręcił klucz w zamku i po cichu otworzył drzwi, by wślizgnąć się do środka. Mieszkanie było ciemne. Poczłł niepokój...

– Tania? Tanieczka? Kochana? – zawołał półgłosem.

Poprzez szybę w drzwiach do sypialni ujrzał, że w odpowiedzi zapaliła lampę, a do jego uszu dotarły dźwięki orientalnej muzyki. Uśmiechnął się. Nie spała. Wszedł ostrożnie, zaciekawiony. Pokój wypełniało czerwone światło. Nagle poczuł szarpnięcie. Upadł na łóżko i zanim zdążył się zorientować, Tania pocałowała go mocno, zaskakująco mocno. Potem sprawnym ruchem nałożyła mu kajdanki na przegub dłoni i szybko przytwierdziła je do ramy łóżka. Nie zdążył otworzyć ust, by zaprotestować, bo pocałowała go ponownie, mocno świdrując językiem. Poddał się. Dopiero teraz ujrzał, że Tania ma niezwykle mocny makijaż i oczy pomalowane ciemną kredką. Poczłł dreszcz. A ona, widząc jego zmieszanie, jego pragnienie i niepewność, uśmiechnęła się lekko, po czym powolutku zaczęła go rozbierać, bawiąc się jego zażenowaniem i podnieceniem. Kiedy zaczęła pieścić go ustami, patrzyła z satysfakcją, jak drży, jak ciężko dyszy... Usiadła na nim, a on powtarzał: „Kocham cię, kocham, kocham, kocham, kocham, kocham, kocham, Taniu”.

Kiedy leżeli obok siebie spełnieni, wyszeptał:

– Taniu, kocham cię do bólu. Rozumiesz? Do bólu, brak słów, nie umiem tego opisać, bo to jak powiedzieć, że oddycham tobą.

– Tsss – odszepnęła i jak kot zwinnym ruchem uwolniła się z jego objęć, znikając w ciemności.

– Tanieczka, oswobodzisz mnie z tego żelastwa?

Cisza.

Ech, pomyślał i poczuł, że oczy wilgotnieją mu ze wzruszenia. Znów poczuł, że jest na szczycie swojego losu, w punkcie, w którym nie ma nic powyżej, że osiągnął granicę szczęścia. I zląkł się, że wokół jest już tylko przepaść...

Przed meczem

Pośród trzech konkurujących ze sobą miast o prawo organizacji meczu o mistrzostwo świata prezydium FIDE wybrało Nowy Jork, który już w samej ofercie zastrzegł, że pod względem organizacyjnym będzie to mecz, jakiego dotąd nie widziano. Oferta Amerykanów faktycznie była najatrakcyjniejsza. Organizatorzy przeznaczili trzy miliony dolarów na nagrody dla graczy: dwa miliony dla zwycięzcy i milion dla pokonanego.

– Ile? – spytał Andriej, kiedy Oleg mimochodem wspomniał mu o pieniądzach, jakie zarobi. – Możesz powtórzyć?

– Jak wygram – Oleg się uśmiechnął – dostanę dwa miliony dolarów.

– To w szachach są takie pieniądze?

– Bywają, dla największych – odrzekł Oleg, pociągając łyk piwa. – Ale pieniądze nie są w tym wszystkim najważniejsze.

– Może i nie są, mimo to fajnie je mieć. Ja pierdołę, ale szmal.

Na kwaterę dla obu sztabów wybrano hotel Mayflower. Miejscem pojedynku miała być piękna sala widokowa na sto siódmym piętrze jednej z wież World Trade Center, a przebieg meczu zamierzano transmitować przez radio. Nowością miał być przygotowany dla telewizji dziesięciminutowy materiał o każdej z partii, emitowany w wieczornym paśmie. Zainteresowanie pojedynkiem było ogromne i wkrótce organizatorzy stanęli przed nie lada problemem, jak zapewnić techniczne możliwości pracy dla tak wielu dziennikarzy, którzy wystąpili o akredytację. Trzeba było przygotować osobne centrum prasowe, umożliwiające szachistom swobodne komentowanie i analizowanie partii, a dziennikarzom – przekazywanie relacji i pisanie o przebiegu gry niemal na bieżąco. Nie trzeba było tego pojedynku reklamować dla publiczności ani podsycać zainteresowania. Bilety na mecz rozeszły się w ciągu kilku godzin. Dla tych, którzy nie znaleźli się wśród szczęśliwców i odeszli od kas z niczym, organizatorzy przygotowali sale z ekranami, na których miała być pokazywana bezpośrednia transmisja z sali WTC. Do relacjonowania meczu zaangażowano znanego komentatora sportowego Michaela Greena. Nowy Jork przygotowywał się na przyjazd obu geniuszów szachów i nikt nie miał wątpliwości, że będzie to wielki pojedynek, prawdziwa walka tytanów.

Soczi, sierpień 1990 84 dni do meczu o mistrzostwo świata

Tatianę pochłonął kurs nurkowania, który udało jej się załatwić w miejscowej jednostce Floty Czarnomorskiej. Oleg uśmiechał się, gdy opowiadała mu o swoich przeżyciach związanych ze schodzeniem pod wodę. W duchu jednak był wściekły. Nie tak wyobrażał sobie wspólne wakacje. Większość czasu spędził z monografiami na temat debiutów. Liczył, że Tania będzie przy nim. Brakowało mu kontaktu ze Zwieriewem i Denisowem. Chciał z nimi omawiać szczegóły przygotowań. Ona co najwyżej mogła przeczytać mu opis mostu Brooklyńskiego w Nowym Jorku i poświęcony mu wiersz Majakowskiego. Jej słowa o tym, jak cieszy się na zwiedzanie, irytowały go tak, że z trudem powstrzymywał się, by nie powiedzieć jej, że on nie jedzie tam zwiedzać, ale walczyć o realizację swojej największej życiowej ambicji.

Barcelona, sierpień 1990 80 dni do meczu o mistrzostwo świata

Romancew udał się na turniej do Barcelony.

– Granie jak największej liczby partii uważam za najlepszy sposób radzenia sobie z przedmeczowym stresem i jednocześnie złapania odpowiedniej formy – zwierzył się miejscowej gazecie.

W rozmowie telefonicznej przeproszał Olafssona za zmianę planu przygotowań.

– Zrozum – tłumaczył przyjacielowi. – Muszę się pozbyć tej paniki, która mnie ogarnia z każdym dniem. Muszę wygrywać, czuć pewność, jak dawniej.

Dacza nad Donem, sierpień 1990 68 dni do meczu o mistrzostwo świata

W Antonowie narastała nienawiść do Romancewa, a pokonanie go stało się dla obsesją. Doszło do tego, że powiesił zdjęcie rywala w ogrodzie i rzucał w nie rzutkami. Między nim a Tanią doszło do kilku ostrych scen.

– Myślałem, że po Dubrowniku czegoś się nauczyłaś! – krzyczał.

– Jestem przy tobie, wspieram cię, jak potrafię, ale stajesz się psychopata!

– Wtedy, w Moskwie, użyli mojej miłości do ciebie jako przynęty. Byli blisko, by mnie złamać. Teraz ja muszę go zniszczyć. Nie tylko wygrać, ale zniszczyć! Aby nigdy więcej się po tym nie podniósł.

– Jesteś chory, Oleg. – Cofnęła się przestraszona. – Chory z nienawiści.

– Liczy się zwycięstwo, i tylko zwycięstwo.

W nocy kochali się, lecz już o poranku Antonowa ogarnęła złość.

– Nie mogę teraz się kochać, nie mogę się rozpraszać, tracić energii. W takim stanie, w jakim jestem, nie sprawia mi to radości.

Tatiana uśmiechnęła się, lecz poczuła ukłucie bólu. Zrobiła krok w tył i zajęła się wyłącznie sobą. Czytała książki, leżąc godzinami w hamaku, chodziła na spacer. Obserwowała z daleka jego przygotowania. Ze zlikwidowanego kina w pobliskim miasteczku kupiła projektor i ukryte w metalowych opakowaniach rolki z filmami. Miejscowy operator przychodził co wieczór, by na ekranie rozwieszonym na murarskim rusztowaniu wyświetlać dla niej filmy. Trzeciego dnia Oleg przerwał pracę i usiadł obok niej. Pocałował ją w rękę i trzymając jej dłoń, oglądał *Dwanaście krzeseł*^[57], wybuchając głośnym śmiechem, szczególnie w scenie, w której rozjuszony tłum z małego miasteczka goni głównego bohatera podającego się za szachistę, z okrzykiem: „Gonić arcymistrza!”.

Majorka,

sierpień 1990

63 dni do meczu o mistrzostwo świata

Romancew połączył festiwal szachowy w Palma de Mallorca z wakacjami. Gospodarze byli zaszczyceni, że wystąpił w otwartym turnieju, w którym obok arcymistrzów grali półamatorzy. Wygrał, grając wyłącznie dawne, romantyczne debiuty, które nigdy wcześniej nie gościły w jego repertuarze. Miał kilka wykładów dla członków lokalnego klubu szachowego, gościł na proszonych kolacjach. Na tydzień schronił się przed dziennikarzami w hotelu Formentor. Próbował zająć czymś myśli. Przypomnił sobie opowiadanie Hemingwaya

Pięćdziesiąt kawałków[58]. Wyobraził sobie, że trenujący boks Antonow po kryjomu obstawia u bukmacherów swoją porażkę, wiedząc, iż on, mistrz świata, nie da mu w meczu żadnych szans. To wprawiło go w dobry humor i otoczony luksusem poczuł, że wraca mu spokój.

Moskwa,
wrzesień 1990

45 dni do meczu o mistrzostwo świata

Możliwość włączenia do zespołu Antonowa byłego trenera Romancewa – Wasiukowa – wzbudziła w ekipie duże kontrowersje. Zwieriew i Denisow zagrozili odejściem, gdyby Oleg przyjął go na sekundanta.

– Oleg, kurwa mać, nie zniżajmy się do jego dawnych metod – rzucił ze złością Denisow.

– Jeśli to zrobisz, odejdziemy – dodał Zwieriew. – Może jesteśmy za słabi, to nam to powiedz, ale nie robi się takich rzeczy.

Oganesjan stanął w obronie Olega, twierdząc, że liczy się wynik, a Bondariewski w Manili korzystał nawet z podsłuchów, byle zdobyć informacje o planowanych debiutach. Oficjalnie Antonow odmówił Wasiukowowi, ale kilka razy spotkał się z nim w tajemnicy przed pozostałymi, by skorzystać z jego wiedzy.

Dortmund,
wrzesień 1990

40 dni do meczu o mistrzostwo świata

Pomimo protestów ze strony sekundantów Romancew zdecydował się wziąć udział w kolejnym, tym razem silnie obsadzonym turnieju, w Dortmundzie. Nie mógł poradzić sobie inaczej z ogarniającym go stresem. W Dortmundzie zapomniał o Antonowie. Wygrał zdecydowanie i czuł, że jest znowu sobą, że jest już gotowy do meczu w Nowym Jorku.

Moskwa,

październik 1990

20 dni do meczu o mistrzostwo świata

– Moce ukryte w ziemi i w niebie – zaintonowała Lena, a Tatiana, Wiera i Nadia szeptały za nią, chwiejąc się niczym sosny na wietrze. – Boże rozgwieżdżonego nieba, boginie gwiazd zanurzone w mrokach kosmosu, Wietrze wiejący z czterech stron świata i Słońce, które dajesz nam życie i moc, Księżycu, świadku nocnej rozkoszy i towarzyszu tych samotnych chwil, duchy przenikające przestrzeń, te dobre i te, które czerpiecie swą siłę z przepastnych ciemnych otchłani, pobłogosławcie nas, otoczcie opieką swą i dajcie szczęście, a odbierzcie siły naszym wrogom i nieprzyjaciołom, pograżcie ich w obłędzie, wygnajcie z naszego życia, dręczcie co dzień, jak oni pragnęli dręczyć nas.

– Amen – zakończyły.

I jak to miały w zwyczaju podczas swoich obrzędów, zaczęły palić kadzidełka, których aromat wypełnił przestrzeń dookoła. Stały w kręgu, zrzucając z siebie habity.

– Duchy przenikające przestrzeń – zaczęła Tatiana. – Te dobre i te, które czerpiecie swą siłę z przepastnych ciemnych otchłani, pobłogosławcie nam i tym, których kochamy. Oto stoimy przed wami nagie, byście nasyciły się pięknem naszych ciał i w zamian oddały nam część swojej mocy. Otoczcie nas swoją opieką, sprawcie, by Oleg zwyciężył.

– By Andriej znalazł pomysł na siebie – odezwała się Lena.

– By ułożyło mi się w Paryżu z Marcelem – westchnęła Wiera, która zdecydowała się na zamieszkanie we Francji z poznanym niedawno marszandem.

– By moje małżeństwo było na zawsze już pełne miłości i wierności – dodała Nadia.

– By dziecko, które noszę w sobie, przyszło na świat zdrowe i dało mi wiele radości – szepnęła Tatiana, a słysząc to, Lena, Wiera i Nadia rzuciły się na nią z piskiem, całując i obejmując, nie zważając na powagę ceremoniału.

Londyn,

październik 1990

18 dni do meczu o mistrzostwo świata

W Londynie podczas promocji swojej ostatniej książki poświęconej związkom sztuki z szachami, którą dedykował pamięci swojej matki, Klary Dmitrijewny, Romancew rozegrał kilka partii pokazowych. Wygłosił również dwie prelekcje: w King's College i London School of Economics. Szacunek i podziw, z jakimi się spotkał w Londynie, dodawały mu pewności siebie i pozwalały wierzyć, że jest w stanie pokonać nawet tak wymagającego rywala, jakim jest Antonow.

Nowy Jork, październik 1990

Washington Square i Czwarta Ulica pełne były pasjonatów szachów, którzy odliczali czas do zbliżającego się meczu o mistrzostwo świata. Jesień tego roku była w Nowym Jorku wyjątkowo ciepła, więc w weekendy siedzieli z szachownicami i gawędząc, zabijali czas partiami blitza. Niektórzy z nich zrobili sobie z szachów źródło przychodu, namawiając spacerujących na partyjkę z pulą kilku dolarów dla zwycięzcy. Niedaleko od nich, w kierunku Thomson Street, znajdowały się urocze sklepy szachowe, które przed meczem cieszyły się znacznie większą popularnością niż zwykle, a których właściciele robili w tym czasie znakomity utarg.

Samolot Tatiany i Olega przez pół godziny krążył nad miastem z powodu korka na lotnisku Kennedy'ego. Tanię niepokoiło, że są tak nisko, a Antonow rozważał na głos, co by było, gdyby zaczęli spadać z powodu braku paliwa, czym doprowadził ją do irytacji.

Nowy Jork zrobił na nich ogromne wrażenie praktycznie od pierwszych chwil.

– To centrum świata. Czuję, że to miejsce jest stworzone dla mnie – szepnęła Oleg do Tani.

Tatiana uśmiechała się tajemniczo. Również była oczarowana Nowym Jorkiem. Jadąc wysłaną po nich przez organizatorów limuzyną, czuli tak ogromną ekscytację, że trzymając się za ręce, co pewien czas ściskali się, by wyrazić radość. Tatianie przypomniały się słowa matki, gdy dzwoniła do niej z Nowego Jorku dzień przed ucieczką Saszy. Teraz sama doświadczała tych ogromnych emocji.

Jechali Queens Boulevard w kierunku Manhattanu pod estakadą, która przywodziła im na myśl filmy gangsterskie z samochodowymi pościgami i strzelaniną. Wjechali do Queensboro.

– Niektóre duże wieżowce – zauważył Oleg – wyglądają jak u nas w Moskwie, przy prospekcie Kalinina.

– No coś ty, piękniejsze – nie zgodziła się z nim Tatiana.

Wjechali na ciasny stalowy Ed Koch Queensboro Bridge, skąd rozciągał się widok na gęsto zabudowaną nowoczesnymi wieżowcami północną część wyspy Roosevelta.

– O rany, Oleg, gdzie my jesteśmy? – szepnęła przejęta Tatiana.

Oleg zacytował słowa Horodniczego ze sztuki Gogola[59]:

– *Lubię być generałem.*

Czuli się postaciami z filmu i to było naprawdę wspaniałe uczucie. Chyba pierwszy raz oboje zrozumieli, jak znaną na świecie osobą jest Oleg. Tak wielkie miasto jak Nowy Jork przyjmowało go jako gwiazdę. Siedzieli w milczeniu, myśląc o tym i starając się odnaleźć w zupełnie nowej sytuacji.

– Czujesz to, co ja? – pytała Tatiana, ściskając jego rękę. – Czujesz to?

– Kurczę, ciarki mi chodzą po plecach.

– Ty jesteś naprawdę generałem. Antonow, ty jesteś gwiazdą.

– Właśnie. Też to zrozumiałem.

– I? I, Oleg? – dopytywała się Tatiana. – Jak się z tym czujesz?

– Cholernie dobrze, Taniu. Dobrze jak cholera... Kurde, jak cholera... A ty?

– Też – szepnęła i pocałowała go w policzek.

Ich oczom ukazały się wieżowce na Manhattanie.

– To już Manhattan – rzucił Oleg.

– Ojej. – Tatiana zagryzła wargi. – Mam ciarki na samo brzmienie tej nazwy.

Przekroczyli East River i wjechali na wyspę.

– I pomyśleć, że Indianie oddali ją Holendrom za grosze – zauważył filozoficznie Oleg.

– Tak jak my Amerykanom Alaskę.

– Właśnie. Patrz, kamienice z tymi ich stalowymi schodami przeciwpożarowymi, zupełnie jak na filmach. Jak w *Rockym*.

Jechali Sześćdziesiątą Ulicą. Pojawiły się pierwsze sklepy.

– O Boże, będę tu biegać po sklepach – zapowiedziała ucieszona Tatiana. – Wydam wszystko, co zarobisz.

– A wydawaj sobie.

Dojechali w okolice Doris Freedman Street z jej potężnymi jasnoszarymi budynkami, które przypominały ściany wąskiego kanionu, by chwilę potem znaleźć się w rozległej „dolinie” Grand Army Plaza.

– Tu bym się pogubił. Co za miasto.

– Patrz. – Tatiana wskazała ręką. – Dorożki.

Wzdłuż parku stały jedna za drugą eleganckie dorożki, z odświeżniami ubranymi

woźnicami.

– Przejedziemy się potem? – spytała. – Jechałam taką w Wiedniu. Było pięknie.

Skęcili w Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę przy Central Parku. Czuli ruch i dynamikę miasta, czuli jego tętno.

– Nowy Jork to najlepsze miejsce do rozegrania takiego meczu jak ten – odezwał się Oleg, spoglądając na zieleń Central Parku. – To będzie wielki mecz, Taniu. Czuję to. W takim miejscu nie może być inaczej.

– To jest ten sławny Central Park. W każdym filmie, który dzieje się w Nowym Jorku, wymieniają Central Park.

– Jak nasz park Gorkiego.

– Spójrz, jaki zadbany. Cudownie, że będziemy mieszkać naprzeciwko.

– Będę miał gdzie biegać.

Samochód skręcił w prawo w Central Park West. W kiosku z gazetami zobaczyli okładki kolorowych czasopism.

– Widziałaś? Al Pacino z trzeciej części *Ojca Chrzestnego*.

– Gdzie?

– Tam, na okładce pisma.

– Jak zdążyłeś to zobaczyć, mój geniuszu? Pójdziemy do kina na *Chłopców z ferajny* Martina Scorsese?

– A nie wystarczy ci nasza ferajna? Ja, Zwieriew, Denisow i Arszak?

– Wariat. Nie licz na to, że będę siedzieć z wami, dziadami, i debatować o debiutach. Mam już w głowie cały plan. Hotel załatwił mi nawet bilety na premierę musicalu w Shubert Theatre na Broadwayu[60]. Nie będę marnować czasu, gdy mam przed sobą Nowy Jork. Butiki, teatry, muzea i galerie.

– Ech, wy kobiety... – westchnął.

– Ech, New York, New York – westchnęła Tatiana i zaśpiewała po angielsku:

Start spreadin' the news

I'm leaving today

I want to be a part of it

New York, New York...

– Wiesz, Oleg, co jest najpiękniejsze? Że jutro obudzę się w mieście, które nigdy nie śpi. W Wielkim Jabłku. Jestem szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa i teraz wiem, że wygrasz. Wiem.

– Ale jesteś seksowna, kiedy śpiewasz po angielsku. – Oleg nachylił się do niej.
– Kociak.

Limuzyna podjechała pod hotel.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Złe skojarzenia? – spytał, widząc niepewną minę Tatiany.

– Trochę, trochę. – Przygryzła wargi. – Ale wiesz co? – Odwróciła się w jego stronę, a w jej oczach pojawiły się iskierki. – Powtarzam sobie w takich chwilach zdanie z *Wielkiego Gatsby'ego*: *Tak oto dążymy naprzód, kierując łodzie pod prąd, który nieustannie znosi nas w przeszłość*[61].

Osiemnastopiętrowy budynek hotelu Mayflower czekał na ich przyjęcie z całym jego wysublimowanym luksusem. Oleg śmiał się na widok apartamentu, który dla nich zarezerwowano, i żartował, że nogi potrafią zaboлеć, zanim się dojdzie do sypialni. Ukradkiem, kiedy Tani nie było w pokoju, zadzwonił do matki, żeby się pochwalić. Czuł się jak król. Uświadomił sobie, jak daleko zaszedł. Grał o mistrzostwo świata, o tytuł najlepszego gracza na ziemi.

Ekipa obrońcy tytułu oraz sekundanci Olega przybyli na miejsce dwa dni wcześniej. Wszyscy nie mogli się już doczekać zbliżającej się batalii.

Limuzyna Romancewa pędziła przez Broadway, następnie skręciła w prawo i zataczając pętlę, przejechała obok Madison Square Garden, by mijając największy na świecie dom handlowy Macy's, dotrzeć do Empire State Building. Romancew pogrążony był w myślach, gdy podchodził do kolejki czekającej na windę. Po drodze przesiadł się do drugiej windy i dotarł w końcu na osiemdziesiąte szóste piętro, skąd rozpościerał się widok na rozświetlony tysiącami świateł Nowy Jork, który przyjął purpurową barwę od promieni zachodzącego słońca. Rzeczywiście, tak jak mu mówiono w hotelu, panorama była niesamowita. Bezchmurne niebo miało ciemnoróżową barwę, gdzieś z domieszką fioletu. Dookoła rozciągał się widok na niemal całe miasto. Budynek w dole wydawały się maleńkie, aż ciężko było uwierzyć, że w rzeczywistości mają po czterdzieści pięter. Turyści wokół niego robili masę zdjęć. A on spoglądał na Dolny Manhattan, Staten Island oraz Statuę Wolności i myślał o Tatianie. Jej widok u boku Antonowa był tak porażający, że czuł rozdzierający duszę smutek, a jednocześnie nienawiść to tego bezczelnego, prymitywnego syna boksera. To był cios, który odbierał siły, cios, którego się w żaden sposób nie spodziewał.

Zjadł lunch w Keens Steakhouse. Gdy wszedł do sali Lincolna i zobaczył stojący fortepian, pomyślał o Isabel, o tych wszystkich słowach, o życiu, pasji, miłości, które w tej właśnie chwili stały się tragikomiczną farsą, drwiną z jego marzeń. Nie chciał wracać do hotelu. Bał się spotkania z nią. Myślał nawet, czy nie szukać innego miejsca dla siebie i ekipy, ale niechybnie wyszedłby na melodramatycznego pajaca i mecz byłby przegrany.

Kazał się zawieźć na Brooklyn Bridge. Stojąc przy tym monumentalnym symbolu Nowego Jorku łączącym Brooklyn z Manhattanem, pomyślał, że ma złamane serce jak bohaterowie filmów, którzy stali w tym miejscu, patrząc na spokojny nurt East River. Kilka metrów obok nieprzerwany sznur samochodów

przemierzał Nowy Jork z zachodu na wschód i z powrotem. Romancew spojrział na otaczający go, ciągnący dokądś tłum ludzi. Wyglądali tak, jakby poruszali się dwa razy szybciej niż mieszkańcy Europy. Potężne wieżowce, ustawione niczym gigantycznych rozmiarów klocki lego, wydały mu się ponurymi kamiennymi sarkofagami przygniatającymi jego zrujnowaną rozczarowaniami duszę.

Następnego ranka Tatiana ruszyła na podbój Piątej Alei, twierdząc, że jest to miejsce, w którym powinna robić zakupy każda elegancka kobieta.

Mecz o szachowe mistrzostwo świata

Nowy Jork, listopad 1990

Partia pierwsza: partia hiszpańska, obrona berlińska
białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Godzina 16.50

Michael Green: Dobry wieczór, panie i panowie, nazywam się Michael Green i jak wielu z was zapewne wie, na co dzień jestem komentatorem wydarzeń sportowych dla kilku stacji telewizyjnych. Dziś spotyka mnie przyjemność zmierzenia się z wyzwaniem, jakiego w mojej profesjonalnej karierze jeszcze nie doświadczyłem, a jakim jest komentowanie rozgrywki, która ma charakter zarówno gry sportowej, jak i potyczki psychologicznej i umysłowej. Mówię o meczu o mistrzostwo świata w szachach pomiędzy dwoma geniuszami tej gry: obrońcą tytułu Anatolijem Romancewem, który grać będzie w barwach Francji, i Olegiem Antonowem reprezentującym Związek Radziecki. Wierzę, że czeka nas dziś niezapomniany wieczór. Jest obok mnie arcymistrz John Serewan, który specjalnie dla państwa będzie przewodnikiem po arkanach sztuki szachowej i bez którego nigdy nie odważyłbym się zasiąść do mikrofonu, by komentować rozgrywki szachowe.

John Serewan: Dobry wieczór.

Michael Green: Obecnie znajdujemy się z Johnem na sto siódmym piętrze wieży World Trade Center w Nowym Jorku, w sali, która na co dzień służy za taras widokowy. Wierście mi, nie bez przyczyny. Widok, jaki rozpościera się stąd na rozświetlony nocą Nowy Jork, zapiera dech w piersiach. Zgodzisz się ze mną, John?

John Serewan: Absolutnie. Nie mogę wyobrazić sobie piękniejszej oprawy dla czekającego nas wydarzenia.

Michael Green: Dodajmy jeszcze, że mecz, który wspólnie z Johnem będziemy komentować, budzi ogromne zainteresowanie słuchaczy radiowych zarówno w Ameryce, jak i w Europie. John, przyznam ci się, że kiedy zaproponowano mi komentowanie meczu szachowego, pomyślałem: nie dam rady, przecież ja w ogóle nie znam się na szachach. Jak wiesz, relacjonowałem dotąd inne wydarzenia sportowe: walki bokserskie, finały koszykówki czy nawet Super Bowl. Ale szachy? Nie, to wydało mi się tak trudne do komentowania, że w pierwszej chwili odmówiłem. Ale krążyłem wokół tematu, czytałem trochę na temat szachów, czytałem o dzisiejszych aktorach, których za chwilę zobaczymy,

Anatoliju Romancewie i Olegu Antonowie, i zaczynałem się krok po kroku przekonywać do podjęcia tego wyzwania. Pamiętam artykuł Janet Waytt w „New York Timesie”, w którym pisała o Olegu Antonowie, przepowiadając zmiany w Rosji. Dziś jesteśmy świadkami tych dziejowych zmian i jednocześnie świadkami pojedynku dwóch szachowych tytanów, w którym Oleg Antonow nie stoi chyba na straconej pozycji?

John Serewan: Tak, w pełni się z tobą zgadzam. Możemy sobie wyobrazić, że w ich umysłach rozgrywa się finał bokserskiej wagi ciężkiej. Zadają sobie podobne ciosy za pomocą figur. Podobna jest też strategia. Romancew przypomina zapaśnika, zbliża się, dusi, stosuje dźwignię. Antonow to raczej mistrz jujitsu. Jest cały czas w ruchu. Pamiętasz pojedynek bokserski Marvin Haglera z Rayem Sugarem Leonardem? Hagler to Romancew, Sugar Leonard to Antonow. Romancew to gracz obdarzony wspaniałą intuicją, opanowany, dysponujący genialną techniką. Jego rywal to błyskotliwy geniusz, nieprzewidywalny, wiecznie szukający aktywnych pozycji, komplikacji. Przez te cechy Antonow jest bardziej podatny na nastrój danego dnia, jego gra w dużym stopniu zależy od natchnienia lub jego braku. To niebezpieczne. Romancew gra równiej, choć kiedy przypomnimy sobie ich mecz w Moskwie, w finale cyklu pretendenckiego, Romancew w przedziwnie łatwy sposób roztrwonił zdobytą przewagę. W ogóle tamten mecz stanowi do dzisiejszego dnia niewyjaśnioną zagadkę, której szczegóły zapewne znajdują się w teczce opatrzonej napisem „Tajne”, gdzieś w szufladach KGB.

Michael Green: Co się wówczas wydarzyło w Moskwie?

John Serewan: Nie jest to jasne, Mike. Bardzo dziwna historia. Do dziś nie wiadomo, dlaczego Antonow, który przejął wyraźną inicjatywę w tamtym meczu, nie pojawił się na ostatniej partii i oddał ją walkowerem, przegrywając w ten sposób cały mecz. Być może zdecydował ten czynnik, o którym wspominałem, zmienność nastrojów, brak natchnienia, który pociągnął za sobą utratę wiary we własne możliwości twórcze. Sam Antonow milczy na ten temat.

Michael Green: To wszystko, co mówisz, John, sprawia, że nie mogę się doczekać tego, co się za chwilę wydarzy. Spoglądam na zegarek. Zostały już tylko minuty do rozpoczęcia pojedynku. Mam nadzieję, że na bieżąco będziesz nam wyjaśniał wszystkie podteksty i wydarzenia dziejące się na szachownicy.

John Serewan: Oczywiście, Mike. Będę starał się opowiadać o przebiegu partii w sposób jak najbardziej przystępny, skupiając się na strategii, taktyce i motywach psychologicznych.

Michael Green: John, muszę ci przerwać, bo na scenę wchodzi pretendent, Oleg Antonow. Publiczność wita go gromkimi brawami.

John Serewan: Tak, tradycją jest, że pretendent przychodzi pierwszy i chwilę czeka na mistrza świata.

Michael Green: Co powiesz o nastawieniu Antonowa? Czy ze sposobu, w jaki się

zachowuje, można coś wywnioskować?

John Serewan: Wydaje mi się, że jest dziś w dobrej formie. Nie widać, by był szczególnie stremowany.

Michael Green: Jest mistrz świata. Szybki uścisk dłoni. Nie nazwałbym tego serdecznym powitaniem, nawet na siebie nie spojrzeli.

John Serewan: No wiesz, wydaje mi się, że mają powody, by się nie darzyć sympatią.

Michael Green: Zaczęli grę.

John Serewan: Tak. Antonow wybrał ruch pionem królewskim, prowokując wybór przez Romancewa jego ukochanego otwarcia Ruya Lópeza. Debiut, zwany też partią hiszpańską, wynaleziony przez hiszpańskiego mnicha Ruya Lópeza de Segura w szesnastym wieku, stanowi jedno z najpopularniejszych otwarć szachowych. Romancew stosuje je z powodzeniem od wielu lat.

Michael Green: Czemu więc Antonow wkłada rękę do nory kobry?

John Serewan: Świetne pytanie, Mike. Dla mnie to oczywista prowokacja i komunikat: „Jestem na tyle mocny, aby grać na twoim podwórku”. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Romancew wybrał wariant zwany obroną berlińską.

Michael Green: Słowem: mur berliński.

John Serewan: Nie mylisz się, Mike. W tym wariacie białym bardzo ciężko przebić się przez obronę czarnych, stąd szachiści zwykli nazywać ten wariant również murem berlińskim.

Michael Green: Ale przecież Antonow to „dziecko pieriestrojki”. Może obali mur berliński, jak dokonali tego w zeszłym roku mieszkańcy Berlina.

John Serewan: Romancew doskonale dopasował debiut do swojego stylu gry. Już w ósmym posunięciu nastąpiła wymiana królowych, najsilniejszych figur. To tak, jakby w koszykówce Lakersi i Bulls ustalili, że z parkietu schodzą Magic Johnson i Michael Jordan. Minusem dla czarnych jest to, że ich król zostaje w środku, nie ma szans na rozadę, nie schowa się za pionami. Pytanie, czy Antonow zdoła to wykorzystać. Romancew próbuje uzyskać przestrzeń dla swoich figur, przede wszystkim aktywizując swoje gońce. W odpowiedzi Antonow zastosował nowe, agresywne zagranie pionem na pole g4, przygotowane chyba specjalnie na ten wieczór. Nikt wcześniej nie grał w tej pozycji w ten sposób. To na pewno niemiła niespodzianka dla Romancewa, który zadumał się, i sądzę, że trochę potrwa, zanim zdecyduje się na linię obrony.

Michael Green: John, przerywamy więc na chwilę naszą relację i powrócimy, gdy będziemy mogli przekazać naszym słuchaczom, jaką decyzję podjął Romancew i co dzieje się dalej w pierwszej partii meczu o szachowe mistrzostwo świata rozgrywanego na sto siódmym piętrze nowojorskiej World Trade Center.

Michael Green: Witamy was ponownie po niemal półgodzinnej przerwie, podczas której Romancew zastanawiał się nad swoim następnym posunięciem. Przyznasz, John, że to niefrasobliwe roztrwonienie cennego czasu? Wracasz prosto z centrum prasowego, gdzie wielu arcymistrzów analizuje przebieg partii. Jakie są komentarze?

John Serewan: Tak, niewątpliwie pół godziny na jedno posunięcie to przesada.

Michael Green: Przypomnijmy słuchaczom, że gracze mają dwie i pół godziny na czterdzieści posunięć, a więc jedną piątą tego czasu Romancew zużył na zaledwie jeden ruch.

John Serewan: I to się może później na nim zemścić. Niemniej jednak Romancew znalazł się w niełatwej sytuacji psychologicznej. Zdał sobie sprawę, że trafił na grunt dobrze przygotowany przez Antonowa, który zapewne przewidział jego kolejne posunięcia na długo przed tą partią. To paraliżuje i mocno osłabia pewność siebie. Zwykle w zetknięciu z nowinką Romancew odpowiadał szybko, tym razem było inaczej. Od początku zresztą dał się zepchnąć do zupełnie biernej obrony bez szans na kontratak. Taka strategia w zetknięciu z Antonowem zawsze kończy się katastrofą. Spójrzmy na nich. Antonow podekscytowany, Romancew wyraźnie zgaszony, bez wiary. Uuu, widzę grubą błąd Romancewa. Chcąc za szybko zredukować napięcie na szachownicy, nie zauważył prostego motywu „związanego pionka”. Król pozostawiony w centrum i atak białych wież Antonowa powodują, że partia krok po kroku zmierza do rozstrzygnięcia. Tak. Romancew broni się bez wiary. Drobne niedokładności ułatwiają Antonowowi realizację przewagi. To będzie łatwa wygrana Antonowa i nieodparcie ciśnie mi się na usta określenie – partia w stylu Romancewa. Z pełną kontrolą tego, co dzieje się na desce, od początku do końca. Wyśmienita gra.

Michael Green: John, zdaje się, że to koniec. Romancew właśnie zatrzymał zegar i podał rękę Antonowowi.

John Serewan: Tak, rzeczywiście, Romancew się poddał. A więc sensacyjny początek: jeden do zera dla pretendenta.

Michael Green: Myślę, że po takim wstępie będzie to niebywale ciekawy mecz. Chyba nikt się nie spodziewał, że Antonow obejmie prowadzenie już w pierwszej partii.

John Serewan: Tak, to na pewno będzie zacięty mecz, obaj gracze, tak różni, mają sobie wiele do udowodnienia.

Michael Green: Powiedziałaś, że obaj gracze są zupełnie różni. Czy możesz wyjaśnić to naszym słuchaczom?

John Serewan: Tak, Antonow jest zupełnym przeciwieństwem Romancewa. Chyba jedyne, co ich łączy, to miłość do szachów i to, że obaj grają

wyśmienie, ale każdy w zupełnie innym stylu. Ich biografie również się zasadniczo różnią. Romancew pochodzi z rodziny inteligenckiej, jego ojciec był profesorem ekonomii, doradcą rządu, matka – znaną pianistką. Tymczasem Antonow to półsierota, jego ojciec uprawiał boks, ale zmarł, gdy syn miał kilka lat. Romancew był pupilem władz komunistycznych, znał wielu dygnitarzy, chodzą plotki, że grywał wieczorami w szachy z ówczesnym pierwszym sekretarzem Breżniewem. I być może ta znajomość i pochodzenie sprawiły, że w zmieniającym się kraju Romancew nie znajdował już dla siebie miejsca i opuścił Rosję. Jak było naprawdę, nie wiemy, jest faktem, iż Romancew na stałe mieszka w Paryżu i reprezentuje barwy Francji. Tymczasem Antonow, który nie cieszył się nigdy przychylnością władz, był kilka razy zatrzymywany przez milicję za udział w bójkach i manifestacjach, deklaruje, że nigdy nie byłby w stanie żyć poza Rosją. Romancew to człowiek stonowany, raczej zamknięty, zimnokrwisty, Antonow – przeciwnie, istny wulkan. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że szachy są zwierciadłem duszy. W stylu gry obu szachistów widać ich cechy charakteru.

Michael Green: A jak było w dzisiejszej partii?

John Serewan: Moim zdaniem Romancew czuł się dziś słaby, a nowinka, którą zastosował Antonow, całkowicie pozbawiła go wiary we własne siły i umiejętności, poddał się mentalnie o wiele wcześniej, niż przegrał.

Michael Green: Kiedy cię słucham, nie mogę się doczekać tego, co wydarzy się dalej. Jak sądzisz, co czeka nas jutro? Czy Romancew zdoła się podnieść?

John Serewan: Nie ma wyboru. Mecz dopiero się zaczął. Jeśli zbierze się w sobie, możemy być świadkami bardzo ciekawego pojedynku, tym bardziej że będzie grał białymi. Od razu muszę jednak uprzedzić, iż Romancew nie rzuci się do frontalnego ataku, by odrabiać straty. To nie leży w jego charakterze. Zresztą stara radziecka szkoła szachowa uczyła, że po porażce nie należy natychmiast szukać rewanzu, bo gniew i pośpiech zaślepiają.

Michael Green: A więc czekamy na drugą partię. A za dzisiejszy wspólny wieczór dziękują:

John Serewan: John Serewan.

Michael Green: I Michael Green. Spotykamy się jutro. Na razie jeden do zera dla Olega Antonowa.

– I? – spytał Oleg, patrząc w jej oczy, gdy zostali sami.

– No, co mogę powiedzieć? – Tatiana się uśmiechnęła. – Wow! Jesteś wielki!

Przyjął komplement z zadowoleniem.

– Czuję się zmęczony. – Zmarszczył czoło. – Ale dziś wiedziałem, że jest mój. Wiedziałem od pierwszej chwili, gdy wszedł. Został jeszcze szampan?

– Denisow opróżnił butelkę do końca.

- Zamówię drugi.
 - Nie powinienes pić podczas meczu.
 - To tylko szampan. Nawet taka zimna jak dziś, jesteś pociągająca do szaleństwa.
 - Nie, nie jestem zimna. Bardzo przeżywałam twoją grę, a teraz kiepsko się czuję. To wszystko.
- Oleg zadzwonił na recepcję.
- Poprosimy jeszcze butelkę Dom Pérignon.
- Przebrał się w szlafrok.
- Czujesz się źle? Jak to możliwe, że w dniu, w którym ja wygrywam, ty czujesz się źle?
 - Nie wiem, jak to możliwe.
 - Ja też. Idę, napełnię wody do wanny. Chcesz też?
 - Nie.
 - Gdy przyniosą szampana, niech go otworzą.

Partia druga: obrona Grünfelda

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Rano Antonow spotkał się z Janet Waytt, by udzielić wywiadu dla „New York Timesa”. Janet wyszła za prawnika z kancelarii Latham & Watkins. Przeniosła się do nowego mieszkania. Urodziła syna i planowała jeszcze jedno dziecko. Pomimo kilku serdeczności, był między nimi dystans. Rozmawiali głównie o zmianach politycznych w ZSRR, o pieriestrojce, o deklaracjach państw bałtyckich i Gruzji dotyczących ich wyjścia ze Związku Radzieckiego.

- Romancew zagra d4, na co odpowiemy Grünfeldem – mówił na odprawie Denisow. – Nie ma możliwości, by zagrał inaczej. Nie będzie forsował biegu wydarzeń, zremisuje. Tak go nauczono. Nasza radziecka szkoła szachowa. Znasz, Oleg, to przysłowie: „Nie za to ojciec bił syna, że grał w karty, ale za to, że chciał się odegrać”.

Byli opanowani.

- Czuję, że nie ma takiego posunięcia, którego nie mógłbym przewidzieć, nie ma takiej idei, której nie mógłbym obalić – zwierzył się Oleg Aleksandrowi Władimirowiczowi. – Czuję to całym sobą.

- Pracowaliśmy na to bardzo długo. – Zwieriew pokiwał głową z uznaniem. – Wykorzystaj wszystko, czego się nauczyłeś, chwyć ten wiatr w żagiel i płyń do naszego celu.

Romancew wszedł na salę z wyraźnym postanowieniem odegrania się w tej partii. Chciał ruchem e4 sprowokować Antonowa do wyboru wariantu scheveningeńskiego w obronie sycylijskiej i zagrać przeciwko koronnemu debiutowi przeciwnika wspaniałą partię, która przywróci mu wiarę we własne umiejętności i da przewagę psychologiczną na resztę meczu.

Wymienił szybki uścisk dłoni z Antonowem, usiadł do szachownicy, spojrzął na tykający zegar, potem na swoje białe figury, potem znów na zegar, ponownie omiół wzrokiem swoje ustawione w rzędzie pionki, wziął głęboki oddech i wykonał ruch pionem d4.

Godzina 18.08

John Serewan: Po godzinie gry, Mike, mamy bardzo ciekawą sytuację. Romancew, który w debiucie zaproponował nowinkę, stara się zmanifestować swój bojowy nastrój. Wcale nie oceniam tego posunięcia wysoko, ale wywołało ono swój cel. Antonow spogląda na szachownicę z dużym zdumieniem.

Michael Green: John, czy ja dobrze widzę, przecież on się śmieje? Czy to tylko grymas?

John Serewan: Faktycznie, Mike. Ja też to widzę. Najwyraźniej Antonow czuje się na tyle pewnie, by w dość teatralny sposób pokazać swojemu przeciwnikowi, że takie proste sztuczki nie robią na nim żadnego wrażenia. No, muszę przyznać: to dość niecodzienna sytuacja. Wręcz niezgodna z szachowym savoir-vivre.

Michael Green: To mnie naprawdę wciąga, jak dobra sztuka teatralna. Tylko, John, bądź naszym przewodnikiem po samej grze, objaśnij, co dzieje się w partii.

John Serewan: Typowa sytuacja w zetknięciu z nową koncepcją: obaj gracze sporo improwizują, cała seria wymian, ale ja sam trochę się gubię w domysłach. Z zachowania Romancewa wyraźnie jednak widać, że mecz nie układa się po jego myśli. Postanowił grać agresywniej. Zaskoczył Antonowa nowinką, która – jak mi się wydaje – nie była wcześniej dogłębnie przemyślana. Antonow łatwo wybroni remis. Tak, spójrz: trzykrotne powtórzenie posunięć. To w szachach oznacza remis. Spytasz, co z tego wynika? Ano to, że Romancew chciał tę partię szybko zremisować zgodnie z zasadą: po porażce remisuj niczym bokser, który klinczuje natychmiast po otrzymanym ciosie.

Michael Green: No dobrze, John, ale Romancew grał białymi. Czy nie jest tak, że na własne życzenie oddał przewagę jednego parkietu w finale NBA?

John Serewan: Słuszna uwaga. Masz rację. Nie powinien był tego robić. Łatwo nam jednak mówić. Usiądź naprzeciw Antonowa i graj z nim w szachy. Wierz mi, John, doświadczyłem tego na jednym z turniejów i nie należy to do

przyjemności. Intensywność, z jaką gra, siła jego umysłu, pewność siebie... To paraliżuje i działa niezwykle deprymująco. No i Romancew, czując, że nie może mu się przeciwstawić, wybrał wariant remisowy. Ale trzeba powiedzieć, że uczynił to w bardzo barwny sposób. Ta improwizacja z nowinką była po to, by z psychologicznego punktu widzenia na krok nie ustąpić Antonowowi. Chciał wywołać w nim choć niewielki niepokój i myślę, że mu się to udało.

Michael Green: Żartujesz, John? Przecież Antonow śmiał mu się w twarz.

John Serewan: Tak, Mike. Śmiał. Ale gdy spojrzysz na szachownicę, posunięcia zdradzają coś innego. Antonow improwizował nieśmiało i praktycznie szukał wzrokiem brzegu, by czym prędzej dopłynąć do niego i wyjść ze zbyt głębokiej wody. Po takich partiach nie wiesz, czego się spodziewać po przeciwniku. Obaj jednak zrealizowali postawione przed sobą cele: Romancew uspokoił nerwy, a zrobił to, wywołując zamieszanie w głowie rywala. Antonow obronił się, grając czarnym kolorem, i w następnej partii zapewne przystąpi do szturmu.

Michael Green: Więc nie mogę się jej doczekać! John, biegiesz jutro w maratonie?

John Serewan: Niestety, nie tym razem. Ale obiecuję sobie w przyszłym roku przygotować się solidnie.

Michael Green: Trzymam cię za słowo. A tymczasem żegnamy się z naszymi słuchaczami. Zakończoną remisem, drugą partię meczu o szachowe mistrzostwo świata komentowali dla was:

John Serewan: John Serewan.

Michael Green: I Michael Green. Do usłyszenia.

– Jestem jak ten wilk z piosenki Wysockiego – zaczął Romancew, gdy siedzieli z Olafssonem podczas nocnej analizy. – Myśliwi powiesili mu czerwoną szmatę na drzewie i choć słyszy za sobą ujadającą sforę, nie może przejść tego miejsca. Wyje, strach go przenika, a kroku nie robi. Ot, cała rosyjska dusza.

– Przecież uciekłeś stamtąd – nie zgodził się z nim Olafsson. – Przekroczyłeś tę psychologiczną granicę, wyrwałeś się na wolność.

– Ale umysłem ciągle tam tkwię. Nic się nie zmieniłem. A w dodatku mam poczucie nieuchronnej klęski. W zderzeniu z radzieckimi ludźmi czujesz, jakbyś z góry był na przegranej pozycji.

Wykorzystując moment, gdy Tatiana wyszła, Oleg zadzwonił do matki.

– Dzwonię z powodu Tani – przeszedł od razu do rzeczy. – Potrzebuję porady. To, co się tu dzieje między nami, to koszmar. Ona w ogóle nie jest myślami ze mną. Nie wiem, co to może być. Ciągle śpi, narzeka na złe samopoczucie, nie daje mi żadnego wsparcia. Wymiotuje... Nie, na pewno się nie zatrzymała... Jak to zdurniałem? W jakiej ciąży... O kurwa... No przeklinam, bo mną trząchnęło. Co

się dziwisz... Uff. Czekaj. W głowie mi się zakręciło. O kurwa. To znaczy, że będę ojcem...

Romancew siedział samotnie w pokoju. Była trzecia nad ranem, a przed nim na szachownicy stała pozycja w obronie hetmańsko-indyjskiej. Od kilku godzin starał się znaleźć plan gry dla czarnych. Zadzwoił telefon.

– Widzę u ciebie światło – zganił go Olafsson. – Znowu nocne sesje? Tony, wiesz sam, czym to się skończyło dla ciebie w Manili!

– Co myślisz o hybrydzie pomiędzy Nimzowitschem a hetmańsko-indyjską? Pamiętasz, grywano to namiętnie kilka lat temu.

– Oszalałeś, przecież grał to białymi Antonow i jego partie to klasyki gatunku!

– Wiem. Dlatego nie spodziewa się tego, a ja mam dla niego maleńką psychologiczną pułapkę. Taki drobny blef. Będzie o tym myślał i myślał, i zastanawiał się, co to znaczy. A to nic nie znaczy.

– Skąd wiesz, co on na to zagra? Że nie wybierze „hiszpanki”?

– Tak czuję. Chyba już go dobrze znam.

– No zobaczymy. Idź spać, proszę cię, Tony.

– Idę.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Partia trzecia: obrona hetmańsko-indyjska

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Tania przyglądała się Olegowi, gdy wkładał marynarkę. Pierwszy raz w życiu poczuła do niego nienawiść, życzyła mu przegranej, by cierpiał w samotności za to, że myślał wyłącznie o sobie, nie dostrzegając jej emocji.

Godzina 17.00

Michael Green: Wita was Michael Green, a wraz ze mną arcymistrz John Serewan, z którym wspólnie będziemy komentować dla was kolejną partię meczu o szachowe mistrzostwo świata.

John Serewan: Dobry wieczór, panie i panowie.

Michael Green: Jak sądzisz, co czeka nas dzisiaj?

John Serewan: Myślę, że Antonow będzie chciał odzyskać inicjatywę, w końcu ma biały kolor. Ale już po pierwszym ruchu będziemy wiedzieć, czy czuje się na siłach grać dziś o pełną pulę.

Michael Green: Już po pierwszym posunięciu?

John Serewan: Tak. Przypominasz sobie pierwszą partię? Wybór piona królewskiego w pierwszym ruchu i co za tym idzie partii hiszpańskiej gwarantuje grę bezkompromisową, pełną ostrej wymiany ciosów. Taki wybór debiutu oznaczać będzie, że Antonow jest dziś psychicznie gotów rzucić wyzwanie mistrzowi świata.

Michael Green: Rozlegają się brawa, na scenę wkroczył pretendent. Jest ubrany w tweedową marynarkę i golf. Sprawia wrażenie dość zdecydowanego. Sędzia uruchamia zegar i Antonow, nie czekając na pojawienie się mistrza świata, wykonuje pierwsze posunięcie. Posunięcie pionem królowej...

John Serewan: No cóż, Mike, dla mnie to zły prognostyk, ale może zbyt dużą wagę przywiązuję do psychologii.

Michael Green: Jest mistrz świata. Szybko uścisnął dłoń pretendenta, zapisał posunięcie i odpowiedział skoczkiem.

John Serewan: Tak, teraz obaj gracze wykonują posunięcia w ekspresowym tempie, obaj są doskonale przygotowani do tego otwarcia. To obrona hetmańsko-indyjska. Ale nie... Spoglądam na ekran i widzę, że Romancew zdecydował się na ciekawy, rzadko spotykany wariant nazywany hybrydą pomiędzy obroną hetmańsko-indyjską a Nimzowitschem. Ku mojemu zdumieniu...

Michael Green: Dlaczego?

John Serewan: Ponieważ Romancew właściwie nie grał przedtem tego wariantu, natomiast widziałem kilka znakomitych partii granych w tym debiucie przez Antonowa.

Michael Green: Pozwól mi zgadnąć: to jawna prowokacja ze strony Romancewa?

John Serewan: Oczywiście, bez dwóch zdań. Jest pewny siebie i wybierając ten wariant, mówi: „Dziś czuję się na tyle mocny, by grać na twoim polu”. To bardzo wyraźny sygnał, który, wiercie mi, podcina skrzydła przeciwnikowi.

Michael Green: Ewentualna porażka to jak porażka Lakersów we własnej hali?

John Serewan: Właśnie. Boli podwójnie i może mieć znaczenie dla całego pojedynku. Widać Romancew czuje, że sytuacja meczowa wymaga od niego odważnych decyzji.

Michael Green: Gra zmieniła teraz tempo. Pretendent obmyśla kolejne posunięcie od niemal dwudziestu minut.

John Serewan: Tak, pozycja na szachownicy jest niezwykle ciekawa i dokładnie oddaje charakter obu graczy. Białe piony Antonowa mają niespójne położenie, ale za to dają przestrzeń dla aktywnych figur. Tymczasem czarne Romancewa sprawiają wrażenie twierdzy. Jeśli spytasz mnie, kto wygra, odpowiem: ten, kto udowodni teraz wyższość swojej koncepcji. Czy białym Antonowa uda się

znaleźć lukę w zasiekach obronnych Romancewa, czy też wykrwawi się, próbując zdobyć jego pozycję i nadzieję na kontrę.

Michael Green: A więc czekajmy na to, co się wydarzy.

John Serewan: Antonow wykonał ciekawe i jak mi się zdaje rzadkie w tej pozycji posunięcie, ale spójrz... Niewiarygodne! Mistrz świata odpowiedział natychmiast, bez zastanowienia. I to w sposób, który jest tu zupełną nowinką!

Michael Green: Zerkam na Antonowa, jego reakcja nie pozostawia złudzeń, jest tym wszystkim absolutnie zszokowany. Zamiast na szachownicę, patrzy na Romacewa. Mistrz świata podniósł się, jakby uciekając przed tym przenikliwym spojrzeniem, i wyszedł za kulisy.

John Serewan: Mike, muszę cię na chwilę przeprosić i udać się do centrum prasowego, by poznać reakcję arcymistrzów. Jestem pewien, że to, co się przed chwilą zdarzyło, musiało wywołać mnóstwo komentarzy i domysłów.

Michael Green: Czekając więc na twój powrót, oddamy głos do studia.

Godzina 19.54

Michael Green: Po przerwie witamy ponownie na antenie, aby transmitować dla was przebieg trzeciej partii meczu o szachowe mistrzostwo świata. Jest już przy mnie John Serewan z nowymi wieściami.

John Serewan: Wracam właśnie z centrum prasowego. Zdaje się, że Antonow bardzo widowiskowo wybrnął z zadania, jakie postawił przed nim Romancew. W swoim stylu ofiarował piona w zamian za rozbicie struktury obronnej przeciwnika i wyraźnie przejął inicjatywę. Jest tylko jeden poważny problem – spójrz na jego zegar.

Michael Green: Faktycznie, pozostały mu dwie minuty do kontroli czasu, a ma jeszcze do wykonania czternaście posunięć. To bardzo trudna sytuacja.

John Serewan: Moim zdaniem Antonow ma wyraźną przewagę i powinien szukać drogi do zwycięstwa. Ale na przeszkodzie wygranej może stanąć czas, a właściwie jego brak.

Michael Green: Obaj grają teraz niezwykle szybko.

John Serewan: Tak, Romancew odpowiada błyskawicznie, by nie dać Antonowowi dodatkowego czasu na zastanowienie. To sprytna taktyka. Ma niewiele do stracenia, bo jego sytuacja jest fatalna.

Michael Green: Niesamowite, nie wiedziałem, że można grać w szachy tak szybko. Sześć posunięć do kontroli czasu, pięć...

John Serewan: Zwróć uwagę, że chorągiewka na zegarze Antonowa za sekundę może opaść. Jak zwykle w niedoczasie pojawia się masa niepoprawnych posunięć. Przez moment Romancew był bliski obronienia pozycji. Antonow w ciągu kilku chwil roztrwonił całą przewagę. Ale teraz Romancew zagrał

niewłaściwie i znów jego pozycja jest krytyczna. Nie obroni tego, nie wierzę. Nie. Już po partii. Antonow ma mnóstwo wariantów, by doprowadzić partię do swojej wygranej.

Michael Green: Ostatnie dwa posunięcia...

John Serewan: O mój Boże! Niewiarygodne. Antonow w pośpiechu popełnił błąd, w ostatnim ruchu, tuż przed kontrolą czasu. Romancew niespodziewanie uzyskał lepszą pozycję. Pretendent siedzi teraz i spogląda na szachownicę, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło przez te kilkadziesiąt dramatycznych sekund. Niebywałe. Miał wyraźną przewagę i teraz, gdy opadł dym po wystrzałach, sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

Michael Green: Co się dzieje? Podchodzi do nich sędzia.

John Serewan: Antonow zamierza przełożyć dogranie partii na jutro. Zapisuje tajne posunięcie i wkłada formularz do koperty. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Jak mógł roztrwonić tak miążdzącą przewagę. Dostajemy analizy z centrum prasowego, które wskazują, że Antonow miał co najmniej trzy drogi do wygranej.

Północ, pokój hotelu Mayflower

Zwieriew ciężko oddychał. W pokoju panowało milczenie. Antonow leżał na dywanie, położywszy poduszkę pod brodę, i spoglądał na szachownicę. Denisow wciąż analizował po kolei każdy wariant. Niezadowolony z wyniku, jaki otrzymywał, kłął pod nosem i zaczynał od nowa. Antonow przymknął powieki. Był myślami daleko. Myślał o czarnej przestrzeni kosmosu, o energii, która przenika wszechświat, o tym, że chciałby sobie załatwić wystrzelenie swoich prochów w przestrzeń okołozemską.

– Czy to możliwe, że moje życie może zależeć od postawienia figury na właściwym polu na szachownicy? – odezwał się nagle do Zwieriewa. – Czy to nie absurd? Podniósł głowę i spojrzał na swych przyjaciół, którzy czynili wysiłki, by uratować partię.

Okolo trzeciej nad ranem nad Nowy Jork nadciągnęła mgła. Miasto pogrążone było jeszcze we śnie. W dwóch pokojach całą noc paliły się światła. Tatiana obserwowała ich analizę, siedząc z filiżanką kawy w ręce. Miała podkrążone ze zmęczenia oczy. I nagle złapała się na myśli, że chciałaby wiedzieć, co robi Romancew, czy triumfuje, czy też cierpi, czy pragnie wparcia, czy potrzebuje współczucia. Wydało jej się, że tylko ona jedna zna go lepiej niż wszyscy, że rozumie jego wrażliwość i samotność.

Dogrywka partii trzeciej

Dogrywka trwała zaledwie kilka minut. Słabe przygotowanie i całkowity

rozstrój nerwowy sprawiły, że Antonow rzucił się w przepaść i poddał partię w obliczu nieuchronnego mata.

Partia czwarta: obrona Grünfelda

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Oleg leżał na kanapie z nogami na oparciu. Nie było z nim kontaktu. Zwieriew zrezygnował z próby przebicia się przez mur milczenia, jakim się otoczył. Po kilkunastu minutach mamrotania do siebie nad szachownicą, zebrał się i poszedł do swojego pokoju.

Denisow, stojąc pod prysznicem, zastanawiał się, czy wszystko to warte jest znoszenia tych niezliczonych humorów Antonowa, jego przekleństw miotanych pod ich adresem, oskarżeń, gdy coś nie szło tak, jak oczekiwali.

Oleg myślał, że przy Tani nigdy nie dozna tego uczucia, które skojarzyło mu się z czarną dziurą wysysającą z niego emocje.

– Jesteś? Śpisz?! – krzyknął w stronę sypialni.

– Czytam. Skończyliście?

– Nie zaczęliśmy nawet. – Poderwał się z kanapy i stanął w drzwiach.

– Jestem tym zmęczona, Oleg – rzekła, odkładając książkę. – Naprawdę bardzo zmęczona. Myślałam, że masz w sobie wolę zwycięzcy, że zamierzasz zostać mistrzem, że uparcie dążysz do celu. Pomyśl, czego chcesz od życia.

Zapadła cisza. Antonow był jeszcze bardziej rozczarowany i poczuł, że ogarnia go złość. Odwrócił się bez słowa i zamknął za sobą drzwi. Chwilę później pożałował tego, ale nie odważył się wrócić. Położył się na kanapie i z własnej bezradności gniótł poduszkę. Marzył, by ta noc wreszcie się skończyła.

– Teraz, kiedy jestem tak blisko, brakuje sił – szepnął. – Brakuje ognia...

Zamknął powieki i raz jeszcze przeżywał piekło porażki, jakiej doznał tego wieczoru, dając rywalowi wyjść na prowadzenie w meczu.

Partia piąta: partia hiszpańska

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Romancew obudził się około południa. Problemy z zasypianiem powodowały, że musiał odespać nocne godziny spędzone nad szachownicą lub z książką. Jednak tego poranka czuł się zupełnie rozbity, miał bowiem niezwykle sugestywny sen, w którym wraz z Tatianą byli z wizytą u jego matki. To było tak, jakby jego ostatnia rozmowa z matką miała swoją piękną kontynuację.

Zamówił śniadanie do pokoju. Nie miał siły wyjść i spotkać się z sekundantami. Zadzwoił do Olafssona, by odwołać zwykłą przedmeczową odprawę. Poczuł się

bardzo zmęczony, beznadziejnie zmęczony tym wszystkim, sobą, i tym, że w pogoni za sławą stracił obie kobiety, które kochał.

Godzina 21.09

John Serewan: Antonow przerzucił praktycznie wszystkie swoje siły na skrzydło królewskie i tam zamierza rozstrzygnąć grę. Wyścig z czasem. Tak to można określić. Który zdąży pierwszy. To jak bieg do bazy w baseballu. Tyle że Antonow nie biegnie, lecz poluje na okazję, by dać przeciwnikowi mata. Poczekaj, Mike, bo aż trudno mi uwierzyć w to, co się tam dzieje. Obaj gracze naprawdę przekroczyli granice ryzyka. Antonow poświęcił figurę, chcąc wydrążyć sobie w szeregach armii przeciwnika lukę, którą poprowadzi szturm. Całym swoim arsenałem atakuje króla, a pionek Romancewa dzieli tylko jeden ruch od pola przemiany. Czy zdąży go wykonać? To jakby w futbolu, skrzydłowego, po przebiegnięciu pięćdziesięciu jardów, dzieliły trzy stopy do przyłożenia. Niesamowita partia, jedna z najlepszych, jakie widziałem w swojej szachowej karierze. Obaj gracze podjęli maksymalne ryzyko. Po prostu nikt spośród arcymistrzów nie potrafi przewidzieć lub policzyć, kto ma przewagę i kto wygra. Jedni uważają, że Antonow przesadził z ryzykiem i że są szanse na obronę czarnego króla, a to oznacza końcówkę wygraną przez Romancewa, inni znów, że atak będzie dla czarnych śmiertelny. Co za nerwy. Kolejne śmiałe posunięcia Antonowa! Teraz mogę powiedzieć, że pozycja czarnych jest zupełnie rozbita. Król otoczony. Totalne, powtarzam, totalne zwycięstwo Antonowa, jedna z jego nieśmiertelnych partii. Brak mi słów, by opisać podziw dla tego, jak to dziś rozegrał. Fantazja, wiara w siebie, pełne ryzyko, absolutna kontrola i stalowe nerwy. Ciśnie mi się na usta tylko jedno słowo: fenomenalne!

Michael Green: To znaczy, że mamy remis w całym meczu i trzy partie do zakończenia.

John Serewan: Tak, tak. Przy tym końcowym remisie Romancew zachowa tytuł. Ale ja nie wierzę, że to się tak skończy. Nie po tym, co dziś widziałem. Mike, tu się jeszcze będą działy niezwykle rzeczy. To pewne. Pamiętaj, że dwa razy białymi gra Romancew. To oznacza, że ma dwie szanse na wygraną! Uff... to była naprawdę fantastyczna partia.

Michael Green: A więc przed nami fascynująca końcówka. Kto z nich wygra? Odpowiedź poznamy niebawem. A dziś za wspólnie spędzony czas dziękuję wam...

John Serewan: John Serewan.

Michael Green: I Michael Green. Do usłyszenia!

– Mordo, morduchno. – Denisow całował Olega z dubeltówki. – O mało nie zawariowaliśmy z Saszą z tych nerwów. Biegłem do ciebie, aż buta zgubiłem.

Całkiem jestem skołtuniony z emocji.

– Jestem z ciebie dumna, Oleg – szepnęła Tatiana, całując go w policzek i biorąc pod ramię.

– Towarzyszu Antonow – wołał, śmiejąc się na całe gardło Zwieriew, któremu koszula wyszła ze spodni, a rozluźniony krawat zwisał niemal od połowy piersi – dostaniecie za to Order Lenina!

Oleg uśmiechał się nieprzytomnie. Całą swoją energię pozostawił przy szachownicy i czuł, że zaraz serce stanie mu z wysiłku, jaki musiał włożyć w tę partię.

Partia szósta: obrona królewsko-indyjska
białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Ktoś zapukał do drzwi pokoju Zwieriewa. Trener wstał ciężko z kanapy i poszedł otworzyć. Na korytarzu stał Denisow.

– A to ty, Alosza – przywitał przyjaciela zmęczonym głosem. – No, czego tam?

– Olega szukałem – odrzekł Denisow, wchodząc do środka.

– Na masaż poszedł. Zrelaksować się przed partią.

Zwieriew usiadł z powrotem.

– Sasza, ty pijesz od rana? – zdziwił się Denisow, widząc opróżnioną do połowy butelkę whisky. – I to co? Whisky? – Usiadł przy Zwieriewie, odkręcił butelkę i powąchał. Toż chociaż koniak byś pił, co to za zachodnie zwyczaje cię opanowały?

– Za drogi był. Wziąłem najtańsze, co mieli.

– Spróbuję. – Denisow nalał sobie do szklanki i wychylił. Poruszał językiem, testując smak. – Wolę nasze, ruskie. No dobra, Sasza, co się dzieje?

– Tak sobie myślę, Alosza, że nie możemy temu naszemu chłopakowi pomóc. Stare grzyby z nas i nie ta liga.

– Mów za siebie. Ja się dobrze czuję tu, gdzie jestem.

– A ja mam do siebie żal – oświadczył Zwieriew. – Powinienem być zrezygnować, dać mu szansę wziąć kogoś lepszego. Co my się, stary, znamy na trenowaniu mistrzów świata? My jak Janowski, w domu kultury dzieciaki możemy uczyć gry, a tu jest mecz o wszystko, o świat cały.

– Sasza, pozwolisz, poczęstuję się jeszcze. – Denisow nalał whisky do szklanki, tym razem wypełniając ją prawie po brzegi. – A teraz dobrze posłuchaj i wbij sobie w ten zakuty ruski łeb: Ty go znalazłeś, ty go uczyłeś wszystkiego od dzieciaka, nie traciłeś ducha, jak mu nie szło. Bez ciebie nie byłby tu, gdzie jest. Więc nie mów mi o starości, że nie ten poziom i takie tam pierdoły.

– Ale nie daję rady pomóc mu teraz wygrać. Jest tak blisko...

– Ty mi tu nie siej defetyzmu jak prowokator jakiś, bo pod ścianę zaraz postawię i rozstrzelam. – Denisow zerwał się z kanapy i opróżnił szklankę. – Idę po tego młodego sukinsyna, przyprowadzę go tu zaraz, masz się doprowadzić do ładu i zaczynamy odprawę. Gramy dziś królewsko-indyjską.

– Jaką znowu królewsko-indyjską? Denisow, rozum postradałeś? Oleg gra Grünfelda. A i tak Romancew zagra e4 i będzie sycylijska.

– A gównie – rozeźlił się Denisow. – Jak go znam, to nie będzie ryzykował, bojąc się dwóch porażek z rzędu. Zagra spokojnie, spodziewając się Grünfelda. No to my go bęc. Już ja się zmówię z Olegiem. Ty o nic nie pytaj, Sasza. Nie komentuj. Już my Romancewowi pokażemy, że skończyła się zabawa, że dotąd boksowaliśmy tylko lewą ręką, a teraz wyciągniemy zza pleców prawą. Chowaj butelkę i się ogarnij. Wszystko obmyśliłem przy goleniu. Idę po niego. A za defetyzm: rozstrzelam!

Godzina 18.12

Michael Green: John, minęła godzina gry, czy możemy cię prosić o skomentowanie tego, co dzieje się na szachownicy? Wiemy już o zaskakującej zmianie debiutu przez pretendenta i wyborze obrony królewsko-indyjskiej. I co dalej?

John Serewan: Nie mogę ci nic wyjaśnić, Mike. Chciałbym, ale nie mogę. Nie potrafię. Ta partia dla mnie, jako komentatora, to istny koszmar, bo nic z niej nie rozumiem. Siedzę od kilkunastu minut i staram się przewidzieć kolejne posunięcia i myślę się za każdym razem. Po kolei: Antonow w grze środkowej, a praktycznie prawie w debiucie, poświęcił kolejno jakość, wymieniając swoją wieżę na gońca, a potem swoją najsilniejszą figurę – królową – za wieżę i skoczka. Słowem, jest taka asymetria w jakości figur, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem w żadnej partii szachowej. Ja osobiście straciłem kompletnie kontrolę nad tym, co się dzieje, i muszę przyznać słuchaczom, że dla mnie tę partię grają lunatycy, gdzieś na księżycu, dokąd moja wyobraźnia po prostu nie sięga. To już pojedynek intuicji, nie tylko liczenie wariantów. Grają jak natchnieni i widzą znacznie więcej niż ja. Posługują się obcym dla mnie językiem.

Michael Green: Nie wiem, co powiedzieć, John.

John Serewan: Ja też nie, Mike. Intuicyjnie, tak jak to rozumiem, wydaje mi się, że Antonow znalazł jakby sekretny kod do pozycji, realizuje plan polegający na pozbawieniu figur Romancewa przestrzeni, na pozbawieniu ich mocy. Tak, jakbyś z pomocą grupki komandosów unieszkodliwił czołgi przeciwnika, pozbawiając je amunicji i benzyny. I w ten sposób rozumiem owe tak niesymetryczne wymiany. Po prostu Romancew dysponuje przewagą, ale

jedynie teoretycznie, ponieważ brakuje mu amunicji, przestrzeni, możliwości ataku. To jest niebywałe. Ma martwe figury. Antonow wykorzystał geometrię szachownicy, widzi tę pozycję jak komputer budujący grafikę przestrzenną. Dzięki swojemu geniuszowi potrafił odmienić proste zasady szachowe, relatywizując wartość figur, w zależności od ich pozycji w przestrzeni, ba, ośmielę się powiedzieć: czasoprzestrzeni, bo ruch figur jest poddany ustalonej kolejności posunięć i w tym znaczeniu ich działanie podlega ograniczeniom czasu. W tej wielowymiarowej łamigłówce postawił wiele zasadzek, w które – nie znając owego sekretne go kodu – niechybnie większość szachistów by powpadała. Ale Romancew przeniknął te tajemnice i porusza się po labiryncie, rozumiejąc grożące mu ryzyko. Za cenę oddania królowej wyrównał nieco pozycję i obaj przechodzą do końcówki. Wydaje mi się, że remisowej. Romancew nadal ma wieżę i skoczką, a Antonow parę gońców i skoczką, do tego jego piony są daleko bardziej zaawansowane w marszu do pola przemiany. I znowu niebywała sytuacja! Romancew tym razem musi oddać wieżę za gońca. Powstaje nieco szalona końcówka, w której Antonow ma o jedną figurę więcej, ale przy układzie skoczek i goniec przeciwko skoczkowi, bez pionów, czarnym nie uda się zamatować przeciwnika. Mamy remis. Powiem ci, Mike, myślałem, że znam się na szachach i widziałem prawie wszystko, ale ta partia na długo będzie dla mnie zagadką.

Michael Green: John, wydaje mi się, że w ostatnich dwóch partiach może się jeszcze dużo zdarzyć.

John Serewan: Tak, Mike. Nie wiem, co się stanie, nie wiem, kto wygra, nie potrafię też przewidzieć, dlaczego któryś z nich wygra i jak tego dokona. Po tej partii już nie.

Michael Green: Czekajmy więc, co przyniesie siódma partia. Z wieży World Trade Center żegnają was, dosłownie zszokowani dzisiejszą grą...

John Serewan: John Serewan.

Michael Green: I Michael Green. Do usłyszenia!

Tania spędziła wieczór na marzeniu o domu, który kupią, kiedy to wszystko się skończy. Bawiła się w myślach wybieraniem imienia dla dziecka. Chciała mu opowiedzieć o tym, co się z nią dzieje, jak bardzo wypełniają ją emocje, ale bała się zwracać mu głowę.

Partia siódma: obrona Caro-Kann

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Tatiana przymknęła dyskretnie drzwi do sypialni. Usiadła z filiżanką herbaty i przebierała się na wieczór, by udać się na Broadway na sztukę *Six Degrees of*

Separation.

Antonow musiał wygrać swoją partię białymi i starać się o remis w ostatniej, w której grał czarnymi.

– Grać na e4 pionem królewskim i liczyć na ostrą grę w partii hiszpańskiej? – zastanawiał się głośno.

– Nie zagra „hiszpanki”. – Denisow pokręcił głową. – Zagra Caro-Kann. Schowa się pod pancierz, nie wyściubi nosa. Jest blisko celu i to go paraliżuje. Będzie grał biernie i marzył o remisie. Może liczy, że zaatakujesz jak wariat, i znajdzie sposobność do kontry. Do tego też lepszy jest Caro-Kann.

– To może d4? – rzucił Zwieriew.

– Nie, przyjaciele. – Denisow uśmiechnął się chytrze. – Damy mu zagrać Caro-Kann. Pozwolimy, by schował się w skorupie, nie zaatakujemy, będziemy czekać, będziemy, krok po kroku, obchodzić go ze wszystkich stron, wywoływać w nim wewnętrzną presję, a kiedy poczuje się dostatecznie zmęczony, wyczerpany, kiedy już będzie widział swoje zwycięstwo, swój tytuł na wyciągnięcie ręki, zaczaiemy się jakby z dala. Nie wytrzyma. Będzie chciał już to skończyć, odpocząć. W końcu wyściubi głowę, by sprawdzić, czy jest bezpieczny, i wówczas doskoczymy do niego i chap. Pożremy go! Tak robią lisy.

– Więc gramy e4 – zgodził się Antonow.

– I jeszcze jedno – wrócił do swojej myśli Denisow. – Szukając tego upragnionego remisu, wytworzy w sobie tak ogromne ciśnienie, że każde posunięcie będzie analizował po sto razy, czy przypadkiem nie robi jakiegoś błędu, który pozbawi go sukcesu. A zegar będzie tykał. Pojawi się niedoczas, zacznie się denerwować, będzie miał problemy z koncentracją. Ale twoje zadanie, Oleg, to systematycznie, dyskretnie i bezwzględnie ten jego wyśniony cel oddalać, dręczyć go, by czuł znużenie, próbował na siłę szukać rozwiązania i w nadziei na uzyskanie szybkiego remisu, tracił obiektywizm w ocenie sytuacji. To nie będzie Oleg Antonow, którego już zdążył poznać, to będzie zimnokrwisty Antonow, bezwzględnie czyhający na jego błąd, cierpliwie splatający sieć wokół ofiary.

Godzina 16.54

Michael Green: John, powoli zbliżamy się do wielkiego finału. Przed wejściem na antenę powiedziałeś mi, że jeżeli tej partii Antonow nie wygra, to jest po meczu.

John Serewan: Tak, Mike. Wiele było w tej rywalizacji niezwykłych momentów, ale ja wierzę, że Romancew, grając ostatnią partię białymi i wiedząc, że nie musi atakować, bo wystarczy mu remis, nie przegra jej. Dlatego dziś Antonow bezwzględnie musi wygrać. I myślę, że może tego dokonać.

Michael Green: To, co zrobił Antonow w tym meczu, przypomina mi starą tenisową zasadę: „skup się na każdej kolejnej wymianie, by ją wygrać”.

John Serewan: I tak właśnie zachował się Antonow. Udało mu się odmienić los tego pojedynku na tyle, by wyrównać jego stan, a dziś postara się wyjść na prowadzenie.

Michael Green: Ale jak tego dokonać?

John Serewan: Jeśli debiutem będzie partia hiszpańska, to poprzednio Antonow pokazał już, jak zwyciężać. Jeśli Romancew zdecyduje się na obronę Caro-Kann, być może jakiś śmiały manewr, jakaś niezwykła kombinacja rozbije szczelne szyki czarnych pionów. Zobaczymy. Myślę, że oba sztaby głowiły się przez ostatnie godziny nad tym, jaką obrać strategię.

Michael Green: No to weźmy głęboki oddech, bo właśnie, witany gromkimi brawami, pojawia się pretendent. Siada. Wykonuje ruch pionem e4. Czeka. Nie podnosi głowy. Widać, że jest maksymalnie skupiony. Na scenę wchodzi mistrz świata. Przywitał się z sędzią, uśmiechnął do publiczności, przywitał z przeciwnikiem i usiadł, jednocześnie wykonując ruch pionem na pole c6.

John Serewan: A więc obrona Caro-Kann. Romancew będzie starał się odeprzeć napór Antonowa, chowając się za szczelną tarczą. Jestem pewien, że pretendent rozpocznie niebawem ostry atak. Tak, ruchem pionka na e5. Antonow wybiera te warianty przeciwko obronie Caro-Kann, które zmuszają czarne do schowania się za podwójną gardą. Zobaczymy, co z tego wyniknie, bo przecież o to też chodzi Romancewowi, aby się bronić i przetrwać. Mamy szybkie h4 na skrzydle królewskim, to znaczy, że tą stroną będzie atakował Antonow, dążąc do mata, jak to było w poprzedniej partii granej przez niego białymi. Romancew odpowiada h6. Hm, trochę nerwowo, jakby chciał od razu neutralizować wszystkie pomysły Antonowa. To nie jest najlepsza recepta. Ale trudno się dziwić, stres nieco zakłóca racjonalną ocenę. Antonow bezkompromisowo atakuje, również pionem, na g4. A więc falanga ruszyła na króla czarnych. Po czymś takim ciężko z punktu widzenia psychologicznego zrobić rozsadę i czekać, aż te wojska podejną pod same mury. Znowu nieco nerwowe odejście gońcem przez Romancewa, praktycznie na dawne pozycje. Nie wiem, czy to z jego strony prowokacja, czy też w poczynania mistrza świata wkradło się na początku partii troszeczkę paniki. Teraz stara się przerwać atak białych, uruchamiając swoje wojsko na skrzydle królowej. Inaczej Romancew zadusiłby się w ciasnej przestrzeni. Tak, zaczyna wreszcie grać. Uaktywnił swoje figury i poprzez skrzydło królowej próbuje okrążyć siły białych. To klasyczna sytuacja, gdy przeciwnik stara się wcisnąć klin pomiędzy pierwszą a drugą linię sił wroga. Pytanie, czy mu się to uda. Jednak plan jest dość czytelny. Antonow staje przed trochę niewygodnym wyborem. Czy za cenę wymiany kilku figur nie zredukować siły poczynań Romancewa? No tak, ale czy w dalszej fazie gry nie zabraknie tych figur do ataku? W końcu jakimś wojskiem trzeba pokonać wroga. No proszę, a to już niespodzianka, zupełnie nie w stylu Antonowa. Pozwolił na wymianę najsilniejszych figur – królowych. Jestem zaskoczony. Albo ten chłopak ma cholernie silne nerwy, albo sprawy

wymknęły mu się spod kontroli. W tym meczu wszystko mnie zaskakuje, do ostatniego momentu. Muszę przyznać, Mike, że znów nie trafiłem z moimi prognozami. Na szachownicy widzimy nieoczekiwaną dla mnie pozycję, w której obaj gracze mają tylko wieże i po jednej lekkiej figurze, i aż po sześć pionów. Nie ma więc fajerwerków, nie ma kombinacji, gry figurowej, poświęceń. Nic z tych rzeczy. Mamy niezwykle marsz białych pionów. Wiesz co, Mike, wybac mi to porównanie, ale kiedy to widzę, przypomina mi się film *Noc żywych trupów*. Strzelasz, strzelasz, a te upiory idą dalej. Coś takiego widzę na szachownicy. Piony Antonowa maszerują do przodu, a Romancew nie bardzo wie, co zrobić, aby ten marsz zastopować. Jeszcze jedna wymiana figur! Tym razem wieże. No tak, Romancew w panice stara się dalej zredukować liczbę napastników. Antonow ma już tylko jedną wieżę i skoczek oraz pięć pionów, które Romancew za wszelką cenę chce powstrzymać. Obrońca tytułu stara się niepokoić swoją wieżą króla białych, absorbować go. Ale chyba nie tak, chyba nie tak. Przecież nie ma szans na wiecznego szacha. Tymczasem Antonow dość niebezpiecznie zbliżył swoje figury w okolicy króla Romancewa. Ma wieżę na siódmej linii i skoczek na polu d6, a to mi pachnie problemami. I to sporymi problemami. Na szczęście dla mistrza świata białym brakuje figur, aby to pomyślnie dla nich skończyć. Romancew troszkę naiwnie szuka wiecznego szacha, atakując króla białych swoją wieżą. Tylko po co? No i ma za swoje. Niebawem. To jest jak film sensacyjny. Obudzony przez uprzykrzającą mu życie wieżę, król białych wkracza do boju. To, co wydawało mi się przed chwilą ucieczką przed atakami, okazało się wielkim, majestatycznym, epickim marszem króla białych do ataku. To niebawem. Teraz czarna wieża Romancewa zostaje odcięta od głównego frontu, tkwi bezużytecznie na tyłach, tymczasem król białych staje w pierwszej linii obok swoich pionów, obok swoich figur. To jest ta brakująca figura, która może dopełnić dzieła! I, Mike, spójrz, skoczek, wieża i król matują króla Romancewa. Kluczem do zwycięstwa białych okazał się ich król. Niebawem. Ta partia to prawdziwy klasyk, to epicka opowieść w stylu Tolkiena...

Michael Green: Chce się krzyknąć: „Umarł król, niech żyje król!”.

John Serewan: Tak, Mike. Wiwat Oleg Antonow!

Michael Green: Wstrzymajmy się jednak z owacjami do ostatniej partii, przecież Romancew nie powiedział ostatniego słowa. Gra białymi, a wygrana w decydującej partii da mu upragniony remis w całym meczu i pozwoli zachować szachową koronę!

Partia ósma: obrona sycylijska, wariant Scheveningen

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

O poranku obudził Antonowa aromat świeżo parzonej kawy. Otworzył oczy z

nieprzepartym pragnieniem posmakowania jej aksamitnej nutki. Podniósł głowę, czując, że organizm krzyczy o tę odrobinę rozkoszy.

– Kawy... – zamruczał.

Tatiana usiadła na skraju łóżka, podając mu filiżankę. Miała na sobie jego koszulę. Jej opalone długie nogi wyglądały pięknie.

– Co to za dzień? – spytała go ciepłym głosem.

– Z poranną kawą? Z miłą, piękną Tanią, którą kocham nad życie?

– Mm – zaprzeczyła, spoglądając na niego tak zalotnie, że poczuł w brzuchu trzepoczące skrzydłami motylki, które poderwały się do pierwszego wiosennego lotu. – To dzień, w którym Oleg Antonow zostanie królem szachów, wiesz?

– Poważnie? – Wsparł głowę na dłoni. – A skąd taka pewność?

– Bo ja tak chcę.

– Mm. Skoro tak, to niech tak będzie. Więc pamiętaj, dziś rozegram specjalną partię dla ciebie.

– Tak jak wtedy w Odessie?

– Jak wtedy w Odessie.

– I wygrasz?

– Hm, czarnym kolorem będzie mi ciężko, ale obiecuję, że nie przegram, a to znaczy, że będę mistrzem świata.

– Niech będzie. Umowa stoi.

– Będiesz mnie za to kochać?

Spojrzała na niego lekko przymglonymi oczami. I znów poczuł prąd biegnący przez całe ciało.

– A może nawet dziś wygram... – powiedział, urzeczony jej czarem. – Boże, Taniu, jak ja cię kocham. Chodź tu do mnie. Chodź. Tęsknię za tobą... Przez ten mecz jakoś oddaliliśmy się od siebie.

– Owszem. Dlatego dziś wygraj, wejdź na szczyt i wróć z niego prosto do mnie. Opowiem ci wtedy o moich marzeniach, o naszym domu, który sobie wyśniłam, takim niewielkim, pośród lasu, niedaleko morza, nad które jeździlibyśmy na takich śmiesznych holenderskich rowerach. A ty na bagażniku miałbyś fotelik dla Aleksandra lub Olgi...

– Wybrałaś imiona? – Podskoczył na łóżku. – Beze mnie? Olgę rozumiem. Dla babci, no trochę dla mnie... Ale Aleksander? Nie masz bolesnych wspomnień?

– Myślałam o tym. – Jej twarz się rozjaśniła. – Chcę przelać na niego swoją miłość i ciszyć się własnym szczęściem.

– O nie, nie – zaprotestował Oleg. – Będę zazdrosny. Nazwiemy go więc „Moskwicz” albo „Żiguli”. Wtedy nie będę miał rywala.

- Głupek. – Rzuciła w niego poduszką i wstała, by pójść do łazienki.
- Taniu! – zawołał za nią.
- Mm?
- Kocham cię. Bardzo, bardzo, bardzo.
- Ja ciebie też, Oleg.
- Tania!
- No, co jeszcze?
- Kocham cię i zdobędę dziś mistrzostwo.
- Wiem, bo jesteś najlepszy.

Trzeci raz tego poranka poczuł potężną falę emocji, która przeszła przez jego ciało. Tym razem udało mu się ją złapać, zatrzymać, skumulować w sobie i wypełnić tak, że ogarnęła go niemal mistyczna siła, a zadanie, jakie miał tego wieczoru do wykonania, wydało mu się jakoś zabawnie proste.

Godzina 16.58

Michael Green: Dobry wieczór, panie i panowie. Witają was Michael Green i John Serewan.

John Serewan: Dobry wieczór.

Michael Green: Cóż tu dużo ukrywać, jesteśmy obaj niezwykle podekscytowani tym, co za chwilę będzie się działo w finałowej odsłonie tego pasjonującego dramatu, jakim jest mecz o szachowe mistrzostwo świata. Pojedynek tytanów. Dziś jest tutaj wokół nas, na sto siódmym piętrze wieży World Trade Center, kilkanaście ekip telewizyjnych, w tym z Rosji, Francji, Niemiec, Anglii, Hiszpanii, Holandii, Polski, Węgier, Jugosławii, Argentyny, Szwecji i z paru innych państw. Zainteresowanie jest naprawdę ogromne. Kiedy rozmawiałem z dziennikarzami, mówili mi, że będą co pewien czas robili przekazy na żywo, by zaproszeni do studia telewizyjnego komentatorzy mogli na bieżąco śledzić rozwój wydarzeń.

John Serewan: Jestem bardzo szczęśliwy z tego powodu. Jak widać, obaj gracze to wspaniali ambasadorowie królewskiej gry. To zainteresowanie mediów może przyczynić się do wzrostu popularności szachów na świecie.

Michael Green: No dobrze, John, przejdźmy do ostatniego aktu tej sztuki. Czego możemy się spodziewać?

John Serewan: Na pewno gry na wygraną Romancewa, to oczywiste. Aby zachować tytuł, musi dziś zwyciężyć. A co do szczegółów, nie wiem. Ale bardzo szybko je poznamy. Ruch pionem królewskim na pole e4 oznacza obronę sycylijską, czyli Romancew godzi się na powstanie bardzo dynamicznych, ostrych pozycji i w nich upatruje swojej szansy. Ruch pionem królowej na pole

d4 to znów obrona Grünfelda, gra ze strony Romancewa bardziej pozycyjna, obliczona na długie manewrowanie. Nie wiem, którą z tych strategii wybierze. Choć jeśli wolno mi zgadywać, to sądzę, że wybierze grę przeciwko obronie sycylijskiej, i to wcale nie dlatego, że ma w niej większe szanse, tylko z pewnej przekory, takiej troszkę „sztucznej” ambicji. W poprzedniej partii Antonow, który był w sytuacji „musisz wygrać”, zdecydował się na strategię powolnego nacisku, spokojnego szukania swojej szansy. Nie sądzę, by Romancew skopiował tę koncepcję. Raczej pójdzie własną drogą, choćby wewnątrz nie był do niej w stu procentach przekonany. Taka ambicjonalna pułapka. Tak mi podpowiada intuicja, ale jak sami wiecie, podczas tego meczu myliłem się w swych prognozach wielokrotnie.

Michael Green: Na zegarze mamy godzinę piątą. A więc czas zaczynać widowisko.

John Serewan: Czekamy jeszcze na pretendenta.

Michael Green: Zazwyczaj był punktualny.

John Serewan: Jest tyle kamer telewizyjnych, może poprawia makijaż.

Michael Green: Myślę, że dziś ma większe zmartwienia.

John Serewan: Na pewno. Zazdrozczę mu, to niesamowita chwila w karierze zawodnika. Taka partia, taki mecz. Oczywiście, jeden z nich wyjdzie stąd pokonany, ale ta adrenalina, te emocje, to jest narkotyk. Niełatwo się będzie im z tego potem otrząsnąć. To zostaje na lata. O takim wieczorze jak dziś, jeden z nich będzie opowiadał swoim wnukom, a drugi zapewne jak najszybciej postara się usunąć z pamięci. Niezwykłe kilka godzin, które przejdą do historii szachów. Za nimi panorama Nowego Jorku, rozświetlonego tysiącem świateł i neonów. Cudowna oprawa dla wspaniałego widowiska.

Michael Green: Tylko, John, aktorów wciąż brak. Sędzia uruchomił zegar. Antonowa nie ma. Romancew, być może, czeka. Ale to jego zegar tyka, on wykonuje pierwsze posunięcie białym kolorem.

John Serewan: Tak, troszkę niespodziewana sytuacja. Mamy już prawie kwadrans po piątej, Antonow nadal nie przybył, Romancew zapewne czeka, ale traci swój cenny czas. Na widowni słychać szmer niezadowolenia.

Michael Green: Wychodzi. Romancew wychodzi pierwszy. Uśmiechnął się kwaśno do publiczności, usiadł, wykonał ruch pionem królewskim na pole e4. Wcisnął zegar. Chce wstać, ale w tym momencie do stolika podchodzi szybkim krokiem Antonow. Szybki uścisk ręki...

John Serewan: Romancew zawahał się, czy ją podać Antonowowi.

Michael Green: Przecież to była jawna prowokacja ze strony pretendenta.

John Serewan: Bez dwóch zdań. Chciał powiedzieć: „Dziś ja jestem mistrzem i ty będziesz czekał na mnie”. Nieeleganckie zagranie, ale bez wątplenia wyträciło Romancewa z równowagi...

Michael Green: John, a czy to przypadkiem nie rewanż za to, co zdarzyło się w Moskwie? Pamiętasz, tam również Romancew czekał na Antonowa, który w ogóle nie przybył na decydującą partię. Może o to chodziło...

John Serewan: Jeśli tak, to powiem szczerze, ta partia rozpoczyna nam się od silnego akcentu. No dobrze, skupmy się na szachach. Tak jak się spodziewaliśmy, Antonow wybrał w odpowiedzi obronę sycylijską, ulubiony wariant Scheveningen. To sygnał, że walka w tej partii będzie miała bardzo dynamiczny, ostry charakter.

Michael Green: Po takim początku nie należało się spodziewać niczego innego.

John Serewan: Antonow zrezygnował ze swoich eksperymentów z przestawianiem posunięć i mamy klasycznego Scheveningena. Nazwa systemu pochodzi od nadmorskiego kurortu w Holandii, gdzie w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku holenderski mistrz świata Max Euwe zastosował ten wariant po raz pierwszy. Mamy piętnaste posunięcie i pierwszy moment krytyczny w tej partii. Antonow wybrał ustawienie pionów nazywane „jeżem”, gdyż przypomina stroszenie się jeża atakowanego przez wilka. Figury czarnych są szczelnie schowane za szeregiem pionów. Armia czeka na przyjęcie szturm. Jest zwarta, ściśnięta, ale mimo to zachowuje elastyczność w przemieszczaniu się. Czekają na atak. A ten atak nastąpi, możemy być pewni. Po to tu dziś przybył Anatolij Romancew: aby stoczyć bój o zwycięstwo, rozbić siły przeciwnika. Pion białych na pole g4! A więc szturm rozpoczęty. Werble grają marsza bojowego. Piony białych ruszyły do boku na skrzydle królewskim. Odślaniają swojego króla, by wyruszyć na podbój twierdzy czarnych. Spójrz, co się dzieje. Antonow manewruje w tej ściśniętej przestrzeni swoich szeregów. Wycofuje gońca na ósmą linię, żeby dać wolne pole do wycofania się skoczka. Teraz wszystkie jego figury są ukryte za tarczą pionów. Romancew ustawia najsilniejsze działa na prawej flance, tam, gdzie rozpoczął szturm. Antonow cofa drugiego gońca na ósmą linię, by wsparł w murze miejsce, które będzie najbardziej narażone na atak. Jego armia przesuwa się dyskretnie, przewidując manewry przeciwnika. Ma doskonałą widoczność, z góry swojej twierdzy widzi wszystko. To nie jest gra na zaskoczenie, to jest brutalny szturm. Czy czarne figury zdążą go odeprzeć, czy dadzą radę się przemieszczać we właściwym czasie, aby znaleźć się tam, gdzie będzie tego wymagać potrzeba chwili? To wyścig z czasem, to test umiejętności dowodzenia, koordynacji sił. Romancew odsuwa gońca, a za nim naszym oczom ukazuje się potężna bateria dział: królowa i wieża na jednej linii, które stojąc za pionem na polu f4, pokazują, że szturm nastąpi na linii „f”. W odpowiedzi Antonow znów manewruje swoim gońcem, by w momencie szturm móc włączyć się do walki i strzelać przez blankę w murze po białej diagonalu. Jeśli dodam, że na końcu tej diagonalu po drugiej stronie stoi prawie niechroniony król białych, to muszę też wspomnieć, że czuję dreszcz emocji, bo to oznacza, że być może w przyszłości ten goniec będzie próbował odmienić losy bitwy i stać się jej cichym bohaterem. Na razie

jednak ciężkie figury Romancewa przesuwają się na pozycję. Druga wieża na linii „d”. Tak jak mówiłem: strategia białych to grozić twierdzy w różnych miejscach, tak aby rozproszyć siły obrońców i uniemożliwić im szybkie przemieszczanie się. Jeśli w szeregi czarnych wkradnie się chaos, walka będzie przegrana. Antonow przesuwają lekko konstrukcję swoich murów, chcąc wydrążyć w niej korytarz dla swojego gońca. To szybkie reagowanie ma tu kluczowe znaczenie. Romancew daje znak swojej ciężkiej jeździe! Wieża z linii „d” rusza do przodu, aby przemieścić się na skrzydło królewskie, gdzie ma nastąpić szturm. To kolejny krytyczny moment w tej partii. Romancew rzuca wszystkie siły na jedno skrzydło. Jaka jest odpowiedź Antonowa? Wręcz intuicyjna. Foruje swojego skoczka do przodu na skrzydle królowej. Tam może nastąpić okrążenie. Znów poczułem dreszcz, bo to znaczy, że Antonow, pomimo tak niezwykłego napięcia w oczekiwaniu szturm na jego twierdzę, myśli już o kontrataku, a jeśli tak, to on chce tę partię wygrać!

Michael Green: John? Milczysz. Jak reaguje Romancew? Mamy atak?

John Serewan: Mike, na moment aż zaniemówiłem z wrażenia. Romancewowi zdrząła ręka. Zamiast uderzyć, jak to przygotowywał od początku, przez pole f5, przegrupował swoje siły, ustawiając lufy na skrzydło królowej. To niebywałe. Napięcie, jakie w nim siedzi, teraz po prostu wybuchło. Zmylony tym manewrem czarnego skoczka, zamiast atakować, nagle przystanął. Zawahał się. Co za krytyczny i dramatyczny moment. Przecież czas tu jest najważniejszy! Antonow sam uderza przez pole f5! Tam, gdzie spodziewał się ataku, tam, gdzie miał się bronić, sam rozpoczyna kontratak. Romancew jest zbity z tropu. Zdobył pionka na skrzydle królowej, tylko po co, skoro całe jego wojsko jest na skrzydle królewskim! Antonow rozbija falangę białych pionów. Czekają na sygnał do szturm, ale tego sygnału nie było. Wódz zwlekał, nie podjął decyzji na czas. A teraz, teraz jest za późno. Czarne uderzają, trwa walka wręcz, ten entuzjazm obrońców, którzy nagle odzyskali przestrzeń i przystąpili do kontrataku, dodaje im skrzydeł. Cios za cios. Ale to już inna walka, to bój na śmierć i życie na otwartej przestrzeni, gdzie szanse się wyrównują, gdzie pozytywną energię mają szybkie, sprawne figury czarnych, które zeskakują z murów i rzucają się w wir walki. Antonow prowokuje pojedynek królowych. Ich wzajemna śmierć zapewne oznacza remis. To najlogiczniejsze zakończenie nieudanego dla białych szturm. Romancew to rozumie, doskonale rozumie, lecz się na to nie godzi. Odsuwa swoją królową, by spróbować odnaleźć resztę wojska i poszukać szansy na zorganizowanie się, przegrupowanie, może uchwycił się jakiejś resztki nadziei. Ale tych szans nie ma. Król czarnych jest ukryty, a białych... Pamiętajcie, jak mówiłem, że goniec czarnych czeka w ukryciu na moment do ataku po diagonalu? Ten moment właśnie nadchodzi! Skrytobójca wypuszcza swą strzałę. Białego króla zasłania pierś białym goncem, lecz ta ofiara to tylko symboliczny gest wierności. Biały król zostaje sam, bez wojska wokół siebie, które z dala od niego, bez

dowództwa, walczy gdzieś hen z przodu. Figury czarnych osaczają go, to finał. Finał wielkiej antycznej tragedii. Mamy mistrza świata! Oleg Antonow jest nowym mistrzem świata!!!

W tej chwili jego triumfu Tatiana, drżąc z emocji i wzruszenia, zastanawiała się, co będzie dalej, czy jako mistrz świata będzie potrafił znaleźć harmonię pomiędzy nią, dziećmi i szachami. Odruchowo dotknęła swego brzucha.

Część IV

Wiatr, który zawsze wieje w Scheveningen[62]

Paryż, styczeń 1991

Rozmawiali po angielsku.

- Dziękuję, że tak szybko znalazłeś czas, aby się ze mną spotkać.
- Temat rozmowy wydał mi się poważny i zachęcił mnie do tego mój menadżer.
- Tony... Mogę tak do ciebie mówić?

Romancew skinął głową, przyzwalając.

– Tony, chciałbym, żeby wszystko, co teraz powiem, pozostało wyłącznie między nami. Taka umowa dżentelmeńska. Nawet twój menadżer nie powinien poznać treści naszej rozmowy. Zaręczam, stworzylibyśmy mu tym dodatkowy problem w życiu. A po co?

- Jesteś z CIA?

Rhodes się zaśmiał.

- Prawie.

- Więc nie chodzi o kontrakt reklamowy?

- Nie – potwierdził Rhodes. – Chodzi o coś więcej. Znacznie więcej.

– Nie sądzę, żebym mógł się przydać CIA. Już nie grywam w szachy z Breżniewem.

– Nie, Tony, nie jestem z CIA. Reprezentuję pewną firmę informatyczną. Owszem, jest ona blisko powiązana z przemysłem wojskowym, również z wywiadem, ale lepiej, abyś nie wiedział o szczegółach. To żaden kapitał, a raczej coś w rodzaju cholesterolu, który może powodować złe krążenie.

- Zrozumiałem. Ale nadal nie wiem, co ja, szachista, mogę wam dać.

Kelner podszedł do stolika, przynosząc menu.

- Poprosimy na początek dwa razy Kir Royal – rzekł do niego Rhodes.

Kelner skłonił głową i odszedł.

– Polecam na przystawkę carpaccio wołowe z truflami i foie gras. – Rhodes pokiwał z zapałem głową. – A na danie główne...

- Wezmę argentyński stek – zdecydował Romancew.

- Widzę, że nie boisz się jednak cholesterolu i jesz treściwie.

- Rozsmakowałem się w nich od jakiegoś czasu.

Kelner przyniósł drinki.

– Jesteśmy gotowi z zamówieniem – zwrócił się do niego Rhodes. – Dwa razy carpaccio wołowe z truflami i foie gras, a potem przepiórki, a dla mojego przyjaciela stek. Dobrze zgaduję, że krwisty?

– Krwisty – przyznał Romancew.

– Krwisty, wodę niegazowaną oraz butelkę Bodegas Artadi, El Pison.

Rhodes podniósł kieliszek wypełniony musującym Kir Royal i zaproponował toast:

– Za spotkanie i wspólny biznes.

Romancew się zawahał.

– Ciężko pić toast za coś – odezwał się – czego się jeszcze nie zdążyło poznać. Ale niech ci będzie, Rhodes.

– Pozwolisz, że trochę puszczę wodzę fantazji? – Rhodes przysunął się na krześle w stronę Romancewa. – Opowiem ci pewną bardzo hipotetyczną historię. Och, zapaliłbym. Tu chyba zabronione. Palisz, Tony?

– Nie.

– I słusznie. Zgubny nałóg. Rzucałem kilka razy. Ale gdy rzucam, od razu przybywa mi parę kilogramów. Na czym skończyłem?

– Hipotetyczna historia.

– A, właśnie. Pozwolisz, że pofantazjuję i ci ją opowiem?

– Oczywiście, cały zamieniam się w słuch.

– Wyobraźmy sobie, Tony, pamiętaj, mówimy tak tylko teoretycznie, że istnieją dwie firmy rywalizujące ze sobą o wielki kontrakt rządowy. Tak wielki, że los jednej z nich zależy od wygranej w tym przetargu. Przedmiotem kontraktu ma być dostawa specjalnego rodzaju procesora. Powiem ci w najgłębszej tajemnicy, Tony, że można śmiało nazwać ten procesor mechanizmem dwudziestego pierwszego wieku, załącznikiem sztucznej inteligencji. Nie przesadzam, mówili mi o tym chłopcy, którzy się na tym dobrze znają. Ten procesor to strateg, taktyk, ktoś, kto nie tylko pochłania ze świata zewnętrznego miliony danych, ale również potrafi je przeanalizować, ostrzec o ryzyku, zarekomendować właściwą strategię, dopasować działania taktyczne i na koniec je odpowiednio skoordynować. I nie mówię tu wyłącznie o działaniach wojennych. O nie, nie. Mówię również o działaniach na rynkach finansowych, o psychologii przywódców państw i przewidywanych scenariuszach ich zachowania. To naprawdę diablo mądra maszyna. Mówiłem o niej jak o „kimś”, nie o „czymś”? No sam widzisz. W naszym zespole nazwaliśmy ją HAL.

– Jak komputer z *Odysei kosmicznej* Kubricka?

– Właśnie. Masz świetną pamięć, Tony. Ech, wy geniusze...

Kelner przyniósł wino. Odkorkował butelkę zgrabnym, szybkim ruchem. Nalał i podał Rhodesowi. Amerykanin zakreślił delikatnie kieliszkiem, wprawiając wino w ruch wirowy, a potem je powąchał.

– Mm, słońce południa. Głęboka nuta... Ech. Cudowne. – Wypił. – Wyśmienite.

Kelner skinął głową i bez słowa rozlał do kieliszków, po czym postawił wino na stole.

– Problem w tym – mówił Rhodes, wpychając jednocześnie do ust kawałek zamoczonej w oliwie bagietki – że ten wielki kontrakt, o którym wspominałem, to zwykły kontrakt cywilny, zarządzanie miastami, elektrycznością, surowcami, komunikacją, takie tam. Nie powiem, że nieważne. Sam korzystam z metra w godzinach szczytu albo błogosławię zarząd dróg, kiedy mogę jechać przez miasto zieloną linią, gdy światła są pięknie zsynchronizowane. Ale, Tony, to, czego oni potrzebują, to zaledwie ułamek zdolności HAL-a. To grzech zaprząć pięknego arabskiego rumaka do zwykłego pług. Zgodzisz się ze mną?

– Zapewne.

– Są nasze przystawki. Za smak truflి dałbym się pokroić.

Nie czekając na Romancewa, Rhodes skosztował kawałek truflి. Przymknął powieki z wyrazem błogości na twarzy.

– Tony – szepnął. – Powiedz, co czujesz, jedząc ten pokarm bogów?

Romancew pokręcił głową z uśmiechem i westchnął, znużony ornamentyką słowną, jakiej używał Rhodes.

– Otóż, wracając do naszych dwóch rywalizujących ze sobą spółek. – Amerykanin nachylił się nieco nad stołem i zniżył głos. – Wyobraźmy sobie, że jedna jest spółką notowaną na nowojorskiej giełdzie, audytowaną, z milionami akcjonariuszy. Będę mówił o niej „Śnieżka”, jak z bajki Walta Disneya, ponieważ tak jak ona jest pełna ufności i nie wie o intrydze złej macochy. Druga zaś ze spółek ma udziałowców, których adresy znalazłbyś na wszystkich plażach rajów podatkowych, ale gdybyś jakimś zadziwiającym trafem przy odrobinie szczęścia dotarł do końca tego labiryntu, namierzyłbyś zaledwie kilka adresów, w tym jeden w Langley. Widzisz, Tony, jaki jestem z tobą szczerzy? Pełne zaufanie. Jeśli mamy współpracować, to musimy sobie ufać. Oczywiście, oficjalna siedziba naszej drugiej spółki znajduje się w Dolinie Krzemowej. Ładny szklany biurowiec, w którym podanie o pracę składa co roku kilkuset zdolnych absolwentów studiów informatycznych. Nazwijmy tę naszą tajemniczą spółkę „Joker”, bo będzie tym złym bohaterem. Może być? Jak truflie i foie gras? Fantastyczne?

– Owszem, bardzo dobre – potwierdził Romancew.

– Powinniśmy dziękować Bogu za takie dary – oświadczył Rhodes, pijąc wielkimi łykami wino z kieliszka. – A więc mamy dwie firmy, zupełnie inne, ale jeden kontrakt. Można rzec: „Mroczny przedmiot pożądania”. Widziałeś, Tony, ten film Luisa Buñuela? Boże, jaka ta kobieta była piękna, zmysłowa i lubieżna. Mówię o niej, nieprzypadkowo, Tony, bo nie wiem, czy pamiętasz, że postać tej kobiety grały na przemian dwie aktorki. To taki mały wstęp do naszej rozmowy. Magia. A swoją drogą nie dziwię się biednemu staruszkowi, że dostał obłędu na jej punkcie. Zwariowałaś, Tony, na punkcie jakiejś babki? Przepraszam cię, że tak

walę prosto z mostu. Taki już jestem. Wybacz, gaduła ze mnie. Wróćmy do naszych spółek i przetargu. Otóż, zdaniem naszych chłopaków, możesz wyobrazić sobie ich zespół jako takie magiczne zwierciadło, przed którym u Disneya stawała zła królowa. Więc na pytanie zadane zwierciadłu, który z procesorów jest najlepszy na świecie, od razu twoim oczom ukazałaby się odpowiedź w postaci cudeńka „Śnieżki”, cudeńka, które mogłoby wiele w królestwie namieszać. Powiem ci, Tony. – Jeszcze bardziej ściszył głos i niemal uroczyście dodał: – To prawdziwy Święty Graal wśród procesorów, arcydzieło ludzkiego umysłu. Od razu pokochaliśmy HAL-a, gdy tylko poznaliśmy jego wewnętrzne piękno.

– Dajesz mi bardzo dużo informacji – zaniepokoił się Romancew. – Szczególnie jak na pierwsze spotkanie. Przypuszczam, że są one ściśle tajne. Nie czuję się z tym najlepiej. Nie ukrywam, moja próżność jest w pełni usatysfakcjonowana, ciekawość jeszcze nienasycona, ale...

– Ale dobrze wiesz, Tony – głos Rhodesa przybrał inną, bardziej niefrasobliwą barwę, co w zderzeniu z tym, co mówił, dawało upiorny kontrast – że nic z tymi informacjami nie zrobisz. To tylko bajki. Żyjesz tu, na obczyźnie, praktycznie z dwojgiem przyjaciół, w kraju cię nie potrzebują, mają innego bohatera. No i jak każdy Rosjanin na wygnaniu miewasz depresje, szczególnie po porażce, myśli samobójcze...

– Wystarczy – przerwał mu Romancew. – Zrozumiałem.

Kelner wymienił talerze.

– Wyśmienite. – Rhodes uśmiechnął się do niego. – Proszę przekazać kucharzowi, że jest mistrzem w swoim fachu. Zawsze to robię po przystawkach. – Puścił oko do Romancewa, kiedy kelner już odszedł od ich stolika. – Może naiwnie, ale liczę, że kelner powtórzy to w kuchni i dostaniemy coś specjalnego jako danie główne. Z próżności kucharz będzie chciał się popisać. To co, idziemy dalej z naszą historią?

– Oczywiście. Moja ciekawość czeka na drugie danie i deser.

– Aaaa – ucieszył się Amerykanin. – Powiedziałem chłopakom: „Romancew? To facet z jajami, lubi przygodę i wyzwania”. Widzisz, Tony, wygrana „Śnieżki” w przetargu i zdobycie przez nią kontraktu oznacza, że HAL trafi w ręce barbarzyńców. Wyobraź sobie, że statek wiozący *Mone Lisę* ulega katastrofie, ale obraz jakimś cudownym zrządzeniem losu dopływa w drewnianej skrzyni do brzegu. Tam jednak wyjmują go dzikusy, które robią sobie z niego tarczę do ćwiczeń łuczniczych i strzelają z łuku w sam środek, w usta Mony, rozchylone w tym ponadczasowym tajemniczym uśmiechu. Tak właśnie stałoby się z HAL-em. Bezcenny klejnot robiący za uszczelkę w rurze kanalizacyjnej, w dodatku narażony na to, że znajdzie go byle jaki przybłęda i za kilka dolarów sprzeda komuś, kto potrafi poznać się na jego unikalnej wartości i robi z niej użytek, zły użytek. Kiedy zobaczyliśmy ten obraz w zwierciadle, Tony, trudno nam było pohamować nasze oburzenie. Myślę, że miałbyś te same uczucia, będąc na naszym

miejscu. Ba, zaryzykuję tezę, że już teraz je podzielasz. No więc, obiecaliśmy sobie nie dopuścić do tego, by jakiś zły człowiek wykorzystał HAL-a. Spytasz, jak to zrobić? Hm, trochę to trwało, ale w końcu przyszła nam do głowy pewna nieco szalona idea. Stworzyliśmy klejnot podobny, lecz będący jedynie imitacją pierwszego. Brakowało nam wielu danych, ale zupełnie się tym nie przejmowaliśmy, bo nie taki był nasz cel. Nie mieliśmy ochoty, jak głupcy, rzucać pereł przed wieprze. O nie. Naszym celem było stworzenie dla HAL-a konkurenta, nawet jeśli byłby on tylko marną imitacją, tandetną podróbką rolexa, która jednak z daleka może uchodzić za oryginał, no i pozwala określić czas. Słowem nasz SOH[63] – „Cień Hala”, jak go sobie roboczo nazwaliśmy, spełnia wszystkie parametry, które są potrzebne dyspozytorowi w metrze czy kontrolerowi na lotnisku, lecz nie ma tej wyjątkowej, wysublimowanej zdolności uczenia się, eksperymentowania, a nawet ryzykowania. Słowem, klasyczny *biedermeier*[64]. W ten sposób udało nam się stworzyć konkurencję w wyścigu po wielki rządowy kontrakt. Znasz, Tony, *Amadeusza* Shaffera?

– Znam.

– HAL to Mozart, nasz SOH to zaledwie Salieri. To porównanie wyszło mi genialnie. Bo i nasz Salieri przyczyni się do śmierci naszego Mozarta, choć jednocześnie sprawi, że najgenialniejsze dzieło rywala, *Requiem*, będzie brzmieć przez tysiąclecia. No, ale dość patosu. Fakty są takie, Tony, że „Śnieżka” nie może zdobyć tego kontraktu i „Joker” musi pokrzyżować jej szyki. Niemal zbankrutowana, pozbawiona nadziei na ratunek, „Śnieżka” zostanie przygarnięta przez siedmiu podstawionych przez nas krasnoludków, którzy sypną trochę złota ze swojej kopalni, aby wykupić HAL-a i dać godziwą odprawę prezesom. Kiedy już HAL znajdzie się w naszych rękach, świat będzie mógł znów spać spokojnie, a wszystkim będzie się żyło dostatnio, długo i szczęśliwie, z akcentem, Tony, na słowo „dostatnio”.

– Wciąż nie rozumiem swojej roli.

Kelner podszedł do stolika i podał dania główne.

– Voilà. Oto i punkt kulminacyjny. Uczta, Tony, uczta. Smacznego, Tony.

Rhodes z nieskrywaną rozkoszą zaczął pochłaniać swoje danie, przymykając przy tym co pewien czas powieki i delektując się smakiem przepiórek.

– Twoja rola? – Znów głos Rhodesa obniżył się o ton. – Będzie kolejna ładna bajka. Jest pewien szachista, prawdziwy geniusz obdarzony wielkim talentem do tej gry. Niedawno zdobył mistrzostwo świata, pokonując równie, a może nawet bardziej zdolnego gracza. Powiedzmy, że pomogły mu w tym różne okoliczności zewnętrzne. Ten szachista odbywa triumfalne tournée po Ameryce, uwielbia splendor, sławę, zrobi wszystko, by świetnie wypaść w telewizji. Staramy się, aby miał zapewnioną dostojną widownię, w tym członków komisji przetargowej, od których wyboru zależy los „Śnieżki”, „Jokera”, HAL-a, SOH-a, Mozarta, Salieriego i świata. Miało być bez patosu. No, może z Mozartem i Salierim posunąłem się za

daleko, ale co do reszty się zgadza. Otóż, członkowie komisji w różny, delikatny, nienachlany sposób będą mogli poznać wybitne umiejętności naszego, wybac mi, proszę, takie określenie, „szachowego cyrkowca”. Oj, widzę, Tony, że uraziło cię to określenie wobec innego arcymistrza, wybac mi, ale jestem prosty chłop. No więc niesamowita pamięć, gra na ślepo z wieloma przeciwnikami, liczenie w pamięci cyfr po przecinkach, przebieg partii cytowany od przodu czy od tyłu, zapamiętywanie sekwencji obrazów, słowem, sztuczki, sztuczki, sztuczki. Ale my też potrafimy coś niecoś. Nazywa się to „sztuka iluzji”. Przyznam się, że nie byliśmy w tym jakoś szczególnie odkrywcy. Wystarczyło sobie przypomnieć magika von Kempelena i jego automat: grającego w szachy Turka [65], który ograł naszego Benia Franklina.

– Czy to ja będę szachistą ukrytym we wnętrzu maszyny?

– Jesteś absolutnym geniuszem, Tony! Chapeau bas! Zresztą gdyby tak nie było, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą. Aż muszę wychylić kielich za twój przenikliwy umysł.

– No dobrze, ale co to za maszyna i co ma z tym wspólnego Antonow?

– Antonow będzie geniuszem pyszniącym się na salonach. Członkowie komisji przetargowej nie oprą się jego urokowi, a wtedy do działania przystąpimy my, Tony. Specjalna ekipa czarodziei. A dokładnie nasza broń, koń trojański: SOH. Wyzwiemy geniusza na pojedynek.

– Już rozumiem...

– Rozreklamujemy to jako wydarzenie stulecia: genialny umysł człowieka kontra genialny wytwór umysłu człowieka, procesor SOH. Oczywiście, nadamy mu inną, piękniejszą nazwę. Powiedzmy „Gemini”, bliźniak ludzkiego umysłu.

– Antonow przegra.

– Już wszystko wiesz. Ach, wy szachiści, stratedzy, psychologowie. Tak. Z raję do piekła, z salonów na bruk. Oczami wyobraźni widzę już te tytuły: *Fenomenalna maszyna pokonała największego szachowego geniusza*, *Wyższość komputera nad człowiekiem*, *Koniec pewnej epoki* i tak dalej, i tak dalej. Dzięki takiej reklamie „Joker” wygra przetarg ze swoim SOH-em. Dodam, że to zapewnilibyśmy mu i bez tej całej klaunady. Ale dzięki niej nikt nie ośmielił się zakwestionować zwycięstwa SOH-a. „Śnieżka” będzie bankrutem. Na drugi dzień pojawią się u niej nasi prawnicy z obligacjami, warrantami, weksłami i innymi papierami dłużnymi i zabezpieczeniami pożyczek „Śnieżki”. Wyciągną je na stół, pomachają przed oczami bladych z przerażenia członków zarządu i powiedzą: „Dajcie nam HAL-a, a zaraz wrzucimy je do niszczarki i zaśpiewamy wszyscy z Sinatrą albo Deanem Martinem: *Let it snow! Let it snow! Let it snow!*”. Wszyscy będą szczęśliwi, no może z wyjątkiem paru tysięcy zwolnionych z pracy w „Śnieżce”, ale w końcu Ameryka to kraj ogromnych możliwości. HAL trafi tam, gdzie jego miejsce: w ręce najlepszych specjalistów, którzy aż przestępują z nogi na nogę, by się nim pobawić. Jak ci się podobała moja bajka?

– Jestem pod wrażeniem.

– Cieszę się.

– Skąd pewność, że wygram?

– Wygracie – poprawił go Amerykanin. – Wygracie. Nie lekceważ SOH-a alias Gemini. To bystra maszyna. Może trochę toporna, ma jednak mocne strony. Nie ulega, tak jak człowiek, chwilom słabości, że przypomnę ci ostatnią partię w meczu. Tak, tak, czytałem na ten temat komentarze, zadrżała ci ręka, Tony. Gemini na to nie pozwoli. Będzie wiernym doradcą, ale też wyrobnikiem. Potrafi liczyć miliony kombinacji. Brakuje mu jednak kilku cennych, a raczej bezcennych elementów, które posiada HAL, a które sprawiają, że maszyna nagle może zmienić strategię, że potrafi robić uniki, stawiać przed przeciwnikiem psychologiczne bariery, w zderzeniu z którymi tamten traci swoje siły. Słowem, nasz Gemini nawalałby się z Goliatem na miecze, a HAL niechybnie użyłby procy. Gemini to rzemieślnik. Dobry, chłodno kalkulujący, lecz brak mu wyobraźni i intuicji, no i za grosz nie zna się na psychologii. Liczymy, że go ustawisz, tchniesz w niego duszę, a on wykona tylko pracę jak posłuszny dżin albo olbrzymi Golem wskrzeszony kabalistycznym zaklęciem przez praskiego rabina. Polecam wyprawę do Pragi, to urocze miasto.

– Mimo wszystko istnieje przecież ryzyko, że przegramy?

– Najwyżej jedną partię. I to nas wcale nie smuci. Ba, uważamy wręcz, że będzie ciekawiej, bardziej dramatycznie. Gemini pokaże swoją zdolność do nauki, do wyciągania wniosków. To jest właśnie sztuczna inteligencja z najwyższej półki. Oczywiście, nikt nie będzie wiedział, że za tą progresją w grze będziesz stał ty. Zostaniesz szefem sztabu, Tony. Czytając o tobie, wielokrotnie natrafialiśmy na opinię, że grasz jak komputer, jak maszyna.

– To prawda, ćwiczę z komputerami, uczę się ich sposobu gry, eliminowania błędów, pozycyjnej strategii bez pozostawiania przeciwnikowi choć minimalnych szans na kontrę.

– Dlatego cię wybraliśmy. Nie ma nikogo, kto odpowiadałby naszym potrzebom lepiej niż ty. Jesteś świetnym szachistą i nienawidzisz Antonowa.

– Kto to powiedział?

– Wystarczyło na was spojrzeć w Nowym Jorku.

– A czy rozważaliście możliwość – spytał nieco urażony Romancew – że się nie zgodzę?

– Odrzuciliśmy ją na wstępnym etapie założeń. Masz zbyt silną motywację do rewanżu, do upokorzenia go.

– Do rewanżu nie potrzebuję komputera, wygram następny mecz.

– To wiemy. Ale tu nie chodzi o rewanż na szachownicy. Tony, pomyśl, będziesz reżyserem. Będziesz go widział na ekranie, zbliżenie na twarz,

przesuwasz suwak i wywołujesz w nim taką emocję, jaką chcesz wywołać. Znasz każdą z jego myśli. Będziesz tylko dobierał strategię i się bawił. A my ze swej strony zapewnimy ci dostateczną motywację, która pozwoli ci na spokojne i dostatnie życie w domu z widokiem na turkus morza u boku pięknej partnerki.

Romancew spojrział na niego przenikliwie, zastanawiając się, czy wiedzą również o jego uczuciach do Tatiany.

– Nie przekonałeś mnie – rzekł, zagryzając wargi.

– To gra dla dorosłych facetów i wiesz, że lepiej mieć święty spokój, niż każdego dnia zastanawiać się, czy żona z córką bezpiecznie dojadą do szkoły – rzucił Rhodes, a w jego oczach pojawił się błysk, który sprawił, że Romancew stracił pewność siebie.

– Myślałem, że uciekłem z totalitarnego kraju.

– Pewnie, że tak. I nie bądź niewdzięczny. Pięć milionów, które chcielibyśmy ci zaoferować, to duża kwota.

– Pieniądze nie są najważniejsze. Ten człowiek zabrał mi...

– Tytuł?

– Tytuł oddałem mu sam. Mogłem go pokonać, ale uległem własnym słabościom.

– Wiemy, Tony. Wiemy też, że zemsta to naprawdę słodka rzecz.

Moskwa–Linares, luty–czerwiec 1991

Tatiana straciła dziecko, gdy poleciał na turniej do hiszpańskiego Linares. Najpierw chwycił ją gwałtowny ból, tak silny, że straciła przytomność i upadła. Gdy się ocknęła, leżała w kałuży krwi.

Przebywając w szpitalu, poprosiła Wierę, aby przekazała Olegowi, że musiała pilnie wyjechać na zdjęcia do filmu, gdyby do niej zadzwonił. Zrobił to dwa dni później. Nie spytał, o jaki film chodzi. Jego myśli zajmował turniej w Linares. Pierwszy turniej, w którym występował jako mistrz świata.

A szło mu przeciętnie. Głównie remisował, starając się przede wszystkim nie przegrać. Opanował go obsesyjny lęk przed robieniem błędów. Zaczęło go prześladować wrażenie, że wszyscy dookoła uczestniczą w spisku, chcąc upokorzyć nowego mistrza, nie pozwolić mu wygrać. Czuł na sobie spojrzenia, każdy jego ruch był komentowany. Dopadł go paralizujący stres i paniczny lęk przed porażką. Ostatecznie zajął dopiero piątą pozycję.

Po ambicjonalnej porażce w Linares Antonow szukał wytłumaczenia dla tego, co się stało. Obwinił Tatianę, narzekał na jej egoizm, że zamiast go wspierać, sama chce być wiecznie w centrum uwagi. Dopiero kiedy powiedziała, że straciła dziecko, zamilkł. Poza zdawkowymi komunikatami nie rozmawiali ze sobą przez kilka dni.

Tatiana wierzyła, że zdobycie mistrzostwa przyniesie Olegowi uspokojenie, wyciszenie dla tych silnych emocji, które w sobie wcześniej nosił. Przecież cel został osiągnięty i można było zająć się innymi sprawami niż szachy. Tymczasem obsesja dotycząca pozycji, jaką osiągnął, pogłębiała się i przeradzała w paranoję. Jego celem stało się teraz utrzymanie reputacji mistrza, codzienne udowadnianie sobie i światu, że tytuł jest w nieprzypadkowych rękach. Antonowa drażniły głosy, że tak naprawdę jeszcze nie zdążył pokazać, iż jest najlepszy, a tytuł wywalczył brawurowym marszem, ale w sumie wygrał zaledwie kilka turniejów i jego dorobek, w porównaniu z poprzednimi mistrzami, jest niezwykle skromny. Wynik z Linares wpędził go w depresję. Ale Tatiana już nie chciała być pielęgniarzką. Właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowała jego pomocy po utracie dziecka, on nie potrafił odnaleźć do niej drogi. Nie było w nim refleksji, współczucia, empatii i czułości, których tak bardzo pragnęła. Wydało jej się nawet, że czuł ulgę – dziecko nie zajęło jego miejsca, a on nadal mógł całą swoją uwagę poświęcać szachom, wymagając od niej ciągłego wsparcia. Narastała w niej panika, dusząca panika, że to się nie zmieni i że nie będzie temu kresu.

Kupili nowe duże mieszkanie przy prospekcie Kutuzowa. Nie potrafiła się do niego przyzwyczaić, brakowało jej zieleni i przytulnej ciszy Sadowniczeskiej. Jedynym pocieszeniem było to, że film, w którym zagrała, *Kryptonim Rosja*, zebrał bardzo dobre recenzje, a jej rolę również chwalono. Dzięki temu budowała swój świat, do którego Oleg nie miał dostępu.

To, co najbardziej dziwiło Antonowa w tym czasie, to brak motywacji. Wydawało mu się, że jako mistrz będzie błyszczał, gromił przeciwników, będzie królem świata. Tymczasem zupełnie nie wiedział, od czego ma zacząć kształtować swoją psychiczną postawę, jak się odnaleźć w nowej roli, na nowo zdefiniować. Po Linares zaczął bać się kolejnych turniejów. Lękał się, że nie sprosta presji obrony honoru mistrza świata. W końcu zdecydował się na występ w silnie obsadzonym turnieju w Wijk aan Zee. Ale brakowało mu cierpliwości, sił, odpowiedniego skupienia. Wcześniej, podczas jednej z awantur, Tania nazwała go „chwiejnym” i tak też grał, niepewny swoich decyzji, tracił mnóstwo czasu na obmyślanie posunięć, niejednokrotnie obawiając się czegoś, czego na szachownicy nie było. Na domiar złego doszło do kolejnego konfliktu ze Zwieriewem, który widząc, co się dzieje z jego wychowankiem, starał się zmobilizować go poprzez zmianę repertuaru debiutowego. Antonow był zmęczony tytaniczną pracą, jaką wykonał. Chciał już poczuć, że jako mistrz nie musi ciągle terminować jak uczeń, że może w końcu korzystać z tego, co zdobył, nie harować jak dotąd. Ostatecznie w Wijk aan Zee zajął trzecie miejsce za Romancewem i Krutinem. Znów poczuł ból

z powodu urażonej ambicji.

Tania była pochłonięta zdjęciami do nowego filmu. Kręcono go w Londynie, Leningradzie i Moskwie. Kiedy wracała do domu, czuła chłód i pustkę. Nie potrafili już znaleźć do siebie drogi.

W tym czasie Antonow przyjął zaproszenie dziennikarza Michaela Greena do wspólnego napisania książki o ostatnim pojedynku w Nowym Jorku. Wkład Antonowa polegał na szachowych komentarzach do partii. Sprawiało mu przyjemność analizowanie po raz kolejny gier, w których odniósł sukces. To był ten jedyny moment, kiedy czuł się mistrzem świata, kiedy mógł rozkoszować się swoim triumfem, swoją szachową twórczością. W wolnych chwilach oglądał telewizję, grał w bilard, zaczął grywać w karty. Ale przede wszystkim czuł strach. Nie rozumiał jego źródła, a skoro nie rozumiał, bał się coraz bardziej. Więc w ukryciu przed Tanią zaczął pić. Początkowo trochę: dwa, trzy kieliszki koniaku lub szklaneczki whisky. Potem coraz więcej.

Gdy spędzała czas w domu, czytała książki, godzinami leżała w wannie, spała. Często wychodziła koło południa i wracała dopiero wieczorem. W końcu poinformowała go, że jedzie do Paryża odwiedzić Wierę. Nie było jej trzy tygodnie. Kiedy wróciła, Antonow ostentacyjnie spakował torbę i wyjechał. Nie wiedział, dokąd jedzie. Nie miał planu. Jechał przed siebie. Chciał, by choć raz poczuła to, co on, gdy czeka na jej powrót, gdy tak trudno mu dotrzeć do jej wnętrza, a ona sprawia wrażenie spokojnej, pomimo że przestrzeń między nimi coraz częściej wypełnia głucha cisza. Cieszył się na myśl, że może Tania poczuje niepokój, że zatęskni, że pożałuje swojego chłodu i odniesie wrażenie utraty czegoś cennego.

A może nie poczuje nic poza ulgą, że nie ma mnie przy niej, zmartwił się. Może pójdzie gdzieś spotkać się ze znajomymi.

Pod wpływem tej myśli zatrzymał samochód i postanowił zawrócić. Wszedł do mieszkania z całym naręczem róż, które rozrzucił u jej stóp, klękając i całując Tanię po rękach, zapewniając, jak bardzo ją kocha.

A potem znów, spędzając ze sobą czas, coraz częściej milczeli. W takich chwilach utrzymywał się między nimi niepokojący nastrój napięcia, który sprawiał, że oboje czuli ulgę, gdy znajdowali się sami.

Któregoś wieczoru spoglądał na nią przed snem, gdy czytała. Oczy zamykały mu się ze zmęczenia. Nagle odłożyła książkę i popatrzyła przed siebie.

– Nasze dziecko w tych dniach przysłoby na świat.

Nie skomentował tego ani jednym słowem. Zdanie zawisło nad nimi i wypełniło przestrzeń wokół, sprawiając, że poczuli się oddaleni od siebie o tysiące kilometrów.

Kilka dni później, gdy pakował się na turniej do Tilburga, powiedziała:

– Nie wiedziałam, że może nadejść taka chwila, w której ucieszę się, że

wyjeżdżasz beze mnie.

– Chcesz, żebym się martwił podczas gry, tak? Chcesz, żebym zamiast o turnieju myślał o tym, co powiedziałaś? Wiesz doskonale, jak jest mi ciężko się odnaleźć, ale myślisz tylko o sobie.

– Z każdym dniem jesteśmy od siebie dalej, Oleg, coraz dalej.

– Nie doprowadzaj mnie do szału.

– Myślisz, że to wszystko tak łatwo mi przychodzi? Że cię nie kocham i że mówię takie słowa bez bólu i żalu?

– Jakiego znowu żalu? Do mnie?

– Nie do ciebie. Po prostu smutku...

– Za trzy godziny mam samolot. Nie masz kiedy zaczynać poważnych rozmów? Odwiesz mnie na Szeremietiewo?

– Weź taksówkę.

– Dobrze. Wezmę. Nie mam pojęcia, skąd w tobie te pokłady zimnej nienawiści. Ale wiedz, że nie dam się psychicznie pokonać, jak te postacie ze sztuk Ibsena czy z filmów Bergmana. Nie zniszczysz mnie. Na razie. – Chwycił walizkę i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Tatiana skuliła się i usiadła na podłodze, otworzywszy usta do krzyku, lecz nie wydała z siebie dźwięku, choć krzyczała całą sobą.

Po godzinie zadzwonił z lotniska z przeprosinami. Przekonywał, że po powrocie wszystko się naprawi. „Wymyśliłem, że jesienią pojedziemy do Wenecji, będzie pięknie, zobaczysz”, powiedział na zakończenie.

– Dobrze. Wygraj. Nie martw się o mnie.

Odłożyła słuchawkę. Wzięła całą gotówkę, która była w domu, i pojechała do nowo otwartych butików w GUM. Wieczorem wyrzuciła wszystko z szaf na podłogę. Upijając się, szklanka po szklance, darła ubrania na strzępy, a potem rozpruła nożem kanapę, zbiła wszystkie szklane przedmioty, zniszczyła telewizor i sprzęt stereo, z którego Oleg był taki dumny. Rano, gdy obudziła się z bólem głowy na pobojuwisku, wypila nieposłodzoną kawę, zamówiła taksówkę i pojechała do swojego mieszkania na Sadowniczeską. Kiedy po dwóch tygodniach Antonow powrócił z Tilburga, powiedziała, że ich okradziono.

Gemini – odsłona pierwsza

Gdy otrzymał propozycję z firmy HSYX Incorporation rozegrania pokazowego meczu z ich komputerem, nie wahał się długo. Płacili ogromne pieniądze: milion dolarów za mecz złożony z czterech partii. A dodatkowo, w ramach promocji meczu, organizowali tournée po Ameryce. Tatiana była sceptyczna.

– Nie ma nic za darmo, Oleg – ostrzegła go. – Nie bądź naiwny i nie daj się im wykorzystać. A co będzie, jeśli przegrasz?

– Za milion dolarów pozwolę im się wykorzystać. A przegrać nie mogę, bo nie ma takich komputerów, które byłyby w stanie pokonać porządnego arcymistrza, nie mówiąc już o mnie.

– Byłabym ostrożna.

– Jak zwykle. Jak zwykle! – Zezłościł się. – Zamiast się cieszyć, podcinasz mi skrzydła. Przecież tournée po Stanach to marzenie mojego życia, to coś, o czym marzy każdy sportowiec.

– Tournée wydaje mi się fantastyczne, ale ten mecz z komputerem budzi mój niepokój. Oleg, kto by wydawał tak ogromne pieniądze, żebyś zabawiał się grą z maszyną?

– Oczywiście. Dla ciebie to dziwne, ale Amerykanie wiedzą, kim jestem. Potrafią cenić mistrzów, kochają mnie po meczu w Nowym Jorku. Nie jestem byle kim. Jestem najlepszym szachistą planety. Jedynym, najlepszym!

– Ja to wszystko wiem, wyraziłam tylko swoją obawę, że to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe.

– Bo życie jest piękne. – Uśmiechnął się jak dawniej i porwał ją, unosząc w ramionach.

Wszystko wyglądało wspaniale, tak jak obiecywał. Tuż po podpisaniu kontraktu HSYX przelało na jego konto w Szwajcarii połowę kwoty.

Zwieriew, przeciwny meczowi, postanowił oficjalnie zakończyć współpracę z Olegiem. Na małym przyjęciu, które zorganizował z tego powodu, ogłosił, że zamierza napisać książkę o tych kilku spędzonych wspólnie latach, opowiedzieć w niej o rozegranych przez Olega partiach.

Denisow obiecał, że na następne urodziny kupi Zwieriewowi jedwabną apaszkę i sygnet na palec, bo każdy pisarz tak się nosi.

Olga Lwowna dziękowała Zwieriewowi za to, że przez te ostatnie lata zajmował się jej synem, że tak wiele go nauczył i że wierzył w niego pomimo trudnych początków.

– Gdyby nie ta wiara – mówiła – i determinacja Aleksandra Władimirowicza,

nie byłoby Odessy. To on, ufając w talent Olega, podmienił papiery w Sportkomitecie i sprawił, że w Odessie narodziła się gwiazda. Potem już wszystko potoczyło się swoim torem.

Zwieriew był wzruszony. Dwa słowa wypowiedział też Oleg, który podziękował za otrzymaną naukę i za te wszystkie lata, kiedy trener musiał się z nim męczyć. Nie brzmiało to szczególnie serdecznie. Był urażony tym, że Zwieriew go zostawia i że nie aprobeje jego gry z komputerem.

Tournée

Tym razem pobyt w Nowym Jorku nie ekscytował ich tak, jak za pierwszym razem. Wszystko działało się według grafiku ułożonego przez organizatorów. Już w limuzynie, którą jechali z lotniska, przydzielony im opiekun wprowadzał ich w plan pobytu i zaaranżowane wydarzenia. Sesje fotograficzne, wywiady dla gazet, udział w talk-show, także w programie sławnego Rona Zieglera z CNN[66], spotkania z aktorami, politykami, dziennikarzami miały wypełniać ich kalendarz przez najbliższe dwa tygodnie. Jeszcze tego samego wieczoru spotkali się na konferencji prasowej z przedstawicielami firmy HSYX, którzy w szczegółach opowiadali o nowym procesorze Gemini, który miał być przeciwnikiem Antonowa w szachowym pojedynku. Słuchając opisu możliwości superkomputera, Oleg pierwszy raz poczuł dreszcz niepokoju. Zastanawiał się, czy nie zlekceważył przeciwnika. Informacje, jakie podawali inżynierowie HSYX, przemawiały do wyobraźni. Komputer był wyposażony w bazę danych zawierającą sto czterdzieści tysięcy rozegranych partii, potrafił liczyć z prędkością dwustu milionów kombinacji na sekundę. Głębokość, z jaką analizował grę, sięgała dwudziestu dwóch posunięć naprzód, tymczasem Oleg był w stanie analizować około dziesięciu.

– Wiedziałeś, że ten komputer ma tak ogromne możliwości? – spytała go Tania, gdy wyczerpani znaleźli się w końcu sami w hotelowym apartamencie. – Czy z nim w ogóle można wygrać?

Nie odpowiedział. Nalał sobie whisky i spoglądał na rozświetlone ulice Nowego Jorku.

Na Uniwersytecie Nowojorskim Oleg miał spotkanie ze studentami. Mówił o pracy nad rozwojem własnych uzdolnień, o przesuwaniu granic możliwości ludzkiego umysłu. Kilkakrotnie podczas wykładu zaprezentował słuchaczom dowody na swoją genialną pamięć. Na koniec spotkania z pamięci wyrecytował sporządzoną przez studentów listę obecności. Gdy skończył, przez salę przetoczyła się burza oklasków.

Wieczorem uczestniczył w telewizyjnym talk-show. Odpowiadał na mnóstwo pytań, od tych prostych – „Co zafascynowało cię w szachach?”, „Co jeszcze chciałbyś osiągnąć jako sportowiec?”, „Jaki jest związek boksu z szachami?” – po pytania o ocenę sytuacji politycznej w Rosji i Europie Środkowej. I znów prezentował możliwości swojego umysłu, zapamiętując i odtwarzając z pamięci sekwencje liczbowe, schematy graficzne, pokazywane mu w ciągu kilku sekund, wreszcie grając w pamięci, bez patrzenia na szachownicę, z dziesięcioma przeciwnikami naraz, przy czasie do namysłu wynoszącym dwie minuty. Wygrał wszystkie dziesięć gier.

Ron Ziegler Show

Ziegler uśmiechnął się zza swoich kwadratowych okularów, widząc tremę Olega. Miał na sobie charakterystyczne szelki. Kubek, który stał na blacie, tworzył miłą domową atmosferę. Podwinięte rękawy i nachylona do przodu sylwetka dziennikarza skojarzyły się Olegowi z szachistą zastanawiającym się nad kolejnym posunięciem. To sprawiło, że poczuł się swobodniej.

– A teraz w *Ron Ziegler Show* – odezwał się głos z offu – człowiek, który niebawem zmierzy się w pojedynku z najgenialniejszym komputerem wszech czasów. Czarodziej szachów, mistrz świata Oleg Antonow.

– Witam w *Ron Ziegler Show* – zaczął redaktor, gdy dali im znać, że są na wizji. – Moim gościem jest dziś Oleg Antonow, szachowy mistrz świata, który miał odwagę podnieść rękawicę rzuconą mu przez inżynierów z firmy informatycznej i zgodził się zmierzyć z najnowocześniejszym komputerem świata. Dziękuję, że przyjąłeś moje zaproszenie. Pozwolisz, będę mówił do ciebie Oleg, choć wiem, że u was, w Rosji, używacie jeszcze imienia po ojcu.

– Tak, Oleg Igorowicz.

– Twój ojciec, Igor Antonow, był bokserem, wicemistrzem olimpijskim z Meksyku.

– Tak. Wyrastałem w blasku jego medalu.

– Mówisz „w blasku”, nie „w cieniu”? To znaczy, że nie deprymował cię sukces ojca, któremu trzeba dorównać?

– Nie, raczej mobilizował do osiągnięcia podobnych sukcesów.

– Czemu nie wybrałeś boksu, by podtrzymać rodzinną legendę? George Foreman wciąż walczy, mógłbyś mu się zrewanżować za ojca.

– Poprosiłem go o spotkanie, kto wie, do czego w czasie niego dojdzie – zażartował Oleg.

– Co jest łatwiejsze – kontynuował w żartobliwej konwencji Ziegler – spotkanie z Foremanem czy pojedynek z superkomputerem?

– Hm – zadumał się Oleg. – Z George’em można unikać walki, tak jak to robił Charlie Chaplin w *Świątłach wielkiego miasta*, no cóż, w najgorszym razie pokazać z dumą kolegom spuchniętą brew, mówiąc: „Spójrzcie, to zrobił mi sam George Foreman”. Gra z komputerem to pokonywanie własnych słabości i ograniczeń, tylko że tych, które kryją się wewnątrz ciebie, w głowie, w duszy. To znacznie trudniejsze. I porażka boli mocniej i dłużej.

– Co myślisz, kiedy oglądasz walkę ojca z Foremanem?

– Dumę, że pomimo swoich ograniczeń podjął otwarty bój.

– A gniew? Czy nosisz w sobie gniew? Opisują cię jako agresywnego, niezwykle

wymagającego przeciwnika. Ktoś wspominał nawet o lęku, jaki wzbudza gra z tobą, przebywanie twarzą w twarz.

– Nie nazwałbym tego gniewem. Raczej pasją. Każda partia to osobne wyzwanie i staram się tak do tego podejść. Wkładam w nie ogromną ilość energii i podobnego zaangażowania zapewne wymagam także od przeciwnika.

– Ale Gemini tego nie odczuje. Czy to nie frustrujące?

– Tak, to jest frustrujące i powoduje w człowieku dziwny stan. Być może jestem pierwszym, który w tak otwarty i jawny sposób będzie konfrontował możliwości ludzkiego umysłu z potęgą sztucznej inteligencji. To nie jest przyjemne uczucie i staram się myśleć o tym jak najmniej, by nie tracić pewności siebie.

– Czujesz się reprezentantem ludzkości w pojedynku z komputerami?

– Po części tak. Ale nie zapominajmy o tym, że ten komputer też stworzyli ludzie. Liczę, że popełnili kilka błędów, które pozwolą mi na odniesienie zwycięstwa.

– A więc jednak błędy decydują o wygranej lub przegranej, nie idealna gra jednego z zawodników?

– Najczęściej decydują błędy, zwykłe słabości, momenty dekoncentracji. Partie idealne zdarzają się niezwykle rzadko. Ale się zdarzają. Myślę, że kilka z naszych gier z Romancewem zasłużyło na takie miano.

– Czytałem relacje z waszych meczów i doszedłem do wniosku, że psychologia odgrywa w szachach kolosalną rolę.

– Tak właśnie jest.

– No dobrze, usiądziesz naprzeciwko inżyniera obsługującego Gemini i okaże się, że psychologia nie ma tu znaczenia, bo grasz z nieczułą maszyną, ukrytą w osobnym pomieszczeniu.

– Tak i nie.

– Chcesz powiedzieć, że maszyna też będzie odczuwać stres i ulegać procesom psychicznym?

– Oczywiście nie dosłownie. Ale można w pewien sposób przewidzieć zachowanie maszyny, kryteria jej wyborów, skłonność do ryzyka, typowe schematy myślenia i dzięki temu prowokować ją do zachowania, w którym stanie się zakładnikiem tego schematyzmu. Krótko mówiąc, stosując analogię do boksu, jeśli zaprogramowano ją do ataku i tak, aby biła przede wszystkim lewym prostym, to wiesz, że ten schemat walki będzie powtarzać. Nie zacznie nagle klinczować, ale będzie ciągnąć do przodu jak Mike Tyson. Na marginesie, czuję, że gdyby jednak doszło do walki Mike'a z Foremanem, George przez pierwsze kilka rund klinczowałby i kładł się na niego całym swoim ciężarem, aby po prostu go fizycznie zmęczyć.

– Pozwól, że trochę ostudzę twój optymizm i zacytuję materiał dotyczący

superkomputera Gemini: „Gemini to samoucząca się i samodoskonaląca sztuczna inteligencja, dostosowująca swoją strategię i taktykę do okoliczności”. Brzmi to poważnie, aż chciałoby się zakrzyknąć: „Reprezentancie ludzkości, nie daj się maszynie!”. Po takich filmach jak *Terminator* czujemy odrobinę niepokoju na myśl o sztucznej inteligencji.

– Arnold Schwarzenegger, z którym liczę na spotkanie w Kalifornii, zagrał to tak przekonująco, że gdyby to on wykonywał ruchy podpowiadane mu przez Gemini, niechybnie bym przegrał. Mam jednak nadzieję, że naprzeciwko mnie usiądzie jakiś miły, jowialny inżynier, który w czasie obmyślenia przez komputer posunięć będzie ucinął sobie słodką drzemkę.

– Jak radzisz sobie ze stresem?

– Ćwiczę boks. A w trakcie gry staram się wprowadzić w stan transu, natchnienia, kiedy tworzenie wariantów, planów, strategii to czysta przyjemność, a nie wysiłek. Ale przed partią lubię trochę poboksować dla odprężenia.

– Jesteś rozczarowany, że bokserzy zarabiają więcej od szachistów?

– Nie myślę o tym. Od czasów Roberta Zimmermana zarabiamy całkiem dobre pieniądze. Można powiedzieć, jestem w miarę zamożnym człowiekiem.

– Co myślałeś, kiedy siadałeś naprzeciwko Zimmermana w Nowym Orleanie?

– Czułem się wówczas jak postać z filmu. Nie było we mnie zbyt głębokich refleksji. Raczej coś na kształt myśli: „Okej, tak właśnie się pisze własną legendę. Jestem genialny, więc pokonanie Zimmermana to dla mnie normalna sprawa”.

– „New York Times” opisał cię wówczas jako dziecko pieriestrojki. Nowocześnie myślącego przedstawiciela nowej generacji Rosjan. Wierzyłeś kiedyś w komunizm?

– Nie, nie wierzyłem. Ale nie przekreślam wszystkiego, co ze sobą niósł w moim kraju. Edukacja, stypendia sportowe, brak bezrobocia, to było coś fajnego. Zdaję sobie jednak sprawę z dokonanych zbrodni, terroru, bezprawia, represji, ograniczeń i strachu, który w większości z nas tkwił od urodzenia. Cieszę się, że wszystko się zmienia, ale boją mnie akty terroru i zwykłe zbrodnie między narodami, które żyły dotąd w jednym kraju, a dziś szukają swojej niezależnej tożsamości. Cieszę się, że świat docenił Michaiła Gorbaczowa [67], lecz obawiam się, czy ktokolwiek jeszcze kontroluje ten ogromny okręt, jakim jest Związek Radziecki.

– Jak postrzegają cię w kraju? Dawniej dostawałbyś order i cieszył się przywilejami.

– Odznaczenie państwowe otrzymałem za mistrzostwo świata. Ale teraz to nie wiąże się z przywilejami i jakąś specjalną pozycją społeczną.

– Masz pochodzenie żydowskie. Nie myślałeś o emigracji do Izraela jak wielu twoich rodaków?

- Jestem Rosjaninem i mój kraj to Rosja.
- Ale powtarzasz, że uwielbiasz przyjeżdżać do Ameryki.
- Tak, tu czuję się w centrum świata i to mi bardzo odpowiada. To kraj, który emanuje energią i dynamizmem. I to jest w nim wspaniałe.
- Jesteś tu ze swoją partnerką życiową, aktorką Tatianą Bułanową. Historia rozstania jej rodziców była nazywana w Ameryce „Romeo i Julia zimnej wojny”. Doczekała się ekranizacji. Sam pamiętam wzruszającą scenę rozdzielenia dwojga kochających się ludzi na lotnisku w otoczeniu agentów FBI i KGB. Jak ona przeżywa pobyt w Ameryce?
- Tatiana towarzyszy mi w najważniejszych momentach. Była w Nowym Jorku, gdy zdobywałem tytuł. Mieszkaliśmy wówczas w tym samym hotelu, z którego uciekł jej ojczym Aleksander Naumow. Poradziła sobie z tym. Ją również fascynuje Ameryka. Jutro ma wywiad dla „Vanity Fair” i jest tym faktem bardzo przejęta.
- Kiedy powiedziałaś sobie: chcę zajmować się szachami przez całe swoje życie?
- Po wygranej z Romancewem na turnieju w Odessie. Pamiętam, że szachy przemówiły do mnie wówczas swoim sekretnym językiem i tak to zostało do dziś.
- A więc życzę ci, by przemówiły do ciebie już za kilka dni w pojedynku z superkomputerem Gemini. Dziękuję za spotkanie. Moim i państwa gościem był szachowy mistrz świata Oleg Antonow.

W słynnym nowojorskim klubie Marshalla Antonow zagrał symultaną z ośmioma amerykańskimi szachistami, grając na czterech szachownicach białym kolorem, a na pozostałych – czarnym. Ponieważ byli wśród nich również trzej arcymistrzowie, wynik – cztery zwycięstwa, cztery remisy – można było uznać za sukces. Aby uczcić pamięć sławnego arcymistrza Franka Marshalla, umówiono się, że we wszystkich partiach zostanie zagrany jego sławny atak w partii hiszpańskiej. Antonow wygrał trzy partie, grając ten wariant czarnymi.

– Wchodząc tu – mówił Oleg na zakończenie wieczoru – do klubu, w którym naukę pobierał między innymi legendarny Robert Zimmerman, miałem uczucie, że wchodzę do mistycznej loży, świątyni, w której grono wtajemniczonych adeptów królewskiej gry oddaje się wykwintnym elitarnym ceremoniałom. To urocze, że szachy mogą mieć tak różne oblicza. Od fajnej kilkuminutowej rozrywki w Central Parku po pełną intelektualnych wyzwania, intymną rozgrywkę w pięknym klubie. Muszę powiedzieć, że Nowy Jork na zawsze pozostanie w moim sercu. Nowojorczyki zgotowali mi tu dwukrotnie wspaniałe przyjęcie, czułem się fantastycznie i będę wracał do waszego miasta przy każdej nadarzającej się okazji. Dziękuję!

„Vanity Fair”

Tekst: Chris Coleman

Zdjęcia: Michael Bradley

Spotykamy się w apartamencie, dokładnie tym samym, w którym trzynaście lat wcześniej mieszkali jej rodzice. Stoi wyprostowana przy oknie. Ma na sobie sukienkę zaprojektowaną przez Normę Kamali, kolczyki od Connie Parente. Elegancją i wdziękiem przywołuje na myśl Audrey Hepburn z ekranizacji *Wojny i pokoju*. Otacza ją aura kobiet z Europy Wschodniej. Lekka niepewność, skromność w ruchach, które sprawiają, że natychmiast masz ochotę otoczyć ją opieką, wesprzeć swoim ramieniem. Kiedy oglądałem film nakręcony na kanwie historii jej rodziców, złościła mnie, to przecież głównie przez nią matka wróciła do Rosji. Tamten miłosny związek skończył się tragicznie. Nie wiem, jak czułbym się na jej miejscu. Kiedy zastanawiam się, jak zacząć naszą rozmowę, odwraca się w moją stronę. Michael robi kilka zdjęć. Dopiero teraz spostrzegam jej rozedrgane spojrzenie. Czuję lekki dreszcz i zmieszanie, które chcę pokryć mocnym akcentem na początek naszej rozmowy.

– Kim jesteś? – rzucam, trochę nie przemyślawszy tego pytania. – Aktorką? Córką sławnych rodziców? Partnerką znanego szachisty, który otrzymał niedawno przydomek „Mozart szachów”?

– Jestem kobietą z Rosji. Coraz bardziej kosmopolitką, zachwyconą wolnością i przestrzenią, która się przede mną otworzyła. Kobieta, która wykonuje swój zawód najbardziej profesjonalnie jak to możliwe, która nie robi z siebie ofiary trudnej przeszłości i nie próbuje na tym zbić kapitału. Wreszcie kobietą wyzwoloną, która jest z miłości i tylko z miłości u boku, a czasem w cieniu apodyktycznego mężczyzny.

Uderzyła mnie jej szczerość, więc postanowiłem to wykorzystać, ciągnąc wątek Antonowa.

– Apodyktycznego? – spytałem.

Uśmiechnęła się lekko.

– Jak każdy genialny artysta czy sportowiec ma swój charakter i silną osobowość. Kobieta musi wiedzieć, na co się pisze, wchodząc w związek z kimś tak wyjątkowym.

– A ty się na to odważyłaś...

– Oleg to intrygujący mężczyzna. Stanowi wyzwanie. Ale myślę, że ja stanowię również dla niego wyzwanie. Poznaliśmy się, kiedy jeszcze nie był tak znany jak teraz.

Postanowiłem ją sprowokować i nieco pozbawić pewności siebie.

– Wielu znanych ludzi, wiele gwiazd, stanowi dla siebie wyzwanie, o którym mówisz, jednak to zauroczenie nie trwa długo i wiele z tych związków kończy się rozstaniem.

– Wierzę w związek oparty na partnerstwie, nie na podporządkowaniu. Tylko wtedy możliwa jest wzajemna fascynacja. Wiele amerykańskich kobiet, które opisujecie w „Vanity Fair”, zachwyca mężczyzn przez dziesięciolecia, wszystko zależy od osobowości. A jeśli mimo to coś się skończy, no cóż, kobieta nie powinna pozbawiać się przestrzeni, swojego marginesu, który pozwala jej z sukcesem budować własne szczęście nawet po rozstaniu. Podziwiam za to moją matkę. Pokazała mi, że pomimo ciosu można się pozbierać, odnaleźć inną drogę. To niezwykła kobieta.

– Czy nadalnosisz w swoim sercu żal do Aleksandra, że was wówczas zostawił?

– Wybaczyłam mu. Najpierw nienawidziłam go za to, że pogodził się z myślą, iż niszczy moje dzieciństwo, mówiąc wprost, że skreślił mnie, poświęcił dla swoich fantazji. Ale kiedy przyjechałam tu w zeszłym roku po raz pierwszy, potrafiłam zrozumieć emocje, które nim targały, to pragnienie wolności, przestrzeni, świata. Trudno sobie z tym poradzić. Naiwnie myślał, że może mieć wszystko. I wtedy było mi tylko żal: jego i nas.

– Co chcesz jeszcze osiągnąć?

– Wierzę, że nie powtórzę błędu ojca. Chcę mieć normalną rodzinę, pogodzić aktorstwo z życiem prywatnym.

– Czy to łatwe z szachowym geniuszem?

– Wszystko zależy od priorytetów, jakie sobie postawi.

– Jesteście teraz ciągle w podróży?

– Po latach zamknięcia w kraju zachłysnęliśmy się odkrywaniem świata. Ekscytuje nas poznawanie innych kultur czy postaw życiowych, mody, całkowicie niezależnej sztuki, luksusu. Tego wszystkiego, czego brakowało nam wcześniej.

– Kim jest w głębi ducha Tatiana Bułanowa?

– Kotką, nie kociakiem. Chadzam własnymi drogami, w głębi duszy jestem wciąż wolna i dzika.

– Jak reagujesz, gdy twój partner zostaje okrzyknięty jednym z najseksowniejszych ludzi planety, a jego zdjęcia są na okładkach gazet?

– To raczej problem kobiet, które je oglądają. Ja mam go na co dzień. Ale zdradzę im coś w sekrecie, żeby się nie frustrowały, patrząc na swoich mężów: bez make-upu nie zawsze tak dobrze wygląda.

– Porozmawiajmy o twojej roli. Grałaś niedawno rosyjską oficer milicji w amerykańskim filmie szpiegowskim. Jak postrzegasz stereotypy myślenia o Rosjanach?

– Są bardzo silnie zakorzenione na Zachodzie. To tak, jakbyśmy myśleli, że

każda Amerykanka nosi kapelusz kowbojski. Kobieta rosyjska w zachodnich filmach albo jest zagubioną, zakompleksioną dziewczyną, która nienawidzi swojego kraju i marzy jedynie o związaniu się z brytyjskim lub amerykańskim szpiegiem, albo przeciwnie, pije litrami wódkę i strzela z kałasznikowa.

– W swojej roli próbowałaś odejść od tego stereotypu?

– Próbowałam, ale reżyser i scenarzysta nie byli z tego powodu zachwyceni.

– Mówisz poważnie?

– Trochę żartuję.

Podczas całej naszej rozmowy intryguje mnie jej wyszukany styl ubioru.

– Masz na sobie ubrania od najlepszych projektantów.

– Owszem, uczę się ubierać od najlepszych, podpatruję modę w Paryżu, Mediolanie i Nowym Jorku. Kupuję projekty tych, których cenię, i teraz, gdy mnie na to stać, staram się ubierać siebie i Olega modnie.

Kiedy tak rozmawiamy, próbuję ją sobie wyobrazić na ulicach Moskwy. Jej obraz nie pasuje mi do tego, co wiem o stolicy Związku Radzieckiego, do tandetnych sklepów, kolejek po najlichszy choćby towar, ciasnych, komunalnych mieszkań. Chcę ją spytać, czemu tam wraca, lecz zamiast tego dziękuję jej za rozmowę. Może dzięki temu spotkaniu wiem, jak będzie wyglądał Rosjanin za dziesięć, piętnaście lat. Na razie wyszło to jakoś nierealnie, jak spotkanie w Paryżu z kobietą, która podaje się za ostatnią, cudem ocalałą z pogromu rewolucji córkę cara Mikołaja II – Anastazję Romanową. Opuszczając hotel Mayflower, cieszę się, że jestem zwykłym nowojorczykiem, który nie musi poszukiwać własnej tożsamości. Jestem nowojorczykiem, i ulica, przy której mieszkam, jest całym moim światem.

Kolejny dzień, zgodnie z planem spędzili na zwiedzaniu Ośrodka Badań Kosmicznych imienia Kennedy'ego na przylądku Canaveral. Tam też zorganizowano konferencję prasową. Jej pierwsza część poświęcona była możliwościom wykorzystania nowych technologii informatycznych w badaniu kosmosu. Przedstawiciele HSYX opowiadali o zaletach procesora Gemini.

Oleg był pytany o szansę człowieka w pojedynku z wszechwiedzącą maszyną. I w końcu padło to pytanie, które wywołało w nim dreszcz:

– Co będzie, jeśli przegrasz i zostaniesz pierwszym mistrzem, który dał się pokonać maszynie?

Przez resztę dnia to pytanie powracało do niego jak echo: „Co będzie, jeśli przegrasz i zostaniesz pierwszym mistrzem, który dał się pokonać maszynie?”, „Co będzie, jeśli przegrasz i zostaniesz pierwszym mistrzem, który dał się pokonać maszynie?”.

Przeraziło go to, że nie wziął w ogóle pod uwagę takiego scenariusza zdarzeń.

Wieczornym samolotem polecili do Los Angeles.

– Nasza podróż po Ameryce dobiega końca – mówił Antonow dziennikarzom z kalifornijskich gazet. – Teraz pozostały już tylko dwa dni na przygotowanie do meczu z Gemini. Te ostatnie godziny spędzimy tu, w Los Angeles. Liczymy na spotkanie z kilkoma gwiazdami kina. Marzyliśmy, że spotkamy w Nowym Jorku Woody’ego Allena, ale uciekł przed nami do Europy. Może więc tu kogoś upolujemy.

Aleksander Naumow zadzwonił do hotelu, w którym się zatrzymali. Gdy Tatiana, z mokrymi włosami, podniosła słuchawkę, recepcjonista zapytał ją, czy zgadza się na połączenie. Powiedziała, że tak.

– Nie chcę, Taniu, byś oglądała mnie w tym stanie – mówił Naumow. – Pamiętasz mnie, gdy byłem młodym tancerzem, gdy unosiłem się ponad sceną i leciałem niczym ptak w powietrzu, zaprzeczając grawitacji. Teraz grawitacja upomniała się o mnie. Przez alkohol zrobiłem się stary i gruby. Moja wątroba to już padlina. Ale chciałem usłyszeć twój głos. Przez te wszystkie lata ciągle wracam do naszych wspólnych chwil. I niemal każdej nocy przeżywam ten wieczór, gdy wychodzę z hotelu w nadziei, że odmienię swoje życie na lepsze. Ten ból i ta pokuta towarzyszą mi od lat.

– Wybaczylam ci – szepnęła drżącym głosem. – Mama także.

Zapadła cisza. Trwała długo, minutę, może dwie. Potem, bardzo zmęczonym i zbolalym głosem Naumow powiedział:

– Muszę kończyć. Odezwę się niebawem. Do usłyszenia, Taniu.

Tania milczała, szukała słów, by wykrzyczeć, co czuje, ale nie była w stanie ich nazwać.

– Tato! – krzyknęła po chwili wahania, lecz w tym właśnie momencie Naumow odłożył już słuchawkę.

Gemini – odsłona druga

Dolina Krzemowa,

lipiec 1991; mecz człowiek kontra komputer

– To bardzo proste – wyjaśniał Rhodes. – Zanim operator siedzący przed Antonowem otrzyma od Gemini polecenie wykonania ruchu, ty musisz dać swoje „okej”. To, co zobaczy operator, będzie ruchem, który wcześniej zaaprobowalesz lub sam wymyślił. Pomiędzy Gemini a szachownicą jesteś ty. Jedyne wyjątki zrobimy w pierwszej partii. Nasi inżynierowie naprawdę są ciekawi, co potrafi ta maszyna, i chcą, żeby choć jedną partię zagrała samodzielnie. Zresztą zależy nam na tym, aby pokazać później światu ewolucję w jej myśleniu, w jej grze. To dodatkowy atut dla komisji przetargowej, dowód, że Gemini to samoucząca się sztuczna inteligencja.

– Chcę widzieć jego twarz – zażądał Romancew. – To bardzo ważne w doborze strategii. W pierwszej partii będę go tylko obserwował i dam wam mój komentarz, co do możliwości Gemini.

– Będziesz miał cały czas zbliżenie na niego na monitorze – potwierdził Rhodes. – Dziś bądź widz, od jutra staniesz się reżyserem.

Na niebie rozlała się czerwień zachodzącego słońca. Ulubiona pora dnia Olega. Tatiana usiadła naprzeciw niego z herbatą.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Jesteś ze mną, więc wygram.

Odwróciła wzrok, a on poczuł ukłucie niepokoju.

Partia pierwsza: obrona Caro-Kann

białe: człowiek, czarne: maszyna

Sala studia telewizyjnego, w której rozgrywano pojedynki, tonęła w mroku. Za ledwie gdzieś rozświetlały ją na niebiesko lub czerwono szklane dekoracje, przypominające scenografię z *Gwiezdnych Wojen*. Miejsce, gdzie stał szklany stolik, na którym znajdowała się szachownica, było oświetlone z góry mocnym reflektorem punktowym. Po bokach znajdowały się ekrany, na których na przemian wyświetlany był obraz szachownicy i obraz sceny.

Romancew wziął głęboki oddech, tak jakby to on miał za chwilę rozegrać pojedynki o honor ludzkości. Gdzieś w głębi ducha poczuł solidarność z

Antonowem i przez moment próbował w myślach doradzić mu wybór debiutu. Lecz uczucie to szybko ustąpiło, gdy ujrzał go siadającego do stolika. Znał doskonale ten wyraz twarzy. Tę pychę, to poczucie siły. Romancew wiedział już, że ta partia będzie większym wyzwaniem dla Gemini niż dla mistrza świata. Znał Antonowa na tyle, aby wyczuć emanującą od niego moc twórczą. Pierwszy raz, na ekranie, podczas zbliżenia dostrzegł to aż tak wyraźnie. Nagle uświadomił sobie, że kluczem do wygranej jest pozbawienie przeciwnika tej magii, wytrącenie go z jego przekonania o nadzwyczajnych zdolnościach, pozbawienie wiary, która czyni cuda.

Antonow grał nieco inaczej niż zwykle. Był ogromnie skupiony, rozgrywał debiut spokojnie, bez pośpiechu nastawiając się na długą grę pozycyjną. To zaskoczyło Romancewa. Ale jednocześnie sylwetka mistrza świata, sposób, w jaki stawiał figury, ogromna koncentracja malująca się na jego twarzy, to wszystko przekonywało, że jego figury kumulują w sobie energię, są gotowe do uderzenia. Romancew kręcił głową, rozczerowany postawą Gemini. Spodziewał się, że maszyna będzie starała się przeć do przodu jak walec, spychać krok po kroku białe figury do obrony. Nic takiego się nie stało. Antonow niezwykle precyzyjnie pozbawiał komputer możliwości przeprowadzenia jakiegokolwiek kontrataku. Można powiedzieć, że mistrz świata grał dokładnie w jego, Romancewa, stylu. W pewnym momencie, około czterdziestego posunięcia, Antonow uderzył. A zrobił to tak nagle, tak nieoczekiwanie, tak precyzyjnie, że Romancew odchylił się w fotelu i zmierzwił włosy, pełen podziwu dla rywala. Tego właśnie można było oczekiwać po tym niezwykle, błyskotliwym umyśle, który uspił maszynę, manewrując przez wiele posunięć, aby w końcu we właściwym momencie zaatakować niczym matador precyzyjnie wbijający szpadę w kark byka. Wobec nieuchronności porażki maszyna się poddała.

Romancew zebrał swoje notatki. Czuł ekscytację na myśl, że jutro to on pokieruje grą. Miał ogromną ochotę ujrzeć w oczach rywala panikę.

Prasa określiła zwycięstwo Antonowa najważniejszą partią dekady. Rozpływano się w pochwałach nad jego czuciem gry, wyobraźnią, fenomenalną intuicją, która pozwoliła mu idealnie dobrać strategię obnażającą braki „ociężałej”, schematycznej maszyny. „Antonow pokazał, że proste algorytmy i schematy nie wystarczą, by zastąpić inteligencję człowieka”, pisał Serewan. „Nawet gdy mamy do czynienia z superkomputerem, nadal potrafimy wykorzystać braki i słabości maszyn”.

Partia druga: obrona sycylijska, wariant Ałapina
białe: maszyna, czarne: człowiek

Niemal od pierwszego posunięcia Romancew wiedział, że wygra tę partię z Antonowem. Znał go tak dobrze, że był w stanie wczuć się w jego emocje, rozumieć myśli. Na ekranie monitora dostrzegał butę Antonowa, luz, brak dostatecznej koncentracji i lekceważenie. I właśnie na taki stan ducha u rywala liczył i na taki scenariusz przygotował swoją strategię. Wybrał skromny, rzadko grany wariant Ałapina w obronie sycylijskiej, który Antonowowi wyraźnie nie pasował. Skazany na bierną obronę w debiucie, mistrz świata męczył się, niecierpliwił, szukał jakiejś idei, która pozwoliłaby mu grać aktywnie, a nie tylko być biernym obserwatorem manewrów białych figur. Gdyby nie łatwe zwycięstwo w pierwszej partii, być może Antonow czułby większy respekt przed grą Gemini, ale tamta wygrana utwierdziła go w przekonaniu, że jego umiejętności są poza zasięgiem komputera. Nie wiedział, że tym razem nie przyszło mu mierzyć się z maszyną. Propozycje Gemini były regularnie odrzucane przez Romancewa, który wybierał czasem nawet słabszą kontynuację, ale pasującą do jego planu. A tym planem było sprowokowanie Antonowa. Tak więc siedzący naprzeciw mistrza świata operator wykonywał nudne posunięcia, wywołując u Antonowa znużenie. W końcu, zniecierpliwiony brakiem postępów na szachownicy i odbierając to jako brak pomysłu na grę ze strony komputera, zaproponował ekipie Gemini remis. Romancew już w tym momencie wiedział, że gra zmierza do rozstrzygnięcia. Czekał na ten moment cierpliwie przez ponad trzy godziny. Nakazał odrzucenie remisu i grał dalej. Antonow wydawał się tym rozsierdzony. Zdjął z ręki zegarek i położył go obok szachownicy. Przygryzał nerwowo wargi. Widać było, że wypełnia go złość, że jego myśli zaczęły kierować się w stronę znalezienia szybkiego sposobu na ukaranie informatyków i ich bezczelnej maszyny. Teraz już on nie chciał remisu. Szukał jakiegoś sposobu, aby rozpocząć kontrgrę. Nietrudno go było znaleźć. Romancew sam, przewidując przebieg wypadków, pozostawił mu wąską furtkę, przez którą zapraszał go do gry na wygraną. Doskonale wiedział, że w normalnych okolicznościach Antonow byłby w stanie rozpoznać zastawioną na niego pułapkę. Ale nie wtedy, gdy ogarniało go coraz większe wzburzenie. Romancew spoglądał na jego twarz i uśmiechał się. Już był pewien następnych posunięć, tak samo jak był pewien wyniku tej partii. Poprosił, by podano mu herbatę z cytryną.

Stan meczu się wyrównał.

Partia trzecia: otwarcie nieznane
białe: człowiek, czarne: maszyna

Antonow wybrał otwarcie, którego maszyna z pewnością nie znała, gdyż nie widniało ono w żadnych spisach debiutów. Grał bardzo uważnie, czuł, że to kluczowa dla niego partia, że cała reputacja ludzkiego umysłu jest teraz w jego rękach. Nie chciał dopuścić, by przez nieuwagę, przez głupi błąd, stracił przewagę, wierzył w siebie, czuł, że pierwszy raz nie potrzebuje Tatiany, by wygrać, że może

polegać jedynie na swoim talencie, na swoich siłach i umiejętnościach. Czuł tę mobilizację i wiedział, że z każdym ruchem jego umysł pracuje coraz mocniej, precyzyjniej, bez wahań. Romancew starał się opanować sytuację, ale pozycja była ogromnie dynamiczna, a rywal praktycznie grał bezbłędnie, nie pozostawiając żadnych rozsądnych alternatyw. Romancew nerwowo spoglądał na analizy Gemini i konfrontował je ze swoimi. Ich ocena sytuacji i planowane posunięcia zgadzały się. Nie było drogi, by przeciwstawić się naporowi białych. Romancew z niedowierzaniem spojrzął na twarz Antonowa. To była magia. Bez dwóch zdań magia. Przecież to niemożliwe, by grał tak bezbłędnie, że ani superkomputer, ani on nie potrafią znaleźć metody, by odeprzeć atak. Próbował zapanować nad pozycją, zredukować jej dynamikę, przenieść walkę w obszar gry mniej kombinacyjnej, a bardziej technicznej. Ale tu właśnie Antonow przygotował fortel, bo nagle sam odmienił charakter pozycji, zmieniając układ sił i ryzykując. Maszyna biernie zaakceptowała narzucony przez człowieka styl gry. Romancew nie był w stanie jej skutecznie pomóc. Widział w oczach Antonowa, że ten wie już, iż zwycięstwo jest w zasięgu jego ręki, ale również, że nie traci ani na chwilę swojej czujności. Rozbiegane oczy fotografowały w wyobraźni warianty, które mózg Antonowa liczył z podobną precyzją co procesor Gemini. Romancew jeszcze raz przyjrzał się analizom wyprodukowanym przez maszynę. Zamierzała grać według swojego schematu, tak jak została zaprogramowana – przecież miała swoje priorytety, powtarzała to, czego ją nauczono, wybierała ścieżki, które wiązały się z najmniejszym ryzykiem, szukała najsilniejszych kontynuacji, które pozornie miały poprawić jej pozycję, w istocie były jednak nastawione na chwilowe redukcje przewagi Antonowa, gdy tym czasem pozycja wymagała czegoś zupełnie rewolucyjnego, całkowitej zmiany planu obrony. I kiedy Romancew ujrzał, że zwycięstwo Antonowa staje się faktem, wykonał coś, czego jego rywal nie potrafił sobie wytłumaczyć. Wyglądało to tak, jakby maszyna zmieniła taktykę, zamiast najbardziej logicznej, zwykłej obrony, zamiast ratowania tego, co jeszcze dawało się obronić, porzuciła nagle ten sposób gry i idąc na wysokie ryzyko, rozpoczęła kontratak, szukając w nim ratunku, a jednocześnie metody na odwrócenie normalnego przebiegu zdarzeń. Przypominało to mecz piłkarski, w którym trener jednej z drużyn zdecydował, że bramkarz i wszyscy jego obrońcy mają ruszyć do ataku, bez względu na konsekwencje. Antonow oniemiał. Nagle Gemini otworzył jego pionom drogę do pola przemiany, pozwolił wtargnąć do bronionego dotąd zaciekle obozu, sam zaś postanowił brawurowym marszem doprowadzić swojego piona również do pola przemiany i, pomimo dużych strat, uratować partię wiecznym szachem. Twarz Antonowa zdradzała jego emocje. To nie było zwykłe rozczarowanie, to była rozpacz. W kilka chwil stracił swoją ogromną przewagę, tracił szansę na zwycięstwo w tej partii i w całym meczu. A przecież to było tak bardzo nielogiczne, tak bardzo nie odpowiadało dotychczasowemu sposobowi gry maszyny, zaprzeczało podstawowym zasadom, które niewątpliwie w niej zaprogramowano.

Remis, pomimo kolosalnej przewagi, pomimo posiadania dwóch figur więcej, za sprawą wiecznego szacha, którego komputer w jakiś przedziwny sposób dostrzegł poza głównym nurtem swoich obliczeń. Romancew widział, jak mistrz świata pogrąża się w otchłani rozpacz, jak znika w nim wiara, jak pewność zostaje zastąpiona przez zagubienie. Widział to wszystko w jego oczach. Widok był tak przykry, że odwrócił głowę od ekranu. Wstał i szepnął do siedzącego przy nim informatyka:

– Dalej Gemini sobie poradzi. Już rozumie, w czym rzecz.

I faktycznie, maszyna postawiona na właściwym torze realizowała plan z chłodną precyzją, odbierając człowiekowi szansę na odniesienie zwycięstwa.

Remis okrzyknięto zgodnie sukcesem Gemini i krokiem milowym w rozwoju sztucznej inteligencji. Informatycy byli oczarowani. Chwalono Gemini za umiejętność abstrakcyjnego myślenia, jego zdolność do nagłej zmiany strategii, wrażliwość na zmieniające się warunki prowadzenia działań. Szefowie HSYX mieli swój sukces. Byli u celu, zależało im, aby w ostatniej partii Gemini nie roztrwonili zdobytej reputacji. Zadaniem Romancewa było czuwać, aby nie zdarzyło się nic, co mogłoby zmienić dobry wizerunek komputera.

Romancew nie spał całą noc. Czuł się źle. Obserwując twarz Antonowa, zrozumiał, że jego zemsta stała się zbyt okrutna. Obiecał sobie, że w ostatniej partii, granej przez Gemini białym kolorem, nie dopuści do wygranej komputera, nie wesprze go, że da Antonowowi możliwość remisu i zachowania reputacji niepokonanego przez maszynę mistrza.

Partia czwarta: obrona sycylijska, wariant Scheveningen
białe: maszyna, czarne: człowiek

Kiedy Romancew usiadł na swoim stanowisku, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest wyczerpany emocjonalnie. Myśl, że zastopował rywala, sprawiła mu radość, ale ceną, jaką płacił, był wstręt do samego siebie. Remis uznał za zakończenie fair całej sprawy. Czekał na początek gry, wybierając dla komputera posunięcie pionem na e4, tak aby Antonow mógł ustawić swojego „Scheveningena” i kontrolując grę, znalazł łatwą drogę do remisu. Romancew przycisnął przycisk i operator w sali gier otrzymał na swoim ekranie komendę: „e4”. Chwilę potem pojawił się Antonow. Pierwszy rzut oka na jego twarz, która ukazała się na ekranie, uświadomiła Romancewowi, że mistrz świata podobnie jak on nie zmrużył oka. Pomyślał przez chwilę o tym, co w czasie, gdy nocą jego rywal przeżywał ostatnią partię, mogła robić Tania. Jej zdjęcia, które widział w prasie, prześladowały go. Czy siedziała obok niego, trzymając za rękę? Poczł, jak krew uderza mu do głowy. Spojrzał z nienawiścią na Antonowa. Wezbrała w nim złość tak ogromna, że z trudem powstrzymywał się, by nie uderzyć czymś w ekran

monitora. Ta złość dodała mu sił. Spojrzał na szachownicę, na której stała pozycja klasycznego Scheveningena. Antonow próbował zaktywizować swoje figury manewrami skoczka na skrzydle królowej. Białe figury, które zazwyczaj w tym wariacie atakują skrzydło królewskie, stały biernie. Nagle, nie bacząc na swoje zobowiązania wobec HSYX i nie zważając na wynik partii i konsekwencje, Romancew, pod wpływem gwałtownego impulsu, wykonał zaskakujące posunięcie, ofiarowując w centrum szachownicy swoją wieżę w zamian za lekką figurę. Ta śmiała idea przyszła mu na myśl zupełnie nieoczekiwanie, pod wpływem wzburzenia, jakie wyzwoliło w nim siły twórcze, które pozwoliły mu znaleźć plan, jakiego przepełniona dotychczasową teorią debiutów maszyna z pewnością by nie znalazła. Idea Romancewa była zaskakująco prosta, a jednocześnie w swej prostocie genialna – stworzyć na skrzydle, na którym atakowały czarne, silny kontratak, poprzez zgrupowanie na nim pionów, które mogłyby niczym falanga zmierzać do pola przemiany. Ten front udało mu się stworzyć przez ofiarę jakości i w ciągu zaledwie trzech ruchów postawić Antonowa w beznadziejnej sytuacji. Romancew drżał. To nie był już mecz Antonow–Gemini. To był jego mecz, jego rewanż, jego zwycięstwo. Patrzył w napięciu na ekran, wpatrywał się w twarz Antonowa, szukając potwierdzenia dla swojego triumfu. Nadal nie był pewien, czy nie zdarzą się jakieś czary, jakiś cud, który znów pozwoli jego znieawidzonemu rywalowi wyjść bez szwanku z pewnej katastrofy. Ale w tym meczu to on kierował ich losem. Antonow podniósł wzrok na operatora, który wykonywał kolejne posunięcie. Już nie analizował sytuacji na szachownicy. Patrzył, nie rozumiejąc, co się dzieje, wzrokiem pełnym smutnego zdziwienia, jakby chciał spytać: „Kim naprawdę jesteście?”.

– Jasna cholera, Tony! – Rhodes poklepał Romancewa po ramieniu. – Wygraliśmy! Poszło lepiej, niż mogliśmy sobie wymarzyć!

W prasie ogłoszono koniec epoki człowieka, a początek ery sztucznej inteligencji. Podkreślano, że to pierwszy przypadek w historii, kiedy aktualny mistrz świata przegrał z maszyną.

Antonow oszalał. Nie sypiał. Analizował całymi nocami partie meczu, zastanawiając się, gdzie popełnił błąd. Nieogolony, w dresie, sprawiał wrażenie upiora. Nie mógł się pogodzić z porażką. Nie mógł się pogodzić z faktem, że przejdzie do historii jako pierwszy mistrz świata, który przegrał z komputerem. Chciał odwrócić bieg zdarzeń. Raz jeszcze, z tym nabytym doświadczeniem, z tą wiedzą, którą pozyskał, chciał usiąść do gry. Teraz czuł, że nie przegra, teraz rozumiał, że maszyna gra lepiej, niż sądził, i wierzył, że jest zdolny przeciwstawić się jej z większą siłą. Nocami siedział przy szachownicy, pijąc przy tym kieliszek za kieliszkiem.

Tatiana spała sama. Przyzwyczała się spędzać czas w samotności. Była udęczona jego zachowaniem.

I nagle Antonow stracił wiarę w siebie. Był mistrzem świata, który uległ

komputerowi, który obniżył przez to rangę tytułu, pozbawił Olega nimbu wielkości, tajemniczej fascynacji jego geniuszem. Ludzki umysł, jego umysł, okazał się za słaby. Pił, by zagłuszyć te myśli. Czuł, że Tatiana go zostawiła, że odebrała mu natchnienie. Narastały w nim złość i agresja. Potem, kiedy te emocje mijały, wpadał w rozpacz. Wówczas pił do nieprzytomności. Czasem nie wracał na noc do domu. Nierzadko budził się we własnych wymiocinach, niezdolny wrócić do domu. Przywoził go Misza. Czasem boy hotelowy wzywał mu taksówkę. Oleg doczołgiwał się do windy, potem do mieszkania. Padał gdzie bądź i leżał jak martwy do popołudnia następnego dnia. Nie miał odwagi położyć się do ich łóżka.

Tania znajdowała go na kanapie w salonie, czasem po prostu na podłodze. Nie złościła się. Raczej czuła coś w rodzaju znużenia, odrazy. Gardziła jego słabością. Słabością człowieka, który nie umie poradzić sobie z własną popularnością i sukcesem, tak samo jak nie potrafi przyjmować porażek. Wydał jej się taki miękki, słaby, rozkapryszony. Dla niej bycie choćby w setce największych aktorek było czymś nieosiągalnym, on był jeden, najlepszy na świecie, genialny. I ten geniusz, ten naznaczony boskim darem człowiek leżał u jej stóp, pijany, odpychający, słaby, niegodny litości. Nie chciała słuchać jego tłumaczeń, nie chciała obserwować jego nerwic, migren, lęków. Coraz częściej marzyła o zmianie, wolności i stabilności.

Nie ruszał szachów. Miał do nich wstręt. Szachownicę, książki szachowe, biuletyny, czasopisma z jego zdjęciami na okładkach, wszystko to wrzucił do tekturowego pudła i wsunął pod łóżko. Postanowił, że jeśli przyjdzie czas, zacznie grać od nowa, zmieni debiuty i rozpocznie swoją karierę z białą kartą. Już nie czuł się mistrzem świata. Ten tytuł należał się maszynie lub programistom, kimkolwiek byli. Powtarzał w duchu, że pozbawili go szacunku i podziwu, jaki miał być ukoronowaniem wielu lat jego pracy.

Wolsk, sierpień 1991

O poranku niebo nad Wolskiem mieniło się przepiękną purpurą, która niczym płomień gorejącej ropy rozlanej na oceanie płonęła na ciemnobłękitnym sklepieniu nieba. Dla tych, którzy idąc o świcie do pracy, byli świadkami tego pięknego zjawiska, było to jak znak gdzieś z wysoka, który mówił, że ponad ludzkimi, drobnymi sprawami są te wielkie, stanowiące przyczynę dziejowych zdarzeń.

Dima siedział na piasku nad brzegiem Wołgi i spoglądał w zadumie w niebo, które wydało mu się pełne krwi. Katia usiadła obok niego. Milczeli dłuższą chwilę.

– Też straciłam brata, Dima. Wiesz sam. Słyszałeś wczoraj... – Jej głos załamał się i przeszedł w szept. – Musimy jakoś z tym żyć...

Wolsk był wstrząśnięty wczorajszą tragedią. Brat Dimy Łazariewa postanowił zorganizować w lokalu przyjęcie dla kilku znajomych weteranów z Afganistanu. Była tam też Katia ze swoim chłopakiem. Pili. Śpiewali. Któryś z weteranów dowiedział się, że Katia straciła w Afganistanie brata. Usiadł obok niej.

– Gdzie? – spytał.

– W Salangu, w czasie przeprawy przez tunel.

– Och, kurwa mać – zaklął mężczyzna. – Słyszałem o tym. Wybuchła cysterna, wszystko stanęło w ogniu, rozpętało się piekło. Myśleli, że to atak i czołgami zatarasowali wyjścia. Ponoć zginęło kilka tysięcy ludzi.

Katia nie mogła sobie poradzić z rozpaczą, jaka ją ogarnęła po tym, co usłyszała. Ból, jaki odczuwała na myśl, że słowa weterana mogą być prawdziwym opisem zdarzeń, był nie do wytrzymania. Poprosiła, by Dima odprowadził ją do domu, była lekko pijana, nie chciała płakać przy ludziach. O reszcie wydarzeń, które miały miejsce tego wieczoru, dowiedzieli się na drugi dzień na posterunku milicji. Któryś z „Afgańców”, może brat Dimy, sprowadził dziewczyny. Były wśród nich miejscowe prostytutki. Przyjechali ich opiekunowie, doszło do przepychanki. Jeden z weteranów ugodził alfonsa nożem w brzuch i sprawy wymknęły się spod kontroli. Zaczęto strzelać z obu stron. Zginęło czterech weteranów, w tym brat Dimy, i trzech bandytów.

– Dima – szepnęła Katia. – Nie odtrącaj mnie i nie zamykaj się w swoim bólu. Jesteś mi potrzebny. Oboje jesteśmy sobie potrzebni. Wiesz przecież, że to życie przed nami, bez miłości, bez bycia razem, będzie piekłem. Wiesz, że poza tobą nie mam nikogo. Luda, jedyna moja przyjaciółka, umiera od narkotyków, mój ojciec siedzi w więzieniu, matka kurwi się z moimi kolegami. Dima, jeśli odsuniesz się ode mnie, skończę ze sobą.

– Katka. – Chłopak objął dziewczynę silnym ramieniem. – Wiesz, że cię kocham. Ale brata mi zabili. Cierpię i serce mi pęka. No co mam zrobić?

– No nic – przytaknęła Katia. – No nic, Dima. Ja tu po prostu będę z tobą siedzieć.

Siedzieli w milczeniu, spoglądając na silny nurt Wołgi. Aż dziewczyna zaczęła cicho nucić:

*Zza wyspy wypłynąwszy,
Na fal rzecznych bystry prąd,
Ostrą piersią pruje fale,
Malowniczych czóten rząd...*

Moskwa, 19 sierpnia 1991

Oleg obudził się wcześniej rano. Z powodu upałów zmienił swój tryb życia: wstawał o świcie, potem w południe kładł się na dwu-, trzygodzinną sjęstę, by wieczór spędzić z Tatianą. Od czterech dni nie brał alkoholu do ust. Tania zagroziła, że się wyprowadzi, jeśli jeszcze raz wróci do domu pijany, i to ostrzeżenie poskutkowało. Otworzył okno, by wciągnąć do płuc poranne, rześkie powietrze. Zapach, jaki poczuł, wydał mu się niepokojący, jakby unosił się w nim ozon. Oleg przypomniał sobie, że jako chłopiec czuł ten zapach przed otwarciem igrzysk olimpijskich w Moskwie. Włączył niedawno kupiony czajnik elektryczny i chcąc posłuchać muzyki, nastawił radio. O godzinie szóstej trzydzieści agencja TASS przekazała komunikat, że Michaił Gorbaczow, który w tym czasie był na urlopie na Krymie, ze względu na zły stan zdrowia ustąpił ze stanowiska prezydenta ZSRR, a władzę w kraju przejął Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego w składzie: wiceprezydent Giennadij Janajew, premier Walentin Pawłow, szef KGB Władimir Kriuczukow, minister obrony Dmitrij Jazow, minister spraw wewnętrznych Boris Pugo, sekretarz KC KPZR i członek Rady Obrony Oleg Bakłanow, Wasilij Starodubcew i Aleksander Tizjakow.

Oleg spojrział przez okno. Na horyzoncie dostrzegł, że prospektem Kutuzowa w stronę centrum jadą czołgi.

– Ja pierdołę! – krzyknął i podbiegł do dzwoniącego w tym momencie telefonu.
– Tak, słyszę, czołgi jadą do centrum. Dlaczego pod Biały Dom? A Jelcyn, co? Dobrze. Niech dziadek siedzi w domu, gdzie on się tam pcha. Jasne. Jakoś się tam znajdziemy.

– Tania, Tania! – zawołał, odkładając słuchawkę. – Tania, obudź się!

– Co mnie zrywasz o tej porze, zwariowałaś? Co się dzieje?

Oleg włączył telewizor, by pokazać Tatianie komunikat. Ale zamiast tego w telewizji pokazywano *Jezioro łąbędzie* Czajkowskiego.

– Zabiję cię – jęknęła Tatiana, budzisz mnie o świcie, żeby mi pokazać *Jezioro łąbędzie*?

– Jest zamach stanu. Obalili Gorbaczowa, czołgi jadą do miasta. Ty się z domu nigdzie nie ruszaj. Siedź tu. Ja biegnę pod Biały Dom, mama z dziadkiem też tam idą, ludzie się zbierają, żeby bronić kraju.

– Co ty mówisz, jakie czołgi?

– Idę. Siedź w domu i czekaj.

– Oleg! Zostań! – krzyknęła za nim, ale już nie usłyszał. Drzwi zatrzasnęły się i Tania została sama.

W krótkim czasie przed Białym Domem zgromadziło się kilkaset osób. Oprócz nich były tu także czołgi wysłane przez zamachowców. Sytuacja wyglądała bardzo groźnie.

Na ulicach Moskwy pojawiły się transportery opancerzone i inne pojazdy wojskowe. Armia wystawiła posterunki na głównych skrzyżowaniach stolicy. Wzięła również pod ochronę gmach Komitetu Centralnego KPZR i inne obiekty rządowe, a także siedziby agencji TASS oraz Państwowego Komitetu do spraw Radia i Telewizji.

– Oleg, Oleg! – wołała Olga Lwowna, przeciskając się wraz z Lwem Mojsiejewiczem przez tłum w kierunku syna. – Tu jesteśmy, Oleg!

– Mama! – Objął czule matkę. – Witaj, dziadku!

– Cześć. – Lew Mojsiejewicz przytulił wnuka. – No co? Gotowy, by tworzyć historię?

– Ja tak, ale ty? W twoim wieku?

– Nie gadaj. Chcielibyście mnie z matką pozbawić takich chwil, o których będą pisać w podręcznikach historii? Mowy nie ma.

– Tania w domu? – Spytała Olga Lwowna.

– Tak, prosiłem, aby została.

– Co te czołgi tu robią? – spytała matka Olega. – Trzeba porozmawiać z tymi chłopcami, przecież to nasze wojsko, nasi synowie.

Odwróciła się.

– Kto was tu, chłopaki, przysłał i po co? – krzyknęła w kierunku czołgistów.

Wzruszyli ramionami na znak, że sami nie wiedzą. Więc we troje, wraz z rosnącym tłumem, czekali na to, co się wydarzy. Około jedenastej Lew Mojsiejewicz złapał córkę za rękę i krzyknął:

– Patrz! Jelcyn wchodzi na czołg. Przeciśnijmy się tam bliżej do niego. Będzie przemawiał.

I rzeczywiście, Jelcyn, nie przejmując się niczym, wszedł na jeden z czołgów i zaczął swoją przemowę. W pobliżu stali jego ochroniarze. Jelcyn mocnym, dobitnym głosem stwierdził, że nie uznaje władzy komitetu, że to zwykły zamach stanu, i wezwał rodaków do strajku generalnego w proteście przeciwko reakcyjnym działaniom, którym Rosja się nie podporządkuje i będzie bronić demokracji.

W odpowiedzi na apel prezydenta Rosji wokół Białego Domu powstał „żywy kordon”. W różnych miejscach Moskwy zaczęto ustawiać uliczne barykady. Rozeszła się wieść, że część Gwardyjskiej Tamańskiej Dywizji Zmechanizowanej przeszła na stronę Jelcyna i w razie konfliktu będą bronić obywateli.

W ciągu paru godzin wokół gmachu stanowiącego siedzibę władz Federacji Rosyjskiej zebrało się około stu tysięcy ludzi. Rozpoczęły się przygotowania do

obrony Białego Domu. Weterani wojny afgańskiej instruowali młodych, jak wznosić barykady, które miały blokować wejście do siedziby rosyjskiego parlamentu. Przygotowywano koktajle Mołotowa. Widząc to, Lew Mojsiejewicz wołał do nich, by nie używali przemocy.

– Jeśli zaczniecie walkę, przegramy – tłumaczył. – Damy im pretekst do strzelania i pokonają nas. Wystarczy, że tu jesteśmy!

Trwali tak dwa nerwowe dni. Wokół panował podniosły nastrój. Nigdy wcześniej nie było takiej spontanicznej nieudawanej solidarności. Zebrali się emeryci i młodzież, intelektualisci i prości robotnicy. Ludzie przynosili jedzenie i picie, i informacje, czasem plotki, które rozchodziły się z prędkością huraganu. Ale najważniejszą wieścią było to, że w wojsku jest rozłam, że wielu oficerów odmówiło udziału w puczu, w tym szef Tulskiej Dywizji Powietrznodesantowej, generał Lebiedź, a ponadto wsławiona atakiem na pałac Amina w Afganistanie grupa specjalna Alfa. Nie wiadano, jak zachowa się reszta wojska.

Ludzie, jak na pikniku, śpiewali piosenki, opowiadali jedni drugim historie ze swojego życia, wspominali miesiące spędzone w Afganistanie, starsi mówili o trudnych chwilach na froncie podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, dzielili ze sobą kolejne mijające godziny, z każdą upływającą czując się jedną grupą, jednym narodem. Lew Mojsiejewicz uległ temu niezwykłemu nastrojowi. Prawie nie spał. Cały czas udzielał pomocy lekarskiej, organizował rozdawanie wody i jedzenia, dodawał otuchy młodszym, opowiadając anegdoty z czasów walki z faszystami.

– Jak w szpitalu polowym. – Śmiał się, krzycząc do Olgi Lwowny. – Nie spodziewałem się, że jestem wciąż taki młody.

Znów były przemówienia. Najpierw Jelcyn, osłaniany przez ochronę kuloodpornymi płytami. Był pewny siebie. Ponownie wezwał wszystkich do obrony demokracji i konstytucji. Po nim mówiła wdowa po Sacharowie, Jelena Bonner, i Gleb Jakunin.

Zgromadzony tłum zakrzyknął: „Naród ożył!”. Czołgiści, którzy przeszli na stronę obrońców, ściskali się z nimi, niektórzy umieszczali trójkolorowe flagi rosyjskie na swoich pojazdach.

W nocy rozniosła się wieść, że będzie szturm na Biały Dom i kolumna transporterów opancerzonych jedzie prospektem Kalinina w ich kierunku. Ludzie poczuli strach, a jednocześnie mobilizację.

– Tato, a ty gdzie?! – krzyknęła Olga Lwowna, widząc ojca, jak wstaje i rusza w kierunku formującej się kolumny młodych ludzi mających zamiar iść naprzeciw kolumny pancerniej.

– Z młodymi! – zawołał Lew Mojsiejewicz.

– Oleg, ty nie idź! – nakazała synowi Olga Lwowna. – Zabraniam ci, słyszysz!

Ale Oleg nie słuchał. Dołączył wraz z dziadkiem do grupy. Lew Mojsiejewicz chwycił za rękę wnuka i młodzieńca obok i szedł, czując się tak młody i szczęśliwy,

jak wtedy, gdy Kira Josifowna zgodziła się wyjść za niego za mąż. Drżał na całym ciele z emocji. Dostrzegł jadące naprzeciw nich wozy pancerne i poczuł niezwykłą ekscytację.

– Bez przemocy! – krzyknął. – Bez przemocy. Czołgi staną, nie prowokujcie ich! Odwagi!

Weszli do tunelu pod prospektem Kalinina. Ktoś rzucił koktajlem Mołotowa. Wybuch ogłuszył Lwa Mojsiejewicza. Świat zawirował mu przed oczami. Spanikowani żołnierze w wozach pancernych otworzyli chaotyczny ogień.

Oleg padł na ziemię. Widząc leżącego wnuka, Lew Mojsiejewicz poczuł strach, że stało się najgorsze, jego klatkę piersiową przeszył ostry ból. Zachwiał się i osunął na ulicę, siadając przy krawężniku. Oleg poderwał się z ziemi.

– Dziadku, nic ci nie jest? – spytał, podbiegając do Lwa Mojsiejewicza.

– To zawał, Oleg. Piękna śmierć na posterunku – szepnął dziadek. – Byłem z tobą, wnuku. – Chwycił Olega za dłoń i ścisnął. – Byłem z tobą przy narodzinach nowej Rosji.

Oleg podniósł dziadka i niosąc przed sobą, biegł, wzywając lekarza [68].

Dzień później wycofano wojsko z Moskwy. Do stolicy specjalnym samolotem z Krymu powrócił Gorbaczow. Przywódcy zamachu zostali aresztowani. Jedynie Borys Pugo wybrał samobójczą śmierć.

Antonow wrócił do mieszkania po pogrzebie Lwa Mojsiejewicza, którego ostatnią wolą było skremowanie zwłok i rozsypanie popiołów w powietrzu, przy zachodnim wietrze, który zanieśie je w głąb Rosji.

Tani nie było w mieszkaniu. Zabrała swoje rzeczy osobiste. Oleg poczuł tak wielką pustkę, że nie mógł opanować łez. Leżał na podłodze i łkał. W końcu usnął z wyczerpania. A kiedy ocknął się pod wieczór, zamarzył, aby to wszystko było tylko sennym koszmarem, z którego właśnie się obudził. Zamknął powieki, licząc, że usłyszy głos Tani. Ale nadal dookoła panowała zimna, bezwzględna cisza. Wstał. Mieszkanie było wciąż puste. Tak bardzo puste, jakby ciepło, czułość i miłość w jednej chwili zostały przepędzone przez śmierć.

Przez następne dni i tygodnie wszystko dookoła się zmieniało. Rozpadł się Związek Radziecki i wchodzące w jego skład republiki ogłaszały kolejno swoją niepodległość. Zmieniała się też sama Rosja. Miastom nadawano nowe nazwy. Leningrad na powrót stał się Sankt Petersburgiem, Swierdłowski – Jekaterynburgiem. Nazwom ulic przywracano dawne brzmienie. Z cokołu na Łubiance zrzucano pomnik Dzierżyńskiego. Naród krzychał całym sobą: „Dość!”. Pięć dni po przewrocie zawieszono działalność partii komunistycznej w całym kraju, rozwiązano zarząd KGB.

Tania wróciła. Oleg uległ nastrojowi nadziei.

– To jak miasto po burzy, nad którym zawisła tęcza – mówił podekscytowany. – Zaczęę wszystko od nowa. Razem zaczniemy, razem, Taniu, od nowa.

I kiedy przyszła szansa, by grać znowu na najwyższym poziomie, dla Rosji, poczuł, że jakaś dziejowa sprawiedliwość daje mu szansę na nowe życie. Nie wahał się, czy ma wracać do szachów. Jesienią zdobył pierwsze mistrzostwo Rosji, znów grając w swoim wielkim stylu.

Lecz Tatiana chciała wyjechać z kraju. Pragnęła dziecka i bezpiecznej przyszłości dla nich.

Nairobi, luty 1992

Romancew spojrział na ustawiony przy plaży elektroniczny termometr, który wskazywał czterdzieści dwa stopnie. Choć leżał w cieniu, jego opalone ciało było zmęczone upałem. Kropelka potu spłynęła mu z czoła na nos, a potem upadła na rozłożony przed nim na leżaku „Biuletyn Szachowy”. Spojrział zza okularów przeciwsłonecznych na chwiejące się lekko na wietrze liście palm. Skinął na kelnera i poprosił go o kolejny dzin z tonikiem. Pił coraz więcej. Zauważyła to już Isabel, niedługo po tym jak wrócił z Nowego Jorku.

– Tony, masz jakiś problem? – spytała. – Chcesz pogadać? Jakoś nie pasuje do ciebie picie.

– Wiele rzeczy, Isabel, do mnie nie pasuje, a jednak się stały – rzekł smutno.

– Może tęsknisz za krajem? Nie myślałeś, żeby wrócić? Albo chociaż pojechać tam, już po zmianach?

– Nie jestem u siebie ani tu, ani tam. Nie wiem już, kim jestem.

Przekręcił się na leżaku i z głową wspartą na ramieniu obserwował świat dookoła. Białe i różowe kwiaty czekały, aż automatyczny zraszacz przyniesie im odrobinę wytchnienia życiodajnymi kroplami wody, grube, łuskowate pnie palm wyglądały jakby były wykonane z kamienia. Rozleniwieni goście hotelowi wygrzewali się wokół basenu z błękitną, chłodną wodą.

Po kolacji wziął prysznic, włożył świeżą koszulę i beżowe miękkie spodnie oraz brązowe skórzane mokasyny, po czym zaszedł na drinka. Nie mógł zasnąć, nie wypiłszy kilku szklaneczek.

Usłyszał, gdy mówiła do znajomego po francusku. Spytał, czy może usiąść obok. Skinęła głową, przyzwalając. Była córką Somalijki i Francuza. Mieszkała tak jak on w Paryżu. Pachniała w ten niezwykle upojny sposób, że od pierwszych chwil ogarnęło go pożądanie.

– Nazywam się Antoine. Jestem szachistą, otwieram w Kenii szkoły szachowe, funduję stypendia dla najzdolniejszych. Mam potrzebę zrobienia czegoś dobrego dla dzieciaków i jeżdżę po świecie z taką misją. Od początku roku zdążyłem już być w Wietnamie, w Tajlandii, w Indonezji, na Filipinach, w Indiach, w Emiratach Arabskich, Egipcie i teraz dotarłem do Kenii.

– Nadine. – Podała mu dłoń, której klejnotami były jej delikatne smukłe palce. – Pozuję dla „Vouge’a”.

– Ma pani dłonie pianistki, Nadine.

– Spojrzała na niego ciemnobrązowymi oczami, które przypominały mu oczy antylopy: wielkie, zamglone, całkowicie nieprzeniknione, których spojrzenie odbierało na chwilę oddech, jak kuszący swoim powabem kwiat rozprzestrzeniający wokół siebie śmiercionośny pyłek. Jej długie, podwinięte do góry rzęsy kojarzyły mu się z kwiatami roszarki, a pełne, ponętne usta były jak owoc granatu, który przy naciśnięciu tryskał świeżym sokiem.

Boże jedyny, pomyślał Romancew, niemożliwe, żeby kobiety były tak idealnie piękne. Na głos jednak powiedział:

– Proszę mi wybaczyć, przypadkiem usłyszałem, że jedziecie jutro robić zdjęcia podczas safari.

Nie skomentowała jego słów, tylko nachyliła się po swojego drinka i pociągnęła łyk przez długą słomkę.

– Chętnie bym wam towarzyszył, jeśli nie sprawiłoby to kłopotu.

– Proszę rozmawiać z Christophe’em, on decyduje – odparła obojętnym tonem.

Christophe nie chciał o tym słyszeć. Ale Romancew był już mocno wstawiony, wyciągnął z kieszeni długopis i wypisał czek na dziesięć tysięcy dolarów, mówiąc:

– My, Rosjanie, płacimy i bierzemy. A nie dają, bierzemy siłą.

Fotograf zmienił zdanie.

Przez następne dni Romancew upajał się obserwowaniem jej przy pracy. Była jak łąka, których cudowne, magiczne tańce i skoki oglądał z zachwytem na otwartych na słoneczne promienie polach sawanny lub pod rozłożystymi parasolami akacji, których gałęzie tańczyły niczym hurysy w rozgrzanym słońcem powietrzu. Stożek Kilimandżaro dumnie wypełniał widnokrąg, dopełniając krajobraz i sprawiając, że każde inne miejsce na ziemi wydawało się położone jedynie na peryferiach, daleko od centrum, w którym się właśnie znajdowali. Zachodziło słońce, tak ogromne, że miało się wrażenie, że spowoduje pożar całego świata. Romancew rozkoszował się smakiem bourbona i obecnością Nadine, która po skończonych zdjęciach siadała naprzeciw niego i w milczeniu słuchała, gdy opowiadał jej o farmie baronowej Blixen niedaleko Nairobi, której dom w Rungsted odwiedzał zawsze, ilekroć grał w turniejach w Kopenhadze lub Malmö. Opowiadał o Ernieście Hemingwayu, którego tropem podążał w jakiś dziwny sposób, pijąc daiquiri w Hawanie, armaniak w Paryżu, sangrię w Madrycie i teraz

gin i bourbon w Kenii.

– Ale nie podzielał jego pasji do zabijania słoni ani miłości do boksu – oznajmił, dolewając sobie alkoholu.

Postanowił ją po prostu kupić. W Aleksandrii czekał na nich jacht wraz z załogą, którym wrócili do Cannes. Po drodze zatrzymali się w kilku zatokach, gdzie pływali o zachodzie słońca jak na filmach. Kucharz przyrządzał dla nich kolacje w salonie lub na otwartym powietrzu, nakrywając do stołu ustawionego na pokładzie.

Zawinęli do kilku portów w Grecji, Chorwacji i Włoszech. Wszędzie czekały na nich wynajęte przez niego limuzyny i pełne przepychu apartamenty. W Cannes zamieszkali w hotelu Carlton. W ciągu tych dwóch tygodni Anatolij bawił się wydawaniem pieniędzy na jacht, kolacje, biżuterię, drobne upominki, hotele, limuzyny i podróż prywatnym samolotem.

Zaraz po powrocie do Paryża kupił ogromny apartament w szesnastej dzielnicy, w którym od czasu do czasu spędzali razem wieczory, noce i poranki.

Jeżdżąc na sesje fotograficzne i pokazy mody do Mediolanu, Londynu czy Nowego Jorku, bawił się w budowanie własnej kolekcji dzieł sztuki. Pisał książkę. Inwestował w akcje firm informatycznych i skupował bony prywatyzacyjne restrukturyzowanych poradzieckich firm paliwowych.

Moskwa, wiosna 1992

Oleg zrezygnował z występu w Linares. Nie chciał ryzykować kolejnego rozczarowania. Śledził przebieg turnieju, krytykował posunięcia innych zawodników, w końcu żałował, że nie pojechał. Tatiana nie mogła tego słuchać. Wydał jej się taki chimeryczny, że któregoś wieczoru wykrzyczała mu w twarz, co myśli o jego zachowaniu.

Nie potrafili ani na moment odtworzyć nastroju dawnych chwil. Zazwyczaj Tania leżała z książką lub chodziła na zakupy, a on całymi dniami siedział nad szachownicą. Pierwsza wizyta u matki Tatiany skończyła się fiaskiem. Oleg i Jelena Bułanowa nie przypadli sobie do gustu.

– Czuje się, że jest z prostego domu – podsumowała Bułanowa. – Co z tego, że to wielki szachista. Myślę, że stać cię na więcej. Skończą się sukcesy, zrobi się niemożliwy i będziecie mieli nieustanne kryzysy podczas jego wahania nastrojów.

Tatianę bolała ocena matki. Czuła smutek, zwłaszcza że w ostatnim zdaniu kryła się prawda. Kilka dni później Tatianę okradziono na ulicy. Była roztrzęsiona

i wściekła.

– Nie chcę tu mieszkać! – krzyczała do Olega. – Chcę normalnego domu, spokoju, dziecka. Tu boisz się wyjść na ulicę! Co z tego, że masz na koncie miliony dolarów!

Jakby na dowód jej słów cały następny dzień spędzili w łóżku, gdyż z powodu awarii wyłączono ciepłą wodę i do mieszkania wkradło się arktyczne zimno.

Tatiana rzuciła pracę w teatrze. Czekwała na rolę w nowej francuskiej produkcji filmowej. Kiedy zbyt długo nie dzwonili z wiadomością o terminie zdjęć, złościła się z byle z powodu. W takich chwilach Antonow udawał, że śpi, wiedząc, że nie warto jej wchodzić w drogę.

Czasem odwiedzali wspólnych znajomych. W styczniu, trzy miesiące po pospiesznym ślubie z Andriejem, Lena urodziła syna. Otrzymał imię Giennadij, na cześć generała Grotowa. Młody ojciec był bardzo dumny, lecz jednocześnie Oleg widział, że przyjaciel jest zagubiony, nie potrafi się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

– Nie wiem, co ze sobą robić – wyznał Andriej, siedząc na podłodze i popijając piwo. – Myślałem, by wyjechać na Zachód, ale co ja bym tam robił? „Pedro Salvador” to dobre tu, ale tam byłbym zerem. Grałbym w podrzędnej knajpie gdzieś przy stacji benzynowej.

– Andriucha – odezwał się Oleg, siadając obok przyjaciela i biorąc od niego butelkę, żeby się napić. – Ja mam pieniądze, a ty pomysły. Wymyśl coś, dam ci na to forszę. Tania nie musi wiedzieć.

Przez następne dni snuli plany, spotykali się z różnymi ludźmi, z którymi zamierzali zrealizować pomysł, na jaki wpadł Andriej.

W tym czasie Tatiana wyjechała do Ameryki. Kilka dni wcześniej dotarła do niej wiadomość o śmierci Aleksandra Naumowa. Oficjalny komunikat prasowy brzmiał:

Aleksander Naumow zmarł w swojej willi w Hollywood. Pielęgniarka, która przyszła, aby dać mu zastrzyk, znalazła go dwa dni po śmierci siedzącego w swoim fotelu. Lekarze nie stwierdzili śladów przemocy, żadnych obrażeń, ani obecności narkotyków lub alkoholu we krwi. Szeryf poinformował, że śmierć Naumowa nastąpiła z przyczyn naturalnych.

Josif Brodski[69] napisał w nekrologu: *Wiem, że nasz Sasza umarł z samotności.*

W kancelarii prawnej w Los Angeles poinformowano Tatianę, że Naumow zapisał jej w spadku cały swój majątek.

– Oddałabym wszystkie te pieniądze za to, by został z moją matką i ze mną rok lub dwa dłużej, gdy jeszcze byliśmy rodziną – podsumowała to z żalem Tatiana, kiedy prawnik gratulował jej otrzymanego majątku.

W Rosji zaczęły się reformy wolnorynkowe. Wszystko drożało, pod sklepami ustawiały się gigantyczne kolejki. A tu trzeba było zorganizować wesele, ponieważ Misza Sałow oznajmił im, że oświadczył się Tamarze Gordiejewej i jego oświadczyzny zostały przyjęte.

– Jasna cholera! – krzyknął Oleg. – Kiedy? Jak? Nic o tym nie wiedziałem, że ty i Tamara...

– Krępowaliśmy się wam mówić – przyznał zażenowany Misza. – Przez pamięć o Fiedce. Ale dłużej nie można było tego ukrywać.

– No coś ty. – Oleg objął przyjaciela. – Przecież to wspaniałe, że zatroszczysz się o Tamarę i małą Olę.

Zwieriew chorował na serce. Oleg odwiedził go w szpitalu.

– No i co, Sasza? – spytał. – Jak się czujesz?

Zwieriew tylko jęknął. Oleg wyciągnął papierosa, ale po chwili przypomniał sobie, że jest w szpitalu, i schował z powrotem.

– Wszystko się zmienia – przerwał ciszę. – U nas też. Andriej i ja robimy biznes. Pożyczyłem mu dużo pieniędzy. Bardzo dużo. Ale interes pewny. Czuję, że to będzie strzał w dziesiątkę. Robimy wszystko w tajemnicy przed naszymi kobietami. Będzie niespodzianka. Teraz z Tanią byliśmy u Jefima Wolfa w Izraelu. Żyje w małym mieszkanku w Hod Hasharon. Całe mieszkanie w książkach. Zawsze uważałem, że to najlepszy znawca debiutów. Szkoda, że z nami nie pracował. Pożyczyłem od niego samochód i zwiedziliśmy trochę kraj, od Ejlatu do Libanu. Cudowny świat. W Masadzie miałem dreszcze, kiedy widziałem te czarne ptaki, nie wiem, czy to kruki, czy inne. Ale ta legenda, że to dusze samobójców, zrobiła na mnie wrażenie. Nie żyjemy w najgorszych czasach, jak się tak dobrze zastanowić i porównać z tamtymi historiami. Są rzeczy gorsze niż przegrana w gówniane szachy z komputerem. – Zrobił pauzę. – A u mnie z Tanią różnie. No wiesz, jak to między kobietą i mężczyzną.

Antonowowi wydało się, że na twarzy Zwieriewa pojawił się grymas zdziwienia.

– No widzisz – mówił dalej. – Taki los. Całe życie marzysz o czymś, a potem niełatwo się w tym odnaleźć. No jakoś się trochę pogubiliśmy. Ze mną żyć niełatwo, a ona dumna. Bardzo dumna. No co zrobić, trzeba będzie to wszystko ponaprawiać. Wiesz, że ona to całe moje życie. Powietrze moje. Dusza...

Moskwa szukała swojej nowej tożsamości. W rocznicę zamachu Janajewa prezydent Rosji Borys Jelcyn przemawiał w telewizyjnym wystąpieniu do rodaków:

„Rok temu tysiące ludzi zgromadziły się wokół Białego Domu Rosji, by bronić swojego prawa do wolności i demokracji... Ostatni rok był pierwszym bez wszechmocy komitetów wojewódzkich i powiatowych. Zakończył nieograniczoną dyktaturę KPZR, która trwała ponad siedem dekad... Kraj jest zbyt długo w

kaftanie bezpieczeństwa... Teraz musimy nauczyć się najbardziej podstawowych rzeczy. Robimy pierwsze kroki zbliżające nas do normalnego ludzkiego życia... W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Rosja otrzymała lekcję wolnego rynku. Jak mówią, weszliśmy do wody, nie wiedząc, jak się pływa. Ale nie utonęliśmy... Każdego dnia posuwamy się, wprowadzając nie za dużo, ale systematycznie do przodu: do stabilizacji, do normalnego życia...”.

Protokół z zeznań

Andrieja Giennadijewicza Grotowa

Dwudziestego piątego września 1992 roku, pouczony o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, Andriej Giennadijewicz Grotow, prezes spółki: „Pedro Salvador” Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, zeznaje:

Spółkę założyliśmy wraz z przyjacielem Olegiem Igorowiczem Antonowem. Antonow miał pieniądze na uruchomienie interesu, bo jest mistrzem świata w szachach i zrobił na tym fortunę. Pomysł z dyskotekami był mój. Wybraliśmy trzy lokalizacje, zazwyczaj dawne restauracje, i kupiliśmy je za pieniądze pożyczone spółce przez Olega. Ja byłem w zarządzie, bo Oleg twierdził, że nie będzie miał czasu z powodu turniejów szachowych. Do pracy w spółce zatrudniliśmy naszego przyjaciela Miszę, to znaczy Michaiła Denisowicza Sałowa oraz Siergieja Owieczkina, nie wiem jakie u niego *otczestwo*. Sałow odpowiadał za sprawy organizacyjne, remonty, ochronę. Owieczkin za dostawy, głównie gastronomię, alkohole, papierosy i takie tam. Pod nim byli też barmani. Ja zająłem się sprawami artystycznymi, zatrudniałem ludzi od prowadzenia zabawy, od miksowania muzyki, sprowadzałem z zagranicy sprzęt. Mieliśmy jeszcze w spółce kilka osób do pomocy, jasne, że sami nie dalibyśmy rady. Wszystko to robiliśmy w tajemnicy przed naszymi żonami. To znaczy moją żoną Leną i dziewczyną Olega, Tatianą. Chcieliśmy im zrobić niespodziankę. No i potem się okazało, że to chyba nie był najlepszy pomysł, bo moja żona wynajęła kogoś, kto przedstawiał się jako prywatny detektyw, nie pamiętam dokładnie jego nazwiska. Lena ma je zapisane. Ten detektyw mnie śledził, bo Lena myślała, że mam kogoś i że całe dni spędzam z kochanką, kiedy ona jest z naszym małym Gieną, znaczy synkiem. Wydaje mi się, że ten człowiek wszystko ukartował, poznał nas od środka. Dobrze, już mówię chronologicznie. Po kilku miesiącach otwarliśmy kluby. Byli zatrudnieni didżeje, barmani, ochroniarze, tancerki, był sprzęt, jakiego w Moskwie nie widziano. Wszystko wzorowałem na znanych klubach zachodnich. Takie Studio 54 chciałem zrobić. No i zaskoczyło. Po dwóch miesiącach zaczęliśmy zarabiać, po kolejnych dwóch zaczęliśmy spłacać pożyczki od Olega. To było marzenie mojego życia. Wszystko jak sen. W Sojusie nie było nawet co marzyć o czymś takim. Nie sądziłem, że dożyję takiej chwili, gdy sytuacja w naszym kraju zmieni się na tyle, że coś takiego będzie możliwe. Wiadomo, nie wszystko szło jak trzeba. A to spóźniały się dostawy i Owieczkin na głowie stawał, żeby sprowadzić żarcie czy alkohole. Bo to nie była tylko wódka. Nie, pełna kultura, koniaki, wermuty, whisky. Barmani uczyli się robić prawdziwe drinki, jak na Zachodzie. Nawet z Kuby ściągnęliśmy jednego takiego od egzotycznych drinków. Kosztował fortunę, ale to była klasa, styl. Oleg chciał, to zrobiliśmy. Powoli myśleliśmy nawet o czymś w rodzaju rewii. No, żeby przyjeżdżały tancerki egzotyczne i tancerze, jacyś Murzyni z Brazylii czy innych krajów, kręcić tyłkami. Wszystko byśmy osiągnęli.

Jasne, że to sporo kosztowało, wiadomo, jak to u nas. Nie zapłacisz komu trzeba, nie dostaniesz. Te wszystkie zgody, licencje, pozwolenia, papiery. Owieczkin był bardzo dobry w załatwianiu tych spraw. Mówił, że trzeba, to dawałem mu z kasy. Dlatego trochę nam się opóźniły terminy zwrotu pożyczek dla Olega. Ale on się tym nie przejmował. Oleg to jak brat. Był szczęśliwy, że się udaje. No miał w domu trochę przerażane. Bo jego kobieta była przeciwna. Mówiła, że to nie nasz świat i że dajemy się wciągnąć w bagno. Dużo było awantur z tego powodu. Miałem kaca, że Oleg ma przez to problem. Ale tak się w to zaangażowaliśmy, że nie było wtedy żadnej refleksji. Okazało się, że Tania miała rację. Ale kto mógł wiedzieć? Żyliśmy jak we śnie, praktycznie nie spałem, całe dni w naszych klubach. Doglądałem wszystkiego. Byłem wszędzie. Potem zacząłem trochę od tego świrować, ale mówiłem sobie, że musimy to rozkręcić, a potem już będzie z górki. Zaczęły się problemy. Misza, znaczy Sałow, wpadł do mnie i mówi, że w klubach pojawili się dilerzy i że sprzedają prochy. Nie jestem święty, ale takie rzeczy u nas nie wchodziły w grę. Wierzę w Boga, więc nigdy nie pozwoliłbym u siebie na handel prochami. Oleg to wielki człowiek, nigdy bym mu tego nie zrobił, żeby narazić jego dobre imię. No i dziewczynom naszym przysięgałem, że żadnych takich problemów u nas nie będzie. Bo najbardziej bały się tego całego szemranego świata. Więc powiedziałem Miszy: „musimy się ich pozbyć”. Finansowo szło nam coraz lepiej, ale ogólnie było źle. W jednym klubie, przy Nowym Arbacie, wybuchł pożar. Potem Misza dostał nożem, o mało płuca mu nie przebili. Tamara, jego żona, pięściami mnie obija, że go wystawiam na śmierć, każąc bić się z bandytami. A co ja tam kazałem? Było coraz gorzej. Przy Twerskiej ktoś strzelał z kałasznikowa. Ochroniarz osiwił nam w jeden wieczór. Kiedy walili, kule minęły go o centymetry. Zwróciłem się do milicji. Zrobili ze dwa patrole, wzruszyli ramionami i dali sobie spokój. W tym czasie zacząłem się bać. Nie tylko ja. Lena płakała całymi dniami. Bałem się o nią i o synka. U Antonowów też był niepokój. Tatiana dostawała pogrożki. Anonimy. Tak, mam nadzieję, że coś ma, coś zachowała. My z Leną też mieliśmy, ale oddaliśmy milicji. Nie wiem, co z tym zrobili. Kilka dni później dostałem wiadomość od jednego z barmanów, że ktoś chce się spotkać i że to jacyś ludzie, którym się nie odmawia. Ja wiedziałem, co to mogą być za ludzie, kim oni mogą być. Owieczkin, który jest sprytnym gościem, mówił mi, że się nami interesują. Są tam weterani z Afgana, jacyś pułkownicy, byli oficerowie KGB. Nie chciałem słuchać. Powiedziałem do Owieczkina, żebyśmy zajmowali się swoją robotą, że jak nie dopuścimy do klubów prochów i dziwek, znaczy prostytutek, to dadzą nam spokój. Nie spotkałem się z nimi. No i potem wszystko potoczyło się szybko. Przyjechali rano. Gdy byłem w klubie. Nie wiem skąd wiedzieli, że akurat tam będę. Szepnęli, że mają Lenę i syna, więc ścięło mnie z nóg. Nie mówiłem nikomu, dokąd jadę, bo się bałem, że powiadomią milicję, będzie jakaś akcja i wszystkich nas zabiją. Zabrali mnie do starego warsztatu samochodowego, czy Bóg wie gdzie. Oczywiście miałem zasłonięte, nie wiem. A tam już wszystko mieli gotowe. Notariusz siedział z umową. Lena była gdzieś na zapleczu. Usłyszałem ją, bo pozwolili, by dała mi znać, że żyje. Jak ją

usłyszałem, to tak się zdenerwowałem, że się porzygałem z nerwów. Wszystko we mnie pękło. Tamci wiedzieli, gdzie mieszkamy, wiedzieli o nas wszystko. Dlatego myślę, że ten detektyw im to powiedział. Jak doszedłem do siebie, to kazali mi podpisać, że sprzedaję swoje udziały w spółce za pięć tysięcy dolarów. Myślałem, że to jakiś żart, i spytałem, czy dobrze słyszę, że za pięć tysięcy. Jeden uderzył mnie młotkiem w kciuk. Pogruchotał mi palec tak, że potem nie dało się go poskładać. Wyłem z bólu, a Lena krzyczała. Więc zamknąłem mordę, żeby jej nie straszyć, choć krew ściekała mi z dłoni jak z kranu, a spodnie miałem mokre ze strachu. Podpisałem. Bo co miałem zrobić? Bałem się o Olega i Tanię, przecież oni też musieli podpisać. Powiedzieli, że to nie moja sprawa. Zrobili mi zdjęcie polaroidem. Notariusz i kilku z nich wyszło. Po dwóch, może trzech godzinach wypuścili mnie. Odwieźli furgonetką mnie i Lenę z naszym synem do szpitala. Oleg podpisał. Spotkali się z nim w drugim naszym klubie. Pokazali mu zdjęcia: moje, Leny, małego i... kurwa, jego Tani. Spyтали, czy poświęci przyjaciela i dziewczynę. No i podpisał. Notariusz to parafował. Było po sprawie. A potem na drugi dzień przyjechała milicja, że niby ja narkotykami handlowałem, że dziwki miałem, że robiłem machloje, że łapówki urzędnikom wręczałem. Wszystkie te oskarżenia przeciwko mnie, że handlowaliśmy prochami, że praliśmy pieniądze, to jest absolutna nieprawda. Absolutna... Co do łapówek, nic o tym nie wiem. Nie zajmowałem się pozwoleniami ani papierami...

Do pokoju wszedł barczysty mężczyzna. Prokurator i protokolant wstali na jego widok. Mężczyzna skinął w ich kierunku, a oni, niczym dobrze wytresowane psy, opuścili bez słowa gabinet. Mężczyzna wyjął protokół z rolki maszyny do pisania. Powiódł po nim wzrokiem, przeczytał kilka zdań, po czym jednym ruchem podarł go na pół.

– Teraz stąd wyjdziecie – rzekł do Andrieja bardzo niskim głosem. – I nigdy więcej nie wyściubicie głowy z nory, bo ubijemy jak wściekłego psa. A żyjecie tylko dlatego, że wasz ojciec był mi druhem w Afganie. Won!

Antonow kontra świat

Moskwa–Londyn, wrzesień–grudzień 1992

We wrześniu, pomimo sprzeciwu Tatiany, Oleg zdecydował się na nowy poważny krok: przyjął ofertę meczu, który nazwano „Antonow kontra świat”. Pomysł był prosty. Słuchacze kilku stacji radiowych na świecie, wśród których byli zarówno profesjonalni szachiści, jak i amatorzy, głosowali telefonicznie, decydując o wyborze kolejnego posunięcia. Jeden ruch dziennie. Oleg odpowiadał. Ponieważ pomysłodawcą wydarzenia był angielski arcymistrz Raymond Knight, koordynacją zajęło się BBC. Oleg większą część meczu spędzał w Londynie, gdzie zamieszkał w jednym z hoteli w South Kensington.

Tatiana spoglądała na niego, gdy się pakował. Była lekko pijana. Bywały dni, gdy piła od rana.

– Wiesz, że jesteś skończonym idiotą? – Przerwała ciszę.

Milczał.

– Nie będzie już do czego wracać. Odpieprzyło ci, Antonow, kompletnie. Dostałeś jak mój ojczym obłędu na punkcie swojego ego. „Antonow kontra świat”... Czegoś bardziej popieprzonego nie widziałam, jak żyję. Dziwne, że nie dodali: „Bóg Antonow”.

Wybierał garnitury, które zamierzał ze sobą zabrać.

– Oleg, mówię do ciebie! – krzyknęła i zaczęła bić go pięściami po plecach.

Odwrócił się. Objął ją mocno. Płakała.

– Tania, muszę. Ten komputer odebrał mi godność. Muszę grać ten mecz.

– Nic z nas nie zostanie. Ja już nie mam siły. Czekam, czekam, ale nie wiem już na co. Nie ma już nic przed nami.

– Wygram ten mecz. Za trzy tygodnie będzie po sprawie. Obiecuję. Zajmiemy się sobą. Uporządkujemy nasze życie, nasze sprawy.

Wyjechał. Po trzydziestu dniach okazało się, że partia jest bardzo zacięta i musi dłużej zostać, niż planował. Czuła się samotna, rozbita. Kiedy go zabrakło, zrozumiała, jak bardzo Oleg wypełnia sobą wszystkie jej chwile, wszystkie miejsca, jak mocno wdarł się do jej wnętrza. Zastanawiała się, czy ma pragnąć, by wrócił i dał jej z powrotem to natchnienie, czy też powinna zacząć budować mur, kryjówkę dla samej siebie i dla swych myśli. Kilka razy się upiła. Czuła się coraz gorzej. O poranku łapały ją duszności. Wychodziła z mieszkania, nie wiedziała, gdzie się podziać, co ze sobą począć. Zrozumiała, że zabrał jej wszystko, nie miała własnego świata. Kiedy nie grała w filmie, czuła się nikim. A potem zaczęła odczuwać, w jakiś mistyczny sposób, uciekające z niej życie, jakby starzała się

szybciej niż inni ludzie, tydzień oznaczał dwa, potem pięć, potem liczony był w latach... W dniu swoich trzydziestych urodzin czekała na niego w Hereford Arms, w małym londyńskim pubie, w South Kensington. Chciała być z nim w ten dzień. Uwierzyła, że może raz jeszcze odnajdą drogę do siebie. Nie miała cierpliwości. Spóźnił się z powodu szachów. Była w złym humorze.

– Czego właściwie pragniesz? – spytał.

– Od ciebie nic już nie mogę dostać – wycedziła, a wszystko w niej krzyczało.

Zapadła cisza. Dostrzegł chłód w jej oczach, który sprawił, że poczuł lęk. Tracił panowanie. Jej chłód, milczenie doprowadzały go do szału. Nienawidził jej w tych chwilach, tak bardzo nienawidził, że pragnął zniszczyć wszystko. Pragnął, by cierpiała.

– A więc? – zaczął, nie mogąc wytrzymać tej ciszy, która sprawiała mu fizyczny ból.

– Chcę wolności – szepnęła i niespodziewanie w jej oczach pojawiły się łzy.

Antonow zrozumiał, że jej dusza jest dla niego nieprzeniknioną zagadką. Nienawidził tych momentów, gdy na jego natrętne pytania o przyczynę złego humoru wpadała w złość, krzycząc, że nie jest jego lalką, która ma się ciągle śmiać, kiedy on ma na to ochotę.

Wstała od stolika i bez słowa wyszła, pozostawiając go samego. Przez chwilę tkwił w osłupieniu, bijąc się z myślami. Gdy dotarło do niego, że przez kilka nieprzemyślanych słów zniszczył wieczór, który miał być tym wymarzonym, nie potrafił zrozumieć, dlaczego to zrobił. Wyjął pudełko z zaręczynowym pierścieniem, który, jak liczył, miał wywołać jej łzy szczęścia.

Mecz przedłużył się do początku grudnia. Osiemdziesiąt cztery posunięcia i przewaga piona w końcówce dawała szansę na wygraną Olega. Ale „Świat” nie chciał się poddać. A on nie mógł słuchaczy do tego zmusić. Był zakładnikiem kontraktu, który podpisał.

Wygrał. W połowie grudnia wrócił do Moskwy. Prasa chwaliła go, znów odzyskał wiarę w siebie. Ale jej już nie interesowały jego sukcesy szachowe ani pieniądze, które zarabiał. Postrzegala siebie jako kogoś zawieszzonego w próżni kosmosu. Od czasu do czasu jakaś impreza, którą prowadziła, jakiś program telewizyjny, w którym brała udział, wyrzywały ją z odrętwienia. Ale już nie żyła, raczej wegetowała u boku rozchwianego emocjonalnie mężczyzny, który karmił się swoją sławą lub umierał, gdy przychodziło niepowodzenie i ktoś okazywał się, choćby w jednej partii, lepszym graczem od niego.

Oleg otworzył oczy. Spojrzał na zegarek. Czwarta nad ranem. Tani nie było w łóżku. W mieszkaniu panowała cisza. Słyszał tykanie zegarka. Wstał i wszedł do kuchni. Siedziała na okiennym parapecie, patrząc na księżyc. Podeszedł do niej i stanął obok, bojąc się rozgniewać ją nieostrożnym słowem. Kiedy wrócili do łóżka, odwróciła się do niego plecami, objęła oburącz poduszkę i podkurczyła nogi.

– Gdybym wiedział, w czym tkwi twoja tajemnica – rzekł, z trudem przełamując skrępowanie. – Może łatwiej by się nam żyło.

Przez chwilę nie odpowiadała. Jej oczy utkwione były w jeden punkt, zamglone, nieobecne.

– Byłoby lepiej – szepnęła – gdybyś nie odbierał mi wszystkich sił, a jednocześnie, od czasu do czasu, kiedy ci przyjdzie ochota, nie dawał w zamian swoich. Czuję się jak podczas ciągłej transfuzji. Zabierasz mi moją krew i duszę, by dawać w zamian siebie. Kiedy się spóźniasz, jestem bliska śmierci. Dajesz siebie jak narkotyk, wstrzykujesz do moich żył energię. Przez chwilę czuję euforię, czuję życie. Ale to tylko moment. Sama już sobie nie radzę. Chciałeś tego. Chciałeś, abym uzależniła się od ciebie, od twoich zastrzyków. Jestem nikim. Liczysz się tylko ty i twoja energia, dzięki której jeszcze oddycham. Ale ja tak nie chcę...

Odwrócił się do niej. Objął ją swoim silnym ramieniem, przytulił. Poczowała jego ciało, jego ciepło. Znowu przekazywał jej energię. A ona w zetknięciu z tym ciepłem topniała jak lód. Traciła kształt, wtapiała się w jego ciało jak rozgrzane złoto, któremu sprawna ręka jubilera nadaje formę, dopasowując ją do swojego projektu. Pragnęła, by ją przytulał, by zrobił z nią, co zechce. Pragnęła, by był, by zawsze ją ogrzewał i odsunął od niej wszystkie pytania i wątpliwości.

– Czemu nie rozmawiasz ze mną? – szepnął.

– Co mogę teraz powiedzieć – załkała Tania. – Jestem cała przepęlniona emocjami. Nie wiedziałam, że mogę się tak zagubić dla mężczyzny. Ty wiesz, że jesteś niezwykły, że pochłaniasz, że zagarniasz mnie i wszystkie moje myśli. Ale nie chcę utracić siebie... Spoglądałam w lustro i widzę martwą kukłę, którą ożywia iluzjonista Antonow. A gdy ją nakręci za pomocą swojego magicznego klucza, dostrzegam kobietę, która cała drga, jakby była tylko fatamorganą pośród rozgrzanego powietrza unoszącego się gdzieś nad piaskami pustyni, fantom kobiety, która ucieka przed nałogiem, jakim stał się dla niej jej mężczyzna, z jego potężną energią, jego siłą, cień kobiety, która gotowa jest się unicestwić, byle już nie pragnąć jego zastrzyków z życiem, które on daje jej, gdy ma dobry humor...

Czasem wychodziła z mieszkania i znikwała na pół nocy. Stał w oknie i czekał na nią. Telefon w jej mieszkaniu na Sadowniczeskiej nie odpowiadał. U Leny czy Natalii także jej nie było. Chciał jej szukać, lecz bał się, że przyjdzie, kiedy go nie będzie. W końcu nie wytrzymał i wybiegał z mieszkania, by jechać na Sadowniczeską. Gdy zastawał zamknięte drzwi, siadał na schodach i czekał do rana, nasłuchując każdego szelestu.

Cisza między nimi była dla niego udręką. Tania potrafiła milczeć kilka dni z rzędu, dopóki nie zaczynał prosić, by mu zaufała, że będzie lepiej, bo przyjdzie wiosna, skończą się te krótkie parszywe dni, które każdego potrafią wprowadzić w depresję. Ale im usilniej ją zapewniał, tym bardziej czuła się osaczona, tym bardziej pozbawiał ją własnej przestrzeni i nie miała się już gdzie przed nim ukryć. Czuła się śledzona, pozbawiona intymności dla swoich myśli. W tym stanie

ducha napisała do Wiery:

Droga Wiero!

Im dłużej zastanawiam się nad życiem, tym częściej dochodzę do wniosku, że wszystko, co nas spotyka, to poszukiwanie stanu, który nigdy nie jest możliwy do osiągnięcia. I kiedy postanowiłam to sobie rozebrać na kawałeczki, doszłam do wniosku, że są trzy rozwiązania: pogodzić się z porażką, zabić się lub szukać dalej bez nadziei na sukces. I chyba należę do tych ludzi, którzy wraz z obudzoną świadomością nie potrafią nie wybrać. Wokół mnie dzieje się jakaś groteska i jeśli zacznę przyjmować ją za normalność, zwariuję. Oleg oszalał. Liczy się dla niego tylko jego sława mistrza. Już nic między nami nie jest normalnie. To jakaś schizofrenia, Wiero. Kocham go i wiem, że on też mnie kocha, ale kiedy jest obok, duszę się, a gdy go nie ma – umieram. Czy można tak żyć? Powiesz: Tania, w Rosji można, tu wszystko jest szaleństwem i tak trzeba żyć, bez zastanawiania się, co będzie jutro. Ale ja nie potrafię. Zaczynam się tak bardzo nienawidzić, że gdy spojrzalam wczoraj w lustro, rozbiłam je.

Andriej, mąż Leny, wstąpił do jakiejś sekty. Lena pojechała za nim z dzieckiem i zamieszkali pośrodku Syberii. Żyją w drewnianej chałupie, w komunie. Andriej zachowuje się tak, jakby postradał zmysły. Oddał nauczycielowi wszystkie pieniądze. Lena błagała mnie wczoraj, bym pomogła jej stamtąd uciec. Prosiłam Owieczkina i Miszę Sałowa, by ją zabrali. Mają tu być jutro. Natalia znów jest sama. Ten łajdak wystąpił o rozwód. Znalazł sobie jakąś młodą gimnastyczkę. Natalia ryczy całe dni. Wiera, ja oszaleję, dłużej tego nie wytrzymam. Napisz, jak wygląda teraz Paryż, napisz, że jest gdzieś świat, który nadaje się do życia.

Twoja przyjaciółka

Tania

W Nowy Rok jak zwykle włożyli życzenia i postanowienia do zamykanej na kluczyk szkatułki.

Antonow wymyślił nową metodę poprawiania Tani humoru. Zaczął otaczać ją luksusem, codziennie kupował nowy prezent. Kiedy poprosiła, by tego nie robił, pełen żalu skarżył się, że każda kobieta byłaby na jej miejscu szczęśliwa, że traktuje ją jak księżniczkę, a ona wciąż nie potrafi się niczym cieszyć.

– Oleg – szepnęła. – Oczekuję naprawdę niewiele. Chcę tylko spokoju, swojego miejsca, pewności, że gdy nie odnosisz samych zwycięstw, świat mimo to trwa. Chcę normalności, chcę dzieci, zwykłych dni, potrzebuję słońca. Nie chcę żyć w kraju, w którym boisz się wyjść na ulicę, w którym jakiś wariat przygotowuje zamach na prezydenta, gdzie porywa się samoloty[70], gdzie miliony sfrustrowanych ludzi nie mają co włożyć do garnka. Tak, widzę ich dookoła. Nie uda ci się wozić mnie w różowej karocy, z której okien nie widać świata. To, co się tu dzieje, jest piekłem, sennym koszmarem, z którego chcę się wreszcie wyrwać!

– Taniu – rzekł spokojnym głosem. – Wszystko da się zmienić, rozwiązać. Trochę cierpliwości, zajmiemy się tym po Linares. Wtedy będziemy mieli czas dla siebie i zdecydujemy, co dalej.

Wyjechał na turniej do Linares, pozostawiając ją w Moskwie. Turniej w Linares zawsze miał szczególny charakter, ale ten, rozegrany w marcu 1993 roku, należał do wyjątkowych. Organizatorom udało się bowiem zaprosić pierwszą trzynastkę zawodników z listy rankingowej. Nigdy wcześniej nie było turnieju, który miałby wyższą kategorię. Wiktor Krutin określił to, co miało się wydarzyć, mianem „turniejowego mistrzostwa świata”. Antonow grał znakomicie. Był skupiony, zmobilizowany. Chciał za wszelką cenę wygrać rywalizację i nie pozostawić nikomu złudzeń, kto jest najsilniejszym szachistą na świecie. Ale turniej miał tylko jednego bohatera. W historii Linares nie zdarzyło się, aby jakiś gracz wygrał dziesięć partii i zaledwie dwie zremisował. To udało się tamtej wiosny Romancewowi. Trudno odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zagrał tak dobrze. Był opanowany, pełen wiary we własne umiejętności, grał w każdej partii na wygraną i kruszył przeciwników niczym jeden z potężnych lodołamaczy klasy „Arktika”. Oleg ponownie przeżył rozczarowanie.

Jeszcze w Linares Antonow otrzymał zaproszenie na turniej w holenderskim Scheveningen. Zadzwoił do Tani, prosząc, by przyleciała do Holandii, gdyż zdecydował się zagrać w kolejnym turnieju.

Scheveningen, luty 1993

Morze w Scheveningen miało stalowy kolor. Tania szła brzegiem, myśląc o tym, czemu tak bardzo się nie udało, czemu już nic nie czuje, czemu nie jest w stanie niczego naprawić, a jej marzenia z każdą chwilą są porywane jak piasek z plaży przez fale odpływu. Wiedziała, że pewne emocje już nie wrócą. Można myśleć tylko o tym, co będzie, o tym, co może się wydarzyć, co zrobić z czasem, który wciąż pozostał. Idąc po plaży, zrozumiała, że dla niej jedynym widnokretem stał się on, jego mecze, turnieje, partie, że zabrał jej jakąkolwiek szerszą perspektywę, że jej życie przemija, że czas leci, a ona starzeje się szybciej, niż powinna, bo idzie donikąd. Nie ma swojej historii, nie ma swojej przyszłości. Wszystko to jest niestabilne, żadne...

Jestem już tylko połową siebie, niebawem zredukuje mnie do ćwiartki, by w końcu zetrzeć w proch, myślała. Zniknę, stanę się żyjącą kukłą, która szukać będzie ucieczki dla swoich myśli w czymkolwiek, we wszystkim, co tylko zagłuszy te natrętne, trujące myśli.

Przyglądała się dziecku bawiącemu się na plaży. Ból ścisnął ją mocniej na myśl, że jej córka mogłaby mieć teraz już trzy lata. Poczwała, że chciałaby żyć dla kogoś, ale nie emocjonalnie od kogoś uzależniona. Pragnęła miłości nieskomplikowanej, pragnęła dziecka i spokoju dla niego, by móc, tuląc małe rączki do swych policzków, powiedzieć: „będę żyła dla ciebie, będę, mój mały aniołku, dbała o nas dwoje”. Tania tak bardzo zapragnęła tego uczucia, że z trudem opanowała się, by nie podbiec i nie porwać dziecka, by przytulić je mocno do piersi.

Wiatr rozwiewał jej włosy. Pragnęła w tej chwili, by ktoś wziął ją za rękę i szepnął, co ma zrobić. Mewy z głośnym krzykiem zlatywały się nad taflą wody. Marzyła, by ktoś podpowiedział jej, co jest dla niej najlepsze, zaopiekował się, pozwolił zasnąć z wiarą, że następny dzień będzie utkany szczęściem, bez spoglądania z lękiem w jego twarz, bez sprawdzania w oczach, czy dziś jest w dobrym nastroju, czy wierzy w siebie i będzie pełen entuzjazmu, czy też zamknięty w sobie, przegrany, uczyni dzień koszmarem, a jedynym jej pragnieniem będzie przetrwać w ciszy do następnego, może lepszego poranka. Wydawało jej się, że on zabiera jej tlen potrzebny do życia, dając jedynie wąską rurkę, przez którą mogła nabrać odrobinę powietrza, o ile jej na to pozwolił.

Tatiana weszła do sali gier. Dostrzegła go z daleka, siedzącego w skupieniu nad szachownicą. Wydał jej się obcy. Jego twarz, jego zmienność nastrojów, egoizm wzbudziły w niej odrazę. Wyszła z sali i poczuła ulgę, z każdym krokiem oddalając się od miejsca, w którym przebywał. Czwała wzmagające się poczucie wolności i radości.

Podniosła głowę, chłodny deszcz ciął nieprzyjemnie z nieba. Mgła otaczała

stalową konstrukcję mola. Morze pod nim rozbryzgiwało się z hukiem. Serce pękało w jej piersiach.

Antonow był wściekły po nieudanej partii i położył się spać. Nie zauważył listu, który zostawiła. Pojechała tramwajem do Hagi, pomyślał i wsunął się do zimnej pościeli. Wyciągnął kabel telefonu, by nikt nie przeszkadzał mu we śnie...

Tatiana poczuła chłód nocy. Podeszła do wiszącego na ścianie telefonu. Może chciała dać mu ostatnią szansę. A może nie była pewna, czy zdoła zapomnieć kogoś, kto sobą wypełniał całe jej życie. Marzyła o tym, pragnęła tego, ale teraz, kiedy to stawało się możliwe, zlekła się, zatęskniła za nim... Wykręciła numer do hotelu. Nie odbierał... Wokół niej panowała cisza.

Samochód pędził autostradą. Tatiana siedziała w milczeniu, starając się zrozumieć, co zrobiła.

Nad ranem Antonow ujrzał list.

Trudno mi utrzymać długopis w ręce, gdy piszę te słowa. Muszę uciec od Ciebie, Oleg. Te słowa to koniec, koniec, bez żadnych dalszych rozmów. Wiem, że to boli, wierz mi, mnie tak samo mocno jak ciebie. Mężczyźni nie płaczą, ja mam oczy wilgotne od łez. Czuję, jakbym rozrywała swoją duszę, ale nasze życie było jak te pękające na czarnym niebie petardy, które oglądaliśmy, przytuleni, w Nowy Rok. Płacę, Oleg... Nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiesz moją decyzję. Ale muszę uciec, zanim zabijesz mnie, odbierając resztki wolności... Żegnaj, Oleg...

Tatiana

Moskwa, wiosna 1993

Był wściekły. Na początku czekał na to, co się wydarzy. Przecież nie wierzył, że odeszła naprawdę. Co rano spodziewał się usłyszeć dźwięk przekręcanego przez nią klucza w zamku. Czekał na moment, kiedy wejdzie i usiądzie w kuchni naprzeciwko niego w swoim długim brązowym płaszczu. Udawał przed sobą, że nie czuje niepokoju, że wszystko, co dzieje się wokół niego i w jego wnętrzu, jest pod kontrolą. Kiedy jednak zaczynała do niego docierać prawda, coraz trudniej było zachować choćby pozory męskiego spokoju. Czuł się jak gliniana postać, która przy każdym kroku traci część swojego ciała, by na koniec rozpaść się na drobne kawałki. Nieuchronnie pojawiał się strach... Po kilkunastu dniach oczekiwania na wizę poleciał do Paryża z postanowieniem, że ją odnajdzie, reszta nie miała znaczenia. W Paryżu spotkał się z Wierą. Nie wiedziała, gdzie jest Tania. Nie wiedziała, że od niego uciekła. Nie uwierzył jej. Przez następne dwa

tygodnie każdy dzień spędzał pod jej kamienicą. Czasem wślizgiwał się za kimś i siedział na schodach, jak dawniej w Moskwie, gdy zakochany, wierzył w szczęście płynące z miłości. Wówczas nic nie wydawało się trudne, poza tym, by ona chciała z nim być. Nie przyszła. Przypomniawszy sobie jej słowa: „Muszę uciec od Ciebie, Oleg...”. Dookoła panowała cisza. Nie było błyskawic, nie było końca świata. Nie działo się nic. Wydawało mu się niemożliwe, że nic się nie wydarzy. Nie wierzył, że może się to skończyć banalną ciszą, obojętnością niebios. Przecież nazywała go swoim Olegiem, swoim „deszczowym mężczyzną”, swoim przeznaczeniem.

Samotność w obcym mieście przygniatała go, ale pomyślał, że to przetrzyma. Nie może być inaczej. Przyjechał zrozumieć... i nie wolno mu ot tak, po prostu wrócić, nie poznawszy przyczyny. Myślał w ten sposób aż do tego marcowego poranka... Siedział wówczas jak zwykle na schodach i czytał książkę. Było około jedenastej, gdy pośród porannej ciszy pustej kamienicy dobiegł go dźwięk muzyki, początkowo nieśmiały, potem narastający, aż w końcu usłyszał wyraźnie muzykę jej ulubionego Rachmaninowa. Muzyka dobiegała z niższego piętra, unosiła się i wypełniała kamienicę przeszywającą nostalgią i smutkiem. To było jak znak, którego tak długo oczekiwał. Spokojny, wyciszony, subtelny, a jednocześnie tak przepełniony tęsknotą i bólem, aż nie sposób było wątpić, że to znak. I ani przez moment nie miał wątpliwości, jakie jest jego znaczenie. Kiedy muzyka ucichła, wstał i powolnym ciężkim krokiem zszedł na dół, mocno podpierając się, by nie upaść. Wrócił do hotelu i ogromnie zmęczony, jakby utracił całą energię, zasnął. Wieczorem wybrał się na spacer wzdłuż Sekwany.

– Dzień dzisiejszy jest z pozoru taki sam jak każdy inny – szepnął, jakby z nią rozmawiał – lecz mnie wydaje się pusty, pozbawiony celu i wartości niczym pęknięte naczynie... Chyba odeszłaś naprawdę. Została cisza utkana z napięcia...

Szary nurt rzeki kusił, by do niego wskoczyć i zabić myśli, od których bolała udreńczona głowa. Włosy i twarz miał mokre od mżawki, która niczym lekka pajęczyna oplątywała go w gęstym powietrzu. Miał ochotę zrzucić z siebie płaszcz, rozerwać na piersiach koszulę i krzyknąć tak głośno, jak tylko potrafi, krzyknąć z głębi swej otchłani, w której się znalazł.

Siedząc na lotnisku, wśród tłumu, Antonow czuł przerażającą pustkę, która wypełniła go, odkąd zrozumiał, co się stało. Przechodząc przez bramkę kontroli, zastanawiał się, co by odkryto, gdyby przeskanowano jego pełną bólu duszę. Być może miał w sobie destrukcyjną siłę, która była gotowa zniszczyć wszystko dookoła. Być może zostały w nim jedynie rozpacz i zwątpienie odbierające siły do życia.

Moskwa powitała go deszczem, jakby chciała mu przypomnieć o stracie, jakiej doznał. Czekał na bagaż, myślał o tym, co w tej chwili może robić Tania. Czy siada do stołu, daleko, bez żadnej myśli wołającej ją z oddali po imieniu.

Nie lubił brzmienia swego głosu, gdy w pustym mieszkaniu wypowiedane do samego siebie słowa przecinały ciszę. Brzmiało to dla niego groteskowo i nieprzyjemnie. Czuł się wówczas jak rozbitek na bezludnej wyspie, który – by zachować odrobinę jasności umysłu – stara się porządkować świat dookoła, wypowiadając i nazywając głośno swe myśli. Wiedział, że żadne spotkanie z inną kobietą, której gorące wargi wbijałyby się podczas pocałunku w jego zaciśnięte usta, nie zmniejszy wypełniającego go uczucia samotności.

Milczenie telefonu było jak czekanie skazańca na ułaskawienie, które nie nadchodzi. Kiedy zapadał zmrok, rozpoczynało się szukanie metody na przetrwanie. Antonow wkrótce zorientował się, że alkohol w małych ilościach nie wystarcza, bo zbyt szybko udawało mu się wytrzeźwieć, a ten stan był najgorszy.

Na spotkaniach ze znajomymi czuł się jeszcze bardziej samotny. Łapał się na tym, że chce z innymi rozmawiać wyłącznie o Tani. Pod byle pretekstem wtrącał zdania o niej, nawiązywał do chwil, które spędzali razem. Robił to tonem, jakby opowiadał o nadal żywym związku, o kimś, kto czeka na niego stęskniony w domu, kto pragnie jego ciepła, pocałunków, słów, czułości. Gdy wracał do mieszkania, stawał przed drzwiami, nasłuchując. Wierzył, że usłyszy dźwięki muzyki Rachmaninowa. Raz o poranku przed wyjściem na spacer sam włączył muzykę, jakby pragnąc ją przywołać. Ból, jaki poczuł, zastając po powrocie puste mieszkanie, sprawił, że nigdy więcej nie powtórzył tej naiwnej próby. Jednak pod wpływem tej chwili wziął kartkę i napisał:

Jest poranek, który wypełnia muzyka Rachmaninowa i tęsknota za Tobą, Taniu. Słyszę Twój śmiech, rozmawiam, drocę się, żartuję i jesteś już tak blisko, na wyciągnięcie ręki... Szukam Twojej delikatnej dłoni i natrafiam na pustkę... Nie mogę się pogodzić z tym, że moje myśli nie mają mocy, by uczynić marzenie realnym, byś spojrzała mi w oczy z lekko drwiącym uśmiechem i palcem wyjadała dżem prosto ze słoika. Tak pragnę, byś była blisko, choć przez moment, oddana, pełna ufności, ukryta w moich ramionach, które będą Cię chronić, w których poczujesz się bezpiecznie, odnajdziesz spokój, z radością witając wschód słońca i poranny smak nieposłodzonej kawy...

Na początku robił pewne rzeczy, myśląc, że zrobi jej na złość, że zamanifestuje, że da jej sygnał. W chwili, gdy zrozumiał, że dla Tani po prostu przestał istnieć, że setki kilometrów od niego nie poświęca mu ani minuty swojej uwagi, wszystko straciło swój sens, naturalny porządek. Nie było punktu odniesienia, brakowało lustra, jakim dotąd były jej oczy, w których się przeglądał. Wszystko, o czym marzył, wiązało się tylko z nią. Przez chwilę zastanawiał się, czy rozum nie podpowie mu jakiegoś pomysłu, który ośmieszyłby jego pozbawione rozsądku, egzaltowane zachowanie. Ale co miał sobie powiedzieć? Że zarobi pieniądze? Że

obroni tytuł mistrza świata? To nie miało już żadnego znaczenia.

Bywało, że siadał naprzeciw telefonu. Spoglądał na niego i czekał. Siłą woli próbował dać jej sygnał, wysłać komunikat, by zadzwoniła. Kiedyś, zrozpaczony, trwał tak przed aparatem całą noc, o świcie, pijany i wyczerpany zsunął się z krzesła i zasnął na podłodze. Telefon zadzwonił... Uśmiechnął się, leżąc na podłodze pijany, uśmiechnął, bo czuł, że przeniósł się do innego świata, w którym można wyśnić pragnienia. Telefon po kilku sygnałach zamilkł.

W końcu, nie mogąc żyć w ich mieszkaniu, przeniósł się do hotelu. Spoglądając przez okno, pomyślał o bezsensowności wszystkiego, co dotąd robił. W milczeniu, w ciszy swojego pokoju, spoglądał na rozświetlający miasto zachód słońca. Z kominów na horyzoncie bił w niebo biały dym. Szum klimatyzacji przywodził mu na myśl odgłos maszyn płynącego statku. Marzył, by usłyszeć jej pukanie i zabawną naganę: „Otworzysz mi wreszcie czy nie?”. Wyszedł na spacer. Kobięcina grająca na akordeonie w przejściu podziemnym wydobywała z instrumentu muzykę, która przyniosła mu bukiet nowych uczuć, lecz nawet nie próbował ich nazwać i okiełznać. Na moście Moskwoieckim przystanął, by popatrzeć na Kreml od strony rzeki. Podświetlony na tle granatowego nieba wyglądał imponująco. Wokół niego kręciły się pary zakochanych, które spotkały się tu w niedzielny wieczór. Wiatr wiejący od rzeki mierzwił jego włosy, czynił to bez czułości, której tak pragnął w tej chwili. Idąc po moście, nagle przystanął. Wśród fali emocji rozpoznał jedno uczucie, rodzaj sentymentalnego wzruszenia. Delikatna melodia przebijała się poprzez nawałnicę rozpacz. Wzrokiem błędził wokół, starając się natrafić na przedmiot, który pomoże mu odnaleźć to wspomnienie. Nagle rozpoznał je w sobie, dostrzegając małą stalową latarnię przymocowaną do barierek. To pod nią czytał kiedyś list od niej, który przysłała z jednego z jej filmowych wyjazdów. Usłyszał w swych wspomnieniach zdanie: „Wierz mi, że będąc w oddali, myślami jestem bardzo blisko Ciebie...”. Więc w tym miejscu czuł kiedyś szczęście. Teraz zapragnął odtworzyć w sobie te emocje, całym sobą, każdym nerwem swego ciała wołał o jej bliskość. Chciał wzbić się w przestworza i szybować do niej lub też jak biblijny Adam oddać swoje żebro, by móc ją stworzyć na nowo. Spojrzał bezradnie dookoła, jakby pragnąc spytać, co ma zrobić z tym na nowo odnalezionym uczuciem tęsknoty, dawnej radości i dumy, które teraz szczyły z jego bólu. Przez moment wydało mu się to wszystko jakimś nierealnym zjawiskiem, snem, impresją, która minie. Przecież to niemożliwe, aby nosić w sobie tyle cierpienia... I wciąż zadreślał się pytaniem, co zrobił nie tak, zastanawiał się, gdzie się ukryła, gdzie mógłby ją odnaleźć. Przypominał sobie miejsca, o których mówiła. Daremnie pytał wszystkich wspólnych znajomych o wieści od niej.

Dortmund,

sierpień 1993

Gdy się obudził, na zegarku była druga po południu. Z trudem przypomniał sobie, że rano miał samolot do Frankfurtu, bo wieczorem zaczynał w Dortmundzie nowy arcymistrzowski turniej. Spojrzał na pustą butelkę, jakby szukając w niej pomocy w rozwiązaniu kolejnego problemu.

Wszystkie partie w Dortmundzie Antonow grał pijany, ale i tak wygrał turniej. Przedstawiciele sponsorów byli oburzeni, gdy zorientowano się, że ma problemy z utrzymaniem równowagi.

Niemiecki arcymistrz Weinziker poskarżył się sędziom, że nie jest w stanie skupić się nad szachownicą, ponieważ od mistrza świata zionie alkoholem, tak że od samego zapachu można dostać zawrotów głowy. Sędziowie poprosili Olega delikatnie, by coś z tym zrobił.

– Co takiego?! – ryknął Antonow na całą salę. – Zaraz skurwysynowi pokażę!

Oczy wszystkich graczy były skierowane na niego, gdy sędziowie wyprowadzali go z sali gry. Weinziker zgodził się przyjąć remis, zaproponowany przez sędziego. Pomimo narastającego obłędu, w jaki popadał, wciąż go uwielbiano.

Kiedy trzeźwiał, smutek opanowywał go z tak wielką siłą, że szukał tylko szansy, by zapomnieć w kolejnych szklankach wódki.

W tym czasie Romancew, wygrywając finał meczu pretendentów, zapewnił sobie prawo gry o mistrzostwo świata. Mecz wyznaczono na listopad, a organizację powierzono niemieckiemu Bonn. Trzeba było zebrać zespół i rozpocząć przygotowania do pojedynku w obronie tytułu. Nic nie szło jednak tak, jak powinno. Zwieriew miał kłopoty ze zdrowiem. Roztargniony Denisow zostawił w metrze zeszyt z notatkami. A potem przyszła rozgrywka między Jelcynem a Ruckim. Znów, jak w dziewięćdziesiątym pierwszym, wojsko otoczyło moskiewski Biały Dom. Tym razem czołgi otworzyły ogień, a zabitych liczone w setkach. Oleg nie był już w stanie skupić się nad szachami. Wszystko straciło sens.

Paryż, październik 1993

Były momenty, gdy Tanię ogarniała przesywająca tęsknota za nim, za Moskwą, za ulicami skąpanymi w kwietniowym deszczu, za zapachem miasta tuż po gwałtownej burzy, za językiem rosyjskim, który pragnęła znów słyszeć dookoła. W

takich chwilach powtarzała sobie, że coś musiała utracić, aby odnaleźć siebie, swoją wolność i uczucie spokoju. Ale kiedy zobaczyła w telewizji sceny walk, nie wytrzymała i zadzwoniła do Olgi Lwowny, by spytać, czy jest bezpieczny.

– Jest, Tatiano. Jest bezpieczny, choć ma złamane serce.

– Dziękuję – odrzekła Tatiana. – Proszę mu nie mówić, że dzwoniłam.

– Nie powiem.

Tatiana odłożyła słuchawkę i weszła do kuchni, by zaparzyć kawę. Myślała o nim, mimo woli wciąż o nim myślała. Tamtej nocy obudziła się. Nie otwierając oczu, szepnęła: „Oleg...?”. Sięgnęła ręką. I nagle w okamgnieniu zrozumiała, że był snem, że jest od niego daleko, że to już skończone, że na zawsze zniknął z jej życia. Poderwała się w panice, rozglądając bezradnie po pokoju. Nieśmiałe promienie wschodzącego słońca wpadały przez uchylone żaluzje.

– Boże mój – szepnęła. – Boże mój, co robić... Wciąż go kocham.

Lęk, który poczuła, przeszył ją na wskroś, poczuła fizyczny ból. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie sukienkę i spinając włosy, wybiegła z domu. Wsiadła do samochodu i ruszyła do miasteczka. Starła się nie myśleć o tęsknocie, która ją dławiała, próbowała opanować płacz. Zaparkowała na małym placyku przy kościele, naprzeciwko niewielkiej restauracji ze stolikami na zewnątrz. Usiadła przy jednym z nich, czekając na obsługę. Pragnęła usłyszeć swój głos, pragnęła przemówić do kogoś. Udało jej się zamienić kilka zdań z kelnerem, spytała o ciekawe miejsca w okolicy miasta.

Następnej nocy nie spała. Bała się snu o nim, że nie wytrzyma, że serce jej pęknie.

– Dobrze, że dzwonisz – rzekła, ziewając, Wiera. – Wprawdzie jest trzecia nad ranem i zbudziłaś mi dziecko. Żartuję. Był tu jakiś czas temu. Szukał cię. Skłamałam, że nie wiem, iż od niego odeszłaś.

Myśl, że Oleg może ją odnaleźć, że znów wpadnie w tę emocjonalną pułapkę, wzmogła jej determinację.

– Dasz radę, Tania – szepnęła do siebie. – Jesteś mocna jak nigdy, jesteś sobą. Uratuj swoje „ja”, zanim będzie za późno.

I znów, kiedy zapadła noc, ogarnęła ją tęsknota tak ogromna, że gryzła poduszkę, by nie krzyknąć. Tak bardzo chciała, by teraz był przy niej, by dla niej, dla wspólnych poranków, wspólnych wieczorów pełnych ciszy, porzucił wreszcie swój świat pełen męskich ambicji, egocentrycznej namiętności i samouwielbienia. Był jej wrogiem, wrogiem, którego kochała i który wypełniał tak mocno przestrzeń wokół niej, że teraz pustka zdawała się otchłanią bez uczuć, bez widnokregu. Zrobiło jej się go żal. Przypomniała sobie, jak siedzieli razem, zawinięci w koc, na dachu jej bloku i patrzyli w niebo, ucząc się nazw gwiazdozbiorów. Pamiętała, jak czuła, że nim oddycha, jak czuła, że jego siła ogarnia ją i niesie przez życie, nadając wszystkiemu sens. Na chwilę zapragnęła

usłyszeć jego głos. Zastanawiała się, co by mu powiedziała. Poczła przyspieszone bicie serca. Chciała mu powiedzieć, że jest dla niej ważniejszy niż życie, ale nie może jeszcze wrócić. „Jeszcze?” Czy w myślach użyła słowa: „Jeszcze”? W jakimś przypiływie nagłej euforii wykręciła numer telefonu do niego. Sygnał słyszany w słuchawce, powoli i cierpliwie oznajmiał, że tam, po drugiej stronie, w Moskwie, dzwoni jego aparat. Czekala. Serce uderzało tak silnie, że odbierało oddech. Czekala. Nie odebrał. Aby zagłuszyć ból, upiła się.

Rano w radiu przywitał ją Alain Souchon piosenką *Foule sentimentale*. I nie poczuła już tęsknoty, lecz złość, która sprawiła, że nabrała sił. Złość, że jest sama, że musi zaczynać od nowa, że straciła czas u boku mężczyzny, który nie był tego wart. Poranna niesłodzona kawa wypita przy stoliku na tarasie domu smakowała wspaniale.

W połowie października dom był prawie do końca urządzony według jej projektu. Wreszcie po latach czuła spokój, nie potrzebowała tabletek na sen.

Moskwa, 2 listopada 1993 7 dni do meczu w obronie tytułu

Noc spuściła welon na pełne życia miasto. Stojąc przy szybie w ciemnym pokoju, Antonow zrozumiał, że choć bardzo tego pragnie, czasu, który zabrał mu Tanię, nie da się zawrócić niczym nagranego filmu. To, co się stało, było rzeczywistością, choć ciągle miał nadzieję, że tylko śni. Uspiona Moskwa widziana z dwunastego piętra sprawiła, że Antonow poczuł się jeszcze bardziej samotny.

O drugiej w nocy butelka była już pusta. Ze smutkiem zrozumiał, że nie jest dość pijany, by nie czuć bólu. Wiedział, że kiedy zamknie oczy, przez ciszę, jaka go ogarnie, przebije się bezlitosny syk jego myśli.

Coraz trudniej było mu przepelznąć przez każdą następną godzinę dzielącą go od świtu. Poranek przynosił chwilowe ukojenie. A może to zawrót głowy spowodowany świeżym powietrzem po nieprzespanej nocy sprawiał, że nie potrafił nazwać myśli, które nocą zdawały się ostre jak nóż srebrzący się w świetle księżyca. Od kilku dni tuż po wschodzie słońca spacerował szybkim krokiem wzdłuż rzeki, Nabrzeżem Kosmodemiańskim. Potrzebował przestrzeni.

Zdjął koszulę i rzucił ją na fotel. Nagie ciało poczuło chłód powietrza płynącego z klimatyzacji. Zastygł w napięciu. Przez chwilę uwierzył, że jej dłoń dotknie jego ramienia, że jej nagie piersi dotkną jego pleców, a krótki, płytki oddech zdradzi pragnienie bliskości. Siłą woli starał się uczynić tę scenę realną. Przez chwilę

zaciskał powieki niczym dziecko, czując, jak rozpacz miesza się w skroniach z nadzieją. Do bólu. Trwało to sekundę, może odrobinę dłużej, aż zrozumiał, że stojąc na granicy dwóch światów, za sobą ma tylko własną wolę, przeciw sobie zaś – pozbawioną współczucia rzeczywistość.

Cisza... Zimny dotyk szyby, którą odruchowo pogładził koniuszkami palców, przypomniał mu, że nadaremnie podejmował podobne próby setki razy, zawsze czując po tym palące rozczarowanie. Opanował go gniew. Był sam z wyobraźnią wypełnioną jej śmiechem, strzępami słów, przyspieszonym oddechem, który nie był już wyznaniem miłości dla niego...

Osunął się na podłogę i z głową wciąż opartą o szybę wielkiego okna spoglądał na most, po którym z rzadka przejeżdżały samochody. Bolało zbyt mocno. Dlaczego musiał pomyśleć o tym akurat teraz...? Obraz jej zamglonych rozkoszą oczu był jak trucizna.

– Powietrza, przestrzeni, powietrza – szepnął, czując narastającą panikę.

Taksówkarz nie zadawał pytań, słuchał muzyki. Ulice były puste. Jechali Twerską. Mijali rozświetlone, wielkie witryny ekskluzywnych sklepów. Antonow pomyślał, że jeszcze ma w sobie coś z dawnego ducha, który sprawił, że z dachu kamienicy opuścił do jej okna przypięty do liny kosz z kwiatami. Bawiło ją to. Zacisnął usta na wspomnienie jej rozbawionych oczu, jej zębów, którymi gryzła mu wargi, gdy ogarnięci namiętnością, spleceni, odnajdywali się, by znów zagubić w spełnieniu, i tak aż do świtu, który witał ich po bezsennej nocy świetlistym odbiciem malującego się na ich twarzach tajemniczego uśmiechu...

Uśmiech zniknął z twarzy Antonowa, gdy pomimo zamkniętych powiek zdał sobie sprawę, że usta, które całuje, są ustami prostytutki, a przywoływane w myślach obrazy i powtarzane słowa wydają się groteskowe. Kiedy kobieta wyszła, usiadł na podłodze z butelką wódki i pytał sam siebie, jak to możliwe, że dotąd nie skończył tego, unicestwiając się. Nie chodziło o dylematy filozoficzne. Nawet nie zastanawiałby się, czy znajdzie coś po drugiej stronie. Powód wydał mu się bardziej prozaiczny – nie wiedział, jak się do tego zabrać. W tych chwilach, gdy był na to przygotowany, brakowało mu pomysłu, by zrobić to, ot tak, od ręki, jak robią to pod wpływem depresji lub delirium myśliwi w tajdze, strzelając sobie prosto w głowę. A kiedy emocje opadały, nie czuł tak nagłej potrzeby śmierci. W końcu to też było lekarstwo – mieć ją zawsze w odwodzie, jak morfinę, po której można zasnąć, zapominając o bólu.

Pomiędzy kolejnymi łykami zdał sobie sprawę, że jutro będzie mu pękać głowa. Tylko jak dotrzeć do jutra? Bez wieści, oderwany od źródła swych uczuć, szukający znaku, wciąż zakochany, a może uzależniony od niej, w napięciu czekający, co przyniesie następny dzień, który zapewne nie da ciepłego tchnienia

ani nie złagodzi tęsknoty...

Jej obraz atakował go natarczywie, widział ją wszędzie: w reklamach, katalogach, w innych kobietach, gdy odwrócone do niego plecami nie wiedziały, że przyspiesza kroku, by chwilę potem przeżyć zawód, że to nie ona. A kiedy tylko pozwolił sobie na myśl o niej, owo myślenie doprowadzało go do szaleństwa. I być może skończyłyby w takiej chwili ze sobą, gdyby nie strach, że po drugiej stronie czeka go to samo uczucie, które tam rozciągnie się w wieczność pozbawioną choćby cienia złudzenia. Nawet teraz, gdy nic nie przemawiało za tym, by miał prawo marzyć, by miał prawo do nadziei, myśl o niej była tą okruszyną, która żywiła go i dawała resztkę energii, by żyć.

Tamtego dnia, o poranku, zrozumiał, że odeszła. Nie było lekarstwa na ból, nie było tamy, która ochroniłaby go przed zalewem paniki i przerażenia, gdy głośno wypowiedział tę prawdę: „To już koniec, Oleg”. Próbował się obrazić, schować za tarczą urażonej męskiej dumy, znienawidzić. Jednak strach chwycił go w żelazny uścisk, pozbawiając oddechu.

Antonow spojrział w okno. Pomyślał, że mieszka w dziesięciomilionowym mieście i właśnie umiera z samotności.

Było mu wszystko jedno, dokąd pojedzie. Wsiądzie w pierwszy pociąg, który będzie miał trasę dłuższą niż tysiąc kilometrów. Wszedł na Dworzec Pawelecki. Na rozkładzie jazdy zobaczył, że najbliższy odjazd jest planowany za dziesięć minut.

Podszedł do kasy.

– Poproszę na ten do Bałakowa – rzekł cicho, krępując się, że pachnie od niego alkoholem.

Kiedy wsiadał do wagonu, spojrział za siebie, jakby chcąc pożegnać się z ukochaną Moskwą, którą zostawiał wraz z częścią swej zranionej duszy.

Pociąg ruszył powoli. Antonow czuł, że z każdym przejechanym metrem, który oddalał go od ukochanego miasta, pojawia się tęsknota, ale również nadzieja, że ucieknie przed lękami, cierpieniem i rozpaczą z powodu innej tęsknoty. Pociąg posuwał się po szynach, miarowo odmierzając stukaniem czas i odległość. Następnego dnia, niemal po dwudziestu godzinach jazdy, stanął na którejś z kolejnych stacji i Oleg dostrzegł napis: „Wolsk 2”.

Wolsk, Wolsk, próbował zlokalizować w swojej pamięci, skąd zna to słowo. Zimmerman, Nowy Orlean, idea w obronie sycylijskiej, którą przysłał z Wolska ktoś o nazwisku Czerkasow.

Nie zastanawiając się długo, porwał bagaże i wyskoczył z wagonu na peron.

Wolsk,

listopad 1993

Antonow wniósł walizki do pustego mieszkania. To miasto nad Wołgą miało stać się jego nowym domem, miejscem, w którym chciał znaleźć ucieczkę od swych koszmarów. Usiadł pośrodku pokoju na małym stołku. W zupełnej ciszy słyszał kapanie wody z kranu w malutkiej kuchni po drugiej stronie przedpokoju. Rozejrzał się po pokoju. Jego wyposażenie stanowiły prosta rozkładana kozetka, której tapicerka nosiła na sobie plamy herbaty i nadpalenia od papierosów, prosty lakierowany drewniany stół i zawieszona na ścianie półka, nad którą żółty zaciek przypominał o niedawnej powodzi u sąsiada z góry. Westchnął i wyjął z kieszeni płaszcz kupioną po drodze z dworca butelkę wódki, którą postawił na środku stołu niczym kwiat.

Przez pierwszy miesiąc praktycznie nie wychodził z mieszkania. Z poczty wysłał telegram do matki, pisząc, gdzie jest, i prosząc, by przysyłała mu książki i inne drobiazgi. Poza krótkim spacerem do sklepu po jedzenie i wódkę całymi dniami spał lub rozgrywał sam ze sobą partie szachów. Kiedy zmęczył się, pił, by pozbyć się dręczących go myśli.

Któregoś listopadowego dnia wpadł do mieszkania zupełnie przemoczony. Po godzinie leżał z wysoką gorączką, trzęsąc się z zimna. Nie miał niczego na zbiecie temperatury, która ogarniała swoim ogniem całe jego ciało. Leżąc na wprost przytomny, widział Tanię, która mówiła do niego, kładąc swą delikatną dłoń na jego czole. Widział matkę, która podawała mu lekarstwa. Dreszcze, ból mięśni nie dawały zasnąć. Pod wpływem wysokiej gorączki przed oczami pojawiały się przedziwne hybrydy i obrazy zmieniające się i wirujące jak w kalejdoskopie. Jakieś postaci, bloki, figury szachowe i mewy na plaży w Scheveningen. Wszystko w szkarłatnej barwie. Deszcz bił o szyby. A on leżał, trzęsąc się i marząc choćby o kubku gorącej herbaty.

„Rosyjski rząd zdecydował się na uwolnienie cen chleba w Moskwie. Ceny wzrosły prawie trzykrotnie. Bochenek białego chleba kosztuje teraz od stu dziewięćdziesięciu do dwustu rubli, a bochenek czarnego od dwustu dwudziestu do dwustu czterdziestu rubli...” – nadawało radio stojące na lodówce.

W wieczór noworoczny Antonow był na dnie cierpienia. W pewnej chwili poczuł ulgę, że bardziej się już cierpieć nie da i że teraz może być tylko lepiej. Łudził się, że mniej będzie wspomnień, które zabijają. Wystrzały sztucznych ogni, dochodząca zewsząd muzyka i samotność, wspomnienia ostatnich wieczorów noworocznych z Tatianą i to małe pudełko, do którego wrzucali życzenia i po roku sprawdzali, czy się spełniły... Z tej szkatułki wyleciała kartka. Antonow schylił się po nią, rozłożył i zaczął czytać:

Kiedy przeczytasz te słowa, nie będzie mnie już przy Tobie. Taką mam nadzieję. Czuję, że dam radę zrobić to, co zamierzam. Nie wiń się o to, nie chcę, by w

cierpienie i w ból wtargnęła nienawiść. Kocham Cię, lecz żyć już z Tobą nie mogę.

Wolsk, luty 1994

Tamtej zimowej nocy Antonow miał znów sen, w którym spotkał Tanię. Była tak blisko, tak realna, tak cudowna, że czuł ją wszystkimi zmysłami. To było tak niebywale realne. Jej perfumy, jej głos, jej ciepło, jej oczy pełne emocji, napięcia, rozedrgane, w których mógł odnaleźć tajemnice wszechświata i które czyniły ją kimś na kształt istoty wyższej... Gdy obudził się w mieszkaniu w Wolsku, czekał, aż pęknie mu serce, bo przecież musiało pęknąć, nie mogło bić dalej jak gdyby nigdy nic w obliczu rozczarowania, które czuł w tej chwili. A kiedy mimo wszystko nie przestawało bić, wstał z łóżka, ogolił się i wyszedł. Nie myślał, nie było bowiem myśli, której mógłby się chwycić, która dałaby nadzieję i pozwoliła mu na zrozumienie tego, co czyni.

Chyba po raz pierwszy w życiu odniósł wrażenie, że czas przestał istnieć. Nie miał przeszłości, do której mógłby wrócić myślami i porównać do niej czas obecny, nie miał przyszłości, wierząc, że resztę życia spędzi w tym mieszkaniu, bez kalendarza, zegarka, bez liczenia dni, tkwiąc w jednym punkcie, co sprawi, że miesiące lub lata zespolą się w jedno.

W te noce, gdy dręczyły go wspomnienia i lęki, Antonow siadał na podłodze. Światła pobliskich latarni wpadały do pokoju. Czasem włączał cicho muzykę. Miał w tych chwilach ochotę wyjść i iść przed siebie. Wiedział jednak, że nastanie świt i że dotrze do miejsca, które jest zaledwie o krok od życia, jakie wie. Niczego nie zmieni.

Poranki były tak samo trudne jak noce. Za oknami leżał śnieg. W mieszkaniu panował chłód. Antonow z trudem wygramolił się z łóżka. Nie miał w lodówce nic do jedzenia, więc włożył na piżamę spodnie, sweter i palto.

Kurwa, pomyślał, jak zimno.

Śnieg skrzypiał pod butami. Mróz szczypał w twarz i w ręce. Antonow żałował, że nie wziął rękawiczek. Dostał w plecy śnieżką. Odwrócił się wściekły. Chłopcy ukryli się za samochodem.

– Nogi z dupy powyrywam! – krzyknął. Odwrócił się i poszedł dalej, z trudem łapiąc równowagę na śliskim śniegu. Ile to człowiek cierpieć jeszcze będzie w tym życiu, przeszło mu przez głowę.

Przemówienie Anatolija Romancewa

Kongres FIDE, Genewa,

luty 1994

Szanowny Panie Prezydencie, Szanowni Delegaci,

przychodzi mi wygłosić to przemówienie, już jako oficjalnemu mistrzowi świata w szachach, w bardzo smutnych okolicznościach. Oto nasz sportowy świat stracił kolejnego wielkiego mistrza. Po Robercie Zimmermanie decyzję o porzuceniu szachów podjął Oleg Antonow.

Jest wiele tajemnic, które kryje genialny umysł. Być może nigdy nie poznamy motywów, które leżały u podstaw tych dwóch dramatycznych decyzji. Wraz z geniuszem, fenomenalnym talentem, idzie zazwyczaj w parze wyjątkowa wrażliwość, pewna słabość, ułomność, która powoduje, że dla wielu artystów, wspaniałych kompozytorów, pisarzy, reżyserów, malarzy, naukowców, jak również szachistów, własny talent, własny geniusz okazuje się brzemieniem nie do udźwignięcia. Georges Bizet, Vincent van Gogh, Claude Debussy, Charles Baudelaire, Oscar Wilde, Władimir Majakowski, Siergiej Jesienin, Marina Cwietajewa, Ernest Hemingway, Sylvia Plath, Virginia Woolf, Jimi Hendrix, Jim Morrison, Janis Joplin, Paul Morphy, Robert Zimmerman i Oleg Antonow. Wybitne umysły, wielkie talenty wyrastające ponad przeciętność i w tym przeciętnym świecie, w którym przyszło nam żyć, niepotrafiące znaleźć swojego miejsca, ulegające sile krytyki, przyjmujące ją wprost do siebie, lękające się niezrozumienia. Kochamy ich i doceniamy, dopiero gdy odchodzą, zbyt rzadko okazujemy pomoc i szacunek, kiedy są między nami.

Dziś, stojąc przed wami, czuję ogromny żal. Marzyłem o pojedynku z Robertem Zimmermanem i cała seria zdarzeń, a potem rozwijająca się choroba wielkiego amerykańskiego mistrza spowodowały, że do mojego pojedynku z nim nigdy nie doszło. Teraz marzyłem o rewanżu z Olegiem Antonowem. Byłem pewien, że będzie to wielki mecz, który zapisze się w historii szachów złotymi zgłoskami. Przygotowywałem się do niego w sposób absolutnie wyjątkowy. Poświęciłem na to ponad rok. Wiem, że niezwykły umysł Antonowa po raz kolejny stworzyłby na szachownicy szachowe arcydzieła, które zachwyciłyby was, a przede mną postawiły niebywałe wyzwania. Wiem, że sprostalbym zadaniu i razem z Antonowem uczynilibyśmy ten mecz niezapomnianym. Stało się inaczej. Raz jeszcze wielki twórczy duch uległ prozie życia. Pozostaje nam wierzyć, że Oleg Antonow odnajdzie drogę do wielkich szachów, wróci do nas któregoś dnia, aby ponownie oczarować swoją grą.

Już drugi raz otrzymuję z rąk prezydenta FIDE tytuł, którego nie wywalczyłem przy szachownicy. Tak jak wówczas, gdy po rezygnacji Roberta Zimmermana obiecywałem, że będę jego godnym następcą, co udowodniłem w Manili, broniąc

tytułu, oraz w wielu wygranych przeze mnie turniejach arcymistrzowskich, tak teraz, w obliczu rezygnacji z gry w obronie tytułu przez Olega Antonowa, obiecuję strzec prestiżu mistrza świata, uczestniczyć w wielu turniejach, dając arcymistrzom możliwość pojedynków ze mną. Obiecuję pokazać grę wielką, godną tytułu mistrza świata. Dziękuję.

Wolsk,

marzec 1994

Bywały dni, kiedy przerażenie odbierało mu wszystkie siły. Leżał wówczas na podłodze. Jej twardość sprawiała, że nie zasypiał. Bał się snu w ciągu dnia, bo przebudzenie przed zmrokiem oznaczało nieprzespane noce, pełne najgorszych myśli. Starał się znaleźć najdrobniejsze okruchy zadowolenia: że cicho, że promienie słońca grzeją, że odległość między miejscem, gdzie leży, a łóżkiem jest bliska, że nie trzeba wychodzić na zewnątrz, że o nic nie trzeba się starać, że kartofle z masłem wypełniają żołądek i to wystarczy do wieczora, a może nawet do rana... W końcu stres wywoływał zmęczenie, Oleg zasypiał. Budził się, kiedy w mieszkaniu panował półmrok. Z podwórza dobiegało szczekanie psów. Teraz przychodziły myśli o innym zabarwieniu. Zaczynał bać się ciszy, nocy, odczuwał samotność. Miał przemożne pragnienie, aby gdzieś wyjść, ale nie miał dokąd. Gdy podczas spaceru opanowywała go panika, było jeszcze gorzej. Wówczas, z dala od podłogi w swoim mieszkaniu, czuł paraliżujący go lęk. Właśnie wtedy postanowił się zabić.

No dobrze, choć raz można by spróbować pokonać własny strach, pomyślał.

Zaczął zastanawiać się, jak to zrobić. Spojrzał na sufit. Nie było na czym zawiesić sznura. Kiedyś, gdy był mały, podsłuchiwał, jak matka mówiła przez telefon, że jakiś uczeń z ich szkoły powiesił się na klamce od drzwi. Wyobraził sobie siebie i ten obraz wydał mu się groteskowy. Gaz spowodowałby wybuch w bloku, a na co mu było niszczyć sąsiadom mieszkania. Nie miał pojęcia o chemii i lekach, więc nie przychodził mu do głowy żaden pomysł na truciznę. Ktoś się zatrzał grzybami, lecz to mogło być nieskuteczne i wymiotować się po tym chce. A poza tym łązić po lesie i szukać teraz grzybów? Bez sensu... Skakanie z okna wydało mu się bolesne. Zresztą słyszał o robotniku, który po pijanemu spadł z szóstego piętra i przeżył, tyle że miał potem pokrzywione nogi i problemy z pękniętym pęcherzem. W końcu pomyślał o foliowym worku i ciepłej wannie. Został w spodenkach, nie chciał robić z siebie widowiska. I kiedy nałożył worek, przeszło mu przez myśl, że zanim ktokolwiek go znajdzie, zgnije w tej wodzie, i to będzie najstraszniejszy obraz, jaki ktokolwiek widział. Wyobraził sobie siebie jako gnijącą zieloną galaretę, która wydaje straszliwy odór. Obraz był tak koszmarny, że z okrzykiem zerwał z głowy folię. Odetchnął. Poczł ulgę, wolność. Gorąca woda przyjemnie pieściła ciało, a powietrze wydało mu się takie świeże, dające życie, które właśnie przed momentem chciał sobie odebrać. Nie miał żadnej myśli o sensie życia, o zmianie, o punkcie zwrotnym. Po prostu oddychał i jeszcze był Olegiem – poranionym, zmęczonym, uciekającym przed bólem Olegiem. Nagle zachciało mu się rozegrać partię szachów.

Paryż, wiosna 1994

Elegancki mężczyzna stanął naprzeciwko małej galerii. W jej witrynie stały olejne obrazy. Przyglądał się płótnom, a jego oczy powleka delikatna mgiełka wspomnień. Uśmiechnął się, westchnął głęboko i wszedł do galerii. Rozglądał się po niej ciekawie, kiedy z zaplecza wyszła kobieta.

– Dzień dobry – przywitał się. – Zajrzałem, bo zainteresowały mnie te rosyjskie motywy w pani malarstwie – rzekł, obrzucając kobietę przenikliwym spojrzeniem.

– Tak? – Ucieszyła się. – Są autentyczne, bo jestem Rosjanką.

– Ha, naprawdę? – Twarz rozjaśnił mu szczery uśmiech. – Anatolij Michajłowicz – przedstawił się i przechodząc na rosyjski, dodał: – Z Leningradu.

– Już z Sankt Petersburga – poprawiła go. – Wiera Siergiejewna. Moskwianka.

– Moskwianka... – Zamyślił się. – Nie byłem w Moskwie od kilku lat. Pięciu, może sześciu? Wszystko zlewa się w czasie i trudno rozeznąć. Podobają mi się pani prace. Czuję w nich tęsknotę za krajem. Od razu, od pierwszego spojrzenia, przykuły moją uwagę. I mają w sobie lekkość, na kształt marzeń sennych. Urządzam mieszkanie. Nie jestem tylko pewien, czy rosyjskie motywy ludowe spodobają się mojej narzeczonej. Jest w połowie Somalijką.

– No tak – przyznała Wiera Siergiejewna. – To niekoniecznie musi się jej spodobać. Wybaczenie, z wielką radością bym je wam sprzedała, ale słuchając tego, co mówiliście, mam wątpliwości, czy to dobry pomysł. Chcecie spoglądać na obrazy i tęsknić? Ja maluję, by wyrzucić z siebie to uczucie, a wy będziecie je chłonać?

– Nie pomyślałem o tym.

– Uświadomiła mi to moja przyjaciółka. Chciałam jej dać jeden z tych obrazów w prezencie, a ona mówi: „Wiera, chcesz, żeby mi pękało serce? Co dzień, gdy spojrzę na to płótno, będę cierpieć bez nadziei”. I chyba ma rację. Trzeba się umieć odciąć od tego, co było. Może jej przychodzi to łatwiej, jest aktorką, to dla niej żaden problem wejść w nową rolę, ja tak nie potrafię. Kocham Paryż, ale czasem, kiedy ściśnie mnie tęsknota, och, jak ściśnie, to aż tu, w dołku, czuję. Chodzę wtedy po domu bez celu i płaczę. Po prostu płaczę. No co zrobić, kiedy brakuje tych wielkich bloków, tych szerokich ulic, tych ludzi, którzy spoglądają na ciebie tak smutno, że duszę rozrywa, tego mrozu, który staje się przedmiotem żartów, lub na odwrót upału, przed którym kryjesz się w parku, pod drzewami, obserwując, jak młode pary podchodzą robić sobie zdjęcia czy złożyć kwiaty przed Grobem Nieznanego Żołnierza pośród pomników z czerwonego porfiru, naszych wielkich stacji metra, gdy w nocy, z zakochanym sercem, wracało się z pełnego przechodniów Arbatu i miało w uszach szum muzyki z ksylofonem w tle. I tej pory

południowej, kiedy spacerujesz po Ogrodzie Aleksandrowskim wśród ukwieconych klombów, słysząc dźwięk kremlowskich kurantów. Ech. Może siedzę na jednym miejscu, może powinnam się więcej ruszać, żeby tak nie cierpieć. Tania zaprasza mnie do Prowansji na weekend. Pojadę.

– Tania? – zainteresował się Anatolij Michajłowicz.

– Ta moja koleżanka, aktorka. Mówi, że Paryż wywołuje tylko tęsknotę, poczucie pustki i osamotnienia. Ciągnie mnie na południe, do Prowansji.

– Aktorka?

– Tak.

– Tatiana?

– Tak. Znacie Bułanową?

Anatolij Michajłowicz spojrział na Wierę Siergiejewnę w tak dziwny sposób, że kobieta poczuła dreszcz.

Prowansja, wiosna 1994

O poranku zadzwonił domofon przy bramie wjazdowej. Tatiana, przekonana, że to ogrodnik, który co wtorek przyjeżdżał doglądać ogrodu, wcisnęła przycisk, by otworzyć mu wjazd. Odłożyła ściereczkę, którą polerowała kupioną na targu lampę oliwną, i wyszła przed dom w momencie, gdy pod wejście podjechał duży czarny range rover. Zdziwiona widokiem nieznanego samochodu, przyłożyła rękę do czoła, żeby zasłonić oczy przed słońcem i dojrzeć twarz kierowcy.

– Anatolij? – spytała.

– To ja, Tatiano.

– Boże, niemożliwe... – odrzekła przepojonym radosną zadumą tonem.

– Tatiano... – Zbliżył się do niej.

– Jestem – szepnęła.

Spoglądali przez chwilę na siebie. Ich oczy śmiały się, lecz żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć w takiej chwili. Ostatni raz widzieli się pięć lat temu podczas meczu w Nowym Jorku, gdy stali po przeciwnych stronach barykady.

– No chodź, napijemy się herbaty z samowara. – Wyciągnęła do niego rękę. – Kupiłam go niedawno od Ormianki w Paryżu. Poczujemy się jak w domu. Pewnie nie jadłeś śniadania. Prosto z Paryża?

– Tak. Jechałem nocą. Musiałem koło czwartej nad ranem zrobić przerwę, bo

wpakowałbym się w tył autokaru.

– Wariat. Mogłeś przecież zginąć.

– Czasem miło być wariatem.

Zjedli razem śniadanie. Rozmawiali o życiu we Francji, o ostatnim filmie Tatiany. Nie mówili o Rosji ani o tym, co było między nimi, ani jak to się przerwało. Bali się, by nie padło nazwisko Antonowa. Tatiana przygotowała dwie aromatyczne filiżanki espresso, do których dodała odrobinę syropu waniliowego. Zapach kawy wypełnił kuchnię i leniwie pieścił zmysły. Romancew przymknął powieki, marząc, by ta chwila nie miała końca.

– Od kawy zaczęła się nasza znajomość – zażartowała Tatiana, a jej głos zdradzał lekkie napięcie, które zinterpretował jako brak aprobaty dla jego niespodziewanego przyjazdu.

Kiedy Romancew odjechał spod domu, nastąpiła cisza. Przez moment Tatiana chciała wybiec, wsiąść do samochodu i pojechać za nim. Ta cisza była trudna. Nie spodziewała się, że może być dla niej aż tak trudna. Wyszła przed dom. Siedziała w milczeniu i zastanawiała się nad tym, co się stało. Zabrał jej spokój. Minęło kilka minut, a już poczuła za nim tęsknotę i to było przerażające... bo odjechał, nawet nie spytała go dokąd, nie spytała go o nic... Jak mogła być tak nieostrożna. Usłyszała ponownie dzwonek domofonu. Weszła do domu. Nacisnęła przycisk i spytała: „Kto tam?”.

– Ja, Tatiano – usłyszała głos Romancewa.

Wyszła mu na spotkanie. Widząc to, Romancew wysiadł z samochodu i ruszył w jej kierunku.

– Wybacz, nie mogłem odjechać. – Dostrzegła w nim ogromne napięcie. – Nie mogłem odjechać, nie powiedziałem, że cię kocham. Kocham cię od lat, tak że... – Głos załamał mu się ze wzruszenia. – No widzisz, zabrakło mi słów... – Zaśmiał się nerwowo. Spojrzał na nią pełen nadziei, że zrozumie go bez dalszych niezgrabnych prób przekazania tego, co czuje.

Dostrzegł, że oczy Tani śmieją się do niego. Położyła palec na jego ustach, aby nie mówił już nic więcej. A on ujął jej dłoń i zaczął całować. Nie cofnęła się. Porwał ją w ramiona. Uniesieni pragnieniem, niemal nie odrywając od siebie ust, weszli do sypialni.

– Zaraz zjawi się ogrodnik...

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nic?

– Nic a nic.

– To dobrze...

Wolsk, maj 1994

W tym czasie Antonow wpadł w rodzaj letargu. Z początkiem maja przyszły do Wolska upały. Całe dni spędzał w domu. Leżał na przemian na łóżku, to znów na podłodze, starając się przespać kolejny dzień i kolejny. Jedna koszula i jedna para spodni wystarczały, by dzień po dniu wychodzić do sklepu po cokolwiek do jedzenia. Słońce go raziło. Błady, z długimi włosami i brodą sprawiał upiorne wrażenie. Nie było jak wyrwać się z tego nastroju. Wieczorami wychodził na krótki spacer lub leżał na podłodze pod otwartym oknem, starając się odetchnąć odrobiną świeżego powietrza. Po kolacji siadał przy stole, włączał muzykę i tkwił w odętwieniu z głową wspartą na dłoniach. Zazwyczaj pił. Szklanekę po szklance, aż do utraty świadomości. Wówczas zsuwał się na podłogę lub resztkami sił doczołgiwał do łóżka. Świt witał go ostrym bólem głowy. Tego nie potrafił zwalczyć. Poranne bóle głowy po upiciu się były straszne i wywoływały w nim lęk. Bał się swojej bezradności, tego, że nie ma siły przyrzadzić sobie posiłku.

– Nic, kurwa, nic – szepnął i objął głowę, jakby chciał rękami zasłonić się przed natarczywością wspomnień.

To były te momenty, kiedy czaszkę wypełniał krzyk rozpacz, ból nie do wytrzymania, kiedy tarzał się po podłodze jak podczas ataku epilepsji. Z trudem powstrzymywał się, by nie wyskoczyć oknem lub nie rzucać meblami o ściany. Zawijał poduszkę wokół głowy i podtrzymując ją rękami, by szczelnie zasłaniała go przed światem, starał się usnąć, ukryty w kokonie oddzielającym go od dźwięków, wspomnień, napierającej rzeczywistości.

Czasem wieczorami grywał w szachy. Nie mógł później zasnąć i najczęściej brał szachownicę do łóżka, analizując do świtu warianty. Lubił, gdy listonosz wrzucał mu do skrzynki zaprenumerowane czasopisma szachowe. Spędzał wówczas dwa, trzy dni na analizie każdej z zamieszczonych tam partii. Czasem natrafiał na swoje dawne partie, które służyły za materiał do analizy jakiegoś wariantu.

Pod koniec maja postanowił częściej wychodzić na spacer. Duchota w mieszkaniu powodowała ciągle bóle głowy. Spojrzał na siebie w lustrze. Wyglądał jak rozbitek na bezludnej wyspie. Musiał się ogolić i obciąć włosy, inaczej milicja wzięłaby go za włóczęgę, a miejscowe opryszki – za bezdomnego, na którym można wypróbować wyuczone na kursie ciosy karate. Ciąć włosów nie umiał, więc po kilku nieudanych próbach wyrównania długości ogolił się na zero za pomocą swojej maszynki marki Mińsk. Długo spoglądał w lustro, jakby czymś żywo poruszony. Potem poszedł do pokoju i ściągnął z półki zdjęcie ojca. Wrócił do łazienki i przyjrzał się zdjęciu, a potem porównał z odbiciem w lustrze. Dojrzał ogromne podobieństwo i to go wzruszyło. Odstawił zdjęcie, zaczął boksować worek. Po kilkunastu minutach padł z wyczerpania, ale jednocześnie poczuł

odrobinę ulgi. Pomyślał, że może to jakaś metoda, by przetrwać. Zaczął dużo ćwiczyć. Katował się do nieprzytomności. Kupił też stary rower i przemierzał nim po kilkadziesiąt kilometrów. Kiedy mu go ukradziono, kupił drugi. I tak biegł dzień za dniem, a każdy, w którym z rozpaczy nie upił się do nieprzytomności, wydawał mu się dniem zwycięstwa. Bywało ich w tygodniu czasem więcej, a czasem mniej i wtedy bilans wypadwał ujemnie.

Toskania, sierpień 1994

Tania w białej bawełnianej koszulce, która wypełniła się krągłością jej ciąży, siedziała na leżaku z podkurczonymi nogami. Spoglądała na pływającego w basenie męża. Zaczęła pisać list do Wiery:

Mieszkamy z Tolą w typowej toskańskiej willi. Jest kamienna i niewielka. Prowadzi do niej uroczy, pokrzywiony na wszystkie strony chodnik wzdłuż grzbietu wzgórza, wśród rzędu cyprysów. Wszystko to przypomina zdjęcia z kolorowych reklamówek, jakie możesz zobaczyć w witrynach agencji turystycznych. Widok na łagodny, falujący krajobraz z dobrze utrzymanymi winnicami i gajami oliwnymi jest naprawdę energetyzujący, czujesz to słoneczne szczęście, jakiego nam, Rosjanom, tak często brakuje w kraju. Rankiem, kiedy w dolinie opada mgła, słyszę jakieś zwierzęta. Może to jelenie, a może dziki. Kamienne patio od strony ogrodu daje przyjemny chłód. Tam zazwyczaj jemy, otwierając kolejne wina. Piję symbolicznie, nie rób mi więc wymówek. Tola uwielbia takie drobne ceremoniały. Nakrywa stół lnianym obrusem, przynosi oliwę, dobiera wino. Lubię patrzeć na jego ruchy, na jego gesty, działa na mnie tak kojąco, czuję się przy nim pewna i radosna. Jemy, a raczej rozpoczynamy ucztę. Nie poznasz mnie. Przytyję jak mały prosiak. Trudno mi się oprzeć, kiedy Tola stawia brunello z figami albo toskańskie arbuzy, które pękają od nadmiaru słońca i słodczy. Zajadam się serami pecorino, gorgonzola, trójkątami parmigiano i zimną zupą pomidorową ze świeżą bazylią i szalwią. Pochłaniam ravioli nadziewane orzechami pinii z masłem i szalwią albo lasagne ze szpinakiem i sosem beszamelowym. W nocy, gdy zasypiam w jego ramionach, cykady grają swój szalony koncert. Wiero, moja droga przyjaciółko, mam w takich chwilach wrażenie, że tak właśnie wygląda raj i nigdy nie chcę budzić się z tego snu.

Misza Sałow

Moskwa,

luty 1995

Nad ranem ktoś zadzwonił do drzwi mieszkania Olgi Lwowny.

Oleg? – pomyślała Olga Lwowna, wstając z łóżka. Kto inny o tej porze? Narzuciła na siebie szlafrok i podeszła do drzwi. Cisza. Znów dzwonek.

– Kto tam? – spytała, czując niepokój.

– Olgo Lwowna, to ja, Tamara Sałowa, żona Miszy. Jestem z mamą Miszy.

Olga Lwowna otworzyła drzwi.

– Wchodźcie. Co się stało?

– Misza... – Tamara wybuchła płaczem. – Misza zaginał w Groznym.

– Chodźcie do kuchni. Zrobię herbatę. Co znaczy: zaginał?

– Nikt nie wie, gdzie jest.

– Mają bardak, to i nie wiedzą – próbowała uspokoić ją Olga Lwowna, zerkając na teściową Tamary. Kobieta okazałej postury, z włosami upiętymi w owalny kok, siedziała, milcząc, z pochyloną głową i martwym wzrokiem wlepionym w środek stołu.

– Trzeba go szukać, Olgo Lwowna. – Tamarze załamał się głos.

– Dobrze – rzekła stanowczym głosem Olga Lwowna. – Jak trzeba, to poszukamy. Nie ma takiej rzeczy, której rosyjska kobieta nie dałaby rady zrobić. Szczególnie, gdy chodzi o jej syna.

Olga Lwowna naląła do szklanek herbatę. Wyjęła krakersy.

– Co tam się stało? – zapytała, a widząc, że żona Miszy wpada w coraz większą histerię, dodała ostrym tonem: – Tamara! Nie przyszłaś tu beczeć, ale szukać pomocy dla męża! Powiedz mi, co się tam stało, kiedy był z Miszą kontakt.

– Miszę przydzielili jako łącznościowca do Majkopskiej Zmechanizowanej, blisko dowódcy, pułkownika Sawina. Dzwonił do mnie dzień przed Nowym Rokiem. Powiedział, że oficerowie pijani, że ktoś wymyślił, by uczcić urodziny Graczowa, bo one pierwszego stycznia. Więc kazali iść na Grozny, mimo że nie byli gotowi. A potem już nie miałam od niego żadnych wieści. W jednostce mówili, że mieli zająć dworzec kolejowy w samym centrum i że Czeczeńcy wpuścili ich do środka bez żadnego strzału, nasi po prostu wjechali do miasta i rozłożyli się na dworcu, ale potem tamci ich otoczyli i...

Tamara znów nie mogła opanować płaczu, a matka Miszy pochyliła głowę nisko nad stołem i rękami złapała się za włosy. Widząc to, Olga Lwowna bez słowa wyciągnęła z szafki butelkę wódki i naląła obu kobietom do szklanek.

Potem sama, odwracając się do nich plecami, pociągnęła łyk i zapiła go herbatą.

– Napijcie się – wydała polecenie.

Kobiety bez słowa sprzeciwu wlały w siebie zawartość szklanek.

– Mów, co było dalej – nakazała Tamarze.

– Strzelali do nich z budynku naprzeciwko, wyższego, więc widzieli ich z góry...

O Boże...

Olga Lwowna dołała wódki do szklanek. Tamara ponownie napiła się i opowiadała dalej, pociągając przy tym nosem:

– Strzelali do nich ze wszystkiego, co mieli, karabinów, granatów, rzucali butelki z benzyną. Siekli tak, że na dworcu nie było centymetra, który nie zostałby trafiony kulą. Mówiono mi, że Misza nadawał, nadawał cały czas, przez kilka godzin, prosząc o wsparcie. Ponoć Czeccy wzięli kogoś do niewoli. Proponowali naszym, by się poddali.

– Czy wśród tych w niewoli mógł być Misza?

– Nie wiem. Nikt nie mógł mi tego potwierdzić. Ponoć był tam porucznik.

– Rozumiem.

– Po południu próbowali się przebić z rannymi na trzech ostatnich pojazdach, ale się nie udało. Wtedy pułkownik Sawin dał rozkaz, by iść pieszo. Nie wiem, czy był z nimi Misza. Natknęli się na pojazdy z Samarskiego, które ich zabrały. Tam Miszy nie było. Wiem, bo odnaleźli dwa spalone. W jednym zginął Sawin. Trzeci uciekł po torach kolejowych. Tam też Miszy nie było... Dopóki nadawała radiostacja, było wiadomo, co się z nim dzieje, ale później już nic.

– Zrozumiałe, że przestali nadawać – rzuciła Olga Lwowna, by podtrzymać w kobietach nadzieję. – Przecież starali się wymknąć z okrążenia. Tamci mogli ich podsłuchać. Jak ktoś się skrada, to nie krzyczy, dokąd idzie. Po kilku godzinach pewnie już było dostatecznie ciemno.

– Boże, Boże, oby tak było, Olgo Lwowna, oby tak było, jak mówicie. – Tamara złapała dłoń Olgi Lwowny i przyłożyła do ust, jakby ta była świętą, która może działać cud.

– No i co dalej? – spytała Olga Lwowna, delikatnie uwalniając swoją dłoń.

– No i, no i potem nastąpiły kolejne szturmy – ciągnęła Tamara, jakby nieco spokojniejsza. – Nie było jak kogokolwiek szukać, bo w mieście piekło. Piekło, Olgo Lwowna. Drugi batalion, wysłany na pomoc, do dworca nie dotarł. Czeczeni go rozbili. Ściągnięto resztę brygady z przedmieścia. Szli wszyscy, kto żyw, by ratować braci z jednostki. Ponoć czterdzieści pojazdów. Wszystkie zostały zniszczone w ciasnych uliczkach. Wystarczyło, że tamci spalili czołg na przodzie. Zatkał drogę, a oni mogli walić z bloków do pojazdów, niszcząc jeden po drugim. Żołnierze poszli w rozsypkę, gdzie kto mógł. Chowali się po blokach, po mieszkaniach. Część ludzi poszła za kapitanem Czmiriewem i przebili się do

naszych. Czekałyśmy na wieści ponad miesiąc. Bo przecież jak walczą, to nikt nie myśli, by kogoś szukać, nikt z nami nie chciał gadać. Ale teraz wojsko zdobyło Grozny. I nic. Po Miszy nie ma śladu... – Urwała i walczyła ze sobą, by znowu nie wybuchnąć płaczem.

– I co teraz? – spytała Olga Lwowna szorstkim rzeczowym tonem, chcąc zapanować nad lękiem, który towarzyszył myśli, że Misza rzeczywiście zginął.

– Jechać nam tam trzeba – odezwała się niskim głosem matka Miszy. I było to tak niespodziewane, wypowiedziane tak jakoś upiornie i rozpaczliwie, niczym głos ojca Hamleta z podziemi, że po plecach Olgi Lwowny przeszedł dreszcz.

– Tak, Olgo Lwowna – potwierdziła Tamara. – Uradziłyśmy, że jedziemy go szukać.

Olga Lwowna podniosła się z krzesła i stanęła przy oknie. Przez moment przypominała sobie, jak odprowadzała wzrokiem małego Olega, który z dziadkiem Leonidem wybierał się na wycieczkę rowerową. Pomyślała, co by zrobiła, gdyby na miejscu Miszy znalazł się jej syn...

– Ty, Tamara, nigdzie nie pojedziesz – rzekła, odwróciwszy się do obu kobiet. – Będziesz siedzieć na miejscu i koordynować nasze działanie. Dam ci kilka kontaktów do ludzi, którzy mogą nam pomóc. Gdyby słuch o nas zaginął, ktoś musi zadziałać w naszej sprawie.

– Olgo Lwowna, to mój mąż – próbowała protestować Tamara.

– Nie pojedziesz – zdecydowała tonem nieznoszącym sprzeciwu Olga Lwowna. – Młoda ładna dziewczyna wodzi na pokuszenie. Zgwałcą albo porwą i sprzedadzą Bóg wie dokąd i komu. Mowy nie ma. Dwie stare baby będą bezpieczne. Czeczeni mają swoje matki, matki wroga też uszanują. A nie, to nic wielkiego. My swoje przeżyliśmy. A ty masz córkę i musisz jej doglądać. Jak wam na imię? – zwróciła się do matki Miszy.

– Galina Iwanowna.

– Słuchajcie, Galino Iwanowna, dziś spotkam się z Owieczkinem. Zajmuje się zaopatrzeniem armii. Sprytny jest, zna wielu, pomoże nam. Choć swołocz się z niego zrobiła i handluje na lewo, czym popadnie, to z Olegiem i Miszą przyjaźni się od lat. Nie odmówi. Zresztą, jak go znam, to pewnie i Czeczenom broń sprzedaje, więc tym bardziej może się przydać. Jutro polecimy do Władykaukazu, a potem, zobaczymy. Coś zorganizujemy na miejscu, aby dotrzeć do Mozdoku. No i cóż, znajdziemy waszego Miszę. Obiecuję, że znajdziemy.

Galina Iwanowna dźwignęła się ciężko z krzesła, otarła oczy z łez i objęła Olę Lwownę, szepcząc:

– Bóg wam zapłać, Olgo Lwowna, Bóg wam zapłać...

Po wyjściu kobiet Olga Lwowna odnalazła w notesie telefon do Owieczkina. Nie odbierał. Więc włożyła palto, futrzaną czapkę z lisów i poszła do firmy „Rusotrans – Spedycja, Transport, Zaopatrzenie. S. Owieczkin”.

tydzień 1

Olga Lwowna chodziła do firmy Rusotrans codziennie przez następne cztery dni, zanim udało jej się spotkać z Owieczkinem, który dopiero co wrócił z Tadżykistanu.

– Wojna to największy interes w tym kraju, Olgo Lwowna – mówił Owieczkin, który przytył trochę, lecz nadal nie zgolił wąsika. – Jak mnie gdzieś nie ubiją, to będę bajecznie bogaty.

– Misza zaginął w Groznych – przerwała mu Olga Lwowna. – Więc nie pieniądze robić, a przyjaciela ratować trzeba.

– Dawno to było? – zapytał zmartwiony Owieczkin.

– W pierwszym dniu, jak Grozny szturmowali.

– I przeżył?

– Tego nie wiem. Ale ciała nie ma, więc szukać trzeba. Wciąż jest nadzieja.

– Wtedy zginęło mnóstwo ludzi. – Zasepił się i nalał do kieliszków koniaku. – Boże mój, nasz Misza. A taki był szczęśliwy z Tamarą.

– Nie mówcie: był! – napomniała go zirytowana Olga Lwowna.

– Macie rację.

– Jest nam potrzebny transport do Mozdoku. Jedziemy z matką Miszy szukać go na miejscu.

– No na to się zgodzić nie mogę, Olgo Lwowna.

– A mnie to nic nie obchodzi.

– Jak wam się coś stanie, Oleg mnie zabije, że was nie zawróciłem.

– To zadbajcie, żeby nam się nic nie stało.

– Boże mój, tyle czarnych myśli. – Owieczkin ukrył twarz w dłoniach.

– To nic nie mówcie. Wasze zdrowie, Owieczkin.

– Wasze, Olgo Lwowna. I za Miszę, żebyśmy go odnaleźli.

tydzień 2

Po tygodniu Olga Lwowna i Galina Iwanowna były w Mozdoku. Z dowództwa je przegoniono. Oficer z batalionu, który z nimi rozmawiał, rozkładał bezradnie ręce.

– Mateczki, ja tu żywych doliczyć się nie mogę, a wy mi o zmarłych... – nie zdążył dokończyć, bo Olga Lwowna przerwała mu ostro:

– Porucznik Sałow żyje i nie waż się tak do nas mówić.

– No dobrze, zacznijcie od zwłok. To bolesne, ale musicie to zrobić. Miał jakieś charakterystyczne znaki?

Olga Lwowna zwróciła się do swojej towarzyszki:

– Galino? Miał?

– Kto? Mój Misza?

– Tak. Jakieś blizny, znamiona? – dopytywał się oficer.

– Boże uchowaj. Nie wiem. Mój Misza to już duży chłopiec. – Galina Iwanowna zanosła się płaczem.

– Szczękę miał potężną – zauważyła Olga Lwowna, starając się odtworzyć w pamięci sylwetkę Miszy.

– No dobrze. Pójdźmy – powiedział oficer.

Zaprowadził je na lotnisko, gdzie na bocznym pasie stały ciężarówki ural, z których ściągano zwłoki żołnierzy.

– To nie będzie miły widok. Czasem brakuje części twarzy, oczu, czasem spod spalonej skóry przebija czaszka.

Zaczął otwierać worki z ciałami. Galina Iwanowna zemdląła przy trzecim. Olga Lwowna modliła się w myślach, myślała o swoim ojcu, że przez lata jako chirurg był świadkiem podobnego widoku i szła za oficerem, szukając ciała Miszy lub ciała, które będzie miało jakieś cechy, sugerujące, że mógł to być Misza.

I tak to trwało przez cały tydzień. Urale przyjeżdżały. Żołnierze znosili z nich ciała. Kilka razy dziennie, każdego dnia. Potem kobiety chodziły też na dworzec, gdzie stały wagony chłodnie. I Olga Lwowna każdego dnia patrzyła na setki zwłok młodych żołnierzy, których matki nie miały już nadziei.

Zamieszkały w sali gimnastycznej szkoły podstawowej, gdzie były już inne matki, dla których powstawiano łóżka polowe.

Galina Iwanowna zazwyczaj zносиła swoje cierpienie w milczeniu. Olga Lwowna słuchała cierpliwie opowieści matek o ich synach. Niektóre z nich były samotne jak ona i poza synami nie miały nikogo innego. Ona jednak wiedziała, że jej dziecko jest bezpieczne, z dala od wojny, i ta myśl sprawiła, że czuła się w obowiązku im pomóc. Wzięła fotografie synów od tych matek, które miały więcej niż jedno zdjęcie, i ruszyła z Galiną Iwanowną w swoją odyseję.

tydzień 3

Zaczęły od Groznego. Chodziły od domu do domu, brnąc w śniegu, marznąc.

Wełnianymi szalami opatuląły twarze, ale mróz szczypał tak, że Galina Iwanowna nie była w stanie płakać, bo łzy zamarzały jej na policzkach. Ogrzewały się z żołnierzami przy ogniu, jadły to, co udało im się zdobyć. Każdemu pokazywały zdjęcie. Bez skutku. Ruszyły więc między Czeczenów. Mężczyźni wzruszali obojętnie ramionami, niektórzy pluli na chodnik. Część kobiet krzyczała na nie. Olga Lwowna modliła się. Powtarzała sobie, że wszystko, co dzieje się dookoła, dotyka wyłącznie jej ciała. Dusza jest czysta, jej duszy nikt nie skradnie, nie zbruka. Wciąż powtarzała Galinie Iwanownie, która cierpiała z powodu żyłaków: „Nie ma takiej rzeczy czy takiego bólu, którego rosyjska matka nie zniesie, by ratować syna”. Bały się. Lecz szły dalej. Wchodziły do mieszkań, by pytać o Miszę przebywających w nich ludzi. W jednym z domów ktoś schwycił za broń. Przypadkiem odkryły ukrytą składnicę z amunicją. Musiały uciekać. Padły na ziemię za stertą cegieł, jaka została po zbombardowanej kamienicy. Czeczen wybiegł za nimi. Klął. Puścił serię w ich kierunku. Z trudem powstrzymały się od krzyku. Olga Lwowna złapała towarzyszkę za rękę i mocno trzymała. Trwało to kilka dobrych minut, zanim wpełzły z rumowiska, mokre od błota i śniegu. Galina Iwanowna miała skaleczone kolano. Utykała. Szły, podpierając jedna drugą, aż zobaczyły posterunek.

– A wam życie niemiłe? – wycedził wartownik, obracając zapałkę, którą trzymał w ustach. – Już mi stąd!

– Uważaj, żołnierzu, by i ciebie kiedyś matka nie musiała szukać – rzuciła do niego Olga Lwowna. Żołnierz wyjął zapałkę i rozdziawił gębę, zbity z tropu.

Wyczerpane dotarły do jednostki, gdzie za kilka paczek papierosów udało im się przenocować. Postanowiły, że nazajutrz, z samego rana, rozpoczną swoje poszukiwania od nowa.

tydzień 4

Po dwudziestu sześciu dniach spędzonych w Czeczenii ich determinacja została nagrodzona. Czeczenka, od której kupiły wojskową mielonkę, poznała Miszę na zdjęciu.

– Jego tu nie ma. Zabrali go z kilkoma innymi.

– Dokąd?! – krzyknęła Galina Iwanowna, rzucając się w stronę kobiety i szarpiąc ją za płaszcz. – Dokąd zabrali mojego Miszę?

– Zostaw – syknęła Czeczenka, wyrywając się. – Nic więcej nie powiem.

Galina Iwanowna ukłękła na śniegu, a z jej piersi wyrwał się niemal zwierzęcy ryk bólu.

– Wybaczcie – uspokajała Czeczenkę Olga Lwowna. – Straciła syna.

– Moja siostra też – odrzekła dumnie kobieta.

– Więc wiecie, co to ból. Nie pogłębiajmy tej rzeki ludzkiego cierpienia.

Czeczotka spojrzała na Olę Lwową.

– Przyjdźcie tu jutro. Będzie mój syn.

– Dziękuję – szepnęła Olga Lwowna. – Niech ci Bóg wynagrodzi i zachowa przy życiu twojego syna.

Wróciły na drugi dzień. Czeczota nie chciał z nimi rozmawiać. Olga Lwowna wyciągnęła zza stanika dolary. Przeliczył i spojrział na nią.

– Ty pójdziesz ze mną – powiedział. – Ona niech tu czeka.

Olga Lwowna położyła dłoń na ramieniu Galiny Iwanowny i przymknęła powieki na znak, by robiła, co tamten każe.

Mężczyzna zaprowadził ją do swojego mieszkania na drugim piętrze w kilkupiętrowym bloku, którego ściany nosiły ślady kul. Kiedy znaleźli się w środku, uderzył ją w twarz tak, że upadła na podłogę i w głowie usłyszała głośny szum. Zaczął zrywać z niej płaszcz. Nie miała siły się bronić. Uderzenie zamroczyło ją. Mężczyzna zerwał z niej spódnice.

– Zostaw! – syknęła jego matka, która niczym duch stanęła niepostrzeżenie tuż za nim. Kobieta schwyciła go za włosy i przystawiła mu nóż do szyi. – Haram! Zostaw albo poderżnę ci gardło.

Wstał. Cofnął się o krok. Popatrzył na wyciągnięty w jego kierunku nóż, splunął i odszedł. Kobieta nachyliła się nad Olę Lwową, która spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co się stało.

– Żołnierze zgwałcili mu narzeczoną, to dlatego. Nic już wam nie robi. To dobry chłopak, ale jest jak ranny wilk. Nie może żyć z tym bólem. Wasz żołnierz jest niedaleko Ałchan-Jurtu. Tam idźcie.

tydzień 5

Droga do Ałchan-Jurtu zajęła im prawie cały dzień. Wprawdzie kilka kilometrów podwiózł je stary, pomarszczony mężczyzna, który wracał z targu do Samaszek, ale ostatni odcinek drogi musiały iść pieszo. Galina Iwanowna płakała z powodu bólu nóg. Lewa łydka spuchła jej jak balon i była czerwona, aż Olga Lwowna bała się, że nastąpi zator. Ułożyła towarzyszkę na kilku zebranych deskach i dykcie z napisem „tartak”, a potem podniosła wyżej jej chorą nogę i kazała leżeć spokojnie. Sama nazbierała nieco chrustu i zapaliła niewielkie ognisko.

– Olgo – zagadnęła Galina Iwanowna – skąd wy to wszystko wiecie, co robić i w ogóle? Ja tracę głowę...

– Matematyka, droga Galino, uczyć matematyki, a to każe trzeźwo myśleć.

Zaśmiały się, choć Olga Lwowna natychmiast syknęła z bólu. Opuchnięty od uderzenia policzek szczyptał dotkliwie. Wypiły po łyku stolicznej, którą matka Olega miała w swojej piersiówce. Leżąc na dykcie i spoglądając na opadające z nieba płatki śniegu, Olga Lwowna pomyślała o mężu. Zastanawiała się, czy widzi ją teraz, gdzieś z oddali, czy to on dodaje jej sił i odwagi. Tyle lat, myślała, tyle lat sama. Wierna tej jednej miłości, tym jego ufnym oczom, jego ramionom, pocałunkom. Teraz już tylko strzępy wspomnień i syn, ich syn.

– Za rok o tej porze z Miszą będziecie wspominać, jak my, stare baby, błąkałyśmy się po lasach – pocieszała towarzyszkę Olga Lwowna. – Doczekacie się wielu wnuków.

W ich serca wstąpiła nadzieja.

– Idziemy, Galino – wydała komendę Olga Lwowna. – O zmroku zeżrą nas w tej głuszy wilki.

– Nie boicie się? – spytała Galina Iwanowna, podnosząc się ciężko i przytrzymując ramienia Antonowej.

– A czego mam się bać? – Olga Lwowna się uśmiechnęła. – Mój ojciec nauczył mnie, że kiedy czynisz dobrze, nie ma się czego bać.

Pod wieczór dotarły do Ałchan-Jurtu. Za trochę pieniędzy przenocowały w jednej z chat. Spały, przytulone do siebie, żeby się ogrzać. Przykryły się kawałkiem brezentu. Od rana, skostniałe z zimna i głodne, chodziły od domu do domu, pytając o Miszę.

– Ile za niego dasz? – zapytał Czeczen, na którego towarzysze wołali Malik. Odeszli od reszty na kilkadziesiąt kroków.

Olga Lwowna spojrzała na niego twardo.

– A czego chcesz?

– Dziesięć RPG.

– To broń?

– Broń. I do tego chcę amunicję. Dziesięć skrzynek.

– Daj mi tydzień. Ta kobieta – wskazała na Galinę Iwanowną – wróci do Groznego i załatwi to, czego chcesz.

– Żartujesz?

– Zostanę jako zakładniczka. Jeśli przyjdzie wojsko, zastrzelisz mnie. Ale przysięgnij na Koran, że dotrzymasz słowa, i gdy zjawi się tu samochód z bronią, puścisz i mnie, i chłopaka.

Malik spojrzał na Olę Lwowną z podziwem dla jej odwagi.

– Przysięgam.

– Na Koran?

- Na Koran – potwierdził.
 - Jak nazywała się ta broń?
 - RPG. Granatnik przeciwpancerny.
 - Czekaj tu – poleciła mu Olga Lwowna. Zapisała na karteczce: „RPG – dziesięć sztuk plus dziesięć skrzyń amunicji” i podeszła do Galiny Iwanowny.
 - Galino, słuchaj mnie uważnie. Misza jest cały i zdrowy.
 - O Boże, o Boże, dzięki ci, Boże, dzięki. – Galina Iwanowna się rozpląkała. – Czy mogę go zobaczyć?
 - Nie czas teraz płakać. Jak ci pokażą, gdzie go ukryli, to cię nie wypuszczą. Słuchaj mnie. Rozumiesz, co do ciebie mówię?
 - Tak. Tak, rozumiem.
 - Wrócisz do Mozdoku, stamtąd zadzwonisz do Tamary. Przeczytasz jej to, co tu jest napisane na kartce. To bardzo ważne. Niech Tamara skontaktuje się z Owieczkinem. Nie później niż za tydzień Owieczkin ma tu przyjechać z ładunkiem po mnie i Miszę. Zrozumiałaś? Galina, zrozumiałaś?
 - Tak, Olgo. Tak. A wy?
 - Ja zostaję. Będę pilnować, żeby Miszy nic nie zrobili.
- Olga Lwowna przytuliła Galinę Iwanownę i powróciła do Malika.
- Podwieziecie moją towarzyszkę do Groznego?
 - Podwieziemy.
 - No to teraz prowadź do Miszy. Chcę wiedzieć, że żyje.
 - Żyje. Ale nie zaprowadzę was, bo kilku już odrąbaliśmy głowy. Ot, jak to na wojnie. Na waszego też przyszedłby czas, ale widać Allach mu inną drogę wybrał. Przyniosę wam list od niego. Jak się nazywacie?
 - Olga Lwowna.

Słowa dotrzymał. Wieczorem Olga Lwowna dostała kartkę, na której ołówkiem nakreślone było zdanie: „Olgo Lwowna, proszę powiedzieć mamie, Tamarze i małej Oli, że je kocham”.

Przez następne dni Olga Lwowna mieszkała u matki Malika. Czekwała, wiedząc, że jeśli Owieczkin się spóźni, ona i Misza zginą. Spoglądając na Czeczenkę, która stale coś haftowała, przypomniawszy sobie słowa ojca, kiedy mówił, że godna śmierć to ta, na której nadejście można się przygotować, gdy jest czas na pożegnanie z życiem. Olga Lwowna poczuła ucisk w piersiach, bo zapragnęła ujrzeć jeszcze swojego syna.

Owieczkin nie zawiódł. Po czterech dniach przyjechał samochód, a w nim ręczne miotacze granatów i pociski. Malik przyprowadził Miszę. Młody porucznik był wychudzony i brudny. Ręce miał związane z tyłu, oczy zasłonięte szmatą. Głowę posiniaczoną i pełną niezabliźnionych ran. Olga Lwowna podeszła do nich.

– Dziękuję, Malik – odezwała się do Czeczena. – Bóg ci to wynagrodzi. Misza – zwróciła się do więźnia. – Zabieram cię do domu.

Kiedy dojechali do Mozdoku, zatrzymała ich żandarmeria. Nie chcieli słuchać tłumaczeń. Grozili, że rozstrzelają Miszę za dezercję. Zatrzymali go w areszcie do czasu wyjaśnienia sprawy i nadejścia papierów. Olga Lwowna próbowała dodzwonić się do Owieczkina. Po trzech nerwowych dniach, podczas których niemal wszystkie włosy Olgi Lwowny nabrały srebrzystej barwy, udało jej się zamienić z nim kilka zdań.

– Owieczkin – zwróciła się do przyjaciela syna stanowczym głosem. – Uprzejmie proszę, dowiedzcie się swoimi kanałami, ile mam zapłacić, żeby puścili Miszę wolno i dali nam spokój do końca życia. Zapłacę, ile będą chcieli. Jutro rano do was zadzwonię i wtedy mi powiecie. Pieniądze zostawiłam Tamarze. Dużo pieniędzy. Przyniesie natychmiast, gdzie i komu trzeba.

Kiedy zadzwoniła nazajutrz, Owieczkin podał cenę: dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Zapłacę dwadzieścia pięć, jeśli jeszcze dziś odtransportują mnie, Miszę i jego matkę do Władykaukazu.

Wieczorem samolot Jak-42 wystartował z lotniska Władykaukaz-Biesłan, unosząc na swoim pokładzie Olgę Lwownę wraz z Galiną Iwanowną i jej synem do Moskwy.

Prowansja, marzec 1995

Droga Wiero!

Niemal wszystko powiedziałam ci przez telefon. Jest jednak we mnie tyle emocji, że chcę raz jeszcze napisać Ci o tym w kilku słowach. Kiedy usłyszałam głos Toli krzyczącego: „Kochanie, mamy córeczkę! Mamy córeczkę!”, a później płacz tego maleństwa... Boże, Wiero, Ty wiesz, jak o tym marzyłam. Nie jestem pewna, czy można w życiu przeżyć większe spełnienie od tego, które poczułam w tamtym momencie. Tola był wspaniały. Cały czas trzymał mnie za rękę. Czułam jego miłość, jego opiekę. Osiem godzin męki, bólu nie do opisanego. Tak się bałam. Tak bardzo się bałam. A potem to niewysłowione szczęście. Głosik Klary i łzy

szczęścia Toli. Do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy: chłopczyk czy dziewczynka. Sasza czy Klara.

Ten mój szachista, mistrz świata, całymi dniami siedzi teraz przy łóżeczku. Gapi się, gada do maleństwa. Nie poznałabyś go. Czułam, że będzie się starał, ale to, co on teraz wyprawia, jest takie zabawne. Miałam obawy, czy po porodzie nie wpadnę w depresję, ponoć wiele kobiet to dotyka. Ale nic z tych rzeczy. Oczywiście, że nie było mi łatwo, ale mamy na stałe dwie pielęgniarki do pomocy, a Tola cały czas jest z nami.

Martwiłam się, bo przez pierwsze dwa dni miałam za mało pokarmu. To wszystko było dla mnie tak bardzo stresujące. Ale już jest dobrze.

Wiero, chciałabym, abyś do nas przyjechała. Brakuje mi Ciebie, Leny, Natalii. Chcę, byście wszystkie do mnie przyjechały, spędziły z nami trochę czasu. Tak bardzo chcę się dzielić szczęściem. Wiem, że Lena już ustaliła z Fiodorem, że przyjadą do nas, gdy będą w Cannes. Musisz wyciągnąć Natalię i razem z nią przyjedźcie do nas koniecznie.

Całuję,

szczęśliwa jak nigdy wcześniej

Tania

Schodami w dół

Wolsk,

kwiecień 1995 – październik 1996

Jego przenikliwy i logiczny umysł tonął w beładzie myśli. Praktycznie nie trzeźwiał. Kiedy tylko czuł, że potrafi nazwać swoje emocje, rozumiał, że nadchodzi czas, by sięgnąć po kolejną butelkę. Na początku wstawiał się szybko i do utraty świadomości. Ale z czasem organizm przeszedł ewolucję, zahartował się, nie reagował gwałtownie. Było trudniej. Szybkie wypicie butelki wystarczało na pół dnia. A potem przychodziło najgorsze. Złość, agresja, powolne trzeźwienie i przepaść. Czarna przepaść, w którą należało jak najszybciej runąć. Z tej matni nie było wyjścia. Więc wciąż zachowując zdolność strategicznego myślenia, opracował nowe podejście, nową taktykę. Pił powoli: szklanek lub dwie co godzinę. Czasem było idealnie. Utrzymywał umysł w otępieniu, powoli zanurzając się w niebyt myśli. Kiedy kilka razy z rzędu ta metoda się sprawdziła, poczuł ulgę. Miał metodę. Rano szedł do sklepu kupić cokolwiek do jedzenia. Jadł śniadanie, miał dobry humor. Czytał książki, które regularnie zaczęła dosyłać mu matka. A potem dwie, trzy godzinki spędzał nad szachami. Oglądał partie, wysilał pamięć. Około południa jadł coś w rodzaju wczesnego lunchu i po nim już miał przygotowaną na resztę dnia „katuszę” albo „baterię”, czyli butelkę lub dwie butelki wódki i zakąski. Działo. Wprawdzie rano głowa bolała tak, że nie chciało się żyć, ale wówczas łykał kilka proszków przeciwbólowych, popijał je wodą, spał dalej. Te trudne poranki skłoniły go do pewnej zmiany zachowania. Starał się robić zakupy na dwa, trzy dni z góry, dzięki czemu nie musiał wychodzić z domu z bólem głowy i chronił oczy przed ostrym światłem słonecznym. Nie miał siły stać w kolejkach, więc płacił regularnie spore pieniądze w kilku sklepach za dostawy do domu. Okazało się, że nie był to najszcześniejszy pomysł. Ktoś zasugerował, że ten „nowy” może mieć w domu dużo pieniędzy. Kilka dni później w mieszkaniu Antonowa pojawiło się czterech mężczyzn. Oleg był już wtedy po trzech „seriach”, ale zanim go skrupowali, jednemu złamał nos, tak że tamten siedział później nieprzytomny z głową opartą o ścianę, brocząc krwią. W końcu poradzili sobie z nim. Byli potężnie zbudowani. Nie mieli ochoty plądrować mieszkania, woleli szybszą metodę: zamierzali odcinać mu palce u nóg za pomocą sekatora. Zanim jednak zaczęli, mężczyzna, który wydawał się najważniejszy w grupie, podszedł do półki i przyjrzał się zdjęciu Igora Antonowa. Wziął je do ręki i zastygł, pograżony w myślach, przyglądając mu się wnikliwie.

– Odklejcie mu plaster z gęby – zwrócił się do swoich ludzi.

– Będzie się darł, aż ktoś milicję wezwie – zaprotestował jeden z bandziorów, ale posłusznie wykonał polecenie.

– Igor Antonow to twój ojciec? – spytał tamten Olega.

Antonow przytaknął.

– Znałem. Dobry był. Szkoda go. Gryzłem pięści ze złości, jak przegrał z Amerykańcem. Zostawcie go, kurwa mać – zwrócił się do mężczyzny, który zdejmował Olegowi skarpetki z nóg. – Wychował się bez ojca, jak ja.

– Wołodia, co się, kurwa, tak rozkleiłeś? – zdziwił się ten od sekatora.

– Milcz, sukinsynu – zagroził mu Wołodia, a jego twarz zdradzała, że nie żartuje. – Biłem się z nim w siedemdziesiątym pierwszym w Rostowie na mistrzostwach kraju. Na zakończenie turnieju poszliśmy w kilku chłopaków na wódkę. Była mała rozróżba, ktoś tam dostał w nos. Wpadła milicja. Wzięli nas. Okazało się, że ten, który oberwał, to syn jakiegoś ważnego lokalnego chuja. Było źle. Trzeba się było wykupić, ale nie mieliśmy co dać. Igor oddał za nas swój medal olimpijski. Teraz rozumiesz, głąbie?

I w ten sposób Antonow zachował swoje palce. Nie był już więcej niepokojony przez lokalnych bandziorów i mógł pić dalej. Z każdym kolejnym dniem, z każdą kolejną butelką miłość do Tatiany, szachowy tytuł, matka – wszystko stawało się coraz bardziej odległe, nierealne. Opanowała go nienawiść. Nienawidził Tani, bo go zniszczyła, matki, bo czuł wobec niej wyrzuty sumienia, ojca, bo „skurwiel wolał boksować, zamiast zająć się synem” i w ogóle nienawidził całego tego ochujanego świata. Jednocześnie ogarniała go obojętność wobec samego siebie. Wymioty czy mocz, w których się budził, nie dziwiły go już, nie czuł do siebie wstrętu. Coraz częściej serce kołatało mu w piersiach, jakby miało za chwilę rozerwać go od środka niczym granat. Gdy trzeźwiał, towarzyszyła mu ciągła agresja, jakieś nieokreślone myśli o autodestrukcji. Harmonogram całego dnia podporządkował więc ceremoniałowi picia. I wtedy wymyślił picie „pod okazję”. To był niemal rodzaj mesjanizmu. Postawił sobie za zadanie pić za każdą skrzywdzoną duszę, cierpieć wraz z każdą wypitą szklanką za świat, który tonął we łzach. Listy od matki, wiadomości w radiu, plotki w kolejce – wszystko dawało powód do picia. Więc pił. „Wyciągnęliśmy Miszę z niewoli”, pisała matka. Od razu poszły dwie butelki. „Naszego Owieczkina zastrzelili pod domem, gdy wrócił od siebie z firmy”, donosiła w kolejnym liście. Pił. „W Budionnowsku, w szpitalu, Czeceńcy od Basajewa wzięli dwa tysiące zakładników”. Pił. Zresztą „za Budionnowsk” pił przez kilka dni, słuchając komunikatów radiowych opowiadających o tragedii, o ponad setce ofiar wśród niewinnych cywilów[71]. A potem przyszedł list z tą prostą informacją, napisany z typową dla matki surową szczerością:

Synu, wolę napisać Ci to sama, nie czekając, aż się o tym skądkolwiek dowiesz, bo czuję, że pisząc te słowa, przekazuję Ci choć cząstkę mojej siły i niezłomnej wiary w Ciebie i w Boga, który Cię ochroni. Ona wyszła za Romancewa.

Pił przez następne miesiące, aby się zabić. Dolewał wódki do piwa, chcąc osiągnąć

lepszy efekt. Raz, kiedy zabrakło wódki, wypił zwykły spirytus. Gdy na chwilę wychodził z kaca, jadł cokolwiek, ale nie panował już nad sobą. Turlał się po podłodze. Wył, jakby zmieniał się w wilkołaka, niszczył meble podczas ataków agresji. Raz zaczął dźgać nożem bokerski worek ojca. Przeciął sobie rękę, kiedy nóż ześliznął się po twardym szwie i ugodził go w dłoń. Leżał na podłodze, wycierając krew o brązową skórę bokerskiego ekwipunku, który dostał kiedyś od dziadka Leonida. Zauważył, że w worku pomiędzy nitkami wydrążony jest niewielki otwór, z którego wystaje kawałek papierka. Za pomocą noża powiększył otwór i wyjął zwitek. Dostrzegł odręczne pismo. Przeczytał na głos zapisane zdanie: „Choćbym leżał na deskach, nie złamię mnie”. Westchnął ciężko i ułożył głowę na worku. Przypomniawszy sobie słowa piosenki Wysockiego *Bokser*.

Od kilku dni Katia, ubrana w swój biały płaszcz i czerwony beret, wieszła karteczki z ogłoszeniem o spotkaniu w domu kultury. Czasem przypinała je pinezkami do drewnianych ogrodzeń lub pomalowanych na zielono desek domów. Czasem przyklejała je do witryn sklepowych za pomocą taśmy klejącej. Ludzie czytający ogłoszenie wzruszali ramionami, a wtedy brała głęboki oddech i z wiarą w sens swoich działań wieszła następne.

Prowansja, sierpień 1995

Wakacje spędzili w swojej willi, ciesząc się spokojem i bawiąc z pięciomiesięczną Klarą. Zazwyczaj córka spała ukryta pod parasolem. A oni grali w karty, czytali książki, pływali w basenie. O zmroku kochali się. Oddawali słodkiemu i beztroskiemu lenistwu, czując, że zasłużyli na to, że to jest ich czas. Kilka dni później w nocnych wiadomościach podano komunikat: „Dziś w Moskwie w godzinach wieczornych na progu swojego domu zastrzelono znanego rosyjskiego biznesmena Fiodora Maksimowa oraz towarzyszącą mu partnerkę Lenę Grotową. Jak twierdzi moskiewska prokuratura, wiele wskazuje na to, iż było to morderstwo na zlecenie”.

Śmierć Leny wydała się Tani tak abstrakcyjna, tak niemożliwa, że nie zareagowała na usłyszaną przed chwilą wiadomość. Wróciła do Klary i upewniwszy się, że córka śpi, weszła ponownie do salonu. Usiadła i próbowała nazwać swoje myśli. Ręce trzęsły jej się jak w febrze. Rozlała whisky, którą starała się wlać do szklanki. W końcu, trzymając ją oburącz, wypła łyk.

Do salonu wszedł Romancew.

– Taniu? – spytał zaniepokojony. – Czy coś się stało?

– Och, Tola... – załkała Tatiana. – Lena nie żyje. Zastrzelono ją z Fiodorem.

– Co ty mówisz... – nie mógł uwierzyć jej mąż. – Taniu, na litość boską, co ty mówisz?

– Tak, Tola – powiedziała, spoglądając mu w oczy. – To prawda.

Zalała się łzami. Romancew usiadł przy niej, odebrał jej szklankę i postawił na stole. Objął żonę ramieniem i przytulił.

– Tss – szeptał. – Spokojnie, kochanie.

– Boże, Boże – powtarzała Tatiana. – Moja Lenka. Moja mała. Byłyśmy jak siostry. Moja Lenka. Boże, Tola, co za świat. Boże.

– Jestem tu, Taniu. Przy tobie. Jestem. Jesteśmy bezpieczni. Jesteśmy razem. Tsss, kochanie.

Tydzień później Tania, na pokładzie samolotu Air France, wylądowała na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Kiedy przeszła kontrolę paszportową i znalazła się na terytorium Rosji, ogarnęła ją panika. Usiadła. Spoglądała na ludzi dookoła i czuła, jakby cofnęła się w czasie. Wydało jej się, że nie było domu w Prowansji, nie było Toli, nie było Klary. Poczła przerażenie, że wszystko to wymyśliła, a teraz budzi się z cudownego snu. Drżącymi dłońmi chwyciła się

poręczy fotela. Jej nogi stały się ciężkie, niemal martwe, jakby za chwilę miała stracić w nich czucie, stracić umiejętność chodzenia. Rozglądała się wystraszona, lecz bała się wezwać pomoc. Komunikaty wypowiedane po rosyjsku dusiły ją niczym garota. Nagle w tym lęku, który nią zawładnął, przemknęło jej przez myśl, że on, on może się gdzieś tu kryć, że czeka na nią, wiedząc, że przyjedzie. Może właśnie w tej chwili obserwuje ją gdzieś z ukrycia, by za chwilę porwać i zabrać wolność, zabrać życie, które odzyskała. Strach na myśl o tym dodał jej sił. Podniosła się z ławki i ruszyła w stronę kas biletowych Air France. Nie dbając o pozostawiony bagaż, wsiadła ponownie do samolotu, którym wylądowała przed niespełną godziną. Kiedy maszyna poderwała się z pasa, poczuła ukojenie. Poprosiła stewardesę, by podała jej natychmiast koniak. Wypiwszy kilka łyków, uspokoiła swój oddech. Spojrzała przez okno na Moskwę, która znikwała w dole pod płaszczem białych chmur.

Spotkanie

Wolsk,

październik 1996

Antonow wszedł do zatopionej w półmroku sali. Rozejrzał się. Był sam. Na ścianach wisiały rysunki dzieci, zapewne efekt porannych zajęć plastycznych: naiwne domki, kwiaty, słoneczka i roześmiane twarze. W ciemnym pomieszczeniu widać było tylko pozbawione koloru kontury. Stoły i krzesła zsunięto pod jedną ze ścian, przy której stało pianino, jakby ktoś potrzebował przestrzeni, być może do lekcji tańca. Po chwili z toalety wyszła młoda kobieta, stanęła i spojrzała na niego w pełnym napięcia oczekiwaniu. Przyglądał jej się ciekawie, a wstyd sprawił, że nie mógł dać kroku wstecz.

– Poza wami nikt nie przyszedł – odezwała się, chrząkając przy tym dla dodania sobie odwagi. – Jak widać, w Wolsku nie mamy alkoholików. Nazywam się Jekatierina Pawłowna. – Wyciągnęła rękę na przywitanie.

Spoglądał na nią w milczeniu, nie wykonując żadnego ruchu.

– Mój ojciec zmarł z powodu alkoholizmu. – Starła się go ośmielić. – Moja przyjaciółka z powodu narkotyków. Dlatego tu jestem, by pomóc.

Antonow cofnął się, poruszając wargami, jakby szeptał zaklęcia. Czując, że w swoim upokorzeniu dotarł do dna, ruszył powolnym krokiem do wyjścia.

– Wstyd nie ma tu znaczenia, jeśli chcecie z tego wyjść! – krzyknęła za nim, gdy otwierał drzwi.

Zastygł, z ręką na klamce... Trwało to dwie, trzy minuty, zanim powoli odwrócił się i bez słowa, przygarbiony podszedł do krzesła. Przez moment zawisł nad nim, jakby wahając się, co ma ze sobą zrobić.

– Dostałem pewien przekaz, który sprawia, że chcę przestać pić – zaczął Antonow, po czym zastygł w oczekiwaniu na odpowiedź, od której jakby uzależniał swoją decyzję, jak ma dalej postąpić.

– Tak, wiem, o czym mówicie – mówiła szybko Katia, jakby bała się stracić szansę nawiązania z nim kontaktu. – Ja też to kiedyś poczułam i zmieniłam swoje życie.

– Zupełnie nie mam żadnego planu – dodał, siadając. – No i los chciał, że zobaczyłem to wasze ogłoszenie.

– Wywiesiłam w wielu miejscach. Nikt inny nie zareagował.

– Zacząłem sam – mówił ze spuszczoną głową, nie patrząc na nią. – To już będzie trzy tygodnie. Ale teraz czuję, że tracę siły i że dłużej nie dam rady.

Katia wzięła krzesło i usiadła po cichu naprzeciwko niego.

– Przez pierwsze dwa czułem się, jakbym przechodził ciężką gripę. Miałem silne dreszcze, bóle całego ciała, szczególnie dokuczały mi nerki i głowa – mówił powoli, niemal szeptem. – Tak, to był potworny ból głowy. Gdy sobie zdałem z tego sprawę, powiedziałem do siebie: „Chrzanię to, idę po butelkę”. Poszedłem. Wróciłem, postawiłem ją na stole, jak ludzie stawiają w domach święte ikony. Gapię się na nią, wyciągam rękę, poruszam w powietrzu palcami. Czuję ją, ale nie chwytam. Choć tak jakbym już ją muskał, jakby między moją dłonią a szkłem powstawał jakiś strumień magnetyczny. Nie, nie to, żebym miał jakieś zwidy i widział coś, czego nie było. Po prostu nie miałem odwagi jej dotknąć. Wiedziałem, że jak złapię, to wypiję. No, nie ma siły, wypiję. Więc nie dotykam. Palce zaciskam w pięść, aż do bólu. I słyszę w głowie te słowa. – Podał dziewczynie karteczkę.

– „Choćbym leżał na deskach, nie złamię mnie” – przeczytała na głos. – Czyje to słowa?

– Mojego ojca.

– Widać czuwa nad wami.

Antonow zastygł w zadumie.

– Co to znaczy czuwa? – Podniósł na nią wzrok. – Nie myślałem o tym nigdy w ten sposób.

– Każdy z nas ma takiego opiekuna. Ja wierzę, że moim jest brat. Zginął w Afganistanie. Miał świetlistą duszę.

– Jaką?

– Świetlistą, taką, która roztacza wokół człowieka aurę. Spojrzysz na takiego i odczuwasz spokój, wiesz, że przy nim czujesz się bezpiecznie.

– A wy skąd znacie to słowo?

– Jakie?

– „Świetlista dusza”?

Katia spojrzała na niego zmieszana.

– Moja matka – wytłumaczył, widząc jej niepewność – użyła podobnego określenia, mówiąc o ojcu. Powiedziała, że miał „jasną duszę”.

– Więc wiecie, o czym mówię. Wasza matka dobrze powiedziała. Trzymajcie się tej myśli. To wam pomoże. To was uratuje. Łatwo wpadacie w zło, ale też łatwo możecie się z niego wygrzebać, bo drzemie w was ten świetlisty element przekazany wam przez ojca i macie w nim opiekuna.

– A skąd wy to wszystko wiecie? – Zmarszczył brwi. – Na studiach was tego uczono?

– Nie, nie uczono. – Odwróciła wzrok. – Nie wiem, skąd. Ot, po prostu wiem, czuję. Mam to w sercu. Tak samo jak od was czuję dobro i siłę, choć staraliście się zrobić wszystko, żeby zmarnować i duszę, i ciało. Ale teraz jest inaczej, prawda?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Wiem tylko, że ta butelka nadal tam stoi nietknięta.

Nad Wolskiem zawisła burza. Deszcz uderzył o szyby, podmuchy silnego wiatru rozbryzgiwały na nich krople. Przez chwilę przyglądali się temu. Za oknem błysnęło.

– Raz, dwa, trzy, cztery... – liczyła na głos Katia. Usłyszeli grzmot. – Blisko. Zawsze liczę. Miałam pięć lat, gdy wracaliśmy z bratem znad Wołgi i złapała nas burza. Pioruny trzaskały dookoła. Nie wiadomo było, co robić. Na pole iść źle, pod drzewo się chować też niedobrze. Brat liczył od błysku do odgłosu pioruna. Kiedy skończył na „raz”... i drzewo niedaleko zwało się z hukiem, myślałam, że umrę ze strachu. Chwycił mnie za rękę i krzyknął: „Chodu, krasnalu!”. Tak mnie nazywał. I biegliśmy, ile sił w nogach. Odtąd zawsze liczę. – Przytknęła głowę do szyby i spojrzała w górę. – Niedługo przejdzie. Kocham zapach miasta po burzy. Wszystko jest wówczas takie świeże, oczyszczone, obmyte z grzechu. To daje nadzieję... Wciążam ten zapach i chcę zaczynać wszystko od nowa. Wierzę wówczas, że dostaję nową szansę. Przepraszam. Przerwałam wam. Więc butelka stoi nietknięta.

– Nietknięta – przytaknął Antonow, który spoglądał na nią z zainteresowaniem, jakby pierwszy raz zrozumiał, że ona też może mieć jakieś własne życie czy własne wspomnienia. – Ten wasz opiekun to brat?

– Słucham?

– Pytam, czy ten wasz opiekun ze świetlistą duszą to brat?

– Brat. Grigorij.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie, jakby przekazując sobie nawzajem komunikat o bólu, jakiego doświadczyli. Dostrzegł, że w jej oczach pojawiły się łzy.

– Więc butelka stoi nietknięta. – Przerwał ciszę mocniejszym głosem. – Co nie znaczy, że ot, po prostu jej nie wypięłem. Że tak łatwo to przyszło. O nie, nie. Zdarzało się, że łąziłem od ściany do ściany i wyłem jak zwierzę w klatce, ale tak bezgłośnie, z szeroko otwartymi ustami, lecz tłumiąc w sobie ten rozpaczliwy skowyt. Już to kiedyś miałem. Już raz coś podobnego przeżyłem. Pamiętam ten stan bezsilnego pragnienia i tęsknoty. I teraz też dopadł mnie ból, ten psychiczny i ten fizyczny. Drugi można było wytrzymać, ale gorszy okazał się ten pierwszy. Potrzebowałem go czymś zagłuszyć, otępić myśli, żeby nie czuć już strachu. Nic nie pomagało. Gdybym chociaż, jak kilka dni wcześniej, miał siłę i boksował, aż do utraty zmysłów, żeby paść na podłogę, kompletnie skonany. Ale nie. Byłem zupełnie bez sił, głowa bolała, nerki bolały, wewnątrz wszystko piekło, serce to stawało, to znów zaczynało pracować w jakimś dziwnym, panicznym tempie, skurcze wykręcały mi ciało. Leżałem na podłodze, zwinięty w kłębek, to znów turlałem się jak zrolowany dywan, cośmy go kiedyś kupili z kolegami w Derbencie, który się nogą posuwa to tu, to tam. Wcześniej się nie przejmowałem,

bo wiedziałem, że opróżnię butelkę i się rozluźnię. Chociaż raz zabrakło mi wódki. No, kupiłem jedną butelkę. Zazwyczaj wystarczało. Ale tamtego wieczoru jedna to było za mało. Normalnie zabrakło. Pamiętam. Nie miałem już jak pójść po następną, a tu, nie wiedzieć czemu, w środku nocy wytrzeźwiałem. To znaczy tu – pokazał palcem na skroń – w głowie wytrzeźwiałem. Reszta ciała bezwładna. Czułem, że umrę, bo przecież zwariować można, myśli trzeźwe, ciało całkiem do niczego. Boże mój, jak ja się wtedy zacząłem rzucać w sobie, jak mnie panika ogarnęła, jakby mnie ktoś w trumnie żywego jeszcze zamknął. Szarpie się, wołam, a głos się nie wydobywa i słyszę odprawiany nade mną pogrzeb. Jeszcze dziś pamiętam to uczucie: strach i niemoc, przerażenie. Nie wiem, czy wtedy nie zlałem się od tego w gacie. Chyba tak było. Nieważne. Resztką sił odzyskałem panowanie nad ciałem, zmusiłem je do wysiłku i doczołgałem się do łazienki. Tam chwyciłem spirytus. Stał na umywalce, bo poprzedniego dnia skaleczyłem się w palec przy otwieraniu puszki z makrelą. Wziąłem ten spirytus. Odkręciłem kran i leję do ust wodę, potem spirytus, mieszam w ustach, wypijam. I tak kilka razy. Obudziłem się na drugi dzień około południa we własnych wymiocinach. Ale nie miałem dość. W duchu śmiałem się z siebie, że się już kompletnie zmeniłem. Ale wciąż nie miałem dość. Tyle że trzy następne dni wytrzymałem wyłącznie na żigulewskim. Piwo lubię, szczególnie to z Ukrainy, ale cholernie potem łeb napierdala. Przepraszam, że klnę, już mi wszystko jedno. Praktycznie od dwóch tygodni, jak przestałem pić, boli mnie bez ustanku. Nie daje wytchnienia. Biorę prochy. Co popadnie. Boję się za silnych, bo uzależnią. Zawsze bałem się narkotyków. Wody nie. Woda wydawała mi się taka do ogarnięcia. Pod kontrolą. Nie chcę pić, nie muszę. Ale narkotyków się bałem. Nawet jak próbowałem z Andriuchą, z kumplem, przywiózł z Kotliny Czujskiej, gdzie zielska rośło tyle, że można było kosić kombajnem. Bałem się, że już nie odnajdę drogi do siebie.

Westchnął zmęczony. Przygarbił się i podparł głowę, jakby był senny.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – wyszeptał, ciężko oddychając. – Samo dno...

– Boli was teraz? – spytała, nachylając się w jego kierunku.

– Boli. Jasne, że boli. Momentami boli tak, jakby mi ktoś wbijał szpilki w oczy. Gałkami ruszać nie mogę, bo ból nie do wytrzymania. Serce łomocze, pot zimny mnie oblewa, szczególnie tu – położył rękę na szyi – na karku. Miałem to pół roku temu. Wtedy też powiedziałem sobie: „Oleg, kurwa, może tak przestalibyśmy pić”. Ta złota myśl nie zrodziła się ot tak. Poprzedniego dnia, pijany, runąłem na lustro, szkło wbiło mi się w policzki i czoło. Cud boży, że w oczy nie powpadały odłamki, bo wzrok bym stracił. I wiecie... Przepraszam, przypomnijcie mi wasze imię.

– Jekatierina Pawłowna.

– Jekatierino Pawłowna, śmierci się tak człowiek nie boi jak kalectwa. Gdy sobie wyobraziłem, że miałbym tu ślepy żyć, poruszać się bez nikogo...

– Nie macie rodziny?

- Matka mieszka w Moskwie. To ona przysyła mi pieniądze.
- Nie głupio wam być na utrzymaniu matki?
- Nie. Przysyła z tego, co kiedyś zarobiłem.
- Mówicie, że już raz przerwaliście picie?
- Tak, kiedy sobie pomyślałem o tym, co po pijaku wyprawiam, przestałem. Ale nie na długo.
- Ile wytrzymałście?
- Miesiąc, może trochę dłużej. Nie pamiętam dnia. Bo dni mi się tu dawno zwały w jeden. Tak pod wieczór to było, kiedy przyszła szarówka, wtedy czuję się najgorzej. Mam uczucie, jakby ktoś mnie dusił. Ciągle brakuje mi powietrza, brakuje mi przestrzeni. Ale wyjść się boję. Ten strach był wtedy tak mocny, że znalazłem sobie łatwe wytłumaczenie. Wypiłem. Potem czułem się strasznie. Że przegrałem i że już nie potrafię się kontrolować. Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem zerem. I od tamtego momentu zrozumiałem, że jestem alkoholikiem. Że to już inna decyzja niż wypić flaszczykę. To decyzja żyć albo umrzeć. Jak Wysocki grający Hamleta mogłem spytać samego siebie: „być albo nie być”, wiedząc, że tym razem to prawdziwe pytanie. Piłem dalej, czasem trochę mniej, czasem więcej, jakbym wybierał wariant „nie być”. I zaczynałem się z tym godzić. Powoli schodziłem w dół. Powoli i systematycznie pozwalałem sobie na zstępowanie do grobu przy akompaniamencie *Szóstej symfonii* Czajkowskiego. Patetycznie, krok po kroku do samozagłady. No i pewnie byśmy dziś nie rozmawiali, gdyby nie ten worek bokserski, gdyby nie ta kartka. Zdawałoby się, zwykły bokserski worek. To tyle tytułem wstępu... I tak się rozgadałem. Ale pierwszy raz od kilku lat, to i człowiek gada...

Drugie spotkanie

Mam kurewsko nieoczekiwane zmiany nastrojów – zaczął Antonow, drapiąc się po gęstej brodzie. – Euforia, za moment czarna otchłań, słowem dupa, lęk i rozpacz. Zawsze miałem z tym problem, ale teraz czuję się jak ślimak pozbawiony skorupy. Taki obślizgły, leżący na drodze, prosi się, żeby go przejechać kołem rowerowym, ciach, na dwie części.

- Butelka stoi w kuchni nietknięta? – upewniła się Katia.
- Stoi. Nietknięta jak przeorysza w monastyrze. Kac suchy żyć nie daje.
- A jednak się nie złamaliście.
- Głupio mówić, bo jesteście dzieciak, ale coś w tym waszym rozumowaniu o opieceknie mnie przekonało. Uwierzyłem w to i tego się trzymam. Do tego stopnia,

że kiedy nasza mnie ochota, by się napić, kiedy myślałem, że zaraz odsłonię jej rozkoszny otworek i dopadnę do niej jak niemowlak do cyca, nagle poczułem na sobie czyjś wzrok. Rozejrzałem się, poczułem, że nie jestem sam. Że nie wolno mi tu uprawiać rozkoszy ze stoliczną. Położyłem się na podłodze i mówię: „Weź swój worek, zanieś go innym, którzy są tego warci. Daj zdechnąć jak psu”. I nic. Czuje tylko na sobie spokojne spojrzenie, któremu towarzyszy pobłażliwy uśmiech. Zasłoniłem głowę obiema rękami i tkwiłem tak, aż mi ciało ścierpło. Wstałem w końcu i mówię mu: „Dobra, dziś wygrałeś”. Poszedłem coś zjeść do tego baru na Słonecznikowej. Nawet piwa nie zamówiłem.

– Bo to nie koniec historii. Ból i szaleństwo, które towarzyszą nam w życiu, nie mają znaczenia, jeśli otwiera się wciąż nową kartę.

– Ile wy macie lat?

– Nie przyszłście rozmawiać o mnie – odrzekła zdecydowanie, jak ją uczono na kursie.

– Gdy będę potrzebował kazania, pójdę do cerkwi albo do rabina. Pewnie się znajdzie w tej pieprzonej dziurze.

– Ta dziura was przyjęła i wypełnia pustkę, którą odczuwaliście w waszym mieście – nie zapanowała nad sobą Katia.

– Sram na to.

Antonow wstał i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Trzecie spotkanie

– Nie sądziłem, że tu przyjdę. Nie lubię was, bo jesteście za młoda i czasem macie manierę prawienia kazań. Wszystko się wtedy we mnie buntuje i wywraca na drugą stronę, bo jesteście gówniara. Ale przyjść musiałem.

– Bo?

– Jeszcze potrafię rozeznaczyć, co dobre, a co złe. Złościć się na was to pluć na wszystko jak ci opętani, z których tuwińscy szamani wyganiają złe duchy. Widziałem to na własne oczy. Raz mnie do takiego zawieźli. No a wy... Kurwa... Taka się z was trójca teraz zrobiła: on, ze swoją jasną duszą i workiem bokserkim pod pachą, ona w tych swoich okularach do czytania i teraz wy, z tym waszym ufnym spojrzeniem. No mam ochotę nakopać wam wszystkim w te wasze pogodne, pełne wiary dupska. Jebani święci.

– Mnie już w życiu kopnięto nieraz w moje pogodne, pełne wiary dupsko.

Zapadła cisza.

– Stoi na stole nietknięta? – spytała.

– Stoi. Nietknięta.

– Nie pouczam was. Nie daję żadnych recept. Cały ten program miał wyglądać inaczej. Wierzyłam, że zjawią się też inni i że będziecie sobie pomagać. Ale nikt poza wami nie przyszedł. Nie mam w tym żadnego doświadczenia. Zrobiłam to z potrzeby serca, może, żeby kogoś uratować, i nie mam tu na myśli tych, którzy mieli tu przyjść, ale tych, których oni krzywdzą.

Antonow milczał, pochylony, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Katia spoglądała na niego dłuższą chwilę, po czym zaczęła pakować do torby notes.

– Dajecie mi siłę – odezwał się nieoczekiwanie, nie podnosząc głowy. – Bez was znowu bym pił.

Usiadła.

– Wszystko to szaleństwo. Jak rozpędzony pociąg, który trzeba zatrzymać. To tak, jakby jednocześnie cisnąć gaz i dusić hamulec. Ale dzięki wam odzyskuję panowanie nad sobą. Bo myślę nie o tym, co było dawniej, ale o tym, co robię teraz. Pierwszy raz od kilku lat z kimś w ogóle rozmawiam. Dotąd, poza kilkoma zdaniami z sąsiadem czy w sklepie, nic. Szczerze mówiąc, to czuję się jak taki facet w pelerynie do ziemi, który wychylił się nad przepaścią. Spadłby, gdyby nie to, że ktoś przypadkiem nadepnął na tę pelerynę.

– Trenowaliście boks?

– Tak.

– Nie wróciłibyście do ćwiczeń?

– Już wróciłem. Ćwiczę.

– Zostawię wam numer telefonu. Jeśli was ogarnie ten koszmarny nastrój przed wieczorem, zadzwońcie. Może głupio robię, ale jakoś czuję się za was odpowiedzialna. Ale nie dzwońcie, dopóki nie podejmiecie decyzji, co ze sobą dalej zrobić. Wyjść z nałogu to jedno. Ale drugie to mieć jakąś wizję siebie. Jakiś pomysł na resztę życia. Inaczej znów zaczniecie pić. I pytanie, czy stać was na to, by wykazać upór w tym, co sobie postanowicie.

Antonow przymknął oczy. Próbował wyobrazić sobie to, co do niego mówiła.

– Za wcześniej – rzekł, wstając. – Dziękuję, Jekatierino Pawłowna.

Antonow wyszedł, pozostawiając na krześle karteczkę z zapisanym przez Katię numerem telefonu. Dziewczyna podniosła ją i zgmiotła w dłoni. Intrygował ją. Nie był zwykłym miejscowym pijaczkiem. Czują, że znalazł się w tym miejscu niczym ptak, który zgubiwszy szlak, zamiast do tropikalnej dżungli trafił do olchowego lasu.

Czwarte spotkanie

Antonowa nurtowało pytanie, które postawiła mu na końcu spotkania. Tylko co powinien ze sobą zrobić? Myślał o tym, kim się stał po tych kilku latach. Nie był już szachowym mistrzem świata, nie był już mężczyzną Tani, nie był synem. Więc kim był? Czy będąc nikim, zdoła choćby przez chwilę poczuć się szczęśliwy, spełniony? Poczuć komfort, radość i pokój. Nie. Wszystko to było dalekie, beznadziejnie dalekie. Więc po co żył? Może gdzieś na dnie duszy czuł jakiś sens tego trwania, jakiś przebłysk nadziei, odzyskiwania siebie albo budowania na nowo, krok po kroku. Nie wiedział. Nie znał odpowiedzi na żadne z zadawanych sobie pytań. Lecz pierwszy raz słyszał je w swoich myślach, pierwszy raz szukał na nie odpowiedzi.

– Byliście na spacerze nad Wołgą? – spytała go, gdy siedział przed nią z pochyloną głową. – Jest pięknie. Nad ranem widziałam klucz żurawi. Kiedy na nie patrzę, myślę, że to jakaś sztuczka cyrkowa, bo kto to widział, żeby ptaki umiały zachować taką dyscyplinę, że wiedzą, kto prowadzi, jak się ustawić w klucz. Niebywałe.

– Nie. Nie chodzę nad Wołgę. Biegałem dookoła bloków. Trochę mnie jeszcze torsje łapią, kiedy tak biegam. Dawniej przed rundką chociaż łyka pociągnąłem i było od razu lepiej, krew zwawiej krążyła i miałem w sobie więcej energii. Nie sądziłem, że będę tak tęsknił. Nie dalej jak wczoraj, głos mi mówi: „Dobrze, że biegasz, że trenujesz, że zmuszasz do wysiłku organizm. W ogóle jest dobrze, Oleg. Jest dobrze. Nie upijasz się, coraz więcej myśli przebija się z za ciemnych chmur. Dobrze jest, Oleg. Może nawet trochę euforii, jak dawniej, takiej wiary, oddechu pełną piersią. Pociągnijmy więc łyczek na tę okoliczność z tej butelki, co stoi na stole w kuchni. I radośniej się wkroczy na nową drogę”. No takie myśli człowiek słyszy w głowie.

– Wypiliście?

– Nie.

– Stoi nieotwarta?

– Nietknięta.

– I?

– I kiedy uciekłem z mieszkania, biegłem, żeby zrobić rundkę, przyszło jakieś zwątpienie, naszła mnie jakaś rozpacz. Jakby wszystko poszło w cholerę. Głos śmiał się: „Durniu jeden, wrak z ciebie. Na pierwszej przeszkodzie zawisniesz i będziesz wierzgał żałośnie nogami. Jesteś zerem, zerem pozostaniesz. A dawałem ci wyjście. Jeden łyk i wracają wiara, siła, entuzjizm”.

– Co zrobiliście?

– Zacząłem go przeproszać, obiecywać, że: „nie tylko łyczek, ale dorwę się do tej suki, co stoi na stole, i pokażę, kto rządzi. Jebać tę melancholijną żalność”. Tak, spodobało mi się to określenie: „melancholijna żalność”. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Wróciliście do domu?

– Nie. Tuż przed blokiem skręciłem w bok i idę, gdzie mnie nogi poniosą. On do mnie: „Ty gdzie, mendo?”. A ja nic, tylko przyspieszam kroku i milczę. „Do ciebie mówię, gadzie jeden. Nie udawaj, że mnie nie słyszysz”. A ja już truchtem, choć w płucach czuję krew i ból. Padłem między drzewami. Złapały mnie mdłości. Charczałem jak potępiony gruzlik. Ale wrócił mi dobry humor. I śmiałem się, tyle że to był inny śmiech. Nie wiem, czy rozumiecie, to był mój śmiech. Taki bez euforii, bez wiary, bez mówienia, że „jebię ten świat”. To był mój śmiech, taki śmiech słabego człowieka. Śmiałem się tak, kiedy uciekałem mientom z innymi kibicami Spartaka.

– Jesteście z Moskwy?

– Tak. Znacie Moskwę?

– Nie. Nigdy w niej nie byłam.

– Ja tam straciłem wszystko.

– Czasem, żeby poczuć się wolnym, zacząć coś na nowo, trzeba stracić wszystko. Nie brać ze sobą żadnej walizki. Może wówczas łatwiej nam dotrzeć do siebie. Jak się czujecie, będąc bardziej sobą?

– A wy znowu te myśli z podręcznika. Jak się czuję? Bez wódki czuję się słaby. Zero. Całe dni siedzę w oknie albo na ławce przy trzepaku. Ostatnio znalazłem wyjście na dach. Chyba przeciwpożarowe albo dla kominiarzy. To siedziałem trochę na tym dachu, zawinięty w koc. Czekałem na taki moment, w którym niebo z błękitu zmieni barwę, tak niepostrzeżenie, na ciemny granat. Byłem ciekaw, w jaki sposób na niebie pojawiają się gwiazdy. Co się czuje, kiedy nagle się je dostrzega.

– I zobaczyliście?

– No nie. Trudno skupić się na jednym punkcie i człowiekowi w końcu umyka to, co najważniejsze. Ale spróbuję jeszcze raz. Oczy mam trochę słabsze. Mrużyć je muszę, a od tego głowa boli.

– Boli was ciągle, tak jak poprzednio?

– Mniej. Nad ranem tak. Gdy wstanę z łóżka, to nie mogę nią pokręcić, by spojrzeć w bok, bo ból jest tak ostry, nie do wytrzymania. Ale potem się uspokaja. Usypia. Czuję go z tyłu, ciągle się czai, ale nie uderza we mnie już tak znienacka, jakby dobośz walił w bęben.

– A gdybym spytała nie o wasze poprzednie życie, tylko o ostatni czas, ten tu, w Wolsku, ten związany z piciem, to mi odpowiedzie?

– Jakie to pytanie?

– Uważacie, że można było inaczej? Bez picia? Że szkoda straconego czasu?

– Nie – rozsierdził się gwałtownie. – Nie róbcie ze mnie nawróconego grzesznika.

Wstał i podszedł do drzwi.

– Jębię was i cały ten Wolsk – syknął przez zaciśnięte zęby. – A jak dziś się narąbie, to będzie wasza wina.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Katia siedziała w półmroku. Zastanawiała się, co zrobiła nie tak. Rozmyślała, co dalej, jeśli faktycznie więcej nie przyjdzie. Chciała mu pomóc, ale nie miała dość siły, by w nią ciągle uderzał. Jej dusza była zbyt krucha, ledwie co posklejana z rozbitych kawałeczków porcelany.

Piąte spotkanie

Od ostatniego razu Antonow zastanawiał się, po co to wszystko. Po co te spotkania, po co robi z siebie pajaca. Z powodu tego papranego tekstu ojca? Niech się wali, rugał się w myślach. Podnosił się z tych jego desek w pogoni za chorą ambicją, aż dostał krwiaka i zostawił po sobie wdowę i syna, którego nie zdążył wychować.

– Podnoś się z desek na swój koszt – rzucił na głos, unosząc głowę. – Ja nikogo nie krzywdzę. Matkę zabezpieczyłem, dzieci nie mam, mogę zdechnąć jak pies, i tyle. Tylko matki szkoda. – Zasmucił się. Wziął ze stołu butelkę. Odkręcił korek. Wciągnął zapach spirytusu, który pierwszy raz wydał mu się ostry i nieprzyjemny. – I dlaczego, kurwa, miałbym tego nie zrobić? – zapytał, kiwając głową nad butelką. – Choćby na złość tej młodej suce, co myśli, że wszystkie rozumy pozjadała. – Ale wcale nie był pewien, czy rzeczywiście zrobi jej jakąś przykrość. – Przyjdzie suka, poczeka kilka minut i sobie pójdzie. Co najwyżej powie komuś, kto ją gdzieś tam dyma: „Dziś możemy zacząć wcześniej, bo ten pojeb nie przyszedł”.

Antonow poczuł złość. Zakręcił butelkę i odstawił ją z powrotem.

– No to zepsuję ci wieczór i twój kochaś będzie musiał poczekać – wycedził przez zęby. – Przyjdę, żeby zrobić ci na złość.

– Dziś mnie boli głowa – przyznała się Katia, kiedy usiadł naprzeciw niej. – Czasem trzyma przez kilka dni. Budzę się nad ranem i już nie zasypiam, a potem przychodzi ból. Nie dziwię się, że w takich momentach piliście.

– Mam jakieś prochy przeciwbólowe – wybełkotał zmieszany. – Dam wam. Noszę zawsze przy sobie, nie pomagają, ale jakoś różniej je połknąć i wierzyć, że będzie lepiej, bo przyniosą ulgę.

– Myślicie, że można osiągnąć taki stan ulgi? Że można uciec przed bólem tu, w środku? – Pokazała na serce. – Przed lękiem, wstydem i upokorzeniem z powodu beznadziei?

Antonow westchnął, zbity z tropu.

– Czy ja wiem? Gdy jest za dobrze, umierasz z trwogi, by tego nie stracić. Myślisz, że śmierć, że choroby, że... – zająknął się – gorsze rzeczy... Kiedy jesteś na dnie, myślisz, że ci wszyscy powyżej szczają na ciebie z góry, a ty, z pochyloną głową, znosisz to bez cienia ambicji. Tak czy inaczej, wykańcza to twoją wątrobę wcale nie gorzej niż woda. A jak do tego dojdzie tęsknota, zarówno ta oczywista, nazwana, jak i ta mglista, niezrozumiała, wypełniająca twoje płuca jak woda, że dusisz się i potrzebujesz tlenu, przestrzeni, powietrza... No to wtedy przejebane.

– No tak – przytaknęła smutno. – Mnie chyba opanowała ta druga.

– Normalnie zaproponowałbym wam wspólną butelkę, ale nie byłby to chyba najlepszy pomysł.

– No chyba nie.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Wasza wciąż nieotwarta? – spytała.

– Wciąż.

– To już miesiąc mija.

– Ano mija – rzekł z odrobiną dumy w głosie.

– Dziś mi się chcę płakać – przyznała się Katia. – Wszystko mnie doprowadza do łez. Wzrusza mnie ta wasza walka, to codzienne odpieranie pokusy. Zazwyczaj ludzie wylewają do toalety wszystko, co ma w sobie alkohol, żeby nie czuć pokusy. A wy przeciwnie, trzymacie butelkę na środku stołu.

– Przecież to głupi cyrk. Bzdura jakaś. Durnia z siebie robię jak jakiś aktor dramatyczny. Nie wierzcie w to. Cyrk, mówię. Nie dajcie się nabrać takiemu łachudrze jak ja.

– A ja myślę, że wy nie jesteście łachudrą. Zagubieni, tak. Wpatrzeni w siebie, owszem. Ale nie źli.

– E tam, gadanie. – Antonow się zawstydził. – Gadanie, Jekatierino Pawłowna. Ot, gadanie. Potrafię być zły i okrutny. Potrafię.

– No to co złego zrobiliście ostatnio?

– Dwa dni temu kopnąłem psa. Poleciał tak, że odbił się od ściany. Biegł taki mały za mną, szczekał koło łydek. No to go kopnąłem.

– Nie zrobiliście tego.

– Zrobiłem.

– Nie wierzę.

– Jak Boga kocham, zrobiłem.

– Przecież mogliście go zabić, kręgosłup mu przetrącić. Mielibyście na sumieniu biedne zwierzę.

– Ano widzicie. Nie jestem dobry. Jak wpadnę w złość, to nie panuję nad sobą.

– Brzydę się takimi, którzy wykorzystując siłę, biją słabszych – podniosła nagle głos. – Nie mogę się z wami spotykać. Brzydę się waszym tłumaczeniem, waszymi powodami.

Katia wstała i z płaczem wybiegła z sali, zostawiając Antonowa samego z jego myślami.

Na drugi dzień Antonow łąził po podwórkach przez kilka godzin, aż w końcu znalazł psa, którego kopnął. Gdy do niego podszedł, ten wyszczerzył zęby i ukrył się pod małą powyginaną karuzelą dla dzieci.

– Idź w pizdu – syknął Antonow, po czym z kieszeni wyciągnął kawałek kiełbasy i rzucił psu. – I nie skarż się na mnie tu, na podwórku, bo jak mi doniosą, że źle o mnie mówisz, to ci naprawdę skręcę kark. Jesteśmy kwita.

Postawił kołnierz, bo lekko zaczął się śnić deszcz, i szybkim krokiem ruszył do domu. Kiedy wszedł do kuchni, żeby zrobić sobie jajecznicę, spojrzał na stojącą na stole butelkę.

– Chyba nie jesteś mi już potrzebna – rzekł na głos i wsadził ją do lodówki, po czym odkroił dwie kromki czarnego chleba, które posmarował masłem. Postawił na gazie czajnik na herbatę. Masło skwierczało na patelni, więc wbił trzy jajka. Zanim je pomieszał, pozwolił im lekko się ściąć i wymieszać z tłuszczem. Naśladował dziadka Leonida, który jadał tłusto i kiedy przyrządzał sobie posiłek, Olegowi zawsze doskwierał głód. Usiadł z dymiącą od pary jajecznicą i przeglądając „Biuletyn Szachowy”, jadł z apetytem, zagryzając razowcem.

Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Wolska poczuł się człowiekiem. Tego dnia odkrywał każdą drobną rzecz na nowo. Jakby każda z czynności nie była już zdeterminowana jakimś zewnętrznym przymusem, lecz wynikała wyłącznie z jego woli. No, może z małymi wyjątkami. Ale nawet pobyt w toalecie i lektura biuletynu nie pogorszyły mu nastroju. Przyglądał się, jak arcymistrzowie z Sankt Petersburga stworzyli nowy plan ataku przeciwko Grünfeldowi wieżą na b1 i jak nowa gwiazda szachów, hinduski arcymistrz Angad Poor, rozwinął ideę z pionem na f3. Czuł, że gdyby dziś przyszło mu się z nimi zmierzyć, roznieśliby go w proch. Na szczęście nic już nie musiał. Chodził na spacer, jadł, ćwiczył i czytał. Spoglądał w lustro i nie poznawał siebie. Długa gęsta broda i włosy do ramion sprawiały, że wyglądał na dużo starszego człowieka. Innego. To pomagało mu odciąć się od swojego bólu. Wiedział, że musi go nazwać i że musi wybaczyć sobie, jej, Bogu. Ta inna twarz pozwoliła mu odciąć się od tego, poczuć, że to nie do końca był on, że był tylko świadkiem pewnych zdarzeń, które w istocie nie mają już dziś na niego wpływu. To pomagało. Ale nie był w stanie myśleć o tym zbyt realnie, nawet nie próbował pomyśleć o Tani jako o kimś, kto gdzieś teraz żyje, być może jest z... Pobiegł do łazienki, odkręcił kurek i wsunął głowę pod prysznic. Woda lała się po jego gęstych włosach, a on stał tak dobre kilka minut, usiłując odzyskać równowagę i uspokoić oddech.

Szóste spotkanie

– Przyszedłem się pożegnać – zaczął.

– Spodziewałam się tego – westchnęła ciężko i odwróciła głowę w kierunku okna.

Milczeli.

– Zawiodłam was. Zamiast wam pomagać, uległam własnym emocjom. Winiłam siebie przez ostatnie dni, rugałam, że durna, że słaba. No i tak się musiało stać.

Spojrzała na niego, a on się do niej uśmiechał.

– Tamto to bzdura. Bez znaczenia. Po prostu zdałem sobie sprawę, że jestem kaleką. Takim duchowym. Po co, Jekatierino Pawłowna, się wygrzebywać, skoro niczego dookoła nie ma. Człowiek wrzucony w środek stepu, pustynia, gdzie okiem sięgnąć. Iść w żadną ze stron nie warto. Boję się uczuć, więc żyję w półtrwaniu, nie w pełni żywy. Ot, skóra, kości i mięśnie. A duszy brak. Tkwię z dala jak rozbitek na bezludnej wyspie. On chociaż marzy o statku, który go zabierze. Ja nie. Dopóki piłem, to jakby było nas dwóch: ja, Oleg, i ten drugi, z którym obalałem flaszkę. A teraz jego głos ucichł. Żadnego wspólnego balowania. Zostały tylko samotność i beznadzieja. Zniszczyłem wszystko, Jekatierino Pawłowna, spaliłem Moskwę jak Kutuzow. Ta myśl mnie uderzyła i dlatego przyszedłem.

– Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć, że Moskwę odbudowano.

– *Nie od razu zbudowano wszystko, nie od razu zbudowano Moskwę, Moskwa nie wierzyła łzom, a wierzyła miłości...* – zanucił Antonow piosenkę z filmu.

– No cóż, będzie mi was brakować. – Katia uśmiechnęła się smutno.

– Mnie was również, Jekatierino Pawłowna. Złosciliście mnie, ale staliście się przez te kilka tygodni kimś bliskim. Nie myślcie, że się nie udało. To nie tak. Raczej pomyślcie o tym, że pomogliście mi odzyskać siebie i podjąć świadomą decyzję. To dla mnie bardzo, bardzo cenne. Dziękuję.

Milczeli. Katia czuła, że wraz z jego odejściem znika jakaś część sensu jej życia. Ale nie powiedziała już nic.

– No to czas się pożegnać. Wszystkiego dobrego, Jekatierino Pawłowna.

– I wam. I wam, Olegu... Jak wasze *otczestwo*?

– Igorowicz.

– Olegu Igorowiczu.

Uśmiechnął się. Uścisnął jej delikatną dłoń na pożegnanie i wolnym krokiem odszedł. Katia przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zamknięte drzwi, jakby czekała, że wróci i ujrzy go ponownie. Lecz drzwi pozostawały zamknięte.

Czuł rodzaj oczyszczenia. Następne dni spędził, planując podróż nad Bajkał. Chciał jeszcze zobaczyć ten cud, zanim stoczyłby się w niebyt lub też został zabrany w miejsce, którego jego dusza już wybrać nie będzie mogła. Nurtowało go ciągle zakończenie z *Martina Edena* Jacka Londona. Czytał to co dzień na głos:

Ta męka nie jest jeszcze śmiercią – przemknęło przez gasnącą świadomość Martina. Śmierć nie sprawia przecież bólu. Owo straszne, dławiące uczucie to życie, męka życia, ostatni cios, jaki życie mogło mu zadać.

Jego uparte ręce i nogi poczęły bić w wodę, zagarniając ją słabymi, kurczowymi ruchami, ale on oszukał je wraz z tą wolą życia, która kazała im tak się wysilać bez wytchnienia. Zbyt głęboko zdążył się zanurzyć. Nigdy już krnąbrne członki nie zdołają wynieść go na powierzchnię. Zdawał się bujać bezwolnie w morzu sennych marzeń. Barwy i odblaski otaczały go chłonną kąpielą. A to co? Jak gdyby ujrzał przed sobą latarnię morską. Ale nie: to białe, olśniewająco jasne światło zabłyśło mu wewnątrz mózgu. Gorzało coraz promienniejsz. Rozległ się długi, przeciągły grzmot i Martinowi zdało się, że spada z wielkich, niekończących się schodów. Gdzieś u ich dna runął w mrok. Tyle jeszcze zrozumiał. Runął w mrok. A w tej samej chwili, gdy to pojął, zgasła w nim świadomość[72].

Ten sugestywny opis samobójstwa prześladował go i sprawiał, że z coraz większym dystansem myślał o swojej śmierci.

Po spotkaniach z Jekatieriną Pawłowną miał ochotę na rozmowę. Mówił więc często do siebie. Szeptem. Bo słuchanie w ciszy własnego głosu go krępowało. Wrócił też do szachów. Grywał jedną pełną partię dziennie, sam ze sobą, z zegarem. Ale by było ciekawiej, jednym kolorem grał jako Antonow, a drugim jako Romancew, starając się wczuć w jego styl gry, zrozumieć jego sposób podejmowania decyzji i liczenia wariantów. Aby nadać temu bardziej realistyczny wymiar, przesiadał się na jedną lub drugą stronę stolika. Po kilku dniach te partie zaczęły go wciągać i sprawiać mu przyjemność. Zapisywał je i na drugi dzień analizował. Z czasem doszedł do przekonania, że niektóre jego partie czy koncepcje wcale nie były „czyste” i przy lepszej grze przeciwników nie odniósłby wielu ze swoich spektakularnych sukcesów. Ale w końcu szachy były grą ludzi, jak życie, pełną ludzkich błędów.

Pewnego dnia o poranku poszedł na pocztę, by zadzwonić do matki. Wydusiła z siebie: „Synku”, i płakała kilka minut, zanim powiedział, że dziękuje jej za paczki, za książki, za listy, że kocha ją, że jest z nim dobrze i będzie dzwonił przynajmniej raz w tygodniu.

Po rozmowie z matką miał kryzys. Nie chcąc się upić, próbował zasnąć. Pod powiekami jednak pojawiały się ulotne obrazy z przeszłości – z dzieciństwa, z czasów, gdy myślał o swojej przyszłości, gdy tak bardzo pragnął wspinać się na szczyty sportowej kariery, kiedy chciał być mistrzem. Wtedy nie spodziewał się, że

naprawdę będzie w stanie dotrzeć do celu swych marzeń. To wyszło niepostrzeżenie, jakoś w taki sposób, że nigdy nie odczuł, że to właśnie ten moment, jakby czubek Mount Everestu był wielką, kilkukilometrową granią, na której nie sposób określić, gdzie jest ten właściwy, najwyższy punkt. Ale teraz wiedział, że był niedojrzały duchowo do tamtego marszu. Że wszystko potoczyło się za szybko.

Pomyślał, że będzie czekać na to, co się wydarzy, co przyniesie życie. Może zabije go zbłąkana kula w jakiejś przypadkowej strzelaninie między lokalnymi gangami, może śmiertelnie zatruje się grzybami jak sąsiadka spod siódemki, może w mieszkaniu piętro niżej wybuchnie gaz, jak w bloku przy Niekrasowa. Postanowił więc czekać na to, co się wydarzy. Nie spodziewał się wprawdzie niczego. Nie miał roszczeń, żądań czy wielkich pragnień. Był po prostu ciekawy. I ta myśl przyniosła ukojenie. To dziwne uczucie po tylu latach uciekania przed sobą było czymś zgoła nieoczekiwanym. Tego poranka cisza, jaką odkrył w swej duszy, wydała mu się tajemniczą pułapką zastawioną na niego przez los. Nie wierzył, aby dręczące go myśli nagle ustąpiły. Za oknem deszcz miarowo odmierzał czas kroplami spadającymi z dziurawej rynny.

Postanowił się czymś zająć. Pomyślał o lekcjach angielskiego i szachach w miejscowym domu kultury. Nie czekając długo, następnego dnia poszedł na rozmowę do kierowniczkę wolskiego domu kultury.

– A umiecie grać w szachy? – spytała rzeczowo.

– No umiem.

– Bo ja nie umiem. Nie będę mogła nawet sprawdzić. Zresztą angielskiego też nie znam. Ale macie jakiś dyplom?

– Mam, ukończyłem uniwersytet, filologię angielską.

– Donieście mi dyplom. Moglibyście zacząć za tydzień. Ale nie sądzę, żeby zjawilo się wiele osób. Poprzednim razem, gdy coś takiego organizowałam, zapisała się tylko jedna taka. prostytutką była, chciała jechać do Szwecji. Pojechała, a za nią nasz nauczyciel. Potem w szkole byli źli, bo uczył też dzieciaki. A jeśli chodzi o szachy, macie jakiś papier?

– Legitymację zawodnika.

– O widzicie. Dobrze. Bo nie chcę, by ktoś mówił, że po znajomości jakiejś prowadzicie zajęcia. Choć nie sądzę, żeby ktoś chciał się uczyć grać. Teraz młodzieży nic już się nie chce robić. No i gdybym was przyjęła do pracy, to musielibyście się ogolić, włosy ściąć. Nie możecie się tak dzieciom pokazać.

Oleg kupił okulary, w których wyglądał jak Gregory Peck w filmie *Zabić drozda*. Sprawił też sobie nowe radio. Cisza, która od kilku dni panowała niepodzielnie w mieszkaniu, została usunięta przez powoli wpełzającą do pokoju muzykę.

– Łatwo śpiewać o miłości, o nadziei, kiedy człowiek ma się czego ucześcić – wyszeptał, słuchając słów piosenki. Wzruszył ramionami, gdy przeszło mu przez

myśl, że mógłby po raz drugi się w kimś zakochać. Wydało mu się to zupełnie niedorzeczne, a sam pomysł wprowadził go w zakłopotanie.

Co by człowiek począł z czymś takim, pomyślał, ziewając i gładząc się ręką po głowie.

Część V

Biały płaszczyk

Wolsk, wiosna 1997

Wiosenne powietrze sprawiło, że Katię wypełniało uczucie szczęścia, jakby wraz z kwitnącą przyrodą nadchodziła pozytywna zmiana w jej życiu.

Niebo było błękitne. Wołga iskrzyła się tysiącem odblasków, aż dziewczyna musiała zmrużyć oczy. W wyobraźni ujrzała siebie biegnącą po tafli wody – w białej sukience, z kwiatami we włosach – na spotkanie przeznaczenia. Tak bardzo chciała się w tym momencie dowiedzieć, co ją czeka. I siedząc nad brzegiem rzeki, postanowiła, na wzór małych dzieci, wymarzyć sobie, by jutro stało się coś, co odmieni jej życie. Kiedy jednak o tym pomyślała, ogarnął ją smutek. Było tak źle, że musiała szukać nadziei wyłącznie w irracjonalnych marzeniach, wierzyć w siłę woli, która ma czarodziejską moc. Wiedziała, że wszystko to okaże się egzaltowanym niespełnionym marzeniem, dziecinną zabawą. Ale przekonam się o tym jutro, dopiero jutro, pocieszała się w duchu, wiedząc, że dzięki marzeniom łatwiej będzie jej cieszyć się chwilą obecną. Jutrzejszy dzień na pewno sprawi zawód i wszystko ośmieszy. Łzy z powodu rozczarowania oczyszczą ją i znów pozostanie czekać na następną próbę.

Najpierw starała się traktować to z pewnym dystansem, ale gdy przyszedł poranek, zaczęła odczuwać rodzaj nerwowej ekscytacji.

– A może jednak... – mówiła do siebie i aż zaciskała palce, by zmusić się do wiary, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego.

Całe przedpołudnie czuła niepokój. Uważała na każde zdarzenie, każdy znak, który mógłby przynieść odpowiedź. Ale dzień mijał tak boleśnie zwyczajnie, że wiara poczęła z niej uchodzić i jej miejsce zajmował smutek, ogromny, przytłaczający smutek. Godziny upływały tak szybko, że miała ochotę zatrzymać wskazówki zegarów i dać Bogu więcej czasu, aby wreszcie coś dla niej zorganizował. Zbliżał się szary wieczór. Była rozczarowana i zła, aż poczuła suchość w gardle. Około piątej poszła z Oksaną do baru. Spotkała tam Wołodę Zajcewa i przez chwilę próbowała wyczuć wokół siebie jakiś ruch powietrza, który zdradziłby, że może chodzi o niego. Zajcew podobał się wszystkim dziewczynom, był silny, miał warsztat samochodowy, który prowadził z bratem. Przymknęła oczy i wiedziała już, że nie był to znak, którego się spodziewała. Kiedy wracały z Oksaną do pracy, coraz bardziej pogrążała się w rozpacz i łajała za głupią naiwność, za ten bieg ku słońcu, który zakończył się bolesnym uderzeniem o ścianę. Do tego wszystkiego uświadomiła sobie, że jej smutna dusza właśnie otrzymała znak, gdy zaczął padać deszcz...

– Istne oberwanie chmury – zauważyła Maria Władimirowna. – Ciekawe, jak wrócą moje dziewczyny.

– Córki?

– Prawie. Nie mam własnych, to im trochę matkuję. Jedna to Oksana. Druga Katia. Katia skończyła studia w Saratowie. Prowadziła różne zajęcia w domu kultury. Ale z tego wyżyć się nie da, więc przyjąłem ją do pracy. Dzielna dziewczyna. Jak wam na imię?

– Oleg Igorowicz.

– A mnie Maria Władimirowna. Rano było tak pochmurno. Wiedziałem, że musi przyjść burza. Mam przeczucie, że deszcz utrzyma się do późnego wieczoru, a wy nie macie ani parasola, ani nic na głowę.

– Poradzę sobie.

– O was się nie martwię, z cukru nie jesteście, tylko o fryzurę. Wybaczcie, ale teraz dopiero wyglądacie jak człowiek.

Antonow uśmiechnął się i dostrzegł w lustrze ten uśmiech na swojej twarzy. Nie widział go u siebie od kilku lat i było to zupełnie nieoczekiwane doświadczenie. Rzucił wdzięczne spojrzenie w stronę Marii Władimirowny, która kończyła przycinać mu grzywkę.

– Jak to się stało, że kulturalny mężczyzna doprowadził swoje włosy do takiego stanu? – narzekała fryzjerka. – Przecież to beczeszczenie własnego wyglądu. Ale skoro trafiliście w moje ręce, to jeszcze z was będzie łakomy kasek.

– A po cóż to?

– Żony chyba nie macie, bo obrączki nie widzę.

Oleg się skrzywił.

– Na co mi żona?

– Nie gadajcie głupot. Mężczyzna z was do rzeczy. Nawet bardzo do rzeczy... Wybaczcie, gadam prosto, bo u fryzjera ludzie tak zwykli gadać. A jakbym was czymś uraziła, to też od razu mi mówcie.

– A tam.

– Mówię, że bezpośrednia baba jestem. I ciekawska, jak to fryzjerka.

– A mnie jest bardzo miło. Dawno z ludźmi nie gadałem, to i sympatycznie mieć do kogo usta otworzyć.

– Bo wy nowi, nie z Wolska, to od razu ciekawość mnie bierze.

– Już chyba czwarty rok będzie, jak się tu sprowadziłem.

– Nie mówcie?

– Poważnie.

– To dlaczego was nie znam?

– Ot, nie afiszowałem się i tyle.

– Znaczący, ukrywacie się?

– E tam, Mario Władimirowna, nie jestem przestępcą. Nie bójcie się. Przed milicją ani gangsterami się nie ukrywam.

– A czym się tu zajmujecie?

– Swoje już zarobiłem, za granicą. Więcej pracować nie muszę. Dawniej sporo wyjeżdżałem. Taka praca. A teraz pomyślałem sobie, że w domu kultury pouczyłbym jakieś dzieciaki angielskiego i w szachy grać.

– To wy chyba dyplomata jakimś byliście albo, nie daj Bóg, szpiegiem. Angielski dobra rzecz. W dzisiejszych czasach może się przydać. Ale szachy? Dziś w szachy mało kto gra. Dawniej tak. Mój ojciec grał. Utrzymać się z tego nie utrzymacie. Tu na nic nie ma pieniędzy.

– Mówiłem już, pieniędzy nie potrzebuję. To, co mam, wystarczy do końca życia. Nawet bym wyłożył trochę, żeby to zorganizować.

– Oj, Olegu Igorowiczu, tajemniczy z was człowiek. Żyjecie jak dziad, a chcecie inwestować pieniądze w dom kultury. Zaraz sobie pójdziecie, a ja tu przez następne dni będę się zastanawiać, kim jesteście.

– No tak – przyznał Antonow, odczuwając przyjemność na myśl, że wzbudził zainteresowanie kobiety.

– Dobre sobie. – Maria Władimirowna wzruszyła ramionami, rozczarowana, że nie powiedział jej o sobie nic więcej. – O, są moje zmoknięte ptaszyny. – Ucieszyła się, widząc biegnące w stronę zakładu dwie zupełnie przemoczone dziewczyny.

Katia i Oksana wpadły do zakładu z głośnym okrzykiem: „Zimno!”. Zauważyły jednak klienta, więc ucichły i zaintrygowane spojrzały na nieznanego, który lekko się zmieszał pod wpływem ich wzroku.

– Biegnijcie szybko na zaplecze, zrzucajcie te mokre ubrania, bo się rozchorujecie na dobre – wydawała polecenia Maria Władimirowna. – To właśnie moje dziewczyny – zwróciła się do Antonowa. – Ta wyższa to Katia, a ta druga Oksana.

Maria Władimirowna cały wieczór zastanawiała się, kogo przypominał jej dzisiejszy klient. Jego twarz wydała się znajoma, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć, gdzie mogła go wcześniej widzieć. Męczyła się tak przez pół nocy, przewracając z boku na bok i dopasowując twarze znanych osób do wizerunku Olega. Zmęczona tym, zasnęła. I przyśnił jej się prezydent Borys Jelcyn, który nie wiedząc czemu, zawitał do jej zakładu i zażądał, by zrobić mu wspaniałą fryzurę na spotkanie z brytyjską królową. A nożyczki Marii Władimirowny nie chciały ciąć. Były tak tępe, że jedynie wyrzywały włosy jak podczas trymowania teriera. Maria Władimirowna robiła, co mogła, ale za każdym razem efekt był ten sam i poddany torturze prezydent podskakiwał z głośnym „aj”, aż w końcu poderwał się z fotela i zapewne zrugałby ją, gdyby nie to, że w tym momencie Maria Władimirowna obudziła się, ciężko dysząc i dziękując Bogu, że to był tylko sen.

Tej nocy był jeszcze ktoś, kto długo nie mógł zasnąć z powodu tajemniczego

klienta. Katia pamiętała jego nieco nieśmiałe spojrzenie zza okularów, a jednocześnie tak przenikliwe, że na samo wspomnienie czuła narastającą ciekawość. Skąd się wziął? Co go przygnało do Wolska? Czy zatrzyma się tu na dłużej? W jej głowie rodziło się tak wiele pytań.

Następnego dnia nie mogła się skupić na pracy. Klienci byli niezadowoleni. Myślała o mężczyźnie, którego zobaczyła wczoraj. Było w nim coś pociągającego. Tak bardzo nie pasował do otoczenia, że kojarzył jej się z lwem z afrykańskiej sawanny pośród szarych osiedlowych bloków.

Oleg przychodził do domu kultury cztery razy w tygodniu. Na przemian uczył angielskiego i prowadził kółko szachowe. O ile na zajęciach z angielskiego niespodziewanie frekwencja dopisała i udało się sformować grupę złożoną z dwunastu uczniów, o tyle do koła szachowego akces zgłosiło zaledwie dwóch – miejscowy zawiadowca stacji Wiaczesław Czerkasow oraz ośmioletni Jurij Komarow.

Kiedy Oleg przypomniał sobie, że to nie kto inny jak Czerkasow był autorem sławnego wariantu, który okazał się pułapką dla Zimmermana w Nowym Orleanie, ogarnęło go wzruszenie. Czerkasow, rzecz jasna, go nie poznał. Tych kilka lat, które minęły, odkąd Oleg grał profesjonalnie w szachy, zmieniło go, dodatkowo okulary nadawały mu poważniejszy wygląd. Ale gdy zawiadowca usłyszał nazwisko, oniemiał. Siedział przez kilka minut i spoglądał na nauczyciela w taki sposób, jakby zobaczył Syna Bożego zstępującego ponownie wśród świetlistych obłoków.

– Wiele wam zawdzięczam, Wiaczesławie Jewgienijewiczu – próbował ośmielić go Oleg. – Dzięki wam pokonałem Zimmermana. Tak, dzięki wam. Nie przesadzam.

– Och, mistrzu – jęknął zachwycony Czerkasow. Ukłonił się nisko i zastygł w tej pozycji na dłuższą chwilę, jakby nie śmiejąc spojrzeć w oblicze Antonowa.

– Wiaczesławie Jewgienijewiczu – zwrócił się do niego Oleg poważnym głosem, kładąc mu rękę na ramieniu i dyskretnie go prostując. – Mam do was wielką prośbę.

– Wszystko, co zechcecie, mistrzu – zapalił się Czerkasow, znów skłaniając głowę.

Kurwa, ale facet, pomyślał Oleg, lecz na głos powiedział:

– Nie chcę, aby mnie tu rozpoznano. Nie chcę sensacji. Nie po to zaszyłem się w Wolsku.

– Rozumiem, mistrzu. Rozumiem. Dyskrecja. Stuprocentowa dyskrecja – zapewniał przejęty Czerkasow. – Doskonale to rozumiem, sam porzuciłem uczelnię, by zaszyć się tu z dala od świata.

– Właśnie, dyskrecja – powtórzył Oleg. – Dziękuję wam, Wiaczesławie Jewgienijewiczu. Dziękuję.

– Ooo, mistrzu... – Czerkasow pokłonił się kilkakrotnie.

– A właściwie czemu się tu zaszyliście? – zainteresował się Oleg.

– Żona zmarła. Ból...

Oleg spojrział na niego z sympatią i współczuciem.

– No tak – westchnął. – To co? Zagramy partyjkę?

– Ooo... – Czerkasow aż usta rozdziawił z zachwytu.

Oleg nie odmówił sobie przyjemności rozegrania kilku blitzów z Wiaczesławem Jewgienijewiczem, który skubał wąsy i przecierał co chwilę okulary, szukając pomysłów na grę. Zawiadowca przegrał wszystkie pięć partii. Po każdej kłaniał się nisko Olegowi.

Oleg polubił zajęcia szachowe. Spotkania poświęcali głównie na przegląd granych na świecie partii, na omawianie nowych koncepcji debiutowych. Czerkasow był całkiem sprawnym analitykiem. Mały Komarow robił szybkie postępy. We trójkę analizowali przebieg meczu o mistrzostwo świata w Kuala Lumpur, gdzie Romancew toczył zacięty pojedynek z nową szachową gwiazdą: Hindusem Angadem Poorem. Po sześciu remisach Poor wygrał siódmą partię, lecz już w ósmej Romancew wyrównał, aby w dziesiątej pokonać zdecydowanie rywala w partii hiszpańskiej. Na dwie partie przed końcem pojedynku wyglądało na to, że Romancew zdoła obronić mistrzowski tytuł.

– Mistrzu – odezwał się Czerkasow. – Od wielu lat przygotowywałem opracowanie, można powiedzieć taką monografię, której oczywiście nikt nie wyda, na temat obrony słowiańskiej. To wspaniały debiut dla czarnych, zawsze żałowałem, że mistrz ją pomijał w swoim repertuarze, a „słowianka” daje ogromne możliwości gry czarnymi również na wygraną. Czy mistrz znalazłby chwilę, żeby rzucić okiem na moją pracę?

– Pewnie, Wiaczesławie Jewgienijewiczu – zainteresował się Oleg, który znał wartość analiz Czerkasowa. – I nie mówcie, że nikt nie wyda waszej książki. Ktoś, kto wymyślił pułapkę na Zimmermana, jest godny tego, by jego analizy poznał szachowy świat. Pokażcie to. Przeczytam, jak będzie trzeba, poprawię, uzupełnię i wyślę do znajomych w Moskwie, żeby wam to wydano. Ba, napiszę słowo wstępne.

– Ooo, mistrzu. – Czerkasow zadrżał, po czym znów począł się kłaniać niczym rabin w czasie odmawiania kadiszu.

Ostatecznie Romancew wygrał mecz z Poorem.

– Cóż, stary lis wykorzystał całe swoje meczowe doświadczenie – podsumował Oleg. – Poor się spalił. Wcale nie był na straconej pozycji.

Wolsk, sierpień 1997

Cały dzień Antonow spędził nad brzegiem Wołgi. Zasnął w słońcu i pod wieczór ciało miał tak poparzone, że w nocy nie mógł spać. Ale kilka dni później, ze smagłą od opalenizny twarzą, w okularach, wzbudzał zainteresowanie mijających go na ulicy kobiet. A on, pogrążony w analizie materiałów otrzymanych od Czerkasowa, nie zwracał uwagi na świat dookoła. Chciał zapisać jak najszybciej nowy wariant, który przyszedł mu do głowy, i nie mógł się doczekać miny zawiadowcy, gdy mu go pokaże. Przystanął przy szklanej witrynie i opierając o nią kartkę papieru, szybko zapisywał posunięcia. Gdy skończył, ujrzał za szybą roześmiane oczy Jekatieriny Pawłowny. Odsunął się o krok i spojrzał w górę. Nad witryną widniał napis: „Zakład Fryzjerski Aleksandria”. Uśmiechnął się zakłopotany, po czym wszedł do środka.

– Dzień dobry, Jekatierino Pawłowna.

Dziewczyna zmrużyła oczy, zdziwiona, skąd zna jej imię.

– Nie pamiętacie mnie? – spytał rozbawiony.

– Pamiętam, jakiś czas temu strzygliście się u Marii Władimirowny.

– To też – przytaknął. – Ale spotkaliśmy się dużo wcześniej. Nie pamiętacie? W domu kultury. Pomagaliście mi wyjść z nałogu.

Katia cofnęła się powoli i usiadła z wrażenia. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, próbując dopasować tamtą twarz do jego dzisiejszego wyglądu.

– To niemożliwe...

– To ja, Jekatierino Pawłowna.

– Niemożliwe. Tamten to, wybaczcie, był dziad jakiś, alkoholik... A wy... O Boże. To wy?

– Ja.

– Wybaczcie, wzruszyłam się. Toż to zmartwychwstanie. Cud. Ja, ja myślałam, że już dawno po was. Że wszystko to się nie udało i stoczyliście się na dno. A tu taka przemiana. O Boże, jak ja się cieszę. Nie macie pojęcia. Raz w życiu coś mi wyszło!

– No, można to tak nazwać – stwierdził filozoficznie Antonow. – Wyszło wam.

Patrzyła na niego z zachwytem. Był taki inny. Męski, przystojny, pełen pociągającego luzu. Zatrzymała go, częstując herbatą. Spędzili ze sobą przedpołudnie, rozmawiając o Wolsku, o bieżących sprawach. Nie wracali już do przeszłości.

Kiedy Oleg znalazł się z powrotem w mieszkaniu, był podekscytowany. Ręce

drżały mu z emocji.

– Oż kurwa – szepnął i osunął się na podłogę. Siedział chwilę w ciszy, po czym wybuchnął śmiechem. Siedząc tak, myślał o jej radosnych, dużych, jakby zdziwionych oczach, zadartym nosku, ponętnych ustach i... zapragnął jej. Zapragnął całym sobą. Pierwszy raz, od czasu rozstania z Tanią, myślał w ten sposób o innej kobiecie. I było to przedziwne uczucie, w którym wolność mieszała się ze zdradą i wyrzutami sumienia wobec Tani. Antonow zrozumiał, że czas albo umrzeć, albo narodzić się do nowego życia, bo właśnie przekroczył granicę i nastąpiła w nim jakaś istotna zmiana w odczuwaniu świata. Nagle, gdy to nazwał, opanowało go tak wielkie pragnienie życia, tęsknota za miłością, aż doszedł do wniosku, że chyba zwariował.

– Zwariowałaś, Antonow – powiedział na głos, stając przed lustrem. – Po prostu zwariowałaś – łajał siebie, oparłszy czoło o ramę. – Pakujesz się w coś, co zawsze z definicji kończy się bólem. Nie waź się o niej myśleć w ten sposób. Nawet się nie waź. Jak zaczniesz, to przepadłeś i wtedy, głupi smętny fiucino, nie zostanie ci nic więcej, tylko zmienić się w zieloną galaretę w wannie. Jak Boga kocham. Worek na głowę i koniec. Dość rozczarowań, złamanych serc. Wątroba dostatecznie za to zapłaciła. Powiedz durnemu sercu, że ona drugi raz nie przeżyje tylu litrów wody. – Spojrzał ponownie na swoje odbicie w lustrze. – Debilu. Przestań się uśmiechać. Znam ten kretyński uśmiech. Kochaś się znalazł. O, takiego wała, żebyś się do niej zbliżył. Ubiję jak psa. Dość złamanych serc.

– Ach, witajcie Olegu Igorowiczu – Maria Władimirowna ucieszyła się na jego widok.

– Dzień dobry, Mario Władimirowna. Pomyślałem, że włosy należy podciąć.

– A wam teraz w każdej fryzurze dobrze. Zresztą niedawno obcinaliśmy. Pokażcie. Dłuższe włosy też ładne. Mogę jedynie troszkę wyrównać. Siadajcie. – Nałożyła mu na ramiona białą chustę. – Dziewczyn dziś nie ma, Katia w Saratowie odbiera dyplom na uniwersytecie, to ją puściłam, a Oksana na weselu się zatręła i leży w domu.

Poczuł rozczarowanie, lecz nie dał nic po sobie poznać.

– I jak wam idzie, Olegu Igorowiczu? Uczycie angielskiego?

– Ano uczę.

– Ach, ci Anglicy. Żal tej księżnej Diany. Miła taka, ładna, młoda. Zaszczuli ją.

– No, tak. Cena sławy. Życie na świeczniku to nie jest prosta rzecz, Mario Władimirowna. Choć niby każdy z nas o tym marzy.

– No, nas to nie dotyczy.

– A gdyby tak z dnia na dzień opisano was jako najlepszą fryzjerkę świata? Pojechalibyście do Ameryki strzyc prezydentów i gwiazdy Hollywood i jak byście

sobie z tym poradzili?

– Zwariowałabym. Starą babę musieliby w kaftanie tu przywieźć z powrotem do Wolska. Może nad Wołgą odzyskałabym rozum.

– Macie rację, Mario Władimirowna. Tu, nad Wołgą, można odzyskać rozum albo stracić go do reszty.

Nożyczki w sprawnych dłoniach fryzjerki pracowały tuż nad jego skrońmi. Odruchowo przymknął powieki.

– Słyszałam od Gulnary Gajdarowny, że na angielski trochę osób się zapisało.

– Tak. Trochę przyszło – potwierdził, nie otwierając powiek. – Od Protasowej?

– Tak, Protasowej. Ważna postać. Jest żoną byłego komendanta milicji. Milicjanci ją szanują. Oni zawsze trzymają się razem. Warto mieć takie znajomości.

– A po cóż mi takie znajomości – mruknął Oleg. – Mnie nie potrzeba niczego.

– E tam, niczego – zachnęła się fryzjerka. – Kobiety, miłości wam trzeba.

– Miałem. – Oleg spoważniał. – Wystarczy.

Maria Władimirowna zrobiła chytrą minę. I choć praktycznie skończyła już strzyżenie, cięła nożyczkami w powietrzu i układała włosy grzebieniem na różne strony, byle mieć pretekst do przedłużenia rozmowy.

– Wielka nieszczęśliwa miłość? – spytała, jak gdyby nigdy nic. – To dlatego tu przyjechaliście? A ja myślałam, żeście gdzieś pieniądze ukradli i się ukrywacie. Jak Boga kocham, tak myślałam. No, powiedzcie coś. My tu z dziewczynami zakłady robiłyśmy.

– Nie czas na to. Może kiedyś będzie ku temu pora.

– No, jak chcecie.

Zapadła cisza. Maria Władimirowna zaczęła układać fryzurę za pomocą żelu.

– Kochaliście ją mocno? – nie wytrzymała.

– Kogo?

– No, tę kobietę, przez którą ze złamanym sercem do Wolska się schroniliście.

– Kochałem. Stare dzieje. Nie ma co ran solą posypywać.

– Macie rację. Po śmierci męża też nie chciałam o nim mówić. Ale ona nie umarła?

– Nie umarła – potwierdził. – Poczęstujecie mnie herbatą? Powietrze ciężkie, znowu będzie deszcz. Gdy do was przychodzę, zawsze pada.

– Dziś nie będzie. W kościach mnie nie strzyka, to i nie będzie. Miło mi się z wami rozmawia, choć czasem chciałabym o was więcej wiedzieć. Tajemniczy jesteście. Nikt was tu nie zna. No i z taką historią, nieszczęśliwa miłość...

– No tak, ale co tu opowiadać. Byłem z kobietą, odeszła, to przyjechałem do

Wolska. Ot, cała historia, jakich pełno. Siedzę tu czwarty rok i praktycznie nic poza tym domem kultury nie robię.

– Macie szczęście, Olegu, że ja stara baba jestem. Zaraz bym was z tego odrętwienia wyciągnęła, rozkochała w sobie i zagoniła do jakiejś porządnej roboty. W zakładzie byście u mnie pracowali jako męski fryzjer. Dobra praca, jeśli tylko ucha klientowi byście nie obcięli, to byłaby stała robota.

– Mogę u was w zakładzie śpiewać z gitarą, żeby był miłszy nastrój, albo wiersze recytować, znam całe mnóstwo.

– Wynajmijcie się do śpiewania na weselach. Och, Olegu Igorowiczu, z was jest niezły czaruś. Muszę was stąd przegonić, bo się tu zakocham. I uważajcie na szklanke, bo mi ostatnio klient zbił, nie mam już więcej.

Zdjęła z niego fartuch i poszła na zaplecze włączyć czajnik na herbatę.

– Na tym Zachodzie to byliście muzykiem? – próbowała zgadnąć.

– Artystą – odpowiedział, kręcąc się dookoła w fotelu. – Ale tylko po części. Najwięcej zarobiłem w Ameryce.

– No proszę. Mądra u was głowa. Od razu było widać. No, może nie od razu, dopiero jak was porządnie ostrzygłam, bo wcześniej to jakbyście na dworcu mieszkali.

I tak gawędzili przez dwie godziny, wypijając przy tym pięć herbat. Oleg polubił to miejsce, polubił Marię Władimirownę, jej opowieści i spostrzeżenia, które przypominały mu trochę tezy wygłaszane przez Denisowa.

– No i coś się dowiedziałam o naszym Olegu Igorowiczu – pochwaliła się dziewczynom właścicielka zakładu.

– Coście się dowiedzieli? – spytała Katia w zadumie. – Rozmawialiście z nim, Mario Władimirowna?

– Cały wczorajszy dzień. Był tu u mnie, żeby się ostrzyć. Ależ wyglądał. Ech. Serce omdlewa. No i zasiedział się do popołudnia, tośmy gawędzili.

– I co? Kim jest? Co tu robi? – pytała Oksana.

– Ukrył się tu po nieszczęśliwej miłości – rzekła uroczyście Maria Władimirowna. – Kobieta go opuściła. Był w Ameryce. Może to Amerykanka jakaś? Kto wie. Och, co za romantyczna historia.

W ciągu dnia sporo o nim rozmawiały. Maria Władimirowna twierdziła, że z pewnością musiał być szpiegiem i zakochał się w Amerykance, która dowiedziawszy się, kim jest, doniosła na niego, a on, ze złamanym sercem, musiał stamtąd uciekać. Katia słuchała tych teorii z dystansem, próbując odtworzyć w pamięci to, co mówił jej, gdy w tamte ponure wieczory spotykali się, aby mu pomóc wyjść z nałogu. Myślała o nim coraz częściej i coraz intensywniej, aż pewnego dnia rano usiadła na fotelu dla klientów i rzekła:

– Mario Władimirowna, proszę ze mnie zrobić boginię. Użyjcie wszystkich swoich czarów, dziś muszę rzucić na kogoś urok.

– Na kogo, Katka? – zdziwiła się Maria Władimirowna.

– Na Olega Igorowicza.

– Matko Przeczysta.

– Tak, Matko Przeczysta – powtórzyła dziewczyna. – Też tak powiedziałam do siebie, gdy to zrozumiałam. Nie mogę przestać o nim myśleć.

– No to do roboty – rzekła ucieszona Maria Władimirowna, chwytając za nożyczki. – Nie zostawimy mu żadnych szans.

Wieczorem, kiedy Antonow przyglądał się, jak mały Komarow dostaje na szachownicy ciągi od rozentuzjasmowanego tym Czerkasowa, Katia wślizgnęła się do sali. Odwrócił się i znieruchomiał zaskoczony. Dziewczyna spojrzała mu w oczy i z lekkim uśmiechem spytała:

– Czy ja też mogę uczyć się grać w szachy?

Po kilku minutach Antonow zorientował się, że w jej przypadku nauka szachów nie ma specjalnego sensu. Zamiast na szachownicę spoglądała ciągle w jego oczy, a on pod wpływem jej wzroku zapominał, co mówił minutę wcześniej. Ktoś słuchający z boku mógł odnieść wrażenie, że Antonow nie wie tak naprawdę, co mówi. A już na pewno nie rozmawiali wyłącznie o szachach, no bo jak wytłumaczyć opis partii hiszpańskiej: „jest gorąca niczym taniec splecionych ciał kobiety i mężczyzny lub pełne pasji flamenco, podczas którego gwałtowne ruchy zdradzają ich emocje, ich pragnienia, ich żądze”. Czerkasow marszczył czoło, starając się to wszystko sobie wyobrazić. Zrozumiał, że musi się jeszcze o szachach wiele nauczyć.

Teraz jako uczennica w kole szachowym widywała się z Olegiem regularnie. Na następnych zajęciach usiadła przy nim, gdy zajęty swoimi myślami, pił herbatę.

– Dobry wieczór, Olegu Igorowiczu.

Spojrzał na nią zupełnie nieobecny.

– Dobry wieczór.

Uśmiechnęła się speszona.

– Ach, to wy, Jekatierino Pawłowna, przepraszam, jestem dziś rozkojarzony. Właśnie o was myślałem i tak się zagubiłem w myślach.

– O mnie?

– Tak. To było niezwykle. Kiedy przy mnie usiedliście, sądziłem, że to nadal tylko moje myśli, projekcja. Niebываłe.

– Myśleliście o mnie, Olegu Igorowiczu? – spytała zniżonym nieco głosem, w taki sposób, że Antonow poczuł dosłownie, jak powietrze wokół niego napęnia

się ładunkami elektrycznymi, które zaczynają parzyć jego skórę.

– Tak. Myślałem, jak najlepiej wprowadzić was w tajniki tej gry, to znaczy... – Spasował, bo chciał użyć słów: „gry wstępnej”. – Debiutu, otwarcia, aby zamiast wyuczonych na pamięć schematów poczuć w sobie to coś, nie trzymać się kurczowo tego, co bezpieczne, ale zaryzykować, dać się ponieść fantazji, zaatakować, zdobyć wszystko lub przegrać boleśnie.

– Proszę mnie tego wszystkiego nauczyć, Olegu Igorowiczu. Chcę tego.

Tego wieczoru całe zajęcia Oleg poświęcił tylko Katii. Czerkasow i Komarow dostali za zadanie przeanalizować wszystkie jego partie z Krutinem i odnaleźć błędy decydujące o porażce jednego lub drugiego gracza. Sam zaś opowiadał z pasją o obronie sycylijskiej, wspominając przy tym, że przyjaciel mówił mu kiedyś, iż miłość od pierwszego wejrzenia nazywają na Sycylii „uderzeniem gromu”.

– Pierwszego naszego spotkania nie liczę, bo nie byliście wtedy sobą – zażartowała w odpowiedzi. Ale zamiast się śmiać, spojrzeli na siebie jakoś dziwnie i oboje się zmieszali.

– Zasiedzieliśmy się – rzekł Antonow, spoglądając na zegarek. – Zanudziłem was, Jekatierino Pawłowna, tym moim gambitem w obronie sycylijskiej. Powinienem odprowadzić was do domu.

Szli razem. Ulice były całkiem puste. Zza okien w blokach, które mijali, docierały do nich odgłosy włączonych telewizorów.

Katia przerwała ciszę.

– Ludzie kochają oglądać seriale – zauważyła.

– Nie wiem. Nie mam telewizora. Nie oglądam seriali – odrzekł, szukając w głowie jakiegoś tematu do rozmowy.

– Co wy właściwie robicie w Wolsku, Olegu Igorowiczu? – zapytała Katia, przerywając kolejną krępującą ciszę. – Przecież to nie miejsce dla was.

Milczał. Pokiwał na boki głową, dając jej do zrozumienia, że po części ma rację. Ale nie chciał teraz tego roztrząsać. Spacer sprawiał mu prawdziwą radość, wręcz rozkosz. Nie znał słowa, które w dobry sposób opisałoby jego pragnienie złapania dziewczyny za rękę, fizycznego kontaktu z nią, dotyku. Ta myśl była wręcz zniewalająca. I wtedy Antonow zrobił coś, czego nie potrafił następnego poranka zrozumieć. Kiedy Katia spytała go:

– Olegu Igorowiczu, a może przyjdziecie jutro na tańce. Mamy tu dyskotekę. Wybieramy się z Oksaną.

Zgodził się. Potem ze wstydu całe rano nie patrzył w lustro, gdy jednak przyszedł wieczór, mimo że do ostatniej chwili czepiał się framugi, aby nie wyjść z mieszkania, poszedł.

Wszedł do sali. Czuł ogromną treść. Było ciemno, mrugały światła, wokół

niego kręciło się sporo młodych ludzi, dookoła unosił się dym z papierosów, jakby ktoś rozpylił suchy lód. Dostrzegł ją. Tak, to była ona. Choć stała do niego plecami, poznał jej ciemne, proste, opadające na ramiona włosy. Miała na sobie wąskie spodnie, wysokie szpilki i czarną koszulkę ze srebrnymi cekinami, z jednym ramieniem odsłoniętym. Patrzył, gdy tańczyła. Co pewien czas nachylała się i mówiła coś do Oksany, śmiała się i poruszała w takt muzyki, poruszała tak, że czuł ogarniające go pragnienie, wręcz żądzę rosnącą z każdą chwilą pod wpływem jej zmysłowości. Zakasłał z zażenowania, zrozumiał, że zachowuje się jak nastolatek.

Zmieniła się muzyka. Przestrzeń wypełniły bardziej południowe rytmy. A on nadal stał i na nią patrzył. Patrzył, gdy zaczęła tańczyć z jakimś chłopakiem, który do niej podszedł. Ściągnął ją myślami, bo w pewnym momencie odwróciła się, dostrzegła go, uśmiechnęła się, stanęła i szepnęła coś do młodego mężczyzny. Przerwała taniec i ruszyła w stronę Olega, wyciągając do niego dłoń. Poczuł coś, czego dawno już nie doświadczył. Był zawstydzony, onieśmielony. Moment, w którym dotknął jej dłoni, był dla niego niezwykłym przeżyciem... Od czasu odejścia Tani nie czuł kobiecego dotyku, który byłby dotykiem pełnym przekazu, który wywołałby w nim dreszcz niepokoju. Nie spodziewał się, że ona muśnie swoimi ustami jego policzek na przywitanie. Tańczył z nią. A ponieważ nie zapomniał kroków, których niegdyś uczyła go Janina Trifonowa, wychodziło mu całkiem nieźle, choć w tym miejscu wyglądało to nieco zabawnie. I szybko stał się przedmiotem kpin grupki młodzieży. Gdy to dostrzegł, radość ustąpiła poczuciu upokorzenia. Żałował, że dał się namówić na przyjście. Szybko opuścił to miejsce, czując piekący wstyd. Przed snem, nie zważając na poranny ból głowy, który musiał nazajutrz przyjść, zaaplikował sobie „Mołotowa Ubijca” według receptury Andrieja, mieszając wódkę z piwem.

Katia miała zepsuty wieczór. Komentarze: „Ale gość się spłoszył”, wcale jej nie bawiły. Żałowała, że nie wyszła za nim i że nie powiedziała nic, gdy się z nią żegnał. Było jej źle. Bardzo źle. Poczuła ukłucie, kiedy pomyślała, że mogłaby przy nim spędzić wieczór, a teraz bez niego było pusto.

Potem, na zajęciach szachowych, zachowywał się chłodno. Mówił głównie do Czerkasowa, coś, czego i tak nie rozumiała. Wiedziała, że się obraził za to, że z nim wtedy nie wyszła. Podjęła próbę i spytała:

– Pojutrze dziewiętnastego września mamy święto miasta. Będzie dużo imprez, przyjdziecie, Olegu Igorowiczu?

Żachnął się i wzruszył ramionami.

– A po jakie licho?

– No, będzie wiele miłych festynów, atrakcji.

– Miłych? – zdziwił się.

– No, tak. – Speszyła się.

– Ja się do tego nie nadaję – uciął krótko.

Ale pośrodku nocy, kiedy zdał sobie sprawę, że wciąż o niej myśli, zaniepokoił się. Wstał z łóżka. Spojrzał na zegarek. Była druga. Pierwszy raz od rozstania z Tanią złapał się na fantazjowaniu o innej kobiecie. Była tak bardzo różna od Tani. Ale myślał o niej o drugiej nad ranem, pijąc wodę prosto z czajnika i zastanawiając się, czy nie zdradzi Tani, jeśli pozwoli swoim uczuciom przybliżyć się do Jekatieriny Pawłowny.

Odprowadzał ją do domu po zajęciach szachowych, niezależnie od pory, o której kończyli. Uwielbiał te chwile. Byli wówczas we dwoje, ona i on. I chociaż szli ulicą, intymność, jaka się między nimi rodziła, sprawiała, że pragnął, by spacer trwał jak najdłużej. Był spięty, z trudem dobierał słowa, czasem emocje odbierały mu poczucie humoru albo też mówił do niej niemal szeptem. Ale to było takie przyjemne, takie ekscytujące, takie nowe. Pragnął jej dotyku, kontaktu, choćby przypadkowego muśnięcia. Ścisnął dłonie w pięści, aby nie ulec pokusie i nie chwycić jej za rękę. Jak cholernie o tym marzył! Widząc z daleka jej blok, martwił się, że za kilka chwil nie będzie jej już przy nim, i zwalniał wówczas krok. A potem, gdy zniknęła w swoim bloku, czuł tęsknotę i rozczarowanie, że to już koniec i że na następny taki moment przyjdzie mu czekać całe dwa dni. Miał wtedy ochotę tupać ze złości jak mały chłopiec, że nie odważył się jej objąć, przytulić, że stał jak kołek, gdy spoglądając mu w oczy, szeptała: „Dobranoc”. Po powrocie do mieszkania analizował każde jej słowo, każdy gest, który mógłby mu podpowiedzieć, co o nim myśli, czy czuje choć trochę tej ekscytacji, która wypełniała go i nie dawała mu zasnąć. Przygryzał wargi, zastanawiając się, jak mogłaby zareagować, gdyby zrobił ten jeden gest więcej.

– Dobranoc, dobranoc, Jekatierino Pawłowna – powtarzał zły, że nie potrafił wykrzesać z siebie nic więcej, gdy zostawiała go samego.

Coraz częściej zaglądał pod byle pretekstem do zakładu fryzjerskiego. Spędzał długie godziny, gawędząc z Marią Władimirowną, podczas których ukradkiem zerkał na Katię.

Katia zdała sobie sprawę, że to, co do niego czuje, jest czymś innym niż zauroczenie czy flirt. To coś nie dawało odetchnąć jej myślom, odbierało sen i czyniło każdy dzień pełnym tęsknego napięcia i oczekiwania na to, czy Oleg Igorowicz przyjdzie, czy go ujrzy, czy usłyszy jego głos i śmiech, gdy przekomarza się z Marią Władimirowną.

I kiedy znów odprowadzał Katię do domu po zajęciach, zaproponowała:

– Wstąpicie na herbatę, Olegu Igorowiczu?

– Wstąpię. Jasne, że wstąpię – odparł bez wahania.

A to, co działo się w tamtej chwili między nimi, można było porównać do działania pola magnetycznego. Jakieś bliżej nieznanne Olegowi ładunki elektryczne, niewątpliwie zawierające feromony, przenoszone były między ich

ciałami przez potężny prąd konwekcyjny. To była alchemia, coś, nad czym już nie panował, co odbierało mu trzeźwość umysłu, co z jakąś dziką siłą natury sprawiało, że każda komórka jego ciała żądała od mózgu posłuszeństwa i wypełnienia jednego rozkazu: „Jej!”.

Jej pocałunki parzyły, ale tego wieczoru pragnął tego gorąca. Przytulali się do siebie na ciasnej kozetce. Katia leżała na nim, całując go, a on przypomniał sobie delikatne pocałunki Tani, ich pierwszy raz, gdy ugryzła go w wargi, jej oddech, jej kruchość... Na chwilę odsunął Katię. Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. Uśmiechnął się lekko zażenowany. Udał, że to gra, i roześmiała się. Seks z kobietą po tylu miesiącach był jak stek dla wegetarianina.

– Katiu, czemu ja? – szepnął, leżąc obok niej o poranku i bawiąc się jej włosami.

– Nie wiem, Oleg. Sama się nad tym zastanawiam. W sumie jesteś takim beznadziejnym facetem. – Zaśmiała się.

– Bo cię ugryzę – zagroził, szczerząc zęby.

– Gryź sobie.

– Ty mnie ugryzłaś w ramię, wiesz?

– Nieprawda.

– Prawda. Spójrz. – Pokazał jej ramię.

– Nic tu nie ma.

– Może nie ma, ale ugryzłaś.

– Bądź cicho.

– Wstydzisz się.

– Bądź cicho. – Odwróciła się do niego plecami.

– Co, powtórka?

– Jaka powtórka?

– No, nadstawiasz się do następnego razu.

– Słuchaj, Antonow, jak nie przestaniesz, to cię w gaciach wyrzucę na ulicę.

– A wyrzucę siebie. Będę stał pod oknem i śpiewał: „Katia, Katiucha, wyjrzyj przez okienko, gdy moje serce puka: tuk, tuk, tuk”.

– Wariat.

– No. Coś w tym jest. – Zmartwił się. To słowo kojarzyło mu się z beztróskim czasem z Tanią. Pogładził się nerwowo po brodzie jak w tych chwilach, gdy pochylając się nad szachownicą, nie wiedział, co ma grać dalej.

Przez moment milczeli. Po czym ponowił pytanie:

– Dlaczego ja?

– Nie wiem. Nie wymyśliłam sobie akurat ciebie. Potrafię marzyć jak każda

dziewczyna. Ale nie myślałam nigdy o kimś takim jak ty. Jesteś inny. Ale co mogę poradzić, kiedy zdałam sobie sprawę, że chcę chodzić z tobą za rękę, chcę, byś był przy mnie, bym mogła się tobą chwalić, by pytano, kim jesteś, i bym mogła tłumaczyć, że jesteś kimś wyjątkowym. Rozumiesz? Marzę o miłości, by kochać i czuć się kochaną, nie sądziłam jednak, że tym kimś możesz być ty. To się po prostu samo stało... A ty?

– Nie wiem. Czuję przy tobie jakiś zwierzęcy magnetyzm.

– Bardzo to miłe.

– No, co mam powiedzieć?

– Kochasz mnie?

– Katia... – Zezłościł się. – Boże, Katia. Moje serce to jeden wielki dziurawy garnek, pełen otworów po kulach. Nie wiem, czy jest w stanie ogarnąć, utrzymać w sobie takie uczucie jak miłość.

– To go zaklej, Oleg, załataj, jeśli ci na mnie zależy – rzekła poważnym tonem, wstając z łóżka i idąc do łazienki.

Kiedy brała prysznic, on szykował kawę, zastanawiając się, co właściwie jej powie, gdy usiądzie naprzeciw niego.

– Myślę o tobie – zaczął trochę nieswoim głosem. – Od kilku tygodni ciągle o tobie myślałem. Chciałem, byś była blisko, chciałem na ciebie patrzeć, chciałem z tobą rozmawiać. Pragnąłem cię. Możesz to nazywać, jak chcesz.

– Nie, nie będę tego nazywać – odrzekła, nie patrząc na niego. – Chcę, żebyś ty mówił, co czujesz. Nie jestem towarem drugiego gatunku.

– Daj mi czas, Katiu.

Rozstali się w milczeniu. Pocałowali na pożegnanie. Oleg wrócił do siebie. Mieszkanie wydało mu się takie ciasne. W nagłym przypływie energii postanowił kupić samochód. Po południu pojechał do Saratowa. Na drugi dzień, gdy Katia kończyła pracę, zajechał pod warsztat fryzjerski kupioną od handlarza używaną toyotą, z kierownicą po prawej stronie. Pojechali za Bałakowo, gdzie Wołga rozlewa się szeroko na boki niczym jezioro. Widnokrąg wydał się Olegowi bezkresny. Niskie wzgórza okalające rzekę to wchodziły w nią, to znów się cofały, tworząc urocze, pełne spokoju zatoki. Było pięknie. Słońce zachodziło tak, że na horyzoncie pozostawał już tylko wąski pas pomarańczowoczerwonego światła. Usiedli na miękkiej łące.

Oleg, ciekawy, jak będzie niósł się jego głos po tafli wody, krzyknął, przykładając dłonie do ust.

– Co robisz? – zdziwiła się Katia.

– Krzyczę sobie – odrzekł i nabrał powietrza w płuca, po czym krzyknął z całych sił: – Katia Pawłowna ma najzgrabniejszy tyłek na świecie!

– Oleg Igorowicz jest głupi! – krzyknęła Katia w odpowiedzi.

Pod wieczór wrócili do Wolska i pojechali do jego mieszkania. Marzyli o tym, by wtulić się w siebie nago, poczuć drzenie pożądania i intymność we dwoje.

Kilka dni później Katia, ubierając się do pracy, opowiadała:

– Mówię do Marii Władimirowny: „Dziś rano trzy autobusy przeszły bez zatrzymywania się. W końcu, gdy czwarty nas zabrał, ludzie byli upchani jak śledzie w puszcze. Oczywiście się spóźniłam”. A Maria Władimirowna kiwa głową i mówi: „To co, Katiucha, Oleg Igorowicz rano nie mógłby się wygramolić z barłogu i cię podwieźć?”. Ależ mi się głupio zrobiło.

– Katia. – Antonow ziewnął. – Chodź do łóżka.

Zamiast tego dziewczyna włączyła na cały regulator muzykę, zrzuciła buty i wskoczyła na łóżko, podskakując na nim i nucąc piosenkę. Po chwili, gdy usłyszała przeklinanie sąsiada i pukanie w ścianę, podkręciła muzykę i zaczęła śpiewać jeszcze głośniej.

Seksualność Katii była dla Antonowa czymś zupełnie nowym. Jej żywiołowość tak bardzo różniła się od wysublimowanej Tani, która lubiła gry, niedopowiedzenia i przedłużające się napięcie. Katia była jak tornado, porywające go w szaleńczy wir odczuć. Olegowi kojarzyła się z kowbojką na rodeo, startującą w konkursie ujeżdżania byka.

– Patrzyłam, gdy spałeś – szepnęła po jednym z takich rodeo. – Ufny, bezbronny. I dotykałam twoich włosów. A potem wtuliłam się i objąłeś mnie mocno – mówiąc to, Katia zdała sobie sprawę, że jest w nim zakochana.

A Oleg czuł w głębi duszy jakiś smutek, tęsknotę i zarazem obawę. Chciał się z nią spotykać, było mu dobrze, kiedy miał ją blisko, lecz z drugiej strony odnosił wrażenie, że to wszystko gra, że nie będzie mógł z nią zostać i że jedynie rozkocha ją w sobie, mszcząc się za Tanię, za swoje cierpienie. Przygnębiło go, gdy zrozumiał, że bawi się jej uczuciami, jakby to była szachowa figura, którą może postawić w dowolnym miejscu szachownicy. Przyszło mu na myśl, że może lepiej powinien uciec, zmienić miasto, że zaczyna mu na niej zależeć, a to oznacza nieuchronne cierpienie. Kiedy poprzedniego dnia zobaczył Katię rozmawiającą z młodą mężczyzną, roześmianą, wyobraźnia podpowiedziała mu obrazy, które sprawiły mu ból. Po raz pierwszy od czasu, gdy zabił w sobie tęsknotę za Tanią, poczuł zazdrość o kobietę. Ta myśl przeraziła go i w pierwszym odruchu chciał zabrać swoje rzeczy i uciec. Zamiast tego upił się, obiecując sobie, że będzie jej unikał jak ognia. I poczuł pustkę, straszliwą, wszechogarniającą. Leżał więc jak dawniej na podłodze. Zastanawiał się, co by było, gdyby zastała go tak żalosnego na tej podłodze. Czy odwróciłaby się i znalazła kogoś na jego miejsce... Czy rzeczywiście mogła go kochać? Czy ona w ogóle wiedziała, czym jest prawdziwa miłość? Jak bardzo miłość potrafi boleć, że w jednej chwili może wszystko

odebrać.

Nad ranem zbudził go dzwonek do drzwi.

– Znowu jakaś sekta? – Skacowany, z trudem podniósł się z podłogi i poszedł otworzyć drzwi. – Gulnara Gajdarowna? – zdziwił się na widok kobiety.

– Dzień dobry, Olegu Igorowiczu. Czy mogę wejść? – spytała, spoglądając na niego przenikliwym wzrokiem, pod wpływem którego zmieszał się nieco.

– Proszę, oczywiście. Nieposprzątane u mnie, jak to u kawalera. Wybaczcie. – Oleg pospiesznie zaczął sprzątać porozrzucone ubrania. – Proszę siadać. Herbaty?

– Olegu Igorowiczu, przychodzę do was w sprawie Katii – przeszła od razu do rzeczy.

– Coś z nią nie tak? – zaniepokoił się.

– Widzicie, jestem kimś w rodzaju opiekunki Katii – zaczęła, siadając w kuchni. – Maria Władimirowna powiedziała mi o was. Myślę, że bardzo interesujecie Katię, jako jej przyjaciółka chce jej szczęścia i martwię się o nią.

Oleg usiadł naprzeciwko, coraz bardziej zdeprymowany.

– Prawdopodobnie Katia nie powiedziała wam tego – ciągnęła Gulnara Gajdarowna. – Ale miała w przeszłości wiele trudnych chwil. Wiele wycierpiała. Dlatego nie pozwolę, by ktoś ponownie sprawił jej ból. Bardzo chciałabym uchronić ją od błędów. I będę wdzięczna, jeśli poinformujecie mnie, Olegu Igorowiczu, honorowo, co do swoich zamiarów wobec niej. Przepraszam za to najście. Nie powinnam ingerować w wasze kontakty, ale martwię się o Katię. Proszę was, byście zastanowili się nad waszymi zamiarami.

O kurwa, pomyślał Oleg. W co ja się wpakowałem? Nie powiedział jednak tego głośno, tylko podziękował Gulnarze Gajdarownie za jej troskę i obiecał nie skrzywdzić Katii.

Zaledwie tydzień później Gulnara Gajdarowna zadzwoniła do niego. Kiedy dźwięk telefonu wyrwał go ze snu, Antonow, wściekły, wygramolił się z łóżka. Ubrany tak jak zasnął, w slipach, podkoszulku i w skarpetkach, podniósł słuchawkę.

– Halo?

– To ja, Olegu Igorowiczu, Gulnara Gajdarowna. Chciałam tylko wam przypomnieć, że dziś są urodziny Katii. Mam nadzieję, że mogę na was liczyć?

– Aaa – rzucił, ziewając, Antonow, który nie wiedział, co ma powiedzieć, słysząc stanowczy głos kobiety.

Zabrał Katię na dyskotekę. Oboje byli lekko pijani.

Co ja, kurwa, robię z tymi małolatami? – pomyślał, siedząc przy barze.

– A chrzanić to! – krzyknął i, dopiwszy kieliszek wódki, wyskoczył na parkiet, chwycił Katię w pól i kręcił się z nią z impetem. Katia, tańcząc w wysokich

szpilkach, potykała się, co wywoływało ich śmiech, gdy wpadała w jego silne ramiona. W pewnym momencie oparła się o plecy tańczącego w pobliżu żołnierza, który odwrócił się w jej kierunku i mocnym ruchem porwał ją do tańca. Oleg podszedł do niego i chwycił za rękę.

– Ty co?! – zaprotestował żołnierz, odpychając go. Antonow nie dał za wygraną. Odciągnął dziewczynę i stanął naprzeciw tamtego. W tym momencie otrzymał cios głową w nos i pochylił się lekko zamroczony. Adrenalina dodała mu sił. Uchylił się odruchowo przed kolejnym ciosem, a potem intuicyjnie wyprowadził kombinację lewy prosty z prawym podbródkowym. Znokautowany żołnierz runął jak długi na posadzkę. Nie wiadomo skąd, przed Olegiem wyrósł jego kompan, który rzucił się na niego i obaj zaczęli turlać się w uścisku po podłodze. Przez moment Antonow starał się uwolnić z duszącego chwytu napastnika. Był cholernie silny, jakby trenował zapasy. Nagle uścisk osłabł. Antonow dostrzegł, jak napastnik zsunął się z niego bezwładnie, a za nim ujrzał Katię stojącą obok z rozbitą butelką w ręce. Z czoła żołnierza ciekła krew.

Oleg poderwał się na równe nogi, chwycił Katię za rękę i oboje rzucili się do wyjścia. Biegli ulicą, potykając się, kiedy Katia traciła równowagę.

– Katiucha, wskakuj mi na plecy! – krzyknął do niej, nachylając się. – Będzie szybciej niż na tych szpilach.

Śmiała się z całych sił, siedząc mu na plecach i krzycząc: „Naprzód, rumaku!”.

Był jej bohaterem. Antonow swoim analitycznym umysłem starał się ogarnąć to, co się przed chwilą wydarzyło. W myślach liczył warianty tego, jak mógł rozegrać potyczkę i dlaczego dał się zaskoczyć z boku. Nos zaczynał puchnąć i przeraźliwie boleć, a krew zalewała usta. Ale był szczęśliwy.

Gdy Katia zasypiała, po pozbyciu się w toalecie części alkoholu, wtuliła się w niego z ufnością. Antonow dawno nie czuł się tak dumny. Wzruszyła go. Objął ją czule, jakby pierwszy raz doświadczając, czym jest opieka nad kobietą. Zrozumiał, że tego wieczoru dostał nową lekcję. W przypływie wzruszenia i wdzięczności całował ją delikatnie po włosach, a ona uśmiechała się przez sen.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Antonowa siedzącego przy szachownicy. Dostrzegła w jego spojrzeniu rodzaj natchnienia i choć miała ochotę rzucić mu się na szyję i pocałować go w jego opuchnięty nos, milczała, bojąc się poruszyć. Był taki inny, tajemniczy, intrygujący.

– Wstałeś już, kotek? – spytała, gdy ją zauważył. A jej oczy śmiały się do niego.

– Mhm – powiedział. Z powodu opuchniętego nosa głos miał taki, jakby bawił się, niczym mały chłopiec, w przedrzeźnianie.

– Patrę sobie na ciebie, jak grasz w szachy. Wyglądasz niczym natchniony poeta, a nie tak, jakbyś się bawił.

– Ha. – Ucieszył się. – Bo znalazłem fajny wariant w obronie słowiańskiej.

– No tak. – Zachichotała. – Przecież to jakaś głupotka, a masz taką minę,

jakbyś był marszałkiem na polu bitwy. We wszystkie drobiazgi tak się angażujesz? Nawet gdy kroisz chleb?

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– A w ogóle to jesteś prosiaczek z tym nosem.

– Ja ci dam prosiaczka. – Wskoczył do niej i zaczął ją łaskotać pod kołdrą. Próbowwała się bronić, więc stoczyli bitwę na poduszki.

Odczuwał szczęście, nie w teorii, nie w wyobraźni, ale całym organizmem, tak po prostu, fizycznie. Wrócił mu dowcip, dobry humor. Raz, podczas jego obecności w zakładzie fryzjerskim, gdy klient wszedł do lokalu, a Katia była na zapleczu, Antonow wstał i przywitał gościa, sadzając na fotelu. Przykrył go fartuchem i spytał, jak ma strzyc. Mężczyzna spoglądał z lekkim przestraszonym, kiedy Oleg zaczął mu objaśniać, że najmodniejsze w ostatnim tygodniu jest zgolenie pasa pośrodku głowy, aby uczcić w ten sposób rocznicę wybudowania Kanału Białomorsko-Bałtyckiego.

Czasem Oleg pragnął być sam. Potrzebował samotności, swojego eremu. Chciał pozbierać myśli, nazwać po imieniu to, co robi, i określić cel. Nie rozumiała tego. Martwiła się, gdy nie przychodził po nią do zakładu, gdy nie dzwonił. Pragnęła być cały czas przy nim. Lubiła wieczory, kiedy brał ją do kina lub gdy jedli razem kolację. Uwielbiała wspólne spacerować, kiedy opowiadał o swoich przyjaciółkach, o ich wyprawie „Erotobilem” do Derbentu i dalej, aż do Armenii, kiedy mówił o dziadkach, o boksie, futbolu. Tak bardzo było jej żal Fiedki i głaskała Olega po włosach, gdy wzruszony, opowiadał o śmierci przyjaciela. Kiedy odprowadzał ją pod dom i całowała go, mówiąc: „Do zobaczenia, kochany”, czuła, że należy do niej. Wszystko to wydawało się słodką zabawą, dopóki nie zdała sobie sprawy, że jeśli nie spotka się z nim następnego dnia, to już nie będzie to strata miłego wieczoru, ale cierpienie. Ta myśl ją zasmuciła. Bo nadal nie umiała sobie odpowiedzieć na pytanie: czy mogła być w jakikolwiek sposób pewna jego miłości?

– Widzisz – powiedziała mu któregoś dnia – wiem, że kobiety przedkładają karierę nad rodzinę albo że wychodzą za mąż tylko po to, by chwilę potem rozwieść się i zażądać połowy majątku. Nie potrafię tego zrozumieć. Dla mnie najważniejsze jest to, by mieć dla kogo żyć i kim się opiekować.

Kiedy tak mówiła, początkowo wydawała mu się śmieszna, naiwna, prosta. Ale poznając ją coraz lepiej, zdał sobie sprawę, że jest autentyczna, że to jest po prostu jej sposób patrzenia na świat. I wówczas poczuł niepokój. Nie chciał być dla niej ciężarem. Zapytał się sam siebie, czy ma prawo do szczęścia, czy może rzucić żalobę i znów szukać uczuć, emocji, które w ostatnich latach jawiły mu się niczym karykaturalne odbicie w krzywym zwierciadle. Zdał sobie sprawę, że jest jak dziecko, które uczy się chodzić i po pierwszym udanym kroku lekko ustępuje miejsca ekscytacji odczuwanej w obliczu nowego doświadczenia.

Tamtego poranka Antonow miał jakieś wewnętrzne przekonanie, że to

wszystko nie może się udać. Że przegranej partii, jaką było jego życie, nie da się rozegrać jeszcze raz, od początku, na nowo. Chciał jej o tym powiedzieć, chciał ją ostrzec, by nie traciła czasu na coś, co z góry jest skazane na niepowodzenie. Wszedł do zakładu.

– Szukacie Katii, Olegu Igorowiczu? – spytała Maria Władimirowna. – Dziś nie przyjdzie. Chora, została w domu.

– To pójde do niej.

– Widzicie, Olegu Igorowiczu – zaczęła fryzjerka – z Katką to nie taka prosta sprawa. Ona nic nie mówi. Bo to mądra dziewczyna. Dobre dziecko.

– Czego nie mówi? – zdziwił się Oleg i zamknął za sobą drzwi.

– Herbaty wam zrobić? Akurat się woda zagotowała.

– A chętnie się napiję, dziękuję.

– Posłodzić?

– Tak, dwie łyżki.

– Wiele krzywdy jej zrobiono – rzekła kobieta, podając mu szklanę herbaty. – Tam gdzie głęboko w oczach to kryje, ten smutek można dostrzec w jej źrenicach.

– Co wy mówicie, Mario Władimirowna? – zaniepokoił się Oleg. – Kto jej zrobił krzywdę?

– To było trzy lata temu. Parszywy czas. Zanim ją przyjąłem do zakładu, Katia pracowała w lokalu jako kelnerka. Kręciło się tam pełno różnych typów. Teraz jest nie lepiej. No i przyczepił się do niej taki jeden, nazywali go Niemiec, bo miał jasne włosy. Bandzior był z niego, ze swoimi koleżkami terroryzowali miasto. Przychodzili też do mnie, straszili, że lokal spalą, więc im płaciłam. Co miałam robić? Milicji dawali zarobić, więc nie było się komu skarżyć. Tak, tak, nawet Gulnara Gajdarowna nie mogła mi pomóc, choć żona komendanta. Powiedziała tylko: „Mario, boję się z mężem o tym rozmawiać. Już raz kazał mi zamknąć gębę. Tak powiedział do mnie, żebym zamknęła gębę”. Sami widzicie. Nie było na nich siły. Człowiek płakał, a ci mówili: „Mateczko, nie płacz, bo cię zabić będziemy musieli”. No, a Katia miała chłopca, Dime. Przyjaźniła się z nim od szkoły. Przychodził po nią do lokalu, pracował w cementowni. Spokojny, duży, silny chłopak. Mówiła, że uczciwy. Widziałam go kiedyś u siebie w zakładzie, a Katka raz mi zdjęcia pokazała, gdy się u niej na Dzień Kobiet spotkałyśmy. Więc kiedy ten Niemiec zaczął Katię obłapiać, Dima stanął w jej obronie. A że był wyższy od Niemca o głowę, tamten bić się nie zamierzał, wyszedł. Ale wieczorem zaczął się i kiedy Dima z Katką wracali do domu, strzelił do niego z bliska, w brzuch. Boże mój. Nie dało się go uratować, zmarł w szpitalu. Mówią, że karetka za późno przyjechała, a inni, że nie miał go kto zoperować, bo wszyscy lekarze byli pijani. Milicja aresztowała Niemca. Katia była jedyną osobą, która wszystko widziała. Ale zanim doszło do procesu, odwołała zeznania.

– Jak to odwołała?

– Przyszli do niej, tam do pracy, do lokalu. Kto był w środku, wyrzucili precz, a ją zaciągnęli na zaplecze, zbili, zgwałcili, przypalili papierosami skórę. Straszne rzeczy, żal mówić.

– Skąd to wiecie?

– Od Gulnary Gajdarowny. Strzygłam ją kiedyś, a ona zapytała, czy nie dałabym dziewczynie pracy. Jej mąż był wtedy komendantem, zanim szubrawca za sutenerstwo nie wsadzili. Tak sobie myślę, czy sama Gulnara nie zemściła się na nim i nie doniosła na niego gdzieś wyżej. Bo ona kocha Katkę jak córkę. A naszą małą znalazły koleżanki. Miała złamaną szczękę, leżała we krwi. No serce pęka, jak o tym pomyśleć. Przeleżała potem miesiąc w szpitalu. Kiedy przyszła do mnie po raz pierwszy, miała jeszcze sińce na twarzy. Strzyc nie potrafiła, ale nie mogłam jej odmówić po tym, co przeszła.

Oleg przymknął powieki i dłońmi pocierał nerwowo skronie. Oboje zastygli w milczeniu.

– Co się stało z tym Niemcem? – spytał ponurym głosem.

– Zdechł jak pies – odpowiedziała Maria Władimirowna, siorbiąc gorącą herbatę. – Pojechał do Kazania robić interesy. Zatlukli go metalowym prętem. Chociaż tyle sprawiedliwości.

Antonow poszedł nad Wołgę. Był pijany. Położył się na brzegu, pociągnął duży łyk z butelki, po czym wrzucił ją do rzeki i przyglądał się, jak przez chwilę unosiła się na tafli, zanim przechyliwszy się, zatonała. Był piękny jesienny dzień. Woda srebrzyła się, słońce grzało niczym w lecie, choć powietrze było już chłodne. Przez chwilę poczuł się wolny. Ale było to tych kilka sekund, kiedy alkohol wywołał w nim stan podniecenia i bezpodstawnej euforii. Minutę później wpadł w jakąś przedziwną czarną otchłań, która sprawiła, że czuł się tak, jakby na jego piersi ktoś położył ciężki kamień. Zdjął z siebie koszulę, bo miał wrażenie, że się dusi i że całe jego ciało potrzebuje powietrza. I w tym momencie przyszło mu na myśl, że najlepiej będzie się po prostu utopić i skończyć to dreptanie po linie nad przepaścią. Zrzucił z siebie spodnie i wszedł do rzeki. Przeklął siarczyście pod nosem, bo woda była zimna, i pomyślał, że pójdzie szybko. Marzył, aby jego świadomość rozplynęła się w nicości i pozwoliła mu nic już nie czuć. Położył się na plecach i dał nieść nurtowi. A potem, nagle, pomyślał, że ma dla kogo żyć, że szkoda, ale był to moment, kiedy jego świadomość przykrył mrok.

Katia postawiła czajnik z wodą na gazie, by zaparzyć kawę. Jeszcze niedawno zastanawiała się, czy to jest ten moment, w którym może powiedzieć sobie, że znalazła miłość. Teraz znała odpowiedź. Życie wydało jej się takie nieczułe, a ona w nim – śmieszna i żałosna... Para z czajnika uderzyła z całą mocą w gwizdek.

Dziewczyna zamyślona spoglądała przez okno, próbując sobie przypomnieć, jak właściwie wyobrażała sobie miłość swojego życia. To, co przeżywała w tej chwili, wydało się jej takie zwykłe, bez zapachu kwiatów, bez smaku romantycznych pocałunków, bez tęsknoty, oczekiwania, poszukiwania się, pragnienia, pełnych napięcia emocji. A może się myliła... Czajnik podskakiwał na ogniu, a gwizd stał się bardziej intensywny.

Zbudzony ostrym dźwiękiem, Antonow otworzył powieki.

Katia, pomyślał. Co ona tam wyprawia, głowa mi pęka, a ona gwizdze tym czajnikiem jak Czerkasow na peronie.

Kiedy wyszedł do przedpokoju, Katia stała ubrana w biały płaszcz i czerwony beret. Zanim zrozumiał, że dziewczyna nie zamierza po prostu wyjść po zakupy, otworzyła drzwi.

– Co znowu się dzieje? – spytał, trąc z bólu oczy. – Czemu idziesz?

– Następnym razem nie będziesz miał tyle szczęścia i zdechniesz sam jak pies. Miałam pecha zakochać się w tobie, Oleg. Cholerne go pecha.

Odwróciła się i wyszła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Stał dłuższą chwilę bez żadnej konkretnej myśli.

– Kurrrwa, niech ten przeklęty gwizdek przestanie hałasować! – rzucił pod nosem.

Chłodne powietrze owiało jej twarz, przynosząc uczucie orzeźwienia. Katia poczuła ulgę. Potrzebowała raz jeszcze ocenić, zrozumieć, poczuć i nazwać to, czego pragnęła. Ruszyła przed siebie szybkim krokiem, jakby obawiając się, że coś każe jej zawrócić.

Antonow zastygł z czajnikiem w dłoniach, spoglądając przez okno na jej oddalającą się sylwetkę. Potem usiadł na stołku w kuchni i starał się zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Jak przez mgłę dochodziły do niego strzępy obrazów z wczoraj. Wódka, Wołga, woda.

– Puu – parsknął na myśl, że chyba sporo po pijanemu narozrabiał. Nie wiedział, jak z rzeki trafił do swojego łóżka. Dlaczego właściwie żyje. Ale ta świadomość wcale go nie ucieszyła. Pomyślał, że odnajdzie tego, który go wyłowił, kto go na siłę zatrzymał tu, na ziemi, i obije mu mordę.

Przez następne dni Katia walczyła ze sobą, by nie myśleć o nim, by nie czuć fizycznej tęsknoty, by nie czuć rozczarowania, gdy dzwonek zawieszony nad drzwiami zakładu oznajmiał przyjście klienta, lecz nie jego. Zastanawiała się, jak pozbyć się tego klaustrofobicznego uczucia, że świat bez niego to ciasna przestrzeń, w której trudno oddychać. W pracy cały czas czuła rozdrażnienie. Każdy klient był intruzem i miała ochotę kaleczyć ich nożyczkami lub przypalać suszarką. Tęskniła, czuła pustkę i złość. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Oleg się

nie odzywa, czy mu nie zależy, czemu milczy tak obojętnie. Czyżby tak mało dla niego znaczyła? Potem pomyślała, że może znów pije, że potrzebuje pomocy, że z pewnością jest całkiem zagubiony i powinna sprawdzić, co się z nim dzieje. Myślała, że może należy mu dać szansę i że może go wychowa, zmieni, nauczy cieszyć się życiem.

Nie, nie jestem kuratorem, zganiła się za litość, którą poczuła. Niech radzi sobie sam, jest dorosłym mężczyzną.

Postanowiła zabrać od niego wszystkie swoje rzeczy. Nie chciała, by cokolwiek stanowiło łącznik między nim a nią. Po pracy zaszła do swego mieszkania po walizkę i, pełna emocji, ruszyła, by zamknąć za sobą ten rozdział.

Kiedy zapukała, nie otworzył. Szepcząc pod nosem, aby dodać sobie odwagi, odstawiła walizkę i odnalazła klucze w torebce.

– Oleg?! – zawołała.

Mieszkanie było puste. Panował w nim niepokojący porządek: łóżko pościelone, naczynia pomyte. Na regale brakowało jedynie zdjęcia ojca. Za to na środku pokoju stało kartonowe pudło. Katia poczuła ukłucie niepokoju. Z lękiem zajrzała do szafy. Brakowało w niej płaszcza. W szufladach nie było bielizny, którą lubiła mu układać. Usiadła na skraju łóżka. Serce waliło w jej piersi i była bliska płaczu. Zrozumiała, że to, co wydawało jej się tylko teatralnymi gestami z obu stron, nastąpiło naprawdę. Jakby szukając odpowiedzi, jakiegoś znaku od niego, że to tylko żart, otworzyła stojące na podłodze pudło. Były w nim książki i czasopisma, wycinki z gazet, szachownica i duże drewniane pudełko z szachami. Wzięła do ręki pierwsze z czasopism. Na okładce było jego kolorowe zdjęcie, obok zaś napis po angielsku: *Human Brain vs. Supercomputer*. Kolejne czasopisma, wycinki z gazet z tekstami w językach z całego świata, zdjęcia, książki z jego zdjęciami na okładkach... Niektóre po rosyjsku. Katia przeczytała: „Szachowy mistrz świata, Oleg Antonow”. Poczuła w sobie pustkę, zrozumiała, że nie wiedząc o nim nic, nie przebiła się do jego wnętrza, nie postarała dostatecznie i przez to go straciła.

Następnego dnia Katia jak zwykle przyszła do zakładu, ale była nieobecna duchem, i kiedy w końcu Maria Władimirowna spytała: „Katka, co z tobą?”, wybuchła płaczem.

– Znowu się pokłóciliście? Znowu zaczął pić? – dopytywała się Maria Władimirowna. – Co się stało, ptaszyno?

Katia wyciągnęła z torebki czasopismo z Antonowem na okładce i podała je szefowej.

– Wiedziałam, że skądś go znam! – krzyknęła właścicielka zakładu. – Wiedziałam. On był jakiś taki niepokojący w środku, czuło się, że z innego świata... Ech... – Maria Władimirowna dojrzała czerwone od łez oczy Katii. – A ty co? – ofuknęła ją. – Beczeć zamierzasz? Mowy nie ma! Jesteś młoda, piękna, inteligentna! Czego ci brakuje? Niby on co, bóg jakiś? Pokaż go jeszcze raz.

Ładnie wyszedł. Boże mój, to taki ładny chłopiec, jak go nie kochać.

– Mario Władimirowna!

– No co? Zaprzeczysz? Co o nim piszą? A widzisz, w telewizji go widziałam, no, ale skąd mogłam się domyślić, że w Wolsku się znajdzie. No, czego beczysz?

– Bo on wyjechał! Nie wróci, wiem to. Nie wróci. Straciłam go!

– Byłby głupi, gdyby z ciebie zrezygnował! – stwierdziła dobitnie Maria Władimirowna, choć w głębi ducha czuła, że Antonow powrócił do swojego świata i szybko zapomni o Wolsku.

Przez kolejne dni nie działo się nic. Katii wydawało się, że słońce nie powinno wzejść i że na ziemię powinien spaść deszcz meteorów, ale nic takiego się nie zdarzyło. Co dzień rano przychodziła do salonu fryzjerskiego Aleksandria, co dzień strzygła klientów, wymieniała uwagi z Marią Władimirowną, słuchała muzyki, wracała do mieszkania, by zjeść kolację, a potem, leżąc w łóżku, zastanawiała się nad tym, o czym myśleć przed snem, by nie płakać.

Okolo czwartej, kiedy na dworze zrobiło się szaro, do zakładu wszedł Kostia, listonosz, który przytrzymując jedną ręką kosz z bukietem kwiatów, drugą, w której trzymał zeszyt, próbował zamknąć szklane drzwi.

– A to co? – spytała zadziornym głosem Maria Władimirowna. – Księżę jakiś zajechał do Wolska?

Listonosz rozdziawił gębę.

– Dla kogoś to przyniósł? – spytała szefowa, robiąc miejsce na stoliku i wciągając zapach świeżych kwiatów. – Boże mój, jak pachną, w głowie się starej babie zakręci. Postaw no tutaj.

Dostrzegła dołączony do kwiatów list.

– Katia, bierz ten list i nie dręcz duszy.

– A skąd wiecie, że to do mnie?

– Oj, siedź cicho, bo sama otworzę i nie dowiesz się, co pisze.

– To nie do mnie – upierała się dziewczyna.

– Dla kogo to przyniosłeś? – powtórzyła pytanie Maria Władimirowna, zwracając się do Kostii.

– Tu, do zakładu Aleksandria. A do kogo dokładnie, to nie wiem.

Maria Władimirowna otworzyła kopertę i zaczęła czytać:

„Katiu, czy zajęta swoimi zadaniami, rozmową z Marią Władimirowną, której ślę ukłony...”. Grzeczny chłopiec, mam czytać dalej? – spytała Maria Władimirowna. – „...strzyżeniem paskudnych klientów, czujesz, jak moje myśli krążą wokół Ciebie? Anioł, którego wysyłam do Ciebie z poselstwem, zamilkł w zachwycie”. – Maria Władimirowna spojrzała na kuriera, który uśmiechnął się szeroko, ukazując kilka srebrnych zębów. – Dalej nie czytam. – Maria

Władmirowna podała list Katii. – A co on wymyślił z tymi klientami. Dziś faktycznie było kilku paskudnych, szczególnie Kozłów, śmierdzi od niego alkoholem na kilometr i w dodatku skrapia się, Bóg wie czym.

Katia wzięła list i wodziła po nim wzrokiem, czytając:

Katiu, czy zajęta swoimi zadaniami, rozmową z Marią Władimirowną, której ślę ukłony, strzyżeniem paskudnych klientów, czujesz, jak moje myśli krążą wokół Ciebie? Anioł, którego wysyłam do Ciebie z poselstwem, zamilkł w zachwycie, patrząc, jak się krzątasz, a Twoje zamglone marzeniem oczy przemówiły do niego tak znacząco, że nie ośmielił się nic odpowiedzieć. Zastygł w oczekiwaniu, czując Twoje zniecierpliwienie drobiazgami dnia codziennego. Uśmiechnął się na myśl, jak pięknie wyglądasz, gdy zagryzasz usta, pełna sprzecznych emocji... Nie umiem pisać wierszy, nie umiem być jak te gładkie postaci z romantycznych filmów, które lubisz oglądać, trzymając na kolanach miskę z orzechami laskowymi. Jestem upadłym facetem, który może nie dostrzegł czegoś, a może nie chciał... Pusto i smutno. Cisza, dawniej lekarstwo, dziś odbiera coś cennego, nowego. Lubię Cię w każdej z tych chwil, które spędzamy razem, kiedy obruszasz się na moje zachowanie, kiedy jesteś zajęta swoimi sprawami, a ja obserwuję Twoje ruchy, kiedy budzisz się, myśląc, co przyniesie kolejny dzień, i nie wiesz, że Cię podglądam spod w półprzymkniętych powiek, nawet gdy się złościsz. Lubię też, kiedy mówisz do mnie ściszym głosem, miękkim, gdy pytasz mnie o moje marzenia o Tobie... Tak, marzę o Tobie w niegrzeczny sposób.

Myślę, że jesteś wyjątkowa ze swoją wolą, która pomimo tego zła, które Cię otacza, pozwala Ci trwać z nietkniętą duszą. Chciałbym nauczyć się choć cząstki tego cudu od Ciebie, Katiu.

– No i co? Porządny chłopak? – spytała Maria Władimirowna, mieszając w szklance herbatę.

– Kto go tam wie, Mario Władimirowna – szepnęła Katia, czytając w pośpiechu po raz kolejny zdania listu.

Znów zabrał ją na puste rozłożyste łąki, spadające miękko do Wołgi w okolicach Bałakowa.

– Tu, nad Wołgą, upadłem na dno i tu chciałbym coś zmienić.

Kiedy dojechali nad brzeg rzeki, zawinął jej chustkę wokół głowy.

– To jakaś perwersja?

– Daj mi minutkę. – Zaśmiał się.

– No dobrze, minutę, więcej nie wytrzymam.

Wyskoczył z samochodu. Z bagażnika wyciągnął sprawnym ruchem składany stolik, krzeselka, obrus. Nakrył szybko stolik, porozstawiał naczynia, postawił

świece.

– Długo jeszcze?! – zawołała Katia.

– Już – wyszeptał, nachylając się nad nią i całując w usta. – Chodź.

Wyszli z samochodu, Katia odsłoniła oczy.

– Och – westchnęła zaskoczona. – Antonow, skąd u was taki romantyczny nastrój?

– Nie kpij, bo się zawstydzę.

Spojrzała na niego bystrymi oczami, szukając przyczyny jego zachowania.

– Dziękuję za to, że jesteś – szepnął Oleg.

– Antonow. – Przymrużyła oko. – Co kombinujesz?

– Ja? – spytał z niewinną miną. – Nic. To źle, że staram się być romantyczny?

– No cóż. To mi wygląda tak, jakby wilk chciał się zaprzyjaźnić z owcami.

– Owieczko, beee. – Zaczął się wygłupiać. – Beee, pójdziesz ze mną w krzaki na małe fiki-miki?

– Ty nie wilk, ale baran jesteś z tym swoim fiki-miki.

– Nie spieszysz mnie – zaprotestował nagle, wyjmując zapałki i zapalając cierpliwie knoty. – Będę romantyczny.

Płomyki świec chwiały się na lekkim wietrze. Antonow nalał wina. Wołga, oświetlona jedynie bladym światłem księżyca, dostojnie płynęła obok nich.

– Mnóstwo gwiazd nad nami dzisiaj, to też zaplanowałeś? – kpiła z niego Katia.

– „Chwilo, trwaj”, powiedziała Katia i Mefistofeles porwał jej duszę – rzucił Oleg.

– Jaki Mefistofeles? – zainteresowała się.

– W dramacie Goethego Faust ma oddać duszę diabłu, gdy zasmakuje pełni szczęścia i wypowie słowa „trwaj, chwilo, jesteś piękna”.

– I co się stało?

– Faust zakochuje się w Małgorzacie. Bałamuci ją z pomocą Mefista, a potem porzuca. Małgorzata morduje narodzone z ich związku dziecko, popada w obłąd i sama topi się w rzece.

– Mm. – Katia spochmurniała. – Świece zgasły. Zapal, będzie bardziej nastrojowo.

Spojrzała na rzekę i próbowała sobie wyobrazić Małgorzatę topiącą w niej dziecko, a potem zanurzającą się w samotnej rozpacz w ciemną toń.

– I co będzie dalej z nami, Olegu Igorowiczu? – spytała, spoglądając na niego ze smutkiem w oczach. – Przy was ciężko poczuć pełnię szczęścia na dłużej niż pięć minut.

– Ooo – udał oburzenie. – Przepraszam bardzo, ostatnio wyszło nam dobre

dwadzieścia minut. Po alkoholu, jak jestem na luzie, mogę nawet dłużej.

– Naprawdę jesteście baran, Olegu Igorowiczu.

– Beee.

– Zawsze będziesz beczał, kiedy w naszym życiu pojawią się trudniejsze pytania? A może nie będzie „naszego życia”? Myślałeś o tym? Myślałeś o mnie, idąc po pijaku topić się do rzeki?

– Katiu...

– Katiu, Katiu, głupia Katiu, pośmiej się, potańcz, chodź do łóżka. Mam prawo być czasem poważna, mam prawo pytać. Co o mnie wiesz, Oleg? Jesteś zboląły, nieszczęśliwy, podziurawiony, co jeszcze wymyślisz? Jakie słowo znajdziesz, by opisać swoją umartwioną duszę? Bo rzuciła cię jakaś kobieta? I co? Świat się skończył? A może teraz myślisz, że mówiąc tak do ciebie, jestem zimna i nieczuła? Czy znasz moje miejsce za kanapą, w którym znajdowałam ukrycie, gdy świat dookoła wydawał się piekłem? Kiedy czytałam książki, które przynosiła mi Gulnara Gajdarowna, zawsze wybierałam za swoje wzorce postacie sentymentalne, przegrane, samotne. Odchodziłam w mrok, słysząc w oddali nadciągającą burzę. Marzyłam, by wyśniony książkę mnie obserwował, bym nie była dla niego anonimowym nic nieznaczącym przedmiotem, który ominąłby, nie poświęcając mu choćby jednej emocji. Liczyłam, że on doceni, że jestem inna i że nie szukam najprostszych ścieżek. A moje emocje zawsze porywały mnie jak prąd Wołgi, wciągały w wir i rzucały bez ducha na kamienisty brzeg. Rozbita, zraniona, sklejałam to, co wydawało się już rozdarte na milion kawałków: moją duszę. Tak, też kochałam, ale to wszystko zawsze kończyło się beznadziejnie...

Odwróciła głowę. Antonow milczał, spoglądając na nią. Pomyślał, że gdyby miał teraz pierścionek, to z poczucia winy pewnie ukląkłby przed nią i poprosił, by została jego żoną. Ale to przecież nie miałyby żadnego sensu. Przypomniał sobie te chwile milczenia, które często towarzyszyły jego wieczorom z Tanią.

– No dobra, Antonow, przynieś, co tam zrobiłeś do jedzenia – rzekła, odwracając się do niego i próbując się uśmiechnąć.

– Tak, właśnie – podchwycił Oleg i pobiegł do samochodu.

Katia znów spojrzała na rzekę.

– I zobaczysz – rzuciła, kiedy wrócił do niej, niosąc miski z jedzeniem – upiję się. To nie jest tylko twój przywilej. Dziś ja się upiję, a ty będziesz mnie nosił na rękach. Mam dość bycia twoim aniołem.

– Upij się, Katiu. – Antonow zaśmiał się i zastanowił, dlaczego w ostatniej chwili zamiast powiedzieć „kochanie”, zwrócił się do niej po imieniu. Tak bardzo bał się poczuć cokolwiek, co mogłoby później wiązać się z cierpieniem.

Moskwa, październik 1997

Olga Lwowna spojrzała na umieszczone na marmurowej płycie zdjęcie męża, tak bardzo przypominającego jej syna. Na grobie leżały świeże kwiaty. Rozejrzała się dookoła i dostrzegła Olega stojącego kilka metrów od niej, ukrytego pod płaszczem z liści jarzębiny. Powoli położyła swoją wiązaną. Oczy zaszyły jej łzami. Odwróciła się i wyciągnęła przed siebie ręce. Antonow spoglądał na nią, starając się opanować wzruszenie. Wyszedł ze swojego ukrycia. Podeszedł do niej i przytulił ją do siebie.

– Dobrze cię widzieć – szepnęła, gładząc jego policzek.

– Ciebie też, mamó.

– Zeszczupłałeś i włosy gdzieś siwe.

– A, troszkę się pojawiło.

– Chodź, deszcz zaraz lunie, nie będziemy tu stali. Kiedy przyjechałeś do Moskwy?

– Dziś nad ranem. Z Bałakowa.

– To twoje? – spytała, wskazując na torbę.

– Moje.

– Niewiele. No nic. Ugotuję obiad, pewnie jesteś głodny.

Kiedy znaleźli się w domu, Antonow położył się w swoim łóżku i natychmiast zasnął przy dźwięku bijącego o szyby deszczu.

Zbudził się około południa. Usłyszał, jak matka krząta się za ścianą. Wszedł do kuchni, jak dawniej.

– Siadaj, zupa jest gorąca. – Matka podała mu talerz. – Chcesz chleba? Dobry. Razowy.

– Daj.

– Ktoś o ciebie dba? – spytała, siadając naprzeciwko niego.

– Sam o siebie dbam.

– Gadanie. Chcesz tam wracać?

– Tak.

– No to, kim ona jest? Jak ma na imię?

– Jekatierina.

– Katia... Normalna jakaś? Ile ma lat?

– Normalna. Herbaty bym się napił – chciał zmienić temat.

– Podam w salonie. I ciasto mam. Zrobiłam, gdy spałeś.

Uśmiechnął się i jadł z apetytem. Nie męczyła go więcej pytaniami. Usiadłszy w fotelu, zaczął przeglądać leżący na stoliku album. Były w nim jego zdjęcia, artykuły o nim, relacje z turniejów oraz z meczu o mistrzostwo świata. Matka postawiła przed nim talerz z sękaczem i szklanę herbaty.

– No widzisz, to mi teraz zostało, wspomnianie.

Usiadła na sofie, spoglądając na niego w milczeniu. Czekwała, aż skończy oglądać, wiedząc, że wspomnienia muszą zadawać mu ból. W końcu odłożył album. Przez chwilę milczeli.

– Katia jest inna – zaczął Antonow. – Jest pełna życia, pełna wewnętrznego spokoju i pewności, że idzie właściwą drogą. Dobrze ją mieć przy sobie. Czuję przy niej ład. Tak, przy niej czuję wypełniające mnie radość i spełnienie. Jest inteligentna, choć pochodzi z prostej rodziny. Jest w niej taka potężna siła, nie mam pojęcia, skąd ją bierze. I pod tym względem przypomina mi ciebie. No, słowem to wszystko zupełnie inne niż tamto, co było.

– Podoba mi się ta dziewczyna z tego, co o niej mówisz. Jak wygląda?

– Naturalnie. Wesoła, ładna, jej oczy śmieją się, choć czasem doprowadzam ją do łez, jak to ja. Ech tam. Sam nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

– Kochasz ją? – spytała wprost matka.

– Za bardzo jeszcze boli, za bardzo. – Przymknął powieki i próbował uspokoić oddech.

Olga Lwowna westchnęła i uśmiechnęła się do syna.

Upadek Wolsk, maj 1998

W środku nocy Katia obudziła się i ujrzała go, jak siedzi nad szachownicą.

– Oleg, zwariowałeś? Czemu siedzisz po nocy?

– Wiesz, Katiucha, myślałem, czy by nie wrócić do szachów. W Saratowie będzie niebawem turniej, taki otwarty, można się po prostu zapisać i zagrać.

Podniosła się na łokciach.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

Wskoczyła z łóżka i wskoczyła mu na kolana.

– Boże, jak się cieszę. Oleg. Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

– E tam, nie ma z czego, ot, zwykły turniej.

– Że zaczynasz żyć. Znów będziesz pełen energii, radości...

– Katiucha, po co ci taki głupek jak ja? Mm? Zadarty nosku?

– Wiesz, że odmieniłeś wszystko w moim życiu. Już nie potrafię wrócić do domu, by o tobie nie myśleć. Nie potrafię spojrzeć na nikogo innego, nie potrafię wyobrazić sobie, że spotykam się z kimś innym. Jesteś niesympatyczny, złośliwy, wredny, ale cię kocham.

Antonow objął ją mocno i przytulił.

– Ech, Katiucha, Katiucha. – Westchnął i czuł, że ją kocha, lecz nie miał odwagi jej tego wyznać.

Katia widziała w wyobraźni jego triumf, bawiła się myślą, że Oleg zaskoczy wszystkich, wygrywając turniej, i szczęśliwy, powróci do niej. Ale przede wszystkim myślała o tym, że przecież jego wygraną ktoś zauważy, że opiszą to w prasie, powrót mistrza świata nie mógł zostać niezauważony.

Miał zadzwonić, jak tylko dojedzie, opisać hotel, opowiedzieć o wszystkim, czy udało mu się zapisać na turniej, czy zagrają znani zawodnicy.

Okolo wieczora zadzwonił telefon. Rozemocjonowana podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Katia? To ja, Gulnara Gajdarowna. Tego twojego Olega trzeba odebrać z dworca. Dzwonili z milicji.

– Z jakiego dworca? Co wy mówicie, Gulnaro Gajdarowna? Oleg jest w Saratowie. Gra w turnieju szachowym.

– No powtarzam ci, Katiu, siedzi pijany na dworcu. Wybełkotał twoje imię,

ciebie nie zastali w mieszkaniu, to zadzwonili do mnie. Pospiesz się, bo wezmą go do aresztu.

– Jadę po niego. Dziękuję.

W drodze na dworzec Katia wciąż liczyła, że to pomyłka i że to ktoś inny. Przecież Oleg pojechał na turniej, cieszył się na grę, owszem, trochę się denerwował, ale nie zrobiłby jej takiego zawodu...

Antonow siedział na ławce z mętnym wzrokiem. Katia spojrzała na niego z bólem.

– Miał ze sobą walizkę – zwróciła się do milicjanta.

– Takiego go znaleźliśmy. – Wzruszył ramionami. – Bierzecie go czy mam spisywać protokół?

– Nie spisujcie, zabiorę go. Dziękuję.

Podeszła do Antonowa. Spojrzał na nią smutnymi oczami.

– Wstawaj, Oleg, idziemy do domu.

– Wybacz, Katiucha, nawaliłem, nawaliłem, Katiucha, łach ze mnie, rzuć mnie, rzuć, póki czas, bo ściągnę cię na dno.

– Nie gadaj bzdur, tylko wstawaj, pijaku, bo cię zdiełę w łeb. Zebrało mu się na przemyślenia, Boże mój...

Poszli. Kiedy dotarli do domu, Katia rozebrała go i położyła do łóżka. Wyciągnęła butelkę wódki, naląła sobie do szklanki i wypila jednym haustem.

– O Boże mój – szepnęła i rozplakała się, siadając ze wspartą na dłoni głową.

Potem weszła do pokoju i usiadła przy Olegu na podłodze. Kiedy spał, mówiła do niego:

– Wyjść byłoby łatwo, a potem tęsknić za twymi oczami i nie móc sobie znaleźć miejsca. Już tego próbowałam. Śniło mi się, że odszedłeś. Było mi żal. Bardzo. Czułam pustkę. Wiem, że to może nastąpić każdego dnia, wiem. Przecież Wolsk to nie miejsce dla ciebie. Przyjdzie dzień, gdy zapukam do drzwi i nie otworzysz. Czuję, że tak będzie. Nie wiem, co wtedy zrobię. Usiądę na schodach i zacznę płakać. Świat dla mnie umrze. Chyba dziś zdałam sobie sprawę, jak jesteś ważny w moim życiu, jak je wypełniasz. Kocham cię, Oleg. I nic z tym nie mogę zrobić. Nie mogę prosić, byś mnie kochał, nie mogę cię zatrzymać. Nie mam nic do zaproponowania. Jestem zwykłą fryzjerką z dyplomem z uczelni, który leży bezużyteczny w szufladzie. Wiem, że cię stracę. Nie może być inaczej. Któregoś dnia po prostu obudzisz się i zdecydujesz: „wracam”. I wrócisz do swojego świata, do sławy, do zaszczytów, do kobiet, które na pewno były w twoim życiu. W tamtym momencie już mnie nie będzie, nie będzie śmiesznej Katii, fryzjerki z małego Wolska... A zresztą, ty wolisz pastwić się nad sobą, udręczać zboląłą duszę, zatruwać ją jadem swoich myśli, zamiast cieszyć miłością, pozwolić rozgościć się jej w twoim życiu, bo już spisałeś je na straty. Jesteś głupcem i

ślepcem. Rób sobie, co chcesz.

Wolsk, kwiecień 1999

Pomimo porażki przy pierwszej próbie, myśl o powrocie do szachów nurtowała Antonowa przez następne miesiące. Ten pomysł, który zasadził w swojej wyobraźni, rósł w niej, pomimo że nie troszczył się o niego i go nie pielęgnował. Rozkwitał jak dziki kwiat. I pewnego dnia, późnym leniwym popołudniem, gdy czytał pismo, siedząc w fotelu i paląc papierosa, odezwał się nagle do Katii:

– Zimmerman rozważa powrót do szachów i FIDE zmieniło dla niego przepisy. Teraz mecze pretendentów to jeden turniej, kilkudziesięciu graczy naraz, jak w tenisie. Były mistrz świata ma zapewniony automatyczny udział w takim turnieju. Wszystko, byle wrócił...

– No i...? – spytała, malując rzęsy.

– Nic. No tak czytam. Grałem z nim kiedyś. Wygrałem jako pierwszy Rosjanin. To było w Nowym Orleanie. W Ameryce.

– Wiem, gdzie jest Nowy Orlean.

– Wiem, że wiesz. Dla mnie to była wielka rzecz, byłem wtedy jeszcze juniorem. Ciekawe, czy taki Zimmerman miałby dziś szansę. George Foreman po raz drugi zdobył tytuł mistrza świata, nokautując Moorera, gdy miał czterdzieści sześć lat, kto wie...

– Masz znowu niezapłacony rachunek za prąd. Nie zapłacisz, wyłączą.

– Zapłacę. I tak Zimmerman nie wróci do gry. Nie ma już odwagi.

– A ty jesteś lepszy? – spytała, wkładając kosmetyki do torebki.

– Lepszy?

– Masz odwagę?

– Dobrze, cofam to, co o nim powiedziałem. W takim razie to nie kwestia odwagi, ale racjonalnej oceny szans. Po co burzyć swoją legendę?

– Aby poczuć, że żyjesz? Że nie jesteś martwym pomnikiem?

– Mała jaskółka – rzekł, patrząc w okno.

– Co?

– Takie opowiadanie Oscara Wilde'a o jaskółce i jakimś królu, który zszedł z pomnika, aby coś zmienić w królestwie. Nie pamiętam za dobrze.

Wzruszyła ramionami.

– Pójdźmy potańczyć, chcesz? – zaproponował.

– Jak masz się zmuszać...

– Nie, nie będę się zmuszał. Chcesz?

– Chcę.

– No to chodźmy. Lubię czuć się dumny, gdy ze mną tańczysz.

– Głupek.

– Mówię poważnie, zazdrozczą mi ciebie, wiem to. I jestem wtedy cholernie dumny. Nic na to nie poradzę, jestem próżny i chwale się, że mam taką piękną dziewczynę.

– A żebyś wiedział. – Zaśmiała się, wyjęła mu z rąk czasopismo i usiadła na kolanach. – Ech, ty, ty, czarusiu. Muszę ci podciąć włosy. – Zmierzwiała mu czuprynę. – Pewnie, że ci zazdrozczą.

– Chodź się kochać, podniecasz mnie.

– Ha, ha, ha, po tańcach. Po seksie się rozleniwisz i nigdzie nie pójdziemy, a tak nakręcisz się jeszcze bardziej, gdy zobaczysz, jak kręcę tyłeczkiem.

– Już jestem nakręcony. Jak mały samochodzik na kluczyk.

– Ale głuptas.

– Zjem cię.

– Gdybyś wrócił do szachów, podniecałbyś mnie bardziej. Kochać się z arcymistrzem... To brzmi zmysłowo. Idziemy tańczyć.

Po tańcach całowali się, lekko pijani, gryząc się i śmiejąc, gdy zrzucali z siebie w pośpiechu ubrania. Kiedy leżeli, nadzy, spełnieni, Antonow zapalił papierosa.

– Czuję się, jakbym zdobył świat.

Zapadła cisza.

– Oleg...

– Mmm.

– Te zmiany, o których mówiłeś, te w szachach...

– No?

– Co oni tam zmienili? Mówiłeś, że coś zmienili dla tego Amerykanina.

– Tak, byli mistrzowie świata mogą grać w meczach pretendentów.

– A co to oznacza?

– To, że gra się już na najwyższym poziomie, praktycznie o prawo gry o mistrzostwo świata.

– Czemu to zrobili?

– No, żeby wrócił do szachów, bo on przyciągał dziennikarzy, sponsorów. To była gwiazda. Nigdy później nie mieli nikogo takiego. Ale facet zwariował. Dołączył do jakiejś sekty, zaszył się gdzieś, nie wróci.

– Oleg...

– Mmm?

– Przecież ty też byłeś mistrzem świata.

– No i?

– Więc ty też możesz znowu zagrać w takim turnieju.

Zapadło milczenie. Za ścianą słychać było włączony telewizor sąsiada. Bała się poruszyć, w napięciu czekając, co powie. Wstał z łóżka i otworzył okno. Oparł się o parapet i stał nagi, wciąż milcząc. Po chwili zgasił papierosa. Chłodne powietrze wpłynęło do pokoju.

– Przeziębisz się, kotek – odezwała się niepewnym głosem. – Wracaj do mnie. No chodź. Obraziłeś się?

Usiadł na skraju łóżka i obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem. W końcu ponownie wstał, zamknął okno i wsunął się pod kołdrę.

– Zrobisz mi jutro rosół. Muszę nabrać sił przed grą.

– Zrobię, kotek, ugotuję dla ciebie całe wiadro rosółu.

Powrót Wolsk, sierpień 1999; 30 dni do turnieju pretendentów w Eliście, Kałmucja

Mówiono mi, że przesiadujesz tu z babami. – Denisow wtoczył się z walizką do salonu fryzjerskiego. – Nie chciałem wierzyć. – Mój Oleg? Niemożliwe.

– Alosza! – wykrzyknął Oleg na widok przyjaciela. – Ożeż, ale się wzruszyłem. Jak dobrze cię widzieć. Co za niespodzianka, miałeś być dopiero jutro. To mój trener, przyjaciel Alosza Denisow – przedstawił gościa.

– Przyjaciel Alosza nie zauważył chyba, że ma do czynienia z damami, a nie z babami – rzuciła Maria Władimirowna, spoglądając na niego wymownie.

– Czyżbyś tu ostrzył, Oleg, swoje szachowe riposty – zwrócił się do ucznia Denisow – wzorując się na ciętym dowcipie tych dam?

– Moja najbliższa przyjaciółka, Maria Władimirowna, i moja Katieńka – przedstawił obie kobiety Oleg.

– Całuję dłonie szanownym paniom Olega. – Denisow ukłonił się z przesadną uprzejmością.

– Zauważyłaś, Katka, jak ci starsi panowie nie dbają o włosy? – rzuciła niby nic Maria Władimirowna. – Ech, szkoda gadać.

W odpowiedzi Denisow usiadł na fotelu dla klientów i spojrzał uważnie w lustro.

– Czy można się u was ostrzyc? – spytał niby nic.

– Katka, ostrzyż strudzonego podróżą obywatela z wielkiej Moskwy. – Maria Władimirowna kiwnęła głową.

– A czy starszy pan – odezwał się Denisow – może prosić uroczą kierowniczkę o pokazanie mu, jak należy dbać o włosy, aby wyglądać przystojnie jak Wiaczesław Tichonow?

– Wy co najwyżej możecie wyglądać jak Jewgienij Leonow – odburknęła niezadowolona Maria Władimirowna. – Nałóżcie uszanke i możecie z miejsca rozdawać autografy.

– Wam już mogę dać, złociutka – odparł, chichocząc, Denisow, któremu brakowało ostatnio takich wesołych rozmów.

– Co znowu dać? – Maria Władimirowna się skrzywiła.

– No, autograf, nie całusa. – Denisow puścił oko do Katii i Olega.

– Jakiego znowu całusa? – oburzyła się właścicielka zakładu i specjalnie

ścisnęła szyję Denisowa pelerynką tak, że z trudem złapał oddech.

– No jak to? – wydusił z siebie. – Oleg pisał mi, że widzieliście moje zdjęcie. Że tak się mną zachwyciliście, aż poprosiliście go, żeby mnie tu ściągnął pod byle pozorem.

– Co wy? – Maria Władimirowna zerknęła przestraszona na Olega. – Pijani?

– No to jestem – dokończył Denisow i poluzował sobie nieco materiał wokół szyi.

– Olegu Igorowiczu, co on bredzi? Chyba nie zrobiliście czegoś takiego? – spytała niepewnie kierowniczką.

– Jestem, Mario Władimirowna, cały wasz jestem – podchwycił Denisow, widząc zmieszanie fryzjerki, a oczy błyszczały mu z radości. – Prosto z Moskwy przybył wasz słodki Leonow.

– Olegu Igorowiczu, nie zrobiliście tego?

– Czego, Mario Władimirowna?

– Nie nagadaliście takich głupot?

– No jasne, że nie. Alosza was prowokuje.

– Katka, podaj mi brzytwę – rzekła spokojnym tonem właścicielka.

Denisow uniósł brwi i zamknął powieki na znak, że poddaje się wszystkiemu, co z nim robi.

– Cudowna kobieta – westchnął rozradowany, gdy ostrzyżony opuścił salon fryzjerski Aleksandria.

– Kto? Katka?

– Maria Władimirowna. Twoja Katka też niczego sobie, jak to mówią, tyłeczek na sprężynkach.

Katia gotowała kolację, kiedy przy otwartej butelce wódki siedzieli obaj nad szachownicą i dyskutowali.

– Turnieje są absurdalne – tłumaczył Denisow. – Żeby „uatrakcyjnić” szachy, wymyślono regulamin jak w tenisie, dwa sety, partia białymi, partia czarnymi i przegrany odpada. A jak są dwa remisy, to dogrywka: dwie partie najpierw z dwudziestopięciominutowym czasem, a potem dwie w blitza. Koszmar. Ale być może tym młodym się to podoba. Dla mnie to już inna gra.

– To jakie mam szanse? – zaniepokoił się Oleg. – Nie chcę zrobić z siebie pośmiewiska i odpaść w pierwszej rundzie.

– W Eliście nie gra kilku silnych graczy. Wylosowali drugi turniej, w Rio de Janeiro. Zwycięzca z Elisty i zwycięzca z Rio zagrają w Moskwie finał o prawo gry z Romancewem. Więc już masz trochę szczęścia, że dwóch, trzech faworytów nie zagra przeciwko tobie. Zresztą, najważniejsza jest wiara w siebie, oczywiście poparta trzeźwią oceną własnych możliwości – podsumował Denisow, zagryzając

ogórkiem kiszonym wypitą szklanke wódki. – Jeśli nie czujesz, że zmieścisz ich z deski, będzie ci ciężko grać.

– Kto jest, tak ogólnie, faworytem?

– Sasza Arsawin. Wszedł ze szkoły Zwieriewa. To taki młody ty sprzed lat. Gra dynamicznie, ostro, bezkompromisowo. Jest dobry, w takim, bym powiedział, sportowym stylu. Ale wiesz, Oleg Antonow rodzi się raz na trzydzieści lat. Tak to sobie policzyłem. Więc Arsawin nie ma tego czegoś, tego magicznego daru, który ty posiadasz, który sprawiał, że mrówki łąziły mi wiele razy po plecach, gdy siedziałem na widowni i obserwowałem twoje partie. Zresztą Arsawinem się nie przejmuj. Gra w Rio de Janeiro. Jeśli sobie poradzi i dotrwa do finału, to tam, w Moskwie, będą cztery partie, minimecz.

Do pokoju weszła Katia, niosąc jedzenie.

– A ja mam dobre przeczucia. – Zmarszczyła nosek, siadając przy Olegu. – Bylebyś nie pił.

– Będzie mądry i nie będzie pił. – Denisow spojrzał niepewnie na Olega.

– Mądry to ja nie jestem – zaprzeczył Oleg. – Od tego jest Katia. Ja mogę być co najwyżej natchniony.

Elista–Wolsk, wrzesień 1999 turniej pretendentów

Zastanawiał się, czy przyjeżdżając do Elisty, nie zakłócił porządku rzeczy, nie zmienił jakiegoś naturalnego biegu zdarzeń, który – jak sądził – kierował go w stronę szukania wewnętrznego wyciszenia, porzucenia aktywności, zadowolenia się drobiazgami.

– A wy kto? – spytał sędzia, udzielający akredytacji.

– Ja? Uczestnik turnieju.

– A nazwisko?

– Antonow. Mistrz świata. Były mistrz świata...

– To naprawdę wy? – Sędzia podniósł się z fotela, spoglądając na Olega z zafascynowaniem.

Oleg wzruszył ramionami.

– Gdzie podpisać?

– Tu, mistrzu. – Sędzia podał mu listę zawodników.

Co ja tu robię? – pomyślał Oleg, spoglądając dookoła na dziesiątki młodych szachistów. I nagle stracił poczucie pewności siebie. Pożałował, że porzucił swoje bezpieczne miejsce, przeraził się, że utraci cały splendor mitu niepokonanego mistrza, który bez porażki sam odszedł w szachowy niebyt.

W pierwszej rundzie wylosował Chińczyka Li, o którym nigdy wcześniej nie słyszał. Ranking zawodnika z Chin plasował go w okolicach sto dziesiątej pozycji na światowej liście szachistów.

– Beznadziejne to było – podsumował Denisow, popijając herbatę w salonie fryzjerskim Aleksandria. – Grał jak przestraszony junior. Jak tak dalej pójdzie, pochowacie mnie tu, w Wolsku, bo serce nie wytrzyma.

– Łatwo krytykować, jak się siedzi i popija herbatkę – burknęła Maria Władimirowna.

– Krytykuję, bo mnie nerwy zzerają – odciął się Denisow. – Kocham chłopaka i całe te ostatnie lata marzyłem, by wrócił do gry.

– Gadanie – prychnęła Maria Władimirowna. – „Marzyłem”. Gdyby nie Katka, siedziałby gdzieś pod trzepakiem i wódkę pił.

– Boże, co za kobieta! – Denisow westchnął. – Toż nikt nie umniejsza waszych zasług. Ale grał słabo i martwię się. Poza tym, między nami, Oleg nigdy nie grał dobrze w turniejach. To nie była jego mocna strona.

– Dopiero teraz o tym mówicie? – rzuciła Katia zmartwionym głosem. –

Gdybym wiedziała, nie namawiałabym go na powrót. Po porażce się załamie.

Denisow spuścił głowę. Wiedział, że te pierwsze partie były grane na słabym poziomie i Oleg wygrał je jedynie dzięki błędom przeciwnika.

W drugiej rundzie naprzeciw niego usiadł zaledwie czternastoletni arcymistrz, Siergiej Kirienko. Młody Rosjanin z amerykańskim paszportem wsławił się rekordem Guinnessa jako najmłodszy w historii gracz, któremu przyznano arcymistrzowski tytuł. Miał wówczas dwanaście lat.

– Zahipnotyzował dzieciaka i tyle – podsumował Denisow, komentując dla Katii przebieg partii. – On to potrafi.

– Coś na ten temat wiem – przytaknęła Katia, nakładając farbę na włosy klientki.

– Ale niech tak będzie. Byle wygrywał. Może znów w siebie uwierzy. W końcu nasz Oleg zaczyna myśleć jak stary wyga. – Denisow pierwszy raz pochwalił ucznia.

– Miał dobrego nauczyciela. – Maria Władimirowna puściła do niego oko.

Po zwycięstwie nad Kirienką Oleg poczuł, że turniej zaczyna go wciągać. Poczuł się na tyle pewnie, że przestał się obawiać porażki. Zresztą w trzeciej rundzie zagrał z dobrze sobie znanym Makarowem, który jako nieliczny ze starej gwardii utrzymał się jeszcze w turnieju.

– Rozmawiałam z nim przed godziną, wszystko mi opowiedział – obwieściła radośnie Katia, wchodząc do zakładu.

– Nie miałem wątpliwości, ani przez minutę – rzekł spokojnie Denisow. – Zawsze tłuł Makarowa. Jak przeciwnik komuś leży, to nie ma mocnych, łatwo się go pokonuje.

– Katka – odezwała się Maria Władimirowna. – Idziemy z Aleksiejem Eduardowiczem na spacer, pokażę mu miasto. Powiedz Oksanie, jak przyjdzie, żeby odebrała farby i posprzątała na zapleczu.

W czwartej rundzie Antonow równie gładko pokonał bardzo silnego arcymistrza z Bułgarii, Weselina Mładenowa dwa do zera.

Denisow dolał wódki do herbaty.

– Cholera, coraz gorzej znoszę stres – przyznał się. – Im bardziej zaczynam w niego wierzyć, tym większe ogarnia mnie zdenerwowanie i bez spirytusu ani rusz.

– Dawajcie, Aleksieju Eduardowiczu, napiję się z wami – rzekła mocnym głosem Maria Władimirowna. – Mnie też bierze zniecierpliwienie, że tyle rund, a człowiek czeka i myśli, co tam się dzieje.

W piątej rundzie Olegowi przyszło się zmierzyć z mistrzem Holandii van

Loekiem, który uchodził za jednego z faworytów. Po dwóch ciężkich dla Antonowa remisach doznał pierwszej porażki, w dogrywce z przyspieszonym czasem gry. W partii tej van Loek potwierdził swoje nieprzeciętne umiejętności. Znakomicie rozegrał debiut, później zgrabnie, z nieukrywaną maestrią zrealizował uzyskaną przewagę. Antonow był pod wrażeniem gry rywala i zrozumiał, że ta partia ujawniła jego słabości wynikające z długiej przerwy w grze.

W kilkuminutowej przerwie pomiędzy partiami zadzwonił z komórki do Katii, kryjąc się przed deszczem pod małym daszkiem. Telefon nie odpowiadał. Ostatnia nadzieja na opanowanie chaosu, jaki w sobie nosił, wydała mu się stracona. Nagle jego myśli przerwał dzwonek. Odebrał.

– Halo? – spytał.

– Dzwoniłeś – usłyszał głos Katii.

Oleg milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Przegrałeś, tak? – zapytała spokojnie.

– Tak – odpowiedział, nie wiedząc, czemu mówi to ze wstydem.

– Już koniec?

– Nie, gram jeszcze jedną partię.

– To czemu się martwisz? Przecież ją wygrasz, bo jesteś mistrzem świata.

– Ech, Katia... Byłem mistrzem.

– Nikt cię dotąd nie pokonał, sam oddałeś tytuł. Bierz z powrotem, co twoje. Nie ma siły, żebyś nie wygrał, wyśniłam to.

O poranku zadzwonił telefon komórkowy. Antonow wybiegł nagi spod prysznicza.

– Halo?

– To ja.

– Witaj, Katiu.

– Dzwonię, by dowiedzieć się, jak tam twoje sprawy i w ogóle, jak sobie radzisz.

– Gram dziś finałową rundę z Angadem Poorem. A ty?

– Myślisz o mnie?

– Tak, myślałem przy śniadaniu. No i teraz, kiedy stałem nagi pod prysznicem.

Milczała.

– Wracam do pracy. Chciałam tylko usłyszeć, że u ciebie wszystko dobrze.

– Tak. Wszystko dobrze.

– To pa.

– Pa.

Przerwała rozmowę. Antonow poczuł na sercu ciężar.

To musi się skończyć, inaczej nie będę mógł grać, pomyślał zły.

W szóstej, finałowej rundzie Antonowowi przyszło się zmierzyć z rewelacyjnym liderem list rankingowych Angadem Poorem. Podobnie jak poprzednio Oleg znów zaskoczył wszystkich wyborem debiutów i podejściem do gry. W pierwszej partii zagrał, niegrywaną nigdy wcześniej przez niego czarnym kolorem, obronę berlińską w partii hiszpańskiej i Poor nie znalazł pomysłu, by złamać jego fortyfikację. W drugiej, grając białymi, zastosował dla odmiany partię wiedeńską, którą grywano na turniejach w dziewiętnastym wieku. I znów, jak w poprzednich rundach, zauważył, że przeciwnik szybko traci pewność siebie, że zadziorność, z jaką siadał do szachownicy, ulatuje, a na jej miejsce pojawia się lęk przed skarceniem ze strony dawnego mistrza. Nieoczekiwanie dla wszystkich Antonow awansował do moskiewskiego finału.

Wolsk–Moskwa, luty 2000; 8 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Antonow spojrział na nią nieprzytomnymi oczami. Zsunął się na podłogę. Leżała już tam pusta butelka. Katia ze łzami w oczach pochyliła się na nim. Objęła jego głowę i przytuliła.

– Ty mój depresyjny pijaku. – Westchnęła. – Czy zgodzisz się, bym z tobą pojechała?

– Posłuchaj, Katiucha – wybełkotał Antonow. – Raz już pojechałem tak na turniej w Dubrowniku, wyszło fatalnie. Siedziałem przy szachownicy i myślałem, czy moja pani się nie nudzi, że za długo gram. Nie chcę tego powtarzać. Jestem mężczyzną, kurwa, i mam do wykonania zadanie. Potem możemy wszystko obgadywać, gadać, co nam ślina na język przyniesie. Ale teraz jadę na podbój Moskwy. Zdobędę Moskwę albo wrócę w kawałkach, Katiucha, i znowu ze swojej apteczki będziesz musiała powymmować plasterki i bandaże, żeby mnie poskładać w całość.

– Wiem – szepnęła Katia. – No przecież wiem.

– Wiesz? To dobrze, że wiesz. Bardzo dobrze.

– Myślałam, że jak będę blisko...

– Jak będziesz blisko, to potrafię zabić. Nie wiem, co będzie się ze mną działo, nie wiem, i powiem ci, że naprawdę nie mam zamiaru zaprzętać sobie tym głowy.

– Więc nic dla ciebie nie znaczę?

– Już się zaczyna...

Spojrzała wielkimi oczami.

– Mam dość – rzekł nieczule. – Mam tego po prostu dość.

– Mnie?

– Idę się przejść, na spacer. – Powstał z trudem, a ogarnęła go taka wściekłość, aż bał się, że jeśli nie wyjdzie, to nawrzuca jej i nie będzie już do czego potem wracać. – Przejdę się, zanim cię zamorduję. Trochę wytrzeźwieję.

Po kilku nieudanych próbach, przy których kłął siarczyście, włożył w końcu płaszcz i chwiejnym krokiem ruszył po schodach. Kiedy był już na podwórzu, usłyszał jej wołanie:

– Oleg!

Odwrócił się. Katia podbiegła do niego.

– No co? – Wzruszyła ramionami. – Póki jesteś, możemy iść na spacer razem. Ech, ty pijaku.

– Racja – odrzekł i pocałował ją w rękę.

Podczas spaceru milczeli. Nie chciała, by słowa, które w tym momencie wypowiedzą, stały się w przyszłości barierą nie do przejścia. Lepiej było milczeć. I wieczór minął spokojnie. A Antonow zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje, że kiedy staje przed szansą na ponowne życie, wszystko staje się tak trudne. Czuł się słaby, bardzo słaby i bardzo zmęczony.

Katia uczyła się życia bez niego. Nie wyobrażała sobie, jakie to będzie trudne, nie umiała mu pomóc, zdała się na swój instynkt, tylko to mogła zrobić. Podświadomie obawiała się, że już do niej nie powróci. Ale nie żałowała tego, że dała mu wybór. Wcześniej czy później odszedłby albo zapił się na śmierć. Nie był stworzony do tego, by żyć jako anonimowy mieszkaniec Wolska.

Nie chcąc spędzić popołudnia sam, przyszedł do zakładu. Dostał herbatę, usiadł w kącie z laptopem i studiował nowinki debiutowe. Katia strzygła klienta, a on przyglądał się jej zgrabnym ruchom. Dostrzegła w lustrze jego wzrok i posłała mu dyskretnie buziaka. Wracali do domu brzegiem rzeki.

– Będiesz znów znany – zaczęła. – Będą o tobie pisać w gazetach. Nigdy nie zwracałam uwagi na to, że jesteś sławny. Nie wiedziałam o twoich sukcesach, kiedy cię poznałam. Teraz znów się wszystko zmieniło.

Oleg milczał, patrząc na lecące w górze żurawie.

– Pamiętasz? Opowiadałaś kiedyś, jak trudno ci uwierzyć, że lecą tak kluczem, przez nikogo nieuczone.

– Pamiętam. Będę tęsknić.

Irytowała go. Nie czuł wzruszenia, tylko zniecierpliwienie. Miał inne cele. Jego myśli krążyły już wokół finału z Arszawinem. Wieczorem oglądała w telewizji program rozrywkowy. Antonowa ze stresu bolała głowa. Wyrzucał sobie, że cały dzień nic nie zrobił, że nie potrafił się zebrać. W dodatku przegrał dwa blitze z programem komputerowym i naszyły go myśli, że nie nadaje się do gry z tak silnym graczem jak Arszawin. Nienawidził programów komputerowych. Teraz, dzięki nim, byle jaki gracz mógł znaleźć rozwiązania na miarę mistrza świata. Absurd. Zezłościł się na dobre. Wślizgnął się do kuchni i wyjął z lodówki wódkę. Upewniwszy się, że Katia go nie widzi, nalał sobie dobrą szklankę i zagryzając tym, co znalazł na kuchennym blacie, wypił jednym haustem. Pomyślał przez chwilę, że pewnie zrobił błąd, wracając do życia.

Katia słuchała muzyki i klęcząc na fotelu, kręciła rytmicznie pupą.

Antonow poczuł, że aby przetrwać ten wieczór, trzeba by wypić chyba całą butelkę. Nagle przyszło mu na myśl, że upije się tu, w kuchni, na złość jej. Niech gapi się w ten cholerny telewizor i kręci dupą, kiedy cierpię, pomyślał ze złością. A jeśli sądzi, że pracuję nad obroną słowiańską, to się przeliczy, kontynuował w duchu, nalewając kolejne porcje wódki i z trudem trafiając do ust szklanką trzymaną w drżących dłoniach. Niech wie, z kim się zadaje, śmiał się pod nosem. Odechce jej się pieprzonych geniuszów. Napił się i było dość. Położył się na podłodze, zdejmując z siebie koszulę. Niech się pieprzy i zamartwia, głupia dupa, pomyślał i zasnął.

Obudził się z bólem głowy dokładnie w miejscu, gdzie zasnął poprzedniego dnia. Plecy bolały go od zimnej i twardej terakoty. Z trudem podniósł się, rozmasowując krzyż, który bolał nie mniej niż głowa. Zdążył jeszcze wypić wodę prosto z czajnika i zawlókł się do łóżka. Po Katii nie było śladu.

No i dobrze, pomyślał. Niech spieprza czesać kudły. Padł na zimną pościel, nie rozumiejąc, jak mogła wczoraj wyjść, zostawiwszy go w kuchni na zimnej posadzce z terakoty. Zawsze odchodzą, gdy się ich potrzebuje, przemknęło mu przez głowę i znów zapadł w bezmyślną ciemność, choć tym razem ból głowy nie pozwolił mu na przyjemny sen.

Katia nie odzywała się cały dzień. Będąc pewny, że w końcu usłyszy dzwonek do drzwi lub odgłos przekręcanego klucza w zamku, bez przekonania przeglądał partie z Linares i Wijk aan Zee.

Pod wieczór znowu wpadł w złość. Uznał, że po tym, co przeszedł w swoim życiu, nie powinna się tak wobec niego zachowywać i w ogóle jest „pieprzoną egoistką”, skoro jest jej obojętny i on, i mecz, i wszystko. Tym razem nie pił. Po bezbarwnych blitzach, w których bez większego sensu wypróbował najbardziej nieprawdopodobne kombinacje, leżał, nasłuchując jej kroków. Nie przyszła, więc zasnął, utwierdziwszy się w przekonaniu, że lepiej było zapić się powoli na śmierć, niż podejmować żałosne próby powrotu do żywych.

W końcu nie wytrzymał i poszedł do zakładu fryzjerskiego. Katia strzygła klientkę. Kiedy wszedł, uśmiechnęła się do niego tak uroczo, że nie było w tym ani odrobiny złośliwości, cynizmu lub wymówki. Antonow usiadł w kącie i patrzył na dziewczynę, nie wiedząc, co ma właściwie zrobić. Do zakładu weszła Maria Władimirowna, której Antonow otworzył drzwi, bo ręce miała zajęte torbami pełnymi zakupów.

– Dziękuję, Olegu Igorowiczu. – Co tam u was? Jak przygotowania do meczu?

– Aaa oryginalnie – rzekł, spoglądając na Katię.

– Napijcie się herbaty? – sapała szefowa.

– Z wielką przyjemnością, dziękuję.

– Już robię – rzekła i stanęła przed klientką, przyglądając się pracy Katii. – Olgo Wasiljewna, a nie myślała pani, by czesać się na bok? – spytała kobietę, którą obsługiwała Katia.

– Macie rację. Spróbujmy na bok – odparła Olga Wasiljewna, przyglądając się sobie w lustrze.

Kiedy Katia skończyła pracę z klientką, zamiatając włosy z podłogi, spytała Antonowa:

– Jadłeś coś?

– Nie.

– Mam przerwę, to zjemy w barze.

Antonow przytaknął bez słowa i wyszedł za Katią, ubraną w biały płaszczyk.

– Pomóc ci się spakować? – spytała, gdy siedzieli naprzeciw siebie w barze.

Nie odpowiedział.

– Będziesz pewnie kupował w Moskwie nowe garnitury. Chyba że chcesz, byśmy poszli tu razem coś wybrać.

– Kupię w Moskwie.

– No to dobrze. Jak wszystko gotowe, to powodzenia, Oleg.

Katia wzięła swój płaszcz, torebkę i ruszyła do drzwi. Odwróciła się i rzekła:

– Poradzisz sobie. Wiem, że sobie poradzisz, bo nawet jak leżysz na deskach, nie złamią cię.

Antonow został sam. Siedział zaskoczony i zastanawiał się, czy swoim zachowaniem zrobił jej przykrość.

– No i chuj. Spakuję się sam – mruknął zły, że ma wyrzuty sumienia.

Pakowanie uświadomiło mu, że przez ostatnie lata cały jego dorobek mieścił się w starej skórzanej walizce. Z odrobiną nostalgii pozostawiał za sobą puste mieszkanie, w którym szukał ciszy, w którym nocami nasłuchiwał kapiącego deszczu, w którym kochał się z Katią.

Od świtu Katia nasłuchiwała w napięciu sygnału telefonu. Nie zadzwonił.

Oleg wyszedł z mieszkania, zszedł na dół, wszedł do taksówki i pojechał na dworzec. Nie obchodziło go, co pomyśli Katia. Był wolny i chciał poczuć smak tej wolności. Te milczące dni z Tanią, chwile pełne napięcia, nieprzespane noce i ciągle poczucie, że go oskarża... Nie chciał przechodzić przez to jeszcze raz. Za wiele tych strasznych emocji. Jechał teraz przed siebie, nie czując potrzeby, by się z czegokolwiek komukolwiek tłumaczyć. Bał się, że straci ten spokój, o który tak ciężko walczył, uciekając przed demonami wspomnień. Stawka była zbyt duża, żeby się bawić w eksperymenty, próbować po raz kolejny grać o wszystko. Już kiedyś stracił życie, wygrywając, co miałby zdobyć teraz? Co było warte utraty tego schronienia, które odnalazł? I nagle ze smutkiem i lękiem zdał sobie sprawę, że nie pozostawił sobie odwrotu i że nie zazna spokoju, wycofując się teraz, bo resztę życia będzie roztrząsał tę decyzję. Zresztą przez tę cholerną dziewczynę uwierzył, że można budować normalne relacje. I wszystko to okazało się bez sensu.

Tamtego dnia o poranku niebo wydało się Katii całkowicie pozbawione jakiegokolwiek barwy.

– Nie umiem kłamać – szeptała do siebie. – Taka już jestem. Oddałam mu swój świat, a on go spakował do walizki i wyjechał, pozostawiając mi bezbarwne niebo. Widocznie zabrakło mi sił i nie zasłużyłam, by z nim być, albo wymagał ode mnie zbyt wiele.

Pociąg do Moskwy wjechał na peron. Katia spojrzała na niego, jakby licząc, że powie „jedź ze mną” lub „zostaję”. Milczał. Poprawiła mu kołnierz płaszcz.

Nie wiedział, co jej powiedzieć.

– Kocham cię, bardzo mocno kocham – rzekła, gdy wsiadał do wagonu. – Kiedy tam będziesz sam, pamiętaj o tym. Będę czekała...

Ale ani przez chwilę nie wierzyła, że wróci. Wsiadł i zatrzasnął za sobą drzwi od wagonu. Broda zaczęła się jej trząść z nerwów, a potem zalała się łzami. Makijaż całkiem się rozpułnął.

Wiaczesław Jewgienijewicz dał znak do odjazdu pociągu, po czym podszedł do Katii.

– Nasz mistrz jedzie zawojować świat. Co za historia.

– Tak. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Świat...

Katii wydało się niewiarygodne, że życie może toczyć się dalej, jak gdyby nigdy nic. Nie mogła zrozumieć, dlaczego znów została sama. Wiedziała, że on jest na szczycie, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego nie było dla niej miejsca choćby w ukryciu, lecz obok... Spojrzała w lustro.

– No dobrze – powiedziała do swego odbicia. – Jestem sama. Trzeba to

zrozumieć, otrząsnąć się i zacząć od nowa. – Uśmiechnęła się, a w jej oczach zabłyśły łzy.

– Słuchaj no, dziewczyno – odezwała się do Katii Maria Władimirowna. – Stara baba ze mnie, ale dziś zrobię z siebie łaskę i zabiorę cię gdzieś, żebyśmy zaszalały, bo niedobrze mi się robi, kiedy patrzę na ciebie, jak obnosisz się z żałobą.

Katia zastanawiała się, co dalej, gdy nie było go już w jej życiu. Czy ma szukać czegoś nowego, czy wypełniać pustkę wspomnieniami, czy zająć się codziennością, czekając, aż czas uleczy ją z tęsknoty? A tęskniła bardzo. Chciała jego dotyku, potrzebowała głosu, bliskości. Pragnęła dotknąć jego włosów, marzyła, aby ukryć się przy nim w nocy, gdy wtulała się plecami w niego, z podkurczonymi nogami, a on przyciągał ją do siebie, obejmując wpeł.

A potem pomyślała, że powinna była uciec od niego dawno temu, gdy miała dość jego zmiennych nastrojów, depresji, upijania się.

– Łzy rozczarowania oczyszczą – szepnęła. – I pozostało czekać na następną próbę.

Paryż, luty 2000; 4 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Romancew siedział w salonie z laptopem na kolanach. Spoglądał na partie Antonowa z Elisty. W każdym posunięciu dostrzegał odbicie jego duszy. Szukanie aktywności, pasja, ale jednocześnie niepewność, czasem dystans do siebie i życiowy spryt, którego kiedyś jego grze brakowało. Romancew widział świetnego szachistę, lecz również człowieka, na którym doświadczenia życiowe wycisnęły piętno smutku, osłabienia woli. To nie był ten sam Antonow, którego znał z dawnych lat. Ale jednocześnie sprawne oko mistrza dostrzegało ewolucję z partii na partię, coraz większą wiarę, rozmach, czucie pozycji. Romancew, jak wybitny muzyk słyszący muzykę podczas czytania nut, odczytywał stan ducha, myśli, emocje Antonowa. I nie dostrzegał już człowieka, który ponoć stoczył się na samo dno. To był mistrz, od którego biła wielka umiejętność radzenia sobie w trudnych pozycjach. Ta myśl zaniepokoiła Romancewa. Pomysł, że mogliby znów usiąść naprzeciwko siebie, przeraził go swoją nedorzecznością. Odstawił laptop i poszedł do kuchni, w której Tania stała z kubkiem herbaty, pogrążona w lekturze jakiegoś pisma. Spojrzał na nią z miłością, dostrzegła to w jego wzroku, odłożyła magazyn i patrzyła lekko zaciekawiona, ale i szczęśliwa.

– Mam ciebie – rzekł nieoczekiwanie. – Prawda? Mam ciebie – powtórzył, jakby

delektując się tymi słowami.

– Masz. Jestem twoja – odrzekła, gładząc go po policzku. – No może nie całą, bo muszę też należeć do siebie i do Klary, ale jedna trzecia jest twoja.

Romancew wykonał dłońmi gest, jakby dzielił ją na trzy części, poczynając od głowy, a skończywszy na nogach.

– Świntuch, tobie co najwyżej pozostawię stopy.

– Kocham cię, Taniu.

– To dobrze, panie arcymistrzu, proszę nas kochać.

Przez resztę dnia Romancew myślał, co będzie, jeśli Antonow wygra z Arszawinem i po raz kolejny przyjdzie im się ze sobą zmierzyć. Jak powie o czymś takim Tatianie? To będzie dla nich wszystkich koszmar. Wślizgnął się do pokoju. Mała Klara spała w łódeczku. Przyglądał się jej z podziwem, czując, że jego córka jest kimś, kto kiedyś może mu pomóc odnaleźć drogę do utraconego siebie.

Moskwa, luty 2000; 2 dni do finału turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Nowa Moskwa, wciąż przepelniona jego wspomnieniami, witała go zupełnie innym tempem, innymi samochodami, inaczej ubranymi mieszkańcami. Media niemal co dzień donosiły o morderstwach, porachunkach gangów. Czuł się zagubiony we własnym mieście.

Może to i lepiej, westchnął w duchu. Gdyby było jak dawniej, serce by pękło. A tak, mniej pretekstów do bólu.

Stanął naprzeciw wielkiej reklamy z Penélope Cruz.

Czas przyzwyczajać się do nowego, myślał, spoglądając na piękną Hiszpankę, której twarz na banerze reklamowym zasłaniała cały budynek na rogu Twerskiej.

Moskwa czekała na wiosnę, a on zdawał sobie sprawę, że nie można żyć, chodząc ciągle po starych ulicach, tam, gdzie spodziewał się odnaleźć jej cień, gdzie była poręcz, którą trzymała, drzewo, które objęła, klamka, która pamiętała jej dłoń.

– Oleg – mówił sam do siebie. – Czas to zmienić. Moskwa się zmieniła, zmień się i ty.

Jednak nie wytrzymał i pojechał pod jej dom na Sadowniczeską. Stanął pod

oknem, pod którym przed kilkunastu laty czekał choćby na jej cień. Wzruszenie, jakie opanowało go w tej chwili, odebrało mu siły. Chciał wracać do swej samotni, do zapachu Wołgi tuż przed czerwcowym świtem. Usiadł na przystanku, a czas odmierzały mu odjeżdżające trolejbusy.

Miejsca, których nie widział od kilku lat, wzbudzały w nim tak silne emocje, że zadzwonił do Denisowa i przepaszając, odwołał przedmeczowe spotkanie. Patriarsze Prudy, gdzie czasem, udając amatora, grywał z weteranami w szachy, a po których przechadzali się z Tatianą, snując plany o rodzinie, podróżach... Dyskoteka, w której do utraty tchu tańczyli *Białe róże*. Wydawało się, że nic nie może zepsuć tego, co było, że po mistrzostwie świata, kiedy osiągnął już wszystko, będzie tylko szczęście.

Do domu wrócił pijany. Olga Lwowna, widząc, co dzieje się z synem, poprosiła Denisowa, by zaczynali z samego rana. „Wtedy Oleg nie zdąży zachłysnąć się wspomnieniami, które pozbawiają go oddechu”, tłumaczyła trenerowi.

Gorąca kawa wypełniała studio swoim aromatem. W tle leciała muzyka. Oleg zastanawiał się, co może teraz robić Katia. Redaktor poprawił słuchawki. Dał znak Antonowowi, że zostały im dwie minuty do wejścia na antenę. Oleg wziął łyk kawy. Bolała go głowa.

– Moim i państwa gościem jest dziś Oleg Igorowicz Antonow, były mistrz świata w szachach, były symbol pieriestrojki, który dziś po kilku latach postanowił wrócić do profesjonalnego sportu. Olegu Igorowiczu, co działo się z wami przez te wszystkie lata...

Pierwsza oficjalna konferencja prasowa i znów padło to samo pytanie od dziennikarza z „Niezawisimej Gaziety”. Po latach milczenia Antonow stanął w świetle jupiterów. Wiedział, że musi zacząć swoje życie od nowa, zapominając o przeszłości. Pożałował jedynie, że ona nie mogła być w tej chwili obok niego. Wziął głęboki oddech. To nie był dobry czas na rozważania, czy dobrze zrobił. Jednak przypomniał sobie ich dialog:

– Już przeżywałem wspólne wyjazdy na mecze i turnieje. To był początek końca.

– Każesz mi czekać tyle miesięcy?

– Niczego nie każę. Masz wolny wybór.

– To wszystko?

– Co masz na myśli?

– Nic. Już nic. Myślałam, głupia, że znaczę dla ciebie więcej.

– Nie zaczynaj.

– Nic już nie powiem, nie warto.

Z butelką wódki i szachownicą Antonow siedział na łóżku w bieliźnie i coraz

bardziej, z każdym łykiem, wnikał w przestrzeń niczym wyjętą z obrazów de Chirico, na pograniczu jawy i alkoholowego snu. W tym stanie powracał do niego ten świat „mówiących figur”, który był odporny na jakikolwiek stres. Pozbawiony obaw, bez bolesnych skojarzeń, wtapiał się w fantastyczny krajobraz z szachowymi figurami w tle. Gdy trzeźwiał, wracała depresja. Rozsypane figury z głuchym dźwiękiem padały na podłogę, a on rzucał się na łóżko i zasypiał, marząc, by nie było jutra.

Olga Lwowna cierpliwie zbierała figury i przykrywała go kołdrą. Czuła dramat syna, lecz nie była w stanie w żaden sposób mu pomóc.

Katii ciężko było ukryć smutek w pracy. Krępowało ją to. Maria Władimirowna chodziła bez humoru, Oksana współczuła Katii. W te tygodnie bez niego wszystkie zabawne opowieści, żarty i przekomarzania zastąpiła cisza. Gdy wracała do domu, miała wrażenie, że niebo się nad nią zamyka. To nie miało sensu. Lecz co mogła zrobić, skoro czuła do niego miłość, być może teraz już tylko beznadziejną...

Moskwa, luty 2000; finał turnieju pretendentów: Arszawin–Antonow

Kiedy Arszawin wszedł na scenę w białym garniturze, wyglądał jak gwiazdor z Hollywood. Mówiono o nim „chłopak z gitarą”. Antonow poczuł, że być może tak właśnie musiał go kiedyś postrzegać Gurgienidze, gdy w czarnych okularach zasiadł przed nim na turnieju w Mineralnych Wodach.

Rozpoczęli grę. Oleg przypomniał sobie słowa Katii, które wygłaszała przy prasowaniu, twierdząc, że Arszawin wzoruje się na nim i trzeba go pozbawić pewności siebie przez pokazanie, kto ma autorytet. Zaczął więc teatr. Mimiką twarzy dał odczuć młodemu arcymistrzowi, że jest zdziwiony jego grą. Podnosił brwi, nadymał policzki, kręcił z dezaprobatą głową. Z każdym swoim ruchem Arszawin sprawiał wrażenie coraz bardziej zagubionego. Wykonywał posunięcia niezdecydowanie, gdy tymczasem Antonow umiejętnie organizował kontrgrę i zmuszał figury białych do odwrotu. Na ekranach telebimów ustawionych z boku sceny można było dostrzec w oczach młodego arcymistrza narastające w nim frustrację i lęk. Lęk nie tylko przed porażką, ale – jak przewidywał Antonow – przed ośmieszeniem. Po raz pierwszy Oleg zagrał przygotowany w Wolsku, wspólnie z Wiaczesławem Jewgienijewiczem, wariant w obronie słowiańskiej. Wariant niegrany na arcymistrzowskich turniejach okazał się pułapką dla

Arszawina, który – próbując obalić pomysł Antonowa – dostał się pod jego atak i po trzydziestu pięciu posunięciach złożył broń.

Od drugiej partii Antonow zauważył, że uścisk dłoni podanej przez Arszawina na przywitanie znacznie osłabł i stał się niepewny. Nie wstawał już od szachownicy tak często jak w pierwszej partii, starał się ograniczyć i skromnie wyciszyć, co Antonowowi przywodziło na myśl ucznia, który próbuje pozostać niezauważony, bo nie chce zostać wyrwany do odpowiedzi. Kiedy tylko Antonow to zrozumiał, poczuł się pewniej i dał to poznać Arszawinowi, rozsiadając się wygodnie w fotelu i bawiąc niedbale pionkiem. Raz nawet powtórzył gest Romancewa, który kiedyś doprowadził go do wściekłości. Odchylony na fotelu palcami wodził wokół ust, które wyginał w grymasie przypominającym pogardę. Arszawin grał coraz bardziej pasywnie, jakby czekając na kolejną porcję nauki. Tracił mnóstwo czasu na proste posunięcia, potem spoglądał nerwowo na zegar i narastała w nim frustracja, że zużył aż tyle czasu. Przy następnym posunięciu sytuacja się powtarzała.

W tym momencie Antonow zdał sobie sprawę, że kolejne posunięcia przybliżają go do wygranej, a ta oznacza, że spotkanie z Romancewem jest niemalże nieuniknione. Ta myśl go przeraziła. Odruchowo poderwał się z fotela i wyszedł za kulisy. Arszawin odebrał ten gest jako zniecierpliwienie, że nadal toczy pojedynek, w którym i tak nie ma szans na wygraną. Kiedy Antonow wrócił zza kulis, młody arcymistrz spytał: „Remis?”. Oleg skinął głową i wyciągnął rękę.

Trzecia partia okazała się ostatnią w meczu. Antonow ponownie wybrał opracowany w Wolsku wariant w obronie słowiańskiej i pomimo lepszej i bardziej agresywnej gry Arszawin raz jeszcze został zmuszony do kapitulacji.

Stało się, pomyślał Oleg.

Po skończonej konferencji wyszedł tylnymi drzwiami. Szumiało mu w głowie. Postanowił przejść się w stronę Kremla. Po kilkudniowej odwilży śnieg stopniał i był to pierwszy, niemal wiosenny wieczór, a on właśnie wygrał mecz pretendentów i miał walczyć o mistrzostwo świata.

Paryż, luty 2000

Romancew siedział z uśmiechem, przyglądając się Tani, która przymierzała kolejne buty, bluzki, okulary i torebki. Zadzwoił telefon, odebrał go i słuchał. Twarz mu spoważniała. Żona dostrzegła w jego oczach napięcie.

W Paryżu zapadał zmrok. Zaparkował samochód pod ich domem. Oboje milczeli. Tatiana spoglądała przed siebie, mrużąc oczy.

– To będzie dla nas nowe doświadczenie – przerwał ciszę Romancew.

Nic nie odpowiedziała.

– Chciałbym czuć bardzo silne wsparcie z twojej strony.

Zdziwiło ją to, co powiedział, nie myślała nigdy wcześniej o nim jako o kimś, kto potrzebuje wsparcia i dodawania otuchy.

– Wiesz dobrze, że będę z tobą.

Skinął głową, dziękując. Odwrócili się do siebie.

– Nic ważnego nam nie zabierze – szepnął do niej. – Nic.

– Wiem, kochany – odrzekła. Działał na nią kojąco.

Pocałowali się.

– Chodź, musimy zwolnić nianię – rzucił i wysiedli z samochodu.

W nocy Tania obudziła się gwałtownie. Spojrzała na zegarek, który wskazywał wpół do czwartej. Mąż spał obok. Przez chwilę nie mogła się otrząsnąć. Sen o Antonowie był taki realny. Do świtu nie zmrużyła już oka. Romancew, pogrążony w głębokim śnie, nie wiedział, że siedziała przed kominkiem, długo patrząc na płomień i zastanawiając się, jak przetrwa następne miesiące, gdy cień Antonowa znów pojawi się w jej życiu. Nikt nie potrafił wywoływać w niej tak skrajnych uczuć: od miłości i podziwu do nienawiści. Wróciła do męża i usiadła na podłodze, przysuwając swoją twarz do jego czoła. Lekko pocałowała go, czując wdzięczność za bezpieczeństwo, które jej ofiarował.

Moskwa, kwiecień 2000; 48 dni do meczu o mistrzostwo świata Romancew–Antonow

Po wygranej z Arszawinem Antonow stał się gwiazdą mediów. Przybywszy z niebytu z dnia na dzień, nie mógł opędzić się od dziennikarzy. Menadżerowie firm komputerowych dzwonili, proponując kontrakty reklamowe. Odzwyczaił się od tego i nie bawiło go to jak dawniej. Zamieszanie wokół jego osoby przeszkadzało w przygotowaniach. Nie wiedział też, jak ma poradzić sobie z emocjami, kiedy wraz z Denisowem zaczynali analizy partii Romancewa. Partie grane przez przeciwnika, gdy już był z Tanią... Antonow czuł, że za każdym genialnym ruchem kryje się twarz Tani, która tak jak dawniej dla niego, była teraz natchnieniem dla zniechęconego rywala. Grać z szachistą takim jak Arszawin to normalna rzecz, ale grać z Romancewem wspieranym przez Tanię? Wydało mu się to zadaniem ponad jego siły.

Dużo biegał, by zrzucić z siebie stres. Codziennie przemierzał też dwadzieścia kilometrów na rowerze. Wiedział, że zbliżający się pojedynek będzie wymagał nie tylko sił psychicznych, ale również kondycji. Podczas godzin, które spędzał codziennie, biegając, przypominał sobie Sylwestra Stallone w roli Rocky'ego, który też od życia dostał szansę walki o mistrzostwo świata.

Budzik poderwał go na równe nogi o szóstej.

– Cierp, skoro masz zawojować świat. – Zaśmiał się pod nosem, wkładając dres. Na dworze powitał go chłodny, rzeński poranek. – To co, Olegu Igorowiczu, zaczynamy nowe życie? – rzekł do siebie i ruszył biegiem.

Niespodziewanie wieczorem zajrzał do niego Arsawin, który przyszedł spytać, czy przyjmie go do zespołu jako sekundanta.

– Mm – zastanowił się Antonow, zupełnie zaskoczony propozycją. – To niespodzianka – rzekł, unosząc brwi. – Ale dla mnie bardzo miła. Jestem koszmarny we współpracy, spytaj Denisowa. Jednak twoja pomoc to dla nas wielkie wsparcie. No dobra, jeśli będziesz w przyszłości pretendentem, a ja mistrzem – zażartował – to dwie partie oddajesz mi walkowerem w zamian za naukę teraz.

Nie tak szybko przestawił się na życie w Moskwie. Brakowało mu ciszy poranków. Tu od piątej rano ludzie spieszyli już do pracy, nie jak dawniej do państwowych zakładów, lecz do nowych międzynarodowych korporacji. Łapał się na tym, że odmierza swój czas rozkładem zajęć Katii, starając się zgadnąć, co może teraz robić w Wolsku.

O poranku usiadł na murku, spoglądając na rzekę.

– Kim jestem? – spytał sam siebie. – Co dalej? Zgubiłem Tatianę, zostawiłem biedną Katię, nie mam pojęcia, czy potrafię jeszcze grać w szachy na takim poziomie jak on, nie wiem, kim będę za tych kilka miesięcy po tym całym cyrku. Nie wiem, co zrobię ze swoim życiem. Równie dobrze mógłbym dziś zniknąć. Wsiąść do pociągu i pojechać do nowego miejsca, zaszyć się tam i zapać na śmierć.

Wstał i zaczął biec wzdłuż nabrzeża. Z każdym energicznym krokiem czuł, jak oddala się od samotni w Wolsku, od świata, w którym ostatnie lata przebywał i który postanowił porzucić, wracając do gry.

Mecz o mistrzostwo świata

Romancew–Antonow

Londyn, czerwiec 2000

Antonow usiadł na lotnisku Szeremietiewo w oczekiwaniu na boarding. Samolot był opóźniony o godzinę. Od rana bolała go głowa z powodu nieprzespanej nocy. Nie tak to sobie wyobrażał. Przez ostatnie tygodnie myślał o tym momencie, zastanawiał się, co będzie czuł, wylatując na mecz z Romancewem. Nie chciał już używać wyświechtanych frazesów w stylu „mecz życia”. Jego życie trwało i nie była to zasługa szachów. Jeszcze kilka dni temu myślał, że będzie pełen energii i siły, gotowy wziąć na swoje barki cały świat, wszystkiemu i wszystkim stawić czoło. Teraz siedział zmęczony, z bolącą głową, i marzył, by wypić gorącą herbatę i położyć się przy Katii, tuląc ją do siebie albo egoistycznie marudząc, dać się sobą zaopiekować. Uświadomił sobie, że to jedyna poza matką bliska mu osoba, która nie oczekuje od niego zwycięstwa, przyjmuje go takim, jaki jest, ze wszystkimi jego słabościami. Przy Tani nigdy nie mógł przyznać się do lęku.

– Jak ja ją, kurwa, kochałem – zaklął, zły na siebie, że piętnaście lat miłości było niczym narkotyk.

Antonow zdał sobie sprawę, że ma ochotę pograć w szachy, że lubi tę grę i nie jego wina, że młodzi tak się sfrajerowali, by go dopuścić do meczu o mistrzostwo świata.

Coraz bardziej bolała go głowa, chyba z nerwów, bo proszki przeciwbólowe nie pomagały. Wziął już siedem i nic, nie było efektu. Naprzeciw usiedli młodzi mężczyźni ubrani w podkoszulki na ramiączkach opinających ogromne mięśnie. Może jechali na zawody ciężarowców. Żaden z nich nie miał imponującego wzrostu. Antonow zastanawiał się, czy ich życie też usiane jest skomplikowanymi wyborami. Podniósł wzrok znad laptopa i ujrzał roześmianą twarz spoglądającego na niego ciężarowca. Takiego przynajmniej lubią dziewczyny, pomyślał i nakładając słuchawki na uszy, wrócił do partii szkocekiej.

Czas oczekiwania na wylot dłużył się niemiłosiernie. Można było mnożyć wątpliwości wobec wszystkiego, co się wcześniej zaplanowało. W końcu po co porzucać nieskomplikowany świat, w jakim żył, dodawać do emocji i uczuć, które rozumiał i akceptował, nowe nieznanne tęsknoty, lęki, pragnienia i ambicje? Po co?

Kątem oka zarejestrował jakieś zamieszanie. Ciężarowiec przepychał się, ktoś go odciągał od drugiego osiłka, z którym prawdopodobnie weszli sobie w drogę. Dziewczyny, krzycząc, starały się ich uspokoić. Antonow z rozbawieniem obserwował tę scenę. Potem, kiedy w końcu wszyscy rozeszli się w swoje strony,

pomyślał o Miszy, co z nim będzie, gdy wyjdzie ze szpitala. Przypomniał sobie dawne chwile, kiedy w tajemnicy przed Tatianą jeździli do tych ciasnych sal gimnastycznych pod Moskwą, aby ćwicząc, zapomnieć o bólu rozczarowania światem po śmierci Fiedki.

– Oleg, co porabiasz? – spytał Misza, kiedy odwiedził go przed wyjazdem, jeszcze zanim trafił do szpitala. – Ciągle grasz w szachy?

– Gram – potwierdził. – A ty jak sobie radzisz?

– Trochę wykidajłą byłem. Ale za dużo bijatyki. A to z konkurencją, a to ktoś haracz chciał brać, to znowu jak szef się z kimś pokłócił, trzeba było dać odpór. Rzuciłem to. Ostatnio robiłem za ochroniarza dla takiego jednego gościa z banku. Ale gość mi jakoś nie podchodził. Na dziwki nocą ciągle łąził, spać nie dawał. Tamara się złościła.

– Też to rzuciłeś?

– Nie, tego akurat nie, jego rzucili. Ha, ha, do rzeki. Razem z moim zmiennikiem. Gdzieś go tam przydybali i dostał kulkę, a potem do rzeki. Teraz się rozglądam za czymś nowym. Przez tydzień byłem u takiego jednego polityka. Ale wywalił mnie. W pokera grał i całkiem dobrze mu szło. Choć narąbany, wygrał kupę szmalu. Nie wiem dokładnie, ile tam było, bo trzy dziewczyny wziął wtedy naraz. Coś mu skubnęły, cholery. Wprawdzie wcześniej ukrył pieniądze w kilku miejscach, ale i tak go okradły. W obcasach miał takie skrytki. „Patent jednego takiego z Kazania”, mówił. Bez tego już by go kilka razy oskubali. Przydały się. Dziewki zabrały, co było w spodniach, a butów nie ruszyły. No, ale gość się wkurzył, bo uznał, że nie pilnowałem go należycie. I wywalił.

– Uważaj na siebie. – Oleg poklepał Miszę po ramieniu.

I nie powiedzieli już nic. Milczeli, pili wódkę. Potem uścisnęli się i rozeszli. A jednak Misza nie uważał na siebie. Trafił do szpitala po jakiejś bójce z Czeczenami pod lokalem.

Samolot wystartował. Antonow łyknął kolejną dawkę prosków i napił się kawy. Odstawił kubek na sąsiedni stolik. Spojrzał przez okno na błękit nieba, na białe kłęby chmur. Poczł spokój. Wrócił do szachów. Ustawił gambit Marshalla przeciwko partii hiszpańskiej. Z każdą chwilą coraz bardziej wciągał się w analizę pozycji, przypominając sobie, jak matka wołała go na kolację, a on, pogrążony w przygotowywanych przez siebie wariantach, marzył, aby zagrać je kiedyś w meczu o mistrzostwo świata i czytać w gazetach komentarze zdziwionych śmiałością idei arcymistrzów.

Udało mu się zasnąć.

Gdy się przebudził, poczuł, że ból w końcu ustąpił. Spoglądając na wiszące poniżej samolotu obłoki i myśląc o wszystkim, co wydarzyło się od rozstania z Tanią, doszedł do wniosku, że był jak satelita zawieszony gdzieś w kosmosie i krążący po orbicie okołozemskiej jedynie dzięki sile grawitacji. A w jego

przypadku tą siłą była Katia. Poza nią jawił mu się tylko czarny niebyt. Kuszący, ale być może kryjący w sobie nowe pułapki, które Hamlet nazywał „złymi snami”.

Zastanowił się przez chwilę, dlaczego akurat teraz nasuwają mu się takie sentymentalne refleksje? Czy dlatego, że czuł się akurat słabszy, pełen wątpliwości, czy może dlatego, że szukał w niej oparcia, by nie ulec wspomnieniom, które go zabijają? Czekala go konfrontacja nie tylko z Romancewem, ale również z nią i miłością, jaką czuł do niej przez tyle lat. Czy przestał kochać? Tego nie wiedział. Nie wiedział, co się z nim zacznie dziać, jeśli ją ujrzy. Ucieczka przed światem zamroziła tamten temat. Czy fala wspomnień uderzy go z tak wielką siłą, że odbierze energię nie tylko do gry, ale też energię życiową? Czy można uciec od miłości swego życia, udać, że to łatwo mija i że czas goi wszystkie rany? Spojrzał przez okno i dostrzegł nadmorskie wybrzeże. Zerknął na ekran z mapą i zrozumiał, że lecą nad wybrzeżem Holandii w okolicach Scheveningen.

Samolot wykonał zwrot i wybrzeże pozostało za nimi.

Tak właśnie trzeba zrobić ze swoim życiem, upomniał się w myślach. Pozostawić Scheveningen za sobą, lecieć na spotkanie Londynu, zmierzyć się z przeznaczeniem.

Dostrzegł zarysy wybrzeża brytyjskiego. Anglia stawała się na najbliższy czas ziemią, na której miało nastąpić tak wiele wydarzeń, być może decydujących o reszcie jego życia.

Lot zbliżał się do końca. Samolot powoli obniżał pułap, zagłębiając się w chmury. Oleg poczuł tęsknotę za zachodem słońca nad Łużnikami, za spacerem nad rzeką w Wolsku. W końcu postanowił podejść do wszystkiego z większym luzem.

Na lotnisku czekała na niego delegacja. Kierowca i szef komitetu organizacyjnego, arcyministrz Raymond Knight. Oleg przywitał się z nimi, wręczył bagaże i mówiąc, że uwielbia londyńskie metro, kupił sobie bilet i zjechał ruchomymi schodami w dół na ukryte pod ziemią perony. Przerażony Knight podążył za nim, przekonując, że czeka na nich limuzyna. Usiedli w wagonie. Głos z głośniczka przypominał, by uważać na lukę między peronem a progiem wagonu.

– Jak lot? – zaczął Knight.

– Super. – Oleg pokiwał głową. – Dawno nie latałem. A od czasu do czasu trzeba unieść się ponad obłoki i spojrzeć na wszystko z góry.

– No tak – przytaknął Knight niepewnie.

– Cieszę się, że jestem znów w Londynie.

Knight opowiadał o przygotowaniach. Opisywał willę w South Kensington, którą organizatorzy wynajęli dla Olega i jego zespołu.

– Na pewno nie chcesz kucharki? – dopytywał się. – Ani nikogo, kto by doglądał spraw codziennych?

– Nie, Raymondzie – mruknął Oleg. – Wszystko w porządku. Gdybyśmy tylko mogli dziś podjechać do sklepu z płytami... Stęskniłem się za muzyką.

Wysiedli na Gloucester Road.

– Zrobię tylko zakupy w sklepie i możemy iść – rzekł Oleg, zatrzymując Knighta.

Anglik spojrzał zakłopotany.

– Dziś planowaliśmy kolację powitalną w Savoyu – poinformował. – Romancew już tam jest od wczoraj.

– O nie, nie – zaprotestował Oleg. – Kupię płyty, zrobię sobie stek. Mam straszne braki w muzyce. Czego się teraz słucha w Londynie?

– Nie wiem, spytam syna – odparł Knight, coraz bardziej zdezorientowany.

– Gdy byłem tu ostatnio, grali na przykład Depeche Mode. Istnieją jeszcze?

– Nie wiem.

Weszli do supermarketu przy stacji metra.

– Robić u was zakupy to frajda – rzucił Oleg, spoglądając na półki wypełnione towarami. – Gdyby w Wolsku tak było, utylbym jak prosiak. Ile lat ma syn?

– Czternaście.

– I nie wiesz, kogo słucha? Czyj plakat wisi u niego na ścianie?

– Britney Spears.

– Nowa laseczka?

– Można tak powiedzieć.

– My ekscytowaliśmy się Madonną.

– Wciąż jest gwiazdą.

– No masz. Jak ja.

Poszli spacerem do willi.

– Nie mogę patrzeć, jak niesiesz te ciężki siatki z zakupami – marudził Knight.

– No co ty. To ćwiczenie. Mnisi w klasztorze Shaolin nosili wiadra z wodą w wyprostowanych rękach. O tak. – Oleg zaprezentował, wyciągając ręce niczym skrzydła rozpostarte do lotu. – I karano ich, jeśli rozlali wodę. To było coś. Tak się hartuje stal. A teraz dupska przewalamy z kanapy na kanapę, z fotela na leżak i tak cały czas. Jeszcze dziś pobiegam w Hayde Parku. Kurczę, lubię Londyn i was, nadętych Angoli. – Uśmiechnął się do Raymonda i przyspieszył kroku.

Willi przy Cromwell Road była urządzona gustownie i zarazem konserwatywnie, w typowo brytyjskim, niemal wiktoriańskim stylu. Na dole znajdował się salon z kominkiem oraz para foteli rodem z powieści Conan Doyle'a, na których widok Oleg zapytał poważnym tonem: „Drogi Watsonie, co dziś knuje nasz zimny i przebiegły przeciwnik, profesor Moriarty? Jaki debiut

szykuje dla nas w pierwszej partii?”. W kącie salonu stała duża magnetyczna tablica demonstracyjna. Spoglądając na nią, Antonow przez chwilę pomyślał o Zwierewie.

– Szkoda, że nie ma starego – pożałował, przygryzając wargi.

Obok salonu znajdowała się biblioteka z wyjściem przez taras do niewielkiego, zielonego ogrodu.

– O jak przyjemnie. – Oleg się ucieszył. – Papcio Denisow będzie tu sobie ucinął drzemkę po obiedzie. Jeśli są mrówki, to mu pokropię skarpetki miodem.

Knighr spojrział na niego zdziwiony. Oleg poklepał go po ramieniu na znak, żeby się nie przejmował.

Na piętrach, na które prowadziły szerokie drewniane schody, znajdowały się sypialnie i jego gabinet.

– O kurczę – westchnął zadowolony Oleg na widok biurka z ozdobną lampą w stylu art déco i rozłożonymi pod nią figurami na szachownicy. – Ale słodycz. Jakbym znalazł się na planie filmowym.

Cmoknął z uznaniem.

– Raymond – zwrócił się do organizatora. – Jest bosko. Absolutnie. Lepiej niż mogłem wymarzyć. Gra we mnie z radości muzyka, jak musical Gershwina. Był *Amerykanin w Paryżu*, teraz jest *Rusek w Londynie*.

– Cieszę się, bardzo się cieszę, że wszystko ci odpowiada. Gdybyś jeszcze czegoś potrzebował, daj mi znać. Przy telefonie masz spis numerów, także do mojej sekretarki...

– Nie trzeba, Raymondzie, mam teraz dziewczynę – zażartował Oleg.

Knighr pokręcił głową zażenowany.

– Wszystko dobrze, Raymondzie, nawet bez twojej sekretarki, choć nie wątpię, że jest w dechę, stary lubieżniku. Ale gdy przyjedzie Denisow, to może będzie potrzebna. Jest tak stary, że w nocy trzeba go ogrzewać jak króla Dawida.

Pod wieczór, wyposażony w mały zestaw CD, biegł alejką w Hyde Parku, czując, że jest mu dobrze. Jedyne, czego żałował, to tego, że nie biegnie obok niego Katia, może choć raz dałaby się na to namówić, nie narzekając, że sąsiedzi mają go za imbecyla. Fajnie byłoby razem wrócić i przygotowywać wspólną kolację.

Po powrocie radość sprawiło mu myślenie o drobiazgach. O kąpieli w wannie z gorącą wodą, o czystej miękkiej pościeli, o prezencie dla Katii, o filmie *Rybka zwana Wandą*, który tego wieczoru będzie emitować BBC.

Pierwsza noc w Londynie nie przeszła tak łatwo. Znów nie mógł zasnąć. Powracały wspomnienia. Chciał je przerwać. Otworzył okno. Hałas ruchu ulicznego przez chwilę zagłuszył myśli. Ale poczuł się jeszcze bardziej samotny, gdy uświadomił sobie, że ona jest niedaleko. Miał ochotę wyskoczyć na ulicę, wziąć taksówkę i pojechać do niej, a potem... No właśnie, nie było nic potem. Uciec, zapominając o meczu? Ale dlaczego? W końcu zdecydował się przyjechać, miał ochotę zagrać, sprawdzić się, zobaczyć, co warte są przygotowane przez niego w ostatnich latach idee. W głębi duszy chyba nie wierzył, że może wygrać, to przecież byłoby nielogiczne. Kiedy szukał ucieczki przed światem i zaszył się w Wolsku, Romancew grał na najwyższym poziomie.

Wrócił do łóżka i włączył telewizor. Nie mógł się skupić na oglądaniu jednego kanału i nerwowo przerzucał stację za stacją, by w końcu zrezygnować i ukryty w ciemności wspominać swój mecz w Nowym Jorku, mecz o mistrzostwo świata. Ale te wspomnienia były związane z nią i zaczęły boleć zbyt mocno.

Panicznie bał się ich spotkania. Wiedział, że jedno jej spojrzenie może go pozbawić pewności siebie, wiary, sił. Dopóki była przy nim, wiedział, że może osiągnąć wszystko, dawała mu magiczne skrzydła, które pozwalały wzlecieć ponad barierami, lękami. A może tylko tak gloryfikował przeszłość, może to wszystko było wyłącznie jego miłosną egzaltacją? I nagle opanowała go tak silna tęsknota za Tanią, za jej zapachem, dotykiem, bliskością. Była niedaleko, kilka ulic od niego... Bezsilność wydała mu się tak upokarzająca, że przez moment znów miał ochotę uciec, zaszyć się gdzieś z dala od tego całego cyrku, nawet z dala od tej cholernie optymistycznej, świętej Katii. W końcu udało mu się zasnąć.

Poranek spędził na spacerze po Londynie. Dotarł też pod Savoy Theatre, gdzie miał za dwa dni rozegrać pierwszą partię. Przez kwadrans przyglądał się budynkowi z ukrycia, chcąc zaprzyjaźnić się z architekturą miejsca.

Po powrocie do South Kensington zjadł lunch w hinduskiej restauracji, a potem zdrzemnął się na kanapie w bibliotece, przy otwartych drzwiach do ogrodu. Zbliżała się piąta po południu. Lubił tę porę, lubił wczesne poranki, pomiędzy szóstą rano i dziesiątą, a potem wieczory, poczynawszy od piątej. Nie znosił środka dnia, grywał wówczas słabe partie, organizm nie umiał wtedy pracować na wysokich obrotach. Przez myśl przemknęło mu pytanie: „Czy ona już tam jest?”. Zaraz pożałował tej myśli. Otworzył laptop i zaczął po raz kolejny testować przygotowane na mecz warianty.

Katia poczuła wielką tęsknotę. Była smutna i zła. Chciała wyjść i zabawić się z koleżankami i kolegami, by zapomnieć o tęsknocie za nim, lecz zamiast tego usiadła w domu do komputera. W internecie wyszukiwała strony o nim, oglądała zdjęcia, odnalazła hotel, w którym miał być grany mecz. Nie czuła złości, tylko tkliwą tęsknotę za tym mężczyzną, który zawładnął tak mocno jej uczuciami, wypełnił życie, był dla niej każdego dnia spełniającym się marzeniem. Opuszkami

palców dotykała ekranu komputera, na którym widniała jego twarz. Przypomniała sobie, jak Oleg leżał z bólem głowy, a ona delikatnie całowała go po skroniach i szeptała czułe słowa. Nazywał to dobrymi fluidami. Zapragnęła takiej samej opieki, pieśczoły. Wyjątkowo mocno poczuła żal i samotność.

Kiedy Denisow i Arszawin podjechali pod willę, wyjmował z torby ryby, które kupił w Billingsgate. Usłyszał dzwonek i z radością podbiegł do drzwi. Miał dosyć swojej samotności. Zbyt wyczerpująca była walka z samym sobą, aby nie pozwolić sobie na myśli o niej.

– Meldują się generał Denisow i kapral Arszawin. – Denisow zasalutował. – Smarkacz – wskazał na Arszawina – śmiał się ze mnie, że w samolocie „robiłem Breżniewa”.

– To znaczy? – zapytał ze śmiechem Oleg, witając się z przyjaciółmi.

– No, że gębę otwierałem, gdy spałem.

– Chodź, Sasza. – Oleg skinął głową. Zrobisz Aloszy herbatę, a ja skończę oprawiać ryby.

Odwrócił się do kierowcy.

– Niech pan wniesie bagaże na górę – poprosił po angielsku. – Pokój z podobizną Falstaffa to sypialnia pana Denisowa. Ten z podpisem „Horacy” to pokój młodego.

– Horacy? – zdziwił się Arszawin.

– Mhm – przytaknął Oleg. – Dla siebie zachowałem rolę Hamleta. Już zresztą raz nim byłem, w Nowym Orleanie.

Oleg smażył ryby. Arszawin patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Ciągnąłem je przez cały Londyn – mówił Oleg. – Aż z Cannary Wharf. Kawał drogi. Byliśmy kiedyś z przyjaciółmi u Tigrana Wartanowicza Gurgendidze w Tbilisi, a on sprzedał mi taką podstawową prawdę: „Jeśli chcesz być dobrym szachistą, musisz się, Oleg, nauczyć dobrze gotować”.

– Jak to? – zdumiał się Arszawin, który zaczął się gorączkowo zastanawiać, czy potrafi coś ugotować. – A co mają ze sobą wspólnego szachy i gotowanie?

– Nic. Jaja sobie robię. Dawaj talerze.

Kiedy usiedli w jadalni, podnieśli do góry kieliszki z białym winem z Alzacji.

– Cieszę się, że jesteście tu ze mną – zaczął Oleg. – Przydałby się jeszcze drugi Sasza, znacznie starszy od tego tu, ale nie wszystko musi być jak w filmie. Ważne, że mogę na was liczyć, że – jak wierzę – stworzymy dobrą atmosferę, by powalczyć i dać światu raz jeszcze dobry spektakl, nie mówię, że od razu na miarę tych, które są grane w pobliskim Globe, ale coś niecoś z siebie obiecuję wykrzesać.

– Za zwycięstwo! – zaproponował Arszawin.

– Za radość z tych wspólnych chwil. – Denisow się uśmiechnął. – Cudownie znowu móc to przeżywać.

– Gadasz, Alosza, jak stary Drzewiec z bajek Tolkiena – zażartował Oleg. – Ale nie martw się, sekretarka Knighta cię rozrusza. I w twojej sypialni powiesiłem ci naprzeciw łóżka plakat Britney Spears.

– A któż to taki? – zdziwił się Denisow.

– Piosenkarka.

– Ech – westchnął Aleksiej Eduardowicz. – Kiedy ja wolę nasze, rodzime. Ała wyszła już wprawdzie za Kirkorowa, ale kilka innych się znajdzie.

Wieczór spędzili na wspomnieniach. O Odessie, o Nowym Orleanie, o pierwszym meczu z Romancewem w Moskwie, o Hawanie, meczu w Budapeszcie, w końcu o Nowym Jorku. Arszawin słuchał oczarowany. Ich wiedza, doświadczenie, czucie gry były tak wielkie, że zrozumiał, dlaczego w finale pretendentów tak łatwo uległ Antonowowi. On nadal był wielkim mistrzem.

O świcie Oleg biegał. Kiedy wrócił do willi, powitał go zapach kawy. Denisow krzątał się po kuchni.

– Podoba mi się ten pomysł.

– Który? – spytał Oleg, ściągając koszulkę. – Z sekretarką Knighta?

– Z wynajęciem tego domu. Czuję, że będziemy mieli tu dużo większy spokój niż w hotelu. Nawet gotowanie rozluźnia. Byle młody mył po nas naczynia.

– Jest zmywarka. – Oleg nachylił się i otworzył drzwiczki. – Widzisz? Wrzucasz tu brudne naczynia i sama zmywa.

– O cholera – mruknął Denisow. – Ależ to wszystko teraz wygodne.

– Dwudziesty pierwszy wiek, Alosza.

– Kiedy byłem młody, myślałem, że w dwudziestym pierwszym wieku ludzie będą podróżować na Marsa i z powrotem.

– Idę pod prysznic. Wyciągnij patelnię, zrobimy jajecznicę. I młodego obudź. Niech się nauczy, że z nami nie ma co liczyć na wysypianie się do południa. Aha. Myślałem podczas biegu o sycylijskiej. Nie będę grał więcej Scheveningena, tylko Najdorfa albo Paulsena.

– No to po śniadaniu siadamy jeszcze raz do Najdorfa i tych nowych pomysłów gry przeciwko atakowi angielskiemu. Wiem, że uwielbiasz to debiutowe szaleństwo.

– Pod tym względem nic się nie zmieniłem – przytaknął Antonow.

Po śniadaniu usiedli w salonie z kubkami kawy. Denisow jeszcze raz zaprezentował ostatnie partie w wariacie Najdorfa z wykorzystaniem aktywnej

gry na skrzydle królewskim. Arszawin, który grał tę pozycję białymi, próbował pokazać, co może grać Romancew. Oglądając ich analizy, Oleg miał nieodparte wrażenie, że nowoczesne szachy zbliżyły się do jego pojmowania gry, do jego filozofii ciągłego ataku. Ale Arszawin pokazał również kilka partii granych przez Romancewa, które dowodziły, że jego przeciwnik coraz bardziej upodabnia swój styl gry do gry bezbłędnego komputera.

– Sasza. – Oleg zwrócił się do Arszawina. – Nie przesadzaj w pochwałach, bo przestanę wierzyć, że mogę go pokonać.

– Dobrze, że mu przerwałeś – podchwycił Denisow – bo myślałem, że kopnę go w dupę, jak powie jeszcze jedno słowo.

– Przepraszam – rzucił zmieszany Arszawin. – Zawsze pamiętajcie, że mój idol siedzi tu, przede mną, i nie mogę się doczekać, kiedy znów nas wszystkich zaczeruje swoją grą.

– No, już lepiej. – Denisow pogłodził go po głowie. – Jak nic zostaniesz politykiem, a wtedy nie zapominaj o wygodnej willi dla mnie gdzieś na Rublowce, bo po tym Londynie to już nie wrócę do swojego mieszkania. Rozpasałem się tu jak Kozak.

Partia pierwsza: obrona sycylijska, wariant Najdorfa białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Wszystkie budziki, jakie tylko stały w pokoju, rozzwoniły się jeden po drugim, wrywając go ze snu. Została godzina do pierwszej partii meczu. Trzeba było ogolić się, doprowadzić do dobrej formy, włożyć garnitur. W Londynie spadł deszcz.

– Oleg – szepnął Denisow. – Gdyby ona się tam zjawiała... No wiesz. Dasz sobie radę?

– A mam wybór?

– Po prostu nie gap się na boki. Idź, myśląc tylko o skoczku na g4 i jak zaczniesz swoje manewry na skrzydle królewskim. Żadnych myśli o niej, żadnych myśli o nim. Żadnego rewanzu, żadnej osobistej zemsty. Grasz jak najlepiej i tylko to cię zajmuje.

– Dziękuję, że jesteś, przyjacielu. Tylko – Oleg nachylił się tak, aby Arszawin nie usłyszał – nie obstawiaj zakładów u bukmacherów.

– Oj, oberwiesz. – Denisow zaśmiał się zażenowany.

Kiedy Oleg znalazł się za kulisami, w pierwszym momencie poczuł panikę. Jakby zapomniał o wszystkich przygotowaniach, o wszystkim, co potrafił. Nerwowo zaczął nacierać skronie, chcąc pobudzić krążenie. Za chwilę miał wejść na scenę, za chwilę miał spotkać się z Romancewem, za chwilę miała zacząć się wojna, której nie mógł przegrać. W tej jednej sekundzie przeleciały mu przed

oczami kadry z kilkunastu lat jego życia. Triumfy i porażki, miłość i rozpacz... Zapragnął, by ktoś przy nim był, by przytrzymał go za rękę, dając ciepło, miłość i otuchę. Przez chwilę pomyślał o Katii. W tym momencie wywołano go na scenę...

Kiedy usiadł przy szachownicy pośrodku sceny, nie potrafił zebrać myśli. Czuł na sobie spojrzenia widzów. Być może ona też była w tej chwili na widowni. Spojrzał na zegar. To był nowoczesny zegar elektroniczny, niewielkich rozmiarów, nie jak te analogowe, wyposażone w chorągiewki ostrzegawcze, do których się przyzwyczaił. Sędzia przywitał się z nim i włączył zegar Romancewa.

Kurwa, przeklął w myślach Oleg. Rękę mu trzeba będzie podać. Zjawi się tu w swoim garniturku. Jak ja go nienawidzę.

Spojrzał na swoje figury i skupił na nich całą swoją uwagę. W myślach przestawiał je, ustawiał pozycję. Zgodnie z tym, o co prosił Denisow, nie patrzył w kierunku widowni. Brała go ogromna pokusa, by sprawdzić, czy nie siedzi gdzieś blisko, może w pierwszym rzędzie... Rozejrzał się nerwowo. Nie było jej. Jeszcze raz zlustrował pierwsze rzędy. Dostrzegł sekundantów Romancewa, kilku znajomych arcymistrzów, dziennikarzy. Nie było jej. Ale sama myśl, że miałby grać, wiedząc, że Tania siedzi o dwa, trzy metry od niego, napełniła go niepokojem i poczuł, jak organizm zaczyna mu szwankować, ciśnienie skakać w górę i w dół, jak dziecięca zabawka zawieszona na kauczukowej gumce.

Tatiana spojrzała na męża, gdy wychodził z pokoju, zapinając swój zegarek. Chciała spytać, jak się czuje, czy sobie poradzi, lecz bała się usłyszeć, że jej mąż obawia się spotkania i walki z Antonowem. Nie była pewna, co dzieje się z nim w środku, nie potrafiła przeniknąć jego myśli.

Oleg podniósł głowę, gdy rozległy się brawa. Na scenę wkroczył Romancew. Poprawiał sobie spinki przy mankietach koszuli. Był opalony, przystojniejszy niż wówczas, gdy Oleg widział go ostatni raz kilka lat temu. Uścisk dłoni wydał się pretendentowi czymś na kształt złapania węża. Obiecał sobie, że więcej, do końca partii, na niego nie spojrzy. Widział jego ręce. Opalone. Na palcu obrączka...

O kurwa, westchnął w duchu. I spoglądał na tę złotą obrączkę przez następne kilka minut, wyobrażając sobie, jak wkładała mu ją na palec drżącymi dłońmi, jak wypowiadała słowa małżeńskiej przysięgi. O Boże, ja zwariuję, zwariuję, po prostu zwariuję! – krzyczał w jego głowie głos rozpaczony. Nie! Nie! Nie! Oleg podniósł wzrok i spoglądał na Romancewa, starając się zrozumieć, dlaczego ten człowiek ma wszystko, a on ze swoim życiem upadł na pysk.

Na szachownicy stał wariant Najdorfa w obronie sycylijskiej.

Okolo północy John Serewan usiadł do komputera i zaczął pisać:

W dzisiejszej partii pretendent chciał podjąć wyzwanie i zmierzyć się z mistrzem świata na polu niezwykle ostrej i bezkompromisowej walki w systemie Najdorfa. O wyborze debiutu nie decydowały względy sportowe, lecz psychologiczne. Szybko jednak okazało się, że pretendent popełnił błąd i przecenił swoje

możliwości. Atakował zupełnie bez przekonania. W końcu natknął się na bardzo nieprzyjemną kontrę mistrza świata, który najwyraźniej celowo oddał Antonowowi inicjatywę. W zetknięciu z „returnem” Romancewa pretendent nad wyraz szybko stracił ducha walki. Po pierwszej partii londyńskiego meczu mamy jeden do zera dla mistrza świata.

Za wcześnie jeszcze, aby wyrokować, jaki będzie ostateczny wynik, ale przebieg pierwszej partii sugeruje, że mieli rację ci, którzy przepowiadali, że po rozstaniu z profesjonalnymi szachami Antonow nie będzie równorzędnym przeciwnikiem dla Romancewa i mecz może mieć jednostronny przebieg. Odnoszę, niestety, nieodparte wrażenie, że będzie to mecz do jednej bramki i nie ujrzymy już dawnego wielkiego mistrza z Moskwy.

– Psiamać, za łatwo, za łatwo – żalił się zmartwiony Arszawin, gdy zostali sami z Denisowem w salonie. – Przy takiej grze mecz mamy przegrany bez walki.

– Cicho bądź – zganił go Denisow. – Po pierwsze, daj mu spokojnie zasnąć i przestań mleć jęzorem. Po drugie, naley mi tej whisky. Po trzecie, nie zapominaj, że mówisz o mistrzu, o najlepszym szachiście na tej cholерnej planecie. Jestem przy nim od dwudziestu lat. Widziałem, jak gra, jak rodzi się jego geniusz, jak robi na szachownicy niesamowite rzeczy, których nie potrafiłyby wymyślić nikt inny. Więc po prostu skup się na swojej robocie, a Olegowi pozostaw to, co potrafi najlepiej: wygrywanie. To jego mecz, to jego zmaganie się z życiem i emocjami. A ty i ja jesteśmy tu tylko po to, aby mu podać szklanke wody, kiedy o nią poprosi. Być może sam znajdziesz się za jakiś czas w podobnej sytuacji. Masz na to wielką szansę. Więc pamiętaj, że sława i triumfy mają swoją cenę. Wiem, że chrzańię jak nauczyciel, ale cierpię, patrząc, jak walczy ze sobą po tym wszystkim, co go spotkało. Dobra, dość gadania. Co jutro gramy? D4 czy e4?

– Jestem za d4. Unikniemy walki w hiszpańskiej i zobaczymy, co Romancew ma przygotowane na zamknięte debiuty.

– Zgadza się. Gramy d4.

O poranku Antonow ruszył na spacer. Ból porażki wyciągał z niego całą siłę do życia. Zdał sobie sprawę, jak bardzo nie jest psychicznie gotowy do tego pojedynku, jak bardzo brakuje mu ogrania, odwagi w podejmowaniu decyzji.

Spacerował po parku. Nie wiedział, w jaki sposób miałby odwrócić tę falę negatywnych uczuć i zastąpić je nagle wiarą w siebie. Przypomniało mu się opowiadanie Becketta, które czytał na studiach. Bez akcji, jedynie opis ludzi ukrytych we wnękach ścian jakiejś bliżej niesprecyzowanej przestrzeni. Wegetujący, skupieni na centymetrach wnęki, w którą uciekli przed myślami, strachem, ośmieszeniem. Tak, czuł się teraz ośmieszony. Porażka bolała straszliwie.

Idąc rankiem do zakładu, Katia kupiła gazety, by przeczytać o wczorajszej partii. Liczyła, że może komentarz opatrzą jego zdjęciem. Zastanawiała się, co teraz robi, o czym myśli, czy zdarzają mu się te chwile, kiedy potrzebuje ciepła, kiedy jego oczy są takie smutne.

– Katia! – zawołała Maria Władimirowna. – Pokazują Olega w telewizji. Katia rzuciła nożyczki i wbiegła na zaplecze. Wydał jej się taki daleki, w garniturze, w studiu. A jednak dostrzegła w jego oczach to, co było jej tak bliskie. Te oczy mówiły, jak bardzo jest samotny.

– Przegrał, cholera. – Maria Władimirowna załamała rękę. – No tak mi go żal. Zdzieliłabym tamtego między oczy. Niechby wiedział...

– Mario Władimirowna. – Katia położyła rękę na ramieniu szefowej. – To szachy. Nie boks.

– A co z tego – zachnęła się właścicielka zakładu. – Oj, jaka jestem zła. Niech mi się tylko pod rękę Kozłow nawinie z tą jego obrzydliwą wodą toaletową, to mu uszy poobcinam. A co on, cholera, mniej zdolny od tamtego? Przecież to nasz Oleg, nasz mądry Oleg.

– Widać, nie on jeden mądry – westchnęła Katia i wróciła do strzyżenia klienta.

Partia druga:

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

– Mister Antonow? – spytał kurier. – Mam dla pana wiadomość.

– Tak. Dziękuję.

Oleg spojrział na kopertę. Natychmiast poznał jej pismo. Krew odpłynęła mu z twarzy. Otworzył kopertę i wyciągnął list.

Czekam na Ciebie teraz w tym pubie, w którym obchodziliśmy moje urodziny. Mam nadzieję, że będziesz miał na tyle odwagi, by przyjść.

Świat zawirował mu przed oczami. Schodzący ciężko po schodach Denisow spojrział na niego zaniepokojony.

– Coś się stało?

– Nic, zmęczenie. Wszystko dobrze.

Aleksiej Eduardowicz wszedł do kuchni.

– Będę robił kawę! – zawołał. – Zalać też tobie?

– Nie – odrzekł Oleg, wkładając kurtkę. – Idę się przejść, na spacer.

– Teraz? – Denisow wyjrzał z kuchni. – Myślałem, że już byłeś i pogadamy o dzisiejszej partii.

– Muszę. Potrzebuję.

– Skoro musisz, idź.

Antonow wyszedł i nie zważając na deszcz, ruszył w kierunku pubu. Czuł ekscytację i lęk. Nie mógł nie pójść, by jej nie ujrzeć, nie mógł pozbawić się tej chwili, gdy czekała tylko na niego, aby z nim się spotkać i rozmawiać.

Tatiana podeszła pod drzwi pubu Hereford Arms. Zalała ją fala wspomnień ze wspólnego pobytu w Londynie, wspólnych wieczorów, gdy dyskutowali nad kuflem kronenbourga, próbując uratować wspólną przyszłość... Odwaga ją opuściła. Weszła do środka i spojrzała na salę. Siedział przy stoliku, który starali się zająć, kiedy tu przychodzili. Pod oknem, w kącie... Nie widział jej, bo jak zawsze, wiedząc, że ona lubi patrzeć na ludzi, zajął miejsce tyłem do sali. Poznała jego gest, gdy na jednej ręce wspierał głowę, w drugiej zaś trzymał długopis i bazgrał na serwetkach różne rysunki, przypominające inkaskie wzory na pustyni Nazca. Robił to, gdy był zdenerwowany, gdy czuł się zagubiony, bezradny... Nagle zapragnęła podbiec i objąć jego głowę, przytulić go, dać mu siłę, by wygrywał, aby jego oczy, te cudowne oczy, nie zachodziły mgłą smutku, tą przejmującą głębią emocji, które tak bardzo odbierały siły... Odwrócił się i ujrzał ją. Ich oczy spotkały się i trwali tak bez ruchu, jakby przekazywali sobie słowa samym spojrzeniem...

Tatiana wybiegła i ukryła się w czekającej na nią taksówce. Trzęsa się z emocji. Czuła, że jeszcze chwila przebywania z nim, a rozpadłaby się zupełnie. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Proszę jechać, proszę stąd szybko jechać – poprosiła.

Taksówka ruszyła. Jego bezradne oczy poszukujące w niej uczucia odebrały Tatianie wszystkie siły. Cała paleta doznań wypełniła jej serce i umysł, miała wrażenie, że się topi. Poprosiła, aby taksówkarz podjechał pod Hyde Park i zaczekał tam na nią. Usiadła na pierwszej ławce wśród zieleni, nie zważając na mżący deszcz. Siedziała i płakała, nie mogąc znaleźć w sobie dość sił, by opanować emocje.

W relacji z drugiej partii meczu John Serewan napisał:

Nic nie przygotowało zwolenników Antonowa na to, co stało się dzisiejszego wieczoru. Również o siedemnastej sędzia Hauptman włączył zegar białych. Przez pierwsze pięć minut publiczność zgromadzona w sali obserwowała pustą scenę. Nieco spóźniony, jak to jest w zwyczaju, wszedł na nią mistrz świata Romancew. Rozejrzał się, nieco zdziwiony nieobecnością pretendenta, i usiadł do stolika. Podejrzewaliśmy, że Antonow celowo zamierza się spóźnić, by kazać Romancewowi na siebie czekać. Ale czas mijał, a pretendent nie przychodził. Romancew po kilkunastu minutach oczekiwania, wyraźnie zmieszany, udał się za kulisy. Od tej chwili przez następne pół godziny zdegrustowana publiczność obserwowała pustą scenę. Zgodnie z regulaminem, po godzinie sędzia zatrzymał zegar pretendenta, oznajmiając wygraną walkowerem Anatolija Romancewa.

– No i dobrze się stało – podsumował spokojnie Denisow.

– Wy wszyscy jesteście wariaci! – nie wytrzymał Arszawin.

– Teraz jestem spokojny – ciągnął niezrażony irytacją młodego arcymistrza Denisow. – Pamiętacie Zimmermana? Jego mecz z Tigranem Wartanowiczem w Rejkiawiku? Jaki był wynik? Ha?

Spojrzeni na Denisowa, zaskoczeni tą nową, niezwykle trafną myślą.

– Dwa zero – przypomniał Denisow, zadowolony, że jego słowa zrobiły wrażenie na przyjaciółach. – Po dwóch partiach. W tym jedną Amerykaniec oddał walkowerem. I co wtedy powiedział Tigran Wartanowicz? Powiedział: „Przegrałem”. Ten walkower podciął mu skrzydła. Ktoś, kto ma za nic mistrza świata i oddaje mu partię walkowerem, nie dbając o sytuację w meczu, ktoś taki musi mieć jaja i nerwy ze stali. I taki jest Oleg. I powiem wam więcej... Oleg – zwrócił się do Olega. – Zagrasz, mam nadzieję, jutro? Bo wiesz, zawiozę cię po meczu do tego Wolska, do tej twojej wesołej dziewczyny i jej uroczej szefowej, której niechybnie się następnym razem oświadczę. I wiesz, nie chcę ujrzeć w ich oczach litości. Chcę zobaczyć podziw. Czujesz, Oleg, to spojrzenie? Dwóch facetów z walizkami pełnymi prezentów i te babskie rozanielone spojrzenia, te ich miękkie głosy, szczebioczące, że nie ma drugiego takiego jak ty. No co, zrobisz to dla starego druha?

Antonow przytaknął.

– Jak znamy Romancewa, wiemy, że zagra spokojniej, d4, aby utrzymać prowadzenie, wyciszyć atmosferę. Żeby potrzymać cię jak najdłużej pod przykrywką i ugotować. Potem zmniejszy palnik z ogniem, zrobi malutki lufcik, aby uszła cała para. Ale nic z tych rzeczy. Teraz – zwrócił się do Arszawina. – Teraz zobaczysz, że w garnku pod przykrywką jest huragan. Jeśli myślisz, że widziałeś wkurzonego Olega Antonowa, czarnoksiężnika Antonowa, który jednym tchnieniem potrafi uczynić wicherę, to zaręczam ci, chłopcze, nie widziałeś go. Ale zobaczysz jutro, zobaczysz, zaręczam. A dziś już ani słowa o szachach, bo one same upomną się o swojego mistrza, staną w szeregu, gdy na nie skinie swym magicznym berłem.

Denisow skończył, a Arszawinowi zdawało się, że pokój wypełnił się przedziwną mocą, którą, mógłby przysiąc, czuł wokół siebie. Antonow wydał mu się jak postać wykuta ze spiżu: charyzmatyczny, potężny, większy, wypełniający sobą przestrzeń. Dostał gęziej skórki. Czuł się niczym adept tajnego bractwa dopuszczony do magicznego misterium, podczas którego doszło do przemiany pod wpływem jakichś przywołanych z zaświatów mocy.

Partia trzecia: obrona słowiańska, wariant merański
białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Janet podała synowi tosta i masło orzechowe.

– Czytaj, mamó – szepnął Josh.

– „To było jak *Piąta symfonia* van Beethovena...” – zaczęła dziennikarka.

– Kto to Beethoven?

– Niemiecki kompozytor. Bardzo znany.

– A ta symfonia?

– Bardzo patetyczna, silne uderzenie, zaczyna się od takiego: „da, da, da, da”.

– No dobrze. Czytaj dalej.

– „Było w tej partii wszystko. Potężne kaskady wodospadów, rwące strumienie, nagłe błyskawice, mocarne tornado, które ogromnym wirem przeszło przez szachownicę, siejąc spustoszenie. Dość powiedzieć, że w tej partii pretendent w zamian za atak prowadzony czarnymi poświęcił trzy figury...”

– O ja! – zawołał z zachwytem Josh.

– „Pamiętamy wszyscy wielkie kombinacje i poświęcanie figur Michaiła Sztejna. Potem wspaniałe zwycięstwa Antonowa, gdy w zamian za atak potrafił ofiarować figurę, nawet królową. Ale ta partia nie miała sobie równych, tę partię grał człowiek o nerwach ze stali, który z niebywałą wręcz wiarą i siłą poświęcał kolejne figury, miażdżąc opór przeciwnika. Nie widziałem czegoś takiego w całej swojej długiej karierze. Nie sądzę, by mistrz świata Anatolij Romancew był na coś takiego przygotowany. Nikt nie byłby w stanie ugasić tego pożaru, który wzniecił na szachownicy Antonow. To była płonąca Troja widziana oczami starego Priama. I wszystko to w ciągu zaledwie dwudziestu trzech posunięć. Jestem pod takim ogromnym wrażeniem, że musiałem napisać te słowa, zanim przejdę do analizy partii krok po kroku”. – Janet spojrzała na gazetę. – Dalej są już opisy posunięć, przestudujesz je sobie z trenerem.

– I pomyśleć, że znałaś, mamó, Antonowa.

– Tak. Byliśmy nawet przyjaciółmi.

– Chciałbym kiedyś grać jak on.

Tatiana zapragnęła uciec od unoszącej się dookoła atmosfery napięcia. Spędzała długie godziny, spacerując, to znów przesiadując z książką w kawiarniach. W końcu postanowiła wyjechać z powrotem do Paryża, aby być z Klarą. Kiedy wsiadła do pociągu, poczuła ulgę. Nie chciała już żyć tym meczem, nie chciała czuć napięcia męża, nie chciała już myśleć o tym, co dzieje się między nimi na scenie hotelu Savoy. Pragnęła zamknąć się w swym mieszkaniu, przytulić Klarę i odzyskać spokój.

Partia czwarta: otwarcie szkoockie

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Po trzeciej partii prasa brytyjska pisała o powrocie „króla Olega Lwie Serce” z tułaczki po mistycznej Ziemi Świętej. Arsza win czytał na głos ciekawsze komentarze. Antonow był niewyspany. Drażniła go obecność innych ludzi. Pragnął samotności. Był zbyt wyczerpany po nieprzespanej nocy, podczas której w jego głowie wciąż trwała partia, wciąż liczone były warianty. Obudził się około trzeciej nad ranem i choć zamykał oczy i szukał wygodnej pozycji dla swojego ciała, już nie zasnął. Od szóstej błąkał się po mieszkaniu, zrobił sobie herbatę, układał pasjansa. Denisow dostrzegł to i zarządził całkowity relaks przed partią. Ustalili tylko, że będą grać „e4”, aby walczyć przeciwko Caro-Kann, lub w przypadku, gdyby Romancew chciał grać partię hiszpańską, uchylą się od tego, wybierając dawno niegrane na wysokim poziomie rozgrywek otwarcie szkockie.

W południe poszli na lunch do restauracji przy stacji metra, gdzie zamówili steki.

– Nie szukaj dziś koniecznie wygranej – rzekł do Olega Denisow, popijając czerwone wino. – Nie ma się co spieszyć. Zbyt pasywnie też nie graj, bo wpadniesz w ten swój stan odrętwienia, a szkoda byłoby stracić pozytywną energię z poprzedniej partii. Pamiętaj, że to Romancew czuje się totalnie niekomfortowo. To on dostał w prezencie walkower, to on przegrał w dwudziestu trzech posunięciach, w dodatku białymi. Ma coś do udowodnienia. Dlatego nie zagra Caro-Kann, będzie chciał dziś atakować, nawet czarnymi. Partia szkocka, piękne otwarcie. Nikt go nie gra od wieków. Sporo improwizacji, to pewne. Ale biorąc pod uwagę twój dzisiejszy stan, nie chcę, byś przesadził. Nie ma po co ryzykować.

Jak zwykle w porze meczu w Londynie Aleksander Władimirowicz Zwieriew przyjeżdżał na Kooperatiwną, aby wraz z Olgą Lwowną śledzić w internecie przebieg partii. Jedli razem kolację, potem niemal do północy rozmawiali, komentowali to, co dzieje się w Londynie. Nocą Misza, którego Olga Lwowna zatrudniła u siebie w fundacji, odwoził starego trenera do domu.

– Ten internet to niebywała rzecz – nie mógł się nachwalić Zwieriew. – Pamiętajcie, Olgo Lwowna, jak czekaliśmy na wieści z Odessy czy Nowego Orleanu, a wy, nawet z Nowego Jorku, choć wtedy przez radio dawali częste komunikaty. A tu, masz, siedzimy sobie wygodnie i mogę na bieżąco śledzić posunięcia. No, wprawdzie Oleg swoimi wybrykami, tymi przy szachownicy i tymi poza, skróci i tak już niedługie moje życie, ale co zrobić.

Tego wieczoru Zwieriew, znów nie zważając na chorobę serca, ekscytował się tym, co grano w Londynie. Olga Lwowna prosiła tylko, by ją uspokoił, że wszystko jest pod kontrolą i że Oleg nie przegrywa. Zwieriew spoglądał na ekran komputera i cmokał z niedowierzaniem. Jego zdaniem obaj szachiści grali

absolutnie bezbłędnie. To była kolejna porywająca partia. Tak jak przewidywał Denisow, Romancew wcale nie zamierzał się tylko bronić. Obaj gracze atakowali, obaj zastawiali pułapki, obaj odpierali szturm przeciwnika. Na koniec, przez trzykrotne powtórzenie posunięć, wymuszone szachem, Romancew doprowadził do remisu, który był najsprawiedliwszym zakończeniem tej partii.

– Ech, Olgo Lwowna – westchnął wzruszony Zwieriew. – Przypominają się stare czasy. Ta ekscytacja, to odkrywanie jego talentu, to szlifowanie tego drogocennego szlachetnego kamienia. Cudownie, że dane mi było to przeżyć.

– Widzicie, Aleksandrze Władimirowiczu. – Olga Lwowna uśmiechnęła się delikatnie. – Ja nie cofam się sentymentalnie w przeszłość. To by mnie zabiło. Jestem tu, gdzie jestem. Oleg wrócił, choć myślałam, że straciłam syna. Kiedy patrzę wstecz, nie było lepiej. Może mniej samotnie, ale nie lepiej. Da Bóg, doczekam się wnuków i znowu będę miała więcej bliskich obok siebie.

– A co? – zainteresował się Zwieriew. – Oleg ma kogoś?

– Nie znam szczegółów. Coś tam wspominał, ale kto go tam wie. Przynajmniej mówił, że normalna, wesoła.

– No i niech mu się wreszcie poszczęści. – Zwieriew pokiwał głową.

Partia piąta: partia hiszpańska, atak Marshalla
białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Jak zwykle o poranku Oleg biegał po Parku Kensington. Poranek był ciepły, słońce ogrzewało ziemię, która otwierała się, przyjmując tę pieśczęotę. Usiadłszy na chwilę na trawie tuż przed niewielkim stawem, Oleg poczuł niespodziewanie emocje, które powróciły wraz ze wspomnieniami z dzieciństwa.

Usłyszał głos Nikifora Gawriłowicza. Przeżuwając kawałek kiełbasy, rzekł z pełnymi ustami:

– Lonia mógłby się jeszcze raz ożenić.

– No co wy, Nikiforze Gawriłowiczu – zaprotestował Oleg. – Jakże to?

– Spójrz na niego. – Przyjaciel dziadka popił kęs piwem. – Pływa, jakby miał ze czterdzieści lat. Nawet takie ciut po trzydziestce w naszym zakładzie patrzą na niego zaciekawione. Ech, ja na jego miejscu bym się dwóch chwil nie wahał. Jakbym miał jego urodę...

– A czego wam brakuje, Nikiforze Gawriłowiczu? – Oleg chciał być grzeczny.

– Nikifor, grubasie! – krzyknął Leonid Iwanowicz. – Właż do wody. Tylko nie skacz, bo falę zrobisz i rowery nam woda porwie.

– Ot, widzisz. – Nikifor Gawriłowicz westchnął ciężko, unosząc brwi. – Masz odpowiedź. I z samotności, i z przywiązania do tego, wybaczone, bo to twój dziadek, żulika, trzymam się go, choć na każdym kroku daje mi w kość. Ale chociaż pewnie

ta jego żona przepędziłaby mnie z moim grillem na cztery wiatry, namawiam go, by uległ którejś, bo po co przez resztę życia tylko wspominać.

– No co tam, baryło, idziesz?! – wykrzykiwał Leonid Iwanowicz, po czym zanurkował.

– Ja ci dam baryłę! – Nikifor Gawriłowicz poderwał się ze swojego miejsca. Zrzucił czapkę, rozpiął koszulę, zsunął z siebie spodnie i ruszył truchtem ku wodzie.

– Nikiforze Gawriłowiczu! – krzyknął za nim Oleg.

– Czego?

– Skarpetek i butów nie zdjęliście!

Oleg pękał ze śmiechu, a potem patrzył, jak pływają, jak Nikifor Gawriłowicz, który niczym hipopotam odzyskał w wodzie sprawność ruchów, goni dziadka, by wskakiwać mu na plecy i go podtapiać. I przez moment starał się wyobrazić sobie dziadka, który bierze ślub z młodą kobietą, wyrывa się z cienia wspomnień, odrzuca to przywiązanie, które ani jemu, ani matce nie pozwalało na znalezienie kogoś, kto dałby im szczęście.

Oleg ocknął się. Spojrzał dookoła. Londyn budził się ze snu. Kiedy wrócił do willi, naszała go ogromna ochota na dobre śniadanie i na wygraną tego wieczoru, pomimo że grał czarnym kolorem. Czuł, że bardzo chce to zrobić i, co ważniejsze, ma dla kogo.

– Znalazłem w nocy ciekawą ideę w Najdorfie – przywitał go Arszawin, rozstawiający w jadalni talerze do śniadania.

– Nie zagram dziś Najdorfa – rzucił Oleg, wbiegając po schodach na górę.

Arszawin spojrzał rozczarowany na Denisowa, który uniósł tylko brwi.

– Pozwólcie mi się zaskoczyć! – krzyknął z góry Oleg, idąc nago pod prysznic. – I pozwólcie mi zaskoczyć Romancewa.

Od samego rana Wiaczesław Czerkasow kręcił się pod zakładem fryzjerskim Aleksandria w Wolsku. Był tak rozemocjonowany, że chodził szybkim krokiem tam i z powrotem, mamrocząc coś pod nosem. Kiedy Maria Władimirowna podeszła do drzwi, aby otworzyć lokal, niemal rzucił się na nią i porwał w ramiona.

– A wy co? Pijani czy w totka trafiliście? – rzuciła szorstko w jego kierunku.

– Ależ nie, Mario Władimirowna – odparł, śmiejąc się, Czerkasow. – Emocji tak dużo, że nie mogłem usiedzieć na miejscu. Nasz mistrz wygrał! Zagrał wspaniale, niebywale! W partii hiszpańskiej, której nigdy nie grał czarnymi. W ataku Marshalla dosłownie zmiotł tamtego. Ech, co za noc, co za poranek. Śpiewałem z radości przy goleniu. Ja to wszystko przestudiowałem, o tu. – Wyciągnął z kieszeni zapisane kartki papieru. – Tu wszystko śledziłem, zapisałem. Każde posunięcie. Wszystko. Jaka wiktoria! Przejechał po tamtym z takim impetem jak

pospieszny osiemnasta trzydzieści dwa do Irkucka.

– Cicho już! Nie krzyczcie na ulicy, bo ktoś wezwie milicję – przywołała go do porządku Maria Władimirowna. – Wstąpicie na herbatę?

– No, skołtuniony taki jestem po tej partii. Nie mogę, Mario Władimirowna, wybaczenie, nie mogę. Do pracy muszę, na spotkanie z pospiesznym dziewięćdziesiąt trzydzieści jeden do Bałakowa. Ale tu wszystko Jekatierinie Pawłownie zapisałem. Wszystkie myśli. – Czerkasow podał notatki Marii Władimirownie, a potem, niczym salutujący żołnierz, trzasnął butami, uklonił się i odwróciwszy się w milczeniu, puścił się biegiem z torbą przepasaną przez ramię i głową pochyloną do przodu.

Co za cudak, pomyślała Maria Władimirowna, odprowadzając go wzrokiem.

Godzinę później, zanosząc się śmiechem, Katia czytała na głos list od Czerkasowa zaczynający się od słów:

Do siostry z naszego wolskiego bractwa szachowego Jekatieriny Pawłowny.

Jekatierino Pawłowna, pozwolicie, że zacznę od historii. Atak Marshalla został wprowadzony przez Franka Marshalla w jego słynnym meczu z kubańskim mistrzem Capablancą w 1918 roku. Według legendy Marshall przygotowywał tę niespodziankę przez osiem lat, zanim zagrał ją przeciwko Capablance. Tak, tak, osiem lat! Cóż przy tym moje osiem miesięcy, które spędziłem nad ową słodką pułapeczką na Zimmermana, której użył nasz mistrz z tak wspaniałym rezultatem. Marshallowi nie poszło tak dobrze. Przegrał wtedy z Capablancą, więc przez lata unowocześniano jego ideę. No i ta partia w Londynie naszego mistrza z pewnością przejdzie do historii, ba, zapisze się w niej złotymi zgłoskami, ukazując głębię gambitu i wszystkie jego strategiczne walory. Nasz mistrz atakował śmiało jak Iwan Nikitowicz Kożedub[73] faszystów w swoim Ła-7[74].

– Dalej, Mario Władimirowna, już pisze kodem szachowym, więc nic z tego nie rozumiem.

– Dumna jesteś, Katiucha?

– Ech, żeby on był cały mój, to byłabym dumna. A tak, sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Ale strasznie się cieszę, że wygrywa i że jest szczęśliwy.

Partia szósta: obrona francuska

białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Arszawin spoglądał na ekran, na którym wyświetlana była szachownica. Pomimo wysiłku, jaki wkładał w analizę, nie potrafił znaleźć planu, który dałby białym wygraną. Czuł intuicyjnie, że w pozycji drzemią ukryte możliwości, ale jak je zrealizować, było dla niego tajemnicą. Nie wytrzymał i wstał ze swojego miejsca na widowni. Napięcie, jakie odczuwał, było tak duże, że musiał z kimś

porozmawiać. Udał się do centrum prasowego, gdzie analizujący partie arcymistrzowie żywo dyskutowali nad powstałą pozycją. Arszawinowi wydawało się, że tego wieczoru wszystko idzie źle. Kompletnie nie trafili z debiutem. Spodziewali się Caro-Kann lub hiszpańskiej, tymczasem Romancew, pamiętając bardzo słaby wynik, jaki zanotował Antonow przeciwko obronie francuskiej w meczu z Krutinem w Budapeszcie, wybrał właśnie ten debiut. Oleg męczył się w otwarciu, nie potrafił złapać właściwego rytmu gry, w końcu niespodziewanie dla wszystkich zgodził się na wymianę królowych i znalazł się w suchej, pozbawionej możliwości agresywnej gry, technicznej pozycji. Arszawin wiedział, jak bardzo mistrz nie cierpi podobnych pozycji i jak ciężko mu się w nich gra. A przecież tę partię należało wygrać. W przypadku remisu zostawały jeszcze dwie, to prawda, ale jedna z nich grana czarnymi.

W centrum prasowym panowało poruszenie. John Serewan demonstrował różne warianty. Wszyscy byli zgodni, że pozycja jest niezwykle skomplikowana i ciekawa, ale ciężko znaleźć drogę do zwycięstwa i niemal każdy obstawiał remis. Arszawin spojrział na ekran monitora, który ukazywał twarze obu graczy. Romancew był skupiony, lecz pewny siebie. Czuł, że w tej pozycji nie stanie mu się nic złego. Równa liczba pionów i figur, żadnego wolnego piona, który mógłby, nieupilnowany, biec niczym rugbysta do pola przyłożeń. Wszystkie pionki zakleszczone jak drewniana konstrukcja wykonana bez użycia gwoździ, w której budowniczy wykorzystał naturalnie niwelujące się i równoważące siły. Ale emocje na twarzy Antonowa były znacznie trudniejsze do zdefiniowania. I choć Arszawin próbował je przeniknąć, znaleźć w nich dla siebie okrusz nadziei, wszystko to wydawało mu się daremnym trudem. Nagle poczuł dziwny dreszcz, widząc w oczach Antonowa błysk, a potem obserwując jego gest, gdy podniósł rękę, sięgając po swoją figurę, i zawiesił ją nad szachownicą nienaturalnie długo. Wyglądało to jak gilotyna. W centrum prasowym zapadła kompletna cisza, wszyscy wstrzymali oddech. Romancew spoglądał na dłoń przeciwnika w jakimś dramatycznym oczekiwaniu. I Antonow, niczym pianista uderzający ostatni, mocny akord, wykonał ruch skoczkiem, stawiając go pośrodku szachownicy. Nikt się nie odezwał. Nikt nie skomentował. Każdy patrzył na ekran ukazujący pozycję na szachownicy. I Arszawin poczuł, jak łzy napływają mu do oczu, a jego ciało drży z emocji. W jednej chwili arcymistrzowie zrozumieli, że tym widowiskowym ruchem, który był planowany kilkanaście posunięć wcześniej, Antonow zamknął Romancewowi dopływ tlenu. Figury aktualnego mistrza znalazły się w pułapce bez wyjścia. Jedynym bezpiecznym posunięciem czarnych było dreptanie króla w prawo i w lewo o jedno pole. Nikt nie widział kiedy, nikt nie dostrzegł jak, Antonow misternie, krok po kroku, przygotowywał pułapkę, plótn niewidoczną pajęczą sieć, która okazała się dla czarnych wojsk śmiertelna.

W centrum zawrzało. Denisow opadł ciężko na wolne krzesło. Wiedział, że to, co się wydarzyło na szachownicy, przerasta go i jest dostępne jedynie geniuszowi Antonowa. Partia była rozstrzygnięta.

Widzowie śledzili wszystko z zapartym tchem, podziwiając fantazję i subtelność pretendenta w prowadzeniu tej gry, która przypominała film szpiegowski, bez fajerwerków, bez wystrzałów, ale z niezwykłą intrygą przeprowadzoną z absolutną dyskrecją. Romancew po dwóch kolejnych posunięciach poczuł, że nie przystoi mu grać dalej, i poddał się, pozwalając tym samym Antonowowi na zdobycie po raz pierwszy w tym meczu prowadzenia. Teraz on znalazł się w bardzo ciężkim położeniu. Miał przed sobą dwie partie, z czego tylko jedną graną białym kolorem. Musiał ją wygrać, aby obronić tytuł.

Antonow opuścił scenę, niemal nie dotykając jej stopami. Radość unosiła go w magiczny sposób. Brawa, uściski sekundantów, to wszystko było jakby obok, serce waliło mu z podniecenia, to był ten moment, w którym czując, że oddał tej partii kawałek własnej duszy, odnosił wyśniony triumf. Przez lata widział posunięcia, które pojawiały się na szachownicy, widział w swoich przygotowaniach rozstawione harmonijnie figury, które z ogromną energią zdobywały przewagę. Ale czy wówczas, jako nastolatek, mógł marzyć o tak cudownym wieczorze, kiedy jego magiczne przenikanie przestrzeni szachownicy, rozumienie ducha gry zabłyśnie w świetle jupiterów z całą chwałą?

– Co to było?! – krzyknął Arszawin. – Chciałeś, żebyśmy tu wszyscy padli trupem? Przez całą partię niczego nie widzieliśmy, niczego nie rozumieliśmy. A kiedy ujrzeliśmy tego skoczka na d5, oniemieliśmy! Zrobić coś takiego w tajemnicy przed nami!

Antonow nie odpowiedział. Pokiwał głową, jakby prosząc o wyrozumiałość, a jednocześnie dając do zrozumienia, że wie, iż tego wieczoru przekroczył granice i zafundował sobie i przyjaciołom prawdziwy dreszczowiec.

Romancew spojrział na zegarek, była czwarta nad ranem. Usiadł do stolika ze szklanką zimnego toniku i zaczął ustawiać na szachownicy pozycję z obrony Grünfelda. Czuł, że oszołomiony swoim zwycięstwem Antonow będzie chciał wrócić do swojego ulubionego debiutu sprzed lat. Romancewowi wydawało się, że po tych dziesiątkach godzin spędzonych razem potrafi przewidzieć zachowanie przeciwnika.

Rankiem Katia szła do zakładu, zastanawiając się, jak przetrwać dzień, w którym serce boli z tęsknoty i żalu.

– Katia – rzuciła Maria Władimirowna. – Poczekaj chwilę.

Katia usiadła. Szefowa poczekała, aż Oksana wyszła na zaplecze.

– Wczoraj śpiewałam – odezwała się.

Katia spojrzała na nią zdziwiona.

– A jak śpiewam – ciągnęła szefowa – robię się sentymentalna i nachodzą mnie

różne myśli. I myślałam o tym, co powiedziałaś wczoraj, że powinnaś tam być, że takie chwile decydują czasem o reszcie życia, no i w ogóle. Pamiętam, jak mówiłaś, że licząc, że cię tam zabierze, wyrobiłaś sobie w tajemnicy paszport i załatwiłaś wizę. Tak mi się zrobiło smutno. No więc, kiedy śpiewałam, pomyślałam, że my, baby, jak kochamy, to całą duszą i nic na to poradzić nie można. Głupie jesteśmy, ale za tymi swoimi mężczyznami idziemy w ogień. Masz tu pieniądze na bilet i leć do niego.

– Mario Władimirowna...

– Milcz i leć, bo mi przestanie w duszy grać i śpiewać też nie będzie do czego.

Katia rzuciła jej się na szyję i obie się rozplakały.

– Gdy już tam będziesz, pozdrów ode mnie Aloszę Denisowa – dodała Maria Władimirowna, śmiejąc się i ocierając łzy.

Kiedy Katia wyszła z agencji turystycznej z biletami lotniczymi w ręce, zrozumiała, że zdobyła się na to szaleństwo i opanowała ją euforia. Poczowała się jak bohaterka komedii romantycznej, za którymi tak przepadała. Przecież nic nie mogło jej się stać, bo robiła to z miłości.

Jej samolot wylądował na moskiewskim lotnisku Wnukowo około dziewiątej wieczór. Trzeba było czekać do rana, bo samolot do Londynu odlatywał dopiero o ósmej z Szeremietiewa. Katia zmartwiła się, że na drugi dzień będzie okropnie wyglądać po takiej podróży. Wsiadła do pociągu jadącego na Dworzec Pawelecki, aby tam przesiąść się do pociągu w kierunku lotniska Szeremietiewo. Na horyzoncie ostatnie błyski słońca migoczące spomiędzy mijanych gałęzi brzoź i olch oświetlały wieczorne niebo.

Wielkość lotniska onieśmieliła Katię, ale w tej samej chwili poczuła, że każda przeciwność jest czymś wspaniałym, bo przecież udowadnia jej miłość i oddanie dla niego. Nawet jeśli nie czekał i nie tęsknił, nie mógł jej już zawrócić.

Siedząc w hali odlotów, Katia zasypiała z głową na torbie utrzymaną na kolanach. Bała się, by ktoś nie ukradł jej dokumentów, więc w toalecie ukryła je wcześniej pod koszulą. Teraz uwierały ją i sprawiały ból.

– Ee, Katiucha – powiedziała do siebie. – Ile to razy do rana się nie spało na zabawach. Dasz radę. Ale kiedy pomyślała, co się stanie, jeśli jutro go nie odnajdzie, nie spotka, że będzie się gdzieś błakać w poszukiwaniu noclegu, łzy napłynęły jej do oczu.

Partia siódma: obrona Grünfelda

białe: Anatolij Romancew, czarne: Oleg Antonow

Wiedząc, że remis w przedostatniej partii da mu ogromne szanse na końcowe

zwycięstwo, Antonow poczuł, że organizm ponownie zaczyna odmawiać mu posłuszeństwa. Nękały go duszności, zawroty głowy, drżały ręce. W chwilach dużego stresu jego ciało reagowało znacznie gorzej niż dawniej.

Przypomniał sobie, że ma w odtwarzaczu płyty z piosenkami Katii, te, które swoim nieskomplikowanym pełnym energii rytmem pozwalały mu wprowadzić myśli i organizm w stan lekkiej mobilizacji. Nałożył słuchawki. Muzyka go uspokoiła. Przez chwilę odciął się od przedmeczowej atmosfery napięcia. Przez moment też jego myśli owinęły się niczym woal wokół ponętnego ciała Katii, wywołując w nim przyjemny dreszczyk. Wróciła wiara. Był gotowy iść na wojnę w Romancewem.

Josh usiadł w pierwszym rzędzie. Nauczyciel w klubie pokazywał na dużej metalowej tablicy posunięcia. W Nowym Jorku była druga po południu.

– Jak widzicie, mistrz świata zdecydował się na ruch pionkiem d4 – zaczął swój wykład trener. – W odpowiedzi pretendent wybrał ostry system obrony Grünfelda.

Josh poczuł przeszywający go dreszcz. Wszystko to było tak cudownie tajemnicze. Magiczne nazwy przemawiały do wyobraźni dziesięciolatka z wielką siłą. Oglądając przebieg partii i słuchając komentarzy, Josh pomyślał, że jeszcze tylko dwie partie, a właściwie jedna, bo przecież on jest zbyt wspaniały, by przegrać ostatnią partię białymi. Więc jutro wieczorem znów będzie mistrzem. Josh zamarzył, żeby być w drużynie sekundantów. Wtedy mógłby go wspierać, doradzać mu. W tym momencie postanowił udąć, że jest chory, i nie iść jutro do szkoły, tylko cały dzień analizować te ostatnie partie. Być ze swoim ukochanym mistrzem choćby myślami.

W Londynie zbliżała się jedenasta wieczorem, kiedy gracze, przeszedłszy pierwszą kontrolę czasu, rozpoczęli drugą fazę gry.

W centrum prasowym znów panowała nerwowa atmosfera. Arszawin siedział z Denisowem, analizując wariant. Romancew, pomimo presji gry na wygraną, nie szarżował. Grał spokojnie, wzmacniał napór na czarne, które jednak broniły się aktywnie i bardzo rozsądnie. Wydawało się, że przy dalszej uważnej obronie Antonowa padnie remis.

Nieco po jedenastej Antonow gestem dłoni poprosił do siebie sędziego. Był bardzo błady. Na jego skroniach pojawiły się kropelki potu. Widząc to, Romancew przerwał swoją analizę i poprosił sędziego, aby wstrzymał zegar i wezwał lekarza. Arszawin wybiegł z centrum prasowego, chcąc zorientować się, co się dzieje. Po chwili pojawili się mężczyźni z obsługi widowiska, którzy trzymając Antonowa z obu stron, pomogli mu opuścić salę gier. Arszawin dobiegł do nich, rozepchnął się łokciami i dopadłszy Olega, spytał:

– Co jest, Oleg?

– Zasłabłem – wyszeptał Antonow. – Muszę odpocząć.

Olega położono w garderobie teatralnej. Podano mu wodę. Po chwili zjawił się lekarz. W tym czasie Arszawin ustalał z sędzią Hauptmanem, co dalej. Sędzia zarządził piętnastominutową przerwę. Obaj gracze nie mieli prawa opuszczać swoich miejsc: Romancew – sceny, Antonow – garderoby, w której asystował mu drugi z sędziów. Obaj gracze nie mogli również konsultować się ze swoimi sekundantami. Denisow żałował ogromnie, że nie może przekazać Olegowi, żeby był spokojny i żeby wytrwał, bo w tej pozycji nie zdarzy mu się nic złego, że remis jest niemal pewny. Nie wiedział, że Antonow zasłabł ze stresu, ponieważ znał tę pozycję ze swego nocnego widzenia. Poprzedniej nocy jego mózg pracował pomimo snu. Rozgrywał z Romancewem partię czarnym kolorem w Grünfeldzie, niemal identyczną pozycję z tą, która powstała teraz na szachownicy. Ale, na szczęście, nadal panował nad sytuacją, gdy tymczasem we śnie, nie wiadomo dlaczego, po jakimś bliżej nieokreślonym czasie jego pozycja była koszmarna, kompletnie przegrana. Kiedy obudził się około trzeciej nad ranem, tak go to przeraziło, że nie zdołał już zasnąć. Zmęczenie po nieprzespanej nocy przypomniało o sobie w tym decydującym momencie.

Za oknami gmachu lotniska Szeremietiewo pojawiały się pierwsze przebliski światła zwiastujące w Moskwie nadchodzący świt, kiedy w Londynie wciąż trwała walka na szachownicy.

Oleg wrócił do gry. Przyglądając się na nowo sytuacji na desce, doszedł do wniosku, że nie docenił swoich możliwości kontrataku. Gdy to sobie uświadomił, znów krew poczęła pulsować mu w skroniach z ogromnym ciśnieniem. Czyżby miał już teraz rozstrzygnąć ten pojedynek na swoją korzyść? Widział piękną kombinację, z poświęceniem wieży, w zamian za końcowy efektowny atak matowy. To było cudowne, fantastyczne. Poczł w sobie muzykę, która niosła go w górę. Wykonał ruch wieżą, rozpoczynając szturm. Romancew spojrzał zdziwiony na niego, potem na szachownicę. I znów na Olega. Zagłębił się na chwilę w analizę pozycji, po czym wykonał swoje posunięcie. Antonow, ujrawszy odpowiedź Romancewa, zamarł na moment, po czym odwrócił wzrok od szachownicy. Przypomniał sobie swój sen i pozycję, która tak bardzo przestraszyła go nad ranem. Wówczas była ona jedynie koszmarem. Teraz powstała na szachownicy w samym środku nocy, na scenie londyńskiego Savoy Theatre.

Romancew powoli uzupełnił zapis. Spojrzał na Antonowa, który z trudem oddychał, z twarzą nadal odwróconą od szachownicy. Jedno posunięcie, wykonane przez niego przed chwilą, miało dla nich obu tak ogromne konsekwencje. Romancew przez te wszystkie lata unikał takiej loterii, a jednak była ona częścią życia, które wiedli, elementem, przed którym, tak czy inaczej, nie można było uciec. Nagle przepeliła go wdzięczność dla Antonowa. W tym ułamku sekundy zrozumiał, że nigdy więcej nie poczuje lęku przed porażką, jakby dramat, jaki przeżywał na jego oczach Antonow, stanowił lekcję anatomii ludzkiej

duszy.

O poranku, na godzinę przed odlotem samolotu do Londynu, Katia usiadła przy stoliku. Zamówiła kawę. Co pewien czas zerkła na wiszący nad barem telewizor. Zainteresowała się, gdy w wiadomościach pojawiły się informacje ze sportu. Nie słyszała ich, ale sparaliżowało ją, gdy ujrzała scenę w Londynie. Nie potrzebowała komentarla, by domyślić się, co zaszło. Zobaczyła Olega odwracającego głowę od szachownicy, jego twarz mówiła wszystko. Potem szybkie podanie ręki i zejście ze sceny. Triumf, którego się spodziewała, zamienił się w klęskę. Przez głowę przeleciało jej pytanie: Czy w tej sytuacji powinna do niego lecieć... Miała jeszcze kilka minut na podjęcie decyzji.

Josh z trudem powstrzymywał łzy. Kilka razy powtórzył szeptem słowa trenera: „Błąd stulecia w meczu o mistrzostwo świata. Antonow, straciwszy koncentrację, podstawił wieżę w prostej kombinacji. Niewiarygodne na takim szczeblu rozgrywek. To była halucynacja”.

Wszystko przeze mnie, pomyślał. To dlatego, że skłamałem, udając chorobę.

Partia ósma: obrona sycylijska, wariant Scheveningen
białe: Oleg Antonow, czarne: Anatolij Romancew

Tego dnia obaj gracze wybrali inny sposób spędzenia poranka.

Romancew spotkał się z przyjaciółmi na śniadaniu. Potem zadzwonił do Paryża, do Tani.

– Chcę, byś wiedział, że cokolwiek się zdarzy, będę z tobą i kocham cię – powiedziała na koniec ich rozmowy, trzymając na ręce ich córkę.

– Wiem – odrzekł Romancew. – Dlatego jestem szczęśliwy. Spełniony i bardzo szczęśliwy.

Antonow wybrał wycieczkę rowerową z małym prowiantem. Po powrocie do willi postanowili z Denisowem nie iść nigdzie na lunch, tylko razem coś ugotować. Wysłali po zakupy Arszawina, a sami ani słowem nie wspominali o szachach.

Katia poczuła się malutka wobec otaczającego ją świata, wobec tych telewizyjnych transmisji z Londynu, wobec zdjęć i nagłówków w gazetach, a jednocześnie miała w sobie dość uporów, by nie zawrócić. Czy na tych zdjęciach był jeszcze jej Oleg, czy tylko znany na świecie arcymistrz? Wiedziała, że otwiera nową kartę swojego życia i stawia wszystko na ten los. Czuła się samotna, bo przecież kto mógł pojąć, co tak naprawdę robiła w tej chwili, by być blisko niego, by zrozumieć swoją miłość i przywiązanie, by wyzwolić się z niepewności, kim jest

dla niej i czy jego drogi są również częścią jej życia? Dobrze wiedziała, że to nie jest zwykła podróż, że to podróż do jej wnętrza, do najskrytszych zakamarków duszy, do jej marzeń. Z każdą chwilą czuła narastającą tęsknotę za nim i uczucie miłości, które wypełniało ją pragnieniem bycia blisko niego i na zawsze z nim.

Kiedy wsiadła do samolotu, oczy zamykały jej się ze zmęczenia. Pod powiekami miała wciąż obraz jego odwróconej od szachownicy twarzy, oczy wyrażające przerażenie, ból i smutek. Wiedziała, co czuł w tamtej chwili, jak bardzo był samotny, jak bardzo oddalały się jego marzenia.

Samolot poderwał się z pasa startowego. Katia spojrzała przez okno. Wraz z samolotem unosiła się ponad wszystko, co stanowiło jej świat, zostawiając samą siebie i robiąc krok w krainę, której nie знаła. Pragnęła wznieść się ponad obłoki, spojrzeć w gwiazdy, reszta była już nieważna. Uwierzyła, że miłość jest czymś, co w magiczny sposób da jej siłę i ochroni przed rozczarowaniem, porażką i smutkiem.

Zmęczona nocnym czuwaniem zasnęła zaraz po starcie. Śniło jej się, że jest z Antonowem w jakiejś dziwnej sali, w której on gra na ogromnej liczbie szachownic symultane, a ona rozdaje wszystkim, którzy z nim przegrali, tabliczki czekolady.

Samolot wpadł w turbulencję. Katia spojrzała niepewnie dookoła i dyskretnie spięła mocniej pas. Myśl o miłości do Olega i misji, jaką sobie narzuciła, pocieszała ją, że nic się jej nie może stać, bo przecież leci do niego, by być przy nim i dać mu wsparcie.

Kiedy pilot zapowiedział, że samolot zniża się do lądowania, poczuła tak wielką ekscytację, że minuty oczekiwania dłużyły jej się w nieskończoność. Tak bardzo chciała go zobaczyć, tak bardzo była ciekawa, jak jest za granicą, pomimo lęku, że jej angielski ogranicza się do znajomości tekstów kilku piosenek. Przytuliła czoło do okna samolotu, delektując się widokiem. Samolot zrobił zwrot i spomiędzy chmur zaczął wyłaniać się Londyn. Katia cieszyła się jak dziecko, widząc sylwetki budynków, które pamiętała z telewizji lub kina. Wielki namiot, po którym zsuwał się Pierce Brosnan jako James Bond. Wszystko było magiczne. Pomyślała, że cokolwiek się zdarzy, jest szczęśliwa, że jej wyobraźnia nie ma dziś granic, a miłość do niego czyni jej świat pełnym barw. I odkąd poznała tego mężczyznę ze swoich marzeń, każdy dzień był cenny, każdy przynosił emocje, każdy pozwalał czuć, że żyje.

Patrzyła z zaciekawieniem na podlondyńskie stacje, na ustawione rzędem domki na Harrow. Co chwilę upewniała się, czy nie pomyliła się z liczeniem stacji, które pozostały jej do wyjścia. Nie rozumiała, co mówi głos, który powtarzał przy każdej stacji: *Mind the gap between the train and the platform*. Pożałowała, że pilnie nie uczyła się w szkole angielskiego. Do tłumaczenia słów piosenek wystarczał internetowy słowniczek.

Jadąc metrem, zastanawiała się, co mu powie, jeśli w ogóle uda jej się do niego

dotrzeć. Może uzna ją za wariatkę, może wpadnie w złość, że przeszkadza mu w takim momencie. Za późno, by się wahać. Po prostu stanę i powiem: „Witaj”, pomyślała, wzdychając.

Sięgnęła do torebki, by wyjąć plan miasta i z przerażeniem spostrzegła, że go nie ma. Zostawiła w samolocie, w kieszeni fotela, za którym siedziała... Wpadła w panikę i łzy napłynęły jej do oczu, a w przetyku poczuła dławienie. Wyszła z metra. Ruch dookoła ją zaskoczył. Nie miała się gdzie ukryć przed tłumem, który przelewał się we wszystkie strony. Gęsta zabudowa utrudniała orientację. W końcu Katia schowała się na przystanku autobusowym i zaczęła studiować umieszczony za szybą schemat komunikacji miejskiej w Londynie. Nie mogła odnaleźć hotelu Savoy, na którego tyłach znajdował się teatr, gdzie grali mecz. Mimo że przerysowała mapę na kartkę, szybko się pogubiła, myląc kierunki. Była przestraszona. Cofnęła się do stacji metra i raz jeszcze zaczęła pilnie studiować wiszącą na ścianie wielką mapę, kopiując ją na papier.

Antonow wyszedł z willi sam nieco wcześniej. Nie chciał pozostawać w domu, bo obawiał się, że za kilka chwil nie opuściłby go w ogóle. Szedł powoli, lekko zgarbiony, starając się zapanować nad swoim organizmem, który wymykał mu się spod kontroli. „Byle nie wpaść w panikę, byle zachować trzeźwość myśli”, mówił do siebie, chcąc dodać sobie odwagi. Wolał, by sekundanci nie widzieli go w tym stanie, więc poinformował Denisowa, że pojedzie sam, taksówką. Wykonali swoją pracę, to on ich zawiódł. Po raz kolejny ulegając w swoim życiu fantazjom, emocjom i ambicjom, obrócił w proch nadzieje i szanse.

Taksówka podjechała pod front teatru Savoy.

– Przepraszam, czy to nie pan gra dziś o mistrzostwo świata? – spytał taksówkarz, Hindus.

– Tak, ja.

– Kibicowałem Angadowi Poorowi, a teraz kibicuję panu.

– Więc dziś na pewno nie przegram, zapewniam pana. – Antonow uśmiechnął się zaskoczony nieoczekiwanym wsparciem. – Ale, niestety, remis mnie nie urządza i muszę wygrać. A to już nie taka prosta sprawa.

Wysiadając z taksówki, zastanawiał się, czy przemówił do niego jakiś anioł, bo skąd, u licha, londyński taksówkarz mógł go rozpoznać i znać się na szachach. Przypadek jeden na milion.

Jakby oczekując nowych znaków, Antonow rozejrzał się uważnie dookoła. Na rogu stała dziewczyna w białym płaszczu, przepasana torebką, spoglądała to w prawo, to w lewo w wielkim skupieniu. Jej sylwetka wydała mu się znajoma.

Katia? – przeszło mu przez myśl. Jaka znowu Katia, co Katia robiłaby w Londynie... Podobna tylko, myślał gorączkowo kompletnie zaskoczony i patrzył na uśmiechającą się do niego dziewczynę. Nie no, jak Boga kocham, Katia. Ona, no przecież ten nosek, oczka... Katia. Boże święty, Katia. Moja Katiucha!

Antonow podbiegł do niej i mocno chwycił w ramiona.

– Katia! Katiucha! Moje serce! Boże mój, skąd się tu wzięłaś?! – krzyczał, nie zważając na przechodniów, którzy przyglądali im się ciekawie. – Mów! Jak, co? Katia, to naprawdę ty? Boże, nie wierzę!

Zmęczenie i wzruszenie sprawiły, że Katii wydawało się, iż jest pogrążona we śnie. Siedziała naprzeciw niego w milczeniu, z trudem powstrzymując się od ziewania. Trzymał ją mocno za rękę i to jej rekompensowało wszystkie trudy podróży. Nie potrzebowała słów, nie chciała ich, wiedząc, że on za chwilę stanie do najważniejszego pojedynku w swoim życiu, ze świadomością, że nie da się po przegranej wrócić do Wolska jak gdyby nigdy nic. Wiedziała, że musi mu oddać całą swoją siłę, by za chwilę był w stanie walczyć. Ale on chyba tego nie potrzebował. Jego oczy śmiały się do niej, nie był zestresowany, sprawiał wrażenie, jakby spotkanie z nią było kulminacją tego wieczoru i nie potrzebował już niczego więcej. Pod wpływem zmęczenia i wzruszenia łzy zaczęły napływać jej do oczu i spływać po policzkach. A on tylko patrzył z uśmiechem i nie ganił jej jak kiedyś w Wolsku, że robi sceny, kiedy on potrzebuje skupienia. Uśmiechnęła się zażenowana swoją słabością.

– Kiedy przyjedzie Denisow – odezwał się, ocierając dłonią łzę z jej policzka – zabierze cię do centrum prasowego. Mają tam ekran z obrazem na scenę i nie będziesz musiała się męczyć, siedząc w ciasnych rzędach.

– Dobrze.

– Przyleciałaś dziś rano?

Przytaknęła.

– I z Saratowa też samolotem?

– Maria Władimirowna dała mi pieniądze.

Uśmiechnął się na wspomnienie zakładu fryzjerskiego w Wolsku.

– Denisow pokaże ci miejsce. To pewnie trochę potrwa, zanim skończymy grać. Może kilka godzin. Zdrzemnij się choć kwadrans. Stamtąd będziesz mnie widzieć. Jak ja się cieszę, że tu jesteś. Katia... Kocham cię.

– I dobrze – szepnęła dziewczyna i mrugnęła do niego z uśmiechem.

Równy o siedemnastej przystąpili do gry. Na ruch e4, wykonany przez Antonowa, Romancew odpowiedział ruchem pionka na pole c5, wybierając obronę sycylijską. Antonow spojrzał na niego zdumiony. Romancew wpisywał swoje posunięcie na blankiet. Oleg wykonał kolejny ruch. Romancew odpowiedział, niemal nie patrząc na szachownicę. I tak kolejne kilka posunięć. Na desce stanął wariant Scheveningen, tyle że tym razem, być może pierwszy raz w życiu, wybrał go Romancew.

– Grasz Scheveningena? – spytał go cicho Oleg, nie przejmując się

regulaminem.

Romancew podniósł na niego wzrok. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Trwali tak dłuższą chwilę.

– W Nowym Jorku przyniósł ci sukces – szepnął dyskretnie Romancew, nachylając się ponownie nad szachownicą.

– Wiesz, że to dla mnie szczególne. Wiesz to – rzekł Oleg, nie odrywając wzroku od rywala. – Mam grać przeciwko samemu sobie?

Romancew milczał. Lecz jakby w odpowiedzi na pytanie rywala wykonał ruch skoczkiem, którego żaden z arcymistrzów zgromadzonych w centrum prasowym nie mógł się po nim spodziewać. Ofiarował figurę w pierwszych ruchach w sposób tak nieoczekiwany, że wywołał wręcz uśmiech na twarzy Antonowa.

W centrum prasowym zawrzało. Już sam wybór debiutu był zupełnym zaskoczeniem, ale sposób prowadzenia gry przez Romancewa wprowadził wszystkich w stan osłupienia i niemal ekstazy. Denisow, niedowierzając, spojrzał na Arszawina, który pokręcił głową na znak, że nic nie rozumie. Wiedzieli jednak, że to niedobry znak i że źle wróży wynikowi partii. Czarne figury całkowicie przejęły inicjatywę na szachownicy. Romancew grał jak natchniony, nie przejmując się ryzykiem. Lecz nagle do tego genialnego skrzypcowego solo w jego wykonaniu, które porwało widzów swoją energią i wirtuozerią, włączyło się równie fenomenalne brzmienie wiolonczeli. I Oleg, widząc, jak jego rywal unosi się wysoko w obłokach abstrakcyjnego myślenia, postanowił do niego dołączyć. Jego odpowiedź była taka, jak jego dusza: niepokorna, pełna pasji, ambicji i skłonności do ryzyka. Antonow oddał swoją najsilniejszą figurę, królową, aby osłabić napór czarnych figur, czym rozbił atak przeciwnika i zmienił charakter walki z dynamicznej wymiany ciosów na strategiczne manewry zmierzające do przejęcia kontroli nad polem bitwy poprzez lepszą koordynację swoich chwilowo tylko słabszych wojsk. I strategia ta przyniosła mu przewagę. Szala znów przechyliła się na jego stronę. Lecz sytuacja wydawała się wciąż na tyle niejasna, że nie sposób było przewidzieć, kto zwycięży. Manewry obu graczy spowodowały, że ich pionki miały teraz wolną drogę do pola przemiany: pionki Olega na skrzydle królowej, pionki Romancewa na skrzydle królewskim. Rozpoczął się wyścig. Arszawin kręcił z niedowierzaniem głową. To już nie były normalne szachy. To były szachy, jakie grać będą zapewne w dwudziestym drugim wieku, myślał młody arcymistrz, rozumiejąc, że jest świadkiem rzeczy niezwykłych.

Romancew poświęcił swoją królową, żeby zatrzymać krocącego pionka białych. Ale za moment jego pion dotarł do pola przemiany i niczym feniks z popiołów przywrócił życie królowej. I znów szala zwycięstwa przechyliła się lekko na stronę Romancewa, który zaszachował białego króla, jednocześnie strasząc przeciwnika doprowadzeniem drugiego pionka do pola przemiany. Antonow znalazł się w pułapce, był praktycznie zmuszony do powtarzania posunięć, co w sumie oznaczało porażkę w całym meczu. Skrzywił się. Nie było szans na nic

więcej niż remis. Wykonał posunięcie niemal odruchowo. Wcisnął swój zegar i czekał. Romancew nie patrzył na szachownicę. Patrzył na niego. Ich oczy ponownie się spotkały. Oleg nie wiedział, co znaczy spojrzenie Romancewa. Nie widział w nim ani triumfu, ani nienawiści. W tym ułamku sekundy wytworzyła się między nimi dziwna więź. Spędzili ze sobą godziny, siedząc naprzeciw siebie, przewidując nawzajem swoje motywy, znając słabości i lęki, plany ataku i obrony, ale w tej chwili Antonow poczuł, że docierają do niego myśli dalekie od szachów. Połączyła ich również miłość do jednej kobiety. Wielka miłość. Oleg poczuł dreszcz. Rzucił okiem na zegar. Romancewowi pozostawały sekundy na wykonanie ruchu. Antonow popatrzył ponownie na przeciwnika, jakby napominając go, by wykonał ruch. Romancew siedział ze spokojną twarzą, spoglądając prosto w oczy Olega. Antonow zrozumiał. W ostatniej chwili próbował zaprzeczyć głową, lecz niemal w tym samym momencie na elektronicznym zegarze Romancewa ukazały się cyfry „0.00” wskazujące przekroczenie przez niego czasu do namysłu...

W Londynie zaczął padać deszcz. Antonow otworzył parasol. Spojrzał na Katię i podał jej ramię.

– Przejdziemy się – powiedział. – Pokażę ci Londyn.

– Znowu jesteś mistrzem świata – szepnęła.

– Wiem.

Ruszyli wzdłuż brzegu rzeki po skąpanej w deszczu ulicy.

– Nie zimno ci? – spytał Oleg.

– Nie – odrzekła Katia. – Mam swój biały płaszczyk.

KONIEC

Podziękowania

Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy inspirowali mnie podczas pisania, pomagali mi i radzili, a szczególnie: Żonie, Matce i Córkom – trzeba dodać, bardzo surowym krytykom.

Dziękuję gorąco:

dwóm szachowym mistrzom świata, Anatolijowi Karpowowi i Garriemu Kasparowowi, z którymi spotkanie, wspólnie spędzony czas i praca w Chanty-Mansyjsku były dla mnie wielką inspiracją, radością i niezapomnianym doświadczeniem. Bez poznania obu mistrzów ta powieść byłaby niewątpliwie uboższa.

Halinie i Janowi Machulskim, którzy, dając mi szansę bycia w ich teatrze i wspierając literackie początki, pomogli uwierzyć w sens przygody z literaturą.

Eli Strzałkowskiej za wsparcie, oddanie, entuzjazm i wiarę w sens pracy nad powieścią.

Przyjacielowi, Konradowi Komornickiemu, który, jak mniemam, odnajdzie w powieści moskiewskie klimaty swojego dzieciństwa.

Mojemu nauczycielowi szachów i literatury, Ludwikowi Janionowi, którego sekcja w domu kultury miała niezapomniany klimat, a szachy mieszały się tam z literaturą i miłością do kobiet.

Jackowi Hugo-Baderowi za pomoc w stworzeniu postaci Rodina i słowa wsparcia. Tak, Panie Jacku, pieca w mieszkaniu Rodina nie da się wymyślić, on po prostu tam był.

Przyjaciołom z Rosji, bez których nie udałooby się oddać klimatu opowieści, biesiad, rozmów, emocji, tęsknot i nadziei. Życzę im szczęścia, spełnienia, miłości i odnalezienia swojego miejsca w życiu.

Rosyjskim piosenkarzom, a szczególnie Julii Sawiczewej i Stasowi Piecha, których muzyka towarzyszyła mi przez ostatnie dwa lata pracy nad powieścią.

Oddaję hołd i dziękuję również wybitnym szachistom, których cechy, geniusz, styl gry i rozegrane partie stały się dla mnie inspiracją podczas pisania tej powieści: Aleksandrowi Alechinowi, Tigranowi Petrosjanowi, Michaiłowi Talowi, Borisowi Spasskiemu, Robertowi Jamesowi Fischerowi, Wiktorowi Korcznojowi, Władimirowi Kramnikowi, Viswanathanowi Anandowi, Magnusowi Carlsenowi.

I na koniec, szczególnie mocno dziękuję mojemu Wydawcy za zaufanie, jakim mnie obdarzył.

- [1] *Obłok w spodniach* – młodzieńczy poemat miłosny Włodzimierza Majakowskiego, opublikowany w 1915 roku. Akcja utworu rozgrywa się w Odessie. Na język polski poemat przetłumaczył Julian Tuwim.
- [2] Blitz – gra w szachy przy skróconym czasie do namysłu, zazwyczaj jest to pięć minut na całą partię.
- [3] Fiodor Dostojewski, *Białe noce*, przekł. Władysław Broniewski, Wydawnictwo Książka i Wiedza, Warszawa 1986, s. 9.
- [4] Aleksander Puszkina, *Jeździec miedziany*, przekł. Julian Tuwim [w:] tegoż, *Wybór poezji*, Czytelnik, Katowice 1951, s. 185.
- [5] Historia ucieczki Aleksandra Naumowa inspirowana jest wydarzeniami, jakie miały miejsce w 1979 roku, kiedy to podczas tournée Teatru Balszoi po Stanach Zjednoczonych o azyl w USA poprosił tancerz Aleksander Borysewicz Godunow. Zabiegał również o to, by w Ameryce mogła zostać jego żona Ludmiła Własowa (także tancerka Teatru Balszoi). W sprawę zaangażowali się przywódcy Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego – prezydent Jimmy Carter i sekretarz generalny KPZR Leonid Breżniew. Ostatecznie Własowa wróciła do ZSRR, a na kanwie tych wydarzeń powstał film *Flight 222*. Godunow znany jest z późniejszych ról filmowych, m.in. w *Świadku* Petera Weira oraz *Szklanej pułapce* Johna McTiernana.
- [6] Inspiracją dla opisu walki Igora Antonowa był pojedynek o złoty medal w kategorii ciężkiej podczas igrzysk olimpijskich w Meksyku w 1968 roku, który stoczył z George'em Foremanem radziecki bokser pochodzenia litewskiego – Jonas Čepulis. Čepulis nigdy nie zdobył tytułu mistrza ZSRR. Na igrzyskach pokonał kolejno trzech przeciwników przez techniczny nokaut i dotarł do finału, w którym musiał uznać wyższość przyszłego zawodowego mistrza świata, przegrywając również przez techniczny nokaut w drugiej rundzie.
- [7] Opowieść powstała dzięki wspomnieniom porucznika Aleksandra Nikołajewicza Plusnina, który jako członek grupy „A” brał udział w szturmie na pałac Tadź-bek.
- [8] Andriej Dmitrijewicz Sacharow (1921–1989) – rosyjski fizyk teoretyk, współtwórca bomby termojądrowej, po 1968 roku dysydent zaangażowany w działania na rzecz praw człowieka, za co w 1975 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla. Po proteście przeciwko wojnie w Afganistanie Sacharowa zesłano przymusowo na sześć lat do Gorki.
- [9] Gensek – używany w Związku Radzieckim skrót od słów „generalny sekretarz”.
- [10] Nawiązanie do walki pokazowej, jaką w 1978 roku stoczyli z Muhammadem Alim radzieccy bokserzy wagi ciężkiej: Piotr Zajew, Jewgienij Gorstkow oraz Igor Wysocki.

- [11] Mienty – milicjanci.
- [12] „Spisek lekarzy kremlowskich” – jedna z największych prowokacji politycznych w ZSRR o kontekście antysemickim, mająca miejsce w latach 1952–1953.
- [13] Włodzimierz Majakowski, *Obłok w spodniach*, przekł. Julian Tuwim [w:] tegoż, *Poematy*, Czytelnik, Warszawa 1959.
- [14] Fraza z nieoficjalnego hymnu kibiców Spartaka Moskwa śpiewanego w latach osiemdziesiątych XX wieku.
- [15] Wachtanguri – gruziński rodzaj bruderszaftu.
- [16] Według oficjalnych źródeł 20 października 1982 roku na Stadionie Lenina śmierć poniosło 67 osób. Relacje świadków wskazują, że mogło być ich dużo więcej. Nieoficjalnie mówi się nawet o liczbie ofiar sięgającej 340 osób.
- [17] Międzynarodowa Federacja Szachowa (fr. *Fédération Internationale des Échecs*, FIDE).
- [18] W 1982 roku w Afganistanie zginęło 1948 żołnierzy radzieckich, w tym w boju 1623. Straty w sprzęcie wyniosły: 17 czołgów, 14 dział i moździerzy, 7 samolotów, 33 helikoptery.
- [19] Tatiana nawiązuje do sceny z powieści Michaiła Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*, w której tramwaj obciął głowę krytykowi literackiemu Berliozowi.
- [20] Samolot Koreańskich Linii Lotniczych z Anchorage na Alasce do Seulu, na pokładzie którego było 269 pasażerów, został zestrzelony przez radziecki samolot o 18.22 UTC. Samolot radzieckich sił zbrojnych Su-15 pilotował major Giennadij Nikołajewicz Osipowicz. Na pytanie, dlaczego pilot nie poinformował dowództwa, że widzi przed sobą samolot cywilny, odpowiedział krótko: „Bo nie pytano”.
- [21] W filmie o przygodach Agenta 007 – *Pozdrowienia z Rosji* jest scena meczu szachowego, w której wykorzystano końcówkę partii Spasski–Bronsztejn, rozegranej w Leningradzie w 1960 roku.
- [22] Aleksiej Iwanowicz Kisielow (1938–2005) – radziecki bokser, dwukrotny wicemistrz olimpijski: z Tokio (1964) i Meksyku (1968). Po zakończeniu kariery zawodniczej trener (także kadry narodowej) i działacz sportowy.
- [23] José Raúl Capablanca y Graupera (1888–1942) – kubański szachista, trzeci mistrz świata w szachach.
- [24] Akiba Rubinstein (1882–1961) – wybitny przedwojenny polski szachista, twórca wielu szachowych wariantów debiutowych.
- [25] Tłumaczenie Wojciecha Młynarskiego.
- [26] Porucznik Władimir Prawik zmarł w wyniku napromieniowania 8 maja 1986 roku.

- [27] Słowa żydowskiej modlitwy: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem – Panem jedynym”.
- [28] Od angielskiego słowa *girl* – dziewczyna.
- [29] Tusowka – miejsce spotkań hipisów, ich rejon.
- [30] Hajk – autostop.
- [31] Tytuł filmu przygodowego z 1977 roku w reżyserii Jewgienija Szerstobitowa. Akcja filmu rozgrywa się w scenerii rosyjskiej wojny domowej.
- [32] Nawiązanie do bajki Iwana Kryłowa *Psia przyjaźń*, w której psy obiecują sobie dożgonną przyjaźń, by chwilę potem walczyć zaciekle o rzuconą przez kucharza kość.
- [33] Pik Komunizmu – obecnie Szczyt Ismaila Samaniego – najwyższa góra Tadżykistanu i Pamiru, 7495 m n.p.m., dawniej najwyższy szczyt Związku Radzieckiego.
- [34] Niko Pirosmanaszwili (1862–1918) – gruziński malarz prymitywista.
- [35] Kindzmarauli – wysokiej jakości gruzińskie wino półsłodkie koloru ciemnorubinowego.
- [36] „Posiadanie jakości” oznacza w szachach sytuację, w której przy tej samej liczbie figur na szachownicy jeden z zawodników posiada wieżę, a drugi słabszą, zazwyczaj „lekką figurę”, czyli gońca lub skoczka. Stosując analogię militarną, stosunek sił można porównać do posiadania czołgu przeciwko wozowi pancernemu.
- [37] Tytuł nawiązuje do tytułu sławnego radzieckiego filmu z 1980 roku *Moskwa nie wierzy łzom* wyreżyserowanego przez Władimira Mieńszowa. Film został nagrodzony Oscarem w kategorii najlepszy film nieanglojęzyczny.
- [38] Siódme Niebo – nazwa drogiej restauracji, która znajduje się w korpusie wieży telewizyjnej Ostankino w Moskwie, zajmująca trzy piętra na wysokości 328–334 metrów. Po swoim oficjalnym otwarciu w 1967 roku należała do najwyżżej położonych restauracji świata.
- [39] Woland i Korowioł – bohaterowie powieści Michaiła Bułhakowa *Mistrz i Małgorzata*, biegli w sztuce czarnej magii.
- [40] GUM – Państwowy Powszechny Dom Towarowy (Gosudarstwiennyj Uniwersalnyj Magazin).
- [41] Siergiej Sokołow – ówczesny minister obrony ZSRR.
- [42] Poza ministrem obrony Siergiejem Sokołowem oraz dowódcą Wojsk Obrony Przeciwlotniczej Aleksandrem Kołdunowem konsekwencje dyscyplinarne dotknęły ponad 2000 innych oficerów. Sam Mathias Rust został skazany na 4 lata więzienia, zwolniono go jednak po 432 dniach odbywania kary.
- [43] Puerto Madero – port morski w Buenos Aires, w Argentynie.

- [44] Dzielnica San Telmo. Najstarsza i jedna z najładniejszych dzielnic Buenos Aires. Zachowana w secesyjnym stylu słynie z lekcji tanga, udzielanych nierzadko na ulicach.
- [45] Natalia Makarowa – wybitna rosyjska baletnica.
- [46] 21 sierpnia 1988 roku na placu Puszkina milicja i siły OMON brutalnie rozpędziły manifestację moskwian przypominających władzom haniebną interwencję wojsk radzieckich w Czechosłowacji, w dwudziestą rocznicę tego wydarzenia.
- [47] *Święta wojna (Swiaszczennaja wojna)* – najbardziej znana pieśń radziecka z okresu II wojny światowej. Muzykę, do słów Wasilija Lebediewa-Kumacza, skomponował Aleksander Aleksandrow, założyciel Chóru Aleksandrowa oraz kompozytor muzyki do hymnu Związku Radzieckiego (obecnie hymnu Rosji).
- [48] Jan Palach popełnił samobójstwo w proteście przeciwko radzieckiej inwazji na Czechosłowację.
- [49] 23 stycznia 1989 roku w Tadżykistanie w okolicach Duszanbe miało miejsce trzęsienie ziemi o sile 6 stopni w skali Richtera. W wyniku tego zdarzenia śmierć poniosło około tysiąca osób.
- [50] Łącznie z załogi „Komsomolca”, która liczyła 69 osób, zginęło 42 jej członków, z czego tylko dwóch w wyniku walki z ogniem. Reszta zmarła w lodowatej wodzie podczas oczekiwania na ratunek, który przybył dopiero po ponad godzinie od zatonięcia okrętu. Według relacji załogi dowództwo floty po wynurzeniu okrętu na powierzchnię przez kilka godzin celowo opóźniało akcję ratowniczą, grożąc zatopieniem jednostkom cywilnym znajdującym się w pobliżu, gdyby podjęły próbę zbliżenia się do „Komsomolca”.
- [51] Lubiercy – miasto w zachodniej Rosji, ok. 20 km na południowy wschód od Moskwy, znane ze swoistej subkultury opartej na sportach walki i nacjonalistycznych poglądach. Stworzona wśród młodych mężczyzn wspólnota stała się zalążkiem silnej organizacji mafijnej kontrolującej świat przestępczy w Moskwie.
- [52] Nieformał – slangowe określenie przedstawicieli subkultur młodzieżowych, m.in. punków, metalowców, hipisów.
- [53] 15 kwietnia 1989 roku 96 fanów Liverpool F.C. poniosło śmierć w wyniku stratowania podczas półfinału Pucharu Anglii. Wydarzenie to określane jest jako Tragedia na Hillsborough.
- [54] Dwa lata wcześniej na ulicach Kijowa 300 kibiców Spartaka stoczyło prawdziwą bitwę z fanami Dynama. Bitwa ta stała się legendą kibiców moskiewskiego klubu.
- [55] Włodzimierz Wysocki, *Ona była w Paryżu*.
- [56] Od 13 do 20 stycznia 1990 roku w Baku doszło do pogromów Ormian. Ofiarami stało się około 300 mieszkańców Baku. Według raportu Human

Rights Watch pogromy nie były spontaniczne, lecz należy je uznać za prowokację władz radzieckich, o czym świadczy fakt, że uczestnicy pogromów mieli listę Ormian oraz ich adresy. Zgodnie z tą teorią władzom w Moskwie chodziło o pokazanie, że tylko one potrafią zapewnić pokój między narodami ZSRR.

- [57] Film oparty na książce Ilji Ilfa i Jewgienija Pietrowa pod tym samym tytułem.
- [58] *Pięćdziesiąt kawałków* to historia boksera, który ma stoczyć ostatnią walkę w swojej karierze i stawia u bukmacherów pięćdziesiąt tysięcy dolarów na swojego przeciwnika.
- [59] Mikołaj Gogol, *Rewizor*.
- [60] Tatiana ma na myśli premierę *Buddy – The Buddy Holly Story*, musicalu opartego na powieści Alana Janesa.
- [61] F. Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*, przekł. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz, Towarzystwo Upowszechniania Czytelnictwa, Warszawa 1996, s. 163.
- [62] Tytuł nawiązuje do zdania z powieści *Roden's Corner* Henry'ego Setona Merrimana (właśc. Hugh Stowell Scott), które w całości brzmi: *Siedziała samotnie w kącie tarasu, chronionego szklanym ekranem od wiatru, który zawsze wieje w Scheveningen*.
- [63] *The Shadow of the HAL* (ang.).
- [64] Biedermeier – styl w sztuce, literaturze, muzyce i architekturze wewnątrz rozwinięty w Niemczech i Austrii, a także w Europie Środkowej i Wschodniej w latach 1815–1848, którego głównym założeniem było stwierdzenie, że jest to sztuka mieszczan dla mieszczan.
- [65] Mechaniczny Turek („Turek” grający w szachy) – osiemnastowieczna mistyfikacja opracowana przez Wolfganga von Kempelena. Rzekomo była to genialna maszyna, rozgrywająca po mistrzowsku partię szachów, w rzeczywistości jej ruchami sterował ukryty we wnętrzu utalentowany szachista. Po raz pierwszy Mechaniczny Turek został zaprezentowany w 1769 roku, a u szczytu swojej popularności rozgrywał pojedynki szachowe z takimi znanymi postaciami, jak Benjamin Franklin, Charles Babbage czy Napoleon Bonaparte.
- [66] Pierwowzorem Zieglera jest legendarny dziennikarz CNN Larry King.
- [67] Michaił Gorbaczow otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla w 1990 roku.
- [68] W wyniku ostrzału oraz pod kołami wozu pancernego śmierć poniosło trzech obrońców: Władimir Usow, Ilja Kriczewski i Dmitrij Komar.
- [69] Josif Aleksandrowicz Brodski (1940–1996) – jeden z największych poetów i eseistów XX wieku. W ZSRR skazany na przymusowe roboty za pasożytnictwo. Pozbawiony obywatelstwa i wydalony ze Związku

Radzieckiego w roku 1972, zamieszkał w Nowym Jorku. W 1987 otrzymał Literacką Nagrodę Nobla.

- [70] 20 lutego 1993 roku rodzina Musajewów porwała samolot pasażerski TU-134 lecący z Tiumeni do Sankt Petersburga. Ostatecznie samolot wylądował na lotnisku w stolicy Szwecji. Rodzina Musajewów została deportowana przez władze szwedzkie.
- [71] 14–19 czerwca 1995 roku grupa bojowników czeczeńskich wzięła zakładników w szpitalu miejskim w Budionnowsku. Według danych oficjalnych w wyniku akcji odbijania szpitala na miejscu zginęło 129 osób cywilnych, a 415 zostało rannych (z czego 18 później zmarło). Śmierć poniosło też co najmniej 25 członków sił rosyjskich (milicjantów i żołnierzy) oraz 14 Czeczeńców. W wyniku negocjacji z Basajewem w zamian za uwolnienie zakładników Rosja wstrzymała operacje wojskowe w Czeczenii oraz pozwoliła Basajewowi i jego ludziom na bezpieczny powrót do Czeczenii.
- [72] Jack London, *Martin Eden*, przekł. Zygmunt Glinka, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1976, s. 537–538.
- [73] Iwan Nikitowicz Kożedub (1920–1991) – radziecki lotnik, czołowy aliancki as myśliwski z czasów II wojny światowej (odnotował największą liczbą zwycięstw powietrznych spośród pilotów koalicji antyhitlerowskiej), trzykrotny Bohater Związku Radzieckiego. Po wojnie marszałek lotnictwa ZSRR oraz deputowany do Rady Najwyższej ZSRR.
- [74] Ła-7 – radziecki jednosilnikowy, jednomiejscowy samolot myśliwski z okresu II wojny światowej opracowany w biurze konstrukcyjnym S.A. Ławoczkina.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz